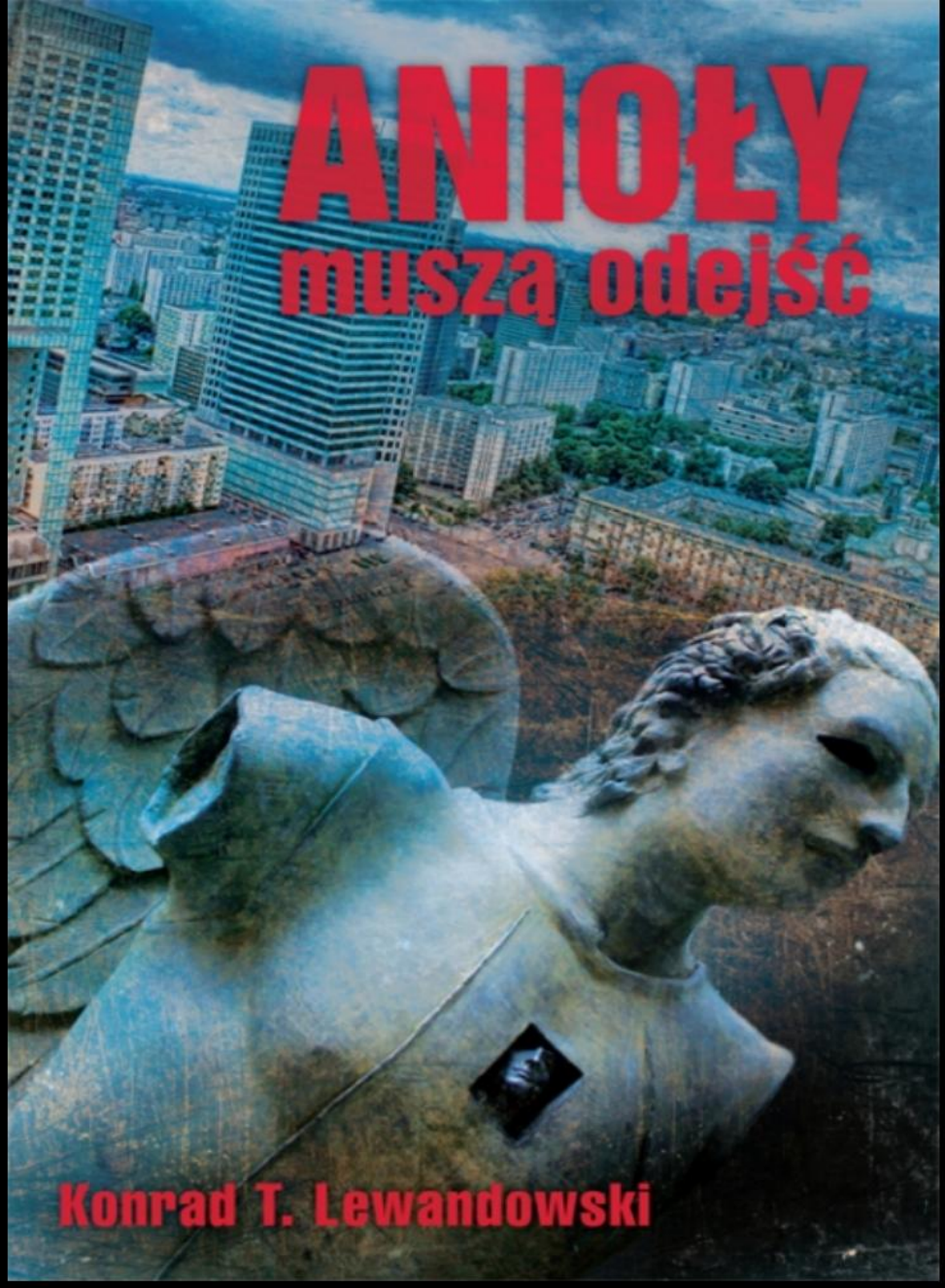
ANIOŁY
muszą odejść
Konrad T. Lewandowski

Konrad T. Lewandowski

Anioły muszą odejść

Copyright © 2011 by Konrad T. Lewandowski
All rights reserved.

Copyright for the Polish Edition © 2011 G+J Gruner+Jahr Polska
Sp. z o.o. & Co. Spółka Komandytowa
02-674 Warszawa, ul. Marynarska 15

Redakcja: Anna Wawryszuk
Korekta: Jadwiga Pillar, Maria D. Talar
Projekt okładki: Natalia Baranowska
Redakcja techniczna: Mariusz Teler

ISBN: 978-83-7778-088-6

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiejkolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych – również częściowe – tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw autorskich.

Konwersja do formatu EPUB:
Legimi Sp. z o.o.

I. Husarz

Bolało?

I tak, i nie.

Kiedy kula wchodzi w ciało, a uderzenie człowieka nie zamroczy, to jakby ukłuł cierń. Dopiero po chwili zdajesz sobie sprawę, że to już. Kiedy w bitwie krew gorąca, gdy myśli się tylko o tym, że zwycięstwo – już prawie na wyciągnięcie ręki – niespodzianie zaczyna się oddalać, rzecz wydaje się całkiem błaha, ot, pewnie kamień spod kopyt pędzącego przodem towarzysza w napierśnik pancerza uderzył. I nagle spada ta słabość, kopia zaczyna ciążyć w ręku, a ciało przestaje słuchać woli. *In Bellonae hortis nascuntur semina mortis*, jak mawiał nasz ksiądz kapelan. Kolejne ziarno śmierci wzrasta w ogrodach Bellony, bogini wojny mężnych Rzymian.

Ostatnią godziną mego ziemskiego życia była pierwsza po południu 31 lipca 1705 roku. Poległem na brzegu rzeki Drny, w drugiej bitwie o Warszawę, jak to w twoich czasach mówią, tam, gdzie dla cię od zawsze był dworzec kolejowy Warszawa Główna i Muzeum Kolei. Walczyłem za prawowitego króla Augusta przeciw stronnikom uzurpatora Leszczyńskiego, wspieranego przez Szwedów. Kula z muszkietu dosięgła mnie w drugiej szarży na nieprzyjacielskie szyki, do której prowadził nas pan Stanisław Chomętowski herbu Lis, wówczas starosta radomski, później hetman polny koronny. Nikt z nas nie wiedział, a i teraz w podręcznikach szkolnych tego nie piszą, że to była ostatnia szarża husarii. Szwedzi

pomścili Kircholm w setną rocznicę tej bitwy. Ostatni blask przesławnej jazdy polskiej zgasł właśnie wtedy pod Warszawą, niczym błędny ognik na bagnach Drny.

Nam ducha nie zabrakło, o nie! Pierwsza nasza szarża złamała szyki wojsk generała Nierotha, jakbyśmy młody las stratowali. Na nic szeregi muszkieterów plujących ogniem w oczy, na nic chylący się ku nam las pik. Połamaliśmy je jak chmielowe tyczki, przetaczając się po zielonosiwych wolskich błoniach niczym błyskająca stalą burza. Obeschłe w letnich upałach moczary za rogatką jerozolimską nie były nam przeszkodą. Doszliśmy, uderzyliśmy i już się zdawało, że weźmiemy srogi odwet za niedawną hańbę pod Kliszowem, ale Szwedzi ustali, jakby z diabłem w zmowie. Na przekór wszystkiemu dotrzymali nam pola. Miast pierzchać, szwedzka piechota sprawnie ustawiła nowy front, równoległy do kierunku naszej szarży, a kiedy myśmy już pierwszy impet stracili, oni odparli nas gradem kul i sami ruszyli do ataku. Minęły przesławne czasy Byczyny, Kircholmu, Trzciany i Wiednia. *Nihil semper floret*. Nic nie kwitnie bez końca.

Teraz znów, jak pod Kliszowem, Szwedzi drwili, krzycząc, że z nas zające żelazne! Zniewagi tej nie ścierpiawszy, zawinęliśmy się i rzuciliśmy do jeszcze jednej szarży, lecz już w zbyt wielkim nieładzie oraz zbyt małej liczbie, by wroga przemóc i zwycięstwo odnieść. Wtedy to właśnie, gdyśmy rozpędzoną masą koni, ludzi i zbroi, ze świstem husarskich skrzydeł przez Drnę przelatywali, wyrzucając z brzegów spienioną wodę, żołnierski termin na mnie przyszedł.

Zrazu więc nie bolało. Tylko to uderzenie krzyże mi z nagła w łęk siodła wcisnęło, kopia zaś, trafem jakimś po pierwszym starciu wciąż cała, dziwnie zaciążyła w ręku, opadła, dziobnęła grotem w ziemię i nim się złamała, wyrwała mię z siodła i strzemion, że jak wór jakiś nad końskim

łbem przeleciałem, łopocząc husarskimi skrzydłami, które właśnie anielskimi się stawały. Gdy wyrżnąłem o ziemię, jedno się złamało.

Jeszcze wstawać chciałem. Na czworaki się podniosłem, ale dech, co mi go upadek zabrał, powrócić nie chciał. Za to w gębie poczułem pełno krwi i pojąłem, że mnie postrzelili. I dziurę w napierśniku dostrzegłem. Chciałem oddychać, a nie można było. Teraz dopiero zaczęły się ból i duchota. Modlić się ani ze strachem przedśmiertnym walczyć nie ma jak, gdy ciało ludzkie zamienia się w zwierzę, które tylko o życie skomli. Szczęściem, męka mojej agonii nie trwała długo, bo towarzysze jadący z tyłu miłosiernie mnie potratowali, że zaraz wszystko się zapadło w ciemność. Śmierć przyszła, kiedy nieprzytomny leżałem.

Taki był mój ziemski koniec. Początek zaś był w Wilczynie, niedaleko Gniezna, gdzie 5 maja roku Pańskiego

1670 światło dzienne ujrzałem. Na chrzcie świętym dano mi imiona Jan i Seweryn po zacnych przodkach moich z rodu Mierzejewskich herbu Szeliga. Do stanu żołnierskiego przeznaczył mnie ojciec, a przystałem na to z ochotą, bowiem od lat najmłodszych powołanie do wojaczki czułem. I stało się tak, że w wieku dwudziestu jeden wiosen pod samym wielkim królem Janem na trzecią wyprawę mołdawską ruszyłem. Mój chrzest bojowy był pod Peresytą, tam pierwszy raz proch i krew wąchałem. Potem Kamieniec Podolski się oblegało, aż wreszcie w 1699 roku, już za króla Augusta to było, do twierdzy tej, po ponad ćwierćwieczu z rąk tureckich odebranej, z moją chorągwią husarską wjechałem, czując w ustach smak wielkiego zwycięstwa. Zdawało się wtedy, że nie masz przed Rzecząpospolitą Obojga Narodów żadnych przeciwności ani wrogów, którym by Najjaśniejsza sprostać nie mogła, lecz były to już ostatnie przebłyski jej chwały i majestatu. Ponure otrzeźwienie przyszło trzy lata później pod Kliszowem. Pierwsza klęska – jej gorycz przyszło mi pełną

gębą wypić, dla ojczyzny to był cios w samo serce, który powalił ją na wieki, wydając na igraszki i łup sąsiadów. Pewnie o tym nie wiesz? Ja też wtedy nie wiedziałam, lecz to od Kliszowa zaczęły się rozbiory. Po tej bitwie Polska i Litwa przestały stanowić o sobie. Król, dwór, znaki i chorągwie już tylko pozorem się stały, a nim wiek minął, i to nam zabrano. Źle, że o Kliszowie nie wiesz. Nie wypada o klęskach największych milczeć, bo się będą powtarzać. Uwierz mi, wiem, co mówię. Ja, Jan Seweryn Mierzejewski herbu Szeliga, towarzysz husarski, przeżywszy lat ziemskich trzydzieści pięć, byłem żołnierzem ostatniego zwycięstwa i pierwszej klęski.

Ipsaque mors nihil. Sama śmierć niczym.

Ocknąłem się ze śmierci w wodach Drny.

Życie zawsze zaczyna się w wodzie. Rośliny, zwierzęcia, człowieka czy anioła – bez różnicy.

Siedziałem nagi, obejmując ramionami kolana. Za mną, na błotnistym brzegu zalegały zdeptane kopytami szuwary, trawa, sitowia, ale woda wokół mnie była już czysta, niezmącona. Niespieszny nurt warszawskiej rzeczki sięgał mi do piersi i po prostu przenikał przeze mnie, a ciało nie stawiało mu żadnego oporu. Jakaś mała rybka przepłynęła wprost przez moją łydkę. To była pierwsza niezwykła rzecz, jaką spostrzegłem po drugiej stronie śmierci. Odgadłem, że jestem duchem, ale pomyślałem też, że wolałbym jednak, żeby było po staremu. I moje ciało natychmiast stało się dla wody nieprzepuszczalne. Nurt napotkał we mnie przeszkodę, zaczął mnie omywać, zaszemrał, a ja odczułem jego przyjemny chłód. Dobrze jest się ochłodzić po bitwie w samym środku lata.

Jeszcze nie całkiem pojmowałem, co się ze mną stało. Nie umiałem zadawać pytań ani porządkować postrzegania. Pomyślałem sobie, że skoro

żyję, to trzeba jednak wracać do boju. Wstałem więc szybko i się rozejrzałem, szukając jakiegoś przyodziewku i broni.

Ponieważ wcześniej nie określiłem wyraźnie, w jaki czas chcę patrzeć, nieuporządkowane obrazy spadły na mnie bezładnym wirem, aż mi się od nich zakręciło w głowie. Oto była bitwa i było przed bitwą, a zarazem po bitwie. Widziałem, jak starosta Chomętowski jako ostatni ustępuje z pola z resztkami swych rozstrzelanych chorągwi. I patrzyłem równocześnie na to, jak uzurpator Leszczyński ze swoimi poplecznikami i szwedzkimi oficerami następnego dnia objeżdża pole bitwy, która dała mu koronę Polski. Z łaski króla Karola XII, nie z Bożej! Migały też wydarzenia o wiele wcześniejsze i późniejsze, których nie rozumiałem.

Wizje zatrzymały się wreszcie na uprzątaniu pobojowiska. Zobaczyłem, jak miejscy pachołkowie kładą do płytkiej mogiły mojego trupa, obdartego przez zwycięskich Szwedów do samej koszuli – dziurawej, zakrwawionej i przepoconej nie chciało im się brać. Pochówek był pospieszny, bez księdza. W letnim skwarze nie było czasu na ceregiele. Grób wykopano tam, gdzie dzisiaj biegną tory kolejowe, teraz więc wisiałby on w powietrzu. Kości moje pożółkłe, półtora wieku później odkryli budowniczowie Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. W kwaśnym, bagiennym błocku nie zachowała się czaszka, a żebra i piszczele zgliwiały, zetlały tak, że robotnicy nie byli już pewni, czy to szczątki ludzkie. Jedni mówili, że był ze mnie duży pies, drudzy – że chory cielak. O bitwie 1705 roku nie słyszał nikt, nawet sam pan inżynier Wilski, którego do wykopu przywołano. On uznał, że to jednak człowiek chyba był, kto wie, może nawet polski żołnierz 1831 roku – tę bitwę na polach Woli jeszcze wszyscy dobrze pamiętali, więc sprowadzono ojczulka bernardyna z pobliskiego cmentarza świętokrzyskiego, który szczątki moje w worek zgarnął i pod murem zagrzebał, odmówiwszy nad nimi prędki pacierz. Tyle miałem

egzekwii. Dzisiaj już tylko pojedyncze okruchy ze mnie gdzieś pod asfaltem ulicy Świętej Barbary się poniewierają. Tak skończyła się historia mego doczesnego ciała.

Kiedy tkwiłem, ciągle nagi, nad własną świeżą mogiłą bez krzyża, naszła mnie wreszcie pierwsza trzeźwa myśl, cóż dalej mam począć w tym pośmiertnym życiu? Czemu to nie dostąpiłem światłości wiekuistej, tylko wciąż, choć dla innych niewidzialny, na tej ziemi byłem? Jeżeli w czym zgrzeszyłem, czemu to czyśćcowy profos po mnie nie przychodzi? Piekła się nie bałem. Od początku bowiem czułem, że piekło nie jest dla uczciwego husarskiego towarzysza, który póki krwi w żyłach w obronie ojczyzny i świętej katolickiej wiary stawał przeciw tureckim pohańcom i szwedzkim heretykom, lęku nie okazując nigdy, choć tak szczerze powiedziawszy, przed bojem spietrał się nieraz.

Zadanie miałem tutaj do wykonania! Ta wiedza spłynęła na mnie jakby objawienie. I nim była. Ale jakie zadanie? Gdzie? Z kim w sojuszu, a przeciwko komu? Tego kazano mi samemu dojść, rozpatrzeć się w tych zaświatach, wskazując na początek drogę poprzez czas.

Wyruszyłem zatem jako duch anioł z wolskiego pobojowiska o świtaniu, 1 sierpnia 1705 roku czasu ziemskiego. Sam, choć dusz do mnie podobnych musiały tutaj być setki. Widziałem tylko grabarzy krzątających się w pośpiechu i nieprzykładających się zbytnio do swej roboty. Byle więcej, byle prędzej, byle psy nie odgrzebały i nie rozwłóczyły kości, bo za to kara. Nie dziwiło mnie, że jestem sam, bo tu każdy wszak podążał własną drogą, ku nagrodzie lub odpłacie, więc towarzystwa nie sposób było znaleźć, chyba że z Bożego rozkazu. A cknić, to mi się nie ckniło ani trochę. Nigdy nie byłem bardziej spokojny. Życie moje się wszak spełniło, i to dobrze spełniło. O rodzinie i bliskich po prostu nie myślałem. Oni tam w ręku Boga, a ja im już na nic. Po tym spokoju ducha, po tej ufności

poznałem, iż jednak zostałem zbawiony. A że nie od razu przed obliczem Światłości kazano mi się stawić, znów nic w tym dziwnego, przecie każdy anioł inny, inną drogą do Boga szedł i idzie, tylko że teraz już bez lęku i zwątpienia, ufny, że dojdzie.

Na początek myślą jedną sprawiłem sobie przyodziewek, bo choć już cały ziemski wstyd odleciał i znów było jak w raju przed upadkiem pierwszych rodziców, to jednak ludzkie przyzwyczajenie drugą naturą anioła, zatem w portkach zawsze pewniej. Ubranie okryło mnie, gdy tylko tego zapragnąłem. Nic wyszukanego. To, w czym lubiłem w rodzinnym domu odpoczywać po obiedzie – spodnie z brązowego adamaszku, lniana koszula, luźny kaftan aksamitny i dobrze rozchodzone trzewiki z miękkiego safianu. Jeszcze tylko podwinąłem rękawy i poczułem się jak w niebie.

Pierwszym moim przewodnikiem w zaświatach został wesoły motyl cytrynek.

Nadleciał, zamigotał złotymi skrzydełkami, zawirował koło mnie i już wiedziałem, że trzeba mi pójść za nim. Cytrynek poleciał nad Drnę. Wszedłem tedy w wodę bez wahania, ale ona tym razem mnie nie zmoczyła, lecz uniosła, jakbym wstąpił na miękki leśny mech, i poszedłem wzorem Zbawiciela po wodzie, razem z nurtem, w dół rzeki. Teraz ten spacer byłby wzdłuż ulic Towarowej i Okopowej, które tu później wytyczono, wykorzystując Drnę do wypełnienia fosy okopów marszałka Lubomirskiego.

Idąc tak sobie po powierzchni rzeki i sięgając myślą w przyszłość, w istocie z każdym krokiem zstępowałem w głąb czasu. Brzegi dziczały, domostwa i pola uprawne znikały z oczu, wypierane przez coraz rozleglejsze olszyny, a mokradła wzdłuż brzegów stawały się coraz szersze. Cytrynek polatywał zygzakiem nad środkiem nurtu, prowadząc mnie w przeszłość. Parę razy przewodnika mojego pstrągi pochwycić chciały,

z pluskiem z wody wyskakując, lecz on im zgrabnie tuż przed rozwartym pyskiem umykał, z Bożej woli dla zakusów ryb nieuchwytny.

Pojąłem już, że anioł wie to, co chce wiedzieć, oraz to, co wiedzieć powinien. Stąd też byłem w pełni świadom cofającego się czasu. Idąc za cytrynkiem, szybko wkroczyłem z powrotem w siedemnaste stulecie, które dla mnie dopiero co przeminęło. Kiedy doszedłem do ulicy Wolskiej, znów był potop szwedzki – spostrzegłem dymy na horyzoncie i doleciał mnie grzmot dział w bitwach, w których sześć razy Warszawę z rąk do rąk wydzierali sobie Szwedzi, Polacy, Brandenburczycy i Madziarzy Rakoczego. Potem, przy dzisiejszym cmentarzu żydowskim, usłyszałem kościelne dzwony – ich biciem, na rozkaz burmistrza Drewno, starano się przegnać morowe powietrze 1624 roku.

Dalej wszedłem w czas spokojny złotego wieku Rzeczypospolitej. Bagna i nieużytki znikły jak mgła, nad Drną zaroiło się od młynów, browarów, foluszy tłukących wełnę na filc, garbarni, cegielni. Wszędzie krzątało się mnóstwo ludzi, którzy mnie nie widzieli, ale mogli zobaczyć, gdybym tylko zechciał, lecz nie zamierzałem próżnego widowiska wywoływać. Bardziej zajęła moje myśli rzecz taka, że oto im głębiej w przeszłość, tym dostatniej i lepiej się ludziom żyło, choć podobno winno być odwrotnie. Jakże to? Jak to się stało, że im to miasto większe, tym gorsze nieszczęścia je spotykały? Poczułem, że odpowiedź dostanę wkrótce i tu się kryje cel mojej wędrówki i nowe przeznaczenie.

Podążając za cytrynkiem, zszedłem z rzeki w miejscu, gdzie teraz masz Arkadię przy rondzie Babki i Radosława. Kawałek stromego brzegu zachował się tutaj do dziś. Wtedy, wdrapawszy się na górę, trafiłem wprost na rozciągające się za wsią Nalewki cegielnie i glinianki, które z czasem Stawkami przezwano.

Motyl pokazał, że mam iść do wsi, po czym odleciał ku słońcu i w nim zniknął. Ja zaś spostrzegłem, że czas przestał się cofać. Był teraz początek lata 1526 roku, dzień

25 czerwca, wczesny poranek. W Nalewkach zastałem poruszenie, ludzie wychodzili z domów i gromadnie zmierzali ku Warszawie. Zwykłym ich zajęciem było dostarczanie do miasta wody z tutejszych źródełek, lecz dzisiaj beczki i czerpaki-nalewki, od których nazwa wioski i ulicy wzięła początek, pozostały bezczynne.

Stałem się dla miejscowych jawny i spytałem grzecznie, dokąd idą. Odpowiedzieli mi, że pod miejskie mury, na miejsce straceń, gdzie dziś miano spalić żywcem dwie trucicielki, osądzone za zbrodnię popełnioną na jaśnie oświeconym księciu mazowieckim Januszu, ponoć z podpuszczenia samej królowej polskiej Bony. Poszedłem więc z mieszkańcami Nalewek pod mur Barbakanu, na placyk Piekiełko, gdzie z woli Bożej byłem świadkiem, jak nad Warszawą rozwierają się wrota piekieł.

Żołnierzem będąc, człek do gwałtu przywyka. Anioł zaś z natury swojej jest już ponad ziemskie sprawy. Jednak jest taki bezmiar okrucieństwa i niesprawiedliwości, który po obu stronach granicy życia i śmierci woła o pomstę do nieba i piekła.

Obie były niewinne. Sędziowie ich i oskarżyciele dobrze to wiedzieli, ale działali z perfidnym rozmysłem, przeprowadzając polityczną intrygę. Po bezpotomnej śmierci książąt Stanisława i Janusza, zgodnie z zawartą wcześniej umową dynastyczną, Mazowsze miało zostać przyłączone do Korony, a król Zygmunt Stary osobiście objąć rządy nad Warszawą. Ten plan postanowili jednak przekreślić mazowieccy wielmoże, którym nie w smak było umniejszenie ich władzy i wpływów na rzecz urzędników królewskich z Krakowa. Wbrew umowie ogłoszono więc ostatnią z rodu,

młodą niezamężną Annę, księżną panią dziedziczką Mazowsza, a nawet zdołano namówić króla Czech i Węgier do poparcia tych pretensji. Król Polski jednakże odrzekł, że bezprawia tolerować nie zamierza i zgodnie z umową przybędzie do Warszawy, by objąć władzę w mieście oraz na całym Mazowszu.

Wojna Mazowsza z Koroną, piastowskiego księstwa z mocarstwem Jagiellonów, nie wchodziła w grę, z góry wiadomo, kto by ją prędko wygrał. Jedynym sposobem, żeby powstrzymać króla Zygmunta przed uroczystym wjazdem do Warszawy, było wiarygodne oskarżenie jego małżonki Bony o trucicielstwo, o co wówczas powszechnie mieszkańców Italii podejrzewano. Zatajono więc przed ludem, że książę pan zmarł na suchoty, postępujące szybko wskutek opilstwa i hulaszczego życia, a zaczęto szerzyć potwarze. Aby ów szatański plan przeprowadzić do końca, należało pokazać światu winnych zadania trucizny i przymusić tych oskarżonych do wyznania, że działali z poduszczenia królowej Polski. Na ofiary wybrano dwie przypadkowe służki nadworne – piekarkę Krystynę, której imienia ludzka historia nie przechowała, lecz anielska tak, oraz Dorotę Klimaszewską ze stanu wolnych kmieci, zatrudnioną na książęcym dworze do dbania o pańską pościel. Specjalnie wzięto persony nieszlachetnie urodzone, aby nikt się za nimi nie ujął, do tego niepiśmienne i praw swoich nieświadome.

Żadna na wielkich sprawach tego świata się nie rozumiała ani je znała. Tym bardziej niepojęta dla nich była krzywda, która je spotkała. Zwłaszcza zaś krzywda tak okrutna.

Spalenie żywcem to śmierć straszna, ale ich los był o wiele okropniejszy. Obie nieszczęsne z wolna upieczono żywcem, co trwało cztery godziny, zamiast kilku pacierzy, jak na zwykłym stosie bywa. Do tego wcześniej, na torturach chciano wymusić na nich fałszywe

zeznania. Jakże jednak dwie proste białogłowy mogły wiarygodnie oskarżyć osobę, o której ledwie co słyszały? Tym bardziej że tutaj szło o wielką polską królową, więc oskarżenie musiałoby potem ostać się w Rzymie, przed niezależnym papieskim sądem. Nieszczęsne plotły na mękach od rzeczy to, co jak mniemały, badający chcieli od nich usłyszeć, i na przemian błagały o litość. Zeznania nie trzymały się kupy, więc bezsilna wściekłość instygatorów-oprawców jeszcze bardziej rosła. Skoro tortury nie pomogły, nie dopuszczono do udręczonych dusz księdza i nie opatrzono ich przed śmiercią świętymi sakramentami. Kiedy zaś i ta metoda zawiodła, postanowiono, że Krystyna i Dorota będą umierać powoli, jak najwolniej, aby w zamian za skrócenie męki z ognia wykrzyczały pomówienia, które choć trochę uwiarygodnią plotki rozpuszczane od miesięcy przez książęcy dwór, że Stanisław i Janusz oraz ich matka Anna zmarli od trucizny zadanej im na rozkaz Bony, pragnącej Mazowsza dla swojego syna.

Stałem w tłumie i patrzyłem. Warszawska gawiedź karmiona od tygodni fałszywymi plotkami wierzyła w winę skazanych bez wahania, lecz mogła przecież jeszcze okazać zwykłe miłosierdzie. Patrzyłem w ich oczy i serca, ale współczucie, jeśli jakie w nich znajdowałem, było ślepe i głuche, nikt mu świadectwa nie dał. Nikt o skrócenie męki nie zawołał.

Wśród śmiechu i wyzwisk, bez szacunku dla ich płci niewieściej przywiązano Krystynę i Dorotę nagie, ze zgolonymi głowami, jako psy na łańcuchach do wbitego w ziemię pala. Drewno zamiast położyć pod nimi, ułożono wokół nich, po czym, odczytawszy haniebny wyrok, podpalono. Wybrano dobrze wysuszone i niesmolne szczapy, żeby dymu było jak najmniej i skazane nie zadusiły się przedwcześnie. Zrazu nieszczęsne biegały w kręgu płomieni jak szalone, z zawodzeniem i szlochem szukając miejsca, gdzie wzbierający żar lizałby je mniej

okrutnie. Potem jedna za drugą usiłowały się chować, skutkiem czego ich łańcuchy splątały się, tak że w końcu ani kroku nie mogły zrobić. Niewinnym i żywym przypadł los potępionych, do ognistego pieca wtrąconych.

Skóra ich czerwieniała od oparzeń, pokrywała się bąblami, aż po dwóch godzinach pieczenia stała się brązowa i zaczęła pękać przy każdym ruchu i odłazić. Przewrotny plan oprawców zawiódł jednak, gdyż od potwornego bólu obie kobiety postradały rozum i zamiast przeklinać królową Bonę, czego się po nich spodziewano, zaczęły wyć jak wilki i nawzajem kąsać się zębami. Gadano w tłumie wokół mnie, że gardła sobie chcą przegryźć, aby męki swoje skrócić, ale to nie była prawda, gdyż jednocześnie zrobić się tego nie dało i jedna z nich musiałaby poświęcić się za drugą, a w żadnej z nich już tyle człowieczeństwa nie było.

Jeszcze mniej ludzkości mieli w sobie gapie. Po pierwszej godzinie kaźni ustały drwiny, patrzono w ciszy, fascynując się męką ze skrywaną radością, że to kogo innego spotkało. Tracone niewiasty tylko skuczały monotonnie.

Tureccy bisurmani i Tatarzy znają litość, widziałem i mogę o tym zaświadczyć. Nawet poganie z krajów najdzikszych wiedzą, co to miłosierdzie, przynajmniej niektórzy z nich. Jakże mam porównywać z nimi mieszkańców stolicy mazowieckiego księstwa, gdzie nikt tego dnia litości nie okazał?

Za życia doczesnego, prawym rycerzem i człowiekiem sumienia będąc, do takiej potworności nigdy bym nie dopuścił, prędzej by mi zginąć przyszło. Teraz jednak nie miałem już wolnej woli. Przeznaczono mi rolę świadka, nie wybawcy. To sędziowie i kaci wolną wolę mieli, lecz użyli jej, by uczynić przeogromne zło, a Bóg patrzył na nie moimi oczami. Nikt nigdy na świecie, nawet sam Zbawiciel, aż tak okrutnie doświadczony nie

został jak te dwie istoty. Czy można się tedy dziwić, że oto na Warszawę, która tego dnia okazała się gorsza od Sodomy, albowiem ani jeden sprawiedliwy się w niej nie znalazł, spadło ciężkie przekleństwo i ta klątwa nad nieszczęsnym miastem zawisła na wieki. Działanie owej klątwy pod postacią szwedzkiej kuli dosięgło i mnie.

W ostatnich minutach życia, kiedy spalona całkiem skóra stała się już nieczuła na ból, Krystyna Piekarka i Dorota Klimaszewska odzyskały jasność umysłów i w chwili mrocznego natchnienia wyrzekły się Boga, który je opuścił, i poprzysięgły Szatanowi, że jeśli Zły Duch wybawi je od dalszej męki i da im swą moc, to obie nie spoczną w jego służbie, dopóki cała Warszawa wraz z mieszkańcami nie podzieli ich losu i nie scześnie w cierpieniu i ogniu.

Piekło przyjęło ten hołd i serca obu niewiast pękły z gorąca. Klimaszewska i jej towarzyszka stały się demonami – duchami zniszczenia tego miasta, jego czarnym *genius loci*. Przez pierwszy wiek od śmierci zbierały w zaświatach siły, po czym przystąpiły do wypełniania zemsty. Zaczęły od wywołania zarazy w stulecie popełnionej na nich zbrodni. Skrzywdzone i udręczone, a już zapomniane, z furią przypominały o sobie, wlokąc do grobów tysiące warszawian i zmuszając dwór królewski do opuszczenia stolicy. Zaraza wygasła w 1626 roku tak jak ogień, w którym zginęły.

Po morowym powietrzu demonice zaczęły sprowadzać na miasto nowe klęski, każdą straszniejszą od poprzedniej, wytrwale dążąc do starcia Warszawy z powierzchni ziemi. Uparte, nieubłagane i z każdym wiekiem bliższe spełnienia swego planu. Dość powiedzieć, że po wojnie ze Szwedami i stronnikami Leszczyńskiego, w połowie której zginąłem, w 1709 roku przez Krakowskie Przedmieście przejechać się nie dało z powodu zawalenia ulicy gruzem, a wychudłe psy wyły na ruinach

i pogorzeliskach, jakich za poprzedniego szwedzkiego potopu jeszcze nie oglądano. W tym psim wyciu słychać było upiorny śmiech Klimaszewskiej, a to przecież było nic w porównaniu z tym, co wydarzyło się w XX wieku. Teraz już wiesz, z jakiej racji.

Czemu mi tę przeszłość i przyszłość pokazano? Jaki był w tym Boży plan? Miałem spokojną ufność, że się tego dowiem.

Gdy pod Barbakanem ucichły jęki zadręczonych niewiast, na skurczone trupy nagarnięto żar, żeby się dopaliły, a nażarta cierpieniem gawiedź poczęła się rozchodzić, z basowym pomrukiem na rękawie koszuli osiadł mi gruby, czarno-złoty trzmiel.

Pora była iść dalej.

II. Leniwiec nagrobny i spółka

Najpiękniejsze na Woli są zamglone zachody słońca późną jesienią, zwłaszcza 1 listopada o godzinie szesnastej, oglądane z przystanku tramwajowego przy ulicy Sowińskiego. Czerwony krąg o rozmazanych brzegach zapada wtedy za horyzont dokładnie na przedłużeniu linii torów. W efekcie tramwaje jadące od Powstańców Śląskich zdają się wyjeżdżać wprost ze słońca. Lubię tam wtedy być. Wyłączam percepcję ludzi i zjaw, tłumy znikają, a ja patrzę na puste wagony, które wyłaniają się z tarczy rozgrzanego do czerwoności, lecz zimnego złota, z wolna zbliżają się, przejeżdżają przeze mnie na przestrzał i przepadają gdzieś z tyłu. Przemijają.

Fajnie jest nie przemijać.

Jeszcze fajniej odpoczywać bez końca. Ów aspekt życia pozagrobowego cenię sobie najbardziej. Jan Seweryn też mógłby czasem tego spróbować i wrzucić na luz, ale nie, jego stale gdzieś nosi. Ostatnio, wyobraźcie sobie, ten narwany husarz z ADHD znów się do mnie przyczepił i Leniwcem mnie przezwał. Powiada, że larum grają, a ja się na nagrobku wyleguję! A niby gdzie mam leżeć? W trumnie ciasno i niehigienicznie, a na wygrzanej w słońcu lastrykowej płycie sama rozkosz! Przy tym tak tu sobie upływ czasu reguluję, żeby majowe słoneczko cały czas nade mną milutko przygrzewało. Żadnego deszczu ani śniegu, zawsze błękitne niebo, a na nim obłoczki baranki… Mógłbym tak leżeć i kontemplować je całą wieczność, myśląc o niebieskich migdałach.

I to właśnie robię. Tylko pierwszego listopada, dla odmiany, idę sobie na mały spacerek na przystanek tramwajowy. Jak święto, to święto.

Ciepło, przyjemnie, niebo błękitne nade mną, prawo moralne też na swoim miejscu. Czego można chcieć jeszcze? Trochę tu sobie przysypiam takim błogim półsnem, kiedy się czuje, że się śpi i wypoczywa. Czasem sobie śnię na jawie, lecz tylko trochę, bo marzyć już właściwie nie ma o czym, skoro wszystko spełnione.

Muzyki można jeszcze posłuchać. Podoba mi się ów zwyczaj, że podczas pogrzebów ktoś ze skrzypkami staje kilkadziesiąt kroków od konduktu i rzępoli coś nastrojowego. Za życia zawsze coś tam grajkom do futerału wrzucałem. Zaprawdę powiadam wam, cmentarze bez melancholijnej muzyki nie oferują pełnego komfortu życia wiecznego, można im przyznać najwyżej trzy gwiazdki, a przeważnie kwalifikują się na status hotelu robotniczego, z potępieńcami drącymi mordy jak proletariat po wypłacie. Ech, u nas na Woli to się dopiero nie żyje!

No, a ten się czepia! Duch dziejów jeden! Znalazłby sobie, kurczę blade, jakąś kryptę i szczękał w niej łańcuchami. Albo lepiej do Muzeum Wojska Polskiego poszedłby straszyć. Widmo husarza ze złamanym skrzydłem snujące się po salach to nie byle jaka atrakcja turystyczna, w sam raz na Europejską Noc Muzeów. On mógłby się wykazać, napędzając frekwencję kulturze narodowej, a ja miałbym święty spokój! Chyba sobie na niego zasłużyłem, skoro zostałem zbawiony, nieprawdaż? Co to ja w czyśćcu jestem, czy jak?!

Leżę więc sobie na cieplutkim nagrobku, tak mi miło, rozkosznie, czasu nie liczę, bo i po co? Nie myślę o niczym, zupełnie jakbym na Polach Elizejskich albo w buddyjskiej nirwanie się znajdował, ekumenizm full wypas, a ten husarz skubany nagle staje nade mną i oznajmia grobowym głosem: *Post mortem est nulla voluptas*, znaczy, że po śmierci nie czas

na przyjemności! A lećże sobie w Światłość, kolego, na zdrowie, ja tu jeszcze poleżę!

No, ale się nie dało. Co począć, skoro to misja od samego Naczelnego. Tak, wiem, wiem… Już wiem. Objawienie spływa i wszystko jasne. Anioły tak mają. Właśnie dlatego, że wiem to i owo, Naczelny przysłał imć pana Jana Seweryna Mierzejewskiego herbu Szeliga akurat do mnie. Sam Jan Seweryn, nieszczęsna ofiara polskiego systemu edukacji w dobie baroku i nocy saskiej, tylko sentencje łacińskie cytować potrafi, to całe jego wykształcenie, które mu w jezuickim kolegium ojczulkowie dębowym liniałem w głowę wbili, zanim do wojska poszedł. Czytać to on, między nami mówiąc, ledwie co duka, a z pisaniem też nie lepiej. Człek szczery jak złoto, ale ciemny jak tabaka w rogu. Zaczął anielską karierę w poczuciu życiowego niespełnienia, misji się mu zachciało i zaraz nadział się na problem teologiczny, który go przerósł o długość kopii z proporcem, to się teraz miota jak poltergeist, a jeszcze innych za sobą ciąga. I po tośmy szli do raju?!

Dobrze już, dobrze! Naczelnego wola, większe dobro i tak dalej… Ale mnie się oczy kleją! Najchętniej wywiesiłbym na bramie cmentarza tabliczkę: „Nie budzić aniołów!” i obrócił się na drugi bok… Zieeew!

Cóż począć, skoro pospać snem wiecznym nie dają? Jeżeli mam przestać bawić się w nieskończone zapętlanie czasu i dać mu normalnie płynąć, to żeby się dobudzić i oprzytomnieć, zacznę może opowiadać po kolei. Od tego momentu, kiedy się ocknąłem po własnym pogrzebie, leżąc w deszczu na nagrobnej płycie. Egzystencja zawsze zaczyna się od wody, ale pierwsza rzecz, którą tu zrobiłem, to porządek z wilgocią. Zażyczyłem sobie słoneczka i zrobiło się jasno i ciepło. Nic mi więcej do szczęścia nie było trzeba. Musiałem się niewąsko w życiu zmęczyć, skoro teraz już literalnie nic a nic mi się nie chciało. Nawet wrodzona

ciekawość opadła ze mnie, no prawie. Cmentarze po tej stronie bytu to miejsca bardzo interesujące pod względem towarzyskim, można tu spotkać mnóstwo ludzi niezastąpionych, ale mnie do pośmiertnych znajomości specjalnie nie ciągnęło.

Zwłaszcza że mam potępioną sąsiadkę parę grobów dalej. Kompletnie zidiociała stara baba nie wie, że umarła, i bez końca wrzeszczy, jak bardzo nienawidzi synowej, która ją tu samą zostawiła, jeść nie daje i rozmyślnie głodzi. Przypadek klasyczny, jak z wizji Swedenborga. Nie muszę jej słyszeć ani widzieć, jeśli nie chcę, ale akurat ona pierwsza mi się napatoczyła, bo jak się już trochę w poprzek czasu pobyczyłem, to zachciało mi się jednak po nowym miejscu zamieszkania co nieco rozejrzeć. Ciekawość w moim przypadku to nie był stopień, ale całe schody do nieba, więc jednak trochę mi jej tu zostało. Ludzkie przyzwyczajenie drugą naturą anioła.

Zacząłem zatem obserwacje od potępieńców, bo się narzucali. Doprawdy przepaskudna sprawa! Ponieważ zostaliśmy stworzeni na obraz i podobieństwo Naczelnego, jesteśmy tak samo jak On nieśmiertelni i niezniszczalni. Jeśli ktoś za życia zrobi z siebie śmiecia, to po śmierci będzie się non stop poniewierać, tłamszony przez własne skurwysyństwo. Wyjście poza własne ograniczenie nabyte za życia, post mortem jest niezwykle trudne, a skończyć ze sobą nie można. Dla pewnych ludzi nieśmiertelność jest jak brzytwa dana małpie, kaleczą się nią nieustannie. Innym, nie do końca zeszmaconym, jeszcze udaje się dokonać mozolnej autorefleksji i to właśnie jest czyściec.

Do niektórych coś tam dociera. Na przykład ten gość z sąsiedniej alejki, który wie, że nie żyje, ale kompulsywnie to wypiera, skupiając się na pucowaniu własnego nagrobka. Każdy centymetr kwadratowy pieczołowicie poleruje flanelową szmatką aż do lustrzanego połysku,

wyrzekając przy tym bez końca na kiepskiej jakości marmur, że ma nie dość jasny połysk. Oczywiście, wszystko tylko w swojej wyobraźni, bo faktycznie jego grób jest z najtańszego lanego betonu i od dawna tonie w kurzu oraz zeschłych liściach. Kiedy się drania rodzina wreszcie pozbyła i pochowała, to wszyscy głęboko odetchnęli z ulgą i nikt go już wspominać nie przychodzi. Delikwent czuje, że coś nieodwracalnego się z nim stało, ale nie chce poznać prawdy i ucieka w pełnoobjawową nerwicę lękową. Diabli prędzej czy później go znajdą i przyjdą sobie z nim poigrać. Że im się nie spieszy, to też część zabawy.

Żal mi tego typa, coś bym dla niego zrobił, ale nie mam pojęcia co. Brak wiedzy po tej stronie oznacza, że sam Naczelny nie życzy sobie, abym wiedział, a dokładniej, że to mi na nic, więc trzeba okazać zaufanie. Anioł zaś je okazuje, bo wolnej woli już nie ma.

Wiecie, ten brak wolnej woli to trochę dziwne uczucie. Z jednej strony to jakby ubezwłasnowolnienie, bo żadnego wyboru już nie dają, ale z drugiej wolna wola jest niepotrzebna, bo nie ma już czego wybierać, wszystko, co trzeba, już się wybrało i się wie. Tak ogólnie mogę powiedzieć, że my, anioły, funkcjonujemy w stanie pełnego ideału etyki sokratejskiej – znamy lub natychmiast możemy poznać wszystkie następstwa danego czynu lub decyzji. Sokrates uczył, że zło wynika z niewiedzy i nie czynilibyśmy zła, gdybyśmy dokładnie znali szkody i krzywdy, jakie ono wywoła. Faktycznie to niedokładnie tak, ale możecie na razie przyjąć, że dla anioła etyka sokratejska jest bazowa, na nią nakładają się większe subtelności.

Z kolei nasze relacje z Naczelnym można porównać do spadania w głąb kosmicznej czarnej dziury. To wcale nie jest głupie porównanie! Tak naprawdę to ani ona jest czarna, ani żadna dziura. Tak się tylko wydaje osobom żywym patrzącym z zewnątrz, z obszaru doczesnej marności lub

przyczynowości, jak kto woli. Dla nich to miejsce w kosmosie stanowi czarną niewiadomą, ale wewnątrz światła jest naprawdę mnóstwo. Tam są całe oceany blasku, który nie wydostaje się poza horyzont zdarzeń. I światła wciąż przybywa – jak dusze wpadają nowe fotony. Na dodatek w czarnej dziurze panuje światłość wiekuista, bo przecież czas w miarę zbliżania się do niej zwalnia, aż w końcu całkiem staje w miejscu. Dla obserwatora patrzącego z horyzontu zdarzeń cały wszechświat już dawno przeminął. My na zewnątrz coś kombinujemy, za czymś gonimy, a tam w środku trwa już jedno nieustanne Teraz – dokładnie jak teologowie przewidzieli. Mistyka i fizyka spotykają się w czarnych dziurach w pełnej zgodzie.

Trzymając się tej kosmicznej metafory, kwestia doczesności wygląda tak, że albo wybieracie zimną i ciemną pustkę gasnącego uniwersum, rozdymanego w nieskończoność w kolejnych fazach inflacji, uczestnicząc w nieustającym ciągu coraz mniej istotnych przyczyn i skutków, albo wyrywacie się z tego jałowego porządku, wybierając lot w ukryte światło, „w ciemno” z duszą na ramieniu. Trzeba zaufać i wybrać. My, anioły, mamy ten wybór już za sobą, zgodnie z własną wolą daliśmy się przechwycić i teraz już po własnych indywidualnych trajektoriach nieodwracalnie zmierzamy do horyzontu doczesnych zdarzeń. Otwarta pozostaje kwestia, co zabierzemy za sobą i ile z nas pozostanie, kiedy czas się zatrzyma. Jednak o tym potem! Na razie wróćmy do Jana Seweryna.

Mimo całej mojej niechęci i totalnego braku entuzjazmu nie mogłem nie wstać na to jego łacińskie dictum, bo opieranie się woli Naczelnego jest nielogiczne i bez sensu. Tym bardziej że powody widać jak na dłoni. Co się człowiek w życiu nawybierał, to nawybierał, a teraz ma luksus braku wątpliwości i potrafi to docenić. Mówiąc serio, Janowi Sewerynowi tak czy siak bym pomógł, także za życia, kiedy mi się wydawało, że nic nie muszę lub równie dobrze mogę zrobić co innego. Dlatego tu jestem. Różnica jest

taka, że teraz zawsze widzę właściwy wybór, nie muszę decydować się w ciemno. Pomarudzić wszakże zawsze wolno i wiem, że Naczelnego to śmieszy. On ma duże poczucie humoru, jakbyście nie wiedzieli. Anioły pierwotne, które nigdy nie były ludźmi, fascynuje to, że my kiedyś mieliśmy wątpliwości, lecz nam tego nie zazdroszczą, bo wolna wola jest nierozdzielna z cierpieniem. Ale znów za bardzo się rozgaduję i w dygresje popadam! (Było mnie nie budzić!). Spoko, będzie jeszcze dużo czasu na anielską teologię. Miałem mówić po kolei!

Potępieńcy są zatem żałośnie nieciekawi – przewidywalni, zapatrzeni we własny egoizm, pełni upierdliwych i banalnych pretensji, którymi zatruli sobie życie. Skoro jednak od nich zacząłem, to uznałem, że dla odmiany warto poznać kogoś z mojej paczki, oczywiście nie przesadzając z nadmiarem poufałości, albowiem święty spokój ponad wszystko! Dwoje podobnych do mnie to góra. Jan Seweryn sam się w moją wieczność wprosił, ale na początek została mi objawiona Ośka.

Dokładniej mówiąc Leokadia Grabarczyk, nazwisko trzeba przyznać w sam raz dla umarlaczki. Ośką wołali ją na rodzinnej Pradze. Sam nazywam ją czasem Czarną Mańką, bo dziewczynisko jest wulgarne i pyskate do niemożliwości. Typ wyszczekanej warszawskiej ulicznicy o złotym sercu, które ukrywa najgłębiej, jak się da, żeby nikt nie zranił. Rezyduje w mniejszej części cmentarza wolskiego, po wschodniej stronie ulicy Sowińskiego. Sąsiadka z naprzeciwka, mówiąc krótko.

Ona sama nie ma zielonego pojęcia, dlaczego została aniołem. Przypuszcza, że dlatego, że chłopa nigdy nie miała. Tak normalnie… Ma zwyczaj mówić zachrypniętym głosem, jakby od chronicznego nieżytu gardła. Rzecz jasna, prawdziwa choroba nie wchodzi w grę, Leokadia specjalnie chce, aby właśnie tak słyszano jej myśli. Spytałem ją na początku znajomości, skąd ta chrypka, a ona mi na to, że to od zimnej spermy…

Niebiański *savoir vivre* w wykonaniu Ośki to doprawdy jazda po bandzie bez kierownicy na kwadratowym kole. Zwłaszcza jeśli wyczuje, że ma do czynienia z inteligentem, a takich z racji osobistych zaszłości szczerze nie cierpi. Na dzień dobry nie dałem się zjeść w kaszy i odpaliłem jej, że Lucyfer też ma zimne nasienie. Wściekła się tak, że zdemolowała pół alejki, furiatka telekinetyczka. Potem było na Bogu ducha winnych satanistów, a ja do dziś mam odbity na plecach negatyw epitafium księdza Twardowskiego: „Spieszmy się kochać ludzi”. Tylko mi nie mówcie, że w niebie jest nudno! Gdy Ośka się wkurzy, jej paznokcie rozżarzają się do białości. Może nie jest to ten sam kaliber co ognisty miecz, ale nie radzę się przekonywać na własnej skórze. Żywym od jej pazurków robi się półpasiec.

No dobra, już się nie wygłupiam. Powaga za grobem obowiązuje! Jestem aniołem, więc dobrze wiem, dlaczego Czarna Mańka, przepraszam, Leokadia, została zbawiona. Po pierwsze dlatego, że Naczelny nie jest małostkowy. Nie lubi tylko pytań retorycznych, gdy kto zawraca głowę i nie czeka na odpowiedź.

Natomiast pozory mylą nawet w zaświatach, ponieważ, jakbyście chcieli wiedzieć, Leokadia jest męczennicą za wiarę w ścisłym znaczeniu tego terminu. Żaden kanoniczny kauzyperda nie mógłby się czepić. I zarazem była prostytutką, acz nie w pełnym zakresie usług. Urodziła się w 1777 roku na Kamionku, wykształcenie mniej niż zero. Szczytem jej życiowych możliwości byłaby rola domowego garkotłuka przy mężu, ale i to dla niej okazało się nieosiągalne. Gdy miała czternaście lat, przyciśnięta nędzą rodzina sprzedała ją sutenerowi, niejakiemu Dorstowi. Ten, wbrew utartym zwyczajom półświatka, nie zgwałcił Ośki na dzień dobry i nie posłał na ulicę, tylko postanowił dobrze sprzedać jej dziewictwo, inspirując

się pismami markiza de Sade, które właśnie docierały do Polski, budząc liczne aspiracje do zachodnich wartości i europejskiego stylu życia.

Dorstowi trafił się odpowiedni klient – arystokrata i początkujący libertyn, a konkretnie pan hetman Józef Zabiełło, który miał fantazję używać dziewczyny jednocześnie niewinnej i zarazem wybornie znającej się na rzeczy. Przez lata uczono zatem Ośkę biegłości w tajnikach miłosnego rzemiosła, nie pozwalając jej stracić wianka. Chłopak, do którego się kiedyś serdeczniej uśmiechnęła, wkrótce, tak na wszelki wypadek, skończył z roztrzaskaną głową w wodach łachy wiślanej – dzisiaj to jest Jezioro Kamionkowskie.

Pan hetman co jakiś czas osobiście sprawdzał postępy dziewczyny oraz jej pieczęć niewinności. Planował wyrafinowany eksperyment erotyczno-okultystyczny w gronie zaufanych przyjaciół, którego finału Ośka by nie przeżyła. Nim jednak przyszło do realizacji przedsięwzięcia, wybuchła insurekcja kościuszkowska i mości Zabiełło jako targowiczanin skończył był na szubienicy. Patron Ośki chciał jej znaleźć podobnego amatora, ale nie zdążył przed rzezią Pragi, której padł ofiarą razem z całym swoim personelem, przy czym Leokadia zginęła chwalebnie.

Po opanowaniu dzielnicy przez wojska generała Suworowa Ośka była świadkiem zabójstwa księdza, który biegł do kogoś z ostatnim namaszczeniem. Niewiele myśląc, kierując się dziecinną wiarą, której nie zdołano z niej wyplenić, rzuciła się ratować komunikanty przed profanacją i dokonała tego mimo czterech pchnięć bagnetem. Potem z tłumem uciekinierów zdołała przedostać się przez Wisłę i oddała przybornik pierwszemu napotkanemu duchownemu. Głupi klecha nie dość, że nie podziękował, to jeszcze zgromił uliczną dziewkę, że śmiała świętych utensyliów dotykać, bo co by to było, gdyby tak hostie rozsypała w błoto?! Podniecony własną przemową, słaniającej się na nogach, podźganej Ośce

dał po twarzy i sobie poszedł, a ona dowlokła się do dalekich krewnych, mieszkających na Woli, i tu zmarła z powodu ran. Lekarza do niej nie wezwano, zresztą w tamtej epoce nie miałby on nic do roboty przy jej podziurawionych jelitach i krwotokach wewnętrznych z przebitej nerki i trzustki. Śmierć na zapalenie otrzewnej była kwestią czasu, a że dziewczyna była silna, męczyła się przez tydzień. O uratowanym sakramencie nic nikomu nie powiedziała, żeby znów nie dostać po gębie, a potem ból i gorączka wymazały jej pamięć agonii i zdarzeń bezpośrednio ją poprzedzających. Dlatego nie wie, czemu została aniołem i wciąż nie chce sobie tego przypomnieć. Grunt, że Naczelny wie.

Miejscowy pleban zaś, dowiedziawszy się, że panna była lżejszych obyczajów, najpierw spóźnił się z wysłuchaniem jej ostatniej spowiedzi, wymawiając się pilniejszymi obowiązkami, wszak po jatce na Pradze tylu lepszych ludzi dogorywało po domach i przytułkach, więc niech nierządnica czeka! Potem, kiedy kuzynostwo chciało ją pochować, z racji braku ostatniego namaszczenia odmówił jej pogrzebu w poświęconej ziemi. Zawstydzona rodzina chyłkiem, po nocy zakopała Ośkę na wolskich nieużytkach, ostatkiem sumienia powstrzymując się przed sprofanowaniem ciała osikowym kołkiem, bo strach przed upiorem to jedno, ale bardziej głupio było im poprawiać po ruskich sołdatach. Na dole jak dla bezpańskiego psa rzecz się jednak nie skończyła, bo nie z Naczelnym takie numery!

Skoro Ośka nie poszła do poświęconej ziemi, to poświęcona ziemia przyszła do niej. Osiemdziesiąt lat później w miejscu potajemnego pochówku wytyczono nekropolię z prawdziwego zdarzenia. Tylko anioły wiedzą, że Leokadia jest faktyczną patronką i założycielką cmentarza katolickiego na Woli, bowiem ona wcześniej uświęciła to miejsce swoją obecnością i nie przypadkiem paluch czynownika z carskiego magistratu

właśnie w tym punkcie mapy się zatrzymał, wybierając miejsce na *katoliczeskoje kładbiszcze*.

Nie przypadkiem też Ośka potrafi płytami nagrobnymi rzucać. Ja, przykładowo, nie jestem w stanie przesunąć choćby zeschłego listka. Moja domena to wiedza i rozum, no i te figielki z czasem. Z Jana Seweryna też poltergeist byłby cienki, on da radę najwyżej świecę zgasić czy jakiś mały drobiazg przesunąć. Leokadia, co tu kryć, jest aniołem znacznie większej rangi niż my. Szacując według średniowiecznych hierarchii, tu i archanioł byłby mało. Na moje oko, Leokadia jest cherubinem, a może nawet serafinem niższym. Teoretycznie. Naczelny, jak mówiłem, nie jest małostkowy, awansów nie żałuje. Szkopuł w tym, że z tak niewyparzonym ozorem na niebieskie salony nie sposób Ośki wpuścić, ba, nawet do magla byłoby głupio. Z kolei przymuszać ją, aby zdała sobie z tego sprawę, kim była i kim być powinna, oznacza przypomnieć jej doznane cierpienie, no a przecież nie jesteśmy w piekle ani nawet w czyśćcu.

Pewnie chcielibyście wiedzieć, gdzie jesteśmy tak naprawdę? W końcu z tą orbitą czarnej dziury to tylko taka metafora. Jeśli się trzymać stratyfikacji Dantego, powiem, że na najniższym poziomie raju. To też jest jednak niezbyt dobra analogia. Można by także powiedzieć, że to pozytywny czyściec, takie ciekawe miejsce, które wielce uczeni teologowie jakoś przegapili.

Tutaj integrujemy nasze nowe osobowości – indywidualny ludzki charakter z naturą anielską, która zasadniczo jest prosta jak konstrukcja cepa i składa się praktycznie z samej jaźni. Indywidualna tożsamość pierwotnego anioła ogranicza się do imienia i paru osobistych upodobań. Żadnych barwnych wspomnień, pasji, namiętności, życiowych błędów i porażek, których niepowtarzalna kombinacja buduje tożsamość normalnego człowieka. Z drugiej strony ten brak absolutnie nie jest dla nich

jakimś upośledzeniem, gdyż anioły pierwotne funkcjonują w stanie emocjonalnego przepływu, który ludziom zdarza się rzadko, w chwilach największego miłosnego uniesienia, artystycznego natchnienia czy twórczego zapamiętania. W czasie przepływu tożsamość, czyli poczucie własnego „ja”, znika i jest się tym, czego się w danej chwili doświadcza – samym aktem miłości lub kreacji.

Rzecz w tym, że żaden z ludzi nie jest święty, czego Ośka jest świetnym przykładem. Ja też, jeśli chodzi o moją prywatną amnezję, w niczym nie jestem od niej lepszy. Kiedy patrzę na swój grób, widzę tylko krzyż – żadnych napisów, pełna selekcja percepcji. Nie chcę nawet pamiętać własnego imienia, a tym bardziej okoliczności śmierci, zdecydowanie niewesołych. Pamiętam tylko to co dobre i bezpieczne, nic w tym wyjątkowego. Wszyscy tutaj mamy silny uraz przejścia, nawet Jan Seweryn, choć on miał szybką żołnierską śmierć, znieczuloną dodatkowo przez najwyższy możliwy poziom adrenaliny.

Żarty na bok! Umieranie to naprawdę traumatyczne doświadczenie, o którym nie chce się pamiętać. Nawet jako anioł. Niektórzy mądrale wypisują uczone brednie, jak to człowiek w chwili śmierci ogarnia całe swoje życie i podejmuje jakieś wielkie decyzje. Gówno prawda! No tak, kto z Ośką przestaje… Przeważnie już nie przeklinam, nie wypada. Wracając do rzeczy, człowiek przed agonią i w trakcie niej jest kompletnie rozstrojonym kłębkiem nerwów i jedyne, na co ma ochotę, gdy już jest po wszystkim, to zapomnieć i odpocząć. Wtedy przychodzi ulga, w której się pogrążamy aż do odlotu, albo nagła potrzeba zachowań kompulsywnych, co znaczy, żeśmy się definitywnie doigrali, no, ale o potępieńcach miałem już nie wspominać.

Integracja osobowości nie jest konieczna, nikt nas na tym poziomie egzystencji siłą nie trzyma, sami chcemy tu być. Zbawienie to zbawienie –

droga do Światłości jest wolna! Jeśli kto sobie życzy, może hop-siup lecieć bez przygotowania, ale wtedy traci się wszelkie ludzkie nawyki oraz wspomnienia jako cechy nieistotne i następuje redukcja do tożsamości anioła pierwotnego. Dołączasz do chóru, łapiesz fazę przepływu i to Wszystko, przez bardzo duże „W”. Tak postępują zwykle święci asceci, których już żadna doczesna marność kompletnie nie interesuje i całe życie przygotowują się do tego, aby po śmierci wystrzelić jak rakieta po najkrótszej trajektorii.

Jednak my, którzy kochaliśmy życie, nie spieszymy się, tylko na swój sposób żyjemy wciąż jego pełnią, tym czego nie musimy się wstydzić. Ja w przerwach między liczeniem baranków po staremu zaspokajam ludzką ciekawość świata – to tu, to tam sobie zerknę, przyuważę, skojarzę, oczywiście bezstresowo. Jan Seweryn, to już wiecie, koniecznie chciał być tajnym agentem z misją od Naczelnego – kontakty, adresy, nazwiska, po czym szable w dłoń i hajda komunikiem na piekielne czambuły! „Łuki w juki, a łupy wziąć w troki”… Tak to leciało!

A Leokadia, kiedy myśli, że nikt jej nie widzi, a raczej gdy postanawia sobie pełne *incognito*, siada na cmentarnym murze i śpiewa uliczne piosenki. Obowiązkowo *Czarną Mańkę*, ale też *Andzię z Podwala*, ale zwłaszcza *Dziadowski karnawał*, który lubi najbardziej:

Nie ma to ta jak karnawał – pomyślały sobie dziady.
Każdy w torbę dużo dawał – ledwie człek z nią daje rady!

Głos ma wtedy już ładny, bo się z tą perwersyjną chrypką nie wygłupia. Śpiew Leokadii słychać czasem gdzieś pomiędzy szumem drzew a dźwiękami skrzypiec cmentarnego grajka. Ośka przed nami udaje tę chrypkę właśnie po to, aby żaden niebiański kamrat się nie domyślił, że to ona śpiewa, no bo się dziewczynisko i po śmierci ciut wstydzi…

Pójdźwa, bracie, na flaszeczkę! Pójdźwa, bracie, do gospody!
Będą tam też i kobity! Choć niewielkiej może krasy!
Zawszeć tam, gdzie jest kobita, człowiek w sobie jakby żwawszy!

Stąd jednak od razu wiadomo, jakie jest tej panny ostateczne miejsce. Znaczy ja się orientuję, bo tylko ja, z woli Naczelnego, mam prawo wiedzieć, że to jej śpiew. Sama Leokadia się jeszcze z tym hobby przede mną nie zdradziła. Nie zdaje sobie sprawy, że ja wiem, i niech mnie Naczelny ma w opiece, gdyby się dowiedziała!

Kiedy tańce już ustały – dziady trochę się pobiły!
A że żaden nie był cały – szkody sobie nie zrobiły!

Nie to, żebym w Opatrzność wątpił, ale jak mówi Pismo, nie uchodzi wystawiać Naczelnego na próbę! Mogę sobie pożartować, bo tu wszystko jest naprawdę dobrze zaplanowane. My potrzebujemy się zebrać w sobie, pogodzić naturę ludzką z anielską, a w tym celu jeszcze trochę pożyć ludzkim życiem, doprowadzając je do pełni. Naczelny zaś musi stale łatać swój wielki plan, nieustannie szarpany przez czyjąś złą wolę. Obie te sprawy załatwiane są jednocześnie. Stąd misja Jana Seweryna, któremu mam być doradcą, a zarazem preceptorem Leokadii, żeby się wreszcie stała w pełni świadomą siebie i swej godności. Naczelny wymyślił sposób, jak ściągnąć nas do siebie po optymalnej trajektorii. Co nie znaczy, o ile znam ten typ Stwórcy, że obejdzie się przy tym bez guzów i siniaków…

Zatem ja, Leokadia oraz towarzysze Jan Seweryn i Zaleszczuk mamy pomóc sobie nawzajem. Dlatego się tu spotkaliśmy. Aha, nie wyjaśniłem jeszcze, kim jest Zaleszczuk Sławomir! Dokładnie w tej kolejności, najpierw nazwisko, potem imię, żeby podkreślić, że przynależność do zbiorowości jest ważniejsza od burżuazyjnego indywidualizmu. Cały on!

Towarzysz Zaleszczuk, usiądźcie może lepiej, jest aniołem ateistą. Ponadto ideowym komunistą, wiernym Partii, socjalizmowi, materializmowi dialektycznemu i wszystkiemu, co doktryna marksizmu-leninizmu przewiduje. Jego przypadek daje większe pojęcie o miłosierdziu Naczelnego niż wszystkie wizje błogosławionej siostrzyczki Faustyny razem wzięte. Zaleszczuk Sławomir, rocznik rewolucyjny 1905, rówieśnik towarzysza Wiesława, co zawsze zwykł z dumą podkreślać, umarł na zawał z przepracowania w 1963 roku, usiłując dorobić gomułkowskiej małej stabilizacji ludzką twarz. Teraz Zaleszczuk jest przekonany, że ja, Ośka, Jan Seweryn i wszystko, co mu się tutaj przytrafia, to są halucynacje pod respiratorem, że się niedługo obudzi, wyzdrowieje, zostanie wypisany do domu i dalej będzie budować socjalizm. Pewnie by tak było, gdyby jego respirator nie został przekazany „radzieckiemu towarzyszowi", a konkretnie rezydentowi KGB z ambasady ZSRR w Warszawie, którego trafił szlag w tym samym czasie. Względy internacjonalne przesądziły o pierwszeństwie dostępu do deficytowych świadczeń medycznych.

Innymi słowy, Zaleszczuk nie wie, że nie żyje, w zasadzie jak większość potępieńców, jednak odróżnia go od potępionych parę bardzo istotnych „ale". Po pierwsze, on nie wierzy w Naczelnego, ale Naczelny wierzy w niego i… (powtórzę to z uporem maniaka) nie jest małostkowy! Po drugie, owszem, Zaleszczuk poświęcił życie obłąkańczej ideologii, ale pozostał z gruntu dobrym człowiekiem. Za samą głupotę jeszcze nigdy nikogo nie potępiono, bo inaczej Naczelny musiałby poprzestać na towarzystwie samych aniołów pierwotnych, a i to rzecz wątpliwa, gdyż one też specjalnie bystre nie są. Gdy którego spytasz, ile jest 2 razy 2, ten zaraz zaczyna się modlić o objawienie. Po co im własna wiedza, skoro mają sztywne łącza i gorącą linię?

W sensie teologicznym Zaleszczuk podpada pod przypadek poganina, którego nie można potępić, ponieważ nie zwiastowano mu ewangelii. Ściślej mówiąc, nie zrobiono tego wiarygodnie. Z samym chrześcijaństwem oraz jego przedstawicielami towarzysz Zaleszczuk, jako chłopak z podwarszawskiego Wołomina, miał do czynienia aż nadto, by nabrać niezachwianej pewności, że religia to średniowieczny zabobon i relikt braku świadomości klasowej, który trzeba cierpliwie wykorzeniać na drodze systematycznej pracy partyjno-ideowej. Krótko mówiąc, mały Sławek dostał zdrowo w kość od szkolnego katechety i podpuszczanych przez księżula kolegów. Pretekstów było dość, poczynając od tego, że stary Zaleszczuk, fanatyczny bolszewik, tak się przejął hasłem: „Religia to opium dla ludu", że dokonał formalnej apostazji z Kościoła katolickiego, co na czasy przed pierwszą wojną światową było skandalem wręcz niesłychanym. Syna chyłkiem ochrzciła matka, ale nie zmieniło to faktu, że Sławek przez całą szkołę robił za chłopca do bicia, zwanego pieszczotliwie „bolszewickim pomiotem".

I tu wypada podkreślić, że Sławomir nie zaczął się na prześladowcach mścić, kiedy po drugiej wojnie komuna zaczęła być górą. Element ideowo nieuświadomiony jego zdaniem nie powinien być karany, tylko edukowany. Wszak nie można karać ludzi za brak świadomości klasowej, gdyż inaczej nie da się zbudować prawdziwego socjalizmu. W sumie to prawda, ale Zaleszczuk nigdy nie był na tyle bystry, by dostrzec, że komunistyczna ideologia i praktyka to są dwie kompletnie różne rzeczy. Jeśli zaś dostrzegał, były to dla niego „trudności obiektywne", a najwyżej wypaczenia, którym starał się zaradzić w granicach wyznaczonych przez Partię. Konkretnie, jako pracownik wojewódzkiego referatu do spraw ludności, załatwiał dla chorych dzieciaków zachodnie leki. Nigdy nie wziął za to łapówki, ale też ani razu nie zapytał, dlaczego tych leków nie można

wyprodukować na miejscu, skoro postępowy socjalizm, jak sama nazwa wskazuje, jest systemem przodującym.

Partia jest dla Zaleszczuka nieomylna (i wciąż istnieje!), ponieważ jako kolektyw nie może się mylić, no chyba że zły Stalin czy Beria sprowadzą go na manowce… Mimo to droga socjalistycznego rozwoju zawsze była i jest jedynie słuszna! Zaleszczuk niezmiennie bagatelizował wszystkie fakty świadczące, że jednak jest inaczej. Na upadek komunizmu w Polsce nieborak ma całkowitą blokadę percepcji. Balcerowicz to dla niego niepoważny „ekonomistyczny rewizjonista”, nad którym nie warto się zastanawiać.

Przyznaję, że czasem tracę do towarzysza Zaleszczuka anielską cierpliwość! Mam ochotę dorwać archanielską trąbę i zadąć mu prosto w ucho, tak żeby mu głowa omal nie odleciała i cała prawda do niej dotarła. A potem zobaczyć, jak opada mu szczęka… Jednak to nie uchodzi. Tutaj każdy jest pełny na swoją miarę i choć ta miara w przypadku Zaleszczuka wydaje się nieprzeciętnie mikroskopijna, nie dolewa się nikomu świadomości na siłę. Niebo to nie system realnego socjalizmu! Skoro ktoś raz uzyskał tu obywatelstwo, to się go dalej nie reedukuje. Chyba że sam chce.

Możecie teraz spytać, co towarzysz Zaleszczuk Sławomir robi w niebie oraz na Cmentarzu Wolskim? W zasadzie to samo co za życia. Dba o poprawę bytu oraz prawidłowy rozwój przyszłości Partii i Narodu, czyli najmłodszych obywateli cmentarnej społeczności, zabiegając o zaspokojenie najpilniejszych potrzeb zmarłych dzieci w zakresie dostępu do myśli klasyków marksizmu-leninizmu. Owszem, Zaleszczuk sądzi, że to wszystko mu się śni, ale skoro Partia powierzyła mu zadania na froncie onirycznym, robi swoje z pełnym zaangażowaniem, czekając aż towarzysze lekarze przywrócą go do zdrowia.

Mówiąc po naszemu, Sławomir jest aniołem stróżem w limbo. Kompletnie zbzikowanym, fakt, ale na swój sposób odpowiedzialnym. Zajmuje się duszami zmarłych dzieciaków (bo żywe mogłyby się przestraszyć), pilnując, by nie czuły się osamotnione. Rezyduje w tej co ja części Cmentarza Wolskiego, po zachodniej stronie ulicy Sowińskiego, przy północno-wschodnim narożniku, gdzie chowano zmarłe niemowlęta, oraz na cmentarzu Powstańców Warszawy, gdzie też leży mnóstwo „przyszłości narodu”. Gdy raz tam z nim poszedłem, z miejsca doceniłem jego robotę, ale o tym opowiem później.

Owszem, wiem, że papież ostatnio odwołał istnienie limbo, ale tak między nami, ono niezbyt się tym odwołaniem przejęło. Rzeczywistość także po tej stronie nie podlega myśleniu życzeniowemu. Mówiąc ściślej, watykańscy teolodzy ustalili, że limbo to nie otchłań, no i chwała im za to, bo ono nigdy żadną otchłanią nie było. Szkoda, że tak późno na to wpadli. To jest rodzaj nieba dla zbawionych, którzy nie są w stanie pojąć, że nie żyją. Tej świadomości, jak mówiłem, nikomu w niebie, zwłaszcza brzdącom, się nie wmusza.

Wracając do Zaleszczuka, to gdyby on żył w nieciekawych czasach i w normalnym kraju, w którym nie zrobiono by mu wody z mózgu, byłby może niezbyt błyskotliwym, ale solidnym pedagogiem, wychowawcą klasy w szkole podstawowej oraz ojcem własnej licznej rodziny. Przed emeryturą dosłużyłby się w tej swojej szkole stanowiska wicedyrektorskiego i zmarł jako ogólnie szanowany stary belfer z Wołomina czy Kobyłki.

Zaleszczuk zajmuje się dziećmi, bo je lubi, bez żadnych złych podtekstów, inaczej by go tu nie było. Kiedyś mężczyźni lubiący dzieci byli zjawiskiem normalnym. Dopiero w moich czasach doktorzy Jordan i Korczak musieliby się gęsto tłumaczyć z oskarżeń o pedofilię i unikać łowców czarownic przełomu XX i XXI wieku, a tabloidy i tak

insynuowałyby im, ile wlezie. Dowcip polega na tym, że gdyby ta wiedza do Zaleszczuka dotarła, uznałby, że to my, nie on, jesteśmy kompletnie nienormalni i paradoksalnie miałby rację.

Fakt, że dziwny to anioł stróż, który duchom dzieci tłumaczy, że „tak zwany Bóg nie istnieje”. Nic złego się nie dzieje, gdyż maluchy z limbo mają na te antyreligijne gadki blokadę percepcji, a Naczelny – duży ubaw i wielkoduszny dystans. Na przykładzie Zaleszczuka dobrze widać, że Naczelny ma poczucie humoru i naprawdę nie jest małostkowy. Tak, wiem, powtarzam się, ale wkurza mnie, że wy tam w doczesności traktujecie Go, jakby był tępym i wrednym kapralem, a na dodatek uważacie, że to jest szczyt pobożności.

Teraz trochę samokrytyki. Nie powinienem nabijać się z Zaleszczuka, skoro sam nie chcę wiedzieć, jak się nazywam. Racjonalizuję to sobie tak, że imienia pozbyłem się w ramach wspomnianego procesu integracji anielskiej osobowości, ale jak każda racjonalizacja to jest myślenie życzeniowe. Mam swój emocjonalny zadzior, o którym nie chcę mówić. Wobec tego powiem lepiej, co pozostali myślą o mnie.

Jan Seweryn w kółko opieprza mnie za lenistwo, niezmiennie konkludując, że to niechybnie dlatego, że w wojsku koronnym nie służyłem. Leokadia wymyśla mi od „śmierdzących, mędrkowatych nierobów, fagasów, obszczyakademików…” i tak dalej, a jak już zacznie, to naprawdę długo nie kończy. Zaleszczuk, gdy jest w nastroju ekumenicznym, robi aluzje do „inteligencji niepracującej”, zwykle nazywa mnie „kosmopolitycznym bumelantem” i nie widzi dla mnie przyszłości w ustroju demokracji ludowej, czyli na cmentarzu. A ja się bezczelnie cieszę, bo czy się stoi, czy się leży, spokój wieczny się należy!

Dobrze, skoro cały kolektyw już przedstawiony, pora przystąpić do działań „na bazie i po linii”, jak mawia towarzysz Zaleszczuk.

III. Kruczek formalny

– Ocknąłeś się już, leniwy trutniu?! Rozczmuchałeś wreszcie?! – pytał natarczywie Jan Seweryn, stojąc nade mną ze zdegustowaną miną. – Długo to jeszcze będziesz te błazeńskie facecje wydumywać? Na pobudkę wojsko koronne raz i dwa w ordynku staje!

Ziewając bezwstydnie, zwlokłem się z nagrobka i przeciągnąłem. Dla rozruszania załopotałbym jeszcze skrzydełkami, gdybym je miał, ale niestety, ta popularna wizja artystyczna nie odpowiada rzeczywistości. U nas w niebiesiech prawa aerodynamiki nie mają ostatniego słowa w kwestiach anielskiej lokomocji.

– Czym zgrzeszyłem, że mnie Pan Bóg takim późnym wnukiem pokarał? Toć to jasne jak słońce, że przez takich tak ty rzeczypospolite poginęły!

No nie, tego zrzędzenia było mi już za wiele!

– Było uczyć się nowoczesnej sztuki wojowania, to by nie poginęły! – burknąłem rozeźlony. – Na co komu ciężka jazda w czasach, gdy kula z broni palnej swobodnie przebija pancerz? Jakbyście pod Kliszowem wystawili w polu polskich muszkieterów, całkiem inaczej by się sprawy miały…

Zaciął wargi i nic nie odpowiedział. Trafiłem go w czułe miejsce.

– Nie przyszedłem się spierać – zmienił ton na pojednawczy. – Objawiono ci już, z czym przychodzę?

– Klimaszewska i Piekarka – odparłem, poważniejąc. – Znów coś chcą namotać? Powstania warszawskiego było im mało?

Jan Seweryn nie odpowiedział normalnie, tylko zaczął przekazywać mi swoje objawienia. Odbierając je w swoim umyśle, ubierałem je natychmiast we własne słowa i emocje oraz uzupełniałem o posiadaną wiedzę.

Znałem sprawę tych nieszczęsnych kobiet już za życia, ale tylko z lapidarnej notatki kronikarskiej Bernarda Wapowskiego, który osobiście był wtedy na Piekiełku, znajdującym się poza ówczesną granicą miasta, i takie oto zostawił świadectwo: *Przed Warszawą wkopali w ziemię słup, do którego obie dwie na łańcuchach długo uwiązali, każda na swoim łańcuchu, nago, ręce im związawszy, a około nich nakładłszy drew, wkoło zapalili. Piekły się w onym ogniunia jako pieczenie cztery godziny, zanim pomarły, biegając około słupa, narzekając, kąsając zębami jedna drugą. Niesłychana męka. Potem też i Jordanowskiego ścięto, Jakuba piwnicznego na kościele u bernardynów i wiele innych tutaj potracono.*

Tych ludzi zamordowano, gdy ważyły się przyszłe losy Warszawy. To był mord założycielski trzeciej stolicy Polski, zatrute źródło, w którym poczęła się jej kariera. Zło monstrualne w swoim okrucieństwie, niczym nieodkupione, niewybaczone, a co gorsza, małostkowo zapomniane. Dlatego właśnie żarzące się wciąż pod powierzchnią rzeczywistości jak uśpiony wulkan i wybuchające kolejnymi, coraz groźniejszymi erupcjami grozy i nienawiści. Szesnastowieczni warszawiacy zafundowali pokoleniom potomków życie na aktywnej klątwie. To dziedzictwo sprawia, że co rusz mamy tutaj nad Wisłą metafizyczne Pompeje.

Gdy żyłem, szanowałem ostatnią panią Mazowsza, ale teraz znam prawdę i stwierdzić muszę, że tego co księżna Anna nawyrabiała, by utrzymać władzę, oraz pozwoliła innym zrobić w swym imieniu, nawet

sam Stalin by się nie powstydził. Dużym dysonansem poznawczym była dla mnie wiedza, że po tej stronie bramy śmierci z księżną panią się nie spotkam. Dziwić się jednak nie ma czemu. Wtedy ona nie okazała dręczonym „trucicielkom” choćby cienia łaski, żeby w Krakowie nie uznano tego za „słabość, wahanie jakoweś albo i brak pewności jaśnie oświeconej księżnej pani względem winy tych pojmanych”, jak ujęli to jej doradcy, gęsto podpierając się przy tym cytatami z *Księcia* Machiavellego, by dodatkowo błysnąć erudycją. Trzydzieści jeden lat później Anna Mazowiecka przekonała się sama, że w niebie makiawelizm nie jest cnotą polityczną, a wręcz przeciwnie. Na nic zdały się donacje na kościoły i klasztory. Nie kupiła sobie zbawienia. Rozstrzygający okazał się fakt, że sprawa Klimaszewskiej i Piekarki była dla sumienia księżnej pani tak błaha i bez znaczenia, że do końca życia nie przyszło jej do głowy, aby się z tej winy wyspowiadać. Po prostu zapomniała. Naczelny okazał się sędzią znacznie sprawiedliwszym. Księżna Anna Mazowiecka, która zatwierdzając tamten koszmarny wyrok, ściągnęła na Warszawę przekleństwo i z wyżyn swego majestatu nawet nie raczyła tego zauważyć, teraz już dostrzega i odczuwa każde cierpienie, które z jej postępku wynikło. Przykro mi. I domyślcie się dalej sami, dlaczego cały sławny ród Piastów został bezpotomnie starty z powierzchni ziemi. Nie wydziwiajcie na włoskich Borgiów, skoro mieliśmy nie lepszych, a przy tym znacznie mniej wyrafinowanych swojaków, tylko przed zaborcami przyznawać się do tego nie wypadało. W niebie mity żyją krótko, prawda zabija je jak muchy.

Jan Seweryn, kontynuując przekazywanie objawień, zaaplikował mi teraz wspomnienia naocznego świadka egzekucji. Wszystkie szczegóły i emocje, łącznie ze smrodem niedomytego tłumu i palonego mięsa. Trzącznęło mną jak cholera! Aż musiałem usiąść. Ja, w przeciwieństwie do naszego drogiego towarzysza husarskiego, za życia nie hartowałem

odporności psychicznej, asystując osiem razy przy nawlekaniu grasantów na pal, co w czasach Jana Seweryna było rutynową karą administracyjną, praktykowaną na Podolu i Dzikich Polach. Na dodatek tańszą od wieszania, bo nie marnowało się cennego sznura…

– Radzić nam trzeba. – Zrobił chwilę przerwy, widząc, że zrobiło mi się niedobrze. – Wybacz, bracie, nie chciałem delikatności twej natury urazić.

– Zdecyduj się w końcu, jestem twoim bratem czy wnukiem?! – burknąłem z irytacją, biorąc się w garść. – Klimaszewska i Piekarka wróciły?

– Tak. Znów snują czartowską sieć… Nie pojmuję dokładnie, na czym ta rzecz polega, więc o objaśnienie grzecznie cię, bracie, proszę.

Otworzyłem umysł, żeby Jan Seweryn ujrzał z kolei moje ustalenia.

Zbiorowe opętanie to była ich główna metoda działania. Od czasu morowej zarazy obie demoniczne mścicielki wracały średnio co pół wieku i snuły się po mieście, zasiewając w ludzkich umysłach złe rady i zaślepienie. Przykładowo, od Klimaszewskiej pochodziła myśl, która zaświtała w głowie króla Jana Kazimierza zaraz na początku szwedzkiego potopu, żeby zostawić w Warszawie tylko dwustu żołnierzy, czyli o wiele za mało, by można było obronić miasto, gdy nadejdą Szwedzi. Dlaczego Warszawy „nie opatrzono”, jak się wtedy mówiło? Czemu nie przygotowano jej do oblężenia? Jana Kazimierza po prostu zaćmiło – zdecydował się opuścić stolicę, zostawiając ją na pastwę losu i żadnemu z królewskich doradców ten pomysł nie wydał się zły. Ta nagła epidemia umysłowej pomroczności jasnej skończyła się kompletnym złupieniem i ruiną miasta, po czym sytuacja powtórzyła się dokładnie pięćdziesiąt lat później, w czasach Jana Seweryna. Następne były rzeź Pragi po jej tragicznie nieudolnej obronie, kiedy to generał Zajączek najzwyczajniej w świecie zaspał na kwaterze, i równie katastrofalna obrona Woli w 1831

roku, gdy z kolei generał Sowiński myślał tylko o tym, jak by się tu najszybciej poddać. Innym przykładem indywidualnego i zbiorowego zaćmienia mieszkańców Warszawy był zupełnie nieprzygotowany wybuch powstania styczniowego. Zgadnijcie no, kto podsunął hrabiemu Wielopolskiemu pomysł branki… Po tych nieszczęściach dla odmiany nastąpiła farsa, czyli histeryczne protesty właścicieli warszawskich posesji przeciw budowie kanalizacji Lindleya. Pewnie tego nie wiecie, bo rzecz jest nader wstydliwa, ale na przełomie XIX i XX wieku wybuch zbiorowego szaleństwa na tle sprzeciwu wobec kanalizacji omal nie doprowadził do zamieszek i kolejnego powstania narodowego. Mechanizm socjologiczny wciąż ten sam – irracjonalny upór i brak umiaru, przekonanie „wszystko albo nic!” narastające niepostrzeżenie, gęstniejące jak czarny opar, zaczadzający umysły aż do kompletnego odmóżdżenia, i w końcu wybuch szaleństwa, wyzwalający kolejny akt zbiorowego samobójstwa niczym wyrój lemingów. Ta powtarzalność nieszczęść to nie przypadek, anioł wam to mówi! Innym stolicom aż tyle złego się nie przydarza. Inni potrafią zatrzymać się nad krawędzią przepaści, a nie skaczą w nią przekonani, że honor tego wymaga, tak trzeba i inaczej postąpić nie można, że jedynym wyjściem jest samozagłada! Lemingi to naprawdę dobre porównanie.

Tym razem nie jestem w nastroju do żartów, wybaczcie, ale czasem anioły są śmiertelnie poważne. Zwłaszcza wtedy, gdy muszą sprzątać brudy po ludziach, którzy żyli i umarli w poczuciu, że nic się nie stało, przekonanych naiwnie i głupio, że to, co wydarzyło się pięć wieków temu, nie ma już żadnego znaczenia ani wpływu na nic. Zapamiętajcie sobie, że nie tylko rękopisy nie płoną. Także niezamknięte sprawy nie przemijają, a odsetki karne od zbrodni wciąż rosną.

Klimaszewska i jej towarzyszka to piekielne trendsetterki. Wszędzie, gdzie przejdą, zostawiają podszyte fanatyzmem, bezkompromisowe myśli i przekonania, że już dość, niech się wali, niech się pali, my przynajmniej umrzemy z honorem! Namawiają do honoru, który nie uszlachetnia, lecz zabija i niszczy. Chcą, aby wszystko tutaj zgorzało jak one same. Do tego dążą ze wszystkich sił.

Wybuch powstania warszawskiego to był ich największy triumf. Wtedy wszyscy w tym mieście kompletnie oszaleli. Szał niemieckich zbrodni z jednej strony oraz szał polskiej autodestrukcji z drugiej splotły się w jeden wir szatańskiego zaślepienia. Nikt nie myślał, wszyscy chcieli tylko zabijać tych drugich. Demony miały wówczas dwumiesięczny orgazm.

Parę razy objawiły się w powstaniu zupełnie jawnie. Na przykład na Starówce 13 sierpnia wiodły rej w rozentuzjazmowanym tłumie, który wbrew ostrzeżeniom saperów obstąpił osławiony czołg-pułapkę, tak naprawdę porzucony przez obsługę stawiacz min typu borgward, rodzaj goliata wielorazowego użytku, który przewoził na masce półtonową minę, ukrytą w pancernej skrzyni. Miał on z tą przesyłką wjechać w barykadę na Podwalu, zostawić prezent, po czym wycofać się i odpalić ładunek przez radio. Jednak po staranowaniu barykady, borgwarda obrzucono butelkami z benzyną, a poparzony kierowca, któremu chlapnęło do środka przez wizjer prosto na twarz, spanikował do tego stopnia, że zapomniał wrzucić wsteczny bieg i uciekł na piechotę, nie wykonując zadania. Ogień zaś szybko ugaszono piaskiem. Nasi dostali w prezencie sprawny samochodzik pancerny wielkości volkswagena i pięćset kilo trotylu na bieżące potrzeby.

Zamiast rozebrać minę, która wtedy jeszcze nie zdążyła się uzbroić, pod wpływem zbiorowego opętania urządzono objazdowy uliczny festyn, połączony z manipulowaniem wszystkimi możliwymi przełącznikami, żeby zobaczyć, „co to daje”. Tak odbezpieczono zapalnik, następnie

zdetonowano ładunek. Niemcy zgubili brzytwę, a stado małp samo się nią wyrżnęło. Eksplodował nie trotyl, lecz głupota. Klimaszewska jechała wtedy na pancerzu borgwarda, wymachując biało-czerwoną flagą. Demon przybrał postać pięknej dziewczyny, podobno „najpiękniejszej z pięknych”, jak twierdzili świadkowie, którzy przeżyli. Każdy mężczyzna, patrząc na nią, widział swój ulubiony typ kobiecej urody, dlatego potem nie udało się ustalić jednoznacznego rysopisu prowodyrki. Piekarka, również skryta pod iluzją młodej piękności, energicznie krzątała się w tłumie, wznosząc patriotyczne okrzyki, rozdając buziaki i podsycając samobójczy entuzjazm. Obie skrzętnie dopilnowały, aby w niczyim umyśle nie zaświtał rozsądek, zgasiły wszelką ostrożność oraz instynkt samozachowawczy. Wybuch zabił na miejscu trzysta dwadzieścia sześć osób. Nie przypadkiem nastąpił opodal miejsca, w którym je stracono. Demony zemsty dostały to, o czym marzyły, patrząc z kręgu płomieni na gapiów napawających się ich męką – żeby ten tłum rozszarpać na strzępy! I stało się według ich pragnień. Nic nie zostaje zapomniane, nawet gdy wszyscy zapomną.

Wkrótce potem obie z lubością asystowały przy mordowaniu rannych w szpitalach i przy burzeniu miasta. Odeszły nasycone zemstą jak nigdy wcześniej, lecz wciąż jeszcze niezaspokojone, bo Warszawa na przekór im znów odżyła.

Dlatego teraz wróciły. Liczą, że radioaktywnych gruzów już nikt nie posprząta. Rosyjskie rakiety iskander spod Kaliningradu i z Białorusi to ich nowa szansa. Trzeba im tylko więcej szaleństwa, więcej demagogii, więcej prątkujących nienawiścią polityków i duchownych. Mówi wam to coś? Lepiej, żeby powiedziało w porę, bo kiedy już będzie za późno, w ostatniej sekundzie życia, tak samo jak ludzie stłoczeni wokół borgwarda, usłyszycie triumfalny śmiech Klimaszewskiej i Piekarki.

Nie ważcie się pytać, dlaczego Naczelny na to pozwala. No, chyba że chcecie naprawdę mocno wkurzyć anioła. Jeśli się ma wolną wolę, to wypada być odpowiedzialnym. Odpowiedzialność zaś wyklucza oczekiwanie, że Naczelny sprawę zatuszuje i spłaci cudze rachunki. Ludzie dostają to, o co proszą, oraz to, co im się należy. Te niewinnie stracone kobiety prosiły o pomstę, która sprawiedliwie należała się zarówno czynnym sprawcom ich cierpień, jak i biernym widzom, którzy nie protestowali i nie wołali o łaskę, przyczyniając się do przedłużenia męczarni. Nie można żadnej z tych dwu nieszczęśnic potępić za to, że nie znalazły w sobie siły i wiary Hioba. Ani też nie można ganić ich za to, że zwątpiły w Naczelnego, skoro wszyscy wokół zrobili, co możliwe, by do tego zwątpienia doszło. Powiem więcej, Naczelny właśnie z tego powodu gniewa się najbardziej. Nie toleruje gorszenia maluczkich, a Krystynę i Dorotę zgorszono ponad wszelką miarę. Zrobili to ci, których obowiązkiem była opieka nad ich duszami i doczesnym życiem. Powiedzcie teraz w oczy Naczelnemu, że to tylko przebrzmiały epizod historyczny. Ja nie zaryzykuję wylotu z raju na ognistych kopach.

Demoniczna siła Klimaszewskiej i Piekarki płynie z ich niewinnej męki i śmierci. Chcecie wiedzieć, jak wielka jest ta siła? Na pewno? Dobrze, powiem. Niewinna ofiara Chrystusa zbawiła świat. Przekleństwo dwóch niewinnych kobiet, które ucierpiały gorzej od Zbawiciela, a nie znalazły w sobie miłości dla oprawców, ma moc, by dzieło zbawienia odwrócić. Tak, możecie zacząć się bać! Skoro nie było w was współczucia ani pamięci winy, strach jest wskazany. Na wasze szczęście Naczelny nie jest małostkowy. Miłosiernie posyła anioły, żeby zrobiły, ile się da. Parę razy nam się udało. Choćby te kanały Lindleya, których miało nie być, których w Warszawie nie chciał nikt poza prezydentem Starynkiewiczem i Bolesławem Prusem, a bez których w powstaniu zginęłoby dwa razy

więcej ludzi. Doliczyć wypada jeszcze setki tysięcy niedoszłych ofiar cholery, gdyż epidemie wygasły po zbudowaniu wodociągów i kanalizacji. Postawiliśmy się demonom w roku 1791, 1809, 1920, 1956, 1980, 1989. Każdy rozkwit Warszawy pomiędzy klęskami to dzieło naszego natchnienia. Nigdy jednak nie ma gwarancji, że zdołamy wygrać kolejną bitwę z tak ogromną potęgą zła. Czasem wy, żyjący, jesteście zbyt głupi, by się nam udało. No, a teraz ja się przez was wyspać nie mogę!

– One czegoś szukają – oznajmił Jan Seweryn, przekazawszy mi do końca swoje objawienie. – Mamy dowiedzieć się sami, co to takiego…

Nie dokończył, bo właśnie rozległ się głos Leokadii, która będąc w usposobieniu romantycznym, przysiadła sobie na murze koło swojej bramy:

Ja jestem Andzia, znana z Podwala.
W mych żyłach płynie gorąca krew!
Jestem kochliwą, troszkę cnotliwą.
Chłopaków lubię i śpiew!

W oryginale niezupełnie tak to leciało, ale Ośka nie śpiewała tych piosenek od początku do końca ani w ogóle w jakiejkolwiek kolejności. Nie podlega upływowi czasu, więc bywa, że jakiś wers wyciąga bez końca, nie powtarzając się, a zarazem pozwalając wybranej frazie trwać, jakby zawieszając ją w szumie drzew:

Do wszystkich się zalecam, każdemu coś obiecam! A figę dam!

Śpiewający człowiek da radę zrobić coś takiego tylko z jednym dźwiękiem i tylko dopóki starczy mu tchu. Anioł potrafi wygenerować

akustyczną, a raczej metafizyczną falę stojącą z dowolnie długiej wypowiedzi na dowolnie wybrany okres.

Jan Seweryn zasłuchał się, ale nie na długo. Jak to u Ośki, zmiana nastroju i tembru głosu nastąpiły nagle i kompletnie bez ostrzeżenia:

– Ożeż ty, macochu jeden! – zachrypiała z furią. – Frajerze majchrem wysztorcowany! Znów żeś mi się, kpie świński, tutaj przychlapnął?! Zmiataj stąd, bo jak ja cię zaraz pazurami złachcuję…

– Przebóg! – Zdumiony Jan Seweryn uniósł brwi do góry. – A to co takiego?!

– Wolskie zaszłości… – machnąłem ręką. – Duszę potępioną znowu na stary rewir przyniosło. – Szybko wyjaśniłem mu, w czym rzecz.

To był niejaki Józef Macioch, za życia złodziej. Co roku we Wszystkich Świętych robił tu za kieszonkowca w tłumie pomiędzy bramami, bo w tym miejscu jest zawsze najgęściej. Mało wprawny był, więc nie raz, nie dwa zamiast doliniarstwa wychodziło mu z tego wymuszenie rozbójnicze. Wcześniej dorabiał jako pomocnik grabarza i gdy parę razy trafiła się czaszka ze złotym zębem, też skorzystał. Teraz jego ciało gnije na dnie fosy Fortu Blizne przy ulicy Lazurowej. Było tak, jak Ośka wspominała – rozbebeszyli go nożem na pobliskich ogródkach działkowych, tak dla zabawy, w pijanym widzie, bo o nic konkretnego nie poszło. Kiedy kumple wytrzeźwieli, wzięli się na sposób i flaki Maciocha dali psu, a na ich miejsce wepchnęli parę cegieł i kamieni, tak że trup nigdy nie wypłynął. Teraz nosi go, jak to potępieńca, w miejsca znane za życia, ale jak tu się pokaże, Ośka go zaraz przepędza.

– Dzisiaj nie przyszedł sam – stwierdził Jan Seweryn, pochmurniejąc.

Rzeczywiście. Nie było jak zwykle…

Natychmiast przeniosłem się na narożnik muru przy bramie, a Jan Seweryn poszedł za mną. Nie polecieliśmy, bo jak już mówiłem, skrzydeł

takich jak na obrazkach nie mamy. Szkoda, gdyż nad wyraz twarzowo by nam z nimi było. Jeżeli chcecie mnie sobie w takiej postaci wyobrażać, proszę bardzo, będzie mi miło… Mniejsza o to! Kiedy się nam spieszy, po prostu przeskakujemy zbędną przestrzeń jednym krokiem. Z przejściami przez czas sprawa jest bardziej skomplikowana, ale nie pora teraz na wyjaśnienia! Rozejrzałem się jeszcze za Zaleszczukiem. Był na swoim miejscu przy przeciwległym narożu, otoczony jakby rojem robaczków świętojańskich, tylko że świecących za dnia. Na mój znak rozgarnął je delikatnie i dołączył do nas.

Leokadia stała na swoim murze, po drugiej stronie ulicy Sowińskiego, zła jak osa, ale z wrażenia najwyraźniej zapomniała języka w gębie, co jej się dotąd raczej rzadko zdarzało.

Duchowi Maciocha towarzyszyła żywa, młoda kobieta o dość pospolitej urodzie, ubrana z lumpenproletariacką elegancją ze szmateksu. Szła wpatrzona w trzymany w obu dłoniach plik kart tarota, które przekładała z zapałem, acz bez wielkiej wprawy. Widziałem tę osobniczkę pierwszy raz, ale objawienie przyszło natychmiast. Jesika Anna Paprotkiewicz. Rodzice naoglądali się *Dynastii*, stąd pierwsze, jakże światowe imię, drugie wymusił podczas chrztu zbulwersowany ksiądz proboszcz. Panna, lat dwadzieścia osiem, czyli już kandydatka na polską Bridget Jones. Z zawodu początkująca wróżka internetowa, używająca pseudonimu, za przeproszeniem Naczelnego, Epifania, udzielająca się tylko w sieci i esemesowo z powodu zbyt młodego wieku oraz nieprofesjonalnego wyglądu, na który musiała jeszcze poczekać, choć nie aż tak długo, jak się jej zdawało. Wykształcenie niepełne licealne, niedopuszczona do matury, wszelako resztki niespełnionych ambicji oraz fakt, że z mężczyznami się jej nie układało, popchnęły ją w kierunku wiedzy tajemnej…

Nieszczęsna idiotka, mówiąc krótko. Natomiast kolega Macioch najwyraźniej awansował ostatnio na osobistego diabełka-kusicielka. Tak mu się przynajmniej zdawało. Myśli naiwniak, że go do nowej bandy przyjęli. Potępieńcy nigdy nie stają się upadłymi aniołami, jakbyście chcieli wiedzieć. Czasem, owszem, są mamieni, że niby właśnie dopuszczono ich do demonicznej komitywy, ale to tylko zmyłka, część zabawy ich kosztem. Gdy się już wykażą i dadzą z siebie wszystko, w nagrodę zamiast szacunku nowych kumpli, z wielkim śmiechem dostają wielkiego, jakże niesprawiedliwego kopa, a poskarżyć się, że umowy nie dotrzymali, już nie ma komu… Tak to bywa, kiedy się składa CV i podanie o pracę do niewłaściwej korporacji. Klimaszewska i Piekarka stanowią w tym układzie przypadek szczególny, dlatego właśnie jest z nimi aż taki kłopot.

Macioch we własnym wyobrażeniu odstawił się na przystojniaka à la James Bond. Wzrostu dołożył sobie o głowę więcej niż za życia, do tego orli nos, seksowne brwi i szedł niczym dumny absztyfikant naszej tarocistki. Kolesie z Dołu dali mu do zrozumienia, że jeżeli się postara, panna Jesika zacznie go widzieć, a może nawet będą się mogli trochę podotykać… Hm, ten stopień zażyłości nie był wykluczony, ale wtedy to już z całą pewnością kto inny zajmie miejsce małego cwaniaczka Maciocha, który zamiast na dziewiczym łonie, skończy jak na ostatniej melinie, tyle że tym razem flaki będą mu wypruwać na żywca. Tylko nie myślcie, że Jesika jest dziewicą, tak po prostu mi się poetycznie powiedziało.

Na razie jednak Macioch robił swoje przy pannie wróżce, która mówiła mu per „Arielu”, bo wymyśliła sobie, że to anioł. Owszem, czuła jego obecność, a ściślej mówiąc „dobre wibracje”… Ręce i pióra opadają! Doprawdy, nawet jeśli się jest aniołem, trudno pojąć, czemu ludzie mają aż tak narąbane w tych głowach. Skoro chcecie, żeby przysłano do was

prawdziwego anioła, to załatwcie to sobie z Naczelnym. Sposoby są ogólnie znane od tysięcy lat. Żaden z nas bez delegacji z Góry do nikogo żyjącego się nie zbliży. Zaczniecie kombinować po swojemu, bezstresowo i na skróty, to podejdzie taki Macioch i koniec końców zafunduje wam wibracje lepsze niż krzesło elektryczne, no, może niezbyt pozytywne, ale za to z dużą amplitudą i zasmażką.

Pytanie, czego ta para szukała na Cmentarzu Wolskim? Objawienie nie przyszło, więc trzeba było się orientować na bieżąco. Wróżka, tfu, tfu, Epifania używała w tej chwili mniejszych arkanów tarota, w najprostszym rozkładzie na trzy karty, którym w myśli nadała znaczenia: Prawo, Przód, Lewo. Tam, gdzie wypadło jej więcej monet, kielichów, mieczy lub buław, tam się kierowała i tyle kroków robiła, ile wynosiła liczba na karcie. Normalnie, stosując taką metodę nawigacji, powinna była snuć się po przylegającym do cmentarza parku chaotycznym zygzakiem, dokładnie jak ziarno pyłu podlegające ruchom Browna. Istota działania tarota polega na wprowadzeniu przypadkowości w miejsce wolnej woli. Równie dobrze można każdy życiowy wybór uzależnić od rzutu monetą, będzie mniej bajerancko, ale wyjdzie dokładnie na to samo – pozbywasz się wolnej woli i zdajesz na zdarzenia losowe. Wtedy ktoś może ci ten przypadek zręcznie zaaranżować i na pewno, możecie mi wierzyć, tym kimś nie będzie anioł Pański. W tym przypadku potępiony duch prosto jak po sznurku prowadził pannę Jesikę do oniemiałej z wrażenia Leokadii.

Zawsze do tej pory kolega Macioch dostawał po gębie ognistymi paznokciami Ośki i tyle go było. Wracał, gdy zapomniał o bólu, i historia się powtarzała. Dla mnie nudy na pudy, ale Leokadia strzegła swojego terenu z całą powagą. Teraz jednak nic nie mogła mu zrobić, gdyż potępionego złodziejaszka chroniła wola durnej wróżki, która przywlokła go tutaj ze sobą. Nie możemy działać wbrew wolnej woli osób żyjących,

skoro więc panna Jesika życzyła sobie, aby on jej towarzyszył, Ośka nie mogła piekielnego pętaka pogonić w diabły.

Naprawdę szkoda, że Jesika nie widziała tego, co my widzieliśmy. Talia tarota, w jej mniemaniu złożona w ciasny plik, faktycznie wiła się wokół niej w czwartym wymiarze niczym wstęga gimnastyczki. Macioch, zezując co chwila na Ośkę, śmigał wśród kart, ustawiając ich kolejność i kierując swą towarzyszkę ku coraz bardziej wkurzonej anielicy. Jesika natomiast była przekonana, że idzie na spotkanie z wysokiej rangi aniołem, który stanie się jej nowym duchem opiekuńczym i załatwi lepiej sprawdzające się wróżby, czyli pomoże zarabiać więcej kasy – idealna piekielna półprawda. Panna Paprotkiewiczówna wywróżyła ją sobie wczoraj wieczorem. Jednak już zupełnie nie wiem, jak mogła sobie uroić, że ot tak, może przyjść na cmentarz i zabrać stamtąd do domu aniołka jak zbłąkanego kotka czy pieska. Głupota ludzka oglądana z zaświatowej z perspektywy po prostu nie ma dna.

Rzeczywiście Leokadię ktoś wystawiał… Tylko kto, komu i po co?

Naczelny milczał.

My staliśmy i patrzyliśmy, nie wiedząc, co robić.

Na dobrą sprawę nic nie należało czynić. Niechby sobie panna Jesika podeszła do stóp Leokadii i pogadała do pustego dla jej oczu powietrza nad krawędzią muru. Potem by sobie poszła i tyle. Nikt by nam nic nie zrobił, dopóki staliśmy na poświęconej ziemi – szczyt muru znajdował się jeszcze w jej obrębie. Teren cmentarza był obszarem wspólnym dla nieba, limbo, i ziemi. Jeśli demony wpadały tu po jakiegoś potępieńca, to tylko na chwilę, i musiały dostać na to specjalne pozwolenie, inaczej miałyby do czynienia z Leokadią lub kimś jej pokroju. Cała nasza czwórka przypisana była w pierwszej kolejności do nieba i ta przynależność decydowała, gdy znajdowaliśmy się w obszarze wspólnym świata i zaświatów.

Natomiast sama ulica Sowińskiego oraz park wzdłuż Wolskiej to było już wyłącznie doczesne, ziemskie *profanum*. Owszem, mogliśmy tam bywać i działać, nie było żadnych przeszkód, tylko jeden, jedyny kruczek formalny…

Przeskoczyłem nad ulicą Sowińskiego i stanąłem na murze obok Leokadii. Ten manewr też jeszcze nie wymagał opuszczania nieba.

– Ośka odpuść, nie ma co się przejmować – zacząłem tłumaczyć. – Zignoruj to.

Była strasznie wkurzona bezczelnością Maciocha i chciała mu dać porządną nauczkę, przede wszystkim za kuszenie nieświadomej niczego dziewczyny, więc w sumie w dobrej intencji, ale koniec końców posłuchałaby mnie. Z jednej strony i tak na razie nic nie mogła zrobić, a z drugiej wiedziała, że ja tu jestem od dobrych rad.

Jednak Macioch w tym momencie spanikował. Za życia i po śmierci był i pozostał tylko małym dupkiem. Zadzieranie ze znacznie silniejszymi istotami nie leżało w jego naturze. Ktoś go nakłonił, żeby sprowokował Leokadię, a teraz nagle przestał przymuszać, więc Macioch zrejterował bez zwłoki, jednocześnie rezygnując z parasola ochronnego, który roztaczała nad nim zmanipulowana wola Jesiki.

Ośka wydała triumfalny okrzyk i rzuciła się w pogoń za potępieńcem. Dopadła go na środku parkowej alejki, dokładnie naprzeciw pomnika Polegli Niepokonani. Dalej było jak na alegorycznych obrazach przedstawiających walkę dobra ze złem. Co prawda bez łopoczących patetycznie skrzydeł, lśniących pancerzy i ognistych mieczy, a zdecydowanie bardziej po babsku, ale tak skutecznie, że Macioch zakwiczał jak drutowana świnia.

– Kuszenia ci się zachciało, macochu jeden?! – rozwrzeszczała się Ośka. – Ja ci dam pokuszenie! Masz! Masz! Masz! – zaczęła go praktycznie

obdzierać ze skóry. Aż zadymiły szramy od jej paznokci.

Cóż było robić? W pierwszej chwili zareagowaliśmy zgodnie z ludzką naturą i wszyscy pobiegliśmy patrzeć na budujący widok dobra triumfującego nad złem. Jan Seweryn oczywiście przodem, żeby w razie czego zapewnić Leokadii wsparcie husarii. Ja za nim, natomiast Zaleszczuk nagle się zawahał, przystanął, po czym skręcił w bok i wszedł na teren cmentarza Powstańców Warszawy. Tam nie było muru, ale ziemia też poświęcona. Sławek dostał osobiste objawienie, żeby wracać do limbo, bo coś się tam będzie działo. Ja najwyraźniej jeszcze nie wyszedłem z nirwany, bo kojarzyłem zbyt wolno. Trzeba już było łapać Ośkę za fraki i wlec ją w te pędy w bezpieczne miejsce!

Nie zdążyłem. Zdołałem tylko przekazać ostrzeżenie Janowi Sewerynowi, który zdezorientowany zatrzymał się pośrodku ulicy Sowińskiego, czekając na własne objawienie. Wróżka Epifania dreptała w kółko z głupią miną, bo nagle jej wróżby kierunkowe przestały wychodzić jednoznacznie.

Słońce stało się czarne.

Niebo zapłonęło jadowitym fioletem i pękło na ćwierci, rozdarte przez oślepiająco niebieski błysk, jakby doszło do zwarcia we wszystkich elektrowniach świata albo raczej wybuchł kwazar. Porównywać to zjawisko do pioruna z jasnego nieba byłoby niepoważne. Raczej zostaliśmy potraktowani kosmiczną spawarką.

Fala uderzeniowa runęła przez przestrzeń oraz czas, tłamsząc i zwijając w precle wszystkie wymiary na swojej drodze. Na ziemi objawiła się jako nagły poryw wiatru i kurzawy. Dla nas to była lokalna apokalipsa.

Zmiotło mnie jak pyłek i poleciałem w przeszłość. Tyle zdołałem zauważyć, koziołkując bezwładnie w czasoprzestrzeni. Nie wiedziałem,

co się stało z innymi, poza tym, że to Leokadia była głównym celem egzorcyzmu.

Tak, to był egzorcyzm rzucony na legalne anioły. Wyklęto nas i odegnano precz, używając mocy samego Ducha Świętego…

Straciłem przytomność, zanim zdołałem cokolwiek z tego zrozumieć.

Tylko Naczelny wie, dokąd bym zaleciał w tym stanie, na szczęście towarzysz Zaleszczuk kolejny raz okazał się porządnym komuchem i złapał mnie, starając się wciągnąć do siebie w limbo. Pomagając mi, sam wychylił się z bezpiecznego obszaru i też oberwał. Porwało go razem ze mną, ale dzięki niemu polecieliśmy we wspólną przeszłość, a nie w labirynt czasoprzestrzeni alternatywnych.

W przypadku anioła utrata przytomności nie polega na szybkim odlocie w ciemność, jak to jest u ludzi, ale utracie zdolności intelektualnych i biernej percepcji bodźców. Taki antyprzepływ. Jeśli koniecznie chcecie wiedzieć, co wtedy czułem, to wyobraźcie sobie naćpanego LSD schizofrenika oglądającego finał *Odysei kosmicznej 2001*. Z tym że na koniec zamiast dziecka zobaczyłem kolorowe, bikiniarskie skarpetki towarzysza Zaleszczuka…

Leżałem brzuchem na żwirowej alejce cmentarza Powstańców Warszawy, mocno w ów żwir wprasowany. Miałem wrażenie, że po plecach jedzie mi pociąg towarowy wyładowany dorobkiem robotniczego trudu kopalń i hut, a skarpetki Zaleszczuka miałem dokładnie przed oczami.

O tym szczególe jego garderoby jeszcze nie wspominałem, prawda? Zaleszczuk nosił je na złość towarzyszom z komitetu wojewódzkiego, by zaprotestować przeciw polityce informacyjnej w sprawie Katynia. Oczywiście, że towarzysz Sławomir zgodnie z linią Partii i na bazie nieśmiertelnego sojuszu z ZSRR niezachwianie wierzył, że była to zbrodnia niemiecka, ale również zauważał fakt, że nieuświadomione społeczeństwo

ni cholery w to nie wierzy i w 1961 roku, podczas narady partyjnej na szczeblu warszawskiego komitetu wojewódzkiego, w dobrej wierze, zgłosił nieuzgodniony z nikim postulat przeprowadzenia szerokiej kampanii uświadamiającej, która ostatecznie rozwieje wszelkie wątpliwości społeczeństwa stolicy i narodu w tej kwestii. Pomijając zbędne szczegóły, wniosek przepadł, nawet go nie odnotowano w protokole obrad, a w kuluarach nieodpowiedzialnemu warchołowi polecono wprost, żeby „zamknął mordę". Wtedy Zaleszczuk poczuł się naprawdę dotknięty politycznie krótkowzrocznym zachowaniem towarzyszy „z województwa" i na złość im zaczął nosić pasiaste skarpety w krzykliwych kolorach. Tak oto na swój sposób, jak umiał i potrafił, dał świadectwo prawdzie, Naczelny, nie będąc małostkowym, to docenił, a ja, obecnie kontemplując ów politycznie niepoprawny szczegół peerelowskiej mody męskiej, wychodziłem z szoku.

Zaleszczuk stał tuż przed moją głową, plecami do mnie, ja natomiast ze wzrokiem utkwionym w jego skarpety powoli zaczynałem odzyskiwać jasność umysłu oraz trybić, gdzie jestem i co się stało.

Cofnęliśmy się w czasie do miejsca, w którym Zaleszczuk pierwszy raz pokazał mi, jak wygląda cmentarz Powstańców Warszawy na jego poziomie percepcji. Pytanie o konkretną ziemską datę byłoby bez sensu, my tu w niebie mamy czas relacyjny, który nie płynie, lecz sprowadza się do odległości zdarzeń od siebie, więc postrzega się go jako dodatkowy wymiar przestrzeni. Wrażenie upływu czasu nie jest już obligatoryjne, lecz czysto subiektywne, sprowadza się do indywidualnych zaszłości i upodobań. Ale nie odbiegajmy od tematu!

Melancholijnie senny na poziomie doczesności cmentarz Powstańców Warszawy, w limbo huczy niczym szkolne boisko podczas długiej przerwy. Rozbrykane dziecięce dusze wprost szaleją. Trwa jedna wielka,

niekończąca się zabawa w berka, chowanego, ciuciubabkę, zbijaka, zośkę i w co tam jeszcze w latach czterdziestych XX wieku dzieciaki zwykły się bawić. Od wrzawy i hałasu własnych myśli usłyszeć nie sposób, głowa pęka po minucie, ale towarzysz Zaleszczuk tu jest najszczęśliwszy. Oprócz pogadanek politycznych organizuje gry zespołowe, pląsy, korowody i inne zajęcia ruchowe na świeżym powietrzu, wzmacniające więzi kolektywne, a przy tym cały czas zachodzi w głowę, do kogo by tu złożyć wniosek o doposażenie tego placu zabaw w huśtawki, drabinki i karuzele…

Rzecz jasna, te dzieci nie wiedzą, że umarły. Kiedy prowadzono je na rozstrzelanie, rodzice do ostatniej chwili starali się uchronić je przed koszmarem. Coś tam uspokajającego im opowiadano, zasłaniano oczy, no a potem doszły zwykły szok i wyparcie. Część oczywiście zginęła z pełną tego świadomością i tymi zajęły się od razu anioły z wyższych pięter nieba. Zdecydowana większość jednak wciąż tkwi w limbo. Czasem któremuś coś się przypomni, nagle siada z boku, zaczyna chlipać i wtedy Zaleszczuk ze swoim podejściem do dzieci przydaje się najbardziej. Pociesza, uspokaja, znów zachęca do zabawy, ale jeśli przebudzenie jest głębsze, wzywa do pomocy kogoś kompetentniejszego.

Wtedy to ja miałem wystąpić w roli specjalisty wyższej rangi. Zaleszczuk odkrył na terenie cmentarza inkluzję czasoprzestrzenną, w której utkwiła dusza jakiegoś dziecka. Miałem mu pomóc ją stamtąd wydostać. Nie dałem rady, mówiąc krótko.

Teraz znów znaleźliśmy się w tym zdarzeniu, przy grobie porucznika rezerwy Mariana Pukackiego, poległego podczas obrony Warszawy we wrześniu 1939 roku. Ta mogiła jest blisko wewnętrznego narożnika cmentarza Powstańców i wygląda nietypowo. Stoi na niej prostopadłościenny obelisk, wysokości jakiegoś półtora metra, na którego szczycie leżą, bardzo realistycznie wykute z piaskowca, hełm oraz pas

wojskowy z ładownicami i raportówką, jakby odłożone na półkę. To jeden z bardziej wysmakowanych artystycznie nagrobków, jakie kiedykolwiek widziałem.

Inkluzja czasoprzestrzenna znajdowała się pomiędzy tym pomnikiem a murem Cmentarza Wolskiego. Przypominała duży pajęczy kokon przyczepiony do obelisku. Wewnątrz, widoczna jakby przez mleczną szybę, siedziała nieruchomo dziewczynka, w wieku około dziesięciu lat. Na prośbę Zaleszczuka próbowałem rozgiąć warstwy ciasno zapętlonej, wręcz zbitej czasoprzestrzeni, ale Naczelny nie pomógł i nic z tego nie wyszło. Dusza dziewczynki utknęła tam na dobre, jakby pod gruzami czasu. Szczęście w nieszczęściu, sam czas w inkluzji także trwał w bezruchu, więc ta mała nie odczuwała jego upływu.

Różnica między oryginalnym zdarzeniem a jego dzisiejszą powtórką polegała na tym, że w tamtej chwili stałem za Zaleszczukiem, patrząc mu przez ramię, a teraz leżałem za nim na brzuchu. Przypomniałem sobie jednak, że wówczas wyczułem w tym miejscu drobny uskok czasoprzestrzeni. Wtedy nie miało to znaczenia, ale teraz zrozumiałem, że kiedy wstanę i przybiorę poprzednią pozycję, linie czasu znów się połączą, tworząc fragment alternatywnej spirali, z której bez trudu zdołam wydostać siebie i Zaleszczuka. Nie zamknęło nas w kolejnej inkluzji – to była dobra wiadomość.

Natomiast ta zła na początku zupełnie nie mieściła się w głowie. Naczelny nas pokarał… Za co? To przecież nie było możliwe! Swoje anioły?! A jednak…

Jednak nie! Objawienie wyjaśniające przyszło nasycone współczuciem. Byliśmy aniołami wprawdzie mocno poturbowanymi, ale absolutnie nie upadłymi. Jakiś duchowny perfidnie wykorzystał kruczek formalny, pozwalający rzucić egzorcyzm na anioła. Naczelny, za pośrednictwem

ewangelisty Mateusza, mówi: „Cokolwiek byście związali na ziemi, będzie zawiązane i w niebie, i cokolwiek byście rozwiązali na ziemi, będzie rozwiązane w niebie”.

W chwili gdy nas rąbnęło, znajdowaliśmy się na ziemi, podstępnie wywabiono nas z nieba. Zaatakował nas duchowny mający legalne święcenia kapłańskie, a więc uprawniony do dysponowania mocą Ducha Świętego. Skurczybyk skorzystał z niej dokładnie w taki sam sposób, jak defraudant z powierzonych mu numerów kont lub policjant, który dostaje pozwolenie na broń, po czym zamiast bronić prawa i porządku, idzie z pistoletem załatwić prywatne porachunki.

Naczelny nie mógł nic zrobić, dał Słowo i miał związane ręce. Ewangelię się rzekło, kobyłka u płota. Zatem musiał nam przyłożyć, skoro tego od niego zażądano, powołując się na warunki Kontraktu. Człowiek obdarzony zaufaniem i prawem dysponowania boską mocą z rozmysłem wystrychnął Naczelnego na dudka. Podejrzewam, że Szef czuł się teraz gorzej niż my czworo razem wzięci.

Owszem, ten kto nam to zrobił, popełnił cyniczne bluźnierstwo i miał już definitywnie przechlapane. Rozgrzeszenie nie wchodziło w grę. Żaden kolega po fachu mu tego w konfesjonał nie odpuka, choćby walił młotem pneumatycznym, bowiem ten medal ma jeszcze drugą stronę, o której mówi z kolei ewangelista Łukasz: „Kto by bluźnił przeciw Duchowi Świętemu, temu nie będzie odpuszczone”. Odpowiedzialność duchownych jest proporcjonalna do ich prerogatyw. Jedno sprzeniewierzenie się ewangelii i koniec. Żartów nie ma. Dziwne, że większość z nich nie przyjmuje tego do wiadomości…

Zatem, proszę osób wielebnych, egzorcyzmować anioły możecie, proszę bardzo! Tylko z tym jest dokładnie jak z grzybami – wszystkie są jadalne, ale niektóre jedynie raz w życiu. Zawieść powołanie oraz zaufanie

Naczelnego i skorumpować moc Ducha Świętego możecie na tej samej zasadzie – raz w życiu wiecznym. Niektórym z was się wydaje, że skoro włożyli sutanny i habity, to im już dokładnie wszystko wolno, że są jak pan Nietzsche ponad dobrem i złem. Kiedyś się przekonają, jak bardzo oszukali samych siebie.

Cóż, to jednak będzie kiedyś. Niezawodnie, ale nie teraz. Na razie i konkretnie to ja, anioł Naczelnego, leżałem jak rozjechana żaba, ze żwirem z cmentarnej alejki zgrzytającym w zębach i martwiłem się o przyjaciół. Zwłaszcza o Leokadię, która przecież musiała oberwać najmocniej…

Pozbierawszy się wreszcie, wstałem i wszedłem w minione zdarzenie, łącząc zerwane linie czasu. Zaleszczuk był zdezorientowany tą nagłą bilokacją. Jak zwykle, kiedy działo się coś, czego nie rozumiał lub co przeczyło jego światopoglądowi, zatykało mu się percepcyjne sitko i popadał w lekki stupor – efekt uboczny „napełnienia na swoją miarę”, która, jak mówiłem, nie była u niego zbyt wielka, ale nie ma się o co czepiać. Ja też nie wiem, czego nie wiem. Każdy z nas z punktu widzenia Naczelnego jest tylko naparstkiem z meniskiem wypukłym, po którym ścieka nadmiar łaski.

To było teraz nieważne. Grunt, że nie musiałem błądzić po omacku w labiryncie czasoprzestrzeni! Złapałem Zaleszczuka za łokieć i wystrzeliliśmy prosto jak świeca w przyszłość, ku powierzchni teraźniejszości.

Dni i noce zamigotały wokół nas jak lampa stroboskopowa.

IV. Oblicza demonów

Wróciliśmy do momentu tuż po bluźnierczym egzorcyzmie. Miejsce w przestrzeni było wciąż to samo – grób porucznika Pukackiego, tylko inkluzja czasoprzestrzenna właśnie się otworzyła.

Dziewczynka, do której wcześniej próbowaliśmy z Zaleszczukiem bezskutecznie się dostać, była już wolna, choć się nie ruszała. Siedziała wciąż w tej samej pozycji, oparta plecami o nagrobny obelisk, dokładnie pod reliefem przedstawiającym bagnet, i wpatrywała się nieruchomo w cmentarny mur. Miała gładko zaczesane do tyłu płowe włosy, ubrana była w szarą perkalową sukieneczkę w zieloną kratę i wytarte letnie pantofelki. Z pewnością nie pochodziła z wyżyn społecznych.

– Tina-titina… tina-titina… tina-titina… – powtarzała bez końca. – Tina titina…

Zaleszczuk zbystrzał. Ukucnął i wziął małą za rękę, biernie poddała się dotykowi.

– Jak masz na imię, malutka? – zagadnął łagodnie.

– Tina-titina…

– Wiem, że się boisz i jesteś troszkę zdenerwowana, ale to nic, wszystko już będzie dobrze, jesteś bezpieczna. Swoje prawdziwe imię też sobie przypomnisz, a do tej pory będę nazywać cię Tina, dobrze? Teraz wstań… – delikatnie pociągnął ją za rękę.

Podniosła się posłusznie, chociaż wciąż zupełnie nieobecna, po czym spojrzała na nas niewidzącym wzrokiem.

Zamarłem. Jej oczy nie miały białek ani tęczówek. Były całkowicie czarne i czaiła się w nich bezdenna otchłań.

– Uważaj, Sławek! – przestrzegłem szybko. – To demon!

On oczywiście zbagatelizował informację sprzeczną z jego materialistycznym światopoglądem.

– To jest dziecko w stanie szoku po ciężkich przejściach – oświadczył stanowczo z przyganą w głosie. – Należy okazać mu dużo serca.

Już wiedziałem, jakie to były przejścia. Tę małą rozstrzelano 4 sierpnia 1944 roku, ale nie zginęła od razu. Ciężko ranna, ale przytomna spłonęła żywcem na stosie trupów przy ulicy Płockiej. Tak jak w przypadku Piekarki i Klimaszewskiej cierpienie było zbyt wielkie, zbyt niesprawiedliwe i zbyt niepojęte. Jej ostatnią świadomą myślą było: „NIENAWIDZĘ WAS!!!”. Wybuch rozpaczliwej dziecięcej histerii, którą ból oparzeń spotęgował do stanów demonicznych i utrwalił w tej postaci. Odepchnęła od siebie wszystkich i wszystko, nawet współczucie Naczelnego, wypierając przy tym również własne uczucia i zamykając się w enklawie szoku, wokół której owinęły się przestrzeń i czas, tworząc inkluzję pierwotnie połączoną luźno z jej szczątkami. Po przeniesieniu popiołu na ten cmentarz, podczas pogrzebu inkluzja się oderwała i przypadkiem przylgnęła do tego obelisku.

Tina była demonem autystycznym. W zasadzie nieszkodliwym, dopóki nie nawiąże kontaktu z otoczeniem, ale właśnie zrobiła duży krok w tym kierunku. Nie przypadkiem inkluzja czasoprzestrzenna nie dawała się wcześniej rozwinąć – mądrość Naczelnego. Z jednej strony brak upływu czasu chronił tę dziewczynkę przed dalszym cierpieniem, z drugiej świat doczesny był chroniony przed jej ślepą zemstą. Uwolnienie Tiny było zamierzonym skutkiem przeprowadzonego na nas czarnego egzorcyzmu. Kiedy rozpędza się anioły, demony zyskują nowe możliwości. Pytanie, jakie jeszcze szkody spowodował ten atak?

Zostawiłem na razie Zaleszczuka z jego nową podopieczną i ruszyłem sprawdzić, co z pozostałymi. Jana Seweryna nie musiałem długo szukać. Jako twardy realista zdołał utrzymać się w linii subiektywnego czasu, którą podzielał z nami, czyli pozostał w naszej wspólnej płaszczyźnie teraźniejszości. Odrzuciło go tylko w przestrzeni, sto pięćdziesiąt metrów od epicentrum egzorcyzmu. Innymi słowy, zleciał na zbity łeb ze skarpy przy ulicy Sowińskiego i wpadł w sam środek jeziorka przy cmentarzu Powstańców. Teraz usiłował wydźwignąć się z wody i stanąć na jej powierzchni, ale ponieważ egzorcyzm znacznie go osłabił, nijak mu to nie wychodziło, więc po trzeciej nieudanej próbie postanowił konwencjonalnie dopłynąć do brzegu. Umiał pływać i to całkiem dobrze jak na anioła. O Jana Seweryna zatem nie musiałem się martwić.

Jesika Paprotkiewicz też sobie radziła. Jej tylko pył zaprószył oczy. Teraz siedziała na parkowej ławeczce i za pomocą lusterka, rąbkiem chusteczki wyjmowała kolejne paprochy spod powiek. Z jej punktu widzenia miała tu miejsce nagła, krótkotrwała wichura. Nic innego nie zauważyła i nadal nie widziała. Talię tarota zdążyła bezpiecznie ukryć w torebce. Pożałowałem, że nie mam zdolności telekinetycznych, bo najchętniej kopnąłbym teraz tę dziewuchę w tyłek!

Józefa Maciocha mieliśmy z głowy na dobre. Rozsmarowało go na cmentarnym murze niczym zgniły kartofel. Na pierwszy rzut oka widać było różnicę naszego statusu metafizycznego. My, owszem, oberwaliśmy, ale właśnie dochodziliśmy do siebie. On stał się ciemną plamą, niezdolną wrócić do ludzkiego kształtu; myślącym i czującym rozbryzgiem brudu, który kiedyś przyjdą zeskrobać… Dobra, dostał za swoje, nie ma o czym gadać.

Gdzie jest Leokadia?!

Nigdzie na poziomie naszej teraźniejszości nie było jej widać. Podszedłem do epicentrum czarnego egzorcyzmu, znajdującego się dokładnie naprzeciw tablicy pamiątkowej ku czci harcerzy Szarych Szeregów. Na pierwszy rzut oka przypominało to lej po wybuchu ciężkiej bomby, tyle że bez dna. Zajrzawszy w głąb, zobaczyłem wyrwę w strukturze czasoprzestrzeni. Naczelny nie pożałował ręki. Nikt nie mógł powiedzieć, że nierzetelnie wywiązał się ze zobowiązania na Piśmie, mimo że przewrotnie i bluźnierczo wystawiono Go na próbę. Spowodowana przez egzorcyzm anomalia przebiła Ziemię na wylot, w głębi widać było gwiazdy centrum Galaktyki. Tam, gdzie powinno być dno, uformowała się ssąca robacza dziura, w którą osuwały się po spiralnych torach strzępy naszej rzeczywistości, a wśród nich nieprzytomna Leokadia, wyglądająca z tej perspektywy jak mała, odległa, bezwładna laleczka. Przebyła już ponad połowę drogi do miejsca, z którego zostanie rzucona na chybił trafił w głęboki kosmos. W tych warunkach, nie czując obecności niczego bliskiego i znajomego, Ośka nie odzyska przytomności jeszcze bardzo długo. Czekały ją, lekko licząc, miliony lat bezradnego, lunatycznego błądzenia w pustce. Anioł Pański, zwłaszcza cherubin, choćby nawet pyskaty, stanowczo na taki los nie zasługiwał!

Musiałem po nią iść i przydałaby mi się asekuracja. Obejrzałem się. Zaleszczuk był daleko i nie mógł zostawić Tiny-titiny, którą właśnie wyprowadzał z cmentarza. Szli w moją stronę, ale nie miałem czasu na nich czekać. Jan Seweryn wygramolił się już na brzeg jeziorka, jednak osłabł bardziej, niż się wydawało. Musiał jeszcze trochę odpocząć, by zebrać siły.

Skoczyłem w głąb anomalii. W moim subiektywnym odczuciu przypominała bagno, a raczej wir w bagnie, śliski, gęsty i wciągający nieubłaganie. Wymiary czasu i przestrzeni kręciły się w nim i przenikały się zupełnie chaotycznie. Starałem się zaprowadzać w nich jaki taki porządek,

żeby zyskać odpowiednik gruntu pod nogami. Na szczęście mam wielowymiarową wyobraźnię przestrzenną, kto inny by się tu całkiem pogubił.

Do Leokadii dotarłem szybko, ześlizgując się po krawędziach stożków światła i unikając zaplątania w linie świata. Było tak, jakbym poruszał się we śnie majaczącego w malignie Alberta Einsteina lub Alicji z Krainy Czarów, ale może już lepiej daruję sobie werbalizacje. Ważne, że złapałem Ośkę i zacząłem wlec ją z powrotem do obszaru, gdzie pojęcia góra-dół oraz wcześniej-później coś znaczyły. Równie dobrze mógłbym iść pod prąd błotnej lawiny… Jeśli nam Naczelny nie pomoże, będzie z nami kiepsko.

Pomógł.

Czasoprzestrzenny bałagan zaczął poddawać się mojej woli na tyle, że mogłem znajdować w niej przewidywalne punkty oparcia. Nie pytajcie, jak długo to trwało, bo to pytanie nie będzie miało żadnego sensu. Czasem sekundy, czasem lata, które przemijały i powracały równie szybko… Wreszcie trafiłem na coś naprawę solidnego – rękę Jana Seweryna klęczącego na krawędzi anomalii. Przyciągnął mnie do siebie, po czym wspólnymi siłami wydostaliśmy Leokadię.

Było z nią źle. Głęboka utrata przytomności to pół biedy. Znów krwawiła z ran po bagnetach. Jej suknię na brzuchu, lewym boku i plecach znaczyły cztery czerwone plamy, które rosły w oczach. Ośka ponownie przeżywała swoją śmierć. Jakby tygodnia konania na zapalenie otrzewnej było mało! Byłem aniołem, ale wściekłem się zupełnie po ludzku! Wiem, że Naczelny tego nie chciał i z pewnością obróci to cierpienie w większe dobro, ale nieanielska część mojej natury domagała się, by natychmiast dorwać tego świętoszkowatego sukinsyna, który nadużył obietnic Naczelnego! Obiecano mi sprawiedliwość, ale nie teraz.

Teraz bowiem zanosiło się na coś o wiele gorszego niż wszystko, co wydarzyło się do tej pory…

Tknięty nowym objawieniem wstałem i popatrzyłem w kierunku ulicy Redutowej, tam, gdzie na drugim końcu parku stoi kościół mormonów z idiotycznym minaretem, przypominającym szpilkę wetkniętą w niebo. Ludzie mogą uwierzyć we wszystko, literalnie w każdą bzdurę wyssaną z dowolnego palca. Na swój użytek nazywam mormonizm „religią z tabloidu”, bo prawdy i sensu jest w niej dokładnie tyle samo, ile w przeciętnym artykule z brukowca, ale Naczelny nie jest małostkowy, więc jeżeli ktoś wierzy szczerze, bo tak go wychowano, On wielkodusznie przechodzi nad wszelkimi dogmatami, dogmacikami i dogmaciętami do porządku dziennego. Mniejsza o to!

Kościół mormonów minęły właśnie dwie kobiety, jedna znacznie przygarbiona, druga wyniośle wyprostowana. Skierowały się w naszą stronę, idąc spacerowym krokiem z drugiego końca alejki. Nie były jednak spacerowiczkami ani nawet nie były ludźmi…

Klimaszewska i Piekarka we własnych demonicznych osobach!

Jan Seweryn także je poznał i stanął obok mnie.

– A więc po to było to wszystko… – wycedził przez zęby. – Dlatego porażono niemocą pannę Leokadię!

Teraz dotarło do mnie, że bez Ośki, najpotężniejszej zaświatowej strażniczki tego miejsca, byliśmy praktycznie bezbronni. Demony mogły robić, co chciały.

A chciały Tinę-titinę! Po nią tutaj szły. Czarny egzorcyzm przeprowadzono w celu utorowania im drogi do dziecka, które zginęło tak jak one, niewinnie spalone żywcem, w poczuciu, że dobra nie ma. Jeżeli Klimaszewska, Piekarka i mała Tina połączą się w demoniczną trójcę, Szatan zatriumfuje. Na początek nad wolą życia tego miasta, które przy

najbliższej okazji zostanie obrócone w gruzy i już z nich nie wstanie. Potem diabeł będzie mógł dowieść, że przypadek Hioba był zupełnie nieistotnym wyjątkiem od prawdziwej reguły stanowiącej, że dostatecznie wielkie, niezawinione cierpienie jest silniejsze od każdej wiary. Po prostu Hiob został za mało doświadczony, a zatem dzieła Stworzenia i Zbawienia są nieudanym eksperymentem, który wymknął się Naczelnemu spod kontroli…

To, co zaczęło się cztery tysiące lat temu w ziemi Uz, zakład Boga i Szatana o wiarę Hioba, już za chwilę rozstrzygnie się ostatecznie w niepozornym, wolskim parku.

I co mogły poradzić na to cztery sponiewierane warszawskie anioły?

Leokadia jęknęła przeciągle i zwinęła się z bólu, przybierając pozycję embrionalną. Zwykła rzecz przy ciężkich urazach brzucha. Umrzeć oczywiście nie umrze, ale nieprędko dojdzie do siebie. Teraz w niczym nie mogła nam pomóc, za to sama potrzebowała naszej opieki.

– Nie oddamy im tego dziecka bez walki! – stwierdził marsowo Jan Seweryn, robiąc krok w kierunku nadchodzących demonów.

Ech, jakież to było polsko-husarskie! Walka dla samej walki… Czy naprawdę nikt tutaj nie potrafi nic innego, tylko ginąć z honorem? Nawet po śmierci.

– Zastanów się, czego właściwie chcemy! Nie oddać im tej małej czy sobie powalczyć? – zmitygowałem go. – No i czym będziesz z nimi walczył? Siłą i godnością osobistą, a może położysz się Rejtanem?

– Jeszcze z babami do czynienia nie miałem. – Jan Seweryn nie zrozumiał aluzji do zaszłości nie ze swojej epoki. – Choć to głupio i nie po rycersku, jednak skoro potrzeba…

– Spalą cię żywcem – ostrzegłem.

– Jak to? – obejrzał się na mnie zaniepokojony.

– Przekażą ci swoje wspomnienia i ból, sprawią, że poczujesz to, co czuły one. Wytrzymasz? Palono cię kiedyś żywcem? Jeśli nie, to lepiej nie zastępuj im drogi.

W tej chwili dotarł do nas Zaleszczuk z Tiną. Dziewczynka nadal pozwalała się bezwolnie prowadzić. Nie zwracała uwagi na nic i na nikogo.

– Te dwie obywatelki chcą przysposobić opiekuńczo to osierocone dziecko – Zaleszczuk ocenił sytuację na swój sposób. – Myślę jednak, że nasz kolektyw, po wnikliwym rozpatrzeniu ich wniosku, powinien załatwić go odmownie. W mojej ocenie obywatelka Klimaszewska i obywatelka Piekarka wykazują zbyt dużą niedojrzałość społeczną oraz daleko idący brak odpowiedzialności, aby można było spodziewać się, że zdołają sprostać wymogom socjalistycznego wychowania dzieci i młodzieży.

Nigdy jeszcze nie było tak tragicznie, żeby nie mogło być śmiesznie! Te klimaty, proszę ja was, to tylko w Warszawie! Dlatego właśnie kocham to miasto nawet po śmierci.

Teraz dla odmiany Jan Seweryn przejawił głęboką selekcję percepcji.

– Podobno jesteś Aniołem Dobrej Rady – zwrócił się do mnie zirytowany. – To może doradź nam, co mamy teraz robić?

– Zwiewać stąd! – oznajmiłem bez wahania.

Jan Seweryn wziął na ręce zakrwawioną Leokadię i popatrzył na mnie pytająco.

– Tam! – pokazałem na bramę mojej części cmentarza.

Okazało się, że nie możemy przebyć tej przestrzeni jednym skokiem, bo Tina-titina działała na nas jak kotwica. Musieliśmy iść jak ludzie, w jej tempie, w żadnym wypadku nie poganiając małej, bo by się to źle skończyło.

Zbliżające się demonice nie zareagowały na naszą ucieczkę. Nadal przemierzały alejkę spacerowym krokiem. Musiały być pewne, że daleko

im nie uciekniemy. Szczerze mówiąc, byłem tego samego zdania. Mogliśmy przed Klimaszewską i Piekarką uciekać wszędzie, choćby w Światłość, ale nie razem z Tiną. Jeżeli nie chcemy poczuć, jak to jest, kiedy umiera się w żywym ogniu, lepiej było im tę małą zostawić… Tak szczerze, to w chwili obecnej improwizowałem, pewnością siebie nadrabiając brak objawienia.

– Schronimy się w Domu Bożym? – dopytywał się Jan Seweryn.

– Z tą małą do żadnego kościoła nie wejdziemy – odparłem. – Będzie się opierać, a jeśli spróbujemy ją zmusić, to się przebudzi…

– Ja jako integralny marksista-socjalista nie życzę sobie przebywać w pomieszczeniach, w których praktykowane są średniowieczne zabobony! – oświadczył z godnością towarzysz Zaleszczuk. – To byłaby dwulicowość sprzeczna z moim postępowo-materialistycznym systemem wartości!

W normalnych warunkach spróbowałbym go wziąć na dialektykę, ale obecne okoliczności obiektywne były, że tak powiem, nadmiernie idealistyczne i to chwilowo stanowiło sprzeczność nieprzezwyciężalną dialektycznie. Taki dyskretny urok marksizmu, jakby się kto pytał.

Gdy weszliśmy na teren cmentarza, Tina zaczęła iść na czubkach palców, starając się jak najmniej dotykać poświęconej ziemi. Niedobrze. Wciąż jednak pozwalała się Zaleszczukowi prowadzić bez oporu i miała nieobecny wzrok.

Zaprowadziłem ich do mojego grobu. Innych pomysłów nie miałem poza tym, żeby zrobić to, co umiałem najlepiej…

– Wchodźcie tu wszyscy, szybko! – pokazałem na płytę nagrobną.

Jan Seweryn ostrożnie położył Leokadię, po czym usiadł obok, biorąc jej głowę na kolana. Zaleszczuk też jak najdelikatniej uniósł i umieścił obok nich Tinę. Dziewczynka wygięła się konwulsyjnie jak pasikonik rzucony na rozgrzaną blachę i od razu znieruchomiała w skurczu, dotykając płyty

nagrobnej tylko piętą, krawędzią drugiej stopy oraz jednym łokciem. Wyglądało to jak łuk histeryczny w wykonaniu człowieka po heinemedinie. Zaleszczuk szybko przyklęknął przy niej i gładząc małą po policzku, zaczął szeptać jej do ucha wierszyk o Koziołku Matołku. Zdołał zmniejszyć napięcie na tyle, że powykręcane ciało małego demona opadło plecami na płytę. Przesadą byłoby powiedzieć, że ułożyło się w pozycji naturalnej, ale sytuacja była mniej więcej pod kontrolą. Trzeba przyznać, że bez Zaleszczuka i jego zdolności byłoby z nami o wiele gorzej.

Miejsca dla mnie zostało mało. Kucnąłem przy ich nogach i postarałem się uspokoić.

– Spróbujcie zasnąć – poleciłem.

– To żart jakowyś?! – prychnął Jan Seweryn.

– Wyobraź sobie, że zasypiasz – powiedziałem z naciskiem, zawijając czas wokół grobu, tak jakbym zaciągał moskitierę nad łóżkiem.

Zrobiłem to, co wtedy, gdy odpoczywałem sobie po śmierci. Przesunąłem to miejsce w przeszłość, do najbliższego umiarkowanie słonecznego dnia i pozwoliłem chwili trwać bez końca…

Pojaśniało i ociepliło się przyjemnie. Leokadia jęknęła z ulgą i też się rozluźniła. Jan Seweryn wreszcie się rozchmurzył i spojrzał na mnie z uznaniem.

Nie byłem pewny, czy na nie zasługuję. To nie była prawdziwa inkluzja czasoprzestrzenna, a jeśli już, to krucha jak papier. Po prostu zamaskowałem naszą obecność, stwarzając bardzo delikatną iluzję. Ktoś patrzący z zewnątrz widział zwykły, pusty grób, na którym leżały trzy zeschłe liście i wypalony znicz. Dla żywych ta mistyfikacja wystarczyła. Jednak dla Jana Seweryna, kiedy przyszedł mnie zbudzić, nie stanowiła żadnego problemu…

Postarałem się szczelniej zaciągnąć zasłony czasu, dbając też, by ewentualny podmuch wiatru na zewnątrz poruszał liście w mojej iluzji.

Koncentracja i spokój.

Weszły.

Poświęcona cmentarna ziemia zadymiła pod ich stopami, ale nie przejęły się tym zupełnie. Stąpały niespiesznie główną aleją, rozglądając się za nami. Za moment bezbłędnie wybrały boczną alejkę, przy której był mój grób, i ruszyły prosto na mnie.

Myślałem, że jako anioł jestem ponad wszelki strach i nie wzruszy mnie już widok żadnego demona. Myliłem się.

Klimaszewska miała na sobie strój Matki Boskiej, dokładnie taki, jak opisywano podczas objawień w Lourdes i później w Warszawie na Siekierkach w 1943 roku, czyli długą, białą szatę, przepasaną błękitną szarfą i biały welon, spod którego wysuwały się długie blond włosy…

Uderzyło mnie gwałtowne *déjà vu*, odblokowując wspomnienia. Znów żyłem i znów to widziałem. Wtedy i teraz. Byłem tam… Stałem w kruchcie siekierkowskiego sanktuarium przed malowidłem przedstawiającym objawienie Władysławy Papis – przed parą niebieskookich i jasnowłosych postaci, rzekomo Marii i Jezusa, unoszących się wśród gałęzi kwitnącej wiśni.

Zgadnijcie no, czemu czystej krwi Żydzi z rodu Dawida nagle zmienili urodę z semickiej na nordycką? Owszem, wiem, że we wszystkich krajach i kulturach przedstawia się Królową Nieba jako „naszą pannę” – w Afryce jest czarna, u Indian miedzianolica, na naszym Podhalu zaś swojską gaździną. To są normalne przedstawienia kulturowe, wyobrażenia lokalnych artystów korzystających z rodzimych wzorów. Tylko że, proszę ja was, tam, gdzie następuje objawienie, niepotrzebne są wyobrażenia – oto wszak staje przed nami prawdziwa osoba! Taka, jaka była i jest. Nie trzeba

sobie już nic wyobrażać. Skoro się objawia, to nie ukrywa. Jaki zatem powód miałaby Matka Boska, by zataić swoją prawdziwą twarz?

Odpowiedź jest prosta: bo to nie Ona! Prawdziwa twarz kryjąca się pod wizerunkiem Królowej nie nadaje się do pokazania, zwłaszcza dziecku, dlatego trzeba było zmanipulować umysł małej Władzi, korzystając z jej pamięci i pozytywnych skojarzeń.

Tak, dobrze mnie rozumiecie! Wtedy, rok i trzy miesiące przed powstaniem warszawskim, na Siekierkach objawiła się nie prawdziwa Królowa, lecz właśnie ona, była książęca bieliźniarka Dorota Klimaszewska, bezlitosna mścicielka swoich krzywd, z lubością zapowiadając kolejne zniszczenie Warszawy i żądając dla siebie boskiej czci. To miasto wszak mocą klątwy należało do niej…

Rzeczywistość, do której przynależy Klimaszewska, wymaga towarzystwa właściwej jej symboliki. Nie przypadkiem więc fresk w kruchcie siekierkowskiego kościoła ozdobiony jest znakami okultystycznymi. Naiwni widzą tam jedynie plakaty przestrzegające młodzież przed noszeniem symboli wrogich chrześcijaństwu. Wszakże parę słów dezaprobaty to drobiazg, listek figowy, naprawdę liczy się główny przekaz – informacja co i do czego. W ten sposób, u stóp tej niby-Królowej dowiedziałem się, jak wygląda pierścień Atlantów i do czego należy go używać. Wcześniej tego nie wiedziałem ani mnie to nie ciekawiło, a tu proszę! Zaraz po wejściu do Sanktuarium Matki Bożej Nauczycielki Młodzieży to była pierwsza rzecz, której się nauczyłem. Naiwni księża pijarzy bezmyślnie rozpowszechniają tam też starą satanistyczną propagandę, że hippisowska pacyfka to symbol antychrześcijański, odwrócony krzyż Nerona ze złamanymi ramionami. Wymyślił tę bzdurę twórca Kościoła Szatana Szandor LaVey, żeby przejąć popularny znak na swoje potrzeby. Pacyfka jest złożeniem liter N i D w kodzie

semaforowym od angielskiego zwrotu *nuclear disarmament* – nuklearne rozbrojenie, z okultyzmem nie ma zupełnie nic wspólnego. Na dodatek za Nerona symbolem chrześcijaństwa nie był krzyż. Nazywanie pacyfki kurzą łapą to zła wola i mały, ale jakże znaczący triumf kłamstwa nad prawdą i dobrem. Oto, do czego prowadzi wiara bez rozumu!

Wyrwałem się z wiru wspomnień i myśli, wróciłem na swoje miejsce.

Dorota Klimaszewska szła jak po swoje, z niezachwianą pewnością i spokojem.

Nic dziwnego, skoro była u siebie. Od XVI wieku była jedyną i prawdziwą patronką Warszawy. To jej oddają cześć szaleńcy w habitach, którzy w swoim zaślepieniu i braku miłości już dawno stracili zdolność rozeznawania duchów dobrych od złych, dlatego każdy demon podający się za Matkę Bożą zawsze może liczyć na pełną i bezwarunkową atencję z ich strony. Ogłupiali do szaleństwa pijarzy, jezuici, redemptoryści wiernie służyli Dorocie, bezkrytycznie głosząc jej przesycone okrucieństwem objawienia, siejąc niezgodę, a nawet gotowi byli dla niej poświęcić dusze, rzucając na anioły czarny egzorcyzm.

Struchleliśmy, a Klimaszewska podchodziła do nas z demonicznym uśmieszkiem w kącikach ust. Wy, żyjący, też możecie zobaczyć ten diaboliczny półuśmiech. Na jej portrecie, który wisi na Starówce obok katedry, ulica Świętojańska 10, Sanktuarium Matki Bożej Łaskawej Patronki Warszawy, a tak naprawdę Niszczycielki Warszawy Nigdy Nienasyconej. Dorota Klimaszewska przebiegle umieściła własny wizerunek na obrazie podarowanym królowi Janowi Kazimierzowi przez nuncjusza papieskiego, który zmilczał swoje wielkie zdumienie faktem, jak osobliwie zmienił się ów portret, gdy zawieszono go w warszawskim kościele. Niepodejrzewający nic złego Włoch uznał, że za dziwne zmiany w wyrazie twarzy Bożej Rodzicielki oraz w tle obrazu odpowiada światło

tej północnej krainy, dobywające mroczniejsze odcienie farb, inaczej niż jasne słońce Italii. By dopełnić miary cynizmu i fałszywych natchnień, Klimaszewska sprawiła, że w 1651 roku, tuż przed szwedzkim potopem, uroczyście powierzono jej stolicę w opiekę. Rezultatem tej „opieki” było rychłe zniszczenie Warszawy, największe w jej dotychczasowej historii, a nie ostatnie, bynajmniej.

Dlaczego nikt nie spostrzegł, że antypatronka, która sprowadza nieszczęścia oraz zapowiada je z tak wielkim upodobaniem, nie może być prawdziwą Królową? Popatrzcie dobrze na ów portret! To Klimaszewska stoi tam w ogniu, z wyraźnymi śladami poparzeń na twarzy, a w dłoniach trzyma pęki kos, biczy, błyskawic i strzał. Nie dajcie sobie wmówić, że te strzały i błyskawice są złamane, jak twierdzą jej oczadziali słudzy. Są ostre, parzące i zatrute. Ja, anioł Pański, krzyczę do was!

Znów uderzyła mnie fala *déjà vu*, wywołanego widokiem znajomej twarzy… Za życia tam też przecież byłem. Patrzyłem w oczy portretu wiszącego za demonicznymi drzwiami Mitoraja, z których wyrywają się okaleczone anioły. To dobra wizja artystyczna. Jak najbardziej właściwa dekoracja wejścia do źródła cierpienia i rozpadu, bo tym w istocie jest to sanktuarium. Choć akurat wtedy, kiedy ja tam przebywałem, chwilowo było bezpiecznie, właśnie trwała adoracja, a więc gościł tam sam Naczelny i złowrogi portret od reszty kościoła odgradzała ściana wiecznego Teraz – zmaterializowanego obszaru nieba, w którym płomyki świec palących się przy ołtarzu wbrew prawom fizyki trwały w zupełnym bezruchu. Pięć świec, a płomień żadnej z nich przez pół godziny ani mrugnął, stały jak zamrożone. Każdy mógł to zobaczyć, ale inni woleli ze spuszczonym wzrokiem klepać pacierze, zamiast patrzeć w jawną transcendencję szeroko otwartymi oczami.

Wtedy żyłem i choć wątpiłem, to jednak byłem bezpieczny, osłonięty ścianą Bożej mocy. Teraz nie żyłem, byłem aniołem i wiedziałem, ale On mnie opuścił… Cóż mogłem poradzić z tą moją wątłą inkluzją? Bezmiar szatańskiej przewrotności i drwiny po prostu obezwładniał. Miałem wrażenie, że słabnę i ginę, że zakrywające nas fałdy czasu wymykają mi się z rąk, nie ma wyjścia z matni, wszystko stracone!

Towarzyszka fałszywej Maryi Panny nie udawała nikogo. Zachowała postać spieczonej w żarze ludzkiej mumii; nagiej, pokrytej brązowoczarną, spękaną skórą, spod której wyglądało surowe mięso; z twarzą o wypalonych już doszczętnie oczach i wargach; z obnażonymi, zbrunatniałymi i pokruszonymi od ognia zębami. Spalona twarz Krystyny Piekarki odznaczała się jednak nadprzeciętnie ruchliwą mimiką – rozglądała się, jej oczodoły patrzyły wręcz bystro i sprawiała wrażenie, jakby coś mówiła, wciąż poruszając żuchwą, językiem i policzkami. Z daleka jej postać wydawała się przygarbiona, był to efekt termicznego skurczu mięśni, który objął także jej ręce i nogi. Skutkiem tego poruszała się nienaturalnie, chwiejnymi skokami, ale szybko. Bez trudu dotrzymywała kroku Klimaszewskiej, tańczyła wkoło niej.

Obie zachowywały się tak, jakby nas dobrze widziały i tylko dla własnej uciechy odwlekały moment ostatecznej demaskacji i rozprawy. Po prostu kpiły sobie z mojej naiwnej wiary, że zdołam ukryć cokolwiek przed ich wzrokiem. Powinienem zwątpić w siebie, potargać iluzję i uciekać, zostawiając przyjaciół na pastwę losu…

Tak zapewne postąpiłby tchórzliwy żywy człowiek, już na pewno potępieniec, ale nigdy anioł! Dokąd bowiem miałbym uciekać? Gdzie i jak długo błąkać się z poczuciem winy? Anioł widzi skutki ewentualnego czynu natychmiast, więc nie może postąpić niegodnie. Pamiętacie,

co mówiłem o etyce sokratejskiej? Nie miałem wolnego, acz niepewnego wyboru, mogłem tylko wytrwać.

Ta chwila zawahania to był oczywiście zły podszept Klimaszewskiej, ten sam, którym zwykle truła ludzkie umysły, doprowadzając je do zbiorowego obłędu i samozniszczenia. Teraz jednak miała do czynienia z aniołem, z natury nieulegającym panice. Fakt, że tego nie wiedziała i próbowała ze mną blefu obliczonego na wątpiący umysł żywego człowieka, dawał mi przewagę. Już znacznie spokojniejszy, pewniej zacisnąłem zwinięty czas, wzmacniając iluzję pustki i nieobecności. Teraz moja inkluzja nie dałaby się już unicestwić jednym machnięciem ręki.

Zrozumiałem też, że one przyszły po śladach Tiny, dobrze je widziały, dlatego nie błądziły i od razu poszły do mojego grobu, przy którym jednak widoczny dla nich trop się urywał. Klimaszewska stanęła dokładnie w miejscu, gdzie Zaleszczuk podniósł małą do góry, przenosząc ją na płytę nagrobną.

Klimaszewska i ja znaleźliśmy się dokładnie twarzą w twarz, ledwie pół metra od siebie. Ona mnie nie widziała, lecz musiała przeczuwać, bowiem w jej rysach pojawiło się napięcie. Mobilizowała swą moc, ale ja już bez drżenia spojrzałem jej prosto w oczy.

Demon autodestrukcji kontra Anioł Dobrej Rady…

Ta walka została rozstrzygnięta, zanim się zaczęła. Już! Klimaszewska nie miała najmniejszych szans. Była ślepa, była głupia, była niczym. Odepchnąłem ją w zwątpienie, obracając przeciwko niej jej własną broń.

Nie dała po sobie poznać zawodu. Za to Piekarka zaskowyczała przeraźliwie i zaczęła nagle szarpać zębami przypalone mięśnie własnych przedramion, tak jakby z nerwów obgryzała paznokcie. Potem bez ostrzeżenia rzuciła się na moją potępioną sąsiadkę, tę, co bez końca pomstowała na synową, i wbiła jej w umysł swoje wspomnienie kaźni.

Baba wydała z siebie rozdygotany skrzek, jakby nalano jej w gardło stopionej surówki wprost z hutniczego pieca. W następnej chwili Klimaszewska poprawiła jej jeszcze od siebie. Demonice porwały nieszczęsną, zawirowały z nią gwałtownie i znikły.

Lepszy potępiony rydz niż nic.

V. W głębi dziejów

Leniwiec się spisał!

Trzeba mu to przyznać. Niby za życia był z niego człek niewojennego rzemiosła, gnuśny i zniewieściały ponad wszelkie ludzkie wyobrażenie, ale jednak upiorowi pola dotrzymał i nas osłonił! Jak to mówią: *Sunt bona mixta malis*, są zalety połączone z wadami. Może jeszcze nie przepadły te rzeczypospolite, skoro takich potomków mamy. Nie powiem mu jednak tego, żeby się w zbytnie zadufanie nie wbił. Wszelako sam nie wiem, tak uczciwie powiedziawszy, czy ja bym na Leniwca miejscu zdzierżył, umysł zupełnie mi się splątał na widok takiego szatańskiego bluźnierstwa wobec Najświętszej Panienki! Już na oślep z gołymi pięściami chciałem się na te piekielne potwory rzucać, niech się dzieje, co chce, lecz panny Leokadii jednak zostawić nie wypadało. Kiedym jej dłonie na skroniach położył, znać było, że ulgę w boleściach swoich poczuła. Jakkolwiek by zatem na rzecz patrzeć, wyszło, że w tej sprawie to ja pod komendą Leniwca stawałem, a nie on pod moją. Ot, niezbadane wyroki boże!

– One wrócą – powiedział Leniwiec, oglądając się na nas. W oczach miał ten sam rycerski błysk, który nieraz u towarzyszy moich husarskich widywałem po zwycięskim starciu. Innego, godniejszego przezwiska na razie jeszcze mu nie dam, ale przyrzekam sobie, że jak obozowego ciury więcej go traktować nie będę.

– Ten, kto je nasłał, spróbuje jeszcze raz – mówił dalej Leniwiec. – Nie wiem kiedy, ale raczej prędzej niż później.

– Znów spadnie na nas ogień z nieba? – zapytałem. Z trudem mieściło mi się w głowie, że Bóg nas tak doświadcza, ale Jego wola, Jego prawo i błogosławione imię Jego.

– To był czarny egzorcyzm – odrzekł Leniwiec. – Tak jak odprawić czarną mszę, legalnie wyświęcony ksiądz może dokonać tego tylko raz. Potem traci łaskę i staje się nikim w Jego oczach.

– Zatem jesteśmy bezpieczni – stwierdziłem. – Żywi potępieńcy nam niestraszni.

– Tak, ale pod warunkiem, że ten, który nas skrzywdził, nie ma innych wspólników. Obawiam się jednak – mówił Leniwiec – że występnych kapłanów może być więcej. Powinniśmy się zastanowić, co mamy dalej robić. Tu zostawać nie możemy, bo w końcu nas znajdą, obezwładnią nową klątwą i odbiorą nam małą Tinę. Ona sama zaś na poświęconej ziemi długo nie wytrzyma, zacznie nam stąd uciekać, a w końcu się przebudzi.

– Jak to możliwe, żeby dziecko niewinne odwróciło się od Boga? – Spojrzałem na drobne ciałko obok mnie, wyglądające jak skamieniałe w paroksyzmie choroby świętego Wita.

– Ona jeszcze nie odwróciła się świadomie, ale uciekła od dobra pod wpływem strachu i bólu – odpowiedział mi Leniwiec. – Jej stan jest odwracalny, taką przynajmniej mam nadzieję. Póki Klimaszewska i Piekarka nie mają Tiny w swojej mocy, jest szansa przywrócić tę małą Naczelnemu.

Chyba nigdy nie pojmę, dlaczego Leniwiec nazywa Pana naszego jakowymś Naczelnym, ale póki z należnym szacunkiem to czyni, niechże mu tam będzie!

– Radźmy, dokąd pójść – rzekł Leniwiec.

– Myślę, towarzysze, że powinniśmy się zwrócić do Polskiego Komitetu Opieki Społecznej – oznajmił Zaleszczuk, ów przedziwny anioł

od dusz nieochrzczonych, zagubionych między rajem a piekłem i sam do takowych nader podobny. Wielce dziwny za życia to musiał być człek, ale on przynajmniej nazywa mnie „towarzyszem” bez złośliwości nijakiej, Leniwiec zaś przy tym słowie zawsze się krzywi, jakby kawałek limonii miał w gębie. O, teraz też!

– Jakieś inne propozycje? – zapytał, jawnie śmiejąc się w kułak.

Pomyślałem o miejscu, do którego onegdaj zaprowadził mnie trzmiel, gdzie zdołałem odetchnąć po udręce własnej śmierci i po tym, co widziałem pod Barbakanem.

– Pójdziemy tam, gdzie trzmiel ma gniazdo – odrzekłem. – Czeka nas wprawdzie daleka droga przez czas, ale tam nieprędko złe moce znajdą nas i to dziecko. Także panna Leokadia powinna tam do sił powrócić.

– Czyli dokąd? – spytał Leniwiec.

– Za trzmielem – odparłem w zadumie. – Opowiem wam.

I pozwoliłem im wejrzeć w moje wspomnienia…

*

Trzmiel, tak jak wcześniej motyl cytrynek, poprowadził mnie w jeszcze głębszy czas. Poruszony bezdusznym okrucieństwem, którego byłem świadkiem, szedłem, nie bacząc na strony świata. Widziałem tylko ugory stające się polami, chaszcze wiklin ustępujące miejsca pastwiskom i zagonom, których, o dziwo, im bardziej w przeszłość, tym więcej zaczynało przybywać. Najwyraźniej nie zawsze klątwa zniszczenia wisiała nad tą ziemią. Pojąłem, że był też czas Bożego błogosławieństwa i właśnie teraz tam zmierzam.

Szedłem za trzmielem godzinę marszu według ludzkich pojęć, a przeszło cztery wieki w głąb dziejów od czasu kaźni pod Barbakanem.

Dotarłem do Roku Pańskiego 1112 i zarazem spłynęła na mnie świadomość, że nie tylko Pański był ów rok…

Przestąpiłem strumyk, szemrzący wesoło pośród cieni olchowego zagajnika, porastającego oba jego brzegi, wyszedłem spomiędzy drzew na słońce i ujrzałem sadybę kmiecą.

Chata była to kurna, ale nie licha, bo z modrzewiowych bali, kryta sczerniałym ze starości olchowym gontem, na którym zieleniły się rozległe łaty mchu. Całość wieńczyło bocianie gniazdo z trójką młodych boćków w środku. Znać było, że dom jest zasobny i zaradni gospodarze od wielu pokoleń w nim pomieszkują. W obejściu były jeszcze szopa, chlewik i studnia z żurawiem, a wszystko razem otoczone solidnym osiekiem z młodych sosen, gęsto posplatanych ze sobą sękami i kikutami przyciętych na ostro gałęzi oraz powiązanych konopnymi powrósłami. Przeszkoda z pozoru nietrwała, ale spróbujcie aby z marszu ją sforsować! Koniem jej nie rozjedziesz ani nie przeskoczysz, przełazić górą naprzeciw szczelin w ścianach chaty uczynionych dla łuczników też trudna rada. W razie napaści trzeba by to domostwo oblegać niczym jakiś gród, osiek palić, rąbać i rozwłóczyć, a na cóż komu tyle czasu mitrężyć na jedno obejście? I jeszcze dymem z pożogi wszystkich wokół alarmować. Lepiej już ominąć i bogatszego łupu gdzie indziej szukać. Prosty i mądry był to sposób zapewnienia mieszkańcom bezpieczeństwa, który jako wojenny człek mogłem tylko pochwalić.

Znać jednak było, że nikt tu niczego złego się nie spodziewa. Brama stała otwarta na oścież, a na podwórcu biegało mnóstwo dzieci płci obojga, w wieku od paroletnich szkrabów do wyrostków blisko piętnastoletnich, ale nie starszych. Dziwne było tylko to, że żadne z nich nijakiego głosu z siebie nie wydawało. Dokazywały jak to dzieci, ale w ciszy zupełnej.

Kiedym wszedł, zbliżyła się do mnie może pięcioletnia dziewuszka w samodziałowym giezełku, przyjrzała mi się poważnie i bez lęku wielkimi, błękitnymi oczami, po czym bez słowa uniosła w górę paluszek, na którym usiadł od razu mój trzmiel-przewodnik. Dziewuszka obróciła się na pięcie i poniosła owada do naroża domu, pod którym musiało być gniazdo onego. Inne dzieci zajęte swoimi zabawami nie zwróciły na mnie uwagi wcale. Zauważyłem, że porozumiewały się ze sobą spojrzeniami, jakby wprost myśli sobie przekazując.

Gospodarz siedział na przyzbie, na ławie z rozszczepionego pnia i mocował ostrze oszczepu do drzewca. Mąż to był barczysty, płowowłosy, w wieku mi rówieśnym. Jużem miał go imieniem Pańskim pozdrowić, ale pojąłem, że to tutaj nie wypada.

On zaś na mój widok odłożył swoją robotę, wstał, popatrzył na mnie małą chwilę, a potem obejrzał się na wejście do chaty.

– Matka, gość w dom! – zawołał i ruszył, by mnie powitać.

– Pokój temu domowi! – rzekłem na powitanie, zmieszany objawieniem, którem właśnie otrzymał.

– Niechajze was Swarog jasnym słońcem darzy – odpowiedział gospodarz, mazurząc. – Z daleka to idzieta?

Nim ochłonąłem ze zdumienia, z chaty wyszła rumiana, postawna niewiasta przy nadziei, której sukni czepiała się jeszcze dwójka najmłodszego drobiazgu. Wyniosła gorący jęczmienny podpłomyk, dzban zsiadłego mleka, postawiła je na ławie i gestem zaprosiła do jedzenia. Jeden ze starszych synów przyniósł dla mnie zydel.

Powiadają, że człowiek całe życie się uczy, a głupi umiera. To ja wam dopowiem, że dopiero po śmierci człek bezmiar durnoty swojej i ciasnoty myśli ogarnia! Uwierzylibyście bowiem, że istnieją prasłowiańskie anioły?!

A bo i czemu by istnieć nie miały? Prawi ludzie w starej wierze, godnie życie przeżywszy, mieliby iść na potępienie? A dlaczego i za co?! Bóg patrzy w serca, nie parafialne księgi i po sercach swoich ludzi poznaje, nieważne, jakimi imionami Go zwą.

Kmieć Jarogniew i jego żona Szczyrbka byli zbawionymi poganami. Po śmierci żyli dalej w zaświatach według tego, w co wierzyli za życia, życzliwi przechodniom i wierni starej religii. Jej imię – Szczyrbka – było w istocie dziecięcym przezwiskiem, pochodziło od szczerby po mlecznych zębach, ale obcym inaczej się nie przedstawiała. Dorosłe imię znał tylko jej prawy mąż i zwracał się nim do niej tylko podczas służb Swarogowi i Swarożycowi.

O wierze chrystusowej, owszem, słyszeli wiele, wszak pomarli oboje już dawno po chrzcie Polski, ale za życia nie spotkali misjonarza na tyle godnego i prawego, by przykładem własnej wiary ich przekonać zdołał. Tym zaś, którzy ich klątwami i ogniem wiecznym straszyli, dawali chleb na drogę i odprowadzali poza granicę swego opola, grzecznie polecając, by klątwy swoje zabrali ze sobą.

Zdziwień spotkało mnie u naszych gospodarzy co niemiara! Pierwsze z nich to jedzenie. Wszak anioły nie jedzą… No, ale czemu nie? Kiedym dostał do garści kawał podpłomyka i garniec kwaśnego mleka, zaraz mi ślinka do ust napłynęła. Ugryzłem kawałek, popiłem… Smak i apetyt jak za życia! Jakże to?! Ano, pokazuje się, że anioł może nie jeść i głodu żadnego nie zaznaje, a może i jeść, jeśli ma chęć po temu. Zależy to wszystko tylko od tego, jak sobie człek anielski żywot imaginuje.

Albo znów te dzieci… Jarogniew i Szczyrbka wciąż żyli ze sobą jak mąż z żoną i wciąż je płodzili. Tyle tylko, że ich obecne potomstwo to nie były już ziemskie dzieci z krwi i kości, ale czyste dusze, które dopiero na doczesne wcielenie czekały.

Jarogniew uśmiał się ze mnie do łez, kiedy rozmowa na ten temat zeszła.

– A za cóz to jurność miano by nam odjunć?! – plasnął się z uciechy dłońmi po udach i zawołał do żony: – Matka, a ty wies, ze te duse Chrystowi ofiarowane, jak zemru, to wytrzebione po wyraju chodzu?!

Jarogniew mazurzy tak, że gada się z nim jak z Czechem, co jedno jego słowo to słuchaczowi zaraz gęba od ucha do ucha, ale wtedy to ja tak rozdziawiony ze zdumienia siedziałem, aż dziwne, że mnie w tej gębie jakaś sroka gniazda nie uwiła.

Szczyrbka znów stanęła w progu chaty i znacząco pogładziła się po nabrzmiałym łonie.

– I na co to wam było staru wiare porzucać? – zapytała na wpół z uśmiechem, na wpół z wyrzutem.

Zaraz potem wszystkie swoje dziatki zwołali i kolejno mi je przedstawili. Rzecz ciekawa, duszyczki te nie miały imion, bowiem nadanie tychże jest przywilejem ziemskich rodziców. Jarogniew i Szczyrbka dla porządku nazywali je od ich płci i zdarzenia, które towarzyszyło ich powiciu. Na przykład owa dziewuszka, co po trzmiela przyszła, nazywana była Córką od Śpiewu Skowronka. Żadne z tych dzieci nie było ze swymi zaświatowymi rodzicami dłużej niż piętnaście lat. Bawiły się i pomagały w obejściu jedne dłużej, drugie krócej, ale zawsze przychodził czas, gdy Jarogniew i Szczyrbka postanawiali, że temu dziecięciu pora już iść na ziemię. Kiedy u nich gościłem, wskazali takich dwoje. One się serdecznie z rodzeństwem pożegnały i poszły spać, a rankiem na ich posłaniach znaleźliśmy coś, przypominało świecące włoskie orzechy. Szczyrbka owinęła je w gałganki, każdą duszę w osobny węzełek, i oddała je bocianom, które już czekały u wejścia do chaty. Ptaki chwyciły

zawiniątka w dzioby i odleciały z nimi w słońce, przez które wiodła droga do doczesności.

Zagroda Jarogniewa i Szczyrbki to była Studnia Dusz.

Każdemu po śmierci przytrafia się to, w co wierzył. Moi gospodarze pragnęli w zaświatach takiego bytu, jaki wiedli za życia. Chcieli pozostać małżonkami wciąż trwającymi na swoim gospodarstwie i tak stali się rodzicami dusz. Bo przecież nowe dusze wciąż muszą się poczynać. Bóg może je stwarzać sam, może też pozwolić je płodzić dobrym duchom. Jego święta wola.

Jedni zatem po zgonie idą do anielskich chórów, inni trwają w ziemskich miłościach i pasjach. Wielu chwalebnie poległych rycerzy w szeregi jazdy niebieskiej wstępuje, aby wciąż zgodnie z dawnym powołaniem w bitwach przeciw złym duchom stawać. Ja też o tym kiedyś myślałem, ale zapragnąłem zrobić coś większego i to mi dano. Jako anioły otrzymujemy pełnię życia, o jakim skrycie marzyliśmy na ziemi.

Korzystałem zatem z gościny, znajdując czas na rozpatrzenie się w sobie i odzyskanie pokoju duszy. Często wtedy chodziłem z Jarogniewem na polowania. O świcie zasadzaliśmy się przy wiślanych wodopojach, nad które leśna zwierzyna się schodziła. Ten oszczep, przy którego fabrykowaniu Jarogniewa zastałem, był przeznaczony dla mnie. Zaraz następnego dnia poszliśmy na tura, który zawędrował do puszczy na Solcu.

Myślałem, że skoro kopią husarską umiem władać, to i takiego leśnego zwierza oszczepem podeprzeć zdołam, ale gdzie tam! Za pierwszym podejściem nijak nie poradziłem tura osadzić w miejscu i ów mnie potratował. Rzeknę wam tyle, że choć anioły są nieśmiertelne i kości im się nie łamią, to jednak boli… Jarogniew zaś, patrząc, jak mnie turzysko na rogi bierze i o pień sosny rozgniata, znów radości miał co niemiara.

– Jak sobie klenske w swym umie wystawis, tak i tobie sie stanie… – powiedział, pomagając mi wstać. – Bierz oscep i wtory raz pocynaj! Tyle twej mocy, ile se pomyślis!

W tym miał rację. Za drugim razem nie myślałem już o tym, że tur ode mnie jest silniejszy i cięższy, podszedłem bez lęku, że mu nie sprostam, i poradziłem sobie. Dzień cały potemśmy jego mięso oprawiali, a Szczyrbka je soliła i wędziła.

Wieczorami siadywaliśmy na przyzbie przy miodzie i rozmawialiśmy o tym, co było, co jest i będzie. Jarogniew wspominał swego dziada – imiennika, który za księcia Bolka Zapomnianego poszedł walczyć za starą wiarę przeciw księdzom Chrystusa. Poszedł, ale wrócił zaraz, ledwie po paru miesiącach, mówiąc, że bezbronnych zabijać nie uchodzi. Że lepiej niech sobie ludzie wszelkich wiar żyją po swojemu, tak jak to było na Mazowszu za władyki Masława. A mądry był ów pan, niesłusznie – zdaniem Jarogniewa – mianem Uzurpatora przezwany. Za jego panowania wyznawcy Chrystusa i starej wiary żyli sobie na tej mazowieckiej ziemi obok siebie w pokoju i zgodzie, a ta ziemia darzyła jak nigdy potem. W pozostałych dzielnicach Polski zamęt, krew, topór i ogień, tu zbiegowie wszelacy znajdowali bezpieczny dach nad głową i zagon do uprawy. Tego nie zdołał zmienić nawet kniaź Kazimierz, który aż Niemców sprowadził, by Masława pokonać, i choć mądrego władykę wygnał, to jeszcze przez blisko wiek na Mazowszu stara wiara się utrzymywała. Jarogniew siarczyście przeklinał ród Piastów, mówiąc, że same nieszczęścia na tę ziemię sprowadzą. Praw był, co tu kryć.

Ja zaś wiedziałem tyle, że Opatrzność za naszym spotkaniem stała i że trzeba mi szukać u Skoczybłotów pomocy w moim zadaniu, ale nie wiedziałem jeszcze, jaka to miałaby być pomoc. Jarogniew w sprawy dalekich potomków mieszać się nie chciał. Szczególnie drażniła go myśl, że

wnuki dzieci, które jeszcze za życia spłodzili ze Szczyrbką, przy pogańskiej wierze nie wytrwały, a niektóre po wiekach już całkiem w nic nie wierzyły.

– A kdzie ja onych bede po zaświatach sukał?! Porzucili nasu wiare dla cudzej, to cóz mi teraz po nich, a im po mnie?! – wyrzekał głośno na swych niewiernych prawnuków. – Obrócu się tutaj do dom, to im złego słowa nie rzekna. Ale sam za nimi nikdzie nie poleca!

Nie nalegałem. Wtedy zresztą jeszcze nie wiedziałem, o co miałbym go prosić. Milczałem zatem, kiwałem głową i nalewałem do kubków miód.

*

– A teraz już wiem! – powiedziałem głośno do Leniwca i towarzysza Zaleszczuka. – Do nich musimy się udać!

– Partia popiera ludowy folklor i tradycje! – zapewnił stanowczo towarzysz Zaleszczuk.

– A w przestrzeni to gdzie to jest? – zapytał Leniwiec, parskając śmiechem zupełnie bez żenady. Nie wiem, cóż go tak bawiło. Chyba ta partia, o której towarzysz Zaleszczuk ciągle mówił. Wszak każdy szlachcic ma jakąś partię, z którą zwykle na sejmikach trzyma. Towarzysza Zaleszczuka rzecz, jaka to partia, i śmiać się tu nie ma z czego. Byłbym Leniwca za brak szacunku napomniał, ale że dobrze przeciw demonom stawał, to się jednak powstrzymałem i odrzekłem mu na temat.

– Ich sadyba jest po drugiej stronie moczarów, rozciągających się za rogatką Jerozolimską. Tuż obok domu Skoczybłotów bije przeczyste źródełko, z którego bystry strumyk wypływa.

– Tam zaczyna się rzeka Drna? – spytał Leniwiec.

– Nie – odparłem. – Ona płynie w przeciwnym kierunku i bierze początek z drugiej strony tych bagien. Strumień, przy którym Skoczybłotowie mieszkają, płynie na południowy wschód i tak jak Drna

wpada do Wisły, ale poniżej owej wysoczyzny, na której Warszawę pobudowano.

– Aaa! – domyślił się Leniwiec. – To się teraz nazywa Potok Służewiecki! Znaczy się, ci twoi Skoczybłotowie mieszkają przy jego źródle w parku na Szczęśliwicach. Tak nawiasem mówiąc, ich przezwisko znaczy, że są ludźmi mieszkającymi po drugiej stronie moczarów, czyli skaczącymi przez błoto. Mniej więcej wzdłuż dzisiejszej ulicy Płockiej i na jej przedłużeniu biegł kiedyś lokalny dział wód…

– Mogło tak być – zgodziłem się przez grzeczność. Leniwiec mówi czasem tak dziwnymi słowy, że chyba tylko sam Pan Bóg go rozumie. Jednakże potrafi też przekładać je na ludzką mowę, za co Najwyższemu Panu dzięki! Jednak co to jest ów wód dział, wolałem się już nie pytać.

– A zatem idziemy na Szczęśliwice! – oznajmił Leniwiec. – Pójdziemy stąd najpierw do końca ulicy Sowińskiego, potem przejdziemy torowiska kolejowe przy Giewkowskiej, a gdy już będziemy na miejscu w przestrzeni, to sprowadzę was w dół czasu do 1112 roku.

– Ruszajmy zatem, nie zwlekając! – odrzekłem na to. – Poniosę pannę Leokadię.

Nieboga wciąż krwawiła z ran, pojękiwała półprzytomnie, aż żal było patrzeć i słuchać.

– Małą Tinę też trzeba wziąć na ręce, żeby śladów dla demonów nie zostawiała – stwierdził Leniwiec.

– Tak to się nie da – odrzekł towarzysz Zaleszczuk. – Ona jest bardzo ciężka. Ledwo dałem radę przenieść ją na ten nagrobek…

– Dajcie mnie popróbować! – powiedziałem. Trudno mi było uwierzyć, że dziecię dwakroć mniejsze od panny Leokadii może być od niej cięższe.

Jednakże było. Ważyła chyba tyle co lufa oktawy kolumbryny! Zdjąwszy małą z grobowej płyty, z największym wysiłkiem zdołałem

postąpić z nią ledwie trzy kroki i musiałem postawić ją na poświęconej ziemi, na której ta dziewuszka natychmiast na samych czubkach palców stanęła, cała napięta jak cięciwa łuku. W porównaniu z nią panna Leokadia ważyła tyle co anielskie piórko.

– Od razu czuć, że natura Tiny jest całkiem inna od naszej… – wystękał Leniwiec, spróbowawszy ją podnieść samemu. Nie zdołał nawet oderwać jej od ziemi. Grzech ciąży ku piekłu, przyszło mi na myśl na ten widok, alem nie powiedział tego głośno, żeby nikogo nie urazić. Postanowiłem za to przejąć komendę.

– Poniosę jak dotąd pannę Leokadię, a towarzysz Zaleszczuk niech prowadzi to dziecię za rękę. Leniwiec swoją mocą osłania nasz pochód! – zarządziłem.

– Na razie byłoby lepiej, żebym już nie robił żadnych sztuczek z czasem, bo jak znów przywalą nam czarnym egzorcyzmem, to się nie odnajdziemy w czasoprzestrzeni.

A temu znów zebrało się na dyskusję z dowódcą! U nas, w wojsku koronnym, taki nieład kijami się wybijało!

– Rozkaz to rozkaz! – zezłościłem się okrutnie.

– A ja jestem za kolegialnym kierownictwem w naszym kolektywie – towarzysz Zaleszczuk niespodziewanie stanął po stronie Leniwca.

– Niech wam będzie – ustąpiłem im dla dobra sprawy. – Pójdźmy, nie zwlekając dłużej!

Wyszliśmy z cmentarza i ruszyliśmy na południe. Kiedy mijaliśmy miejsce naszej nieszczęsnej przygody, okazało się, że ta głupia czarownica, która przywlokła za sobą demony, wciąż tutaj jest.

– Hop, hop, Arielu! Gdzie jesteś?! – wołała, stojąc dokładnie pośrodku dziury, którą w ziemi wypalił ogień z nieba. Zupełnie nie zdawała sobie sprawy, że pod nogami ma bezdenną otchłań. To zaś, że owa pustka nie

wyssała z tej głupiej dziewki duszy i życia, zawdzięczała czemuś na kształt cieniutkiej lodowej tafli, która podtrzymywała jej stopy oraz całe nędzne istnienie.

– Rzadki widok nawet dla aniołów – skomentował rzecz Leniwiec. – Łaska Naczelnego w stanie krystalicznym… Widać tam na Górze tej idiotki na straty nie spisano. Jeszcze się spotkamy! – krzyknął do niej z gniewem.

Bóg dał, że to usłyszała.

– To ty, Arielu?! – zapytała głośno.

– Ja ci dam Ariela! – Leniwiec zezłościł się jeszcze bardziej.

– Jesteś aniołem? – zapytała go. – Przepowiesz mi przyszłość?

– Już ci ją przepowiedziałem. Policzymy się za to, coś tu dziś narobiła. Tyle przepowiedni ci na początek wystarczy!

– No chyba nie zrobiłam nic złego? – zapytała niepewnie.

Zatem Pan ją ocalił i zostawił na opamiętanie, okazując miłosierdzie dla jej nierozumności. Kołatały się w niej jeszcze resztki dobrej wiary. Chwała Bogu! Zostawiliśmy głupią pannę z jej ostatnim pytaniem na sumieniu i doszliśmy do ulicy Wolskiej.

VI. Sfery ziemskie

Wyobraźcie no sobie towarzysza husarskiego usiłującego przejść prawidłowo przez ulicę na zielonym świetle! Jan Seweryn nie lubił miejsc przyszłych i omijał je, jak tylko mógł. Przeskakiwał nad tymi wozami bez koni, pędzącymi Bóg wie gdzie, nad ludzkimi mrowiskami, w których nikt nikogo nie znał, nad wszelkim hałasem i zamętem. Wystarczało mu, jak mówił, że oglądał sobie przyszłość z oddali.

Teraz jednak, ze względu na małą Tinę, która musiała stąpać po ziemi, trzeba nam było przedostać się przez Wolską, jak zwykłym ludziom. Nikt z nas nie podejrzewał, jakie z tego wyniknie zamieszanie.

Przez tory tramwajowe Jan Seweryn z Leokadią na rękach jeszcze jakoś przeszedł, ale na krawężniku przed ruchliwą jezdnią stanął jak wryty. Wojsko koronne, wojskiem koronnym, ale szok cywilizacyjny swoje. Żeby dodać mu odwagi, stanąłem pośrodku ulicy i pozwoliłem, aby rozpędzone tiry przejeżdżały przeze mnie. Ale Jan Seweryn, choć wiedział, że żaden samochód anioła poturbować nie może, nijak nie mógł się przemóc.

Za to towarzysz Zaleszczuk zaczął się na mnie gniewać, że nie wolno dawać dzieciom złego przykładu i wchodzić na ulicę przy czerwonym świetle. Przywołał mnie z powrotem, a następnie polecił Janowi Sewerynowi i mnie robić to, co on.

Grzecznie jak harcerze poczekaliśmy na zielone światło i wtedy nastąpił dopust boży.

Pech polegał na tym, żeśmy w tym całym naszym zaaferowaniu zapomnieli, że dla zwykłych ludzi jesteśmy niewidzialni. Kiedy więc zapaliło się zielone i towarzysz Zaleszczuk ruszył na drugą stronę, jedną ręką prowadząc Tinę, drugą pchając za łokieć wahającego się Jana Seweryna, akurat tak się złożyło, że oprócz nas nikt żywy przez Wolską w tym miejscu przechodzić nie zamierzał. Z punktu widzenia kierowców ulica była pusta.

Byliśmy już na środku drugiej jezdni, gdy jakiś bezmózgi kark w czerwonym BMW, zamiast się zatrzymać, widząc, że na przejściu nikogo nie ma, postanowił przez nie przejechać, nie zwalniając, a nawet dodatkowo przyspieszając, żeby wykroczenie trwało krócej. Tym sposobem durny ćwok spowodował objawienie demoniczne, ponieważ wjechał wprost na Tinę, która w tej chwili stała się dla niego widzialna. Demony zwykle ujawniają się w sytuacjach na pograniczu życia i śmierci.

Kierowca zobaczył nagle, wprost przed sobą, małą dziewczynkę, która pojawiła się zupełnie znikąd, jak na jego rozum. Dziecko obróciło ku niemu twarz i spojrzało mu prosto w oczy. Wystraszony delikwent skręcił gwałtownie, aby dziecka nie przejechać, skutkiem czego najpierw pojechał przez Jana Seweryna z Leokadią, który z nerw omal jej nie wypuścił, a następnie z całym impetem uderzył w latarnię za nimi. Z wrażenia w ogóle zapomniał dać po hamulcach. Latarnia okazała się solidnie wmurowana i wóz zgniotło w harmonijkę. Wszystkie szyby poszły w drobny mak i pojechały dalej, a z zakleszczonego kierowcy na naszych oczach zaczęła wychodzić dusza.

To, co zrobiła Tina, sprawiło, że stanęliśmy jak wryci. Pierwszy raz okazała zainteresowanie otoczeniem. Puściła dłoń towarzysza Zaleszczuka, podeszła do konającego, chwyciła jego duszę obiema rączkami i wywlokła

ją z ciała do końca. Mało tego, na naszych oczach zmięła tę duszę w kłębek i zaczęła ją zjadać!

– Ciuciu-wata dobra! – powiedziała pierwszy raz coś innego niż owo machinalne „Tina-titina”, które powtarzała do tej pory. – Dobra… ciuciu-wata… – jadła żywą ludzką duszę z wyrazem nieopisanej błogości na buzi.

Towarzyszowi Zaleszczukowi na ten widok znów wyłączyła się percepcja. Stał, patrzył, a nic nie widział. Ja też nie wypadłem lepiej. Jak mnie potem podsumował Jan Seweryn, miałem wzrok niczym pewien dezerter skazany na rozstrzelanie. Podobno patrzyłem na Tinę jak tamten nieszczęśnik w skierowane w niego lufy sześciu muszkietów. Nie będę przeczyć. Byłem pewny, że ona właśnie się przebudziła z autystycznej maligny i wszystkie nasze starania wzięły w łeb. Zaraz zjawią się Klimaszewska z Piekarką i potem już jedynym problemem do rozwiązania będzie kwestia, z którego miejsca najlepiej będzie oglądać atomowy grzyb nad Warszawą…

Tina kończyła pożerać duszę kierowcy, a ja powoli kucnąłem przed nią i ostrożnie spojrzałem jej w oczy.

Wciąż były nieobecne. Naczelnemu dzięki! Działała instynktownie, nieświadomie!

– Nie przebudziła się! – powiedziałem z ulgą do pozostałych. – Jeszcze nie…

Gdy Tina zjadła swojego cukierka, opuściła rączki i stanęła nieruchomo jak kukiełka. Wtedy ocknął się Zaleszczuk, podszedł szybkim krokiem, wziął ją za rękę i odciągnął od rozbitego samochodu, a ona znów pozwoliła się prowadzić, jak gdyby nigdy nic.

– Niezłe z niej ziółko! – odetchnąłem z ulgą. – Myśli, że ludzka dusza to cukrowa wata…

– Dzieci lubią słodycze – powiedział z głupia frant towarzysz Zaleszczuk.

Tym razem zdołał mnie zdenerwować! Jak można być duchem i jednocześnie w duchy nie wierzyć?! To dokładnie jedna z tych rzeczy pomiędzy niebem a ziemią, o których się filozofom nie śniło. Ale skoro taka jest fantazja Naczelnego, nie mnie wydziwiać, zmitygowałem się.

Tymczasem wokół nas zatrzymywały się inne samochody i robiło się zbiegowisko. Próbowano ratować tamtego nieszczęśnika, ale jak łatwo zgadnąć, wszelka reanimacja było na nic. Już był w piekle, gdyby kto pytał. Pożarcie duszy przez demona do tego właśnie się sprowadza. Krótka piłka, jak to mówią.

Ruszyliśmy czym prędzej swoją drogą, jakby w obawie, że nas ktoś dostrzeże i oskarży o spowodowanie tego wypadku. Zresztą, lepiej było nie sprawdzać, co jeszcze Tina może nabroić w podekscytowanym tłumie.

Idąc w głąb Sowińskiego, przecięliśmy ulicę Jana Kazimierza, zdaniem Jana Seweryna stanowczo niegodną królewskiego majestatu. Może i tak, ale jaki król, taka ulica… Wbrew narodowej mitologii nie był to monarcha odważny ani inteligentny. Nieco dalej, po lewej, minęliśmy dom z dziurą po wybuchu artyleryjskiego pocisku we frontowej ścianie, załataną cegłami o innym kolorze niż reszta – pamiątce po walkach o Wolę z 1939 roku. Wokół zamurowanej wyrwy znać było jeszcze ślady po odłamkach, dające pojęcie o sile wybuchu. To musiało być bezpośrednie trafienie z działa 75 milimetrów, aż dziwne, że po czymś takim piętrowy budynek ustał, a nie rozleciał się jak domek z kart.

Koniec ulicy Sowińskiego zamykał sypiący się ze starości betonowy parkan. Bez trudu wyszukaliśmy w nim dostatecznie dużą dziurę i przeszliśmy na kolejowe torowiska. Miejsce było półdzikie, ni to opuszczone, ni to zrujnowane. Mniej więcej połowa infrastruktury

kolejowej była wykorzystana zgodnie z przeznaczeniem, reszta stanowiła koczowisko bezdomnych i zarazem źródło ich utrzymania.

Rozejrzałem się uważnie dookoła i doszedłem do wniosku, że nie chcę tu być!

Śmierć niczego nie kończy, a przynajmniej niewiele. Czego żywi nie załatwili, jak należy, kiedy mogli, w tym później muszą się babrać anioły. Co to jest, przepraszam ja was, za spokój wieczny, kiedy się trzeba uganiać po dzikich wertepach, uciekając przed dwoma szalonymi demonami, wlokąc ze sobą trzeciego, który dopiero zamierzał oszaleć, oraz ciężko poturbowanego cherubina na dodatek?!

– Mam dosyć! – oznajmiłem głośno. – Odpocznijmy!

Jan Seweryn spojrzał na mnie wilkiem, ale nie zdążył mi odpowiedzieć. Zrobił to kto inny.

– Chodźcie do mnie! – Z gęstwiny krzaków i młodych drzewek, wyrastających spomiędzy zbutwiałych podkładów nieużywanego, zardzewiałego toru wyjrzała brudna kobieta w wieku około pięćdziesiątki. – Zaparzę wam mięty!

Widziała nas!

Popatrzyliśmy po sobie ze zdumieniem, ale nikt nie wydziwiał. Przyjęliśmy zaproszenie bez słowa.

Za chaszczami była mała polanka, a na niej szałas z kartonów, płatów folii i fragmentów połamanego wychodka typu toi toi albo plastikowego kontenera na surowce wtórne, trudno było to rozstrzygnąć na oko, a o objawienie w tej sprawie prosić mi się nie chciało. Przed szałasem paliło się małe ognisko, wokół którego ustawiono szczątki jakichś mebli. Od biedy można było na nich usiąść.

Tina natychmiast odwróciła się plecami do ognia i stanęła jak słup soli. Zaleszczuk rozsądnie nie próbował jej do niczego zmuszać, tylko usiadł

tak, aby mieć ją stale na oku. Nasza gospodyni Tiny nie widziała.

– Zaraz się woda zagrzeje… – mówiła na wpół do siebie, na wpół do nas, ustawiając na zaimprowizowanym ruszcie z prętów zbrojeniowych puszki po kociej karmie. – Mięta jest tutejsza, o tam, spod płotu… – pokazała. – A woda z czystej kałuży, wszyscy z niej bierzemy, a nikt do niej nie sika! – podkreśliła z powagą.

Pomogłem Janowi Sewerynowi posadzić Leokadię w resztkach klubowego fotela, który wciąż stanowił tu najbardziej komfortowy element wyposażenia. Biedna Ośka nadal nie odzyskiwała przytomności. Wyciągnąłem się na ziemi obok niej i wpatrywałem w ogień, rozmyślając ponuro nad filozoficznymi aspektami wygnania z raju. Jak zwykle nie miałem do Naczelnego żadnych pretensji. Chcieliśmy zachować ludzkie osobowości, no to musieliśmy się wikłać w ludzkie sprawy…

– Panienkę coś boli? – zagadnęła nasza gospodyni, wkładając do ognia grubą korkową podeszwę od damskiego pantofla. – To nic – popatrzyła na Leokadię z melancholijnym uśmiechem. – Ból przemija…

Zastanowiło mnie, że ta kobieta nam się nie przedstawia ani nie pyta, kim jesteśmy. Skądś to znałem…

– Jak się pani tu znalazła?

Długo nie odpowiadała. W skupieniu wpatrywała się w puszki po kocim żarciu, czekając, aż zagotuje się w nich woda z kałuży, potem wrzuciła do każdej po kilka podsuszonych liści dzikiej mięty. Już myślałem, że całkiem zignoruje pytanie, ale ona, podając mi puszkę, odpowiedziała.

– Byłam w szpitalu na Banacha.

Trzymała blaszaną puszkę z wrzątkiem gołą dłonią.

Ja również nie musiałem już bać się kontaktu z gorącymi przedmiotami…

Upiłem. Aromat mięty mieszał się z posmakiem cementu. Znać, że ta kałuża musiała stać na jakimś betonowym placu. Lepsze to niż glina.

– Uciekłam stamtąd.

– Dlaczego?

– Byłam chora na raka.

– To raczej nie jest powód, by uciekać ze szpitala.

– Doktór powiedział mojej córce, że niedługo potrzebny mi będzie respirator i to kosztuje dwa tysiące złotych. Przypadkiem usłyszałam tę rozmowę i dlatego uciekłam. Córki na to nie stać, ma dwoje małych dzieci, Asię i Stefanka, a ja nie chciałam, żeby im czegoś zabrakło, no więc przyszłam tutaj.

Nie pytałem już o nic, sama mówiła dalej:

– Na początku było ciężko, czułam się słaba, ale jak się człowiek wokół swoich spraw krząta, to nabiera sił i nie myśli, że boli. Zresztą inni trochę pomogli, jak usłyszeli, że ja tu dla wnucząt. Ból można wytrzymać. A potem przestało boleć…

Spojrzałem na ten szałas z kartonów i plastiku. Zrozumiałem, że to nie szałas, lecz grób… Pytanie, czy ona wie, że już umarła?

– Tu przynajmniej czuję się jak człowiek.

Nie była ani zbawiona, ani potępiona. Po prostu była na ziemi, przywiązana do niej tellurycznymi więzami pragnień obcowania z tym, co bliskie, przyjazne i znajome. Nie chciała od życia nic więcej i nic lepszego nie potrafiła sobie wyobrazić. Nie wszyscy mają ambicje, by iść aż do nieba. Dla wielu równie trudne do osiągnięcia jest samo poczucie bycia człowiekiem. Zacząłem pić swój napar cementowo-miętowy drobnymi łykami. Wolałem już nic nie myśleć i nie mówić, bałem się, że jeszcze słowo, a ziemskie więzy spętają także mnie i przypomnę sobie, jak to było ze mną…

– A czemu obywatelka nie poszła do domu opieki społecznej? – zapytał oficjalnym tonem towarzysz Zaleszczuk, podtrzymując konwersację.

– Stamtąd odesłaliby mnie do szpitala – odparła rzeczowo – i nic by się nie zmieniło.

– Jak to możliwe, aby takie rzeczy zdarzały się w najbardziej postępowym ustroju?

To chyba nie był dobry moment, aby zawiadamiać go, że realny socjalizm się skończył, nie sądzicie? Dopiłem resztkę napoju, odstawiłem puszkę i wstałem. Jan Seweryn uniósł Leokadię.

– Na nas pora, dziękujemy za poczęstunek.

– Za wami idzie coś złego – odparła, spoglądając w kierunku ulicy Sowińskiego. – Nie obawiajcie się, nie powiem im, którędy poszliście.

– Ktoś po panią tutaj przyjdzie – zapewniłem na pożegnanie. – Do widzenia.

– Różni przychodzą… – Wzruszyła ramionami. – Ale jak przyjdzie ktoś dobry, to poczęstuję go miętą.

– Którędy? – obejrzał się na mnie Jan Seweryn.

Pokazałem kierunek. Przecięliśmy Gniewkowską, Chylońską, potem przeszliśmy na Szczęśliwice, maszerując wzdłuż torów i pod Alejami Jerozolimskimi. Po drugiej stronie wiaduktu, zaraz za stacją WKD, minęliśmy kolejną zagubioną duszę, tym razem pijaka, który w delirycznej malignie rzucił się pod pociąg. Na pierwszy rzut oka wyglądał jak człekokształtny balon z helem, przywiązany za stopy do sprężyny mocującej szynę do podkładu. Gdy przejeżdżał pociąg, pęd powietrza odchylał go na bok. Mamrotał coś stale do siebie i nikogo nie zauważał. Za to Tina zaczęła znacząco oblizywać się na jego widok, więc czym prędzej wyszliśmy z wykopu kolejowego na Włodarzewską. Tu już nic nam się nie przytrafiło i po dziesięciu minutach stanęliśmy u stóp Górki

Szczęśliwickiej. Teraz przyszła kolej na mnie. Nie musieliśmy się wspinać. Rozgarnąłem czas i weszliśmy prosto w stok.

Chyba jednak wyobrażałem sobie to zadanie zbyt prosto. W środku panował kompletny chaos! Usypane tutaj fizyczne gruzy Warszawy okazały się także gruzami czasu i pamięci. Szczątki przemieszanych bezładnie epok historycznych, jak nadpalone i ukruszone wspomnienia, pojawiały się wszędzie wokół nas w najdziwaczniejszych konfiguracjach, jakby zawieszone w próżni. Dookoła lewitowały kawałki ścian, podłóg, dachów, stropów, szczątki mebli, a pomiędzy nimi wiły się mroczne, labiryntowe korytarze. Starałem się przemieszczać nas wszystkich najkrótszą drogą w przeszłość, ale okazało się, że nie sposób tu wyodrębnić płaszczyzn zdarzeń jednoczesnych, które posłużyłyby jako stopnie w głąb dziejów. Czasoprzestrzeń kompletnie się pokićkała. Rzeczy przeszłe i przyszłe pozlepiały się w jakieś ahistoryczne konglomeraty – ściana z XX wieku z podłogą z XVIII i strzępem dachu z XIX stulecia, na dodatek każde z zupełnie innego domu. Poszatkowane linie świata najwyraźniej próbowały odzyskać ciągłość i posklejać swą materialną tożsamość, bezwiednie tworząc karykatury tego, czym kiedyś były. Nijak nie dało się przez te zlepki przenikać, trzeba było je omijać, przechodząc przez miejsca, w których akurat w tej warstwie czasu było trochę wolnej przestrzeni. Wyobraźcie sobie, że idziecie przez ruiny, które co parę kroków zmieniają się w jakieś inne. Raz jesteście na piętrze, raz w zawalonej suterenie. Pod stopami zamiast przeszłości pojawia się nagle przyszłość i całą zabawę trzeba zaczynać od nowa – wciąż omijać pętle, inkluzje i ślepe ścieżki. W czwartym wymiarze to samo – zdarzenia i związane z nimi fragmenty materii pozakleszczały się, powodując mnóstwo międzywymiarowych osobliwości, w których zamienialiśmy się nagle w cienie-płaszczaki albo

widzieliśmy przed sobą własne plecy. Takie cuda to tylko w czarnej dziurze albo w Warszawie…

Zachowanie w tych warunkach zaplanowanego na zewnątrz kierunku przemieszczania zakrawało na dadaistyczny żart. Pogubiłbym się w tym czasoprzestrzennym labiryncie, ale w porę zdałem sobie sprawę, że nie należy stosować tu wyobrażeń porządkujących postrzeganie w normalnym świecie. Upieranie się przy stratyfikacji przeszłość-teraźniejszość-przyszłość nieuchronnie musiało się skończyć utratą poczucia strzałki czasu i wtedy moglibyśmy błądzić w tej górze bez końca. Powrót po własnych śladach nie wchodził w grę. Ten labirynt, skoro się do niego weszło, nie miał już żadnego zewnętrza.

To była pułapka na dusze przywiązane do miejsc znanych za życia. Te, które zapragnęły znów znaleźć się w swoim pokoju, na ulubionej kanapie czy w fotelu z książką, znajdowały tu to, co z nich zostało – parę cegieł, kawałek nadpalonego drewna – i snując wokół tych szczątków kokon własnych wspomnień, zamykały się w metafizycznym slumsie. Nie dostrzegały nas ani już nawet samych siebie. Nigdy dotąd nie przypuszczałem, że Warszawa pod powierzchnią rzeczywistości wygląda zupełnie jak brazylijska fawela, zamieszkała przez tysiące smętnych duchów, czepiających się namiastek sensu istnienia. Co więcej, te slumsowate zaświaty wciskały się w rzeczywistość, czego przykładem spotkanie na torowisku. Tamta kobieta jednak myślała o innych, dlatego mogła nas dostrzec i ugościć. Tu w głębi Górki Szczęśliwickiej dominował wyłącznie głuchy autyzm. Na dobrą sprawę to było to klasyczne limbo, w które Watykan ostatnio przestał wierzyć…

Dobra! Dekadencja dekadencją, ale musieliśmy się stąd jakoś wydostać!

Skoro jedynym rodzajem porządku, jaki dało się tu zaobserwować, było funkcjonalne lgnięcie do siebie rzeczy, należało to wykorzystać. Skupiłem

się i wyobraziłem sobie, jak wszystkie znajdujące się we wnętrzu tej góry fragmenty schodów, poręczy i klatek schodowych łączą się ze sobą w surrealistyczną całość. I tak się stało. Kłębiący się wokół nas chaos utworzył chybotliwą konstrukcję – wielką eklektyczną klatkę schodową, którą zaczęliśmy schodzić do piwnic, a te przecież zawsze są najstarszą częścią każdego budynku. W ten sposób odnaleźliśmy drogę do przeszłości.

Na samym dnie była woda. Ciemna toń, czarna jak smoła. Jan Seweryn z Leokadią na rękach stanął na jej powierzchni i popatrzył na mnie pytająco. Dołączyłem i chwyciłem go za prawy nadgarstek, zaś lewą rękę wyciągnąłem do Zaleszczuka, dając mu znak, by też wszedł tu razem z Tiną.

– Trzymajcie się mnie mocno! – poleciłem.

Tina oczywiście nie mogła ustać na wodzie, więc momentalnie pociągnęła nas w dół jak kamień. Jednak, wbrew moim obawom, niegłęboko. Mroczna, smolista topiel momentalnie pojaśniała zielonkawozłociście i zanim się spostrzegliśmy, wynurzyliśmy się na czworakach w bajorku głębokim może na dziesięć palców, utytłani od stóp do głów rzęsą i liśćmi grążela, w obejściu Jarogniewa i Szczyrbki. W tym zbiorniku wodnym niechybnie musiała zażywać ochłody prasłowiańska nierogacizna…

Gospodarze dostali osobiste objawienie, bo w otoczeniu gromady swych dzieci już czekali na nas na brzegu tej przerośniętej kałuży, oczywiście wszyscy niezmiernie ubawieni naszym widokiem.

– Zaby w dom, bogi w dom! – skomentował Jarogniew i oboje z żoną, parskając szczerym śmiechem, pomogli nam wydostać się z błota. Potem odebrali od Jana Seweryna Leokadię, którą gospodarz natychmiast zaniósł do chałupy. Nawiasem mówiąc, do Ośki żaden brud nie przylgnął.

My oczyściliśmy się z mułu i zielska jednym pstryknięciem palców. Natomiast Tina nadal była mokra i oblepiona rzęsą, wyglądała jak topielica. Szczyrbka na ten widok natychmiast spoważniała. Podeszła i kucnąwszy, spoglądała w oczy naszego demonka.

Nie powinna robić tego zbyt długo. Sam nie próbowałem, ale wiedziałem, co będzie. Czarne i puste oczy Tiny po krótkiej chwili przestaną być czarne. Pojawi się w nich ogień, ten sam, w którym ta mała spłonęła za życia, i na dodatek nie tylko będzie go widać, ale też da się poczuć jego żar… Po minucie kontaktu wzrokowego z Tiną dostaniesz jej wszystkie wspomnienia, cały ból, który z furią i gniewem wciśnie się w twój umysł, gdyż jej jedynym pragnieniem jest, by każdy poczuł to samo co ona i cierpiał tak samo.

Matka dusz wiedziała jednak, co robi. Okazało się, że Jan Seweryn nie dostał o niej pełnego objawienia, które uzupełniono właśnie w tej chwili.

Szczyrbka także przeszła żywcem przez ogień. Z własnej woli weszła na pogrzebowy stos męża poległego w walce z litewskim najazdem. Była ostatnią kobietą na Mazowszu, która dopełniła pradawnego indoeuropejskiego obyczaju sati. Kiedyś ludzka wola i wiara potrafiły być silniejsze od największego bólu.

Twarz Szczyrbki stężała, anielica zadrżała na całym ciele, ale nie odwróciła wzroku od oczu Tiny, weszła w jej ogień i nawiązała kontakt z duszą dziewczynki, która natychmiast wyładowała na niej całą swą złość. Matka dusz jęknęła mimo woli, pot wystąpił jej na skronie, ale nie odpuściła. Przeciwnie, chwyciła Tinę oburącz za ramiona, zacieśniając więź.

Budziła ją z demonicznego autyzmu.

Patrzyłem na te zmagania z lękiem i fascynacją, podobnie jak przyjaciele, którzy skupili się wokół mnie. Jarogniew wybiegł z chaty

i stanął za żoną, gotów do pomocy. Natomiast ich dzieci gdzieś się pochowały. Może rozumiały, a może tylko czuły, że dzieje się tutaj coś strasznego, czego być może same będą musiały doświadczyć na ziemi. Przecież nie wiadomo, w jakim miejscu i czasie narodzą się jako istoty zdolne do odczuwania cierpienia.

W Tinie przebudziło się człowieczeństwo.

– Mama! Mama! – zawołała rozpaczliwie i zaszlochała.

– Starcy tego na pocontek! – Szczyrbka odetchnęła z wielką ulgą. Zachwiała się i upadłaby na plecy, gdyby nie czujny Jarogniew, który ją podtrzymał. Dłuższą chwilę dochodziła do siebie wsparta na ramieniu męża.

– Nie płacz, malutka, już wszystko będzie dobrze… – Tinę po swojemu zaczął pocieszać Zaleszczuk, ale ona znów zapadła się w siebie. Jej płacz stał się sztuczny, mechaniczny jak u lalki lub kiepskiej aktorki, a za moment ucichł zupełnie i wszystko było jak dotąd.

– Trudna rada… – westchnęła Szczyrbka i otrząsnęła się ze słabości. – Dzieciska, dawać mi na nium bacenie! – poleciła głośno. – Ja teras pójda obacyć, co z tu wasu drugu pannu… – energicznie ruszyła do chaty obejrzeć Leokadię.

Dzieciaki Skoczybłotów zaczęły wychodzić ze swoich kryjówek i ostrożnie podchodzić do Tiny. Otoczyły ją kołem, ale żadna z tych czystych dusz nie zbliżyła się do demonicznej dziewczynki bliżej niż na trzy kroki. Wspólna zabawa raczej nie wchodziła w grę, lecz nie ulegało wątpliwości, że polecenie matki zostanie sumiennie wykonane.

– Siednijta se na przyzbie, jo przyniesa miodu – oznajmił Jarogniew. – Ino do piwnicki zajrza!

Przyjęliśmy zaproszenie, po czym gospodarz przyniósł półtoraka i gliniane kubki. Najpierw ulał obiatę Swarożycowi, a przez wzgląd

na gości także i Chrystusowi. Potem popijaliśmy w milczeniu, czekając, aż Szczyrbka skończy zabiegi przy Ośce.

Na początek opatrzyła jej rany chlebem i pajęczyną. Dalej było okadzanie i zamawianie. Dziwna to może praktyka wobec chrześcijańskiego anioła, ale skutek tych pogańskich obrzędów był, o dziwo, ekumeniczny i Leokadia wreszcie odzyskała przytomność.

– Gdzie ja jestem?! Gdzie są chłopaki?! – usłyszeliśmy nagle. Głos miała jednak bardzo słaby.

– Pocywaj, panienko jasna, wsytko dobrze jest – uspokoiła ją Szczyrbka.

– Ale oni tu są?

– Tak, panienko jasna. Zaśnij teras, a mocniejsa sie zbudzis…

Chwilę potem gospodyni stanęła w progu. Poważna mina Szczyrbki przeczyła uspokajającym słowom, które słyszeliśmy przed chwilą. Jarogniew chciał jej podać kubek z miodem, ale nie przyjęła napoju.

Patrzyła na nas bez mała z gniewem.

– Dobre bogi za złe karzu, za dobre darzu! – rzekła, nie kryjąc oburzenia. – A co zrobił ten was Chryst?! Dla zabawy dobru sługe na menki dał?!

– Jest w tym na pewno głębszy zamysł naszego Pana – Jan Seweryn podjął się improwizowanej teodycei.

– Źli ludzie źle zrobili jemu, to on teras innym źle cyni?

– Za większe cierpienie większa jest zasługa i nagroda w niebiesiech – odparł Jan Seweryn. – Im komu bliżej Pańskiego tronu stać przeznaczone, tym więcej musi wycierpieć.

– Dobry władyka nie chłosta, kedy kce nagrodzić!

Skonfundowany Jan Seweryn obejrzał się na mnie, ale nim zdołałem przyjść mu w sukurs, głos zabrał towarzysz Zaleszczuk, któremu w tych

okolicznościach przyrody zebrało się nagle na wykład z podstaw marksizmu.

– Religia jest formą świadomości społecznej stanowiącej fantastyczne odbicie sił przyrody, nieopanowanych praktycznie i teoretycznie przez człowieka – wyjaśnił nam z powagą. – Tu zebrani przedstawiciele różnych epok historycznych reprezentują odmienne stany ideologicznej nadbudowy, odpowiednie do środków i stosunków produkcji, które są im dostępne. Dlatego kontrowersje stąd wynikające są, proszę towarzyszy, nieuzgadnialne. Najlepiej będzie je porzucić i skupić się na planowaniu postępowej przyszłości.

Jarogniew, choć nie żył od dziewięciuset lat, zakrztusił się miodem. Szczyrbka zaczęła energicznie walić go w plecy.

– Wy w tej przysłości wszytkie macie tak? – sapnął nasz gospodarz.

– Nie – odparłem – tylko w jednej przejściowej epoce historycznej, zamieszkanej przez ofiary nieudanego eksperymentu społecznego.

Zaleszczuk popatrzył na mnie wilkiem, ale się zamknął.

– Nasz przyjaciel trochę racji jednak ma – oddałem mu sprawiedliwość. – Wy tutaj żyjecie w wiecznym kręgu powracających zdarzeń.

– Taki ład – odparł z powagą Jarogniew.

– Nic nowego wam się nie przytrafia.

– Tylko casem jakiesik cudaki ze świńskiego bajorka nam wylezu! – podsumowała rozbawiona Szczyrbka.

– Cichajze, babo, daj mówić! – zmitygował ją mąż pół żartem, pół serio.

– Wasz czas się powtarza – podjąłem wątek.

– Ano tak – zgodził się Jarogniew. – Jedno w swoim casie przychodzi, drugie odchodzi, potem znów przychodzi, kedy jego cas. To dobry ład.

– A nasz czas biegnie prosto do swego kresu, potem staje w miejscu i już nie powraca. Takie jest przeznaczenie według naszej wiary. Wchodzimy jakby na szczyt góry, na której już nie ma czasu, ale niektórzy z nas wyżej niż inni, dlatego ci bardziej zmęczyć się muszą.

– Kazdy z was ma swoju góre… – pokiwał głową Jarogniew. – Ano moze i tak być. I mówicie, ze ta panna z was najznacniejsa?

– Dokonała spośród nas największej rzeczy – potwierdził Jan Seweryn. – Dlatego radzi byśmy wiedzieć, co z nią?

– Ja jum zamawianiem do zmysłów przywiodła, ale wiencej zrobić nie moga – odparła Szczyrbka. – Tu ona ciengiem słabować bedzie, bo tu nie jej miejsce. Zabierzcie jum do tego wasego Chrysta, tam wnet sił nabierze.

– A co z naszą małą? – zapytałem spoglądając na Tinę, która wciąż stała nieruchomo w kręgu oglądających ją z lękiem dzieci gospodarzy.

– Niech tu ostanie – rzekła Szczyrbka. – Złe jej szukaju, a u nas nie znajdu. A cy o swej krzywdzie ta nieboga zapomni, tego to ja nie wiem. Za mocno jum te Niemce ukrzywdzili…

– Wasze dzieci się jej boją – zauważyłem.

– Tedy ja jum zaras na noc na nase urocysko zawioda. Tam wiela takich zabłonkanych zdusy chowamy. Z nimi jej bedzie dobrze.

– Jakie uroczysko? – zaniepokoiłem się, przeczuwając kłopoty.

– Duse od nas na świat idu, ale i casem do nas ze świata wracaju – odparł Jarogniew. – Bywa, ze złe, mściwe i pokrzywdzone. Nie nowina to. Tym gniewnym na urocysku miejsce znajdujem, coby one se tam pozyły i ze złości ochłonęły, zanim znów się narodzu. Ale wam tam chodzić nie radza. Lepiej tych złych nie draznić… Nas znaju, was nie. Tam tej wasej niebodze bedzie dobrze.

– Niech tak się stanie! – w drzwiach chaty stanęła Leokadia, z wysiłkiem opierając się jedną ręką o framugę, drugą macała przewiązane

lnianymi szarpiami rany na brzuchu. – Dziękujemy wam pięknie za pomoc, a na nas już pora!

– Jak się czujesz, Ośka? – zapytałem.

– Jak wyżęta szmata do podłogi – odparła z kwaśnym uśmiechem. Postąpiła dwa kroki, powłócząc nogami.

Jan Seweryn, jak na rycerza przystało, poderwał się z ławy i dwornie podał jej ramię. Wsparła się na nim ciężko, ale zdołała ustać na własnych nogach.

– To może jednak jeszcze trochę tu wypocznij – zaproponowałem.

– Trzeba mi do naszego nieba – odparła. – Tam mnie zaprowadźcie.

– Teraz nie będzie z tym kłopotu. – Dopiłem miód. – Znajdziemy sobie jakieś przytulne, poświęcone miejsce.

– Mój materialistyczny światopogląd stanowczo wyklucza… – zaczął swoje Zaleszczuk.

– Zrobimy tak, żeby był ateista syty i cherubin cały – odparłem, odzyskując humor. – Serdecznie dziękujemy za pomoc! – zwróciłem się do gospodarzy.

– Niech wam was Chryst darzy – odparł uprzejmie Jarogniew.

– Podejdźcie do mnie! – zwróciłem się do moich towarzyszy. – Wracamy do naszych czasów.

– Przez bajorko? – zaniepokoił się Jan Seweryn.

– Skądże! Teraz Tina już nas nie ciągnie w dół, więc znów możemy polatać. Chodźcie!

Całą czwórką stanęliśmy w zwartym kręgu. Szczyrbka i Jarogniew pomachali nam na pożegnanie.

– I siup! – zawołałem.

Wieki przemknęły w okamgnieniu i tym razem przeszliśmy przez sfery telluryczne jak po sznurku. W następnej chwili staliśmy na niższym

z dwóch szczytów Górki Szczęśliwickiej, tuż przy płocie z drucianej siatki, przegradzającym starą, betonową drogę dla ciężarówek przywożących gruz. Przed nami rozciągała się Warszawa XXI wieku z dominującą nad widnokręgiem faraoniczną kopułą centrum handlowego Blue City. W dole u podnóża góry wesoło migotały tafle stawów, wiał rześki wiaterek. Było mi lekko i doprawdy anielsko. Leokadia się uśmiechała, widać, że i jej ulżyło.

– Dokąd teraz? – zapytał Jan Seweryn.

Pokazałem przed siebie, na sterczący hen na północnym horyzoncie wysoki, zielony szpic wieży kościoła Świętego Wojciecha.

– Uwijemy sobie anielskie gniazdko na kościelnej dzwonnicy, może być? – zwróciłem się do Zaleszczuka.

– Bylebym nie musiał uczestniczyć we wstecznych i zacofanych ceremoniach religijnych – odburknął.

– A będziemy tam bezpieczni? – upewniła się Leokadia.

– Niebo to poświęcone miejsce plus anioły, czyli pod względem formalnym wszystko się zgadza. Znajdą nas tam, jeśli będą chcieli, ale już nam nic nie zrobią. Chyba że tobie, Ośka, znów przyjdzie ochota gonić jakiegoś potępieńca przysłanego na przynętę.

– Już nie będę – obiecała pokornie. – I przepraszam, już cię więcej nie zwymyślam.

Przyszła pora, aby jej to wreszcie powiedzieć. Uznałem, że trzeba to objawienie przekazać w miarę możliwości dyplomatycznie.

– Będzie mi trochę żal, kiedy przestaniesz być sobą.

– A dlaczego miałabym się zmienić?

– Jesteś wysokim cherubinem i musisz dorosnąć do swojego niebiańskiego urzędu.

– Ojej, to ja jestem aż taka ważna?!

Słowo anielskiego honoru, zarumieniła się przy tym jak niewinna panienka! Ech, to już powoli, ale nieodwracalnie przestawała być nasza stara, dobra, pyskata Czarna Mańka. Niedługo przyjdzie nam przed nią klękać i w rękę całować…

– Ostatni będą pierwszymi, Ośka, pamiętasz, kto to powiedział?

– No.

– Dobra, a teraz cel: gotyk nadwiślański! Uwaga, skaczemy stąd na południowy balkon na kościelnej wieży! Gotowi?

– Już! – powiedział Jan Seweryn.

Skoczyliśmy.

Ulica Wolska widziana z góry, z perspektywy kamiennego balkonu zawieszonego w połowie wysokości wieży kościoła Świętego Wojciecha, nad zegarem, a pod żaluzjami kryjącymi niegdyś dzwony, wyglądała na znacznie bardziej odległą, niż naprawdę była, wydawała się nawet trochę nierzeczywista. Tutaj nie decydowała prosta różnica wysokości, w sumie niewielkiej, bo raptem jakieś dziewięć, dziesięć pięter, ale fakt, że tam była ziemia, a tu u nas już niebo.

Leokadię posadziliśmy na krótkim boku balustrady, tak by mogła wygodnie oprzeć się plecami o ścianę wieży. Ja swoim zwyczajem raz-dwa uwinąłem się z czasem, tworząc lekką inkluzję, tak żebyśmy non stop mieli tutaj ciepłe majowe słoneczko, po czym sam beztrosko wyciągnąłem się w jego promieniach na balustradzie od frontu, oczywiście ku zgorszeniu Jana Seweryna, który przepełniony poczuciem obowiązku, stanął na warcie przy drzwiach na balkon. Towarzysz Zaleszczuk usadowił się naprzeciw Leokadii, ale nie oparł się swobodnie o ścianę, tylko siedział, jakby kij połknął, niczym na przemówieniu Gomułki. Słowem, rozgościliśmy się tu, jak kto lubi!

Zatem znów była ciepła kamienna płyta, prawda, że sporo węższa niż na rodzinnym grobowcu, ale ujdzie. A poza tym tu też miałem potępioną sąsiadkę, chyba zawsze musi być ktoś taki…

Była to samobójczyni, która czterdzieści lat temu skoczyła z tego balkonu, ale do ziemi, na stopnie przed głównym wejściem kościoła doleciało tylko jej ciało. Dusza zmieniła zdanie już w połowie pierwszej sekundy lotu i tu pozostała, zawisając w powietrzu na wysokości dolnej krawędzi tarczy zegara. Wisiała tam do tej pory – rozcapierzona jak rozgwiazda, twarzą w dół, wciąż przeżywając ten moment uświadomienia, że jednak nie chce umierać, że nie o to chodziło i ktoś, no, wiadomo kto, namówił do złego… Przepraszam, przesadziłem z tym potępieniem. To była dusza czyśćcowa, która wykazała skruchę poniewczasie. Lepiej za późno niż wcale. Skoro nie objawiono mi jej imienia ani kolei życia, był to znak, że sprawa jest nie moja i mam się do tych zaszłości eschatologicznych nie mieszać. Poprzestałem więc na niezobowiązującym współczuciu.

Musieliśmy zatem poczekać, aż Leokadia dojdzie do siebie i odzyska pełnię mocy. Jak długo? Naczelny zdecyduje. Do tej pory wszyscy mieliśmy majówkę…

Zrobiło się sennie, przyjemnie i leniwie. Znów zacząłem mieć poczucie, że robię to, co powinienem, czyli nic. Naprawdę, uwierzcie mi, naganiałem się, naszarpałem i naużerałem za życia. Nie miałem już poczucia żadnej misji i nie pragnąłem niczego innego, tylko patrzeć na przepływające nade mnę obłoki, ewentualnie samochody, tramwaje i przechodniów pode mną. Niech tam sobie mijają, ja będę trwał i trwał…

Nie tylko ja zasypiałem. Także Jan Seweryn opuścił głowę na ramię i drzemał na stojąco. Zaleszczuk zapatrzył się gdzieś przed siebie nieobecnym wzrokiem. Niech mu się przyśni świetlana przyszłość, a co mu będę żałował! Leokadia przymknęła oczy i uśmiechała się jak

dziecko. Popatrzyłem na nią z czułością. Szefie, to już naprawdę jest najwyższa pora, aby tę dziewczynę spotkało w końcu coś dobrego, rozumiemy się?

Czułem, że tak. Jednak na swoją upragnioną nirwanę musiałem jeszcze poczekać. Zamiast pogrążyć się w czystym trwaniu, zacząłem śnić. Objawienia spłynęły na mnie pod postacią snu, którym widziałem, słyszałem i czułem zmysłami kogoś innego. To znaczy, dla mnie to był tylko sen, dla niego prawdziwe życie…

Od tej chwili, za waszym pozwoleniem, na czas jakiś odstąpię od narracji pierwszoosobowej. Teraz z woli Naczelnego staję się wszystkowiedzącym narratorem trzecioosobowym. Taki zabieg formalny, żeby w niebie nie było nudno.

Poznajcie, proszę, głównego ziemskiego bohatera!

Wola, ulica Karolkowa, dom zakonny redemptorystów, ubikacja…

VII. Granica pokory

Śmierdziało.

Najgorsze były wyraźnie wyczuwalne w tym fetorze nuty zapachowe nie do końca przetrawionej marchwi i wołowiny, gdyż skojarzenie z jedzeniem dodatkowo potęgowało wstręt i obrzydzenie. Fale mdłości nie ogarniały już tylko żołądka i przełyku, ale pulsowały w skroniach, aż chciało się wyrzygać mózg przez nos i oczy.

Ksiądz Andrzej, desperacko wstrzymując oddech, wziął do ręki kolejny but, który kazano mu oczyścić. Każdy z braci wcześniej celowo wdepnął w psie odchody. Właściciel tego obuwia zrobił to aż trzy razy, na dodatek miał podeszwy typu traktor… Andrzej starał się myśleć o nim z wdzięcznością. Ta lekcja pokory z pewnością wyjdzie mu na dobre, ukształtuje charakter, uczyni użyteczniejszym sługą Boga i ludzi oraz zapewni błogosławieństwo. Jakaż to bowiem zasługa odbierać zasłużoną karę? Powtórzył to sobie po raz kolejny. Wszak dopiero pokuta niezawiniona prawdziwie zbliżała do Chrystusa. A on, Andrzej Słoniewicz, ksiądz redemptorysta, niespełna pół roku po święceniach chciał tego zbliżenia nade wszystko!

Cóż więc z tego, że gówno? Cóż, że od samego patrzenia robiło się niedobrze? Tak trzeba! Andrzej zacisnął zęby, wziął drewnianą szpatułkę i zaczął wydłubywać zwierzęce odchody z zakamarków podeszwy. Poruszone zaczęły śmierdzieć jeszcze bardziej. Wytrzymać! Wytrzymać na chwałę Pańską! Andrzej odepchnął od siebie małostkową myśl, że bracia

zakonni bawią się jego wiarą i poświęceniem. Nie! To miłość braterska stała za tym doświadczeniem. Miłość! Na pewno miłość!

Do tej pory zwymiotował już dwa razy, więc jakoś to szło, trochę zobojętniał, posmak żółci i kwasów żołądkowych w ustach i gardle sprawiał, że bijący od butów odór nie był aż taki straszny. Andrzej metodycznie wybierał brunatną maź, wycierał szpatułkę w kawałki papieru toaletowego i wyrzucał je do sedesu. Spuszczał wodę, gdy uzbierało się tam kilkanaście brudnych zwitków, a potem wstępnie oczyszczoną podeszwę mył w umywalce pod strumieniem ciepłej wody. Z wolna nabierał poczucia, że robi to wszystko ktoś inny, a on sam jest zupełnie gdzie indziej. Nie wiedział dokładnie gdzie, ale to pozwalało mechanicznie robić swoje. Postanowił, że najpierw oczyści z odchodów wszystkie buty, a było ich czternaście par, potem już zacznie je normalnie czyścić pastą. Jakoś to będzie. Do piątej po południu powinien się z tym wszystkim uporać, potem pójdzie się pomodlić do kaplicy, podziękować Bogu za dar wytrwałości. Na pewno w latach przyszłej posługi kapłańskiej nie z takimi brudami przyjdzie mu się zmierzyć. Więc niech i ta praca będzie na chwałę Bożą…

Zmotywowawszy się w ten sposób, przyspieszył i to był błąd. Zbyt energiczny ruch szpatułką spowodował, że omsknęła się ona po załomie podeszwy i niczym mała katapulta wystrzeliła mu prosto w oko drobinę… Nie zdołał sobie tego spostrzeżenia zwerbalizować do końca, po prostu zamarł w szoku, nawet nie mrugnął powieką. Dopiero po długiej chwili jak lunatyk bardzo powoli się podniósł, pochylił nad umywalką i przemył oko. Coś zakrzyczało w nim, aby to oko natychmiast wyrwać i odrzucić od siebie jak najdalej, wszak ono go zgorszyło, więc lepiej je wyłupić, a oczodół wyparzyć wrzątkiem… Niewątpliwie znalazł się na granicy

szaleństwa. Każdy ma taką granicę. Ostrożnie zaczął mobilizować rozum, by dojść do psychicznej równowagi.

Kiedy zapukano energicznie do drzwi ubikacji, pierwszą reakcją Andrzeja był wybuch paniki na myśl, że przynoszą mu nowe buty… Nie, tego już nie wytrzyma! Nagle naszło go pragnienie buntu. Był człowiekiem, miał godność… Po to szedł za głosem powołania?! Zamiast wniosków pojawił się nagły świdrujący ból w skroniach. Musiał usiąść.

– Proszę! – powiedział zmartwiałym głosem.

W progu stanął brat Eligiusz. Z pustymi rękami. Andrzej przez chwilę nie wierzył własnemu szczęściu, ale odetchnąć z ulgą nie śmiał ani nie był w stanie. Atak migreny był tak silny, że aż odbierał poczucie rzeczywistości. Księżyk czuł, że już nie stoi przed granicą swojej wytrzymałości psychicznej, ale przekracza ją popychany przez jakąś niewidzialną, przemożną siłę. Podnosił się przed nim szlaban do krainy obłędu. Coś w Andrzeju zaczęło pękać i poczuł się winny z tego powodu. Czyżby nie umiał wyrzec się siebie do końca? Był więc tak marnym sługą bożym…?

– Jak tam twoja pobożna posługa, księże Andrzeju? – zagadnął przybyły, demonstracyjnie marszcząc nos i uśmiechając się kpiąco.

Brat Eligiusz był człowiekiem ubogim duchem. Niektórzy mogliby go za to potępiać, mówić o nim lizus i donosiciel. Andrzej uważał, że właśnie dlatego należy otoczyć brata Eligiusza tym większą chrześcijańską miłością. Łatwo kochać bliźnich dobrych z natury, sztuka kochać tych mniej doskonałych.

– Ojciec Edmund życzy sobie z księdzem rozmawiać – oznajmił przybysz. – Natychmiast!

– Mam to dokończyć później? – spytał Andrzej, patrząc na ostatni rząd brudnych butów.

– Skończy kto inny – uciął brat Eligiusz. – Niech ksiądz idzie za mną!

Andrzej wstał ze stołeczka przepełniony ulgą i wstydem z powodu własnej słabości. Czemu nie zaufał, że ciężar na niego nałożony nie będzie jednak zbyt wielki? Z tego braku ufności trzeba się wyspowiadać, postanowił.

– Dziękuję bardzo, bracie Eligiuszu! – postarał się wyrazić w tych słowach jak najwięcej wdzięczności i zarazem stanąć pewniej na miękkich nogach.

Tamten tylko wzruszył ramionami.

– Chodźmy! – burknął. – Tylko niech ksiądz umyje ręce – polecił jak dziecku.

Andrzej znał drogę, ale brat Eligiusz najwyraźniej uznał, że powinien mu towarzyszyć. Razem przemierzyli pusty o tej porze korytarz i weszli do celi ojca Edmunda.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! – powiedział Andrzej. Czuł się już trochę lepiej, ból głowy zelżał.

– Na wieki wieków… – odpowiedział szybko gospodarz, szpakowaty i łysiejący zakonnik, w wieku lat sześćdziesięciu. – Dziękuję, bracie, możesz zostawić nas samych!

To było do Eligiusza, który skrzywił się z niechęcią, wyraźnie chciał być przy tej rozmowie, ale natychmiast pochylił głowę i posłusznie wycofał się za drzwi.

– Ksiądz siada! – ojciec Edmund wskazał Andrzejowi krzesło, a sam podszedł do okna i zapatrzył się w dal. – Ma ksiądz jakieś życzenia lub skargi? – zapytał po chwili, nie oglądając się na rozmówcę.

– Nie… – Andrzej zająknął się z lekka. – Żadnych skarg, proszę ojca przełożonego.

– A jednak ksiądz wzbraniał się przed przyjazdem do naszego domu? Coś się księdzu nie podoba? Albo ktoś…? – zawiesił głos.

– Rzecz nie dotyczy nikogo z tego zgromadzenia, proszę ojca.

– A kogo lub czego w takim razie?

– Tu niedaleko, na ulicy Płockiej, mieszka dziewczyna, z którą zanim poszedłem do seminarium, coś mnie łączyło… – Andrzej poczuł, że się rumieni na tamto wspomnienie. – Mieszkając tak blisko siebie, moglibyśmy się przypadkiem spotykać na ulicy, a ja chciałbym uniknąć niezręcznych sytuacji. Ona bardzo przeżywała to, że wybrałem nie ją, a służbę Bogu. Dlatego starałem się o zmianę przydziału.

– Rozumiem. – Ton głosu ojca Edmunda wcale nie wskazywał na jakiekolwiek zrozumienie. – Chciał ksiądz uniknąć pokusy.

– Nie mam żadnych pokus w tym względzie – odpowiedział Andrzej z całym przekonaniem. – Dla mnie to sprawa zamknięta, ale ją mógłbym zranić swoim widokiem i tego chciałem uniknąć.

– Jak się ta panna nazywa?

– Anna. Dokładnie Jesika Anna Paprotkiewicz. Pierwsze imię jest dość pretensjonalne, wiem… Dlatego, myśląc o niej, używam raczej drugiego.

– I nic już księdza z nią nie łączy?

– Nic, proszę ojca. Nie wiem nawet, co ona teraz robi. Listy, które pisała do seminarium, odsyłałem z powrotem bez otwierania.

– To się księdzu chwali – stwierdził z roztargnieniem. – Ja o czym innym chciałem z księdzem mówić. O rzeczy niezwykłej wagi.

– Słucham, ojca.

Starszy zakonnik odwrócił się od okna i dopiero teraz spojrzał uważnie na Andrzeja.

– Rozmawiamy dlatego, że postawa i zachowanie księdza dotychczas były poza wszelkimi zastrzeżeniami. Dostrzegamy księdza pobożność,

chrześcijańską pokorę i posłuszeństwo przełożonym. Zwłaszcza posłuszeństwo – podkreślił.

– Czuję się zakłopotany tymi pochwałami, ojcze. Są niezasłużone…

– To nasza opinia – uciął starszy duchowny. – Jeżeli zaś ksiądz ma względem siebie jakieś wątpliwości, to zaraz wysłucham spowiedzi księdza. Na razie jednak rozmawiamy na stopie służbowej. Co księdzu wiadomo o wydarzeniach dziejących się ostatnio w naszym domu zakonnym?

– Przepraszam ojca, ale nie rozumiem…

– O plotki pytam! Czy dotarło do księdza, że dzieje się tutaj coś dziwnego?

– Tylko tyle, proszę ojca, że jest jakaś wielka tajemnica, którą zna tylko kilku ojców i braci.

– Kto to księdzu powiedział?! Jako przełożony oczekuję, że poda mi ksiądz imię tego brata.

– Ale to nie był nikt konkretny, naprawdę, proszę ojca! Skojarzyłem ze sobą kilka luźnych informacji zasłyszanych przy wspólnych posiłkach.

– Niech ksiądz dobrze przemyśli swoją odpowiedź, gdyż za chwilę zapytam księdza jeszcze raz, wiążąc go sakramentem spowiedzi świętej – rzekł surowo ojciec Edmund.

– Moja odpowiedź będzie taka sama – zapewnił Andrzej.

– Przekonajmy się w takim razie – gospodarz wyjął z szuflady stułę. – Niech ksiądz uklęknie…

Andrzej dołożył starań, by wyspowiadać się najszczerzej, jak potrafił. Ojciec Edmund powtórzył swoje pytania, tyle że w bardziej szczegółowej formie. Na koniec długo się zastanawiał, wreszcie udzielił Andrzejowi rozgrzeszenia, zalecając lekką pokutę.

– Proszę, niech ksiądz usiądzie – powiedział na koniec łagodniejszym tonem. – Przepraszam za moją natarczywość, ale musiałem się upewnić, że ksiądz jest godny dopuszczenia do wielkiej tajemnicy. Teraz już jestem gotów księdzu całkowicie zaufać.

– Jaka to tajemnica, proszę ojca? – Andrzej postanowił, że wysłucha jej na stojąco.

Ojciec Edmund podszedł i zbliżył usta do jego ucha.

– Nasze zgromadzenie nawiedza osobiście Maryja Panna – szepnął.

Andrzej cofnął się z wrażenia dwa kroki. Zamrugał oczami.

– Jak to… – wykrztusił z wysiłkiem.

– Myśli ksiądz, że tylko nierozgarnięci pastuszkowie i zasmarkane podfruwajki mają prawo widywać Matkę Bożą?! – zirytował się ojciec Edmund. – Że domy zakonne nie są właściwym miejscem dla objawień? Koniecznie muszą być przydrożne drzewa i wiejskie śmietniki? Że nie zasłużyliśmy na tę łaskę, modląc się latami, dniem i nocą? Niechże ksiądz siada, zanim mi tu zemdleje! – rozkazał.

Andrzej posłuchał. Gospodarz podał mu szklankę wody.

– Dziękuję, ojcze… – Młody kapłan wypił, odetchnął i postarał się zebrać myśli. – Od jak dawna nasze zgromadzenie dostępuje tego błogosławieństwa?

– Od wielu lat. Ja nie byłem pierwszym wybranym. Czyż nie zauważył ksiądz, jak rozkwitają ostatnio dzieła naszego zakonu?

– Ojciec dyrektor też…?

– Oczywiście. I nie tylko. Dzisiaj przyszła kolej na księdza, tylko proszę oszczędzić mi pensjonarskiej afektacji i rozczulania się nad sobą!

– Tak, ojcze, przepraszam. Co mam czynić?

– Nasza Pani sama to księdzu powie. Teraz proszę iść do kaplicy i przygotować się na spotkanie z Nią. Wezwiemy księdza, kiedy przyjdzie

czas. Do tej pory zalecam post i modlitwę. Byłoby niestosowne, gdybym teraz zobaczył księdza w refektarzu.

– Nie byłbym w stanie nic przełknąć.

– Z Bogiem!

Ojciec Edmund nie musiał go napominać. Kaplica była w tej chwili jedynym miejscem, w którym Andrzej chciał być. Potrzebował się wyciszyć, uspokoić, zebrać myśli. Okazać wdzięczność za doznaną łaskę, na którą wszak z całą pewnością nie zasługiwał. Skoro jednak Panu i Matce Jego spodobało się takie wywyższenie nieużytecznego sługi, jedyną możliwą odpowiedzią były słowa: „Oto jestem!”.

Andrzej skupił się na modlitwie. Przynajmniej to umiał i wychodziło mu to naprawdę dobrze. Właśnie dar głębokiej modlitwy upewniał go i podtrzymywał na duchu w chwilach zwątpienia w powołanie. Dziś było mu trudniej niż zwykle wejść w modlitewny trans, ale poradził sobie. Po pierwszym kwadransie emocjonalne pomieszanie zaczęło się zmniejszać, po pół godziny myśli Andrzeja zupełnie oderwały się od spraw ziemskich. Przeminęło wszystko, co złe i nieprzyjemne, stracił poczucie czasu. „Nie zasługuję, ale jestem gotów…”, powtarzał sobie w przerwach pomiędzy kolejnymi dziesiątkami różańca, których nie liczył. Wreszcie przepełniła go wdzięczność, radosne oczekiwanie na cud i nic więcej się już nie liczyło.

Oprzytomniał, gdy ktoś położył mu rękę na ramieniu.

– Bracie Andrzeju, prosimy… – To brat Tomasz, człowiek czterdziestoletni, z natury surowy, teraz przemówił z serdecznością, jakiej Andrzej nigdy by się po nim nie spodziewał. – Pójdźmy, bracie!

Było późne popołudnie. Po drodze spotkali kilka starszych pań, które przyszły po pomoc duchową i próbowały zagadać brata Tomasza, lecz on zbył je szybkim machnięciem dłoni. Odstąpiły pokornie.

W celi, do której weszli, nie było żadnych sprzętów poza wiszącym na ścianie krucyfiksem. Tylko kamienna podłoga i otynkowane biało ściany. Pod sufitem wisiała na kablu goła żarówka. Był tu już ojciec Edmund oraz ojciec Wincenty, słynący z wielkiej pobożności i gorliwości w sprawowaniu posługi religijnej. Andrzej odsunął od siebie słowo „fanatyzm”, które częstokroć łączono z tym człowiekiem. Nie wolno było o nikim myśleć źle, zwłaszcza w takiej chwili!

Brat Tomasz zamknął za nimi drzwi na klucz.

– Usunęliśmy z tego pomieszczenia wszystkie sprzęty i rzeczy – wyjaśnił Edmund – aby nie powstało choćby najmniejsze podejrzenie kuglarskiej sztuczki. Czy pragniesz jeszcze, księże Andrzeju, upewnić się, że drzwi i okna są dobrze zamknięte? Że nie ma tu innych ukrytych wejść? Jeżeli chcesz możesz nawet opukać ściany i podłogę…

– Nie będę niewiernym Tomaszem – zapewnił młody kapłan.

– Zatem klęknijmy, bracia, i módlmy się…

Zaczęli odmawiać *Litanię do Najświętszej Maryi Panny*. Ojciec Wincenty recytował podniosłe wezwania, pozostali odpowiadali.

Wszystko stało się zupełnie zwyczajnie. Przy słowach „Pocieszycielko strapionych!”, zanim zdążyli odpowiedzieć: „Módl się za nami”, odezwał się miękki kobiecy głos: „Jestem”.

Ksiądz Andrzej uniósł głowę i zobaczył Ją stojącą przed nimi. Tak po prostu. Było ich tutaj czterech i nagle stało się pięcioro…

Matka Boga wyglądała dokładnie jak na obrazach przedstawiających objawienia w Lourdes – biało-błękitna blondynka. I nie było w niej absolutnie nic nierealnego. Rzucała cień na ścianę. Powłóczysta suknia kołysała się naturalnie i marszczyła przy każdym ruchu. Wyraźnie słychać było szelest stóp na posadzce, gdy postąpiła w ich stronę.

– Witajcie. Witaj, księże Andrzeju! – zwróciła się do niego.

Wydawało mu się, że jest gotów, ale teraz kompletnie zaschło mu w ustach, a dłonie zrobiły się zupełnie mokre. Serce waliło, wręcz ogłuszało swoim łomotem.

– Nie lękaj się, Andrzeju – uśmiechnęła się łagodnie. – To naprawdę ja… – Podeszła bliżej i wyciągnęła do niego rękę. – Możesz mnie dotknąć, jeśli chcesz.

– Nie śmiem, pani…

– Ale chyba możesz okazać mi szacunek, całując moją dłoń?

Pozostali duchowni patrzyli na niego wzrokiem bliskim zgorszenia, więc Andrzej przełamał swoje onieśmielenie i zrobił, co mu kazano. Rękę miała zwyczajną jak każda normalna kobieta, ciepłą i miękką, paznokcie krótko obcięte, niepomalowane. Tylko kiedy dotknął ustami skóry na jej dłoni, wrażenie tego dotyku pozostało na wargach Andrzeja i nie znikało.

– Dziękuję za twoją modlitwę, Andrzeju, ale chciałabym cię prosić o coś jeszcze.

– Co tylko zechcesz, pani! – zapewnił, starając się nadać głosowi mocniejsze brzmienie. W głowie miał kompletną pustkę.

– Chcę, abyś się do mnie modlił – wyraziła życzenie. – Zmów dwieście razy *Różaniec*.

– Tak, pani. – Chyba to właśnie powinien był powiedzieć w tej chwili?

– Pragnę też dać ci władzę nad demonami. Otrzymasz dar egzorcyzmowania. Odtąd demony będą słuchać każdego twojego rozkazu. W zamian jednak uczynisz dla mnie jeszcze jedną rzecz.

– Jaką, pani?

– Upadają nie tylko ludzie, ale także anioły. Zdarza im się to rzadziej niż ludziom, lecz zdarza się nieustannie. Ukażesz więc anioły, które zbuntowały się przeciwko mnie. Rzucisz na nie swój pierwszy egzorcyzm.

– Na anioły? W jaki sposób, pani? – z pustki w głowie księdza Andrzeja wyłoniła się myśl, która go przeraziła i wstrząsnęła nim do głębi. Wątpił. Irracjonalnie, na przekór świadectwu zmysłów i autorytetowi przełożonych. Zwątpił i zarazem poczuł się jak świętokradca. Całą siłą woli wyparł tę myśl ze świadomości.

– Twoi bracia udzielą ci wszystkich wskazówek. Taka jest moja wola. Masz zrobić to jutro, dokładnie siedem minut przed południem.

– Tak, pani… – Tym razem spojrzał jej prosto w oczy. W jej wzroku nie było nic ciepłego, macierzyńskiego, tylko wyniosła duma. Może powinien to uznać za godność królowej?

– Wykonaj mój rozkaz! – podniosła głos aż cela zadudniła echem. W następnej sekundzie rozmyła się w powietrzu i znikła.

Ojciec Wincenty zaczął odmawiać wielkim głosem: „Zdrowaś Mario…”. Inni mówili wraz z nim, tylko ksiądz Andrzej milczał wstrząśnięty.

– Za pierwszym razem to robi naprawdę duże wrażenie… – Ojciec Edmund przyjaźnie poklepał go po ramieniu, gdy odmówiono dziesiątek Różańca. – Potem już będzie bezstresowo, jak mawia dzisiejsza młodzież. Przywyknie ksiądz.

– Naprawdę…?

Pozostali duchowni postawili go na nogi i zaczęli serdecznie ściskać.

– Teraz już ksiądz jest jednym z nas! – oznajmił ojciec Wincenty.

Nie wiedzieć czemu, te słowa Andrzejowi nie bardzo się spodobały.

– Oczywiście, jak tylko ksiądz Andrzej wykona wolę naszej pani – uściślił ojciec Edmund. – Ukaranie zbuntowanych aniołów to próba. Każdy z nas przechodził ją w swoim czasie.

– To aż tak wiele aniołów buntuje się przeciw swojej Królowej? – zapytał zdziwiony Andrzej.

Przyjazna atmosfera zwarzyła się momentalnie.

– Nie mam rozważać jej święte rozkazy! – obruszył się ojciec Wincenty. – Jesteśmy tu po to, by jej służyć bez cienia wahania!

– Wygląda na to, że muszę dziś jeszcze drugi raz pomówić poważnie z księdzem Andrzejem – stwierdził oschle ojciec Edmund. – Niezwłocznie!

Brat Tomasz pospiesznie otworzył drzwi celi objawień. Wychodzącego Andrzeja pożegnał sztywnym skinieniem głowy. Z poprzedniej serdeczności nie pozostał nawet ślad.

Ojciec Edmund szedł przodem bardzo rozgniewany, nie oglądając się na Andrzeja.

– Ksiądz ośmiela się mieć wątpliwości?! – wybuchnął, gdy znaleźli w jego celi. – To tak ksiądz odpłaca za swoje niebywałe wywyższenie?!

– Mam wątpliwości – przyznał szczerze Andrzej.

– Doprawdy…? – widać było, że ojciec Edmund aż zagotował się wewnętrznie. – Nie odczuwa ksiądz zachwytu, ekstatycznej radości, gorliwego pragnienia usłużenia we wszystkim bez najmniejszego wahania?! Jakież to wątpliwości ośmiela się ksiądz jeszcze mieć?!

– Jestem zdziwiony, proszę ojca. Chciałbym to wszystko sobie jakoś przemyśleć… zastanowić się…

– Nie będzie sobie ksiądz niczego przemyśliwał! Otrzymał ksiądz osobisty rozkaz Maryi Matki Bożej, więc go ksiądz wykona o wyznaczonej porze, a potem zostanie surowo ukarany za okazaną teraz zuchwałość i brak wiary. Popełnił ksiądz ciężkie świętokradztwo już przez sam brak gorliwości!

– Chciałbym tylko lepiej rozeznać tego ducha…

Dostał w twarz. Tak niespodziewanie i mocno, że nie zdołał w żaden sposób przygotować się na przyjęcie ciosu, skutkiem czego stracił równowagę i runął jak długi na podłogę celi.

– A kimże ty jesteś, chłystku, by ośmielać się rozeznawać duchy? – wydyszał rozjuszony ojciec Edmund, pochylając się nad nim. – Pycha przeżarła cię tak, że śmiesz zadawać kłam swoim zwierzchnikom?! Sądzisz, że rozeznanie takie nie zostało poczynione już dawno temu?!

– Chciałem tylko uspokoić sumienie… – jęknął zszokowany Andrzej.

– Sumienie?! – Starszy zakonnik wyglądał tak, jakby zaraz miał go rozszarpać gołymi rękami. – Ja, twój zwierzchnik, jestem teraz twoim sumieniem! Ty jesteś tylko trupem w moich rękach i masz robić, nędzniku, co ci każę! Taka jest wola świętego Kościoła, zrozumiano?! Wola hierarchii, nie twoja! Twojej woli nie ma! Jesteś częścią Kościoła czy jesteś poza nim?! Pamiętasz, co ślubowałeś?!

– Posłuszeństwo… – szepnął zbielałymi wargami Andrzej.

– Więc milcz i służ!

Bez słowa, potakująco skinął głową.

Na widok tej uległości ojciec Edmund uspokoił się nieco. Odwrócił się od Andrzeja, wziął z półki jakąś książkę, przekartkował ją z pasją, szukając czegoś, na koniec zaznaczył to miejsce zakładką.

– To jest instruktarz tego, co masz jutro zrobić – rzucił książkę na leżącego Andrzeja. – Masz się tego przez noc wyuczyć!

Ksiądz Andrzej podniósł się szybko. Przyciskając tom do piersi, cofnął się do drzwi. Ojciec Edmund patrzył na niego z bezgranicznym wstrętem i pogardą.

– Nie zapomniałeś o czymś?! – warknął, gdy Andrzej zaczął macać za sobą, na oślep szukając klamki u drzwi.

– Uniżenie dziękuję ojcu za lekcję pokory…

– Precz z moich oczu!

Do swojej celi ksiądz Andrzej wrócił zdruzgotany. Z jednej strony oburzony na samego siebie za swój mimowolny brak wiary, z drugiej

do głębi porażony myślą: „To nie Ona!”. Na dodatek to odczucie ani trochę nie poddawało się zwątpieniu. Nie Matkę Bożą widział, nie Jej dłoń całował… Własna pewność w tym względzie wręcz rozsadzała mu umysł. Czyż to możliwe, aby był aż tak pełen pychy? Bo niby skąd pewność, że to objawienie fałszywe? Nie był w stanie uzasadnić tego racjonalnie, po prostu jego sumienie zareagowało odruchem wymiotnym…

A jeśli nie Ona, to kto?! Przede wszystkim, jeśli nie Ona, to jego zwierzchnicy są w błędzie, służą złemu. Ale komu miałby się poskarżyć na tych, którym we wszelkich sprawach duchowych, a taka natura tej sprawy niewątpliwie była, winien był całkowity szacunek i absolutne posłuszeństwo? Papieżowi? Poza hierarchią, poza drogą służbową?

A jeśli to on, Andrzej, się myli? O, jakże małym, jakże nędznym człowiekiem oraz kapłanem okazywał się w takiej chwili! Wstręt i gniew ojca Edmunda byłyby jak najbardziej usprawiedliwione. Boże, dopomóż!

Nie mogąc się uporać z wątpliwościami, Andrzej zaczął przeglądać otrzymany instruktarz. To był tajny suplement do *Rytuału Rzymskiego*, opisujący praktyki, których nie należało odbywać w obecności osób niepowołanych i nieprzygotowanych, a także bez wyraźnego polecenia duchowego zwierzchnika. Samowolne wykonanie tych obrzędów było zagrożone automatyczną ekskomuniką. Rytuał wyklęcia aniołów nawiązywał do początku *Listu świętego Pawła do Galacjan*: „Choćby anioł z nieba głosił wam ewangelię odmienną od tej, którą myśmy wam głosili, niech będzie przeklęty!”. Istniała zatem podstawa pozwalająca egzorcyzmować anioły i strącać je w otchłań… Pod warunkiem że przebywały na ziemi, wśród ludzi i próbowały zmieniać *Nowy Testament.*

A jeśli te anioły robiły coś innego? Jeśli to nie była Ona, a on uczyniłby coś przeciw aniołom wypełniającym Bożą wolę? Czy nie narażałby się

wówczas na grzech śmiertelny? To samo będzie, jeśli wymówi posłuszeństwo swoim zwierzchnikom.

Czy powinien zatem ustąpić w imię posłuszeństwa, czy też przekreślić wybór swojej drogi życia? Po tylu wyrzeczeniach i trudach formacji kapłańskiej, po niedawnym dostąpieniu sakramentu kapłaństwa naraz to wszystko odrzucić?

Andrzejowi zrobiło się duszno i ciasno. Musiał stąd wyjść. Gdziekolwiek. Przejść się, zebrać myśli… Zarzucił na ramiona płaszcz i wyszedł z celi. Zaraz za drzwiami czaił się brat Eligiusz, omal na siebie nie wpadli. Czyżby on go pilnował?

– Dokąd to, księże Andrzeju? – zapytał szybko zakonnik.

– Muszę odetchnąć świeżym powietrzem.

– Ach, rozumiem księdza, jak najbardziej… – Brat Eligiusz uśmiechnął się obleśnie. Najwyraźniej o niczym nie wiedział albo nie miał instrukcji na taką okoliczność.

VIII. Praźródło niespełnienia

Stanąłem na warcie, patrząc na przyjaciół moich, układających się do snu na poręczach kościelnego balkonu. Mniemałem, że teraz powinnością moją będzie nad ich spokojem czuwać, lecz nie było mi to dane. Oto bowiem i mnie senność zaczęła morzyć i zrozumiałem, że wraz ze snem przyjdzie objawienie, więc się mu poddałem i zasnąłem na stojąco, w istocie zaś czuwając nad drugim biegiem zdarzeń.

Myśl moja pobiegła z powrotem do domu Skoczybłotów, chwilę po naszym odejściu…

– I cóz myślis o tym, Sławo? – zapytał Jarogniew żonę, używając jej prawdziwego imienia.

Sława-Szczyrbka obejrzała się na Tinę stojącą w kręgu ich dzieci.

– Na urocysko trzeba mi z nium iść jesce przed zmierzchaniem.

– To wiem, Sławo, rzeknij mi jeno, cy poradzim sobie z nium jak z innemi?

– Nie poradzim – odpowiedziała Szczyrbka bez wahania. – Za wielkie zale w niej drzemia. Ona ma w sobie moc budzić uschłe popioły.

– Ale my chrystusowym nie skłamali, kedy my mówili, że Złe jej tu nie najdzie – upewnił się Jarogniew.

– Nie skłamali my im, ino pół prawdy rzekli – odparła kobieta. – Ona musi iść tam, kdzie jej przeznacone. My jej tu wienzić nie poradzim.

– I cóz nam pocunć? Zali to dobre, ze jum tu do nas przywiedli?

– Dobre – odrzekła Szczyrbka po chwili namysłu – ale w cym dobre, to ja nie wiem. Za wielka to moc na nase umy.

– Zatem idźta na urocysko. Niech tu bogi radzą, skoro my za mali. – Jarogniew skinął na chłopca i dziewczynkę, wyglądających na rówieśników Tiny. – Dopomózta swej maci! – rozkazał.

Oboje wiedzieli dobrze, co należy robić. Pobiegli do chaty i po chwili dziewczynka wyniosła z niej, ostrożnie trzymając obiema rękami, dzbanek pełen mleka, a chłopiec połówkę kołacza zawiniętego w lniane płótno oraz drugi, mniejszy dzbanek z miodem. Sława zbliżyła się do Tiny, wzięła ją za rękę i ruszyła przodem. Za nią podreptała dziewczynka z dzbanem mleka, a na końcu chłopiec z kołaczem i miodem. Cała czwórka poszła od sadyby dokładnie na północ.

Jarogniew wstał z ławy i patrzył za nimi zafrasowany.

Kobieta z trójką dzieci oddalała się szybko, pewnie znajdując bezpieczną ścieżkę wśród mazowieckich moczarów. Szli przez podmokłe łąki, mijając kępy wikliny, bajorka, rozmiękłe torfowiska i naprawdę groźne, bagienne topiele, pokryte kożuchami zielonej rzęsy. Na widok idących co chwila w powietrze zrywały się kaczki i przepiórki.

Zdawać by się mogło, że prowadzą Tinę z powrotem, tam skąd przyszła. Było jednak inaczej. Ich droga biegła bowiem wciąż przez ten sam czas. Pozostawali w tej samej warstwie dziejów. Jedyne, co się zmieniało w miarę jak szli, to liczba linii horyzontu przed i ponad nimi. Widnokręgi pojawiały się jeden nad drugim, niczym warstwy skał lub stronice ksiąg, co kilka kroków kolejny. Niebo stawało się jednym wielkim przekładańcem, aż wreszcie koniec ich ścieżki się rozdwoił, docierając zrazu do dwóch horyzontów, potem czterech, ośmiu, szesnastu…

Szczyrbka-Sława nie wahała się przy wyborze właściwej drogi. Widnokrąg, ku któremu prowadziła towarzyszące jej dzieci, różnił się

od innych wyraźnie – był mroczniejszy i szerszy. Poniżej lśnił w słońcu lodowiec i szumiało morze oligoceńskie, nad nim zaś jak na opoce układały się warstwy historii naznaczonej już obecnością człowieka. Gdzieś wysoko w górze czasu, w tym miejscu wznosiły się wały reduty wolskiej, kościół, cerkiew, cmentarze. Oni zaś szli w mrok pod nimi.

Nad miejscami urocznymi nigdy nie wschodzi słońce i nigdy nie zapada ciemność nocy, zawsze stoi półmrok, a powietrze zdaje się gęste jak woda. To miejsce, ujęte w dalekiej przyszłości czworobokiem ulic Wolskiej, Elekcyjnej, Pustola i Redutowej, nigdy nie powinno być tknięte ludzką ręką. Było nie z tego świata i rządziło się własnymi prawami. Było obce i przeciwne życiu. Wyraźnie czuli to już pierwsi wolscy osadnicy, zaczynając gospodarowanie w tych stronach od oznaczenia granicy krzyżem, potem wystawienia kapliczki, która stała się z czasem kościołem Świętego Wawrzyńca.

I nic więcej robić nie należało. Nie ścinać drzew, nie dobywać gliny na cegłę, nie sypać wałów reduty w 1831 roku. Przynajmniej nie tutaj, bo tu wszelkie męstwo wsiąkało w ziemię. Pod Olszynką Grochowską, aby powstrzymać wroga starczył polskim wojskom rów melioracyjny i kępa drzew. Tu zawiodły wyrafinowane fortyfikacje. Nie należało wkraczać do urocznego gaju z innym zamiarem niż złożenie ofiary. Wszystko bowiem, co tutaj wchodziło, stawało się żertwą.

Dlatego dusze, które jeszcze nie zaznały życia, wkraczać tu nie mogły. Dzieci Szczyrbki i Jarogniewa stanęły więc jak wryte na granicy uroczyska, nie śmiąc przekroczyć linii torów tramwajowych, które pobiegną tu za osiemset z górą lat. Za to Tina się ożywiła, z jej buzi znikł wyraz apatii. Poczuła zew praźródła… Puściła rękę Szczyrbki i śmiało ruszyła przodem, nie oglądając się na duchy, które ją tu przyprowadziły.

Sława wzięła od dzieci kołacz oraz dzbanki z miodem i mlekiem.

– Wracajcie do dom! – poleciła stanowczo.

Chłopczyk i dziewczynka jak na komendę skinęli głowami, odwrócili się na pięcie i odeszli z powrotem, nie oglądając się na swą pierwszą matkę. Szczyrbka upewniła się jeszcze, że dobrze idą i nie zabłądzą w czasie, po czym przyciskając do piersi naczynia i pieczywo, wkroczyła pomiędzy drzewa urocznego gaju. Tina do tej pory już znikła w gąszczu, ale prasłowiańska anielica dobrze wiedziała, gdzie ją znajdzie.

W poprzek uroczyska biegł jar, wąski i płytki, lecz o stromych piaszczystych zboczach. Na jego dnie nie rosło nic. Nawet liście z rosnących wokół olch tutaj nie spadały. Nie mogły wpadać, gdyż na krawędziach jaru kończył się świat. Dołem, na jałowym białym piasku ledwie dostrzegalnie płynął strumień, na którego powierzchni nie unosił się żaden paproch ani bąbelek piany. Doskonale przejrzysty łudził wzrok, każąc wątpić, czy naprawdę cokolwiek tu płynie. Dłuższe wpatrywanie się sprowadzało wizje. Bieg hipnotyzującego nurtu wyznaczał kształt rysy w rzeczywistości, może skazy, pęknięcia lub może był to celowy znak. Zrazu rysa ta widoczna była i w świecie i w zaświatach, lecz nie zmieniło to niczego, kiedy w doczesności jar zasypano i zatarto. Struga, choć niezbyt daleko, płynęła nadal. Stawała się zwykłą wodą i rozlewała się w jeziorko już dwieście kroków dalej, za ulicą Elekcyjną, na jednej z wyższych warstwic czasu. Tam była małym stawem, zwanym Oczkiem.

Szczyrbka-Sława ruszyła w przeciwną stronę, do praźródła stanowiącego serce uroczyska. Tu nic nie rosło i zawsze kłębiła się szara mgła, otaczająca niepozorną zdawałoby się kałużę, wokół której, jak okiem sięgnąć, na wpół zagrzebane w piasku, prosto lub przechylone tkwiły prasłowiańskie urny z popiołami zgarniętymi z wygasłych stosów pogrzebowych. Niektóre przykryte, inne otwarte lub z lekko uchylonymi pokrywkami. Całkiem podobne naczynie zawierało przemieszane razem

doczesne szczątki jej samej i Jarogniewa, ale tej urny tutaj nie złożono, miejsce to było bowiem niestosowne dla szczątków ludzi, których dumna śmierć stanowiła godne dopełnienie całego żywota. Nie czas to jednak, by roztrząsać te rzeczy.

Sława odszukała wzrokiem Tinę. Duch dziewczynki stał na brzegu praźródła i wpatrywał się w wodę w wielkim skupieniu. Szczyrbka czuła, jak w dziecku budzi się uśpiona moc, ale na razie jeszcze zostawiła je samo. Podeszła do glinianej misy ustawionej na trzech kamieniach pomiędzy urnami. Zajrzała do środka i uśmiechnęła się lekko, widząc, że jest zupełnie pusta, a właściwie wylizana do czysta… Przyklękła obok i zaczęła kruszyć do środka kołacz, starała się, by okruszki były jak najmniejsze. Rozdrobniwszy bez pośpiechu pieczywo, zalała je miodem, potem mlekiem. Dokładnie zamieszała wszystko palcami prawej dłoni, po czym wstała i strzepnęła mleczne kropelki pomiędzy urny.

– Pójdźta no, a pójdźta, malutkie! – zawołała półgłosem. – Pójdźta ino! Pójdźta tu!

Tina odwróciła głowę na dźwięk głosu i uśmiechnęła się jak zwyczajne dziecko, po czym wróciła do kontemplacji lustra wody praźródła.

Pierwszy poroniec wylazł spod pokrywy urny porzuconej o krok od misy z jadłem. Inne zaczęły wygrzebywać się z piasku, przywodząc na myśl biorące suchą kąpiel wróble, nietoperze lub jaszczurki. Niektóre porońce wyłaziły z urn. Żaden z nich nie wyglądał tak samo, w każdym cechy ludzkie przemieszane były ze zwierzęcymi, ale wszystkie miały ludzkie oczy głodnych niemowląt. Po chwili piszczącą chmarą rzuciły się do misy z mlekiem i miodem, tłocząc się ze wszystkich stron, zaczęły wychłeptywać słodki napój. Te, które miały ludzkie rączki, łowiły nimi rozmiękłe kawałki kołacza i energicznie wpychały je do ptasich dziobów lub jaszczurczych pyszczków.

– Syćta głód, niebozuntka! – powiedziała serdecznie Szczyrbka. – Syćta do woli! Syćta, ile chceta… – Podeszła do Tiny i położyła jej rękę na głowie.

– Tu jest dobrze – powiedziała dziewczynka, wciąż wpatrując się w wodę.

Sława spojrzała jej przez ramię i dłuższą chwilę szczerze zaciekawiona wpatrywała się w wizję dwudziestowiecznego pokoju dziecinnego, w którym mała Tina bawiła się lalkami.

Wracały jej wspomnienia…

– Zobacyłaś swe imie? – zapytała z powagą Szczyrbka.

– Alinko! Alinko! – zawołała nagle Tina głosem dorosłej kobiety. Oczy małego demonka przestały być czarne. Zaczęły wypełniać się ogniem.

Prasłowiańska anielica szybko pocałowała dziecko w czoło.

– Wypełń to, co ci przeznacono! – powiedziała i odeszła pospiesznie, zabierając ze sobą dzbanki po mleku i miodzie.

Tina-Alina nie obejrzała się za nią, uklękła powoli na brzegu praźródła i zanurzyła w nim dłonie. Kiedy chwilę później podniosła je znów do oczu, ściekała z nich krew…

– Alinko! Alinko! – powiedziało dziecko głosem swojej matki, który drżał bardziej z każdym słowem. – Panowie żołnierze każą nam wyjść na podwórko! Pewnie chcą nas policzyć… Chodź, Alinko, potem się pobawisz…

Opuściła zakrwawione dłonie i wzdrygnęła się, gdy przebiła ją pierwsza kula. Nie czuła bólu, tylko wstrząsy kolejnych trzech trafień.

– Czy ja umrę? – zapytała w pustkę.

Jeden z już najedzonych porońców zatrzepotał energicznie nietoperzymi skrzydłami i sfrunął dziewczynce na ramię. Nie strąciła go. Stworek,

czepiając się włosów i ucha, podciągnął się wyżej i pocałował Tinę w policzek. Wtedy ona go pogłaskała.

– Braciszek? – zapytała. – Jesteś moim braciszkiem?

Poroniec pisnął twierdząco i skrył się w jej włosach. W jego ślady poszły następne. Jedne zlatywały jej na plecy i przedramiona, inne wspinały się po nogach, a ona śmiała się do nich, przytulała je i pomagała im zagnieździć się w fałdach swojej sukienki. Potem wstała i rozłożyła szeroko ręce, a one obsiadły ją całkiem, aż pod ich ruchliwą masą znikła twarz. Nie było w tym wszystkim ani cienia agresji, strachu czy lęku, lecz coraz więcej bliskości. Było uczucie wzajemnego odnalezienia i dopełnienia. Odnalazło się bowiem to, co niezaczęte, przerwane, niedokończone, nieprzeżyte, niepomyślane, niedokonane, zaniechane, niedotworzone, zgubione między istnieniem i niebytem, a nieprzynależne ani do jednego, ani do drugiego. Odnalazło się i poczuło swą moc. Tina-Alina Królowa Porońców, Władczyni Początku bez Dokończenia, Pani Kontynuacji otworzyła oczy, które błyszczały teraz jak dwie złote monety. Ruchliwa masa demonicznych stworzonek jakby wsiąkła w jej ciało, stały się nią, a ona nimi.

Potem młoda pani nabrała w dłonie wody z Czarnego Źródła i wlała ją do pierwszej z brzegu urny. Naczynie buchnęło parą, jakby wciąż były w nim rozżarzone węgle, po czym pękło z hukiem na ćwierci. Popiół i przepalone kawałki kości zamieniły się w bochen żywego ciała, w którym natychmiast zarysowały się ręce, nogi i głowa. Chwilę później z prochu powstał chłopiec, rówieśnik Tiny-Aliny. Smuga mgły owinęła się wokół niego i stała białym giezłem. Chłopiec pokłonił się swojej wskrzesicielce i zrobił to samo co ona, nabrał wody w dłonie, wlał do kolejnej urny. Znowu syknęła para, a pękająca glina uwolniła tym razem ciało nastolatki, już prawie młodej kobiety, którą też przyodziała mgła. Tina-Alina, nie

oglądając się na nową towarzyszkę, ożywiła popiół w kolejnej urnie. Z jednego dziecka zrobiło się dwoje, troje, sześcioro, dwanaścioro…

Uroczysko ożyło i zaludniło się dziećmi biegającymi z czarną wodą życia w dłoniach, wlewającymi ją w kolejne urny i wdeptującymi w piasek skorupy zbędnych już naczyń. Aż pękła ostatnia z urn i wtedy zmartwychwstały, milczący tłum otoczył zwartym kręgiem swoją przywódczynię.

Tina-Alina bez słowa pokazała im drogę. Zaczęli iść w dół jaru, z biegiem wieszczego strumienia, setkami stóp wdeptując płynące nim wizje w piaszczyste błoto. Ona prowadziła, białe widma szły za nią, nad wszystkimi polatywały porońce. Nie było wśród nich nikogo, kto miałby więcej niż siedemnaście lat. Przekroczyli granicę wolskiego uroczyska, ale na razie nie pokazali się w żadnej z warstw realnej historii. Wciąż szli szczeliną w pękniętej rzeczywistości. Szczerba rozwidlała się co jakiś czas, lecz idąca przodem dziewczynka bez wahania wybierała odnogi i korytarze biegnące pod prawdziwym życiem, pod głównym nurtem czasu i zdarzeń, zapętlającym się w nieskończone wiry powtórzeń historii.

Pod przewodnictwem Tiny-Aliny z wolskiego uroczyska ruszyła krucjata dziecięcego niespełnienia.

IX. Przez ciemną dolinę

Ksiądz Andrzej ruszył do wyjścia z domu zakonnego, nie oglądając się za siebie. Miał wrażenie, że zaraz ktoś się na niego rzuci i zatrzyma go siłą, ale nic takiego się nie stało. Na furcie nie było nikogo. Andrzej wyszedł jak zwykle na ulicę Karolkową i odetchnął z ulgą, jakoś mu ulżyło. Teraz zadał sobie pytanie, czy ma iść w prawo, czy w lewo?

W zasadzie było mu wszystko jedno, ale skręcił w lewo, w kierunku ulicy Wolskiej, potem jeszcze raz w lewo, minął dom handlowy i przystanął przy studni wody oligoceńskiej. Jeden kran był uszkodzony, ciurkał z niego wijący się strumyk. Ksiądz Andrzej nabrał wody w dłonie i zanurzył w niej twarz. Przyniosło mu to nadspodziewanie wielką ochłodę. Nawet nie podejrzewał, jak bardzo jest rozgorączkowany. Musiał mieć duże wypieki, zresztą nie było się czemu dziwić. Na dodatek szczypał go policzek po ciosie ojca Edmunda, być może zaczynał już robić się siniak. Obmył twarz jeszcze raz, w kieszeni miał paczkę jednorazowych chustek, otarł się kilkoma, po czym zdjął koloratkę. Nie ze wstydu, ale przez poczucie odpowiedzialności i szacunek dla stanu duchownego. Wierni nie powinni oglądać księdza z podbitym okiem.

Nadal zupełnie nie wiedział, co robić, ale przynajmniej czuł się trochę lepiej. Instynktownie ruszył do przejścia podziemnego i zszedł na dół. Był tu pasaż handlowy, ciasno wypełniony sklepami oraz typowo bazarowymi stoiskami. Mnóstwo ludzi, miejsce bardzo ruchliwe, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Ksiądz Andrzej był sam w tłumie. Nie mając nic lepszego

do roboty, przyglądał się kolejnym wystawom, aż dotarł do wyjścia po drugiej stronie ulicy Młynarskiej. Spojrzał na schody i dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że ucieka. A właściwie, że zacznie uciekać, jeśli wyjdzie tymi schodami na górę. To będzie początek…

Już dosyć! Przeszedł się, trochę ochłonął, wystarczy. Trzeba wracać i poddać się woli przełożonych. Jeśli się mylą, to będzie ich grzech, nie jego. On tylko wykonywał rozkazy… Wzdrygnął się na ten wniosek, ale kontynuował rozumowanie. Zatem przyjmie pokutę, jaką mu wyznaczą za okazany brak wiary.

Na myśl o kolejnej stercie butów ubrudzonych psimi odchodami kolana Andrzeja się ugięły, a potem nogi same zaczęły nieść go na górę. No dobrze, był w dużym stresie, więc po prostu jeszcze trochę się przejdzie… Stanowczo odsunął od siebie myśl, że nie wróci do domu zakonnego. Jest dorosłym człowiekiem, odpowiedzialnym duchownym, więc nie będzie się zachowywać jak dziecko uciekające z domu! Tylko jeszcze trochę pospaceruje, jeszcze kawałek…

Minął sklep jubilerski, skręcił w ulicę Staszica. Po drugiej stronie była restauracja Gama, w której przed laty w porachunkach mafijnych zginęło pięciu ludzi, a parę kroków obok miejsca, gdzie teraz przystanął, znajdował się kiedyś kantor, którego właściciel stracił życie podczas napadu rabunkowego. Andrzej pomodlił się w duchu za ofiary i nawrócenie sprawców, ciesząc się, że robi wreszcie coś zgodnego ze swoim powołaniem. Potem przeszedł przez jezdnię i zagłębił się w podwórka po drugiej stronie. Błądził niespiesznie zaułkami ulicy Wawelberga, aż doszedł do Górczewskiej i tu, minąwszy wylot Działdowskiej, zdał sobie sprawę, że droga prowadzi go do domu Anny Jesiki…

Ksiądz szukający pocieszenia u byłej dziewczyny? To było stanowczo w złym guście! Tylko co z tego, skoro rozmyślając nad tym zagadnieniem,

jak po sznurku doszedł do Płockiej, skręcił w nią, minął szpital i po prostu jak głupi stanął pod oknem panny. Tyle że po przeciwnej stronie ulicy.

Powinien przejść na drugą stronę czy zawrócić?

Należało wreszcie podjąć męską decyzję! A może tylko odwiedzić dawną sympatię i napić się herbaty…? Nie byłoby w tym nic złego, gdyby tu wyłącznie o sentyment chodziło! To nie była jedynie sympatia. Wspólnie dopuścili się grzechu nieczystości… Byli kochankami. On otrząsnął się z tego, ona nie. Należało stąd zniknąć!

A jednak nie mógł odejść. Bo dokąd? Dokąd właściwie miał wracać? Do piekła? Wszak jeśli zjawa, którą dzisiaj całował w rękę, nie była Królową Anielską, to dom zakonny przy Karolkowej był filią piekła na ziemi, zamieszkaną przez ludzi opętanych i zaślepionych.

Którym on winien był bezwarunkowy szacunek i posłuszeństwo.

Którzy żądali od niego zatracenia duszy.

Sumienie Andrzeja zawyło w ciemnej otchłani.

Niech to będzie sąd boży, zdecydował się w końcu. Zawiniłem wobec tej dziewczyny, więc stanę przed nią i spojrzę jej w oczy. Skoro mam zostać potępiony, niech ona mnie potępi. Tu i teraz!

Przeszedł ulicę, wszedł w bramę i niemal wbiegł po schodach na ostatnie, trzecie piętro. Czym prędzej zadzwonił do drzwi, by zdążyć, zanim dopadną go wątpliwości. Zdołał zadzwonić dwa razy, kiedy oprzytomniał porażony niedorzecznością swego postępowania.

– Kto tam? – usłyszał jej głos.

Nie był w stanie dobyć własnego. Chciał uciekać. Zrobił nawet w tym celu ćwierć obrotu i zobaczył mrugnięcie światła w wizjerze. Patrzyła i na pewno musiała go poznać. Wizjer pociemniał, potem zapadła długa cisza.

Ksiądz Andrzej apatycznie czekał, aż dopełni się miara jego upokorzenia i upadku.

Szczęknęła zasuwa, ugięła się klamka.

– A co ty tu robisz?! – Miała na sobie stary, wytarty dres i patrzyła na niego wzrokiem, w którym zdumienie zmagało się z gniewem i żadne z tych uczuć nie było w stanie przeważyć nad drugim, choć oba bardzo się starały.

– Sam tego do końca nie wiem.

– Przyszła koza do woza… – wydęła wargi. – Zmęczył cię ten celibat, co?

– Jeżeli każesz mi teraz pójść do diabła, to dokładnie tam pójdę.

– To już nie masz gdzie iść? – zaskoczyła go domyślnością.

– Chyba tak… – Był wstrząśnięty tym, ile szczerości usłyszał teraz we własnym głosie.

Ją też to musiało poruszyć, bo trochę zmiękła.

– Wejdź… – uchyliła szerzej drzwi. – Tylko nic sobie nie myśl!

– Dziękuję, Anno.

– Mam na imię Jesika i mnie się to imię podoba! – zareagowała jak dawniej. – Chodź do kuchni. Co ci się stało w policzek?

– Biłem się z myślami… – Andrzej odzyskał nieco humoru.

– Ciesz się draniu, że ja nie jestem twoją myślą! Trzeba to posmarować masłem, bo inaczej jutro będzie sine limo.

Posłusznie poddał się zabiegowi. Dotykała jego twarzy delikatnie jak kiedyś… Zarumienił się na to wspomnienie. Ona zaś bezbłędnie odgadła, co mu chodzi po głowie.

– Świnia jesteś, wiesz?! Nie ksiądz, tylko świnia!

– Zrozum wreszcie, poszedłem za głosem powołania…

– Zabierając sobie na drogę moją cnotę! – wpadła mu w słowo, odwróciła się i nastawiła wodę na herbatę. – Potraktowałeś mnie jak królika doświadczalnego! Przetestowałeś, stwierdziłeś, że to nie to, i dałeś w długą, uznając, że klepanie paciorków jednak bardziej cię kręci! Chwaliłeś się potem w tym swoim seminarium przed kumplami, jak to jest, kiedy się odkrywa prawdziwą drogę powołania?!

– Proszę cię, nie bądź wulgarna. Wiem, że postąpiłem źle, zgrzeszyłem i…

– Wyspowiadałeś się, tak?

– Tak.

– I dostałeś rozgrzeszenie?

– Tak.

– To ciekawe, bo ja ci wcale nie wybaczyłam! Ani nigdy nikogo do tego nie upoważniałam! Z jakiej racji ktoś wybaczył ci za mnie?

– Anno… Jesiko – poprawił się szybko. – Mogłabyś już się na mnie aż tak nie gniewać. Stało się, przepraszam.

– A wiesz, ile razy marzyłam, żeby ci wygarnąć tak prosto w oczy jak teraz? Ile razy wyobrażałam sobie, jak to robię. A teraz nagle siup! I mam cię, draniu! Spadasz mi jak z nieba…Wykopali cię stamtąd?

Czego jak czego, ale kobiecej intuicji nie można jej było odmówić. Rzeczywiście, czuł się jakby wyrzucony z nieba bez spadochronu. Żył, dlatego że jeszcze spadał… – przypomniał sobie stary góralski dowcip, ale znów nie był w stanie uśmiechnąć się nawet w duchu.

Jesika tymczasem skończyła parzyć herbatę i postawiła kubki na stole.

– Naprawdę nie możesz mi odpuścić? – spytał, gdy usiadła naprzeciw. – Minęło już tyle lat…

– I czterech innych palantów w tym czasie! I wiesz co?! Ich też powinni byli przyjąć do tego całego seminarium, bo nie byli w niczym gorsi

od ciebie. Równie mało mieli sobie do zarzucenia i uważali się za takich samych świętych.

– Nie ułożyłaś sobie życia? – Spróbował zmienić temat.

– Ułożyłam. Mieszkam sama, zarabiam na siebie i jest mi dobrze.

– A rodzice?

– Matka pojechała do Anglii i chyba już nie wróci, kogoś tam sobie przygruchała. Ojciec dwa lata temu po pijaku wpadł pod pociąg, niedaleko Dworca Zachodniego.

– Współczuję.

– Współczuć to mi trzeba było, kiedy się ten bydlak zachlewał. Albo gdyby mu tylko nogi obcięło, a ja musiałabym go teraz obsługiwać. A tak jest git! Całe szczęście, że ten twój Bóg mnie nie kocha, bo podobno tym, których kocha, z tej miłości doszczętnie zatruwa życie.

– Masz jeszcze brata – podjął mocne postanowienie, że nie da się jej sprowokować.

– Siedzi. Tym razem dostał piętnaście lat.

– A ty czym się zajmujesz?

– Mam własną firmę! – oświadczyła z dumą. – Nawet sama rozliczam VAT!

– Jaką firmę?

– Wróżby na telefon… W branży używam pseudonimu wróżka Epifania.

Dobrze, że nie zdążył upić herbaty, bo z pewnością by się zakrztusił. Odstawił parujący kubek, patrząc na nią szeroko otwartymi oczami.

– Na razie tylko na telefon i esemesy, bo nie mam dobrego wyglądu – mówiła dalej. – No, wyglądam za młodo, przez to nie mogę urządzić gabinetu w domu, bo do takiej gówniary nikt nie przyjdzie i miejsce też jest takie sobie. Ale za to mam gadane i jak ludzie mnie nie widzą, to im się

podoba. Mam już trzydzieści stałych klientek, które kręci, że jestem taka tajemnicza…

– Odwróciłaś się od Boga i zajmujesz okultyzmem i czarną magią?! – Andrzej zdołał wreszcie przemóc oszołomienie.

– Pomagam ludziom. Może nawet bardziej niż ty.

– Naprawdę przykro mi patrzeć, jak bardzo jesteś zagubiona.

– I to mówi gość, który przed chwilą przywlókł się do mnie jak zbity pies.

– Boże, mój Boże! – westchnął ciężko. – Czemuś mnie opuścił…

– Z deszczu pod rynnę, co? – zagadnęła z ironicznym błyskiem w oku. Kiedyś lubił ten błysk…

– Masz dar intuicji – przyznał to z ciężkim sercem.

– Dobra! Wyrzuciłam, co miałam na wątrobie, to teraz twoja kolej, żeby sobie ulżyć. Co się stało, że ci twoi tak cię przeczołgali?

– Stało się… – stwierdził, że nie potrafi o tym mówić wprost. – Coś bardzo dziwnego.

Spodziewał się kolejnego sarkastycznego komentarza, ale Jesika przybrała minę wyrażającą profesjonalną empatię, co zdeprymowało go bardziej niż wszystkie możliwe drwiny. Ksiądz spowiadający się wróżce… Świat nie dość że stanął na głowie, to jeszcze zaczął na niej podskakiwać!

– Też miałam coś podobnego – okazała zrozumienie. – Wyobraź sobie, że wczoraj coś mnie tknęło, żeby wziąć tarota i pojechać z kartami na cmentarz…

– Błagam, oszczędź mi tego! – W geście rozpaczy złapał się za skronie.

– No, jak tam sobie chcesz. Wiem, że w tych sprawach nie można nikogo przymuszać do mówienia. Powiedz, co w takim razie zamierzasz dalej?

– Powinienem już sobie pójść – stwierdził załamany i wstał.

– Po to stamtąd uciekałeś, żeby teraz wracać?

– Nie uciekałem…

– Tylko co?

– Nie wiem – przyznał to wreszcie. – Zupełnie nie wiem, co robić.

– Złapałeś doła – stwierdziła krótko. – Tak jak ja kiedyś przez ciebie. Ale nie jestem taką świnią jak ty, żeby zostawiać cię samego w tym stanie. Prześpij się, a rano coś wymyślimy.

– Mam zostać u ciebie na noc?

– Jeszcze tego by brakowało! – zezłościła się i poderwała od stołu. – Mówiłam, żebyś sobie nic nie wyobrażał! Masz! – zdjęła jakiś klucz z kuchennego wieszaka. – To od mieszkania naprzeciwko. Pani Janina jest w szpitalu, a ja jej podlewam kwiaty.

Spokojny, samotny kąt na całą noc… Kto wie, może to była najlepsza rzecz, jaka go dziś spotkała?

– Właścicielka nie będzie miała za złe?

– Nie marudź! Jesteś księdzem, to chyba jej nic nie ukradniesz.

– Nie ukradnę… – spróbował się uśmiechnąć. – Dziękuję ci, Jesiko.

– Tylko mnie nie bierz na sentymenty! Chodź, pokażę ci wszystko, co i jak.

Mieszkanie było kawalerką przesyconą wonią starości, której nie było w stanie usunąć żadne wietrzenie. Jednak teraz dla księdza Andrzeja był to zapach swojskości i bezpieczeństwa.

– Może lepiej nie ruszaj jej pościeli, przyniosę ci koc. Głodny jesteś?

– Tak – teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo.

– Zrobię kanapki.

– Dziękuję. Jesteś dobrą kobietą, Jesiko.

– Głupia jestem i jak zwykle daję się wykorzystywać! – obruszyła się i wyszła.

Wróciła po kwadransie, niosąc talerz z jedzeniem i dwie świeże herbaty.

– Jedz. – Usiadła naprzeciw i sięgnęła po kanapkę.

– Pomódlmy się najpierw.

– Jak tam sobie chcesz – wzruszyła ramionami.

Dalsza rozmowa się nie kleiła. Jakby spłoszyły ją gesty i słowa modlitwy. Po kilku minutach zabrała swoją herbatę, napoczętą kanapkę i zwyczajnie wyszła, rzucając na odchodne zdawkowe „dobranoc”.

Ksiądz Andrzej dokończył kolację i postanowił w pierwszej kolejności podziękować Bogu za schronienie i czas dany do namysłu. Może nawet powinien przeznaczyć całą tę noc na modlitewne czuwanie? Może dzięki temu wraz ze światłem dnia spłynie na niego także i boskie światło, które wskaże mu dalszą drogę? Z tą myślą zabrał się do szukania dewocjonaliów, które pomogłyby mu skierować myśli do Boga. Starsza pani, która tu mieszkała, z pewnością powinna mieć różaniec i jakieś święte obrazy. Dwa wytarte moherowe berety na półce w przedpokoju wyraźnie wskazywały, że coś takiego powinno tu być.

Znalazł szybko, ale plik egzemplarzy „Strażnicy” oraz inne materiały propagandowe Świadków Jehowy. Gospodyni była moherową jehowitką… To odkrycie dobiło go już ze szczętem. O jedno doświadczenie w dniu dzisiejszym za dużo. Coś się w nim rozsypało i ksiądz Andrzej bezwładnie osunął się na tapczan. Nie był w stanie się rozebrać ani nawet zgasić światła.

I dobrze, że nie zgasił, bo śniły mu się koszmary. Wydawało mu się, że na piersiach siada mu trup na poły spalonej, na poły upieczonej kobiety, chwyta go za gardło i zaczyna dusić. Uścisk spieczonych palców na szyi był tak realistyczny, że aż czuł, jak pod wpływem siły nacisku od kości

odchodzi rozmiękłe w ogniu mięso… Obudził się z głuchym jękiem i gdyby światło się nie paliło, nie zdołałby powstrzymać krzyku. Miał wrażenie, że wokół kłębią się demony, że słyszy ich chichot i obelgi. Słowa: „masz służyć!” rozległy się w pewnej chwili tak głośno i wyraźnie, jakby wypowiedział je ktoś obecny w tym pokoju. Ktoś niewidzialny… o kobiecym głosie… Ogarnięty zgrozą ksiądz Andrzej osunął się z łóżka na kolana i próbował uciec w modlitwę. Tym razem jednak wszystko mu się plątało i mieszało, zatarła się gdzieś i zagubiła granica między jawą a snem. Nie rozróżniał, czy czuwa, czy modli się we śnie, czy po prostu majaczy.

X. Pochód zjaw

Kościelne dzwony biły dzień i noc.

Dzwoniły już trzecią dobę bez przerwy. Ochotnicy przy sznurach dzwonnic zmieniali się co dwie godziny. Dłużej wytrzymać naprawdę się nie dało, ręce mdlały, a głowy, mimo uszu zatkanych woskiem, bolały jak ściskane żelaznymi obręczami. Niekończący się łomot i dudnienie przewracały wnętrzności. Ludzie mieli naprawdę dosyć, zdawało się, że zaraz popęka i zawali się zachmurzone niebo, tylko morowe powietrze nic sobie z tego dzwonienia nie robiło. Był przednówek 1625 roku, zaraza w Warszawie osiągnęła apogeum.

Z Nowego Miasta na Kępę Polkowską, błotnistą ścieżką wśród bagien u ujścia Drny, sunęło jeden za drugim pięć wozów. Trzy pierwsze otaczał silny kordon straży powietrznej. Przedmiotem pilnego baczenia strażników odzianych w niebieskie kolety byli zapowietrzeni, u których wykryto pierwsze objawy dżumy. Nikt z jadących na wozach nieszczęśników nie miał już żadnej nadziei na przeżycie, ale niektórzy mieli jeszcze dość sił, by uciec i rozwlec zarazę. Znali już wyrok losu i wiedzieli, że zanim opadną z sił, jeszcze dwa lub trzy dni mogliby sobie pofolgować, pić i chędożyć, ile wlezie, najdosłowniej rozumiejąc maksymę: „Dziś pijem, jutro gnijem!”, jednak ktoś zauważył u nich wzbierające wrzody i doniósł, komu trzeba. Pojmani nie myśleli się poddawać, wciąż szukali sposobu ucieczki. Widmo szubienicy nie robiło już na tych desperatach żadnego wrażenia. Tym większe zatem trzeba było dawać na nich baczenie. Jednego

najbardziej zawziętego już związano, inni udawali zbyt słabych lub uległych – tych też dobrze byłoby związać, ale nikt nie chciał bez potrzeby tykać zadżumionych.

Dwóch ostatnich wozów natomiast nikt nie pilnował ani się za nimi nie oglądał. Jechały tam trupki zabrane dzisiejszego ranka z sierocińca przy kościele Świętego Benona, chłopięta pięcio-, siedmioletnie, które kosa śmierci ścięła minionej nocy. Owinięte w całuny, po dwoje w jednym dla oszczędności tkaniny, rzucone na stertę, przynajmniej one nie zamierzały już sprawiać nijakich kłopotów.

Tak się przynajmniej zdawało.

Transport do izolatorium nadzorował jadący na pierwszym wozie, kompletnie pijany cyrulik w ptasiej masce na twarzy, kiwający się na każdym wyboju z takim rozmachem, jakby dziobał własne kolana. Niewiele mu brakowało, by zlecieć z kozła na zbity łeb. Wszyscy obecni przy ponurym transporcie nie żałowali sobie wódki, którą dla dania skuteczniejszego odporu zarazie doprawiono jeszcze octem, piołunem, rozmarynem, rutą i szałwią, wszelako imć Wincenty Kania, spełniając obowiązki cyrulika, profilaktycznym zażywaniem antidotum doprowadził się do stanu bliskiego zupełnej utracie świadomości. Ledwie pojmował, kim jest i gdzie.

Szczerze powiedziawszy, pił nie tylko dlatego, że popularny przesąd głosił, że pijanych dżuma się nie ima. Pił, bo musiał zapomnieć o martwych sierotach na ostatnim wozie, które straciły życie z powodu jego pychy i głupoty.

Pięć dni temu do ojca sprawującego pieczę nad sierocińcem przyszedł koniuch, służący w stajni należącej do szpitala Świętego Ducha. Prosty ów człek dokonał nader rozumnego spostrzeżenia, że po pierwsze, koni dżuma zupełnie się nie ima, choć trzeźwe chodzą, a po wtóre, nie zachorował też

nikt, kto przy koniach miał stałą robotę, a zatem może dobrze byłoby przenieść zdrowe jeszcze sierotki do stajni pomiędzy koniki, których zdrowie najwyraźniej i ludziom się udziela albo może zapach końskiego potu złe powietrze odpycha. Ojciec przełożony podziękował poczciwcowi za dobre chęci, ale postanowił poradzić się jeszcze w tej sprawie fachowej osoby, czyli cyrulika Wincentego. Ten, usłyszawszy o propozycji, aż zagotował się ze złości, przede wszystkim dlatego, że sam na to nie wpadł. Bo prawda to była! Ludzie przesiąknięci końskimi wyziewami jakoś czarnej śmierci spod kosy umykali. Coś tam wcześniej w tej mierze obiło się Wincentemu o uszy, ale zapomniał, a teraz uznał, że nie może dopuścić, żeby byle koniuch kompromitował sławną sztukę medyczną. Pomysł więc wyszydził głośno, opatrując krytyczny wywód mnóstwem uczonych terminów, z czego niektóre na poczekaniu wymyślił. Ojciec przełożony dał wiarę człowiekowi bardziej uczonemu i sieroty spały dalej tam gdzie zwykle. Trzy dni później, gdy u pierwszego chłopięcia wystąpiły objawy zarazy, zafrasowany duchowny spytał Wincentego raz jeszcze, czy by tych zdrowych zawczasu jednak do stajni nie przenieść. Cyrulik na zgubę całej reszty czeladki przy swojej opinii wytrwał i teraz tylko piciem wyrzuty sumienia zagłuszał.

Tuman mgły, który nagle przeciął im drogę, zadziwił wszystkich oprócz Wincentego, zbyt pijanego, by zdumiewać się fenomenem. Mgły poranne podniosły się z bagien już dawno temu, zbliżało się południe i choć słońce nie świeciło, mgła o tej porze nie była widokiem zwyczajnym, zwłaszcza że płynęła zwartą falą gdzieś od Powązek ku Wiśle, a powinno być odwrotnie, jeśli już.

Ludzie mieli nerwy stargane do cna, więc na widok niezwykłego zjawiska zaraz ktoś wrzasnął, że oto morowe powietrze w widzialnej postaci nadchodzi. Wszystkie oczy zwróciły się na cyrulika, który z głębi

swego ptasiego dziobu wydał przeciągłe, bulgoczące: „Eeeeee…”, po czym niezbornie machnął ręką, dając znak, by jechać dalej. Jeden ze strażników się przeżegnał, drugi pociągnął łyk gorzałki, któryś splunął, inny zaklął siarczyście, ale koniec końców posłuchano rozkazu. Ptasi dziób na twarzy, zmajstrowany na wzór ilustracji ze starych ksiąg, sprawdził się przynajmniej jako oznaka autorytetu.

Wozy z zadżumionymi wjechały w mgłę, której pasma coraz gęściej zaczęły spowijać ponury pochód. Kilku chorych na ten widok schytrzało i uniosło się z miejsc, pojmując, że teraz albo nigdy. Dowódca straży powietrznej spostrzegł, ku czemu sprawy idą, i czym prędzej wyjął zza pasa pistolet.

– Siadać z powrotem, psie krwie! – demonstracyjnie odciągnął kurek. – Pierwszemu, co się ruszy, kula w łeb!

Wymierzył w kierunku buntowników, którzy zawahali się wyraźnie i obejrzeli jeden na drugiego. Kulę podoficer miał tylko jedną, ale żaden z zapowietrzonych nie przejawiał ochoty, by poświęcać resztki swego życia dla wygody pozostałych. Próba ucieczki zostałaby udaremniona w zarodku, lecz oto nagle nad głową strażnika coś załopotało. Nim mężczyzna się spostrzegł, na wzniesionej lufie pistoletu przysiadł mu nietoperz, a raczej stwór ze skrzydłami nietoperza i maleńkim ciałem ludzkiego płodu poronionego w trzecim miesiącu. Nienaturalnie duże, czerwone oczy porońca zamrugały na podoficera, którego palec odruchowo zacisnął się na cynglu.

Huk bezsensownego wystrzału powinien być znakiem do ucieczki i byłby nim, chętni już się poderwali na równe nogi, lecz żaden nie ośmielił się zeskoczyć z wozu, wokół którego zaroiło się nagle od małych, białych, widmowych postaci. Podoficer straży powietrznej zamarł w bezruchu z uniesionym, dymiącym pistoletem. Nie śmiał nawet odetchnąć. Inni

modlili się gorączkowo, plącząc bezładnie słowa pacierzy. Woźnice porzucili lejce. Tylko konie rżały z cicha i bez lęku, głaskane po chrapach przez dziesiątki małych dłoni wyłaniających się z mgły.

Pochodowi zjaw przewodziła dziewczynka o dziwnych oczach, która śmiało podeszła do kiwającego się na wozie Wincentego, zwinnie wspięła na kozioł, chwyciła mężczyznę za połę kaftana i stanowczo pociągnęła w dół. Cyrulik zamamrotał coś od rzeczy, ale na razie się nie opierał. Ni to zlazł, ni to zleciał z kozła, stanąwszy na ziemi, zaraz się potknął i jak długi padł na twarz, doszczętnie zgniatając swój pergaminowy ptasi dziób.

Porońce rzuciły się na niego świszczącą chmarą, wpiły setkami pazurków w kołnierz, we włosy, w rękawy oraz w sukno kaftana na plecach, po czym jednym szarpnięciem, jak na komendę, postawiły mężczyznę na nogi. Demoniczna dziewczynka ujęła mocno jego dłoń i zaczęła prowadzić gdzieś przed siebie. Uścisk miała gorący, wręcz parzący jak ogień… Do Wincentego wreszcie dotarło, co się dzieje, włosy zjeżyły mu się ze strachu, z nieartykułowanym krzykiem wyrwał rękę z ognistego uścisku Tiny-Aliny i próbował uciekać gdziekolwiek, byle dalej stąd.

Nie zdołał ujść ani pół kroku. Kiedy bowiem uwolnił rękę, w zamian natychmiast chwyciły go dziesiątki innych, nienaturalnie silnych rączek, gorących, zimnych lub nieprzyjemnie suchych i kościstych, które energicznie pociągały go za sobą bądź pchały z nadnaturalną siłą. Nie sposób było im się oprzeć. Dłonie zjaw chwilami wręcz unosiły szamoczącego się cyrulika nad ziemią.

Pół pacierza od pojawienia się mgły imć Wincenty, jego przeraźliwy krzyk, dziecięce widma oraz sama mgła rozpłynęły się w powietrzu, jakby ich tu nigdy nie było.

Znów był zwykły, choć pochmurny dzień, błotnista droga za rogatką Nowego Miasta, pięć nieruchomych wozów i dwie dziesiątki śmiertelnie przerażonych ludzi. Potem ktoś zawołał rozedrganym głosem: „Jezus, Maria!”. Był to woźnica na ostatnim wozie, wyładowanym zwłokami z sierocińca. Mężczyzna drążącą ręką pokazywał na swój ładunek, a raczej to, co po nim zostało.

Spomiędzy poprzeczek drabiniastego wozu zwisały luźne całuny. Trupki ożyły i odeszły wraz z mgłą oraz porwanym cyrulikiem.

Oszołomiony podoficer straży powietrznej omiótł wzrokiem pozostałe wozy. Żyjący jeszcze zadżumieni siedzieli jak skamieniali. Żaden nie myślał już o ucieczce. Któryś jękliwie prosił o księdza i spowiedź.

XI. Śniadanie przegranych

Andrzej ocknął się, gdy za oknem było już widno. Klęczał przy łóżku zlany potem, obolały od niewygodnej pozycji i zmęczony o wiele bardziej niż wtedy, gdy kładł się spać. Nie był w stanie zebrać w sobie nawet tyle siły, aby normalnie położyć się na łóżku. Na szczęście rozbolała go głowa. Dlatego na szczęście, że pulsująca w skroniach migrena przynajmniej zmusiła go do jakiegoś działania. Wstał, powlókł się do łazienki, znalazł tam apteczkę, a w niej jakieś przeterminowane tabletki polopiryny. Łyknął od razu cztery, popił wodą z kranu i wrócił do łóżka. Zanim się położył, zmusił się jeszcze do tego, by zdjąć wierzchnie ubranie. Wysiłek włożony w rozbieranie tak go wyczerpał, że tym razem nawet demony nie zdołały zakłócić jego snu.

Obudził go dopiero dzwonek i walenie w drzwi. Nie do jego drzwi… Pojął to dłuższą chwilę po otwarciu oczu. Dzwoniono i na przemian dobijano się do Jesiki, a stanowczość, z jaką to robiono, pozwalała łatwo się domyślić, któż to mógł być.

Ksiądz Andrzej poderwał się, najciszej, jak potrafił, ruszył do przedpokoju i przyłożył oko do wizjera.

Ojciec Edmund oraz bracia Tomasz i Eligiusz. Najwyraźniej nie musieli długo myśleć, gdzie szukać zbiegłego konfratra.

– Ubieram się! – rozległ się głos Jesiki, wyraźnie słyszalny przez dwoje drzwi, musiały być cienkie. Ksiądz Andrzej wstrzymał oddech, ale się bał,

że zdradzi go łomot serca. – Chwila! Moment! Piekarnia?! – wrzeszczała i w końcu otworzyła. – A to co?! Po kolędzie nie przyjmuję!

– Przyszliśmy po księdza Słoniewicza – oznajmił wyniośle ojciec Edmund. Pozostali dwaj zakonnicy sprawiali wrażenie, jakby mieli zamiar siłą wtargnąć do mieszkania dziewczyny i tylko czekali na rozkaz.

– Andrzeja tu nie ma – ziewnęła i poprawiła szlafrok.

– A był?

– Był, ale wyszedł.

– Na pewno wyszedł? – wyraził wątpliwość brat Eligiusz i wyszczerzył się znacząco.

– Te, batman, heloł! Dawno nikt cię w jaja nie kopnął?! Jak zawołam chłopaków z podwórka, to odfruniesz na falach eteru z powrotem do tego swojego Torunia!

– Chcielibyśmy załatwić tę sprawę dyskretnie i polubownie – powiedział ojciec Edmund.

– Jaką sprawę? Mam wam może powróżyć?

– Chcielibyśmy upewnić się, że księdza Andrzeja na pewno u pani nie ma.

– Że niby ja go ukrywam? A nakaz macie?

– Nie mamy, dlatego proszę panią o pozwolenie. Jeżeli jednak życzy sobie pani rozmawiać z policją, to mam tam kilku znajomych… – znacząco zawiesił głos. – Razem z nimi coś wymyślimy.

– Dobra – Jesika ustąpiła, robiąc obrażoną minę. – Jeden może wejść.

– Bracie Tomaszu, proszę się rozeznać.

Dziewczyna zeszła zakonnikowi z drogi.

– Tylko żeby mi żadne majtki albo stringi nie zginęły! – rzuciła za nim wyzywająco. – Wiem, ile mam!

Sprawdzenie dwupokojowego mieszkania zajęło bratu Tomaszowi półtorej minuty. Wyszedł, nie kryjąc rozczarowania.

– Jeszcze raz panią przepraszam – ojciec Edmund zmienił ton na bardziej apostolski. – Musieliśmy zyskać pewność.

– No to już ją macie. Wystarczy?

– A pani nie wie, gdzie ksiądz Andrzej poszedł?

– Może wiem, może nie. Jednak tak coś czuję, że on by nie chciał, żebyście wiedzieli.

– Proszę pani, to jest bardzo poważna sprawa.

– Było widać. Kompletnie żeście chłopaka zdołowali.

– Czy moglibyśmy porozmawiać poważnie?

– A co, to do tej pory jaja tu sobie robiliśmy?!

– Nie chciałbym wyjaśniać tych spraw na schodach…

– Mówiłam już, że po kolędzie nie przyjmuję!

– Dobrze, skoro pani nalega – ojciec Edmund zniżył głos i oznajmił z obłudną troską. – Poważnie lękamy się o zdrowie psychiczne księdza Andrzeja…

– Celibat rzucił mu się na mózg?

– Słyszy głosy… – oznajmił z bezbrzeżnym smutkiem ojciec Edmund. – Wydaje mu się, że słyszy i widzi święte osoby, które każą mu wykonywać różne dziwne obrzędy w starotestamentowym stylu, pani rozumie, ofiary krwawe i całopalne… Ksiądz Andrzej może być bardzo niebezpieczny dla otoczenia. Szczególnie dla kobiet i dzieci…

Tym razem Jesika chyba się przejęła.

– Słyszy głosy? – upewniła się, szeroko otwierając oczy. – Co one mu mówią?

– Każą mu niszczyć zło we wszelkiej postaci, wszelkimi sposobami. Naprawdę powinniśmy wiedzieć, gdzie on jest. Dla wspólnego dobra.

– Poszedł o jedenastej na dworzec. Mówił, że pojedzie do jakiejś rodziny na wieś.

– Dziękujemy pani bardzo. Jeszcze raz przepraszamy za najście. A czy pani pożyczała księdzu Słoniewiczowi jakieś pieniądze? – Ojciec Edmund wyjął portfel. – W takim przypadku poczuwalibyśmy się do zwrotu tego długu.

Andrzej z napięciem czekał na odpowiedź.

– Nie, nic mu nie pożyczałam – odpowiedziała stanowczo.

– W takim razie szczęść Boże miłej pani i do widzenia.

– Żegnam! – Jesika wyszła na schody i patrzyła, jak odchodzą. Upewniła się jeszcze co do tego, schodząc na parter. Po chwili wróciła i zapukała do Andrzeja. Otworzył natychmiast.

– Podsłuchiwałeś? – domyśliła się, wchodząc do przedpokoju. – No to już wiesz, że mamy ich z głowy…

– Niestety nie, zdradziłaś się.

– Jak?

– Mówiąc, że nie pożyczałaś mi żadnych pieniędzy. Bez twojej pożyczki nie mógłbym kupić biletu na pociąg. Mój portfel i dokumenty zostały w domu zakonnym, musieli to zauważyć.

– Zwiałeś bez kasy i dowodu? – uniosła brwi. – To chyba jednak im uwierzę, że naprawdę masz świra.

– Nie planowałem ucieczki. Po prostu wyszedłem się przejść… – zamilkł, zdając sobie sprawę, że w zaistniałych okolicznościach nie wystawia najlepszego świadectwa swojemu rozsądkowi.

– Ale teraz już do nich wracać nie zamierzasz? – upewniła się.

– Nie po tym, co przed chwilą usłyszałem. Nie chcę na resztę życia trafić do klasztoru dla duchownych z zaburzeniami psychicznymi.

– A mówiłam, że jak się prześpisz, to zaczniesz kombinować normalnie. Czego ci potrzeba?

– Wszystkiego. – Zrobił szybki remanent kieszeni. Znalazł w nich tylko koloratkę, napoczętą paczkę chusteczek higienicznych, dwadzieścia groszy i miętówkę.

– Ksiądz na gigancie… – Jesika pokiwała głową z politowaniem. – Zostały mi jeszcze rzeczy brata, coś powinno się nadać. Zaraz przejrzę i ci przyniosę. Potem, jak się trochę ogarniesz, przyjdź do mnie na śniadanie.

Zdał sobie sprawę, że rozmawia bez świadków z niewiastą w negliżu, sam będąc w niekompletnym ubraniu – miał na sobie tylko podkoszulek, slipy i skarpetki… Oczywiście w tej sytuacji decydował brak zdrożnych myśli, ale wyrobione nawyki wzięły górę i ksiądz Andrzej, rumieniąc się gwałtownie, poniewczasie owinął się kocem.

Dziewczyna miłosiernie tego nie skomentowała, tylko poszła do siebie. Wróciła po dziesięciu minutach, przynosząc naręcze ubrań i trochę męskich przyborów toaletowych.

– Szczoteczkę do zębów kupię ci przy okazji.

– Masz złote serce, Jesiko.

Wzruszyła ramionami.

– To moje złote serce nikomu do niczego nie jest potrzebne. Najwyżej cycki… – odwróciła się na pięcie. – Kiedy wielebny pan ksiądz życzy sobie śniadanie? – rzuciła przez ramię.

– Muszę się odświeżyć i pomodlić… – oszacował czas. – To mi zajmie jakieś czterdzieści pięć minut.

Wyszła bez słowa, a ksiądz Andrzej zajął się sobą. Stwierdził, że chyba najbardziej ze wszystkiego brakuje mu brewiarza, ale jakoś sobie poradzi. Dwie godziny spokojniejszego snu nad ranem wystarczyły, by poczuł się lepiej, co najważniejsze, przestała go boleć głowa.

Większym problemem była intencja porannej modlitwy. Konflikt sumienia, w którym się znalazł, okazywał się tym głębszy, im więcej się nad tym zastanawiał. Posłuszeństwo, oddanie się w służbę Kościoła, wyrzeczenie się siebie i przyjęcie krzyża, który zechcą nałożyć na niego zwierzchnicy, to było to, czego pragnął i do czego przez lata się przygotowywał. I zawiódł. Od razu przy pierwszej poważnej próbie. A może jednak nie zawiódł…? Wszak powiedział „nie” diabelskim machinacjom. Teraz już nie miał wątpliwości, że wczoraj spotkał się ze złym duchem i że spełniając jego wolę, ściągnąłby na siebie gniew Pana. Ale przecież wola Kościoła była wolą Boga…

Nie mając lepszych pomysłów, postanowił powierzyć Mu swoje wątpliwości. O nic jednak prosić się nie ośmielił. Czuł się niegodny jakiejkolwiek łaski. Sumienie księdza Andrzeja było teraz jedną wielką raną, której lepiej nie dotykać. To był jedyny w miarę sensowny wniosek wynikający z jego modlitewnych medytacji. Z tym postanowieniem, przezornie upewniwszy się, że na schodach nikogo nie ma, przemknął do mieszkania Jesiki.

Czekała na niego z uroczyście zastawionym stołem. Postarała się tak samo jak wtedy, gdy jedli śniadanie po wspólnie spędzonej nocy, ale teraz to chyba nie była żadna aluzja. Po prostu traktowała go jak gościa. To była w gruncie rzeczy naprawdę dobra dziewczyna… Zmilczał to jednak, aby jej nie rozdrażnić, a i tak go ofuknęła.

– Jajecznica stygnie! Rób szybciej te swoje czary, bo już zgłodniałam!

Posłusznie spełnił jej wolę, przeżegnał siebie, potem dary boże, chciał także pobłogosławić gospodynię, ale Jesika spojrzała na niego takim wzorkiem, że ręka zawisła mu w powietrzu.

Usiadł szybko i zabrali się do jedzenia.

– Myślisz, że oni tu wrócą? – zapytała z pełnymi ustami.

– Będą obserwować ten dom – odparł po namyśle. – Powinni uwierzyć, że spędziłem noc gdzie indziej, ale na pewno nie dali wiary, że wyjechałem z Warszawy. Spodziewają się zatem, że do ciebie wrócę i będą na mnie czekać gdzieś w pobliżu. Do czasu aż… – uświadomił sobie, że przed demonami nie zdoła się nigdzie ukryć – aż się dowiedzą i przyjdą do mieszkania pani Janiny.

– Ale o tej mecie wiemy tylko my dwoje.

– Nie tylko… – westchnął ciężko.

– Mówiłeś komuś?! – obruszyła się zagniewana. – Dzwoniłeś do kogoś?

Pokręcił przecząco głową.

– No to o co chodzi? – zirytowana stuknęła widelcem o talerz.

Dłuższą chwilę zbierał się w sobie, żeby to powiedzieć.

– Ścigają mnie nie tylko ludzie – zaczął – ale także istoty, przed którymi nie uchronią mnie żadne ludzkie kryjówki… – Zamilkł, czekając na jej reakcję. Gdyby teraz nazwała go świrem, byłoby pół biedy. Gorzej, gdyby zaczęła się bać.

Zareagowała z nadspodziewanym spokojem.

– To dlatego mówili, że jesteś schizol? – popatrzyła uważnie.

– Nie chcieli, abyś mi uwierzyła.

– Najpierw powiedz mi, w co mam nie uwierzyć.

– To długa historia…

– Spieszysz się gdzieś? – zakpiła w żywe oczy.

Ksiądz Andrzej zaciął wargi. Uznał, że jeśli powie krótko i jasno, o co chodzi, pogrąży się ze szczętem. Zaczął więc relacjonować wszystkie wydarzenia, które go tutaj sprowadziły, po kolei, minuta po minucie, licząc, że przynajmniej dokładność opowieści uczyni ją bardziej wiarygodną.

– No, a co ci się w tej niby-matce boskiej nie spodobało? – Jesika zapytała rzeczowo na koniec.

– W pierwszej chwili byłem pod zbyt dużym wrażeniem i nie umiałem ująć tego w słowa, ale teraz chyba już wiem… – zamilkł na dłuższą chwilę.

– No co?! – ponagliła.

– To, że domagała się modlitwy, że kazała się modlić do siebie – odparł. – W tym była jakaś nieszczerość. Pismo Święte uczy, że prawdziwa Maryja Panna była uosobieniem skromności i pokory, więc nie powinna domagać się niczego dla siebie. Takie zachowanie pasuje raczej do demona, który chce zawłaszczyć cześć należną Bogu, by z Niego zadrwić. Moi zwierzchnicy powiedzieliby pewnie, że życzeń królowej się nie osądza, ale ja nie mogłem być posłuszny tym żądaniom, po prostu nie mogłem, nie mogłem! – zakończył z rozpaczą.

– Ja też słyszę głosy aniołów i dlatego ci wierzę – powiedziała z powagą i wzięła go za rękę.

Natychmiast cofnął dłoń, jakby jej dotyk go oparzył.

– Skąd wiesz, że to są anioły?! – zapytał, podnosząc głos.

– Bo dzięki nim moje wróżby się sprawdzają i z tego mam forsę na żarcie, które teraz jesz – obruszyła się mocno. – Pomagają mi, a więc są aniołami!

– O, Boże! – westchnął ciężko. – One zawsze zaczynają od dobrych przysług…

– Jakie one?

– Złe duchy. Potem jednak każą ci drogo zapłacić za pomoc, której ci udzieliły.

– Chrzanisz! Na razie to ten twój Bóg potraktował cię jak psie gówno, może nie?

Wzmianka o psich odchodach sprawiła, że kęs, który akurat przeżuwał, gwałtownie urósł mu w ustach. Potrzebował kilkunastu sekund, by wziąć się w garść.

– Ale może masz trochę racji… – zreflektowała się niespodziewanie. – Przedwczoraj akurat przydarzyło mi się coś dziwnego. Z tarota wyszło, że spotkam na cmentarzu anioła, który będzie mi pomagał. Poszłam więc tam, na cmentarz koło pętli tramwajowej. Wyraźnie czułam czyjąś obecność i nagle zrobiło się bardzo zimno, zerwał się wiatr. Nie wiadomo skąd, ale bardzo silny, taka jakby mała trąba powietrzna. Zasypało mi kurzem oczy, a potem ktoś, kogo nie było widać, krzyczał na mnie, że jestem głupia i jeszcze się policzymy. Rozumiesz coś z tego?

– Nie bardzo – pokręcił głową – ale podejrzewam, że wmieszałaś się w jakąś grę pomiędzy siłami światła i ciemności. I chyba tym dobrym raczej zaszkodziłaś, niż pomogłaś. – Nie wiedział, skąd ta myśl przyszła mu do głowy, ale miał dziwną pewność, że powiedział prawdę.

– Nic złego mi się nie stało, więc te dobre wygrały – odparła z przekonaniem. – Teraz martw się lepiej o siebie. Co zamierzasz zrobić, zanim ta niby-matka boska powie tym twoim batmanom, gdzie jesteś?

– To kwestia godziny, może dwóch… – stwierdził z rezygnacją. – Nic nie mogę zrobić.

– Idź do jakiegoś biskupa, czy co!

– Raczej prowincjała zakonu, ale on też może być w tym spisku. Nie mam jak tego sprawdzić.

– Idź i zapytaj, skoro nie masz innych pomysłów.

– Nie wiesz, co mówisz, Jesiko. Nikt z ulicy nie może przyjść i rozmawiać z wysokim dostojnikiem kościelnym, trzeba się umówić na audiencję, dołożyć wielu starań…

– Kompletnie was popieprzyło!

– To się nazywa hierarchia, Jesiko. Jestem w niej zbyt nisko, aby coś znaczyć.

– Dobra, napisz list i powiedz gdzie i komu mam go zanieść – oznajmiła. – Jak trzeba, to potrafię przejść każde *dorselekszyn.*…

– Dziękuję ci, Jesiko, za dobre chęci, ale nawet jeśli zdołasz przekazać list właściwej osobie, to ów człowiek, na znak zaufania, odeśle go moim bezpośrednim przełożonym.

– No nie! To już nawet w mafii mają bardziej normalnie! – wybuchła. – Koniecznie musiałeś się pchać między tych pojebów?!

Zmilczał odpowiedź na to pytanie, ale nie dlatego, że godność stanu duchownego nakazywała zbywać milczeniem podobne uwagi. Prawdziwym powodem był fakt, że właśnie sam zaczynał się sobie dziwić. Najwyraźniej był człowiekiem, który wszystko w życiu zrobił źle…

– Dobra! – Jesika nie doczekawszy się odpowiedzi, zaczęła mówić sama. – Skoro nie masz nic lepszego do roboty, to sobie siedź i czekaj, aż po ciebie przyjdą. Rozumiem, że obiadu ani kolacji nie będę już musiała gotować na dwoje. To też jakiś plus dodatni… – Wstała od stołu i zaczęła sprzątać brudne naczynia. Sprawiała jednak wrażenie, jakby chciała je raczej potłuc, niż umyć. – Za piętnaście minut zaczną do mnie dzwonić klientki. Skoro ciebie tak brzydzi widok kart tarota, to idź do pani Janiny. Jak cię tam znajdą przed pierwszą, to mi nie przeszkadzaj, tylko zostaw klucze pod wycieraczką. Żegnam pana księdza!

Siedział jak skamieniały. Ta myśl wydała mu się bez sensu, ale… Spojrzał na zegar na ścianie koło kredensu.

– Jeszcze tu jesteś?! – krzyknęła. Było widać, że złości się tylko po to, żeby się nie rozpłakać. – Idź sobie! No, zostaw mnie wreszcie, ty zakichany sługo boży!

– Jesiko – zapytał tknięty nagłą, zupełnie irracjonalną nadzieją. – Czy te twoje klientki dzwonią o dokładnie umówionych godzinach?

– Niektóre, a bo co? – pociągnęła nosem. – Czasem tak wychodzi z poprzedniej wróżby… O co ci chodzi?

– Powiedz mi, proszę, czy któraś z tych kobiet nie ma przypadkiem zadzwonić do ciebie dokładnie za siedem dwunasta?

XII. Przebudzenie

Ocknąłem się z ciągu sennych objawień z dojmującym wrażeniem, że coś się zmieniło… Po pierwsze stwierdziłem, że moje ciało nabrało masy, że ważę i naciskam swoim ciężarem na powierzchnię balkonowej balustrady, na której leżałem. Chwilę później, błądząc palcami po kamiennej powierzchni, wyczułem jej chropowatość i twardość. Mogłem zaczepiać paznokciem o nierówności, a one stawiały mi opór. Pamiętacie, jak mówiłem, że nie mam żadnych zdolności telekinetycznych? A teraz wyraźnie coś odskrobałem, jakiś okruch czy grudkę kurzu…

Otworzyłem oczy i usiadłem. Musiałem przy tym pokonać siłę tarcia, o której istnieniu zdążyłem już zapomnieć. Usłyszałem głos Leokadii, dobiegający gdzieś z dołu, spod balkonu. Musiałem się sporo wychylić, aby ją zobaczyć.

No, no! Ośka nam się wysztafirowała jak na samą apokalipsę! Do tej pory jawiła się w ciuchach odpowiednich dla epoki, w której żyła, oraz stylu rezolutnej panny podkuchennej, tak to oględnie ujmijmy. Teraz wprost waliła po oczach rozjarzoną, neonową bielą długiej powłóczystej sukni skąpanej we krwi Baranka, przysługującej męczennikom Pańskim podczas występu finałowego. Do tego prawdziwie anielska koafiura – włosy utrefione w złote loki, rozpuszczone luźno na ramiona i plecy. Wcześniej też była typową słowiańską blondynką, ale tak pszenicznozłocistego odcienia włosów jeszcze u niej nie oglądałem. Słowem, nasza awanturnica niebieska wyglądała jak na odpustowym obrazku, z jedną dystyngowaną

różnicą, mianowicie jej palma męczeńska nie była przeszło metrowym wiechciem zielska rozwichrzonego na metafizycznym wietrze, ale elegancką, szmaragdową broszką, wpiętą w suknię na sercu.

Leokadia rozmawiała właśnie z duszą samobójczyni. Obie wisiały w powietrzu, przy czym pokutnica nie robiła już za rozgwiazdę leżącą plackiem na niewidzialnym szklanym dachu, ale zdołała usiąść na piętach i zadzierała głowę, mówiąc coś do Leokadii, która stała przed nią, tak jakby na tej samej tafli szkła. Nie było słychać słów, tylko ich przepraszający ton. Głos Ośki dla odmiany brzmiał stanowczo i pytająco. Zważywszy na niewielką odległość, która nas dzieliła, fakt, że nie słyszałem ich wyraźnie, wskazywał na to, iż rozmowa nie była przeznaczona dla postronnych uszu, nawet anielskich, a zatem była to spowiedź, ściślej mówiąc, już sama jej końcówka. Leokadia powiedziała nagle głośno i wyraźnie: „Idź!”. Samobójczyni wstała, wyprostowała się, postąpiła krok naprzód i rozpłynęła się w powietrzu.

A niechże mnie na tej wieży gołębie opaskudzą! Leokadia dostała prawo uwalniania dusz czyśćcowych! Awans był iście generalski, ba, marszałkowski, na miarę Marii Magdaleny. Nazwać Ośkę teraz cherubinem to była dla niej bez mała obraza. Została serafinem, i to jakim! Pierwszego Kręgu, po dawnemu mówiąc Pierwszego Chóru, macie pojęcie?! Ech, Naczelny to jednak potrafi rekompensować przykrości i straty moralne. Tylko jak tu teraz z nią gadać? Chyba nie inaczej jak na kolanach. Koniec końców ta pyskata dziewucha z warszawskiej Pragi mogła teraz stawiać na baczność papieży.

Skonfundowany poparzyłem po sobie. Naczelny mnie też przebrał, nawet poniekąd odświętnie. Zamiast jak dotąd flanelowej koszuli, miałem białą z jedwabiu, dżinsy zrobiły się markowe (oryginalne lewisy!), a zamiast adidasów sandały bez skarpet. Aluzja jakaś czy co? Włosy zostały

bez zmian – jak u wkurzonego Szopena. Co się zaś tyczy mojego anielskiego atrybutu, to musiałem go szukać dłuższą chwilę, macając się po kieszeniach. Wreszcie znalazłem – klepsydrę na platynowym łańcuszku. Zawiesiłem ją na szyi i zacząłem oglądać uważnie. Naprawdę fikuśna rzecz… Po pierwsze ta klepsydra nie była jedna, lecz tak naprawdę było ich osiem, wpisanych w ramiona czterowymiarowego hipersześcianu, który po skupieniu na nim wzroku rozwijał się w trzech wymiarach w krzyż zbudowany z klepsydr. W każdej z nich zamiast piasku było co innego – w jednej maleńkie czaszeczki, w drugiej litery układające się w ciągi słów, które można było czytać, jakby przesypywały się w niej wszystkie książki świata. Dalej były jabłuszka, zera i jedynki, płatki śniegu, kryształki o różnej geometrii, miniaturowe galaktyki, a także oczy ludzi oraz zwierząt, każde z nich mogłem zatrzymać w ruchu i w nie spojrzeć. Co więcej, wszystkie klepsydry były jak naczynia połączone, przepływy czasu w każdej z nich oddziaływały na wszystkie pozostałe, a ich zawartość, choć się nie mieszała, nie była przypisana do jednej klepsydry. Zrozumiałem, że trzymam w dłoni miniaturowy model całego Stworzenia. Mogłem go teraz kontemplować i interpretować na najróżniejsze sposoby, symbolicznie lub dosłownie. Zawsze chciałem to mieć, dzięki, Szefie!

– Ładne – powiedziała Leokadia.

Tak się zagapiłem na swój prezent od Naczelnego, że nie zauważyłem, kiedy ona usiadła obok mnie.

– Każdy będzie pełny na swoją miarę… – uśmiechnąłem się półgębkiem. Trochę deprymowała mnie obecność anioła tak wysokiej rangi.

– Sądzisz, że się teraz od ciebie oddalę? – zagadnęła, czytając mi w myślach.

– Niedługo pójdziesz w Światłość. – Stwierdziłem, że czuję trochę żalu.

– Ale to przecież całkiem niedaleko – zauważyła. – I wiesz co, już wiem, w jaki sposób cechy ludzkie łączą się z anielskimi.

– Trzeba jeszcze raz, tym razem jako anioł przeżyć własną śmierć – dopowiedziałem za nią. – Stawić czoła traumie umierania i pozbyć się lęku. Wtedy odpadną nieprzydatne elementy człowieczeństwa i nastąpi ostateczna integracja osobowości.

– Wiedziałeś to już wcześniej? – Popatrzyła na mnie z podziwem. – Ja dostałam to objawienie dopiero tu, na wieży.

– Na podejmowanie dramatycznych decyzji mamy całą wieczność, ale jeśli się będziemy zbytnio guzdrać, Naczelny postanowi za nas. Zresztą, wszystko zostało już postanowione. Mogę podjąć decyzję albo jej nie podejmować, tak czy tak stanie się to, co stać powinno. Wiem, że zachowuję się jak dziecko starające się uniknąć zastrzyku lub borowania zęba, powiedzmy, że nie spieszy mi się do anielskiej dorosłości. Jak to było umierać po raz drugi?

– Nie najgorzej. Teraz przynajmniej czułam, że jest w tym sens, w nic nie wątpiłam.

– Ale bolało.

– Bolało – przyznała.

– Ośka, ja się z twoim cierpieniem nie pogodziłem! Zdychałaś jak zwierzę, przez tydzień w potwornych męczarniach, samotna i bez pocieszenia. A teraz przeszłaś przez to znowu… Gdy o tym myślę, to mam ochotę zostać upadłym aniołem!

– Ale przecież nim nie zostaniesz – uśmiechnęła się szczerze rozbawiona tym pomysłem. – Bo wiesz, że On tylko obrócił w dobro zło, które wyrządzili mi inni. Gniewasz się dlatego, że mnie kochasz.

– To prawda – odrzekłem grobowym głosem. – Byłaś doprawdy czarująca, tłukąc mnie tą płytą nagrobkową. Zakochałem się w tobie

od pierwszego rozplackowania.

– To nic takiego, teraz potrafię o wiele więcej. – Wskazała ulicę w dole. – Popatrz!

Jakiś dureń właśnie wbiegł pod tramwaj ruszający z przystanku w kierunku Śródmieścia. Wóz nabierał rozpędu przez ostatnie pięćdziesiąt metrów, więc ostre hamowanie nic by już nie dało. Na dodatek motorniczy patrzył akurat w stronę wylotu Sokołowskiej i chłopak wbiegający na jezdnię z przeciwnej strony zaskoczył go tak, że hamować nawet nie zaczął. Zgodnie z fizyką za sekundę powinna leżeć na asfalcie krwawa mielonka, ale Leokadia zawiesiła działanie praw natury. Na przekór pierwszej zasadzie dynamiki Newtona skokowo zmieniła szybkość tramwaju, tak że kandydat na kalekę do końca życia po prostu przed nim przebiegł, a rozgniewany motorniczy pogroził mu pięścią i pojechał dalej, jakby nigdy nic. Nikt oprócz mnie nie zauważył cudu trwającego mgnienie oka. Bo to był cud, żadna tam telekineza! Aby zrobić ten numer, Leokadia musiała chwilowo unicestwić fragment rzeczywistości, redukując go do poziomu kwantowej próżni, po czym stworzyć tramwaj z pasażerami i kawałkiem ulicy na nowo, *ex nihilo*. Dziesięć ton materii przeszło w energię i z powrotem.

– Niezła jesteś – przyznałem z podziwem. I żeby ten incydent nie pozostał bez nauczki, zaburzyłem smarkaczowi poczucie czasu, skutkiem czego stracił koordynację ruchów i wywalił się na chodnik jak długi, tłukąc sobie boleśnie łokieć i kolano. To niewiele w zamian za rękę i nogę, których utraty właśnie uniknął. Wdzięczność swą okazał soczystą wiązanką kurew i tym podobnych.

– Postanowiłeś zostać aniołem zemsty? – spytała ubawiona Leokadia.

– Powiedz lepiej, skąd u ciebie ta zmiana słownictwa?

– Sam mówiłeś, że muszę dorosnąć do mojej rangi. Zostałam więc odmieniona i stałam się nowa.

– Jak bardzo?

– Odpadło ze mnie to, co nieważne. Znikły wszystkie historyczne ograniczenia mojej świadomości związane z czasem, w którym żyłam.

– Czyli prawie cała twoja tożsamość – pokiwałem głową.

– Tożsamość nie jest zbyt ważna, przekonasz się.

– Dojdę do tego wniosku w swoim tempie. Na razie jestem sobie rozpieszczonym dzieckiem bożym. Wolno mi. Skoro jestem kochany, to mogę sobie pokaprysić!

– A mnie nic już nie mąci możliwości cieszenia się tym, co do mnie czujesz. Nie będę już niczego udawać ani postępować wbrew swoim uczuciom, czyli czubić się z tobą, zamiast cię lubić. Wiem, że gdybyśmy spotkali się w jednej epoce, zakochałabym się w tobie do szaleństwa, ale teraz już wcale nie przeszkadza mi, że nie mogliśmy się poznać za życia. No, powiedz wreszcie, że mnie kochasz! – szturchnęła mnie łokciem w żebra.

– Kocham cię tak bardzo, że aż pogniewałem się za ciebie na Naczelnego – przyznałem się szczerze.

– I dostałeś coś na przeprosiny – zerknęła wymownie na mój krzyż z klepsydr.

– Zabaweczka dla anielskiego Piotrusia Pana… – mruknąłem udobruchany.

– A ja – kontynuowała Leokadia – chociaż zostałam wyniesiona tak wysoko, wciąż jestem tą samą głupiutką analfabetką i nie mogę obyć się bez mojego Anioła Dobrej Rady. – Położyła mi głowę na ramieniu.

Kokieteria w niebie? A żebyście wiedzieli! W końcu tu z założenia bywa naprawdę miło…

– Przebóg! A cóż to się z nami wszystkimi stało?! – usłyszałem zdumiony głos Jana Seweryna. Zapatrzony w Leokadię nie odczuwałem potrzeby, by sprawdzić, co się dzieje za moimi plecami. Odwróciłem się dopiero teraz.

Obaj nasi towarzysze, husarski i partyjny, także zostali dopieszczeni łaską. Jan Seweryn miał na sobie złocistą karacenę, z krwawym rubinem wprawionym w miejscu, gdzie trafiła go szwedzka kula. Ponadto był przy szabli, niewątpliwie ognistej, a wąs wyrósł mu sumiasty i majestatyczny jak u samego króla Jana. Słowem, nasz husarz stracił wygląd zaświatowego włóczykija i emanował teraz dostojeństwem oraz marsową miną.

Towarzyszowi Zaleszczukowi bikiniarskie skarpetki pozostawiono, ale cała reszta jego służbowego garnituru bardzo zyskała na jakości kroju i materiału. Na wpół złachmaniony, gomułkowski aparatczyk średniego szczebla wojewódzkiego zamienił się w peerelowskiego dyplomatę, wyglądającego, jakby miał za chwilę na forum ONZ referować szczegóły planu Rapackiego. Rzecz jasna, ów image robił staromodne i oldskulowe wrażenie, ale godności przybyło Zaleszczukowi naprawdę dużo. Jego anielskim atrybutem stała się czarna skórzana teczka. Co w niej miał – tego objawienia nie dostąpiłem. W każdym razie nasz Anioł z Teczką właśnie się budził. Sądząc po jego minie, był święcie przekonany, że na oddziale intensywnej terapii, na którym w swoim mniemaniu nadal leżał, zamiast tlenu podano mu gaz rozweselający. Swoją drogą, byłem naprawdę ciekaw, w jaki sposób Naczelny przekona Zaleszczuka do własnego istnienia. Mam nadzieję, że zrobi podejście indywidualne i nie będzie z tym czekał do Sądu Ostatecznego, bo towarzysz Zaleszczuk mógłby nam wtedy zdrowo spanikować, no, ale jeżeli taka będzie wola Szefa, to numer z trąbą nadal biorę na siebie!

Słowem, humory, jak to w niebie, dopisywały. Krótkie wczasy na kościelnej wieży naprawdę dobrze nam wszystkim zrobiły.

– Jak mniemam, przebudzono nas w jakimś ważnym celu. – Jan Seweryn spojrzał na mnie badawczo.

Kurczę, ten to zawsze musi gdzieś szarżować!

– Przydałoby się zreewangelizować pewną wróżkę… – uśmiechnąłem się łobuzersko. – Poza tym mamy do spłacenia duży dług moralny.

– Jakiż to dług? – Husarz zmarszczył brwi.

– Za rzecz, która nie stanie się dokładnie za siedem dwunasta… – Zamaszyście rozsunąłem inkluzję z niezmienną majową pogodą, którą dotąd mieliśmy na balkonie. Teraźniejszość przywitała nas chłodnym wiaterkiem, ale była równie słoneczna jak przestrzeń poza czasem.

– Wróżka Epifania znów miała być przynętą – kontynuowałem wyjaśnienia. – W chwili gdybyśmy pojawili się u niej, aby stanowczo przemówić jej do *fides et ratio*, zostalibyśmy drugi raz egzorcyzmowani. To się jednak nie stanie, ponieważ pewien dzielny młody ksiądz odmówił przeprowadzenia tego rytuału.

– Mądrze i pobożnie – pochwalił Jan Seweryn.

– Ale za cenę nieposłuszeństwa zwierzchnikom, którzy utrzymują stanowczo, że są mu dani od Naczelnego.

– Cóż… – zasumował się nasz rycerz. – Trudna rada w tej mierze.

– Też tak sądzę, dlatego pora, abyśmy się tam udali.

– A co by się stało, gdyby to jednak była zasadzka? – zapytał z wojskową rozwagą.

– Leokadia zostałaby wcześniej odwołana stąd prosto w Światłość, gdyż Naczelny oszczędziłby ją tym razem. My dwaj ucierpielibyśmy o wiele bardziej niż ostatnio i na dodatek zostalibyśmy rozdzieleni, natomiast

pewnego anioła umiarkowanie małej wiary zmuszono by do wygadania, co zrobiliśmy z małą Tiną… – popatrzyłem wymownie na Zaleszczuka.

– Przekonajmy się zatem – odparł dziarsko nasz aparatczyk – czy knowania klerykalnej sitwy zdołają rozbić nasz kolektyw.

– Za mną! – zawołałem z największą powagą, na jaką w tej chwili było mnie stać, to znaczy – żadną. Miałem zbyt dobry nastrój, żeby robić minę jeźdźca apokalipsy.

W okamgnieniu znaleźliśmy się w mieszkaniu Jesiki, akurat w chwili, w której padło pytanie księdza Andrzeja.

– Powiedz mi, proszę, czy któraś z tych kobiet nie ma przypadkiem zadzwonić dokładnie za siedem dwunasta?

– Jedna – przyznała Jesika. – Druga z tych, co się na dziś umówiły. A czemu pytasz?

– Ponieważ to znaczy, że właśnie wtedy będą u ciebie anioły.

Oczywiście, że sam na to nie wpadł. Ta odrobina natchnienia to moja robota. Przydałby się teraz groszek na werblu i efektowne: TADAM!

– Już tu jesteśmy! – oznajmiłem tak, by oboje mnie usłyszeli.

Ma się rozumieć zamurowało ich z wrażenia. Mimo że byłem pewien swego objawienia, na wszelki wypadek poszukałem wzrokiem Leokadii. Była tu z nami, czyli redemptoryści z Karolkowej nie zdołali znaleźć zastępstwa za księdza Andrzeja, a sami już nic nie mogli…

– Arielu, to ty? – zapytała niepewnie Jesika.

– Ja ci dam Ariela! – powiedziałem tym samym tonem co wtedy w parku.

– Kto to mówi?! – ksiądz Andrzej rozglądał się przerażony i bezradny.

Uznałem, że na początek wizyty pozostaniemy niewidzialni, gdyż nagły tłok w mieszkaniu wróżki mógłby spowodować zupełnie nieobliczalne

reakcje emocjonalne byłych kochanków. Psychozę trzeba dawkować z umiarem, zatem najpierw będą słyszeć tylko jeden głos.

– Nie nazywaj mnie Arielem! – pouczyłem Jesikę, łagodząc ton.

– Podaj mi swoje imię – przybrała ton podniosły, usiłując przejąć kontrolę nad sytuacją. – Zaklinam cię, duchu!

– A na co mnie zaklinasz?

– Od nieskalanego Acilutu przez Berię, Jecirę, Asię… – wydeklamowała podniośle fragment Kabały. – Poprzez wieczną wiedzę, która przepływa od najdalszej przeszłości przez teraźniejszość do przyszłości!

Podziałało, owszem, ale na księdza Andrzeja, któremu krew odpłynęła z twarzy, po czym nieborak osunął się bezsilnie na krzesło i prawą dłonią na wysokości piersi zaczął wykonywać jakieś niezborne gesty, które równie dobrze mogły oznaczać zamiar przeżegnania się, co być próbą zrobienia sobie automasażu serca.

– Słabo – przerwałem inkantację Jesiki. – Kabała w sosie postmodernistycznym do niczego mnie nie zobowiązuje.

– Zgodnie z uniwersalnym prawem kosmosu masz dać mi się poznać! – odpowiedziała drżącym, acz nadal rozkazującym tonem i zaczęła powtarzać z afektacją: – Ukaż mi swoje światło! Ukaż mi swoje światło! Ukaż mi swoje światło!

– Wypchaj się erą Wodnika i wodorostami – odparłem beztrosko.

– Andrzej, zrób coś! – Jesika spanikowała. – Ja się boję!

Na widok damy w opresji w młodym kapłanie ocknęły się resztki mężczyzny. Poderwał się z krzesła i dzielnie, choć na miękkich nogach, stanął pomiędzy dziewczyną a miejscem, z którego dobiegał mój głos.

– W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego… – przeżegnał mnie roztrzęsioną dłonią.

– Amen – odpowiedziałem uprzejmie. – Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

– I Maryja zawsze dziewica – odpowiedział już znacznie spokojniejszy. – Kim jesteś?

– Aniołem Pańskim przysłanym ci w potrzebie.

– Spytaj go o imię! Zapytaj o imię! – wystraszona kabalistka uwiesiła się na plecach księdza, który był tak zaaferowany, że tego nie zauważył. – Zmuś go, aby podał ci swoje imię.

– Potrafił wymówić imię Zbawiciela, więc chyba nie jest demonem… – odszepnął jej nerwowo. – Chciałbym cię lepiej rozeznać, duchu! – zwrócił się do mnie.

– Proszę bardzo, księże Andrzeju, tylko jak chcesz to zrobić? Powołasz komisję teologów? Czy może przebadasz mnie wahadełkiem?

– Mam wahadełko! – wtrąciła się Jesika. – Przynieść?

– Nie… – Dopiero teraz się zorientował, że dziewczyna prawie wlazła mu na barana. – Jesiko, czy mogłabyś przestać mnie dotykać? – łagodnie, ale stanowczo zdjął jej ręce ze swoich ramion.

– Przepraszam… – odburknęła zmieszana, cofając się pod przeciwległą ścianę.

– Jeżeli jesteś dobrym duchem, to powinieneś uczynić jakieś dobro – myślał głośno ksiądz Andrzej.

– Właśnie odzyskałeś nadzieję – odparłem. – Mało ci?

– Czy mógłbyś powiedzieć mi, jakie grzechy popełniłem w ostatnim miesiącu? – zapytał podchwytliwie.

– Tylko demony penetrują sferę ludzkiej grzeszności i mają pełną wiedzę o złych uczynkach. Rachunek sumienia powinieneś zrobić sobie sam.

– Dobra odpowiedź – pochwalił.

– Myślisz, że gdybym chciał cię oszukać, powiedziałbym co innego?

– Wobec tego… – zawahał się – w takim razie zrób coś z bożego natchnienia!

– Dobrze. Pamiętasz, jak szedłeś piętnaście lat temu ulicą Langiewicza koło filtrów? Senna willowa okolica, wczesnym popołudniem niemal bezludna. W jednym ogrodzie bawił się samotny chłopiec, miał wtedy cztery latka, wlazł na płot i noga utknęła mu między prętami, były tam u dołu takie ozdoby, półpierścienie, które podziałały jak kajdanki. Nie mógł wyjąć tej nóżki, a nikogo w pobliżu nie było. Stał tak i popłakiwał, gdy nadszedłeś. Czuł się zbyt bezradny, by prosić o pomoc. I łatwo go było przeoczyć, zlekceważyć, ale ty przystanąłeś i uwolniłeś go. Pamiętasz?

– Drobiazg – uśmiechnął się ksiądz Andrzej. – Ale rzeczywiście tak zrobiłem. Zapomniałem o tym zupełnie.

– Przypominam twój dobry uczynek, o którym ty już zapomniałeś. Gdybyś tego chłopca ominął, on tkwiłby w tej pułapce jeszcze ponad godzinę, zanim zaczęto by go szukać. Usiłując się uwolnić, skręciłby sobie kostkę, posikał się z bólu i strachu i na zawsze zapamiętał sobie człowieka, który minął go obojętnie, pozostawiając własnemu losowi. Dziś on byłby takim samym egoistą.

– A ja?! O czym ja zapomniałam? – energicznie wtrąciła się Jesika.

– Dziesięć lat temu na Skierniewickiej spotkałaś trójkę dzieci, które wyszły na spacer ze szczeniakiem owczarka niemieckiego. Psiakowi wbiła się w łapę szpilka, nie mógł chodzić, a te dzieciaki siedziały nad nim przerażone i bały się tego dotknąć. Wyjęłaś szpilkę i powiedziałaś im, żeby w domu przemyły mu łapę.

– Tak … – przyznała po chwili wahania. – Jednak to był chyba jakiś gwóźdź.

– Nie, szpilka. Wypadła z opakowania bukietu kwiatów, które wcześniej ktoś niósł w tym miejscu, i tak niefortunnie utknęła w szczelinie między płytami chodnikowymi, że sterczała ostrzem do góry.

– To nic wielkiego – wzruszyła ramionami.

– Te dzieci były wtedy innego zdania – odparłem. – To jak, przekonałem was?

Ksiądz Andrzej chciał przytaknąć, lecz Jesika nie była usatysfakcjonowana, wręcz przeciwnie.

– Myślicie, że ja nigdy nic lepszego od opatrzenia psiej łapy w życiu nie zrobiłam?! – nadąsała się po kobiecemu.

– Pomagasz pani Janinie – zauważyłem. – A skoro chcesz być bohaterką, to powiem ci, kiedy nią naprawdę byłaś.

– No, kiedy?!

– Pijana koleżanka Ewa w nieistniejącym już pubie przy Zielnej, osiem lat temu.

– To pamiętam! Ewka miała wtedy doła i strasznie piła. Zaszłam tam przypadkiem, ale jak ją zobaczyłam, to zaraz wzięłam za łeb, zapakowałam do taksówki i dostarczyłam jak worek do domu.

– Zrobiłaś to, mimo że ona nie miała ochoty. Wolała się z tobą napić.

– Miała już dość. Była półprzytomna z przepicia i zupełnie nie wiedziała, co się z nią dzieje. Na dodatek przystawiały się do niej jakieś dwa nieapetyczne typki.

– Bez twojej interwencji Ewa nie przeżyłaby tego wieczoru. Zostałaby zgwałcona i zadźgana nożem, a twoje zeznanie przyczyniłoby się do skazania niewinnego człowieka, jednego z tych dwóch.

– To ja jestem taka święta? – dumnie zadarła nos.

– Nie, nie jesteś ani trochę święta. Przeciwnie… To co, mogę się już wam pokazać?

– Możesz – odpowiedział ksiądz Andrzej.

XIII. Porządki

Zrobiłem to stopniowo. Najpierw zobaczyli mój cień, potem mglisty zarys sylwetki, po czym zmaterializowałem się i urealniłem na dobre. Jednak cała ta ostrożność okazała się psu na budę.

– Jak pan tu wszedł?! – wrzasnęła wzburzona Jesika.

Zaprawdę powiadam wam, bywają takie chwile w życiu aniołów, kiedy pióra opadają jak jesienne liście. Na kobiecą logikę i tak postawione pytanie to nawet Naczelny nie miał dobrego objawienia.

– Ależ Anno… – zmitygował ją zmieszany Andrzej.

Wróżka Epifania z zadartym nosem poszła do drzwi i sprawdziła, czy są dobrze zamknięte. Mina trochę jej zrzedła. Wróciła zatem i bezceremonialnie pomacała mnie po ramieniu.

– Pokój z tobą – powiedziałem. – Błogosławiona jesteś pomiędzy głupimi pannami.

Wrzasnęła ze strachu i drugi raz schowała za swojego towarzysza. Ten zaś znów łypał na mnie podejrzliwie. Chyba przesadziłem z tą parafrazą.

– Czy mógłbyś się przeżegnać? – zażądał inkwizytorskim tonem.

– Ależ proszę – zrobiłem, co chciał, i popatrzyłem na niego wyczekująco.

– Jesiko, która z twoich sąsiadek ma wodę święconą?

– Chyba naoglądałeś się za dużo kiepskich horrorów, księże Andrzeju.

– Obawiasz się wody święconej? – najeżył się cały.

– Nie robi ona na mnie żadnego wrażenia, ale osobiście nie pochwalam tych katolickich guseł.

– A więc nie jesteś katolikiem? – zbladł.

– Nie byłem katolikiem za życia – uściśliłem. – Wiem, że trudno ci to sobie wyobrazić, drogi księże, ale nie tylko redemptoryści idą do nieba.

– Więc skąd mogę wiedzieć, że jesteś dobrym duchem?! – w jego głosie zabrzmiała szczera rozpacz.

– Proponuję, żebyś odłożył mazgajenie się na później, gdyż chciałbym przedstawić wam resztę mojego towarzystwa. Wspominałem przecież, że nie jestem tu sam.

– A kto… jeszcze? – spytała Jesika drżącym głosem.

Darowałem już sobie wszelkie teatralne gesty i przygotowywanie gruntu. Lepiej było wyrwać ten ząb od razu z całym korzeniem i mieć to z głowy. Zatem Leokadia, Jan Seweryn i towarzysz Zaleszczuk ukazali się obok mnie w całej materialnej okazałości. Widać było po nich, że dotychczasowa rozmowa nieźle ich rozbawiła.

– O ja piórkuję! – wyrwało się pani domu.

Ksiądz Andrzej zamierzał coś powiedzieć, otworzył usta i znieruchomiał niczym mrożony karp po katolicku.

Konsternację przełamała na chwilę osobista charyzma Leokadii.

– Dziękujemy ci, kapłanie Andrzeju, że odmówiłeś rzucenia na nas klątwy – powiedziała łagodnym i miękkim głosem. – Stałaby się nam wtedy wielka krzywda, a twoja dusza byłaby stracona nieodwracalnie.

– Jak to? – zapytał speszony. Dobrze znał ten fragment Pisma, ale tak samo jak inni księża nie dopuszczał oczywistych wniosków do świadomości.

– Popełniłbyś grzech przeciw Duchowi Świętemu, który nie może być wybaczony – odpowiedziałem za Leokadię. – Tak jak wcześniej twoi

zwierzchnicy i współbracia, który usiłowali cię do tego przymusić.

– Zatem słusznie postąpiłem, uciekając od nich?

– Tak – odpowiedziałem.

– Pochwalasz zatem fakt, że złamałem ślub posłuszeństwa? I uważasz, że powinienem wytrwać w tym grzechu?

– Tak – odrzekłem po raz kolejny, trzymając się ewangelicznej zasady „tak, tak, nie, nie”.

– Jak dobry duch może nakłaniać mnie do nieposłuszeństwa mojemu Kościołowi?

– Niedzielny inkwizytor się znalazł! – straciłem anielską cierpliwość i podszedłem szybko do drzwi wejściowych. Otworzyłem je na oścież nie bawiąc się z zasuwami. – Idź! – zawołałem. – Idź i zrób to, czego od ciebie żądają! Droga wolna! Ukorz się przed demonem udającym naszą Królową, uczyń, co ona każe, a potem zobacz, jak to jest być potępionym już za życia! No, idź!

Jako anioł wiedziałem, że nie powinienem igrać w ten sposób z wolną wolą żywego człowieka, ale tym razem wziął górę mój ludzki temperament. Na nasze i jego szczęście ksiądz Andrzej pozostał na miejscu.

– Wybaczcie mi moje wątpliwości – powiedział.

– To rozumiem – zamknąłem drzwi. Zasuwy znów znalazły się w skoblach. Jesika nie zauważyła tego małego cudu. – Do wątpliwości masz pełne prawo.

– Zatem dla ojców Edmunda i Wincentego oraz braci Tomasza i Eligiusza droga do nieba jest już zamknięta?

– Dla Eligiusza jeszcze nie, on jest tylko szują w ludzkim wymiarze. Twój przykład może pomóc mu się zmienić. Natomiast co do pozostałych masz rację, oni są już żywymi potępieńcami.

– Ale przecież nadal sprawują sakrament Eucharystii! – zaoponował gwałtownie.

– I za każdym razem doświadczają przy tym małego eucharystycznego antycudu – odpowiedziałem. – Kiedy biorą hostię do ust, czują smak stęchlizny i trupią woń. Muszą się bardzo zmuszać, aby ją przełknąć. Transsubstancjacja wychodzi im na opak, od kiedy przeprowadzili czarny egzorcyzm. Ojciec Wincenty dodatkowo ma na sumieniu coś jeszcze okropniejszego.

Ksiądz Andrzej patrzył na mnie szeroko otwartymi oczami. Zatrybił wreszcie!

– Byłem świadkiem, jak brat Tomasz strofował brata szafarza, że do opłatków nie dał mąki dobrej jakości. I wiem, że ojciec Edmund do sprawowania ofiary używa wody z octem…

– Inaczej nie zdołałby tego przełknąć.

– A co z wiernymi, którym oni udzielają komunii?

– Decyduje ich wiara. Dla tych, którzy szczerze wierzą, że przyjmują ciało Chrystusa, On tam jest. Jeżeli kapłan nie jest już w stanie łaski, następuje autokonsekracja w chwili przyjęcia hostii do ust.

– Zaraz! Zaraz! – zaoponował gwałtownie. – Przecież przed chwilą mówiłeś, że nie byłeś katolikiem, a teraz nagle potwierdzasz mi katolickie prawdy wiary?

– Jak wierzysz, tak ci się staje. Każda uczciwa i szczera wiara powoduje prawdziwe skutki dla wierzącego, zgodne z jego wyobrażeniami. Cel jest jednak ważniejszy od drogi, czyli szczegółów wyznania i rytuału. O teologii będziemy mieli jeszcze czas pogadać, księże Andrzeju. Na razie powiem ci tyle, że jeżeli legalnie wyświęcony katolicki kapłan straci wiarę i będzie udzielał komunii człowiekowi niewierzącemu, to chociaż wszystkie słowa i gesty zostały wykonane prawidłowo, opłatek pozostanie

li tylko opłatkiem. Czarów nie ma. Sukcesja apostolska to ładna tradycja, ale sama w sobie nie ma mocy. Braku wiary żadna magia nie zastąpi.

Z rozpędu chciał zaoponować, ale skończyło się na tym, że pokiwał głową w zamyśleniu.

– Nim się z tym zgodzę, upewnię się najpierw co do ciebie – oznajmił.

– Póki żyjesz, nie pozbędziesz się wątpliwości, ale proszę bardzo, możesz mnie sobie rozeznawać, ile chcesz. – Z rozmachem klepnąłem go w plecy, aż się zachwiał.

W tym momencie zadzwonił telefon komórkowy Jesiki.

– To pierwsza klientka – powiedziała, oglądając się na nas. – Powinnam jej powróżyć…

Milczeliśmy wszyscy czworo, ale zapewniam was, że było to naprawdę ciężkie i wymowne milczenie.

– Anno, zastanów się – zamiast któregoś z nas przemówił Andrzej. – Nie powinnaś tego robić.

– Ale to moja praca! – nadąsała się. – Z tego żyję! Mam iść na ulicę?

– Pod warunkiem że się nawrócisz, zanim dojdziesz do najbliższej latarni – parsknąłem ironicznie.

– To co mam robić? Powiedzcie mi!

Jak na komendę stanęliśmy niemi i nieruchomi, niczym eksponaty w gabinecie figur woskowych. Leokadia przybrała uśmiech Mony Lisy, mój był zdecydowanie bardziej bezczelny.

– Czemu nic nie mówicie?! – Jesika ze złości tupnęła nogą.

– Anno, anioły nie mogą podejmować decyzji za ciebie – powiedział Andrzej.

– Najpierw strugają wielkie mądrale, a teraz nagle nic? Ani be, ani me?!

– Anno, wejrzyj w siebie, zaufaj Bogu…

– Mam na imię Jesika! – wrzasnęła na niego tak, że aż się cofnął dwa kroki. Potem patrzyła błędnym wzrokiem to na nas, to na komórkę grającą jakiejś idiotyczne disco-polo.

Telefon przestał dzwonić.

– Dwie dychy w plecy! – Jesika usiadła ciężko na krześle.

Leokadia podeszła i pocałowała ją w policzek.

– Dziękuję, byłaś dzielna – powiedziała do naszej wróżki, chyba już zdecydowanie eks. – Dobrze, że zaufałaś.

– No i co mi po tym? – wzruszyła ramionami bliska płaczu. – Za co teraz kupię żarcie?!

– Zajrzyj do lodówki, Jesiko – poleciłem jej.

– Niby po co…? – Wstała jednak, nie czekając na moją odpowiedź, i powlokła się do kuchni z takim entuzjazmem, jakby stał tam szafot.

Ech, mówię wam! Trzeba to było zobaczyć na własne oczy! Jesika otworzyła drzwi lodówki i zatrzasnęła je momentalnie z nieartykułowanym krzykiem, jakby w środku zobaczyła… no właśnie to, co zobaczyła. Po chwili, bardzo powoli i ostrożnie otworzyła lodówkę jeszcze raz. Wewnątrz było jedzenia na wcisk.

Jesika wpatrywała się w nie jak sroka w gnat i w miarę jak rozpoznawała kolejne produkty, szczęka opadała jej bardziej, a oczy robiły się okrąglejsze.

– Taki anielski gościniec – wyjaśniłem. – Popieramy symbiozę i staramy się nie pasożytować na naszych gospodarzach…

– Obrobiliście supermarket?! – obejrzała się na nas oszołomiona. – Mundek, mój brat, też tyle kiedyś nakupił po udanym skoku…

– Nie dokonaliśmy żadnej kradzieży – odparła z powagą Leokadia. – To dar od Tego, do którego należy wszystko.

– Węgorz, kaczka, marynowane rydze! – wyliczała oszołomiona Jesika. – Nieźle wy sobie w tym niebie żyjecie!

– I każdy może tam wpaść na małe co nieco – skwitowałem.

– Ależ to obżarstwo i łakomstwo! – Andrzej znów poczuł się strażnikiem doktryny.

– Masz ochotę zjeść wszystko naraz? – wpadłem mu w słowo. – Jeśli chcesz, to możesz poprzestać na chlebie i wodzie. Ale sam prosiłeś o anielską pomoc, to masz! Sugerujesz może, że pod naszą opieką mogłoby ci czegoś zabraknąć…? – Spojrzałem nań wyzywająco.

– W tym musi być jakiś haczyk… – Poczerwieniał mocno.

– Taki jak zwykle podczas rozmnażania pokarmów. Przestałeś już wierzyć, że to jest możliwe?

– Sam nie wiem…

– Lepiej uważaj na ości, kiedy będziesz jadł wędzoną sieję.

– No, fajnie! – Jesika ochłonęła z wrażenia. – Z głodu nie zginiemy, ale jak zarobię na mieszkanie?

Towarzysz Zaleszczuk pierwszy raz sięgnął do swojej czarnej teczki i wyjął z niej plik zapłaconych rachunków za gaz, prąd, wodę i inne usługi.

– Każdemu według potrzeb – oznajmił, wręczając je naszej gospodyni.

– No to mamy jak w niebie! – Jesika najwyraźniej nie chwyciła aluzji ze zbyt zamierzchłej jak dla niej epoki.

– Aby było jak w niebie – odezwał się milczący dotąd Jan Seweryn – trzeba by tu najpierw trochę posprzątać…

– Przepraszam, panie rycerzu! – Poderwała się energicznie. – Już biorę się za odkurzacz!

– Nie to miałem na myśli – Jan Seweryn ruszył do sąsiedniego pokoju.

– Ja tam śpię… – poinformowała zmieszana. – I nikt…

– No właśnie, proszę panny, ano właśnie – odparł zafrasowany husarz. – W tym rzecz, że nie sama…

– Pan coś sugeruje?! – uniosła się oburzeniem i zastąpiła mu drogę, biorąc się pod boki.

– Pozwoli panna – delikatnie ją przesunął.

Wcale nie miała ochoty pozwolić, ale Jan Seweryn z równą stanowczością i delikatnością przesunąłby piramidę Cheopsa, gdyby ta przypadkiem weszła mu w drogę. Dziewczyna kilkadziesiąt milionów razy lżejsza od egipskiej piramidy miała proporcjonalnie mniej do gadania.

Ignorując rozzłoszczoną Jesikę, wszyscy weszliśmy do sypialni za Janem Sewerynem, który bez pośpiechu sięgnął w cień za niepościelonym łóżkiem i jak kota za kark wyciągnął stamtąd inkuba – czarnego, włochatego karła z wielkim, purpurowoczerwonym, sterczącym bezwstydnie penisem. Inkub miał ponadto wydatne karminowe, zaślinione usta i wykazywał karykaturalne podobieństwo do księdza Andrzeja. Łatwo się było domyślić, jakie fantazje erotyczne najchętniej miewała panna Jesika. Andrzej domyślił się też…

Schwytany demon nie bronił się zbyt energicznie. Zobaczywszy jednak dwie młode kobiety, zamarkował ruchy frykcyjne i puścił oko do księdza Andrzeja, który z wrażenia zsiniał apoplektycznie. Leokadia nie dała się zgorszyć i nie odwróciła wzroku, tylko spojrzała śmiało na demona, któremu w tym momencie wszystko generalnie zwisło.

– To nie moje! – zaczęła tłumaczyć się zmieszana Jesika. – Nie kupuję sobie wibratorów ani żadnych lalek z sex-shopu!

– Ponad lateks przedkładasz rozwiązania ekologiczne? – zakpiłem bez litości.

– To nie jest lalka, proszę panny – odparł rzeczowo Jan Seweryn, gromiąc mnie wzrokiem. – To prawdziwy inkub. Miewała panna ostatnio

zbereźne sny? Mniemam, że tak, i powiadamiam pannę, że to nie były tak całkiem sny…

Jesika zamiast odpowiedzieć, poczerwieniała po koniuszki uszu. W niczym nie przypominała już wyszczekanej dresiary, za jaką usilnie pragnęła uchodzić. Zmieszana i milcząca wpatrywała się w podłogę, a Jan Seweryn kontynuował reprymendę.

– Jak się w domu praktykuje czarną magię, to takie rzeczy pospolicie się lęgną. Panna życzy go sobie zatrzymać i używać dalej, czy też mam się go pozbyć?

Inkub natychmiast odzyskał wigor i erekcję. Do kompletu, pod adresem swej dotychczasowej użytkowniczki zrobił paskudnie przymilną minę i żeby było przewrotniej, jeszcze bardziej upodobnił się do Andrzeja. Zamlaskał, wysunął język, po czym poruszył nim energicznie, jakby coś lizał, sugerując jednoznacznie, co by to mogło być…

– Nie chcę go tu! – Jesika skrzywiła się z obrzydzeniem.

Jan Seweryn bez słowa, z półobrotu wbił inkuba członkiem w ścianę niczym wielką czarną pinezkę. Dobił dwa razy, uderzając go pięścią w plecy, i inkub wsiąkł w mur.

– To jeszcze nie wszystko – powiedziała Leokadia i dała nam znak, byśmy wrócili do dużego pokoju. Tu Ośka klasnęła dwa razy w dłonie i spod szafy wylazł wielki stawonogi stwór, wyglądający jak skrzyżowanie kraba z pająkiem. Był dwa razy większy od zwykłego ptasznika, ale nie miał jak on sierści, tylko granatowe, połyskujące metalicznie łuski. Zamiast szczypiec przednie odnóża kończyły miniaturowe ludzkie dłonie. Na końcach pozostałych łap znajdowały się po dwa ludzkie palce – kciuk i wskazujący. Oczu było dużo, jak to u pająka, ale wszystkie gadzie z pionowymi źrenicami i żółto-czerwonymi tęczówkami. *Summa summarum,* wyglądało toto, jakby zlazło wprost z obrazu mistrza Boscha.

Jesika wrzasnęła nieprzytomnie i uwiesiła się na szyi Andrzeja. Nasz księżyk tym razem okazał zrozumienie i nie odepchnął jej od siebie, tylko wziął spanikowaną dziewczynę na ręce.

– Jak trwoga, to do Boga… – skomentował tytułem usprawiedliwienia.

Stwór, jakby ciągnięty na niewidzialnej smyczy, opierając się, podszedł do Leokadii, po czym odwrócił się na grzbiet i znieruchomiał w pozie całkowitej uległości.

– Chcesz wiedzieć, co on tu robił? – spytała Ośka Jesikę.

Ta pokiwała twierdząco głową.

– Zacznij więc wróżyć – powiedziała surowo Leokadia.

– Ale ja się go boję…

– Rób, co każę! – Ośka podniosła głos. Znać było, że nie jest w nastroju do żartów.

Andrzej postawił dziewczynę z powrotem na podłodze. Jesika podeszła do stojącego w rogu stolika, który służył jej za miejsce pracy. Tam leżała komórka, która niedawno dzwoniła. Dziewczyna usiadła.

– Komu mam powróżyć? – spytała drżącym głosem.

– Po prostu weź do ręki talię tarota – poleciła Leokadia.

W chwili gdy Jesika wykonała polecenie, stwór ze zwinnością karalucha przekręcił się z grzbietu na łapy i obrócił czujnie w stronę wróżki.

– Zacznij tasować – rozkazała Ośka.

Zaledwie Jesika ułożyła dłonie do tasowania, stawonogi demon wybił się z dywanu i jednym susem wskoczył na blat przed dziewczyną. Ta znów wrzasnęła ze strachu i omal nie przewróciła się do tyłu razem z krzesłem. Talia tarota wypadła jej z rąk i w tym momencie demoniczny pajęczak znieruchomiał jak skamieniały.

– Weź karty i rób z nimi to, co zwykle! – w głosie Leokadii nie było ani śladu współczucia. – Dalej! Wszak to dla ciebie nie pierwszyzna!

Blada ze strachu Jesika znów wzięła karty do ręki. Potworek zamrugał trzema parami oczu.

– Tasuj!

Dziewczyna, wstrzymując oddech, przełożyła karty, a stwór natychmiast doskoczył i uchwycił talię z drugiej strony. Teraz wyjaśniło się, po co mu ludzkie dłonie i palce – złapał nimi kilkanaście kart naraz. Jesika zagryzła wargi, opanowała strach i zaczęła tasowanie.

Już po kilku przełożeniach dla wszystkich stało się jasne, że to nie wróżka tasuje, lecz jej demoniczny partner. Stawonóg był szybszy, zwinniejszy i przekładał karty w talii, manewrując swymi ludzko-pajęczymi kończynami pomiędzy palcami Jesiki z iście piekielną zręcznością. Zamieniał karty miejscami, niektóre odwracał do góry nogami, po czym wsuwał z powrotem do talii, zanim jednostajne ruchy dziewczyny zdołały mu w tym przeszkodzić. Kiedy po wstępnym przetasowaniu Jesika rozłożyła karty w wachlarz, by je dokładniej wymieszać, było już całkiem jasne, że biegający po stole łuskowaty krab zastępuje tutaj rachunek prawdopodobieństwa. Innymi słowy, nie było żadnego przypadku, tylko obca wola i decyzja, która nie miała nic wspólnego z Naczelnym.

Każde wróżenie, proszę ja was, to zabawa prosta jak obsługa cepa. Zawsze zaczyna się i kończy tak samo. Najpierw, zawierzając wróżbie, godzisz się, aby twoją ludzką wolną wolę zastąpił zwykły przypadek. Zamiast suwerennie decydować o sobie, zdajesz się na chaos. Wycofanie zaś własnej woli otwiera furtkę dla cudzej i niebawem cała ta zabawa nie ma już nic wspólnego z przypadkiem. Ktoś się tobą bawi i manipuluje, a ty bezpodstawnie, na zasadzie myślenia życzeniowego przyjmujesz, że ta istota jest ci przyjazna. W piekle uwielbiają głupich!

– Rozumiesz już – spytała Leokadia znacznie łagodniejszym tonem – dlaczego twoje wróżby się sprawdzały?

– Tak, pani… – Jesika złożyła karty i demonstracyjnie odsunęła je od siebie. Demon-tasowacz natychmiast znieruchomiał na stole.

– Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli… – skwitowała cierpko anielica i pokazała palcem na dywan przed sobą. Stwór natychmiast zeskoczył na wskazane miejsce i posłusznie odwrócił się na grzbiet. Leokadia nadepnęła go bosą stopą i wtłoczyła w podłogę, w której zniknął.

– Czy to… to już wszystkie…? – zapytała Jesika drżącym głosem.

– Na razie zalęgły się tylko te dwa, ale jest jeszcze cała kolejka chętnych do tego lokalu – pokazałem na ścianę, w której w tym momencie jako płaskorzeźby uwypukliły się trzy paskudnie wykrzywione gęby, poruszające ustami w bezgłośnym krzyku.

– Dziadek? – wyrwało się Jesice na widok jednej z nich.

– Dynastia potępieńców… – stwierdziłem z niesmakiem. Plaśnięciem dłoni rozsmarowałem i wyrównałem żywe reliefy z powrotem do faktury tynku.

– Ten dom należy wyświęcić! – Andrzej też postanowił wykazać swoją użyteczność.

– Rychło w czas – wzruszyłem ramionami. – Chcesz coś poprawiać po aniołach?

– Anno, czy chcesz się wyspowiadać? – zwrócił się do niej z powagą.

– *Sorry,* Winnetou, ale nie możesz rozgrzeszać własnej kochanki – zgasiłem jego duszpasterski zapał. – W seminarium ci tego nie mówili?

– Więc ty… – zaskoczony Andrzej popatrzył na Jesikę. – Od tamtej pory nie pojednałaś się z Bogiem? Ani razu?

– A dlaczego miałam się godzić z kimś, kto mi ciebie zabrał?! – wybuchła gniewem, odreagowując odczuwany przed chwilą lęk.

– Bóg cię kocha, Anno – oznajmił z maksymalnym księżym zadęciem, na jakie było go stać.

– W takim razie jest sadystą! To wszystko jest głupie i bez sensu!

– Nieprawda. – Leokadia objęła ją łagodnie i przytuliła. – Ty po prostu zagubiłaś się w świecie. Nie bez wydatnej pomocy innych… – spojrzała koso na Andrzeja, który zmieszany spuścił wzrok.

Zanim jednak zdążył tu zapanować nastrój ogólnej ekspiacji, metanoi i pojednania, drugi raz zadzwoniła komórka. Była godzina za siedem dwunasta…

– Odbiorę – powiedziałem, podchodząc do stołu, na którym leżał telefon i plik kart tarota. – Ta klientka nie jest z tego świata. W sam raz dla mnie…

Ksiądz Andrzej przeżegnał się odruchowo. Ja nie musiałem polegać na przeczuciach. Wiedziałem, że będę mówić z Piekarką.

– Witaj, Krystyno – powiedziałem do słuchawki. – Wasz plan znów się nie powiódł i nie powiem, że jest mi z tego powodu przykro.

– Nienawidzę cię! – wycharczała przez spalone usta z głębi poparzonych żarem płuc. – Nienawidzę! Nienawidzę!

Efektowne to było, muszę przyznać, ale nie graliśmy w horrorze. Miałem ochotę powiedzieć jej, by przestała się wygłupiać, ale darowałem sobie. Trochę przez litość, trochę przez współczucie.

Jak postępować z demonem, który ma moralne prawo do bólu, gniewu i rozpaczy? Który znalazł się po tamtej stronie, bo nie miał w sobie siły Hioba. Naczelny sprawdza swoje stworzenia i czasami nie sposób się oprzeć wrażeniu, że przeprowadza na nich testy zniszczeniowe. Naciska, aż psychika pęknie, i notuje maksymalną wytrzymałość osiągniętą do chwili załamania. Nie radzę jednak serio tak myśleć. Choćby z tego powodu, że ponad Naczelnym nie ma żadnej instancji odwoławczej, której można

by się poskarżyć na sadystycznego Stwórcę. Jeżeli myślicie, że jesteście zabawkami w rękach kosmicznego tyrana, to odbieracie sobie nadzieję i popadacie w autozapieklenie, ponieważ już za życia doświadczacie stanu ducha właściwego potępieńcom. Tymczasem Naczelny jest po prostu konsekwentny. Skoro dał swoim stworzeniom wolność, to jej nie odbiera, niezależnie od tego, jak bardzo jej nadużyją. Następny ruch jednak należy do Niego. Nie zmieni tego fakt, że niektórzy nie chcą mu dać szansy, uzurpując sobie prawo do nienawiści. Gdybym był zdurniałym aniołem z amerykańskiego filmu albo ofiarą procesu psychopatyzacji, zwanego eufemistycznie formacją kapłańską, powiedziałbym Piekarce, że Bóg ją kocha, w co ona, delikatnie mówiąc, nie uwierzyłaby ani trochę. Mógłbym też zachować się jak głupawy psychoanalityk i oznajmić, że jej gniew jest naturalny. Będąc jednak aniołem, nie mogłem zbagatelizować faktu, że krzywdy do tej pory przez nią wyrządzone dalece już przewyższyły tę, której sama doznała. Powinna więc odczuć moc wyższej sprawiedliwości.

– Chcesz być większa od Boga? – zapytałem ją spokojnie.

– Chcę, chcę, chcę… – jej głos zabrzmiał jak skwierczenie tłuszczu na patelni.

– To mu wybacz – odparłem. – Jemu i sobie. Potrafisz?

– Nieee… nieee maaa wybaczeeeenia… – zawodziła i wyła.

– Jeżeli nie umiesz wybaczyć, ukorz się zatem.

– Chcesz pokonać nas swoją niewolniczą sofistyką? – odezwał się głos Doroty Klimaszewskiej.

Prosta pościelowa z pierwszej połowy XVI wieku z pewnością nie znała takich słów, zatem tak naprawdę nie z nią rozmawiałem…

– Zrobiłaś może doktorat na piekielnym uniwersytecie? – zagadnąłem, zbierając się w sobie. Musiałem sprostać stojącej za nią całej inteligencji Zła.

– Mam dla ciebie pytanie, boży mędrcze – zaszydziła. – Powiedz mi, jakie to większe dobro wynikło z naszego cierpienia? Tylko się nie zasłaniaj mistyczną tajemnicą, wszak ty zawsze możesz poprosić o objawienie…

– To dobro jeszcze nie zaistniało, ale zaistnieje.

– O, mówisz teraz jak człowiek, nie anioł! – bezbłędnie wykryła słabość mojej repliki. – Zatem on nie objawił ci odpowiedzi!

– Odpowiedziałem zgodnie z moją wiarą – przyznałem.

– A więc tego nie wiesz! To ja ci jeszcze powiem, że on sam tego nie wie! Stworzył kamień, którego nie zdołał dźwignąć i który zmiażdżył go swoim ciężarem. Zdradzę ci tajemnicę twojego Boga, której on nie śmie wyznać sam przed sobą. Ludzkie cierpienie go przerosło! Stworzył je jako możliwość, ale nie sądził, że się ziści. Był zbyt dobry i naiwny, by przewidzieć konsekwencje swojego dzieła. A kiedy ból i krzywda się urzeczywistniły, okazały się zbyt ogromne, aby mógł je naprawić i wynagrodzić. Ten kamień zgniótł twojego Boga! Jego plan zapadł się pod własnym ciężarem!

– Twoja teoria jest równie solidna co błyskotliwa… – Tak już ze mną jest, że przyparty do ściany zaczynam odzyskiwać rezon i krystaliczną jasność myśli. – Tylko że ja mam jeszcze coś, czego ty na skutek swojej pewności już straciłaś i nie odzyskasz. Mam nadzieję. Choćby taką, że czegoś istotnego nie wiem, ale kiedy się dowiem, będę bardzo mile zaskoczony. Miałem tę nadzieję za życia i wciąż ją mam, wciąż liczę, że stanie się coś lepszego niż dotąd. Ty natomiast wiesz już wszystko, dokładnie i do końca. Widzisz ten koniec wyraźnie i nie masz nadziei nawet na karierę w piekle…

– Nie kpij ze mnie! – warknęła Klimaszewska ochrypłym męskim głosem.

– Teraz już mogę do woli – odparowałem. Skoro objawił mi się sam Zły, moje myśli stały się niczym płonące miecze. Ogniste rozumowanie – to była moja broń i mój atrybut!

– Mam ci powiedzieć, co wypierasz ze swojej świadomości? – podniosłem nieznacznie głos. – Proszę bardzo! Wypierasz prawdę, że wszyscy potępieńcy są sobie równi! Tylko niektórzy dali ci się nabrać, że ty tam rządzisz, ale to tylko jeszcze jedno twoje kłamstwo. Teraz wypchaj się siarką, tupeciarzu, i nie wtrącaj! – Strąciłem go w otchłań jak muchę. – Doroto, jesteś tam?

– Myślisz, że powiem ci coś innego niż mój pan? – Po głosie znać było, że nabrała respektu… Nie. Wcale nie nabrała, próbowała mi się tylko niewerbalnie przypochlebić.

– Właśnie na to liczę, że mu się przeciwstawisz. Chciałbym jednak jeszcze upewnić się co do jednej rzeczy. Robisz to wszystko, bo się mścisz, zgadza się? Za tych kilka godzin cierpień, których doznałyście ty i Krystyna, tak? Mścicie się już prawie pięćset lat i nie zamierzacie przestać. Nie sądzisz, że popadacie w przesadę? Że rachunek wciąż przez was wystawiany za wycierpiany ból jest tak wielki, że aż stał się kredytem, który kiedyś przyjdzie wam spłacić?

– Jak?

– Znów biegając nago w kręgu płomieni, uwiązane łańcuchami do słupa, krzycząc i gryząc jedna drugą.

– Cóż ty możesz wiedzieć, co się wtedy czuje?!

– Wiem tyle, że przeżyjecie to jeszcze raz i będzie to trwało o wiele dłużej niż cztery godziny.

– Twój Bóg ci to powiedział?

– Nie. Po prostu znam upodobania waszego pana, który tak naprawdę nie jest niczyim panem, tylko wam to wmówił. Myślisz, że nie było

go wtedy pod Barbakanem? Że nie cieszył oczu widokiem waszej męki? Że on nie zechce znowu was tam zobaczyć? Wrócicie do kręgu ognia, kiedy już zrobicie swoje.

– Kłamiesz! Kłamiesz! Kłamiesz!

– Anioły nie kłamią. Wybierz stronę tego, który ci przynajmniej szczerze współczuł.

– On nam nie współczuł!

– Gdyby tak było, nie dałby wam aż tyle czasu na opamiętanie.

– Niczego nie dał! Nie jesteśmy już w jego władzy.

– Doprawdy? W takim razie podaj mi moje imię. Wydobądź je z Bożego umysłu i zdemaskuj moje *incognito*. Skoro twierdzisz, że Bożej władzy już nie podlegasz, żaden ustanowiony przez tę władzę zakaz ani tajemnica nie powinny być dla ciebie przeszkodą.

– To nieważne. Nikogo nie obchodzi twoje żałosne imię.

– A co jest ważne?

– Nasza zemsta. Odnajdziemy tę małą, którą uprowadziliście, i spełnimy nasz zamiar do końca. A jeśli nie my ją, to ona nas odnajdzie. Nie wygracie z nami!

– Skąd ta pewność?

– To moje miasto! Tutaj się do mnie modlą! Ja mówię im, że zginą, a oni się modlą, CHA, CHA, CHA, CHA!

Demoniczny śmiech w słuchawce ucichł. Przerwałem połączenie i odłożyłem komórkę.

– Na brak dobrej woli nawet Anioł Dobrej Rady nic nie poradzi… – przyznałem się do porażki.

– Przynajmniej się starałeś – pocieszyła mnie Leokadia.

Obejrzałem się na Jana Seweryna, ciekawy, co on na to powie, ale nasz husarz patrzył przed siebie nieobecnym wzrokiem. Zrozumiałem, że

odbiera własne objawienie, którym na razie nie może się z nami podzielić.

XIV. Pęknięty kamień

Trudno będzie w to uwierzyć temu, kto tego na własne oczy nie widział, ale ta historia wydarzyła się naprawdę. Rzecz skończyła się śledztwem, które w aktach kancelarii marszałka wielkiego koronnego odnotowano, aczkolwiek sprawy w istocie miały się inaczej, niż zeznali sprawcy pragnący uniknąć surowej kary za czarnoksięstwo. Ja, Jan Seweryn Mierzejewski kolejny raz z woli Bożej miałem być świadkiem niecnych czynów.

Znów przed oczami stanęło mi wolskie uroczysko. Tym razem był lipiec 1788 roku, zmierzch dnia dwudziestego tegoż miesiąca. Zaginęła już wszelka pamięć o znajdującym się w tym miejscu dawnym pogańskim cmentarzu, na którym grzebano tych, których życie się nie spełniło, a zatem poronione płody, chłopców pomarłych przed postrzyżynami, dziewczęta przed pierwszym krwawieniem oraz nieszczęśliwych kochanków, którzy tutaj przychodzili się wieszać. Z pokolenia na pokolenie szła jedynie wieść, że miejsce jest złe, obciążone klątwą sprawiającą, że żadne rozpoczęte tu dzieło nigdy nie będzie doprowadzone do szczęśliwego końca. I o tym jednak stopniowo zapominano. Została tylko niejasna obawa. Poczucie złudnego bezpieczeństwa dawał kościółek pod wezwaniem Świętego Wawrzyńca, wzniesiony staraniem królowej Marii Kazimiery Sobieskiej, którego budowę z wielkim trudem udało się zakończyć aż ćwierć wieku po zgonie fundatorki. Miejsce wybrane pod kościół było na samym skraju uroczyska, dlatego dało się je poświęcić. Budzące niepokój Czarne Źródło

zasypano i przywalono głazem ze znakiem krzyża, ale jałowa woda nie przestała płynąć, znalazła sobie drogę podziemną. Udało się jedynie osiągnąć tyle, że uczucie beznadziei nie ogarniało już każdego, kto tutaj zbłądził, i nie wysysało z niego duchowych sił. Stan owego zrównania jasnych i ciemnych mocy nie trwał jednak długo, ledwie trzy dziesiątki lat, do momentu aż pewien zaślepiony chciwością szlachcic z pomocą dwóch występnych prawosławnych kapłanów zerwał wątłe pieczęcie nałożone na Czarne Źródło.

Dano mi teraz ujrzeć ową chwilę oraz jej skutki.

O zachodzie słońca, gdy całe niebo poczerwieniało, na na wpół zbutwiałych deskach wyrwanych ze starych trumien i ułożonych na gołej ziemi, z której zdarto darń oraz obficie posypano solą, żeby wszystko, co żywe, w niej zginęło, dwaj popi kredą poświęconą na Trzech Króli nakreślili krąg, a w nim pentagram, na jego rogach ustawili świece z trupiego wosku, pośrodku napisali słowa „Jezus Nazareński”, a wokoło imiona upadłych aniołów, jakby osaczające Zbawiciela ze wszystkich stron. Szatan, mając możność podeptania świętego nazwiska, powinien być zadowolony, okazać swą hojność i nie żałować złota.

Pan Ludwik Sopoćko, dziedzic wsi Dąbrówka, założywszy kciuki za pas kontuszowy, w milczeniu obserwował zabiegi swoich pomocników. Byli to dwaj wyrugowani z parafii popi ruscy, zbiegli z kresów do stolicy, gdzie imali się wszelkich przysług, godnych i niegodnych, byle im dobrze za nie zapłacono. Starszy z nich nosił brodę, młodszy był gładko ogolony. Na czas obrzędu prawosławne krucyfiksy zawiesili sobie na szyjach do góry nogami.

– Jesteście pewni tego miejsca? – szlachetka zapytał po raz kolejny. – Przyjdzie on aby na pewno?

– Tak, tutaj nachodzą się wrota, kędy diabeł na ziemię wychodzi – zapewnił starszy pop. – Dokładnie pod tym kamieniem… – wskazał omszały głaz, leżący trzy kroki od podestu z wyrysowanym pentagramem. – Ino się teraz nie żegnajcie nabożnie! – zawołał szybko, widząc, że szlachcic odruchowo podniósł prawą rękę na wysokość piersi. – Bo wszystko nam zepsowacie!

– Ale czyż bożym sługom godzi się tak postępować? – zapytał czwarty uczestnik czarnoksięskiego obrzędu, mówiący po polsku z silnym niemieckim akcentem.

– Zbawca dał nam władzę nad duchami złymi i dobrymi, abyśmy z niej korzystali wedle naszej woli – odpowiedział mu szybko drugi pop. – Nasza rzecz, co robimy, a wy, panie Gotlib, czyńcie, co do was należy, a szczęście wielkie was nie ominie. Każdy z nas weźmie taki wór złotych monet, jaki tylko zdoła udźwignąć.

– A to może bym tak po pacholika swego posłał jeszcze? – zagadnął pan Sopoćko. – On silny i do dźwigania bardziej niż ja zdatny…

– Jego będzie to, co uniesie – odparł pop – i wy żadnych praw do onego złota mieć nie będziecie, takie diabelskie prawo, które łamać wam odradzam.

– Czemuż to kusy miałby nam talary znosić? – Niemiec nadal miał wątpliwości. – Za co taka hojność od niego?

– Za to, że my ten mały skrawek ziemi kręgiem obrysowany wyjmujemy staraniem naszym spod Bożej władzy i oddajemy we władanie piekłu.

– Nie za wielkie owo latyfundium… – wzruszył ramionami pan Gotlib, patrząc na pentagram.

– W piekle ziemskie włości bardzo sobie cenią i nawet za tak mały skrawek wiele złota gotowi są dać, byle tylko mieć przystęp do słońca,

deszczu i śniegu, które od piekielnego ognia dają wielką ulgę – wyjaśnił poirytowany pop. – Dla Boga zaś to strata żadna, ot tyle co dziurka w serze, gniewać się on nie ma o co, pewnie nawet tego uszczerbku nie zauważy, a dla nas w zamian dostatek do końca naszych dni.

– Posag swojej młodszej dam i kamieniczkę na Nowym Mieście pod dach podciągnę… – rozmarzył się pan Sopoćko i zaraz zmienił ton. – Zatem dosyć mitręgi, bierzcie się, panie Gotlib, za czytanie tej niemieckiej księgi, com ją wielkim ekspensem własnym z waszych krajów sprowadził! Wszakże po to was nająłem!

– Czytajcie śmiało – zachęcił Niemca starszy pop. – Pora już!

Gotlib Giedykie, ekshuzar pruski, a obecnie szynkarz warszawski, z racji swej znajomości języka niemieckiego w mowie i piśmie, obietnicą sowitej nagrody skłoniony do wzięcia udziału w tym osobliwym obrzędzie, westchnął z rezygnacją, sięgnął za pazuchę i wyjął niewielką książkę, którą pan Sopoćko, płacąc czystym złotem nabył onegdaj w wielkiej tajemnicy od wędrownego księgarza. Rzecz napisana była ponoć w starożytnych czasach przez czarnoksiężnika Faustusa, żyjącego rówieśnie ze świętym Augustynem, uczonym biskupem, który owego maga osobiście spotkał, o czym w swoich *Wyznaniach* wzmiankę gniewną dał. Książka Faustusa składała się z samych szyderstw i przekleństw przeciw Bogu i Jego świętym, których głośne czytanie było słodką muzyką w uszach Szatana, zapewniając przychylność księcia piekieł, a jeśli dodatkowo rzecz całą w szczególnie dobranym i przygotowanym miejscu przeprowadzić, można było sprawić, by diabeł zjawił się na wezwanie osobą własną, przynosząc ze sobą złota wór. Pan Sopoćko zwietrzył okazję, by się długów pozbyć i majątek rodowy pomnożyć. Potem długo i ostrożnie szukał uczonych, znających się na rzeczy wspólników i czynił przygotowania, skupując

potajemnie trumienne deski, aż wreszcie dziś wieczór nadszedł czas wszelkie wydatki z nawiązką sobie powetować.

Popi zapalili świece w rogach pentagramu i jeszcze dwie dodatkowe, z którymi stanęli po bokach Niemca, aby mu przyświecać w trakcie czytania. Mości Gotlib ze swej strony, choć jako ewangelik katolickich i prawosławnych bluźnierstw wypowiadać się nie wzbraniał, to jednak w miarę upływu czasu odczuwał coraz większe zwątpienie w pomyślny skutek tych wszystkich zabiegów. Ale na razie, co mu kazali, to czytał. Równym głosem i nie za głośno, by nie ochrypnąć, bo księga cienka nie była, a obaj popi nalegali, żeby przeczytał całość od deski do deski bez nijakiej przerwy, choćby na zwilżenie gardła.

Tak na wymyślaniu Chrystusowi zeszły im cztery godziny.

Ciemność zapadła gęsta, a płomyki świec zdawały się w niej gasnąć. Chłód nocy zakradał się ze wszystkich stron, popi szeptali, że to dobry znak i że gdy tylko czytanie się skończy, diabeł niechybnie stanie w pentagramie.

Pan Sopoćko zmarzł i zgłodniał, po niemiecku nie rozumiał ni w ząb, ale dzielnie wytrwał do końca, aż Gotlib Giedykie skończył czytać. Gdy to wreszcie nastąpiło, wraz z innymi wstrzymał oddech, czekając na objawienie się Szatana.

I, uważacie, nie stało się nic a nic. Przynajmniej na razie…

– No i gdzie on?! – zgniewał się w końcu pan Sopoćko. – Gdzież jest ów czort zatracony?! Jak niepotrzebny, to wszędy go pełno, a tu takim faworem gardzi? Czyżby on mnie, polskiego szlachcica, zamiarował obrazić?!

– Uspokójcie się, wielmożny panie, piekło jest głębokie, droga stamtąd na powierzchnię ziemi długa, może to jeszcze trochę potrwać, zanim tu dojdzie – zaczął uspokajać młodszy pop.

Niemiec zakasłał i odchrząknął.

– Dalibyście czym gardło przepłukać – poprosił, chowając czarnoksięskie dzieło z powrotem za połę kubraka.

– Zawrzyj gębę i nie marudź teraz! – warknął na niego pan Sopoćko.

Czekali więc dalej, a diabeł na wolskie uroczysko czegoś nie przebywał. Mimo ciemności widać było dobrze, że inicjator całego przedsięwzięcia jest wściekły i lada chwila gotów się imać szabli. Nie wiadomo tylko przeciw komu.

– Może być, że tu jeszcze jeden obrzęd dopełnić potrzeba – odezwał się starszy pop.

– Jaki?! – zgrzytnął zębami szlachcic.

Występny kapłan zwrócił się do Gotliba.

– Ty jesteś lutrem, więc przerżnij sobie nożem rękę, a krwią wyciśniętą wypisz na tym kamieniu podpis Fausta czarnoksiężnika, który niezawodnie sprowadzi tu złego ducha.

– Ma który nóż?! – syknął pan Sopoćko.

– Ale czyż tak się godzi? – zaooponował Niemiec, który miał już tej przygody serdecznie dosyć. Wiele zniósł, ale pomysł, by kroić sobie rękę, to było już dla niego za wiele. – Boję się, ażeby to jakie nieszczęście z tego nie wynikło…

– Jużeśmy tłomaczyli, że tobie tylko szczęście stąd wyniknie – zaczął perswadować młodszy pop.

– Dość będzie tego! – rozjuszony pan Sopoćko porwał się do karabeli. – Nie chce nam krwi dać z ręki, to mu ją zaraz ze łba utoczę!

Gotlib Giedykie, niewiele myśląc, wyskoczył z kręgu wątłego światła, dał drapaka w krzaki i natychmiast zniknął wszystkim z oczu. Pan Sopoćko z gniewnym rykiem ruszył za zbiegiem jak nietoperz za ćmą i kierując się odgłosem deptanego chrustu, gonił, a karabelą siekał na oślep. Nie trafił ani razu, obaj potykali się o korzenie i wywracali co chwila, wpadali na pnie

drzew aż dudniło, a z tej gonitwy ślepego za ślepym musiałaby być niezła zabawa i w niebiesiech, i w piekle, gdyby tylko obie strony w onej chwili skore do krotochwil były.

Wreszcie pan Sopoćko wyjątkowo mocno wyrżnął podgolonym łbem o nisko zwisającą gałąź, że aż go zamroczyło, siadł i szabla wypadła mu z ręki. Zanim się pozbierał i macając wokół siebie, odnalazł zgubiony oręż, pruski ekshuzar był już daleko i to on pierwszy dotarł do furmanki pozostawionej przy bramie kościoła Świętego Wawrzyńca.

– A cóż to tam wielmożni panowie porabiali? – ziewnął strzegący podwody pacholik, ten sam, którego pan Sopoćko zamierzał do dźwigania diabelskiego złota angażować.

– Masz co pić? – zachrypiał Niemiec. Od długiego czytania i bieganiny po olchowym zagajniku w gardle miał wiór, a język stawał kołkiem.

– Jeno tę butelkę francuskiego wina…

– Dawaj!

– Ależ oną pan mój konserwował, żeby ją ze specjalnym gościem wypić, którego miał tu napotkać – zastrzegł pachołek.

Gotlib Giedykie sam namacał koszyk z prowiantem, a w nim flaszkę wina. Chwycił ją, wyrwał korek i pociągnął z ulgą długi łyk.

– Pan się będzie gniewał – skomentował marudnie pachołek. – O, już się gniewa!

W ciemnościach rozległ się ryk rozjuszonego imć Sopoćki, przybliżający się wyraźnie. Niemcowi jednak zbyt chciało się pić, by tak od razu rezygnować z wina, które zresztą rzeczywiście przednie było. Z flaszką w garści skoczył w ciemność po drugiej stronie drogi kaliskiej, szukając w wolskich chaszczach bezpiecznego miejsca, gdzie mógłby bezpiecznie dokończyć trunek i doczekać świtu.

Na tym ów arcypolski seans czarnej magii mógłby się zakończyć. W dobrze pojętym interesie Sopoćki leżało, by o sprawie nie dowiedziały się władze. Rozsierdzony szlachetka jednak tak się zawziął, że zaraz następnego dnia formalnie oskarżył Gotliba Giedykie o kradzież cennej książki i flaszki wina francuskiego. Pojmany szynkarz wyznał więc ze szczegółami, po cóż to się w nocy na wolskim uroczysku schodzili, pomniejszając jedynie swój czynny udział w obrzędzie i na nieświadomego intrygi świadka się kreując. Nadmienił ponadto, że nic nie wie ani nie ma nijakich przypuszczeń względem tego, jakim to sposobem wolska karczma mogła się dokładnie tej samej nocy do fundamentów spalić.

Historia spisana w sądowych aktach zapomniała całkiem o obu popach, którzy po zwadzie imć Sopoćki z szynkarzem Giedykie na uroczysku sami zostali…

Zrazu nasłuchiwali pilnie odgłosów pościgu i siekania gałęzi, a gdy to ucichło, popatrzyli na siebie z zakłopotaniem i zaczęli naradzać się po białorusku:

– *I szto nam ciapier rabić?* – zapytał starszy młodszego.

– *Patrebna uciakać* – zdecydował tamten po chwili namysłu.

Uciec jednak nie zdążyli.

Na kamieniu, którym przywalono Czarne Źródło, stanęła Tina-Alina.

– *A szto geta za dziauczynka?* – zdumiał się starszy pop i przeszedł na polski. – A skąd ty się tu wzięła, a?

Zamiast odpowiedzi dziewczynka rozłożyła szeroko ramiona, które momentalnie obsiadła chmara porońców, materializujących się jakby wprost z czerni nocy. Świece w pentagramie zaczęły świecić na czerwono.

– *Uciakajem!* – wrzasnął młodszy pop.

Nie zdołali postąpić ani kroku. Zatrzymały ich dziesiątki dziecięcych rąk, które nagle wyłoniły się z ziemi, nadspodziewanie mocno chwytając

jednego i drugiego za skraj sutanny, łydki i stopy. Jakby nagle wrośli w ziemię korzeniami z ludzkich ramion.

– *Bog pamiłuj! Chrystos, wyratuj!* – wrzeszczeli jeden przez drugiego.

Wzywany ich nie posłuchał i ja, anioł, się temu nie dziwię. Była obraza boska, musiała być też i kara za zdradę. Dalsze krzyki uciszyły porońce, które na kształt knebli wepchnęły się po trzy w otwarte gęby występnych kapłanów i nie dały się ani pogryźć ani wypluć. W oczach świętokradców błysnęła najczystsza groza.

Tina-Alina zeskoczyła z kamienia w krąg pentagramu, podniosła jedną ze świec i podeszła do starszego popa dygoczącego w uścisku gniewnych młodych dusz. Przytknęła mu płomyk świecy do sutanny, która natychmiast cała stanęła w ogniu. Porońce się nie przelękły, gdyż płomienie się ich nie imały, tak samo i ręce zjaw pozostały nietknięte. Tylko świętokradca czuł trawiący go żar, płonął żywcem i nie mógł wydać z siebie choćby najmniejszego jęku. Jednocześnie nie spalał się ani trochę.

Demoniczna dziewczynka podeszła do drugiego popa i jego też podpaliła. Także i ten nie zdołał wydać z siebie choćby najmniejszego jęku. Cały ból i lęk pozostały zamknięte w jego umyśle. Tymczasem pentagram za Tiną-Aliną zapadł się pod ziemię, a na jego miejscu powstała jama wypełniona czerwonym blaskiem. Chwilę później wybiegła stamtąd gromada dziecięcych dusz wlokących ze sobą cyrulika Wincentego Kanię, pojmanego półtora wieku wcześniej w czasie zarazy, który wszakże do tej pory niewiele zdołał wytrzeźwieć. Obaj płonący popi zostali włączeni do upiornego korowodu i wraz z cyrulikiem powleczeni drogą biegnącą na przełaj, przez wieki ku współczesności. Przez Wolę ruszyła procesja gniewu i kary.

Ta, która ich wszystkich zbudziła i wezwała do pomsty, szła na czele pochodu, a chmara porońców polatywała nad nią i za nią jak rozwiany

płaszcz. Wyszli z obszaru uroczyska, przekroczyli ścieżkę, która później stała się ulicą Elekcyjną i wkroczyli na rozciągające się po drugiej stronie moczary. Szli po powierzchni wody jak burza błędnego ognia. Zdawałoby się, że bagno płonie, ale widmowy blask oraz majaczące w nim postacie były widoczne tylko dla aniołów. Uczony jaki mógłby rzec, że to pożar błotnego gazu. Fala błędnych ogni wyszła na drugi brzeg bagien przy opłotkach obejść, stojących przy głównej drodze wsi Wielka Wola. Tam piekielny korowód znów zapadł się pod ziemię. Ogień wszakże pozostał na powierzchni.

Wtedy to właśnie sama z siebie stanęła w wielkim ogniu strzecha tutejszej karczmy.

XV. Anielskie herezje

Ksiądz Andrzej patrzył na nas badawczo, raz na mnie, raz na Ośkę, aż wreszcie zatrzymał wzrok na mnie.

– Jedna rzecz budzi moje zdziwienie – stwierdził. – Dlaczego twoje imię jest tajemnicą?

– Meandry anielskiej psychologii – odparłem. – Nie chcę pamiętać, kim byłem. Pozostawiłem sobie tylko mój ludzki charakter i pamięć niedotyczącą bezpośrednio tożsamości. Mój tytuł Anioł Dobrej Rady jest jednak rebusem skrywającym moje prawdziwe imię.

– Po co to wszystko?

– Integruję się.

W odpowiedzi wzruszył ramionami.

– Anioł jest duchem prostym i nie powinien być dziwny – stwierdził autorytatywnie. – A wy jesteście dziwni!

– Ja sobie wypraszam! – obruszył się Jan Seweryn. – Składam uroczystą protestację w imieniu własnym oraz panny Leokadii. Oboje byliśmy rzymskimi katolikami i dostaliśmy się do nieba w zgodzie z zasadami naszej wiary.

– Ale oni dwaj z całą pewnością nie – ksiądz Andrzej wytknął palcem mnie i towarzysza Zaleszczuka. – Pierwszy jest heretykiem, a drugi cały czas wygląda na pijanego lub pod wpływem narkotyków.

– Sławomir nie przyjmuje do wiadomości informacji sprzecznych z jego marksistowskim światopoglądem – wyjaśniłem. – To dlatego od początku

tej rozmowy z krótkimi przerwami wygląda jak naćpany. On uważa nas za swoje halucynacje. Was zresztą też.

– W jaki sposób anioł może mieć materialistyczny światopogląd?! – nie wytrzymał nasz księżyk.

– Dlatego, że Naczelny nie jest małostkowy – oznajmiłem z kamiennym spokojem. – Chyba mówiono ci, że w niebie zobaczysz rzeczy zadziwiające, więc możesz już zacząć się dziwić.

– Niezupełnie tego mnie uczono – stwierdził kwaśno.

– Sorki, stary, ale katolicy naprawdę nie są sami w niebie. Nieważne, w co wierzysz, bo ludzie potrafią uwierzyć we wszystko, ważne, aby twoja wiara była dobra. W dobrej wierze dostaniesz się do nieba nawet jako neandertalczyk-animista. Słowo!

– Czyżby były więc różne rodzaje nieba w zależności od wiary i religii? – badawczo zmrużył oczy. Znów mu się zebrało na zabawę w inkwizytora.

– W zasadzie Światłość jest jedna, ale niezintegrowani funkcjonują w scenografiach mentalnych odpowiednich do ich nawyków cywilizacyjnych. Odrywanie się od macierzystych kultur zachodzi wolno i jest to proces zindywidualizowany.

– Rozumiem! – wykrzyknął ucieszony. – Jesteście duszami czyśćcowymi!

– Mylisz się. My tu nie cierpimy. No, może z wyjątkiem sytuacji, gdy jakiś wyświęcony łajdak w sutannie rzuci na nas czarny egzorcyzm. Fakt, że jeszcze jesteśmy podatni na pewne formy cierpienia, nie oznacza jednak, że musimy cierpieć.

– Stawiasz na głowie świętą teologię.

– Jaka ona tam święta! – machnąłem ręką. – Jest ściśle uzależniona od kulturowych wyobrażeń na temat Boga.

Ksiądz Andrzej odchrząknął zdegustowany.

– Może lepiej zmieńmy temat.

– Proszę bardzo. Wiem, że w tej sytuacji chciałbyś zadać wiele pytań…

– Jeśli dobrze rozumiem – zaczął z innej beczki – rozmawiałeś przed chwilą ze złym duchem podającym się za Matkę Bożą i usiłowałeś nakłonić tę istotę do poprawy. Czy to znaczy, że dla niej jest jeszcze nadzieja?

– One są dwie – uściśliłem. – I owszem, po tym, co przeszły, zachowały szansę na zbawienie, a tym samym wolną wolę, co jest rzadkim przywilejem po tej stronie śmierci. Teoretycznie mogą więc się opamiętać i przerwać krąg zemsty, zanim doprowadzą ją do finału, który stanie się także ich końcem.

– A co jest tym końcem? Czego one właściwie chcą?

– Zobaczyć grzyby atomowe nad Warszawą. Są na dobrej drodze do całkowitego unicestwienia tego miasta, ale jeśli to zrobią, staną się winne, a ich męki zasłużone. Szkoda, że nie potrafią zrozumieć, że bez Warszawy zostaje im tylko piekło.

– Czy zatem ja zostałem posłany, aby wam pomóc w tym dziele?

– Już nam pomogłeś, odmawiając przeprowadzenia czarnego egzorcyzmu. Dlatego teraz my przyszliśmy pomóc tobie. Dokładniej mówiąc, zostałeś wysłany na nasze spotkanie.

– Skoro jesteście aniołami, powinna ochronić was łaska boża. Dlaczego więc ten rytuał naprawdę by na was podziałał?

– Najbardziej podziałałby na ciebie, Andrzeju. Nadużywając w ten sposób kapłańskich przywilejów, nieodwracalnie zamknąłbyś sobie drogę do nieba. Pamiętasz, jaki grzech nie może być odpuszczony?

– Niewybaczalny jest grzech przeciw Duchowi Świętemu – odpowiedział w zadumie. – Czy to znaczy, że nie ma już miłosierdzia dla moich współbraci i przełożonych, nic już nie zmyje ich grzechu?

– Są żywymi potępieńcami. Nic tego nie zmieni.

– Nawet sam papież?

– Nawet on – potwierdziłem. – Szkoda, że wy, księża i zakonnicy, tak słabo uświadamiacie sobie odpowiedzialność, która na was ciąży. Wydaje się wam, że skoro zostaliście wyświęceni, to już wam wszystko wolno, bo jesteście z Naczelnym za pan brat. Tymczasem nie ma taryfy ulgowej, a wręcz przeciwnie. Każdy, kto został powołany do kapłaństwa, powołanie to przyjął i został oficjalnie ogłoszony kapłanem, wyznanie ani rytuał nie mają tu znaczenia, liczy się tylko powaga deklaracji, jest jak człowiek, którego obdarzono zaufaniem i dano mu plik weksli *in blanco*, w tym przypadku podpisanych przez samego Boga. Możecie na tych wekslach wpisywać, jakie chcecie sumy i dowolnie nimi obracać, nawet ze szkodą dla właściciela. On wykona każde zobowiązanie, zawiąże i rozwiąże, cokolwiek zażądacie, nawet skrzywdzi niewinne anioły, tyle że potem dla oszusta zmiłowania już nie ma. Maluczkim On wybacza wiele, lecz wy nie jesteście maluczcy. Przypomnij sobie, co powiedziano o gorszeniu maluczkich.

– Mówiono mi, że wola Boga i wola Kościoła Świętego to jedno.

– Mówisz tak, jakbyś historii nie znał.

– Przecież w Kościele Bożym działa Duch Święty!

– Działa, owszem i wiele ma pracy. Szkoda tylko, że wy wciąż wyznaczacie Duchowi Świętemu rolę śmieciarza i sprzątacza waszych brudów. On potrafiłby działać nawet w Gestapo i NKWD, nieraz mu się to zdarzało, ale czy sądzisz, że dla funkcjonariuszy tych organizacji wynika stąd jakikolwiek powód do chwały? Czy choćby najmniejsze usprawiedliwienie?

– Porównujesz Kościół Święty do zbrodniczych instytucji? – Andrzej aż poczerwieniał z oburzenia.

– Bywały okresy i zdarzenia, gdy różnice między nimi były niezauważalne. I nie powtarzaj mi tego, co ci wmawiali, że trzeba uwzględniać okoliczności historyczne, bo odpowiem, że ewangelia jest ponadczasowa.

– Co więc mam dalej robić?! – wybuchnął rozgoryczony.

– Wrócisz na swoje miejsce – odpowiedziałem stanowczo. – Ład bożego planu będzie przywrócony.

– Zostałem powołany i wyświęcony, sprostałem próbie i będę służyć dalej Bogu i Kościołowi – myślał głośno. – Tam jest moje miejsce, prawda? Wy jakoś to załatwicie…

Jesika wydała jęk rozczarowania. Odwróciłem się do niej.

– Myślałaś, że on zrzuci sutannę i ożeni się z tobą? – zapytałem retorycznie.

– Ja go kocham… – westchnęła rozdzierająco. – Nie potrafię kochać nikogo innego ani być przez nikogo innego kochaną.

Leokadia przytuliła ją ze współczuciem.

– Ale jedyne, co Andrzej czuje do ciebie, to poczucie winy, zgadza się? – teraz ja zapytałem surowo jak inkwizytor.

Speszony księżyk energicznie pokiwał głową.

– Zatem powiedz to Jesice prosto w oczy. Powiedz, że nawet gdybyś nie poszedł do seminarium, to i tak nic by z tego nie było – rozkazałem mu.

Milczał i unikał wzroku dziewczyny.

– Powiedz jej to! – naciskałem.

– Nie jestem pewien… – wykrztusił wreszcie. – Musiałem wybierać między powołaniem a ziemską miłością do niewiasty.

– Kto ci kazał wybierać?

– Mój Kościół.

– Bardzo dobra odpowiedź! – oznajmiłem. – Twój Kościół, a nie twój Stwórca! To jednak nie to samo. Bóg powołał cię do dwóch rzeczy naraz, do kapłaństwa oraz do bycia mężem Jesiki.

Dziewczyna wprost się rozpromieniła. To naprawdę ładna chwila, kiedy przywraca się komuś nadzieję.

– Jesteś jej przeznaczony, bez ciebie jej życie stoczy się ku potępieniu. Twoje też – dodałem z naciskiem.

– Ale celibat…

– Wmówiono ci go, nadużywając powagi kapłaństwa.

– Przyszliśmy tu przywrócić boży ład, a nie go burzyć – poparł mnie Jan Seweryn.

– Miałbym przestać być kapłanem katolickim? Nie! Nie przekonaliście mnie! Moje sumienie… – powiedział Andrzej, po czym nagle chwycił się za czoło i usiadł na najbliższym krześle. – Boże, jak strasznie rozbolała mnie głowa…

– Zaraz dam ci coś przeciwbólowego. – Jesika popatrzyła po nas wyczekująco, licząc, że załatwimy sprawę nałożeniem dłoni, ale nikt z naszej czwórki się nie zgłosił, więc podjęła decyzję sama i pobiegła do apteczki. Wszyscy już wiedzieliśmy, co naprawdę dzieje się z głową Andrzeja, ale mieliśmy na ustach pieczęć milczenia.

– Co się teraz stanie? – jęknął, nerwowo masując skronie.

– Zobaczysz – odpowiedziałem i wymieniłem z Janem Sewerynem porozumiewawcze spojrzenia. – Na razie musimy przerwać tę rozmowę.

– Idą tu – wyjaśnił husarz. – Ci sami co poprzednio i jacyś tacy… – zabrakło mu słowa.

– Policja – dokończyłem za niego. – Już wszystko wiedzą. Klimaszewska powiedziała im o drugim mieszkaniu.

Weszła Jesika ze szklanką wody i dwiema tabletkami apapu. Andrzej połknął je, popił i choć leki jeszcze nie mogły zacząć działać, dołożył starań, by zachować się przytomnie.

– Mam z nimi iść? – zapytał lekko drżącym głosem. – Czy obronicie mnie przed nimi?

– Na pewno nie pójdziesz tam, dokąd oni idą – odpowiedziałem wymijająco.

Na klatce schodowej rozległy się liczne kroki i męskie głosy.

– Oddam się w ich ręce, jeśli tego zażądają – oznajmił z patosem Andrzej.

– Nie przesadzaj z tą gotowością do męczeństwa – zmitygowałem go. – Wychodzi tylko Jan Seweryn i ja.

– Poradziłbym sobie sam – odparł z urazą husarz.

– Ja tylko w charakterze sekundanta – powiedziałem pojednawczo.

– Będziecie się z nimi bić? – zapytała podekscytowana Jesika. – Anioły z policją?

– To by było trochę głupio i nie w naszym stylu.

– Otworzę wam drzwi – zaofiarowała się.

– Dziękuję, nie trzeba, poradzimy sobie…

Pół sekundy później razem z Janem Sewerynem staliśmy już na podeście. Wchodząca ekipa policyjno-zakonna była piętro niżej.

Prowadził ich znów ojciec Edmund. Jan Seweryn zszedł jeden stopień i stanął na środku schodów. Nie, nie wyjął szabli. Aż tak teatralnie to się nie odbyło. Pozostaliśmy niewidzialni. Jednak gdy tylko ojciec Edmund zbliżył się do Jana Seweryna, ten spojrzał mu w oczy, a potępiony za życia zakonnik zobaczył w nich swój nieodwołalny los i stanął jak wryty, oblewając się zimnym potem. Nie dostrzegł nawet źrenic anioła, ale ujrzał zapisany w nich boży wyrok oraz całą głębię czekającej go po śmierci

otchłani. Nie odważył się do niej zbliżyć już teraz, choćby o krok. Wstrząsnęła nim groza przenikająca aż do szpiku kości. Mówiąc zaś mniej poetycznie, a bardziej współcześnie i fachowo, ojciec Edmund doznał ostrego ataku nerwicy lękowej.

Dygoczący na całym ciele redemptorysta zrobił krok do tyłu, potem drugi, odwrócił się gwałtownie i gdyby nie tłoczący się za nim policjanci i zakonnicy, byłby zbiegł ze schodów na łeb, na szyję albo wręcz z nich zleciał.

– Pomyłka… to nie tu! – wyrzucił z siebie w panice. – Chodźmy stąd!

– Ależ ojcze! Przecież rano… – oponowali w zdumieniu. – Co się ojcu stało?!

– Niee tuuu!! – jego głos stał się skowytem potępieńca. Gdyby nie obecność policjantów, rozepchnąłby ich siłą. Tamci natomiast na widok jego desperacji oraz przerażenia nie śmieli go zatrzymywać i rozstąpili się, acz niechętnie. Ojciec Edmund, zataczając się jak pijany, zbiegł na dół, a za nim większość towarzyszących mu zakonników. Tylko jeden pozostał ze zdezorientowanymi policjantami, gubiąc się w zmyślanych naprędce, mętnych wytłumaczeniach incydentu. Przez minutę nie wiedzieli, co robić.

– Skoro już tu jesteśmy, to może na wszelki wypadek zajrzyjmy do tego mieszkania…? – zaproponował policjant młodszy stopniem i wiekiem.

– A mają panowie nakaz?! – zapytał głośno Jan Seweryn, wciąż pozostając niewidzialny.

– Kto mówi… – Wpatrzyli się intensywnie w górę schodów, usiłując dojrzeć mówiącego. Nie mogli się przemóc, aby pójść wyżej.

– Dziwna sprawa – stwierdził starszy policjant, po czym nie mówiąc już nic więcej, wyparł incydent ze świadomości, obrócił się na pięcie i zszedł na dół. Podwładny bez zwłoki podążył za nim. Ostatni redemptorysta nie

miał na sumieniu nieodwracalnych win i był zdecydowany wyjaśnić sprawę do końca, ruszył więc w górę, a wtedy Jan Seweryn stał się dla niego jawny.

– Kim pan jest? – zakonnika zamurowało.

– Nie przychodźcie tu więcej – powiedział husarz w pałającej złotym blaskiem karacenie i zniknął.

Zakonnik przetarł oczy. Przez chwilę stał z całkowitą pustką w głowie, a w końcu odszedł.

– Myślisz, że cię posłuchają? – zapytałem Jana Seweryna, gdy wróciliśmy do mieszkania Jesiki.

– Nie wrócą tu – odparł z przekonaniem. – Mogą jednak spróbować znów strącić na nas niebo.

– Spróbują – rzekła Leokadia – ale tym razem im się to nie uda. Oni wciąż nie chcą przyjąć do wiadomości, że można tę rzecz zrobić tylko raz w życiu, a Klimaszewska nie zamierza wyprowadzić ich z błędu. Po ucieczce księdza Andrzeja przez miesiąc nie odważą się szukać nowego wspólnika.

– Co ze mną będzie? – odezwał się wymieniony, masując sobie obolałą głowę. Był zbyt rozkojarzony, by zauważyć, że ta migrena wyraźnie różni się od poprzednich, których doświadczył. Popatrzyłem na niego z melancholijnym współczuciem, dostrzegając powody, konsekwencje i głębszy sens. A więc to tak… Na razie jeszcze leki przeciwbólowe będą skuteczne.

– Czego od nas oczekujesz? – zapytała Andrzeja Leokadia.

– Muszę powiadomić wyższe władze zakonne o tym, co się tu dzieje. Pomóżcie mi dostać się do ojca prowincjała lub ojca generała.

– Oni nic nie zrobią – odpowiedziałem za naszą szefową.

– Dlaczego?

– Powiesz im, że widujesz demony i anioły? Że słyszysz ich głosy…?

– Możecie sprawić, żeby on też zobaczył i usłyszał.

– A co dalej? – naciskałem. – Mamy się objawić w samym Watykanie i na forum Zgromadzenia Ogólnego ONZ? Przejąć władzę nad światem? Oczywiście dla dobra ludzkości…

– Nie kpij ze mnie! – jęknął, walcząc z nową falą bólu głowy. – Przecież chyba macie wobec mnie jakiś plan.

– Bóg miał plan wobec ciebie – powiedziałem – ale ty nie wykonałeś go tak, jak należało.

– Przecież poszedłem za głosem powołania!

– Jeżeli to jest cała prawda, to co tutaj robisz?

– Więc co powinienem był zrobić?! Ożenić się z Anną? Nie wstępować do redemptorystów?

– Widzę, że zaczynasz myśleć, szkoda, że poniewczasie…

– Nie dręcz mnie, proszę, tylko powiedz!

– Co mam ci powiedzieć? – zirytowałem się. – Mam decydować, co masz robić? Zaplanować ci życie? A ty potem na Sądzie Ostatecznym powiesz: to nie ja, to ten anioł mi kazał! To ty masz wolną wolę, więc rób, co uważasz, a potem się ciebie osądzi.

– Ale chyba jesteście tu po coś?

– Owszem, jesteśmy – spojrzałem na Leokadię i Jana Seweryna, którzy przytaknęli milcząco. – Są po temu ważne powody, ale mamy ograniczony zakres ingerencji.

– Jestem do waszej dyspozycji! – oświadczył.

– Znów się poddajesz – zauważyłem oschle.

– Proszę, dajcie mi jakąś wskazówkę, co mam czynić – powiedział błagalnie.

– Tak już lepiej – stwierdziłem i zamilkłem, czekając na objawienie. Tym razem jednak Naczelny milczał. Znaczyło to, że na duchowego

przewodnika księdza Andrzeja wybrany będzie ktoś inny… – Kto z was? – zapytałem głośno, patrząc na resztę naszej anielskiej paczki.

– Ja! – odezwał się niespodziewanie towarzysz Zaleszczuk. Wstał ze swojego miejsca, przełożył teczkę do lewej ręki, a prawą wyciągnął do Andrzeja. – Chwyć moją dłoń! – rozkazał młodemu księdzu.

Ten obejrzał się z wahaniem, ale widząc stanowczość w naszych oczach, zrobił, czego żądano. W tej samej chwili zobaczyłem drogę oraz miejsce, do którego miałem ich zaprowadzić.

– Zagubiłeś się – powiedziałem z powagą do księdza Andrzeja. – Dlatego teraz udasz się z nami w wędrówkę przez czas i przestrzeń, która pomoże ci zrozumieć twoje miejsce w planie bożym. Mam nadzieję, że pomoże…

– Jesiko – powiedziała Leokadia – zostaniesz tu na razie sama, ale my niedługo wrócimy.

– Chodź i patrz! – zawołał donośnie Sławomir Zaleszczuk.

Ująłem w dłoń mój hipersześcienny krzyż i czas rozstąpił się przed nami jak rozdarta zasłona.

*

Rynek Starego Miasta huczał gwarem, śmierdział kwaśnym piwem, potem i cebulą. Tłum szlachty, mieszczaństwa oraz wszelkiej innej warszawskiej gawiedzi ciasno otaczał wzniesiony pośrodku placu, obity czarnym suknem szafot oraz stojącą tuż obok czerwoną trybunę dla dostojniejszych widzów – biskupów i senatorów. Obu konstrukcji, a także dostępu do nich od strony katedry Świętego Jana i od baszty więziennej przy ulicy Mostowej pilnowały szpalery grodzkich halabardników, wspieranych dodatkowo przez oddział straży marszałkowskiej, obecnej z powodu sejmu obradującego akurat w Warszawie. Gapie zbiegli się i zjechali z całego

Mazowsza. Na przygotowania do tej wyprawy mieli pełne trzy tygodnie od kiedy ogłoszono wyrok sądu biskupiego, na krwawy spektakl czekano zaś od świtu. Na razie trybuna dla VIP-ów była pusta, a na szafocie obok pieńka stał tylko samotny katowski pachołek prezentujący w dłoniach nagi miecz na znak, że ma być ścięty przedstawiciel stanu szlacheckiego.

Nasza piątka, niewidzialna dla tłumu, stała jakby na szklanym dachu, zawieszonym metr nad ludzkimi głowami.

– Jest 30 marca 1689 roku – powiedział towarzysz Zaleszczuk do księdza Andrzeja. – Jako przedstawiciel reakcyjnego kleru powinieneś dobrze pamiętać tę datę waszego nikczemnego triumfu. Przypominasz sobie ją?

– Nie – zmieszał się zapytany i obejrzał na mnie. Oczekiwał wyjaśnień dotyczących towarzysza Zaleszczuka oraz jego stylu wypowiedzi, ale darowałem sobie mniej istotne tłumaczenia.

– Patrz dobrze – powiedziałem tylko i przystąpiłem do prezentacji osób dramatu.

Z katedry wyszedł orszak biskupów prowadzonych przez Mikołaja Popławskiego, biskupa inflanckiego, a zarazem tajnego inkwizytora papieża Innocentego XI. Duchownym towarzyszyli senatorowie Rzeczypospolitej, z wyjątkiem pana Pieczyńskiego, wojewody smoleńskiego, który głosował przeciwko karze śmierci. Jego miejsce na trybunie honorowej demonstracyjnie pozostało puste, kiedy wszyscy inni usiedli.

– Kto ma być stracony? I za co? – dopytywał się Andrzej.

– Kazimierz Łyszczyński za ateizm – odpowiedział zimno Zaleszczuk. – Ciesz się triumfem klerykalizmu!

Młody ksiądz opuścił głowę.

– Dlaczego mi to pokazujecie? – zapytał cicho, ze wstydem.

– Dowiesz się tego na końcu drogi – odparłem – a na razie idź z nami i uważaj, aby niczego nie przeoczyć.

Z drugiego końca rynku wjechał wóz ze skazańcem w białej śmiertelnej koszuli. Razem z nim jechali kat, kapelan i obrońca – dzielny pan Pocie, pisarz brzeski, który nie ugiął się i nie ustawał w obronie Łyszczyńskiego, choć grożono mu, że sam zaraz może być następnym oskarżonym. Mimo to teraz jawnie dotrzymywał towarzystwa skazanemu i dodawał mu otuchy.

Tłum zaszemrał na widok Łyszczyńskiego, raczej z ciekawością niż gniewem, bez nienawiści, już po trosze traktując go jak starego znajomego. Pierwszy raz bowiem widziano tego człowieka, który ośmielił się zaprzeczyć egzystencji Boga, dokładnie dwadzieścia dni temu, kiedy to przymuszono go do publicznego odwołania swoich poglądów i wyznania wiary, na co ów przystał, ustępując przed groźbą spalenia żywcem na stosie. W zamian król Jan III Sobieski miłosiernie zgodził się na szybką śmierć od miecza. Mimo to skazaniec nie wyglądał na szczęśliwego, miał oczy złamanego człowieka.

– Były czasy, gdy ateizm uważano za zbrodnię… – zaczął ksiądz Andrzej tytułem usprawiedliwienia. – Nie możemy pomijać historycznych i kulturalnych uwarunkowań danych epok…

Zaleszczuk chciał mu niewątpliwie odpowiedzieć w duchu materializmu dialektycznego, ale tym razem ja byłem szybszy.

– Daruj sobie frazesy – uciąłem mętny wywód. – I odpowiedz mi na proste pytanie: ewangelia jest ponadczasowa czy nie?

– Jest ponadczasowa. – Ksiądz Andrzej przygryzł wargi.

– Nie można zatem tłumaczyć odstępstw od niej uwarunkowaniami historycznymi.

– Ależ Kościół był wtedy inny…

– Ewangelia nie była inna! – przerwałem wykręty. – Patrz dobrze, bo znowu poplączesz swoje powołanie!

Zaleszczuk przestał nas słuchać, ruszył przez powietrze w kierunku miejsca kaźni, a my podążyliśmy za nim. Stanęliśmy na deskach szafotu, w momencie gdy kat z drugim pomocnikiem wprowadzili Łyszczyńskiego. Nie widzieli nas, ale mimowolnie zeszliśmy im z drogi i stanęliśmy w rogu, do którego nikt z oprawców się nie zbliżał.

Oskarżyciel, pan Zawistowski, instygator litewski, dał znak, aby się uciszono, i zaczął odczytywać dekret sejmowego trybunału skazujący Łyszczyńskiego na śmierć za napisanie przed piętnastu laty traktatu filozoficznego *O nieistnieniu Boga*. Jednak to nie instygator teraz oskarżał, lecz towarzysz Zaleszczuk.

– Religia jest źródłem barbarzyństwa, nietolerancji i okrucieństwa – mówił, patrząc na Andrzeja – źródłem ciemnoty i zabobonu, które będą zatruwać ludzkość tak długo, jak długo będą znajdować zwolenników fantastyczne systemy wierzeń. Bakcyl religii zatruwający umysły winien być wypleniony tak samo jak czarna ospa!

– Co w zamian?! – zirytował się młody ksiądz. – Komunizm? Totalitarny ateizm? Odrzucając religię, doświadczamy o wiele większego zła, niż trwając w wierze, choćby i niedoskonałej. Cóż znaczy ta jedna kaźń wobec tysięcy zbiorowych mogił ofiar wojującego ateizmu? Na jednego Łyszczyńskiego przypada tysiąc Popiełuszków!

– Krew zawsze domaga się pomsty – Jan Seweryn, jak szlachcicowi przystało, zdecydowanie stanął po stronie udręczonego pana brata. – A potem już zemsta rodzi zemstę bez umiaru i zmiłowania. Czemuż to głosicie miłosierdzie, a nie potraficie okazać łaski, kiedy akurat przy was jest moc karania? Czemu żaden sługa boży nie głosował przeciw karze śmierci? Posialiście wiatr, więc po wiekach zebraliście burzę.

– Ziemia polska nie rodzi potworów! – zawołał donośnie instygator Zabistowski, skończywszy czytać wyrok.

– Rodzi ich pod dostatkiem – wycedził przez zęby Zaleszczuk i popatrzył wymownie na trybunę pełną biskupów.

– Jeśli zaś raz na tysiąc lat zdarzy się jeden wyrodek, który ważył się podnieść rękę przeciwko Bogu, winien być starty w proch i on, i pamięć o nim – mówił instygator.

– Świat bez religii musi być lepszy – dodał z przekonaniem Zaleszczuk.

– Pokazujesz mi dwie skrajności – ksiądz Andrzej obejrzał się na mnie. – Dlaczego? Przecież żadna z nich nie jest słuszna!

– A ty chcesz być sędzią sprawiedliwym? – odpowiedziałem pytaniem na pytanie. – Chcesz wiedzieć, gdzie w tym wszystkim był Bóg?

– Tak.

Zwlekałem z odpowiedzią, patrząc, jak katowscy pachołkowie wiążą Łyszczyńskiemu ręce na plecach. Nie robiono już ceregieli. Kapelan dał skazańcowi krucyfiks do pocałowania, w sumie był to najmniejszy, ale jakże ostentacyjny znak triumfu wiary nad ludzkim sumieniem i godnością. Łyszczyński okazał pokorę, by nie cofnięto mu łaski szybkiej śmierci. Potem zmuszono go, aby ukląkł przy pniaku i położył głowę.

Kat ujął miecz i zwlekał jeszcze przez chwilę, upewniając się, czy skazańcowi nie będzie odpuszczone. Spojrzał w kierunku biskupa Popławskiego, który twierdząco skinął głową. Wątpliwości znikły, kat uniósł miecz nad głowę i ciął w bielejący na pniaku kark.

Spowolniłem czas.

Ostrze miecza opadało teraz z prędkością pełznącego ślimaka, kilka milimetrów na sekundę. Tłum wokół szafotu znieruchomiał. Tylko ja i ksiądz Andrzej mogliśmy poruszać się w naturalny sposób.

– Podejdźmy bliżej – powiedziałem.

Stanęliśmy przy samym pieńku, dokładnie naprzeciw czyniącego swoją powinność kata. Andrzej jak zahipnotyzowany zapatrzył się w przemieszczającą się wolniutko w dół, lśniącą, szeroką klingę.

– O czym teraz myślisz, księże Andrzeju? – zapytałem.

– Biorę przykład z Jana Pawła II i proszę Boga o wybaczenie grzechów Kościoła – odpowiedział mi zduszonym szeptem. – Nie zamierzam szukać usprawiedliwienia i zasłaniać się czynami tych, którzy zawinili przeciw Kościołowi.

– Szlachetnie z twojej strony – odparłem – ale spójrz! – Wskazałem na trybunę z biskupami. – Tam siedzą prymas Polski Radziejowski, nuncjusz papieski Cantelmi, biskup inkwizytor Popławski oraz pozostali duchowni, którzy jednomyślnie i bez wahania głosowali za śmiercią Łyszczyńskiego, „w obronie honoru Boga”, jak to ujęli. Czy ty aby na pewno należysz do tego samego Kościoła co oni? A może jednak powinieneś siedzieć tam z nimi i sycić oczy triumfem Matki Kościoła, a nie stać tu na szafocie i czerwienić się ze wstydu?

– To były inne czasy…

– Już to mówiłeś, Andrzeju – odparłem łagodnie. – Argument historyzmu jest obosieczny i używając go, można równie dobrze wykazać, że ewangelia się zdezaktualizowała. Jednak nawet teoria warunków historycznych, gdyby była prawdziwa, a nie tylko obłudnym wykrętem, wytłumaczyć tej sprawy nie może, ponieważ tylko duchowni byli tutaj jednomyślni. W sumie dwóch posłów i jeden senator głosowało przeciw karze śmierci dla Łyszczyńskiego i nie dali się zastraszyć argumentami, że głosują „przeciw Bogu”. Nasz drogi Jan Seweryn też głosowałby przeciw, gdyby mógł, a był już na tym świecie, to przecież jego czasy. Dla skazania Łyszczyńskiego trzeba było powołać specjalną sejmową komisję, żeby uniemożliwić użycie liberum veto, którego użyto by wówczas bez

wątpienia. Czyżby więc polska szlachta należała do innego Kościoła niż jej biskupi?

Ostrze katowskiego miecza przebyło już jedną czwartą drogi do szyi skazańca.

– Chcesz powiedzieć, że historyczna mentalność tych ludzi nie miała tu znaczenia? – zapytał ksiądz Andrzej. – Zatem co miało? Do czego zmierzasz?

– Nie tak prędko dojdziemy do ostatecznego wniosku – zmitygowałem go. – Spójrz teraz na tych ludzi – pokazałem na tłum u stóp szafotu. – Jakie uczucie widzisz na większości twarzy?

– Zdziwienie – odparł po chwili wahania.

– A czemu to oni się dziwią? – zapytałem. – Czyżby temu, że skazano na śmierć człowieka, który swoim poglądom dawał wyraz tylko we własnym domu? Wszak Łyszczyński nie ogłosił tego nieszczęsnego traktatu drukiem ani nie miał żadnych uczniów. Nie obrażał niczyich uczuć religijnych, jakbyśmy to dziś powiedzieli. Zadenuncjował go sąsiad, który był mu winien pieniądze i zamiast spłacać dług, wolał napisać donos do władz kościelnych, a przedtem jeszcze złamać prawo gościnności i okraść gospodarza, wykradając mu jego pisma. Wszystkie te podłości osłonięto obroną honoru Boga. Kto tutaj tak naprawdę spowodował ujmę na Boskim honorze, o ile coś takiego człowiek jest w stanie spowodować? Może bardziej jednak oskarżyciele niż oskarżony?

– Nie wiem…

– Odpowiedź godna księdza – wzruszyłem ramionami. – Ale przynajmniej przez chwilę, Andrzeju, bądź człowiekiem.

– Tego nieszczęśnika skazano w obronie panującego porządku społecznego! – odparował gwałtownie.

– Porządku kościelnego – poprawiłem go.

– Ależ nie! Popatrz na tych ludzi wokół nas! Im nie mieści się w głowach, że można nie wierzyć w Boga!

– To prawda. Są zdziwieni i zmieszani, ale nie ma w nich tej nieprzejednanej nienawiści, którą wykazali polscy biskupi. Panowie bracia nie życzyli Łyszczyńskiemu źle, bo choć może pobłądził, to przecież podczas szwedzkiego potopu dzielnie stawał w obronie ojczyzny i choćby za to winien być ułaskawiony. Rokosz był blisko. Sami księża biskupi zmitygowali nuncjusza papieskiego, kiedy ten domagał się dla Łyszczyńskiego tortur, by wymusić na nim wskazanie rzekomych wspólników lub innych ateistów. Wiedzieli, że tego by już polska szlachta nie zniosła. Potem nawet inkwizytor Popławski wstawiał się u króla Jana o zamianę kary śmierci przez spalenie na stosie na ścięcie mieczem. Chociaż z drugiej strony obrońców cały czas zastraszano, że występują przeciw Bogu. Forsowano zatem wyrok śmierci, pilnując się jednocześnie, aby nie przeciągnąć struny i nie wywołać gniewu szlachty. Po co więc, pytam się ciebie, Kościołowi katolickiemu tak bardzo była potrzebna śmierć Kazimierza Łyszczyńskiego? Co na tym zyskano?

Andrzej milczał i patrzył na ostrze, które osiągnęło połowę drogi.

– W takim razie ja powiem ci, co by się stało, gdyby król Jan, obrońca prawdziwej wiary spod Wiednia, okazał się godny swej wielkości, nie ugiął się przed moralnym i politycznym szantażem i zrobił to, co leżało w jego kompetencjach, a mianowicie przekazał sprawę do rozpatrzenia zgromadzeniu poselskiemu, gdzie natychmiast przeciw procesowi Łyszczyńskiego zgłoszono by co najmniej podwójne veto i oskarżony odszedłby wolny. Wiesz, co byłoby potem?

– Nie wiem… – odparł zahipnotyzowany przez niosącą śmierć klingę.

– Potem, księże Andrzeju, w całej Rzeczypospolitej rozgorzałaby wielka dyskusja nad postępkiem Łyszczyńskiego. Sprawa była zbyt głośna

i ważna, by o niej zapomnieć. Wielu uczonych ludzi, owszem, stanęłoby w obronie honoru Boga, ale już z piórem i księgami w ręku, nie z katowskim mieczem, stosem i żagwią. Spierano by się, powoływano na autorytety, szukano argumentów w bibliotekach, karczmach i sejmikach, publikowano by rozliczne pamflety, a ferment intelektualny wywołany uwolnieniem Łyszczyńskiego powstrzymałby upadek oświaty i zdziczenie szlacheckiego narodu, do których doszło w czasach saskich. Oświecenie przyszłoby do nas o pokolenie wcześniej. Kazimierz Łyszczyński i jego dzieło były darem Boga dla Polaków, który chciał nas zbawić od głupoty oraz małości. Ścięliście i spaliliście naszą szansę.

– Więc to nie było bluźnierstwo?

– Naczelny dał nam rozum i pozwolił wątpić. Dlaczego zatem miałby się obrażać, gdy ktoś zwątpi w niego?

– Przecież kto nie uwierzy, nie będzie zbawiony! – zawołał triumfalnie, ciesząc się, że przyłapał anioła na dogmatycznej nieścisłości.

– To prawda – odparłem – lecz spójrz na naszego drogiego towarzysza Zaleszczuka. On nie dostrzega rzeczy, w które nie wierzy, a jednak jest chodzącym dowodem na to, że pomiędzy zbawieniem a potępieniem rozciąga się jeszcze bardzo szeroki obszar Bożego miłosierdzia, w którym jest miejsce dla najrozmaitszych dziwaków, w tym i ateistów. Naczelny nie jest małostkowy i wie, że mądrość rodzi się z dyskusji, a w tej potrzebne są różne strony.

– Kościół jednak przez swoich biskupów orzekł inaczej. Wszyscy oni się mylili?

– Wszyscy. Co do jednego. Nie znalazł się ani jeden sprawiedliwy.

– Jesteś tego pewien?

– Rozmawiasz z aniołem. Ja wiem albo nie wiem, mówię tak lub nie. Wątpliwości już dla mnie nie istnieją.

– Dlaczego więc Kościół Święty pomylił się aż tak bardzo?

Ostrze miecza zbliżyło się na dwadzieścia centymetrów od karku Kazimierza Łyszczyńskiego. W oczach kata była maksymalna koncentracja.

– Odpowiedź znajdziesz na końcu tej drogi.

– Czy muszę na to patrzeć? – W ostatniej fazie cięcia ruch miecza stał się szybszy. Nie skorygowałem upływu czasu i nie spowolniłem klingi do poprzedniej ślimaczej prędkości. To sądowe morderstwo już się dokonało i nie było sensu udawać, że można coś zmienić.

– Widoku krwi dzisiaj nie unikniesz, ale nie musisz oglądać samej chwili jego śmierci – odpowiedziałem. – Jesteś tu dla pouczenia, a nie kary.

– Co się stało z duszą tego człowieka?

– Przebywa obecnie w limbo bez świadomości własnego istnienia.

– Czeka na Sąd Ostateczny?

– Tak. Mogę ci jednak powiedzieć już teraz, że na tym sądzie Kazimierz Łyszczyński będzie oskarżycielem posiłkowym.

– Pomodlę się zatem o miłosierdzie dla sędziów tego człowieka. – Andrzej zamknął oczy.

– Będzie im potrzebne. – Przywróciłem normalny bieg czasu.

Szafot zadygotał w posadach od katowskiego uderzenia. Głowa skazańca stuknęła czołem o deski i potoczyła się dwa kroki. Strugi krwi z przeciętych tętnic w pierwszej chwili poleciały daleko, dosięgając stojących najbliżej gapiów, którzy cofnęli się w popłochu przed czerwonym deszczem.

Tymczasem kat ujął za włosy ściętą głowę, podszedł na skraj szafotu i podniósł ją wysoko do góry.

– Ojcowie i matki strzeżcie swoje dziatki! – wygłosił rytualną formułę.

– *Te Deum laudamus!* – zaintonował triumfalnie z trybuny biskup Popławski.

Jan Seweryn demonstracyjnie odwrócił się do niego plecami.

– Tak zginęła złota wolność – wycedził przez zęby.

– Czy możemy już stąd odejść? – zapytał pobladły ksiądz Andrzej, zezując kątem oka na podrygujące jeszcze nogi skazańca.

– O nie, Andrzeju – odparłem – jeszcze nie zobaczyłeś tego, co najważniejsze.

Oficjele zaczęli opuszczać trybunę, przerzedzał się też tłum na rynku. Katowscy pachołkowie przenieśli bezgłowe ciało z powrotem na taczki wymoszczone słomą, sam mistrz dorzucił tam głowę. Całość przykryto całunem, który leżał przygotowany pod szafotem. Instygator Zabistowski nie odchodził, musiał dopilnować wykonania reszty wyroku. Oskarżycielowi towarzyszyło trzech drabantów ze straży marszałkowskiej. Chwilę potem orszak podążył w kierunku Wisły, gdzie na błoniach u stóp Gnojowej Góry przygotowano stos. Gromada warszawskich uliczników, zachowując bezpieczny dystans, ruszyła za przedstawicielami wymiaru sprawiedliwości. My szliśmy nad nimi.

Wiślane brzegi już się zazieleniły, wróciły też pierwsze bociany, które przepatrywały właśnie nabrzeżne chaszcze. Taczki ze zwłokami Kazimierza Łyszczyńskiego zjeżdżały z głośnym turkotem stromizną ulicy Kamienne Schodki, nazywanej podówczas Wąską. Żadnych schodów jeszcze tu nie było, jedynie pochyła, wypłukana przez deszcze kamienista rynna, którą nie dało się kroczyć z godnością należną wysokiemu urzędowi, więc instygator musiał chwilami zbiegać i raz omal się nie przewrócił.

Stos przygotowano w miejscu, gdzie zwykle palono śmieci. Trupa Łyszczyńskiego bez ceremonii rzucono na wierzch, odciętą głowę upychając pomiędzy nogami. Pachołek pilnujący stosu miał już w pogotowiu zapaloną żagiew, którą podał katu, a ten obejrzał się na instygatora. Urzędnik zwlekał z wydaniem rozkazu, póki nie

przyniesiono mu krzesła. Wtedy rozsiadł się z godnością dwadzieścia kroków od stosu i dopiero kazał podpalać. Pogrzeb Łyszczyńskiemu nie przysługiwał, więc nikt z obecnych nawet się nie przeżegnał. Tylko ksiądz Andrzej poniewczasie wyszeptał: „Wieczne odpoczywanie”.

Chrust zajął się szybko, a pozbawione krwi, szczupłe ciało nie opierało się płomieniom, prędko sczerniało i zaczęło tracić ludzkie kształty, po dwóch kwadransach przestało się różnić od innych szczap. Drewno dano suche, więc dymu było niewiele i rozwiewał się szybko. Nic ciekawego się nie działo, pan instygator raczył ziewnąć raz i drugi, okazując znudzenie, a przed upływem trzeciego kwadransa uznał, że już nic tu po nim. Wstał, polecił katu wyrzucić popioły do Wisły, a następnie ruszył na górę. Drabanci poszli za nim, zabierając krzesło. Uwolniony od nadzoru mistrz wyjął zza pazuchy flaszkę gorzałki i pociągnął długi łyk, po czym podał swoim pomocnikom.

Na stok Gnojowej Góry sfrunął bocian.

Widok był zwyczajny, gdyż żyło tu wiele żywiących się miejskimi odpadkami myszy, a na nie chętnie polowały boćki. Nikt nie przejął się tym widokiem, dopóki bocian nie podszedł śmiało do gorejącego stosu, który właśnie zapadł się do środka, wyrzucając w górę snop iskier. Ptak z jakiegoś powodu nie bał się ognia.

– Uważaj teraz – powiedziałem do Andrzeja.

Katowski pomocnik, który pierwszy spostrzegł bociana, trącił łokciem kompana, po czym dołączył do nich trzeci pachołek oraz sam zdumiony mistrz. Ptak z godnością zaczął okrążać stos, trzymając się zaledwie trzy kroki od płomieni. Kat z pomocnikami stali mu na drodze, ale bocian nie zmienił zamiaru, tylko przystanął tuż przed nimi i popatrzył na nich natarczywie, przekrzywiając głowę. Wyraźnie oczekiwał, żeby ludzie zeszli mu z drogi.

– Przegnam precz onego! – zawołał najgłupszy z pachołków i rozejrzał się za kijem.

– Nie rusz! – powstrzymał go mistrz, oglądając się na gromadę uliczników siedzących na stoku Gnojowej Góry. Gdyby zobaczyli, że małodobrzy krzywdzą boćka, zaraz poleciałyby kamienie.

Wszyscy czterej odstąpili zatem i patrzyli z rosnącym zdumieniem, jak biało-czarny ptak z powagą obchodzi gorejący stos dookoła. Raz, drugi, trzeci… W pewnej chwili bocian przystanął i zwrócił się w stronę ognia. Pochylił się, wyciągając daleko szyję, czubkiem dzioba złapał za koniec jednego z płonących patyków i wywlókł go na zewnątrz. Na końcu pełgał jeszcze mały płomyk, więc ptak podrzucił drewienko w górę, raz i drugi, aż ognik zamienił się w smużkę dymu.

Kat z pomocnikami patrzyli na zabiegi bociana jak urzeczeni.

– Cóż ten ony robi…? – wyrwało się samemu mistrzowi.

Ptak tymczasem pewniej uchwycił w dziób nadpalony patyk, popatrzył uważnie, jakby z namysłem na przyglądających mu się ludzi, po czym oddalił się od stosu, biorąc rozbieg do lotu. Odbił się raz jedną nogą, raz drugą, zamachał energicznie skrzydłami i wzleciał, unosząc swą zdobycz. Po chwili złapał dogodny wiatr i zaczął szybować coraz wyżej, zataczając coraz szersze kręgi nad Warszawą.

Miejski kat patrzył za nim i drapał się z namysłem w łysiejącą głowę.

– Powiedają… – rzekł wreszcie – że jak kto boćka ubije abo onemu gniazdo z dachu zrzuci, to inne boćki z zemsty zrzucają na strzechę winowajcy gorejące polana.

– Myślicie to, mistrzu Michale, że ten tu ony tera na dom jakiegoś przestupnika poleciał? – zapytał najstarszy z pachołków.

– Tak i myślę – odparł kat. – I niech onego, co przeciw boćkowi zawinił, Bóg ma w swej opiece.

Przeżegnali się z powagą wszyscy czterej. Gapie na stoku nie widzieli dokładnie, co się stało, więc milczeli. Tymczasem zerwał się silniejszy wiatr, porwał ze stosu chmurę dymu z popiołem i pognał ją u podnóża Gnojowej Góry.

– Poznajesz? – Wskazałem Andrzejowi kierunek: – Tam patrz!

Kurzawa ze stosu, przemykając tuż nad ziemią, zadziałała jak fotograficzny wywoływacz i ujawniła na mgnienie oka dwie widmowe kobiece postacie, przyglądające się profanacji zwłok Kazimierza Łyszczyńskiego.

– To one? – spytał z niedowierzaniem młody ksiądz.

– Owszem. Powróciły przez ogień, gdy ciało Łyszczyńskiego zamieniło się w popiół. Od tej chwili znów zaczną podsycać warcholstwo szlachty i sączyć w ludzkie umysły złe rady, które doprowadzą do upadku wszystkie polityczne dzieła króla Jana. Zostanie tylko pusta wydmuszka legendy, z której wyciekła żywa treść.

– A ten bocian z żagwią dokąd poleciał? – dopytywał się dalej Andrzej.

– Nad Wilanów – odrzekłem.

– Wtedy chyba nie doszło tam do żadnego pożaru? – zaoponował zdziwiony.

– Zaczęły się palić rzeczy niewidzialne.

– To ja wam pokażę! – oznajmił Jan Seweryn i dokonał skoku w przestrzeni, pociągając nas za sobą.

Stanęliśmy w ogrodzie wilanowskim, w cieniu rozłożystego platanu.

Dostojny triumfator spod Wiednia przechadzał się właśnie żwirową alejką kilkanaście kroków od nas. W karmazynowym kontuszu, wparty na czekaniku, błądził zamyślonym wzrokiem po pobliskim żywopłocie. Dwóch towarzyszących królowi paziów trzymało się z tyłu, by nie przeszkadzać monarsze w rozmyślaniach. Zza żywopłotu za nimi dobiegały

nawoływania królewny Teresy oraz młodszych królewiczów, Aleksandra i Konstantego, grających w ciuciubabkę z damami dworu. Sędziowała im sama królowa Maria.

– Piękny zaiste to widok, lecz chwila zła – westchnął z głębokim żalem Jan Seweryn. – Tak by się chciało królowi memu pokłonić, a tu patrzeć trzeba na początek końca…

Nie chcąc mącić jego nostalgii, nie odezwałem się, tylko pokazałem w milczeniu palcem w górę.

Nad wilanowskim ogrodem kołował znajomy bocian. Ptak zataczał coraz węższe kręgi, aż wreszcie złożył skrzydła i lotem nurkowym, przemykając między konarami drzew, spadł wprost na parkową alejkę, którą spacerował król Jan. W ostatniej chwili przed zetknięciem z ziemią bocian zamachał gwałtownie skrzydłami, by złagodzić twardość lądowania. Głośny łopot zwrócił królewską uwagę. Sobieski popatrzył na ptaka i zrobił krok w jego stronę.

Bocian odzyskał równowagę i wyprostował się, unosząc wysoko głowę wraz z trzymanym w dziobie kawałkiem nadpalonego drewna.

– Witaj w naszym domu, przyjacielu – powiedział król do bociana, uśmiechając się życzliwie. – Cóż to przynosisz nam tym razem?

Ptak zareagował tak, jakby rozumiał ludzkie słowa. Podszedł z powagą do króla i upuścił mu u stóp gorącą jeszcze żagiew ze stosu Łyszczyńskiego. Potem cofnął się i znieruchomiał, patrząc na monarchę wyczekująco i natarczywie.

Sobieski spoważniał, zmarszczył brwi. Wsparłszy się pewniej na czekaniku, przyklęknął i podniósł przyniesione przez ptaka drewienko. Przyjrzał mu się uważnie i powąchał.

– Świeżo zgorzałe… – mruknął do siebie z posępnym zdumieniem.

– Najjaśniejszy panie! Co się stało?! – czujni dworzanie podbiegli, ujęli króla pod ramiona i pomogli mu wstać.

Jan III nie odpowiadał. Popatrzył na trzymany w palcach ogarek, na wyczekującego bociana i znów na kawałek drewna. Zaniepokojeni słudzy czekali na rozkazy.

– Zawezwijcie królową – zdecydował wreszcie Sobieski – ale niech przyjdzie tu sama.

– Wedle woli Waszej Królewskiej Mości – skłonił się młodszy ze służących i bez zwłoki oddalił.

– Co Wasza Królewska Mość każe uczynić z tym ptaszyskiem? – drugi dworzanin spojrzał z niechęcią na bociana.

Sobieski nieznacznie pokręcił głową. Sługa dobrze odgadł królewską wolę, skłonił się w milczeniu i odstąpił.

– Jachniczku, stało się co?! – zawołała zaniepokojona królowa Marysieńka, wychodząc zza żywopłotu. Szybkim krokiem podeszła do męża.

Obaj dworzanie dyskretnie wycofali się poza zasięg głosu królewskich małżonków, ale my słyszeliśmy dobrze każde ich słowo.

– Poznajesz, Maryś, tego oto posłańca? – zapytał król, marszcząc brwi.

– Bocian jak inne – zbagatelizowała w pierwszej chwili królowa. – Jeśli zraniony, każę go zaraz opatrzyć, ale gdyby miał jaką chorobę, to z dala z nim od naszych kwiatuszków!

– Przyjrzyjże mu się lepiej, moja Marysieńko, nie poznajesz aby?

– Zaraz… – zamrugała oczami. – Myślisz, Jachniczku, że to jest ten sam bocian, który wtedy wiosną, kiedyśmy potajemny ślub brali, czekał na nas u wyjścia z kaplicy z witką zielonej łozy w dziobie?

– Pewien jestem, że ten sam – odparł król. – Tak samo dziwnie mu z oczu patrzy…

– Ależ Jachniczku, ćwierć wieku już minęło! Dziwnie długo musiałoby żyć owo ptaszysko.

– Niektórzy powiadają, że bociany sto lat albo i więcej żyją… Przyjrzyj mu się lepiej, serce moje.

Królowa Marysieńka postąpiła dwa kroki naprzód i kucnęła, wyciągając rękę. Lekko dotknęła bocianiego dziobu. Ptak nie okazał lęku.

– To samo ciemne znamię… – stwierdziła po chwili. – To naprawdę ten sam! Wtedy dał nam znak nadziei i zapowiedź szczęścia, a co przyniósł teraz?

– Upalony patyk… – Sobieski pokazał żonie przesyłkę.

– Boże miły! – Królowa pobladła i zakryła ręką usta. – Zły znak! Ale cóż on przepowiada? I za cóż to?!

– Nie wiem, Maryś, nie wiem… – Jan III pokręcił głową.

– Może w mieście coś się stało? Może jaki pożar? – myślała głośno królowa. – Trzeba zaraz posłać kogoś, by wywiedział się, co tam było w Warszawie!

– Egzekucja była… – rzekł zasępiony Sobieski.

– Czyja, Jachniczku?!

– Członka sekty ateuszy, co istnieniu Boga przeczą. Miano uciąć temu szlachcicowi głowę, a potem spalić… – W skupieniu wpatrzył się w poczerniały koniec patyka. – Chyba rzecz się już spełniła. Po obiedzie zdadzą mi relację.

– Ale o to Bóg gniewać się nie powinien, prawda, Jachniczku?

– Niby nie, ale mnie jednak sumienie czegoś gryzie. – Westchnął ciężko. – Król polski polskiego szlachcica na gardle za sprawy wiary pokarać kazał… Nie tak powinno być, nie tak…

– Cóż zatem poczniemy, Jachniczku?

– Będzie, co zdarzy Bóg… – odwrócił się do dworzan. – Tego ptaka mi nakarmić! – rozkazał. – Jest naszym gościem. Dajcie mu klusek ze śmietaną, a potem puśćcie wolno.

– Wedle rozkazu, najjaśniejszy panie. – Obaj podeszli do bociana i spróbowali go pochwycić. Ptak zrazu zaczął się boczyć i zasyczał po gęsiemu, ale gdy jeden z dworzan ostrożnie narzucił na niego kaftan, dał się wziąć na ręce i zanieść do pałacowej kuchni.

Król Jan III Sobieski z rozmachem cisnął przypalone drewno w gąszcz żywopłotu.

– Pójdźmy do naszych dziatek – powiedział do Marysieńki – ale o tym boćku im ani słowa.

– Dobrze, mój Jachniczku. – Królowa podała mu ramię.

Odeszli i przeminęli. Wraz z nimi skończył się ostatni akt chwały i wielkości Rzeczypospolitej oraz jej stolicy.

Tytułem małego *post scriptum* dodać wypada, że sześć lat później, w roku śmierci króla Jana, moralny oprawca Łyszczyńskiego – biskup inflancki Mikołaj Popławski namówił królową Marysieńkę do ufundowania murowanego kościoła pod wezwaniem Świętego Wawrzyńca na terenie cieszącego się złą sławą uroczyska koło wsi Wielka Wola. Budowa wkrótce stanęła i niewykończona świątynia pustymi oczodołami okien straszyła przechodniów jeszcze przez pół wieku.

Miejsce było pechowe, ale gdzie indziej i w jaki lepszy sposób mógł upamiętnić się biskup, który oddał Warszawę na pastwę demonów?

XVI. Mit Warsa i Sawy

Wróciliśmy do mieszkania Jesiki. Akurat robiła generalne porządki, na nasz widok wyłączyła odkurzacz i uśmiechnęła się szczerze. Widać było, że odzyskała nadzieję. Aż miło było na nią popatrzeć. Dokładnie przeciwny biegun emocji prezentował Andrzej, który nie wiedział, czy powinien nam zaufać i znów zaczynał podejrzewać diabelski spisek.

– Do czego wy zmierzacie?! – wybuchnął. – Co chcecie mi przez to powiedzieć?!

– Nie tak prędko, księżyku! – zmitygowałem go. – Przecież wiesz, że nie możemy ci mówić, co masz robić. Dlatego nie możemy wywalić wszystkiego kawa na ławę.

– Przecież wyraźnie daliście mi do zrozumienia, że Kościół był w tej sprawie przeciwko Bogu!

– Bo był – powiedział Jan Seweryn. – To akurat dyspucie nijakiej nie podlega.

– Może tak… – Andrzej niechętnie przyznał mu rację. – Ale co z tego wynika? I co ma do rzeczy ten bocian?

– Jaki bocian? – wtrąciła się Jesika i nie czekając na odpowiedź, zaczęła paplać z ożywieniem. – A pamiętasz to bocianie gniazdo, jak byliśmy razem? Wtedy gdy pojechaliśmy nad Świder…?

– Pamiętam – mruknął niechętnie Andrzej. – Byliśmy na spacerze i jakiś gospodarz poprosił nas, byśmy mu pomogli poprawić na stodole

bocianie gniazdo, które przekrzywił silny wiatr. Nie chciał sam, tylko uparł się, żebyśmy my włazili na drabinę.

– A pamiętasz, dlaczego tak było? – naciskała Jesika.

– Powiedział, że dobrześmy mu się trafili, bo bocianie gniazdo powinien zakładać kawaler z panną. I jeszcze nalegał, żebyśmy podczas tej pracy nic do siebie nie mówili. Ludowy przesąd! – Andrzej demonstracyjnie wzruszył ramionami.

– Ja się trochę bałam tak wysoko na drabinę wchodzić. Dobrze, że miałam spodnie. To wtedy właśnie poczułam, że naprawdę chcę z tobą być i właśnie tej nocy był nasz pierwszy raz…

– Proszę, nie przypominaj tego – żachnął się poczerwieniały księżyk.

– Tak było!

– Nie kłóćcie się – powiedziała łagodnie Leokadia.

– Pora na drugie wejście w historię – oznajmiłem. – Podaj mi rękę, Andrzeju.

Popatrzył na mnie ciężkim wzrokiem, ale zrobił, o co go prosiłem.

– Ja też chcę z wami! Nie znikajcie znowu beze mnie! – poprosiła Jesika.

– Dobrze – zgodziła się Leokadia i ujęła jej dłoń.

*

Skowronek świergotał jak szalony w jaskrawym majowym słońcu. Pachniały łąki, buczały owady. W oddali zaryczała krowa.

Staliśmy pośrodku starej drogi zbudowanej systemem MacAdama, to znaczy o nawierzchni pokrytej mocno ubitym kamiennym tłuczniem. Tuż obok, wzdłuż przydrożnego rowu przechadzał się bocian, sprawiając wrażenie, jakby wypatrywał tam żab. Faktycznie jednak czekał na tych, co mieli tu niebawem nadjechać. W dziobie trzymał długi, zielony pęd

sitowia, którymi ptaki te zwykły wiązać patyki przy budowie swoich gniazd.

– Co to za miejsce? – zapytał ksiądz Andrzej.

– Trakt lubelski, piętnaście kilometrów od Warszawy – odparłem.

– A który rok?

– 1875.

– O ile znam historię Polski, to wtedy chyba nie wydarzyło się nic szczególnego? – zdziwiony zmarszczył czoło.

– I tu się mylisz!

W dalekiej perspektywie drogi pojawił się dyliżans. Konie musiały być niedawno zmienione, gdyż ciągnęły żwawo, pojazd przybliżał się szybko i rósł w oczach. Kiedy był już sto metrów od nas, bocian uniósł głowę i ze stoickim spokojem wyszedł na środek drogi. Stanął pomiędzy naszą grupką a nadjeżdżającym, rozpędzonym czterokonnym zaprzęgiem. Śmiertelne zagrożenie ptak całkowicie zignorował.

Woźnica zobaczył bociana z daleka. W pierwszej chwili nie zamierzał zwalniać, tylko stanął na koźle, zerwał z głowy kapelusz i zamachał nim energicznie, dając znak, by usunąć się z drogi, zupełnie jakby miał do czynienia z człowiekiem. Bociek ani drgnął. Zdenerwowany stangret rzucił kapelusz na ławę i gwałtownie ściągnął lejce, następnie złapał za dźwignię hamulca. Rozległ się przenikliwy zgrzyt, konie zachrapały i po kilkunastu sekundach dyliżans zatrzymał się jakieś pięć metrów od ptaka, który wciąż stał nieporuszony.

Z okna wychylił się blisko trzydziestoletni mężczyzna z dużą blizną na twarzy i skroni, znacznie deformującą okolice prawego oka. Znać było, że zewnętrzne brzegi oczodołu zostały kiedyś strzaskane, a chirurg zmuszony był usunąć kilka małych fragmentów kości czaszki.

– Mój dobry człowieku, czemuż to stanęliśmy? – zawołał.

– Ano, jaśnie pan sam obaczy!

Pasażer otworzył drzwi i zeskoczył na drogę. Poprawił poły beżowego surduta, przeszedł na przód zaprzęgu i stanął zaskoczony widokiem.

– A to ci dopiero rozbójnik! – parsknął śmiechem, zakładając ręce na piersiach.

Woźnica zlazł z kozła i z kapeluszem w garści pospieszył do pasażera.

– Toż, jaśnie panie, nie uchodziło gagatka przejechać – oznajmił tytułem usprawiedliwienia. – Toż jeszcze nieszczęście jakoweś potem by z tego wziąć się mogło.

– Macie rację, dobry człowieku. – Mężczyzna z blizną uśmiechnął się szerzej. – Trzeba nam się teraz jaką żabą wykupić…

– A pójdziesz! A sio! – Woźnica znów zamachnął się kapeluszem na bociana.

Ptak stał jak wypchany.

– Skoro nie chce po dobroci… – Ruszył z wyraźnym zamiarem usunięcia ptaszyska siłą na pobocze.

Bocian tylko nieznacznie przechylił głowę.

– O Jezu! – Stangret wzdrygnął się i cofnął gwałtownie, po czym przeżegnał zamaszyście. – Jaśnie panie, toż on ma w oczach takie cóś… że ja sam nie wiem co! – Bliski paniki przeżegnał się po raz drugi. – Jezus, Maria, ja tak nie mogę… – Bezwiednie schował się za pasażera.

Młody mężczyzna spoważniał, opuścił ręce i postąpił krok w stronę ptaka, przyglądając mu się uważnie.

– Aleksandrze! – Z dyliżansu wychyliła się z kolei młoda kobieta. – Co się tam stało? Czy to jakiś wypadek?

Zapytany zawrócił szybko do drzwi.

– Chodź, Oktawio – podał żonie rękę, pomagając jej wysiąść. – Sama powinnaś to zobaczyć. Poniekąd hinduski fenomen przeniesiony

w mazowieckie realia. W Indiach takie psoty zwykły robić krowy, a tu… no, chodź prędko!

Pani Oktawia wzięła męża pod rękę i oboje podeszli do bociana. Ten ożywił się na ich widok i zbliżył się do nich. Jeden z koni zarżał lękliwie i zaczął się boczyć. Woźnica chwycił zwierzę za cugle i zacmokał uspokajająco.

– *Gospodin* Głowackij! – z głębi dyliżansu dobiegł tubalny, zaspany głos. – *Eto uże* Warszawa?!

– Nie, proszę jaśnie pana – stangret pospieszył z wyjaśnieniami. – Taka jedna… – zawahał się, szukając słowa – gadzina nam w drogę wlazła.

– To paganicie swołocz w czortu… yyi pojedziom daliej! – odpowiedział niewidoczny pasażer w osobliwym polsko-rosyjskim żargonie, na dodatek niewątpliwie ziewając w trakcie tej wypowiedzi.

– Tak, proszę łaski jaśnie pana! Jak jaśnie pan rozkaże! – zapewnił gorliwie woźnica, ale nie zrobił nic. Tylko lękliwie wyglądał zza końskich łbów, czekając aż państwo Głowaccy sami poradzą sobie z niesamowitym ptaszyskiem.

Oktawia i Aleksander zatrzymali się przed bocianem, który przypatrywał się im z godnością. Sytuacja była istotnie niezwykła, ale raczej zabawna niż straszna. Ptak wyglądał zupełnie zwyczajnie. Pan Głowacki nie dostrzegł w jego oczach nic, co mogłoby usprawiedliwić i wyjaśnić przestrach stangreta.

– Co on ma w dziobie? – zainteresowała się pani Głowacka.

Zanim mąż zdążył jej odpowiedzieć, ptak zrobił kolejny krok do przodu i upuścił przed nimi zieloną witkę, po czym, jak gdyby nigdy nic, majestatycznie odszedł z powrotem na łąkę. Tam wziął rozbieg i odleciał, kierując się w stronę słonecznej tarczy, skutkiem tego niemal natychmiast zniknął wszystkim z oczu.

Młodzi małżonkowie patrzyli przez chwilę w milczeniu na zielony pęd, który bocian złożył u ich stóp. Aleksander pochylił się i podniósł witkę. Potem spojrzał na żonę i momentalnie zapomniał o bocianim darze, machinalnie, byle jak włożył go do kieszeni, kompletnie zauroczony zjawiskowym widokiem stojącej w pełnym słońcu Oktawii, której spod kapelusza na skroń wysunął się lśniący złociście kosmyk włosów.

Patrzyli na siebie, a ich twarze pojaśniały. W oczach obojga było oddanie i ogień.

– Aleksandrze… – szepnęła Oktawia. – Chcę jak najprędzej znaleźć się z tobą sam na sam…

– Ja też, moja kochana… – odparł, całując jej dłoń. Namiętnie poszukał ustami skrawka ciała nad krawędzią rękawiczki.

Chwilę później, trzymając się za ręce, pobiegli z powrotem do pojazdu. Zielona witka wypadła Aleksandrowi z kieszeni i pozostała zapomniana w pyle drogi.

– Ruszcie się wreszcie, dobry człowieku! – ponaglił stangreta pan Głowacki, wspinając się po stopniach dyliżansu. – Dość czasu tu zmitrężyliśmy!

– Tak, proszę jaśnie pana! Dziękuję jaśnie panu! – Woźnica czym prędzej wdrapał się na kozioł i chwycił lejce. – Wiooo, maluśkie! – zawołał. – Wiooooo!

Andrzej i Jesika w popłochu usunęli się z drogi ruszającego dyliżansu. Jan Seweryn ostentacyjnie pozwolił, by cały zaprzęg przeniknął przez niego, i dopiero potem z godnością dołączył do nas.

– Kto to był ten poharatany gość? – zapytała Jesika. – Wydał mi się jakiś taki znajomy…

– Nic dziwnego – powiedziałem – jego zdjęcia są w każdym podręczniku do polskiego. – W szkole widziałaś go nieraz, tylko zawsze

z profilu.

– Głowacki… Głowacki… – szukała w pamięci. – Jakaś armata i Racławice…?

– Lepiej znany jest pod pseudonimem Bolesław Prus.

– Aaa! Napisał „Lalkę faraona”!

Andrzej z rezygnacją wzniósł oczy ku niebu.

– Faktycznie trochę podobny do tych zdjęć, co są w książkach, ale ta pokiereszowana gęba mnie zmyliła – tłumaczyła się Jesika.

– Na fotografiach jest dużo starszy. I zawsze pozwalał fotografować tylko swój zdrowy profil, całą twarz pokazywał tylko na retuszowanych portretach.

– Od czego on to miał?

– Pamiątka z powstania styczniowego. Trafiła go w głowę kulka z rosyjskiego kartacza.

– Niewiele brakowało, a nie byłby taki wesoły.

– To prawda – przyznałem.

– Bogu za to dziękujmy! – zirytował się Andrzej. – Ale o co w tym wszystkim chodzi? Co to za wydarzenie?!

– Tego dnia 1875 roku Bolesław Prus przywiózł do Warszawy niedawno poślubioną w Lublinie młodą małżonkę – wyjaśniłem. – Zobaczyliście epizod, o którym wszyscy zainteresowani szybko i całkowicie zapomnieli, ale jego znaczenie było ogromne.

– Przypominam sobie ze szkoły, że tych dwoje nigdy nie miało własnych dzieci. – Andrzej zmarszczył brwi. – Czy to może dlatego, że nie zabrali ze sobą tego zielonego patyka? Co to za pogańskie czary i gusła?! – obruszył się. – Co wy nam tu pokazujecie?!

– Chodzi o znacznie więcej niż potomstwo tych dwojga, które nie zaistniało – odparłem. – Podarowano im coś ważniejszego. Nie bądź taki

w gorącej wodzie kąpany.

– Dobrze, okażę wam jeszcze trochę chrześcijańskiej cierpliwości.

– Bogu niech będą dzięki za drobne łaski! – skwitował ironicznie Jan Seweryn. Wciąż był rozdrażniony z powodu kaźni Łyszczyńskiego.

– Chodźmy za nimi – powiedziałem, wskazując kierunek. – Ten sam dzień, godzina później…

Pstryknąłem palcami dla lepszego efektu.

Dyliżans z młodą parą zatrzymał się przy rogatce grochowskiej do rutynowej kontroli. W czasie gdy miejscowy urzędnik przeglądał bagaże, by upewnić się, że pasażerowie nie wwożą przeznaczonych na sprzedaż produktów spożywczych, przyszły pan Prus z okna pojazdu skinął na kręcącego się w pobliżu gazeciarza.

– Służę szanownemu panu! – wezwany podbiegł natychmiast.

– Daj no mi, chłopcze, „Kurier Warszawski”.

– Służę szanownemu panu! Dziesięć kopiejek należy się!

Głowacki zapłacił, cofnął się do wnętrza i rozłożył kupioną gazetę.

– Ciekawe! – mruknął po chwili.

Żona zajrzała mu przez ramię.

– Jakie nowiny, Aleksandrze?

– Car mianował właśnie nowego prezydenta Warszawy. Został nim generał Sokrates Starynkiewicz. Piszą, że już w czerwcu oficjalnie obejmie swój urząd.

Pani Głowacka zerknęła w bok, przezornie upewniając się, że ich współpasażer, rosyjski kupiec, dalej śpi.

– Znów jakiś rusyfikator! – wydęła usta z niesmakiem.

– Nie byłbym tego taki pewien, moja droga, coś już o tym Starynkiewiczu słyszałem. To podobno jest bardzo porządny człowiek.

– Daj nam Boże! – westchnęła młoda kobieta.

Znów pstryknąłem palcami.

– Tak oto zaczęła się wielka, trwająca ponad trzydzieści lat wiosna Warszawy – powiedziałem, gdy znaleźliśmy się z powrotem u Jesiki.

– Wiem – odrzekł Andrzej. – Prezydent Starynkiewicz sprowadził niebawem rodzinę Lindleyów, rozpoczął budowę filtrów i kanalizacji, zrobił naprawdę dużo dobrego dla miasta, a Bolesław Prus stał się jednym z najbardziej popierających go dziennikarzy. Tylko co, na litość boską, ma do tego wszystkiego bocian?!

– Ciekawa zbieżność, nie sądzisz? – zagadnąłem lekko. – Aleksander i Oktawia jakby przywieźli ze sobą do Warszawy błogosławieństwo…

– Czy Bóg nie ma aniołów, że musi z błogosławieństwami wysyłać bociany? – zapytał z przekąsem ksiądz Andrzej.

– Pewne tradycje są nadal zachowywane.

– Ta tradycja jest wyraźnie pogańskiej proweniencji! – oznajmił oskarżycielsko.

– Mówiąc ściślej, przedchrześcijańskiej – odparłem spokojnie. – Myślisz, że dla Naczelnego świat zaczął się z chwilą narodzin Syna i jego wejścia w ludzki czas? A dla nas Polaków dopiero po chrzcie Mieszka I… Uważasz, że wcześniej nie było znikąd żadnych bożych łask?

– Stwórca zawsze troszczył się o swoje stworzenie i korzystał ze środków dostępnych w danym miejscu i epoce – powiedziała Leokadia.

O kurczę! Z wrażenia aż zrobiło mi się gorąco. Tak wyrafinowane słownictwo absolutnie do tej prostej dziewczyny nie pasowało. Skoro go jednak użyła, oznaczało, że w tej chwili do naszej dyskusji włączył się sam Naczelny! Rzadko mi się to zdarza, ale zapomniałem języka w gębie.

– Co właściwie robi ten bocian? – Andrzej niby ksiądz, a nie zorientował się, z kim rozmawia.

– Od tysięcy lat wybiera głęboko kochającą się parę, której miłość przepędza demony i staje się natchnieniem dla wszystkich ludzi dobrej woli mieszkających w tym miejscu. Żydzi wierzą, że trzydziestu sprawiedliwych mężów podtrzymuje istnienie całego świata. Aby zaś kwitła Warszawa, musi kwitnąć miłość wybranej pary małżonków.

– Mit Warsa i Sawy? – uśmiechnął się pobłażliwie Andrzej.

– W każdej legendzie jest ziarno prawdy – odpowiedział mu Naczelny przez usta Leokadii. – Chociaż nigdy nie było ludzi o tych imionach, sednem rzeczy jest istnienie małżonków, z których miłości poczynają się nie tylko ich własne dzieci, jeśli w ogóle je mają, ale przede wszystkim siły życia i twórczej mocy tego miasta.

W tym momencie spłynęło na mnie objawienie. Zrozumiałem, na czym dokładnie polegały anielskie zwycięstwa w dobrych dla Warszawy latach. W całej okazałości stanęły mi przed oczami rozgrywające się tutaj na przestrzeni wieków zmagania sił światła i ciemności oraz ich wszystkie reguły. Zwłaszcza ta jedna, najważniejsza, stanowiąca, że w Warszawie zło i dobro nigdy nie mogą być ze sobą w równowadze. Nigdy nie zneutralizują się wzajemnie, doprowadzając egzystencję mieszkańców do stanu nijakiej szarości. Chwile spokoju były tylko złudzeniem, gdy szala wagi, już przeważona przez drugą stronę, zdążając w przeciwne niż dotychczasowe położenie, przemykała akurat przez punkt równowagi. Tak naprawdę tutaj zawsze musiały być skrajności – my albo one, anioły lub demony. Weźmy dla przykładu XVI wiek, w którym zaczęły się nasze obecne kłopoty. Na początku tamtego stulecia Warszawa, jeszcze przed kaźnią Klimaszewskiej i Piekarki, była miastem wręcz chorobliwej nietolerancji, w którym dekret księcia Janusza pod karą śmierci zabraniał praktykowania religii protestanckich lub choćby nawet czytania ich ksiąg. Jednak w 1573 mamy już przesławną konfederację warszawską, dokładnie rok po paryskiej

nocy świętego Bartłomieja, budującą międzywyznaniowy pokój pośrodku Europy ogarniętej szaleństwem wojen religijnych. A potem znów amok kontrreformacji. Okresy rozkwitu, a po nich czas kompletnej katastrofy.

Powiedziałem to Andrzejowi.

– Od czego to zależy? – zapytał.

Lepiej, aby zobaczył to sam. Rozgarnąłem więc czas kolejny raz i pociągnąłem wszystkich za sobą.

Weszliśmy w oko cyklonu zła.

Był czerwiec 1944, Siekierki.

Rok wcześniej, w maju 1943, w tej podwarszawskiej wsi rozpoczął się kolejny cykl objawień Doroty Klimaszewskiej. Czas dobrany był wyjątkowo perfidnie. W okresie trwającego w getcie powstania i tuż po ujawnieniu katyńskiej zbrodni demonica podająca się za Maryję Pannę z lubością zapowiedziała wielki gniew boży nadciągający nad Warszawę z tego mianowicie powodu, że „lud się nie nawraca”. Nie mogło już być większej diabelskiej kpiny z udręczonych okupacją mieszkańców stolicy. Szatan wprost śmiał się warszawiakom w twarz! A jednak Klimaszewska z Piekarką potrafiły do tego stopnia zatruć umysły i serca, że owo horrendalne przesłanie z samego dna piekieł zostało wzięte za dobrą monetę i zaczęło obrastać lokalnym kultem. Chwila, w której Bolesław Prus przywiózł do Warszawy młodą żonę Oktawię, była momentem, gdy nad tym miastem otworzyło się niebo. Teraz mieliśmy być świadkami drugiej skrajności, totalnego triumfu demonów.

Stanęliśmy za rozmodlonym tłumem zgromadzonym przy płocie, za którym znajdował się zwykły drewniany dom ze spadzistym dachem i niewielki sad z kilkoma drzewami owocowymi. Klimaszewska unosiła się pomiędzy gałęziami wiśni. Piekarka jak zwykle krążyła w tłumie, dla miejscowych niewidzialna, ale słyszeli oni jej szept, którym podsycała

religijny fanatyzm. Każdemu, kto tego słuchał, wydawało się, że mówi to jakaś przejęta kobieta stojąca za nim. Tym, co stali na końcu, jakoś nie przychodziło do głowy, żeby się obejrzeć…

Obie zjawy widzieliśmy tylko my, one nas tym razem nie. Samą Klimaszewską widziała jeszcze i właśnie rozmawiała z nią klęcząca w otwartym oknie dwunastoletnia Władzia, nieszczęsne dziecko z podręcznikowymi objawami zaburzeń histrionicznych, polegających na teatralności zachowań i podatności na sugestie, w tym przypadku przekazane na lekcjach religii. Wtedy tego typu zaburzenia osobowości nazywano po prostu histerią. Zdiagnozował ją osobiście miejscowy proboszcz, który próbując przebudzić małą z transu, ukłuł ją szpilką w stopę, bez widocznego rezultatu. Tak właśnie w podręcznikach medycznych z tej epoki zalecano sprawdzać podejrzenia histerii, a jednak świadectwo sceptycznego proboszcza, choć spisane i potwierdzone przez towarzyszące mu osoby, zostało zignorowane przez lekarza oraz duchownych badających ten przypadek. Klimaszewska z Piekarką jak zwykle sprawiły, że ludzie oślepli na prawdę i logikę.

Nie one jednak ani ich szatańskie machinacje były powodem naszego przybycia. Mieliśmy zobaczyć, dlaczego tym razem przerwana została warszawska sukcesja miłości. Para nowych kandydatów przecież była. I to tutaj, właśnie teraz, w tym miejscu. Mieszkali wszak niedaleko stąd, na Sielcach, przy ulicy Hołówki. Przyjechali na rowerach w ramach niedzielnej wycieczki, wiedzeni, jak im się wydawało, czystą ciekawością, by wreszcie na własne oczy zobaczyć ów siekierkowski fenomen, o którym od wielu miesięcy docierały do nich plotki.

Instynktownie zachowując dystans od na wpół opętanego tłumu, zatrzymali się po przeciwnej stronie ulicy, oboje niewysocy i bardzo drobni,

z daleka wyglądali jak para dzieciaków trzymających się za ręce. Nie byli jednak podrostkami na randce, lecz małżeństwem.

Barbara i Krzysztof Baczyńscy.

Stali w wylocie najbliższej przecznicy, zwracając na siebie tylko uwagę aniołów. Tak nam z kolei się wydawało.

On obserwował zbiegowisko w wielkim skupieniu. Nie widział demonów, lecz z niezachwianą pewnością czuł, że dzieje się tutaj coś mrocznego i złego, i jak to poeta, koniecznie chciał ubrać te uczucia w słowa. Ona od dłuższej chwili już zupełnie nie chciała tu być, ale nie śmiała ponaglać improwizującego w głębi duszy męża, tylko coraz mocniej i z rosnącym lękiem ściskała jego dłoń.

– Nie czuję natchnienia! – szeptał z niepokojem Krzysztof. – Jakby nagle… jakby je coś ze mnie wyssało. Nie czuję Jej bliskości… Niebo milczy, a oni przecież mówią, że Ona tu jest… – myślał głośno. – To dziwne… Basiu, spróbuję jeszcze raz!

Gorączkowe myśli poety musiała usłyszeć Piekarka, bowiem przestała podsycać emocje tłumu, odwróciła się i spojrzała na niego, jednocześnie dając znać swojej wspólniczce. Krygująca się na jabłoni Klimaszewska chwilowo zapomniała o Władzi i także zwróciła głowę ku Baczyńskiemu. Jego umysł był teraz całkowicie otwarty, więc natychmiast w niego wniknęła.

Poeta się wzdrygnął.

– Widzę same ciemne obrazy… – powiedział do żony i nagle zaczął mówić zmienionym głosem – a *usta moje wyschłe jak wióry… ziemia tutaj za ciężka, dusze martwe jak ołów…*

– Krzyś, przestań, ja się boję! – Barbara szarpnęła go za ramię.

Nie słuchał jej. Coraz głębiej tonął w otchłani mrocznych metafor.

– *Ciała i groby za ciężkie, stężałe bryły mozołu…* – bezwiednie wywrócił oczy białkami do góry – *dym, płomień nad nami wykwita…* – jego głos nabrał mocy i rytmu.

Tu oto świty skazańców, tu oto dzieci, co rosły,
Tu oto, Mario, milcząca nawet przed Bogiem śmierć!

Przez upiornie długą chwilę sądziłem, że Klimaszewska znalazła sobie znacznie lepsze medium od ledwie piśmiennej dziewczynki z przedmieścia. Na szczęście Barbara Baczyńska czuwała. W nagłym natchnieniu, wiedziona miłością i kobiecą intuicją, sięgnęła pod koszulę męża, namacała wiszący na jego szyi poświęcony krzyżyk i Cudowny Medalik św. Katarzyny Labouré. Wyciągnęła je szybko i przycisnęła mu do ust.

Improwizowany egzorcyzm poskutkował. Piekarkę gwałtownie odepchnął do tyłu niewidzialny podmuch. Klimaszewska omal nie zleciała z drzewa, musiała kurczowo przytrzymać się gałęzi, zdołała jednak wymazać to kompromitujące wspomnienie z pamięci swojego medium. W oczach Władzi obraz fałszywej Maryi tylko zmętniał i zafalował. Chwilę później oba demony się otrząsnęły i skupiły z powrotem na swoich wyznawcach.

Z pozoru wydawało się, że już po incydencie. Ale nie! Objawienie właśnie na mnie spłynęło i prysły złudzenia. Pojąłem, że całe to nadnaturalne zamieszanie na Siekierkach było misterną zasadzką na małżonków Baczyńskich, w którą oni właśnie na naszych oczach wpadli. Klimaszewska zaaranżowała to wszystko tylko po to, żeby zgładzić parę wybrańców, którzy bronili jej dostępu do pełnej władzy nad losem tego miasta. Zło, które miało się wydarzyć, właśnie się wydarzyło. Teraz pozostało nam tylko odkryć jego istotę oraz prześledzić konsekwencje.

Krzysztof zamilkł, oprzytomniał i ze zdziwieniem spojrzał na żonę.

– Proszę cię, chodźmy stąd! – Stanowczo pociągnęła go za rękę.

– Już dobrze, Basiu. – Pocałował ją szybko w policzek. – Później to sobie jakoś lepiej poukładam i zapiszę, ale tytuł już mam! Wiesz, Basiu, to będzie wiersz Do Matki Boskiej, co o tym sądzisz? – Zamilkł, widząc, że żona jest bliska łez. – Już dobrze – powtórzył skonfundowany. – Przepraszam… Chodźmy, Basiu.

Cofnęli się do rowerów i pojechali z powrotem ulicą Bluszczańską, której nazwa była mocno na wyrost, gdyż cała ta ulica niewiele różniła się od zwykłej polnej drogi. Tylko gdzieniegdzie stały jakieś zabudowania, większość przestrzeni po obu stronach była wolna, zajmowały ją pola uprawne i nieużytki. Po kilkuset metrach opadły z obojga złe emocje i znów zaczęli się do siebie uśmiechać. Basia pierwsza zwróciła uwagę na spacerującego po łące bociana i zatrzymała się na ten widok. Krzysztof też stanął i cofnął parę kroków, by ich rowery się zrównały. Objął żonę w talii i oboje patrzyli na łąkę.

– Co, Basiu, urzekł cię ten bociek? – zagadnął lekko poeta.

– Może byśmy go tak poprosili, by nam coś przyniósł… – Położyła mu głowę na ramieniu. – Wiesz co…

– Wiem… – Baczyński spochmurniał i spoważniał, ale nie wypowiedział myśli głośno, nie chcąc drugi raz w ciągu kilkunastu minut zrobić żonie przykrości.

– Ja wiem, pamiętam – mówiła szybko Barbara, chcąc skończyć myśl, nim mąż zaoponuje – mieliśmy nie starać się o dziecko, dopóki wojna się nie skończy, ale może mimo wszystko… Tak na przekór wojnie…

Patrzyli na bociana, a bocian patrzył na nich. Potem ptak opuścił dziób i z kępy traw wyskubał zielone źdźbło. Zrobił majestatyczny krok w stronę małżonków.

Krzysztof przygryzł wargi. Obawa i lęk przeważyły.

– Nie teraz, Basiu – zdecydował. – Ale przyjdziemy tutaj dokładnie za rok. To będzie nasza wróżba. Jeżeli znów spotkamy w tym miejscu bociana, weźmiemy od niego wszystko, cokolwiek zechce nam przynieść. Niezależnie od tego, czy wojna wciąż będzie trwała, czy nie.

– Dobrze, zaczekamy jeszcze jeden rok – Barbara zgodziła się z mężem po chwili wahania.

Bocian cofnął się i upuścił zielone źdźbło na ziemię. Potem wrócił do przerwanego polowania na żaby, nie zwracając już więcej uwagi na ludzi.

Nie tak miało być!

Tylko tak…

Ująłem w dłoń swój czterowymiarowy krzyż i sprawiłem, że zobaczyliśmy alternatywną wersję tego zdarzenia. Droga słońca na niebie zamieniła się w rozmazaną ognistą smugę. Świat zawirował. Mignęły nienaturalnie przemieszane ze sobą pory roku – plamy jesiennej żółci, wiosennej sepii, zimowej bieli i znów wybuchła zieleń czerwca 1944 roku, ale innego czerwca, tego który powinien być. Kiedy czas wrócił do normalnego tempa, okazało się, że bocian stoi wciąż w tym samym miejscu, trzymając w dziobie zerwaną przed chwilą witkę sitowia.

Barbara i Krzysztof też tu byli, niby w tych samych pozach, ale wyglądali jakoś inaczej niż poprzednio. Teraz nie było w nich lęku i napięcia po spotkaniu z demonami. Po prostu ono się nie zdarzyło. Nie zatrzymali się przy rozmodlonym tłumie, tylko szybko przejechali obok na rowerach i Klimaszewska nie miała okazji spenetrować umysłu Krzysztofa i pozostawić w nim obawy, która powstrzymała go przed przyjęciem bocianiego daru.

Oboje ze zdumieniem wpatrywali się w ptaka.

– Zupełnie jakby nas słyszał i rozumiał – stwierdził zaintrygowany Baczyński.

– A ja myślę, że to nie przypadek – oznajmiła z przekonaniem Barbara. Zeszła z siodełka, położyła rower na poboczu i ruszyła przez łąkę prosto do ptaka, który czekał nieporuszony.

– Zobacz, on zupełnie się nie boi! – zawołała do męża.

– Niesamowite! – Krzysztof rzucił rower i pobiegł za nią.

Chwilę później oboje stanęli przed posłańcem z zaświatów. Barbara wyciągnęła rękę, chcąc pogłaskać ptaka po głowie, jednak ten uchylił się szybko i nim młoda kobieta zdążyła zareagować, włożył jej w dłoń swoją witkę. Dopiero wtedy cofnął się płochliwie, odwrócił i zamachawszy skrzydłami, zaczął rozbieg do lotu.

– To znak – pokazała zielony pęd mężowi.

– Wierzę, Basiu – zgodził się z nią całkowicie. – Zrobię ci z tej witki obrączkę, chcesz?

– Tak, chcę – powiedziała z taką powagą, jakby składała małżeńską przysięgę. Podała mężowi dłoń, a on trzykrotnie owinął zieloną łodyżką jej serdeczny palec, następnie pozostałym fragmentem pędu równo, raz przy razie okręcił rdzeń tworzonego pierścienia. Witka okazała się mieć idealną długość, tak że po ostatnim przepleceniu obwód zamknął się całkowicie i nie trzeba było odgryzać pozostałego kawałka.

– Jak ci się podoba? – zapytał na koniec.

– Bardzo! – Podniosła dłoń, oglądając prezent z różnych stron, po czym głęboko, z ogniem spojrzała w oczy męża. – Dziś w nocy będę miała na sobie tylko to… – Zarzuciła mu ręce na szyję.

Zaczęli się namiętnie całować.

Zatrzymałem przepływ czasu w tym nurcie rzeczywistości i całujący się Baczyńscy zamarli w bezruchu. Chciałem ich zapamiętać właśnie w tej

chwili. Odczekałem, aż to wspomnienie utrwali się też w pamięci moich towarzyszy, i dopiero wtedy wykonałem powrotny skok poprzez czas i przestrzeń.

– Znasz historię? – zwróciłem się do Andrzeja, kiedy znów znaleźliśmy się w mieszkaniu Jesiki. – Wiesz, co tak naprawdę było potem?

– Wiem – westchnął ciężko, nie kryjąc żalu. – Zanim minęły trzy miesiące, oboje już nie żyli, ale podobno ona w chwili śmierci była w ciąży. Czy to prawda?

– Nie była – odparłem. – W czasie powstania wiele dziewcząt walczących na barykadach przestało miesiączkować pod wpływem stresu. Tak samo było z Barbarą. Matka Krzysztofa wolała jednak mieć nadzieję, że to początek ciąży.

Andrzej przeżegnał się i wyszeptał pospiesznie: „Wieczne odpoczywanie”.

– Ale dlaczego oni zginęli, skoro zostali wybrani? – zapytała wzruszona do łez Jesika. – Bo przecież zostali, prawda? To oni byli Warsem i Sawą. Chcieli i powiedzieli, że za rok… no więc tak jakby się zgodzili.

– Niestety – odparłem ze smutkiem. – Nie zdążyli. Samo naznaczenie nie zapobiega nieszczęściom. Wybrani, dopóki nie przyjmą wyboru, nie są chronieni. Pozostają zwykłymi ludźmi, którzy mogą zachorować i umrzeć lub zginąć na wojnie bądź wskutek wypadku. Klimaszewska z Piekarką wtedy najpierw zyskały na czasie, a potem sprawiły, że Barbara i Krzysztof nie przeżyli powstania i nie wrócili za rok w to samo miejsce, chociaż bocian by na nich czekał. Baczyńscy nie byli jednak zwykłymi ofiarami wojny. Kiedy bowiem giną wybrańcy, wraz z nimi zaczyna ginąć całe miasto. To samo, jeśli stracą ten dar, sprzeniewierzając się swemu powołaniu, tak jak król Sobieski. Mogą też się w ogóle nie zejść.

Za każdym razem, gdy sukcesja zostaje przerwana, Warszawa jest wydana na pastwę demonów. Do czasu wybrania nowej pary.

– Kim byli następcy Baczyńskich? – spytał Andrzej.

– Zupełnie zwykłymi ludźmi. Mieli na imię Piotr i Elżbieta, ich nazwisko nic wam nie powie. Wrócili do Warszawy w końcu stycznia 1945 roku, przywożąc ze sobą rannego bociana, którego znaleźli po drodze. Zaopiekowali się nim, choć znajomi radzili, żeby go zjeść. Nawet nie zauważyli, że w ich obecności, wszędzie tam, gdzie przeszli, ludzie natychmiast spontanicznie zabierali się do odgruzowywania i naprawy domów. Gdyby nie tych dwoje, zniszczenia wydawałyby się wszystkim zbyt wielkie, odbudowa zbyt trudna, a władze PRL uznałyby, że bardziej opłaca się zbudować nowe miasto od podstaw w innym miejscu. Ruiny Warszawy by porzucono.

– A kto jest teraz?

– Nikt. Trwa kolejna przerwa w sukcesji – rozmyślnie zawiesiłem głos, żeby do niego dotarło. – I to długo, bo już ponad osiem lat…

Andrzej zmarszczył czoło i popatrzył na mnie badawczo. Zamilkł. Już wiedział, tylko nie odważył się powiedzieć tego głośno. Jesika także się domyśliła, oczy jej zabłysły.

– Czy to znaczy, że teraz powinniśmy to być my? – zapytała podekscytowana. – Ja i Andrzej?!

– Tak – oznajmiłem, a moi towarzysze potwierdzili kiwnięciami głów.

– Słyszysz, Andrzejku! – zawołała Jesika, chwytając go za ramię. – Jesteśmy sobie przeznaczeni!

– Słyszę… – Ksiądz Andrzej nie odepchnął jej ręki, ale cały aż stężał.

– Moje kochane aniołki! – Rozradowana Jesika zaczęła kolejno rzucać nam się na szyje, zaczynając ode mnie i obcałowując nas jak szalona. – Dziękuję! Dziękuję! Dziękuję!

– Cóż to za czarna magia, w którą chcecie mnie wplątać?! – wybuchnął Andrzej. – Jakieś pogańskie obrządki?!!

– Pobożne przedchrześcijańskie obrządki – poprawiłem go stanowczo. – Myślisz, że przed zbawieniem nie było żadnych środków obrony ludzkości przed demonami? Były. Może nie tak spektakularne jak Wcielenie, ale skuteczne i czasem wciąż jeszcze potrzebne. Zwłaszcza tam, gdzie chrześcijaństwo uległo deprawacji i samozaprzeczeniu. Krótko mówiąc, zadaniem twoim i Jesiki jest podtrzymać ciągłość prastarej tradycji. Posłano mnie po to, bym ci to objawił. Tobie i Jesice. Wy macie być nowymi Warsem i Sawą!

– A więc Bóg oczekuje ode mnie, bym porzucił mój Kościół? – Andrzej podniósł na mnie ciężki wzrok.

– Prosta, ewangeliczna odpowiedź brzmi: Tak.

– Ale dlaczego?! – zawołał rozdzierająco.

– Bóg ma już dosyć grzechów tego Kościoła – Leokadia ogłosiła boży wyrok. – Tym razem nie będzie kolejnej odnowy, tylko wydanie pod władzę przemijania.

Duch Święty zrobił, co mógł, teraz kolej na prokuratora… Miałem to na końcu języka, ale darowałem sobie drwinę.

– Przypomnij sobie – znów zabrałem głos – co mówił mistyk, Mistrz Eckhart na temat spotkania Boga. Na pewno przerabiałeś to w seminarium. Jak to jest, gdy człowiekowi objawia się Bóg? Czy człowiek stoi wtedy w jednym miejscu, a Bóg w drugim? Czy stoją naprzeciw siebie?

– Nie… – pokręcił z wysiłkiem głową. – Eckhart mówi, że Bóg i człowiek spotkają się w jednym miejscu, którym jest ludzka dusza. Bóg ogarnie człowieka, a człowiek pogrąży się w Bogu.

– Zatem gdzie pomiędzy nimi jest miejsce na jakąś instytucję pośredniczącą?

– Ale tradycja…

– Czy Chrystus przykazał apostołom „załóżcie organizację”? Powołajcie kurie, hierarchie, czyńcie podwładnych trupami w swoich rękach? Czy to było jego najważniejsze przykazanie?

– Nakazał wzajemne miłowanie – westchnął ciężko Andrzej i chwycił się za skroń. Doznał zawrotu głowy i musiał usiąść.

– A w jaki sposób instytucje kochają ludzi? – naciskałem, nie bacząc na jego cierpienie. Przygoda jawnego obcowania z aniołami definitywnie kończyła się dla nich obojga. Nadchodził czas próby. Wiedziałem, że Andrzej wkrótce straci przytomność i czasu miałem mało. Wróciłem więc do tematu.

– Prosta organizacja porządkująca życie pierwszych chrześcijan z czasem zaczęła żyć własnym życiem, sięgnęła po władzę nad wiernymi i ogłosiła się jedynym i koniecznym pośrednikiem między niebem a ziemią. Instytucja weszła na ołtarze i sięgnęła po świętość należną Bogu. Pamiętasz, co w takich przypadkach mówili apostołowie?

– *Non possumus!* – wyrzucił z siebie. – *Non possumus…* – Biedak sam już nie wiedział, czy mówi to, zgadzając się ze mną, czy w proteście przeciwko moim słowom. Jeszcze miał wolną wolę, więc ta decyzja należała do niego. Na razie jednak Andrzej musiał wysłuchać mnie do końca.

– Wszystkie organizacje i instytucje są bytami tellurycznymi i jako takie przynależą do porządku ziemskiego, tak samo jak minerały, rośliny i zwierzęta. Instytucje, podobnie jak proste organizmy, potrafią tylko jeść, rozrastać się i mnożyć, nic więcej. Dokładniej mówiąc, są pasożytami, które dążą do podporządkowania żywiciela, aż do uczynienia go częścią siebie. Małe organizacje bywają użyteczne, ale kłopot polega na tym, że one nigdy nie przestają rosnąć. Nie są Bogiem i nie ma w nich Boga, są

za to znakomitą bramą dla demonów, które przez nie wkraczają w świat widzialny. Człowiek potrafi się demonom opierać, instytucje są przez nie swobodnie penetrowane. Zatem im bardziej człowiek poddaje się instytucji, tym łatwiej mogą zawładnąć nim demony. Im więcej podporządkowania, tym mniej sumienia. To, co przytrafiło się tobie, nie jest wyjątkiem, lecz regułą, nie jednostkową patologią, lecz funkcją systemu. To wciąż się będzie zdarzać i powtarzać jak inne grzechy Kościoła, tak długo, jak długo będzie istniał system tej instytucji. Wybaczono wam bezduszne okrucieństwo i pedofilię, ale popadnięcia w jawną podległość demonom już nie. Czas dany Kościołowi katolickiemu został oznaczony i zamknięty.

– Ale są tam jeszcze ludzie sprawiedliwi! – Andrzej mimo bólu głowy spojrzał na mnie przytomnie. – I tacy, którzy jeszcze mogą się opamiętać.

– Tak, są – odparłem.

– Muszę więc iść do nich i ich przestrzec. Uratować stamtąd, kogo się da.

– Twoja decyzja.

– Czas Sodomy zbliża się dla tego miasta – odezwał się z kolei Jan Seweryn. – Nie za rozwiązłość i występek, lecz za bezrozumne poddanie się demonom.

– Zaraz! Jak to?! – zdenerwowała się Jesika. – Najpierw przegoniliście stąd tych czarnych, kiedy po niego przyszli, a teraz sami go do nich wysyłacie?!

– Z własnej woli tam idę – odrzekł Andrzej. – Wreszcie znów widzę przed sobą prostą drogę. Dziękuję.

– A ja?!

– Ty musisz przejść własną próbę – powiedziała Leokadia i w tym momencie Jesika przestała nas widzieć.

– Gdzie jesteście?! Co się z wami stało?!

– Możesz uznać, że byliśmy twoim narkotykowym flashbackiem… – znów byłem tylko głosem wydobywającym się z powietrza. Było to już ostatnie zdanie przeznaczonego dla niej objawienia. Teraz ona musiała użyć swej wolnej woli i wiary. Pewność zaś wyklucza wiarę, dlatego *handicap* wynikający z bezpośredniego spotkania z aniołem musiał zostać okraszony zwątpieniem.

– Brałaś narkotyki?! – zdenerwował się Andrzej.

– Trochę kwasu, czasami… na samotne wieczory… – Wzruszyła ramionami i rozejrzała się po mieszkaniu, jakby się obudziła ze snu. – No, niezły był odlot – stwierdziła – zupełnie jak po świeżej działce LSD. Nie myślałam, że *flashback* może dać aż takiego kopa… Ty też ich widziałeś?

Andrzej patrzył na nią zdenerwowany i bezradny.

– Jesi – wykrztusił wreszcie – oni tu byli. To nie skutek działania narkotyku, musisz uwierzyć!

– Nic nie muszę! No, chyba że zajrzę do lodówki… – Pobiegła do kuchni.

Nie będziesz wystawiać Pana Boga twego na próbę, zaglądając do lodówki! Naczelny dał, Naczelny wziął. Wypchana po brzegi lodówka była znów pusta. No, prawie.

– Kuźwa, tak myślałam, że to tylko halun po kwachu! Za fajnie by było, ale dzięks, że kupiłeś wędzoną rybę… – zerknęła na kredens – i jeszcze ten chleb… Jesteś kochany!

– Jesi, to znak – powiedział stanowczo Andrzej.

Staliśmy tam cały czas i ze zdumieniem przechodzącym w przewrotny podziw patrzyliśmy, jak szybko cała transcendencja spływa z Jesiki niczym woda po kaczce.

– Nie wkręcaj mnie, Andrzejku! Jestem pewna, że podrzuciłeś te zakupy, przecież nie pilnowałam cię cały czas. Miałeś jednak jakąś kasę czy

znalazłeś na ulicy? – zapytała retorycznie. – Nie musisz, księżulku, podrywać mnie na chleb i rybę, i tak jestem twoja… Znaczy, kiedy mówiłeś, że chcesz ze mną być, to było serio?! – zreflektowała się czujnie.

– Tak.

– Dobra. Dla ciebie mogę być nawet księżowską kochanicą! – Zarzuciła mu ramiona na szyję.

Tym razem nie odepchnął jej od siebie.

– Nie pocałujesz mnie?

Pocałował ją w czoło.

– Mam wobec ciebie uczciwe zamiary.

– No, nie! Tego to w tym układzie chyba się nie da zrobić… Uczciwe zamiary! – Parsknęła niepohamowanym śmiechem. – Przestań mnie już bajerować, tylko ściągaj tę czarną kieckę i bierz, co twoje… – zaczęła rozpinać bluzkę.

– Nie teraz! – Przytrzymał jej ręce. – Proszę cię. Zrobimy to jak należy, w naszą noc poślubną.

– No to znów czekaj tatka latka… – nadąsała się. – I ciekawe, kto nam tego ślubu udzieli? Może sam papież, co?

– Weźmiemy ślub przed Bogiem, kiedy oboje będziemy gotowi – odpowiedział z powagą.

– Ty mówisz serio… – Popatrzyła na niego, jakby widziała go po raz pierwszy. Niewątpliwie coś w tym było. Andrzej Słoniewicz faktycznie pierwszy raz w życiu zachował się jak mężczyzna.

Ona też wyczuła tę zmianę, bo nie zareagowała kolejnym fochem. W jej zachowaniu w stosunku do niego pojawił się cień respektu.

– Założymy naszą własną sektę?

– Nie, to będzie nowy Boży Kościół.

Ta odpowiedź zdecydowanie nie przypadła jej do gustu.

– A ty tak jak ci wszyscy guru będziesz testował nowe kandydatki?! Sprawdzał każdą, jak głęboko wierzy, co?!!

– Będziesz tylko ty, Anno. A teraz muszę iść. Pójdę tam i przekażę im moje posłanie.

– Ale wrócisz do mnie?

– Najszybciej, jak to będzie możliwe.

– Nie zamknął cię siłą w jakiejś celi?

– Nie mają takiego prawa. Musiałbym sam zgodzić się na taką pokutę.

– Dobrze, będę na ciebie czekać – pogodziła się z losem, przynajmniej tak się jej wydawało. – I mówisz, że te anioły naprawdę tu były?

– Myślę, że one nadal tu są… – Posłał uśmiech tam, gdzie ostatni raz widział Leokadię. Wypadło to w próżnię, bo ona tymczasem stanęła obok mnie, ale należy docenić dobre intencje. – Musisz w to wierzyć.

– Przy tobie mogę uwierzyć we wszystko… – westchnęła i przytuliła się do niego z ufnością, tym razem bez seksualnych podtekstów.

Patrzyliśmy na tę scenę ze współczuciem. Jesika otworzyła się wreszcie, ale nie na miłość i szczęście, jak się jej zdawało, lecz na cierpienie. Wiedzieliśmy, co będzie dalej, kiedy leki przeciwbólowe, które wziął Andrzej, przestaną działać.

Na razie nasz dzielny ksiądz, teraz już prorok, zbierał się do wyjścia.

– To musi boleć – powiedziała Leokadia na wpół do siebie, na wpół do mnie.

Kto jak kto, ale ona o bólu wiedziała wiele. Prawie tak dużo jak Klimaszewska z Piekarką… Może nawet więcej, bo ona nie umierała w centrum zainteresowania.

– Dostałem objawienie, żeby wam coś pokazać – powiedział nagle Jan Seweryn.

– Ja też – dodała Leokadia. – W tym samym miejscu…

XVII. Mgła na reducie

Artyleria ruska wstrzelała się błyskawicznie.

Jakby nie dość było ich przewagi ognia – osiemdziesiąt rosyjskich dział przeciwko dwunastu polskim, to jeszcze carscy puszkarze celowali jak w natchnieniu. Chwilę po trzeciej salwie wał w północno-zachodnim narożniku reduty wolskiej na dystansie ponad pięćdziesięciu kroków został ścięty jak kosą w połowie wysokości. Było gorzej, niż gdyby wybuchła podłożona w podkopie mina. Ba, nawet dwie miny nie narobiłyby aż takich szkód. Koziołkując, poleciały wysoko pod niebo kołki palisady, zwaliły się wiklinowe kosze z ziemią, które miały chronić obrońców od kul karabinowych i odłamków granatów, rozrzuciło skrzynie z amunicją, rannych i zabitych, komu zaś nic się nie stało, tego po prostu zmiotło z wału wraz z osuwającym się spod stóp oparciem. Nikt nie zdołał ustać na nogach. Razem z żołnierzami do wnętrza reduty zleciała cała bateria dział i na chwilę wszystko zdominowały krzyki ludzi przygniatanych przez ciężkie lufy, lawety i jaszcze. Potem spadła ulewa grud ziemi, a wszystko pokrył dym i kurz. Reduta 56. otrzymała śmiertelny cios.

Nie było kiedy ani jak odtworzyć pozycji przed nadejściem głównej masy rosyjskiej piechoty. Fala sołdatów w jadowicie zielonych mundurach, z triumfalnym „Urrra!”, z marszu przelała się przez zasypaną fosę i zrujnowany wał.

Rosyjska artyleria musiała teraz wstrzymać ogień, a to dawało jeszcze cień szansy na utrzymanie przynajmniej połowy pozycji.

– Na wewnętrzny wał! Do bramy! – zaczął krzyczeć Wojciech Lipowski, porucznik siódmego pułku piechoty. – Równaj szereg przy bramie!

Posłuchano go prędko i licznie. Wojsko było wszak dobrze ostrzelane, a duch w obrońcach jeszcze nie upadł. Dobre dwie setki żołnierzy, cofających się od zdewastowanego głównego nasypu, sprawnie uformowały dwuszereg wzdłuż wewnętrznego wału, dzielącego główną redutę wolską na dwie równe części. Na wale usiadło lub przyklękło jeszcze kilkunastu woltyżerów, uzbrojonych w gwintowane sztucery. Bez rozkazu zajęli stanowiska, szykując się do zabijania rosyjskich oficerów.

Nowa linia obrony była ledwie cieniem poprzedniej. Niewysoki nasyp bez fosy, pośrodku którego ziała szczerba szerokości dwudziestu kroków, pełniąca rolę bramy, teraz zastawianej w pośpiechu ściągniętymi skądś wozami. Samo to na niewiele by się zdało, lecz właśnie okrzepł stojący przed improwizowaną barykadą mur żołnierskich piersi, przepasanych na krzyż białymi pasami. Siedem miesięcy temu, pod Olszynką Grochowską ta sama ściana piersi, nieugiętej woli i pogardy dla śmierci wystarczyła, żeby powstrzymać wroga, ale to miejsce było przeklęte, a tego nikt z nich jeszcze nie wiedział.

– Ładuj broń! – zakomenderował Lipowski, wyjmując szablę.

Kolby karabinów z łoskotem stanęły przy butach, dłonie sięgnęły do ładownic. Piechurzy odgryźli końcówki nabojów i popluwając papierem, pospiesznie sypali proch i ubijali ładunki w lufach. Zrazu każdy robił stemplem we własnym tempie, ale po chwili wyszkolenie i doświadczenie sprawiły, że ich ruchy zsynchronizowały się w jedno ciało o czterystu rękach. Wszystkie stemple w jednym momencie wróciły pod lufy.

– Broń podsyp! – Karabiny podskoczyły, opierając się kolbami o biodra. Chrzęstnęły odciągane kurki oraz pokrywki panewek.

– Na ramię broń! – Czubki bagnetów uniosły się w górę i pochyliły, zakreślając idealną ćwiartkę okręgu. Szereg lśniących srebrzyście luf zawisł poziomo nad ziemią.

Rosjanie po wdarciu się na teren reduty w naturalny sposób poszli w rozsypkę i jeszcze nie przegrupowali się do kolejnego ataku. Chociaż ich dowódcy i podoficerowie wychodzili z siebie, usiłując zaprowadzić nowy porządek, większość sołdatów bezładnie kłębiła się wewnątrz zdobywanej fortyfikacji, a kolejne grupy wciąż napływały do środka przez zdobyty wał i szukając swoich oddziałów, potęgowały zamieszanie.

Porucznik Lipowski skwapliwie wykorzystał okazję.

– Cel! Salwą… pal! – machnął szablą.

Dwustu polskich żołnierzy bryzgnęło ogniem w niegotowy do walki rosyjski szyk, lecz mimo że po stronie przeciwnika padło naraz pokotem kilkadziesiąt ciał, spodziewany wybuch paniki nie nastąpił. Rosjanie z fatalistyczną sprawnością robili swoje, metodycznie porządkując szeregi. Niewielu cofnęło się w popłochu, a i tych zaraz przywołali do porządku rozgniewani oficerowie. W tym wojsku nawet własnego kaprala bano się bardziej niż wroga.

– Ładuj broń! – powtórzył polski dowódca.

Kolby wróciły do nogi. Żywy młyn palny z metalicznym szczękiem stempli i kurków rozpoczął kolejny cykl.

Broń od nogi na oko!

Lipowski nie musiał ponaglać, wszyscy dobrze wiedzieli, co do nich należy. Ba, więcej niż wiedzieli – obroty bronią mieli we krwi. Raz uruchomiony ludzki mechanizm działał już poza wszelką myślą i strachem, mógł się sam kręcić aż do wyczerpania amunicji. Lepiej jednak, aby żołnierze nie marnowali kul, strzelając na oślep.

– Ogień mierzony! – zakomenderował porucznik. – Koleją… pal!

Salwa Polaków rozciągnęła się teraz w długą, morderczą serię wystrzałów. Rosyjskim szykiem zachwiało, wrzaski bólu i przerażenia zagłuszyły na chwilę spokojne komendy dowódców. Jeszcze trzecia taka salwa i powinni zacząć się cofać!

Broń od oka do nogi. Syk stempli, zamków zgrzyty, trzask panewek. Jeden ruch po drugim, wszystkie w idealnie wyliczonym czasie. I od nogi na oko…

– Cel! Ognia koleją!

Sznur czerwonych błysków, hurgot grzmotów, siwe kłęby dymu i jęki ranionych zlewające się naraz w jeden potępieńczy skowyt.

Jednak Rosjanie ustali.

Nadzieja na wyparcie przeciwnika z wnętrza reduty ogniem karabinowym okazała się płonna. Nie wobec przewagi dziesięciu na jednego. Na dodatek po drugiej stronie ktoś pomyślał o osłonie dla zmieniających front głównych sił. Dały salwę dwa lub trzy plutony. Niby niewiele, lecz z odległości pięćdziesięciu, siedemdziesięciu kroków trudno było chybić. W szyku obrońców pokazały się duże wyrwy, a na polskiego dowódcę spłynęło złe natchnienie.

– Szlusuj! – rozkazał pospiesznie i to był błąd. Większość żołnierzy przerwała ładowanie, by posłusznie przesunąć się w bok i wypełnić luki po trafionych kolegach, mimo woli przeszkadzając tym, którzy nie musieli zmieniać pozycji. W efekcie wszyscy zgubili rytm, a decydująca salwa wypadła słabo. Ogień był rzadki, rozproszony, bardziej rozjuszył Rosjan, niźli ich zniechęcił.

– *W sztykowujuuu!* – zaciągnął ktoś po rosyjsku i las bagnetów pochylił się ku Polakom. – *Rieebiaata, wpierioood! Urrrraaa!!!*

– Na wał! – polecił Lipowski, widząc, że za chwilę wykłują ich do nogi. Wobec przewagi liczebnej nieprzyjaciela w otwartej walce wręcz nie mieli

najmniejszych szans. Można było jednak jeszcze jakiś czas spychać bagnetami prących pod górę Rosjan i tak dotrwać do nadejścia odsieczy. Przecież generał Sowiński musiał widzieć, co się tu dzieje! Że zdołali odtworzyć front! Że reduta 56. wciąż się trzyma! Posiłki na pewno były już w drodze!

Warunkiem doczekania pomocy była skuteczna obrona bramy w wewnętrznym wale. W tym miejscu miały rozstrzygnąć się losy tej bitwy. Porucznik Lipowski stanął za jednym z wozów i raz jeszcze, wykrzykując gorączkowe rozkazy, zdołał zorganizować równą salwę z ponad pięćdziesięciu luf, co na moment osadziło w miejscu nadbiegających przeciwników.

Na całej długości wału trwała zaciekła szermierka na bagnety i kolby. Stojący wyżej Polacy dobrze wykorzysty wali przewagę pozycji. Rosyjskie natarcie znów utknęło. Teraz należało jak najszybciej dać kolejną, możliwie najsilniejszą salwę, która powinna zmusić napastników do odstąpienia i następnego przegrupowania. Obrońcy zyskaliby dla nadchodzącej odsieczy kilka bezcennych minut.

Ze dwudziestu żołnierzy wkoło Lipowskiego miało już naładowane karabiny. Oficer kazał im zająć miejsce kolegów, którzy ciągle jeszcze pracowali stemplami.

W bitewnej gorączce nie spostrzegł, kiedy ani skąd trafiła go rosyjska kula. Myślał, że tylko popchnięto go w zamieszaniu, lecz nagle wszystko zawirowało, a gdy świat znów się zatrzymał, porucznik stwierdził, że patrzy na niego z żabiej perspektywy i nie może się podnieść ani mówić. Zdołał się tylko przetoczyć na wznak.

Na widok padającego dowódcy Polacy się zawahali. Rosjanie przeciwnie, runęli jak burza do przodu. Kilkanaście bezładnych wystrzałów nie zdołało już ich powstrzymać. Pochylonych bagnetów też było o wiele

za mało. Atakujący roztrącili je z wściekłym łoskotem, dopadli barykady z wozów, wdarli się na nie i pomiędzy nie, przelali się do drugiej połowy reduty. Obrona wewnętrznego wału straciła sens. Obrońcy zaczęli bezładnie cofać się na boki i w kierunku kościoła Świętego Wawrzyńca.

– Spójrzcie tam! – Leokadia pokazała na rannego polskiego dowódcę. – Patrzcie!

Trafiony pod lewy obojczyk porucznik Wojciech Lipowski umierał właśnie z upływu krwi z uszkodzonej tętnicy ramieniowej. Przeżyłby, gdyby niezwłocznie zatamowano mu krwotok, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Był tylko jednym z wielu poniewierających się tutaj, upstrzonych czerwienią ciał.

A jednak prócz nas widział to jeszcze ktoś…

Zza zrujnowanej barykady z wozów wybiegła młoda Żydówka. Sądząc po stroju, dziewczyna z warszawskich Nalewek, a właściwie mężatka, gdyż jej włosy były szczelnie ukryte pod chustą. Na skos przez piersi miała przewieszoną dużą torbę z opatrunkami.

Przypadła do Lipowskiego i rozpięła mu mundur. Wyciągnęła ze swojej torby garść szarpi, wcisnęła je do rany, po czym zabandażowała to wszystko szybko, pewnie, mocno. Na koniec uniosła rannemu głowę i podsunęła pod nią porzucony opodal wojskowy tornister.

– Wyżyjesz! – oznajmiła zdawkowo.

Ranny otworzył szeroko oczy i z napięciem wpatrzył się w swoją wybawicielkę.

– Skąd ty tu…?! – wykrztusił, chwytając ją za rękę.

– Dziś jest moje święto – odparła wymijająco. – Pamiętaj o tym.

Skinął głową i zemdlał, ale nigdy nie zdołał zapomnieć tych kilku wypowiedzianych tutaj słów oraz wyrazu pochylonej nad nim twarzy.

Ona delikatnie uwolniła dłoń, po czym zajęła się opatrywaniem rosyjskiego żołnierza z rozbitą kolbą głową i paskudnie poharataną bagnetem szyją, leżącego parę kroków dalej. Zrobiwszy swoje przy drugim rannym, spojrzała ku nam i skinęła głową na znak, że nas widzi, po czym pobiegła dalej i znikła w chmurze prochowego dymu.

Ech, mówię wam! Szkoda, że nie mogliście zobaczyć teraz miny towarzysza Zaleszczuka! To się dopiero nazywa dysonans dialektyczny! Tej świadomości bowiem Sławek nijak nie zdołał wyprzeć. Oczywiście poznał Ją od razu, tak jak my wszyscy. Wprawdzie po staremu uznał to objawienie za halucynację, ale sama myśl, że stary ideowy marksista może mieć aż tak niepoprawne światopoglądowo majaczenia, wstrząsnęła nim do głębi. Takie zwidy mogły się zdarzać zacofanym wiejskim kobietom, a nie partyjnemu działaczowi szczebla wojewódzkiego! Ale skoro podświadomość spłatała mu aż takiego figla, coś musiało być na rzeczy… W efekcie Zaleszczuk sam sobie wydał się ideowo podejrzany, aż odczuł potrzebę złożenia dogłębnej samokrytyki…

Zresztą nie ma się co z niego śmiać, wrażenia każdego z nas były zaledwie ciut powyżej progu wstrząsu psychicznego. Jana Seweryna zamurowało niczym kmiecia w progu pańskiego pałacu. Ja byłem szczerze wzruszony, co do mnie niepodobne, no i właśnie dlatego, żeby się rzewnie nie usmarkać, zacząłem, jak widzicie, intensywnie werbalizować. Natomiast Leokadia rozpromieniła się tak, że omal nie odleciała w Światłość.

Mieliśmy tu jednak zaliczyć jeszcze jedno świadkowanie, więc trzeba było szybko otrząsnąć się z tego rozanielenia. Jan Seweryn wziął głęboki oddech i poprowadził nas w kierunku kościoła Świętego Wawrzyńca.

Walka o redutę wolską zamieniła się w ciąg bezładnych starć, których po stronie polskiej już nikt nie koordynował. Została co najwyżej

desperacja, a kto zachował resztki zdrowego rozsądku, uciekał na szosę kaliską i dalej w kierunku Warszawy. Innymi słowy, ta cholerna bitwa nareszcie zaczęła przebiegać po myśli generała Sowińskiego, który żadnych posiłków nie wezwał ani ich wzywać nie zamierzał.

Odwody przestały bezczynnie całą bitwę na ulicy Karolkowej, trzy kilometry za linią frontu. Wszak nie po to pan jenerał osobiście i zawczasu dopilnował, aby fortyfikację obliczoną na trzy tysiące żołnierzy obsadziło niespełna tysiąc trzystu ludzi oraz pięć razy mniej dział, niż można było i należało tu postawić, żeby teraz przedłużać tę inscenizację. Bo o nic innego jak o teatrzyk dla naiwnych patriotów w tym nie chodziło. Obrona miała być tylko *pro forma*, żeby nikt nie mógł zarzucić Sowińskiemu jawnej zdrady. Feldmarszałek Paskiewicz miał przyobiecany „szybki, łatwy i chwalebny szturm” w zamian za pozostawienie pana generała na stanowisku komendanta Szkoły Aplikacyjnej i zachowanie carskich orderów. Konkretnie ustalono, że Paskiewicz skupi główne natarcie na północnej części reduty, a Sowiński, siedząc na bezpiecznym południowym narożniku, ze swej strony dopilnuje, aby zagrożony rejon przypadkiem nie został wzmocniony. Opór miał być symboliczny. Kiedy zaś Rosjanie przekroczą wały, będzie można już bez obaw przystąpić do uzgadniania warunków honorowej kapitulacji.

Jednak kunktatorstwo i dyskretny sabotaż dowodzenia na niewiele się zdały. Parodię obrony popsuli niżsi oficerowie i prości żołnierze, lokalnie przejmując inicjatywę, bijąc się serio, mieszając atakującym szyki na przedpolu i przeciągając bitwę ponad uzgodniony z przeciwnikiem limit, do prawie pięciu godzin. Przełamanie „symbolicznego oporu” wymagało uprzedniej koncentracji całej rosyjskiej artylerii. Natomiast improwizowana, zaciekła obrona wewnętrznego wału reduty postawiła Sowińskiego już w bardzo niezręcznej i głupiej, a nawet groźnej sytuacji.

Straty Rosjan na tym odcinku były tak wielkie, że drogi Iwan Fiodorowicz z pewnością będzie wściekły! Skoro Polacy obiecali się poddać, to czemu się, do diaska, nie poddawali, tylko ciągle kąsali do krwi?!

Generał Sowiński, postukując laską o żwir, nerwowo dreptał przed kościołem i obmyślał przekonujące usprawiedliwienie. Nie chciał usiąść pomimo drewnianej nogi, choć adiutanci usłużnie biegali za nim z krzesłem i podsuwali mu je co rusz. Rosyjski parlamentariusz się spóźniał i nie było komu przyjąć kapitulacji. Nie daj Bóg, żeby wysłannikowi feldmarszałka jeszcze po drodze coś się stało…

Jak na złość, nie dalej jak sto pięćdziesiąt kroków od sztabu wybuchła nowa, dzika strzelanina! Ze dwudziestu polskich żołnierzy, zepchniętych w narożnik między zewnętrznym a wewnętrznym wałem reduty, zareagowało jak zapędzony do kąta szczur, zamiast złożyć broń, dali spontaniczną salwę. Zaskoczeni niespodziewanym oporem Rosjanie cofnęli się, by poczekać na wsparcie.

Chmurę dymu po ostatniej polskiej salwie lekki wiatr poniósł w kierunku kościoła. Rzecz dziwna, ale w miarę upływu czasu ów siwy tuman się nie rozpraszał, lecz gęstniał. Równocześnie, jawnie przecząc prawom natury, z fosy wstała mgła, która jak woda przelała się przez opuszczony przez obrońców wał i połączyła z prochowym dymem. W kierunku kościoła Świętego Wawrzyńca zaczęła sunąć gęsta ściana szarości.

Sowiński, zajęty swoimi kłopotami, nie zwrócił uwagi na osobliwy fenomen. Nie wiedział też, że grupa desperatów spod wewnętrznego wału, korzystając z rosyjskiego zawahania i niespodziewanej osłony mgły, ruszyła do ataku na bagnety, by przebić się do kościoła, gdzie jak im się wydawało, wokół głównego dowódcy tworzyła się ostatnia linia obrony.

W tym samym kierunku zmierzał rosyjski parlamentariusz, który zdołał wreszcie przedostać się przez wewnętrzny wał reduty. Sztabskapitan Szeremietiew początkowo śmiał się z polskiego bałaganu i braku dyscypliny, potem klął w żywy kamień, gdy przypadkowa kula zabiła pod nim konia, a wreszcie, zapoznawszy się osobiście z sytuacją na miejscu planowanej kapitulacji, stracił nie tylko resztki dobrego humoru, ale i większość odwagi. Wysłali go wszak w istny kocioł czarownicy! Tu strzelają, tam się poddają, kompletny chaos, nie wiadomo, kto przed kim ucieka, a kto goni. A do tego jeszcze ten diabelski dym! Istna kpina, czary albo i nowy polski podstęp…

Szeremietiew nakazał eskorcie trzymać broń w pogotowiu, a od każdego napotkanego rosyjskiego oficera i żołnierza żądał przyłączenia się do swojego oddziału. Wreszcie zdenerwowany sztabskapitan zobaczył kościół i czekających przed wejściem Polaków. Oficerowie na widok rosyjskiej deputacji natychmiast wywiesili białą szmatę i wydali rozkaz towarzyszącym im żołnierzom złożyć broń. Parlamentariusz odetchnął z ulgą i w tym momencie dostał kulę w prawe ramię. Jego ludzi ostrzelał kryjący się w dymie i mgle drugi oddział Polaków, którzy po salwie rzucili się do ataku na bagnety. Za późno zorientowali się, że Rosjan jest zbyt wielu.

– *Izmiena! Zdrada! – wrzasnął oszalały z* bólu i wściekłości ranny sztabskapitan. – *Ubit’ wsiech! Unicztożit’* do nogi!

Dwa razy powtarzać nie musiał. Sołdaci, rozjuszeni przewlekłym oporem i nagłą napaścią, rzucili się na Polaków w morderczym amoku, nie robiąc różnicy pomiędzy tymi z bronią w ręku a tymi z rękami do góry.

Generał Sowiński zdążył jeszcze zobaczyć przewrotny owoc własnych knowań, to znaczy być świadkiem, jak jego oficerowie sztabowi, których osobiście namówił do zdrady, stają się narodowymi bohaterami mimo woli

i rozpaczliwie wrzeszcząc: „Za co?!” i „Pomiłujcie!”, powiększają panteon narodowych męczenników. Uciekać nie było gdzie, a bronić się należało wcześniej.

Sam Sowiński wszakże losu podwładnych nie podzielił. Spotkał go gorszy. Chwilę po rozpoczęciu masakry ogarnęła go ta dziwna mgła i niespodziewanie przed generałem stanęła mała dziewczynka o oczach jakby odlanych z płonącej smoły.

Nie powiedzieli sobie nic, bo i nie było czego. Zza pleców Tiny-Aliny wyroił się tłum dziecięcych widm w białych giezłach i rzucił na zdrajcę. Sowiński odruchowo zamachnął się na zjawy laską, ale wyrwano mu ją z ręki, przewrócono go na ziemię i szarpiąc dziko ze wszystkich stron, porwano na nim mundur, oderwano protezę nogi. Chciał krzyczeć o pomoc, lecz usta zatkały mu nietoperze. Zaraz potem dziesiątki małych ramion dźwignęły go do góry i wierzgającego bezradnie jedną nogą poniosły w otchłań czasu.

Kiedy przed kościołem Świętego Wawrzyńca zginął ostatni Polak, rozproszyła się mgła i dym, ucichły strzały, a Rosjanie ochłonęli, okazało się, że nigdzie nie można znaleźć trupa generała Sowińskiego.

Zostały po nim tylko laska i proteza…

Feldmarszałek Paskiewicz był bardzo niezadowolony. Krótkie śledztwo przeprowadzone zaraz po bitwie wykazało, że poddających się Polaków zabito przez pomyłkę. Gdyby ta wieść rozeszła się szerzej, ucierpiałby nie tylko honor rosyjskiego wodza, ale i mocno skomplikowałyby się przyszłe pertraktacje kapitulacyjne z udziałem Iwana Fiodorowicza, bo któż kiedykolwiek chciałby mu się poddać po takim *qui pro quo*? Z dwojga złego już lepiej było zjeść żabę i ogłosić, że generał Sowiński padł na posterunku, bohatersko walcząc do końca. Romantyczni polscy poeci byli usatysfakcjonowali i skwapliwie podchwycili legendę. Owszem, przez

parę lat po bitwie wszyscy zainteresowani natarczywie pytali, co się stało z ciałem generała, ale w końcu, nie otrzymując odpowiedzi, pytać przestali i sprawa rozeszła się po kościach.

Porucznik Wojciech Lipowski odzyskał przytomność dwa dni później jako jeniec w rosyjskim lazarecie. Po miesiącu wydobrzał. Karę za bunt złagodzono mu znacznie, gdy przed sądem wyraził gorące pragnienie przejścia na prawosławie i wstąpienia do klasztoru „dla odkupienia swych win”, jak zanotowano w protokole rozprawy. Piętnaście lat później były porucznik wojsk polskich został diakonem w byłym kościele Świętego Wawrzyńca, zamienionym na cerkiew Matki Boskiej Włodzimierskiej, patronki dnia zwycięskiego szturmu na Warszawę. Z tego powodu byłego oficera wyrzekła się cała jego polska rodzina, ale on wytrwał w swym postanowieniu do końca życia.

Prawdziwego bohatera wyklęto, fałszywego uczczono. Miejsce niespełnienia odniosło kolejny triumf.

XVIII. Meningokoki

Andrzej pocałował naburmuszoną Jesikę w policzek i szybko zbiegł ze schodów. Czuł się lekko i widział przed sobą jasną, prostą drogę. W niczym nie przypominał przytłoczonego dylematem sumienia nieszczęśnika, który przywlókł się tutaj wczoraj wieczorem. Spotkał anioły, a one przekazały mu wolę Boga! Kto lub co mogło mu teraz stanąć na przeszkodzie?

Przykro mi, księże Andrzeju, ale twoja metafizyczna noc ciemna jeszcze się na dobre nie zaczęła. Właściwy czas próby dopiero się zbliżał. Trzeba ci było lepiej uważać na zajęciach z teologii i nie przegapić informacji, że zawsze najtrudniejsze do pokonania jest zwątpienie. Kontakt z aniołami istotnie przyprawia człowieka o silne stany euforyczne, ale potem dla równowagi przychodzi ciężki egzystencjalny kac…

Szedłem szybko za nim, niewidzialny i milczący. Byłem sam. Po widzeniu na reducie wolskiej rozdzieliliśmy się i każde z nas ruszyło do własnych zadań. Ja miałem towarzyszyć Andrzejowi, Leokadia Jesice, a Jan Seweryn z Zaleszczukiem śledzili idącą przez historię Polski demoniczną krucjatę dziecięcą pod przewodnictwem Tiny-Aliny. Po każdym wejściu w realność ten pochód gniewnych duchów stawał się liczniejszy i przybierał na sile, ale czym to się zakończy, żadne z nas nie miało ani cienia objawienia. Zatem należało milczeć i robić swoje.

Andrzej wracał do domu zakonnego najprostszą drogą, skręcając w Wolską przy poczcie, następnie mijając dawne zakłady fotograficzne

i szpital wolski. Szedł szybkim krokiem, nienaturalnie wyprostowany, czego nie zauważał. Wszak biblijni prorocy, idąc z objawieniem, chodzili zawsze z wysoko podniesioną głową, więc nie miał okazji zauważyć, że nie może się schylić…

Po niecałym kwadransie ksiądz Andrzej dotarł do furty i zapukał energicznie. Brat furtian zagapił się na niego ze zdziwieniem, ale wpuścił bez słowa. Zaraz jednak się zreflektował i sięgnął po wewnętrzny telefon.

Andrzej w pierwszej chwili ruszył do swojej celi, lecz się rozmyślił. Stanął pośrodku pustego korytarza i postanowił zaczekać na tego, kto wyjdzie mu na spotkanie. Dopiero teraz stwierdził, że czuje się jakoś dziwnie. Doznał lekkiego zawrotu głowy i pomyślał, czy by nie usiąść.

Nadeszli ojciec Edmund z bratem Eligiuszem. Pierwszy uśmiechał się obłudnie, drugi paskudnie. W sumie wypadało docenić szczerość brata Eligiusza. Ojciec Edmund tak bardzo chciał być władczy, surowy i wyniośle pryncypialny, aż zapomniał, że w planie Naczelnego miejsca dla niego już nie ma. Stąd też jego obecność tu i teraz także była zbędna.

Zrobiłem to samo co wcześniej Jan Seweryn i spojrzałem żywemu potępieńcowi w oczy z pustki ponad ramieniem Andrzeja. To w zupełności wystarczyło, aby imitująca twarz ojca Edmunda maska fałszywych uczuć rozpłynęła się jak kiepski makijaż. Wyjrzało spod niej oblicze trupa, niezdolne do jakichkolwiek ruchów mimicznych.

Zauważył to ksiądz Andrzej i nieświadomie wydał wyrok.

– Proszę, odejdź tam, gdzie twoje miejsce – powiedział spokojnie i stanowczo.

Ojciec Edmund odwrócił się na pięcie i poszedł prosto do swojej celi, aby się powiesić. W zasadzie powinien poszukać morza i kamienia młyńskiego do uwiązania na szyi, ale nie należy Pisma interpretować przesadnie dosłownie. Darujcie mi ten cynizm, lecz gdy anioł nie może

okazać empatii, górę biorą stare ludzkie nawyki. Facet był nieodwołalnie stracony i tyle.

Zdezorientowany brat Eligiusz chciał odruchowo podążyć za zwierzchnikiem, ale Andrzej stanowczo przytrzymał go za rękaw habitu.

– Bracie, zastanów się, co się z tobą stało! – zawołał z charyzmą, jakiej nikt dotąd u niego nie widział.

– A niby co się miało stać? – Brat Eligiusz wzruszył ramionami. Chciał dodać do tego retorycznego pytania jeszcze szyderczy uśmieszek, ale mu nie wyszło. Wezwanie Andrzeja obudziło w nim wyparte wspomnienia: upokarzające próby pokory i bezsensowne szykany, jak choćby zakaz pisania listów do matki, które miały ukształtować jego charakter, a faktycznie zrobiły z niego psychicznego i emocjonalnego kalekę, wyżywającego się na niższych w hierarchii. Żadnych traum seksualnych w seminarium brat Eligiusz akurat nie przeżył, ale w jego przypadku nie trzeba było aż tak wiele. Starczyły praktyki rutynowe. To był kiedyś prosty chłopak o szczerej, bezkrytycznej wierze, którą bez skrupułów wykorzystano do budowy systemu zakonnej organizacji. Poddawał się naciskom z pełnym zaufaniem, aż niepostrzeżenie stał się kimś zupełnie innym. Nie uświadamiał sobie tego aż do tej chwili.

– Czy tego chciałeś, idąc za głosem powołania?

Nie, nie chciał. Zdeprawowano go zupełnie mimochodem, za każdą akceptację podłości nagradzając większą władzą nad nowicjuszami i nigdy nie ganiąc jego małodusznych postępków. Gdyby służył w wojsku, ścigałby koty co najwyżej rok. W zakonie trwało to już ponad dwadzieścia lat. Stał się człowiekiem głupim i złośliwym, pysznym wobec podwładnych i służalczym w stosunku do zwierzchników. Impregnowanym na wszelkie wątpliwości, które po nim spływały. Nikt i nic nie potrafiło poruszyć jego sumienia aż do teraz, gdy spotkał kogoś z autentyczną misją od Boga.

– Czy tak miało być?! – Andrzej podniósł głos o ton wyżej.

Po wypowiedzeniu tych słów przestały działać leki, które zażył przed wyjściem. Nagły ból i żar eksplodowały w jego głowie i zawirowały szaleńczo, odbierając mu kontrolę nad ciałem i umysłem. By nie upaść, uwiesił się całym ciężarem na zdumionym bracie Eligiuszu. Ten go jednak nie podtrzymał i ksiądz Andrzej runął na wznak.

– Co się ze mną dzieje? – wyszeptał.

Teraz mogłem na chwilę pozwolić, aby znów mógł mnie widzieć i słyszeć. Przykląkłem i pochyliłem się nad nim głęboko, aż do naruszenia fizycznych praw równowagi. Musiałem tak postąpić, gdyż Andrzej nie mógł przekręcić głowy, miał całkowicie sztywną szyję i w tej pozycji był w stanie patrzeć jedynie pionowo w górę.

– Masz ciężkie zapalenie opon mózgowych o galopującym przebiegu – powiedziałem ze współczuciem. Jemu mogłem współczuć i szczerze mnie to cieszyło.

– Jak to…? – jęknął.

– Zaraziłeś się wyjątkowo zjadliwym szczepem meningokoków, kiedy czyściłeś buty z psich odchodów. Pamiętasz tę kroplę nieczystości, która prysła ci w oko?

– Tak…

– Zanim je przemyłeś, bakterie spłynęły już kanałem łzowym do nosa. Gdy ojciec Edmund uderzył cię w twarz, nastąpiło drobne pęknięcie śluzówki, przez które mikroby zainfekowały jeden z nerwów węchowych biegnących prosto do mózgu. Po drodze napotkały jeszcze jeden mikrouraz po spoliczkowaniu i tak zaczęło się zakażenie. Stres, w którym byłeś, obniżył twoją odporność. Choroba zaczęła rozwijać się tej nocy. Jej przebieg będzie bardzo ciężki, zaraz nastąpi sepsa.

– Ja umrę…? – Pobladł mocno.

– Nie, Andrzeju, nie umrzesz. Tyle mogę ci obiecać. Tylko tyle – podkreśliłem z naciskiem.

– Co chcesz… mi… przez… to powiedzieć…? – Zmobilizował jeszcze resztki gasnącej inteligencji.

– Powiedzą ci, że nie widziałeś żadnych aniołów, że to były majaczenia w chorobowej malignie.

Nie zdołał odpowiedzieć. Odpływał.

– I sam będziesz musiał rozstrzygnąć, w co wierzysz – dokończyłem wypowiedź do nieprzytomnego Andrzeja, który już mnie nie słyszał.

Brat Eligiusz mnie nie widział, ale pozwoliłem mu wyraźnie czuć moją obecność. Powinien był natychmiast wezwać pogotowie, jednak on zawsze we wszystkim musiał najpierw poradzić się przełożonych i poprosić ich o pozwolenie. Pójdzie więc najpierw do celi ojca Edmunda i zastanie tam wisielca na klamce. Z wrażenia zapomni o Andrzeju i pobiegnie do następnego w tutejszej hierarchii, czyli ojca Wincentego. W tym czasie dwóch nowicjuszy przypadkowo znajdzie Andrzeja na korytarzu i w dobrej wierze odniosą go do jego celi, a następnie pójdą powiadomić o zasłabnięciu konfratra zwierzchników, którzy mając na głowie znacznie poważniejszy kłopot, natychmiast odeślą ich do cel i kategorycznie zabronią stamtąd wychodzić aż do odwołania. O Andrzeju wszyscy przypomną sobie dopiero wtedy, gdy sepsa poczyni już nieodwracalne szkody…

I dlatego właśnie, jakby się kto pytał, byłem tu ja.

– Dzwoń natychmiast po lekarza! – huknąłem w głowie brata Eligiusza z taką energią i stanowczością, że ten z miejsca popędził do furty. Machinalna reakcja na rozkaz była szybsza od namysłu, kto go właściwie wydał.

Zreflektował się dopiero w drodze powrotnej, ale nowy ciąg przyczynowo-skutkowy, będący rezultatem mojej ingerencji, już się bezpiecznie utrwalił. Eligiusz stanął nad nieprzytomnym Andrzejem i zaczął deliberować, czy zaczekać przy nim na pogotowie, czy zawiadomić ojca Edmunda. Jałowo roztrząsał ten dylemat, aż nadeszło tych dwu nowicjuszy i to im polecił zostać przy Andrzeju do czasu przyjazdu karetki, a sam ruszył zawiadomić przełożonego.

Drzwi celi nie były zamknięte na klucz, ale ich otwarcie wymagało dużego wysiłku. Trzeba było bowiem wyholować na korytarz przywiązane za szyję stułą do klamki zwłoki ojca Edmunda. Okrakiem na piersiach martwego redemptorysty siedziała Piekarka w postaci spieczonej mumii. Nie chciała czekać, aż dusza samobójcy całkiem wyjdzie z ciała, tylko od razu z początkiem agonii wpiła się w jego umysł i zaczęła nasycać go swoimi wspomnieniami ognia i bólu.

Brat Eligiusz, otworzywszy drzwi, zobaczył ich oboje. Trupa w pełni świadomie, natomiast Piekarkę tak, jak zwykle ludzie widują demony, czyli na zasadzie ślepego widzenia, kiedy to się nie wie, że się coś widzi, ale odczuwa wszystkie emocjonalne skutki tego widoku. Stąd tak częste uczucie grozy i szok w miejscach nagłej śmierci.

Zakonnik wydał z siebie nieartykułowany jęk, szarpnął się do tyłu i wywalił jak długi. Niewiele brakowało, a wyrżnąłby potylicą o podłogę tak mocno, że straciłby przytomność i wtedy Piekarka dobrałaby się także do niego. Wprawdzie tylko na chwilę, ale wystarczyłoby tego na trwałą obsesję wiecznego potępienia. Własna wola Eligiusza w tej chwili nie działała, więc na ułamek sekundy wskoczyłem w jego ciało i zmusiłem mięśnie do wykonania prawidłowego padu na plecy. Upadek na chwilę odebrał mu dech, ale nie pozbawił go przytomności. Eligiusz poderwał się,

kilka metrów uciekał tyłem na siedząco, po czym wrzeszcząc i zawodząc przeraźliwie, zawiadomił już dokładnie cały klasztor.

To się właśnie nazywa pandemonium.

Wraz z wejściem lekarza pogotowia i sanitariusza, na korytarzu pojawiła się Klimaszewska w stroju zakonnicy i histerycznie wykrzyczała do przybyłych, że ten tutaj, czyli ksiądz Andrzej, tylko zemdlał, a tam trzeba reanimować! Rzecz jasna wszyscy od razu pobiegli nieść pomoc bardziej potrzebującemu i nikt nie zastanowił się, skąd właściwie wzięła się zakonnica w męskim domu zakonnym. To tyle tytułem wyjaśnienia, dlaczego w miejscach dramatycznych wydarzeń nagle pojawiają się jacyś dziwni ludzie, którzy nie wiadomo skąd się wzięli ani dokąd się potem udali. Znaczy anioły wiedzą to dobrze…

Musiałem teraz szybko odkręcić ten pasztet, gdyż pod wpływem demonicznej sugestii lekarz pogotowia, doktor Jan Raciborski, lat czterdzieści osiem, dwoje dzieci, po jednym z byłą i aktualną żoną, imiona nieważne, był bliski uznania, że ojciec Edmund nadaje się jeszcze do reanimacji i wszystko zmierzało ku temu, że karetka wyjedzie stąd z trupem, zostawiając Andrzeja bez pomocy.

Zdjęto wisielczą pętlę i medyk zaświecił małą latarką w oczy zakonnika, wypatrując reakcji źrenic. I zobaczyłby ją, a właściwie wydawałoby mu się, że ją widzi, gdyby Klimaszewska była przy nim sama.

„Śmierć mózgu!”, powiedziałem głośno i wyraźnie w głowie lekarza w chwili, gdy podejmował decyzję.

Klimaszewska dopiero teraz spostrzegła moją obecność i zasyczała z iście gadzią złością. Tylko tyle mogła zrobić, gdyż tym razem, jako pełniący obowiązki Anioła Stróża, miałem całkowity immunitet na wypadek ataku demona. Ona zresztą nie traciła czasu na próbę przekazania mi swoich wspomnień, tylko sama wepchnęła się w głowę

lekarza, usiłując wmówić mu przeciwną diagnozę, ale skutek tego był taki, że wobec nagłych wątpliwości ten człowiek uruchomił własną wolną wolę i oboje straciliśmy na niego wszelki wpływ. Ostateczna decyzja była zgodna z prawdą, czyli taka, jak mówiłem.

– Tu już nic nie poradzimy! Stwierdzam zgon – oznajmił głośno doktor i spojrzał na zegarek. – Zobaczmy teraz, co z tym drugim…

Dodajmy dla ścisłości, że rozmowa Andrzeja z bratem Eligiuszem trwała na tyle krótko, że ojciec Edmund faktycznie byłby jeszcze do odratowania, gdyby Piekarka go nie dobiła. Zakonnik nie umarł z powodu uduszenia, ale ze strachu tak silnego, że nastąpił jednoczesny zawał serca i mózgu. Podobnie mają samobójcy skaczący z dużej wysokości, zanim dolecą do ziemi.

Tymczasem przypadek Andrzeja wciąż uważano za zwykłe omdlenie na widok wisielca i zaczęto go cucić przez energiczne poklepywanie po twarzy, potem podając mu tlen. Chory jeszcze nie miał na tyle wysokiej gorączki, żeby wzbudziło to podejrzenia, a Klimaszewska znów wcisnęła się w umysł lekarza i intensywnie bagatelizowała pomysł użycia termometru. Powiem szczerze, że gdybym nie był aniołem, tobym teraz zaczął kląć jak szewc! Przecież skoro ten łapiduch przed chwilą podejmował w pełni samodzielne decyzje, to powinien postępować tak dalej, ale nie, gdzie tam! Po jednym przebłysku świadomości wypalony rutyniarz znowu natychmiast zasnął na jawie i dalsze medyczne procedury wykonywał bezmyślnie jak lunatyk, ku radości Klimaszewskiej.

Nie byłem lekarzem, ale za to mogłem na bieżąco konsultować się z Duchem Świętym. Otrzymałem stosowne objawienie i nie pozwoliłem, aby sanitariusz podający Andrzejowi tlen zbagatelizował niezwykłą sztywność karku pacjenta, która nie pozwalała wygodnie ułożyć jego głowy. Nakłoniłem tego człowieka, żeby powiedział to głośno i nareszcie

w mózgu pana doktora Raciborskiego zapaliło się właściwe światełko. Przyjrzał się lepiej i zobaczył na szyi chorego pierwsze podskórne wybroczyny.

– Uderzeniowa dawka penicyliny, kroplówka i na OIOM! – poinstruował pomocnika. – Obawiam się, że muszę zarządzić tu kwarantannę – oznajmił na widok nadchodzącego ojca Wincentego. – Podejrzewam poważną chorobę zakaźną.

Klimaszewska już wisiała na ramieniu aktualnego kierownika tego, za przeproszeniem, ośrodka życia konsekrowanego. Tym razem nie było manipulacji. Zakonnik dobrze ją widział, słyszał i bez wahania przyjmował jej rady, dzięki czemu mógł szybko wykazać się przebłyskiem iście demonicznego geniuszu.

– Myślę, że należałoby także sprawdzić miejsce, w którym ksiądz Andrzej przebywał ostatnio – oznajmił.

– Tak oczywiście, proszę ojca, zrobimy to. Czy mogę prosić o adres? – lekarz zareagował w sposób racjonalny i właściwy, więc nie miałem nic do gadania. – Poproszę też ojca o wszystkie informacje, które mogą mieć znaczenie dla lokalizacji ogniska zakażenia…

– Jeden z młodszych braci wskaże panom drogę – powiedział wyniośle ojciec Wincenty, po czym bez skrupułów, acz z obłudną troską, zniżając głos do scenicznego szeptu, by dobrze słyszeli go wszyscy świadkowie, obmówił księdza Andrzeja, że ów właśnie wrócił od kochanki, do której już od jakiegoś czasu regularnie wymykał się na noc, i najpewniej stamtąd przywlókł zarazę. Jej ofiarą padł ojciec Edmund, który niewątpliwie targnął się na swoje życie, będąc w stanie psychozy wywołanej infekcją mózgu, czemu sprzyjała też ogólna nadwrażliwość czcigodnego zmarłego na niegodne postępki bliźnich. Ta teoria została wstępnie przyjęta i miała wszelkie szanse zwyciężyć w tajnym plebiscycie na oficjalne wyjaśnienie.

Przyjechała druga karetka, policja oraz sanepid. Ci ostatni przyjęli z góry milczące założenie, że w tak świątobliwym przybytku żadne złe bakterie rozgościć się nie mogły. Co najwyżej *Serratia marcescens*, czyli pałeczka krwawa, odpowiedzialna za krwawienie hostii, drewnianych rzeźb i malowanych na deskach obrazów. Bratu Eligiuszowi, pod moim wpływem, zaświtała myśl, że wszystko mogło się zacząć od wniesienia zapaskudzonych butów. Był to zresztą jego pomysł, ma się rozumieć, zrealizowany za przyzwoleniem zwierzchników, aby poddać Andrzeja właśnie takiej próbie pokory. Jednak główny dostawca meningokoków do odpowiedzialności ani wyrzutów sumienia się nie poczuwał i twardo trzymał język za zębami. Przezornie postanowił jedynie samemu nie korzystać z ubikacji, w której doszło do zakażenia.

Przekazałem Leokadii wiadomość, że niebawem znów będą mieć na Płockiej nieproszonych gości, których tym razem nie da się spławić. Odpowiedziała mi, że to już wie, ale teraz ma na aureoli znacznie większy problem niż ja tutaj, ponieważ Jesika właśnie zaćpała, a dokładniej mówiąc, przykwasiła. Nasza droga kandydatka do roli mitycznej Sawy, pomijając zbędne szczegóły teologiczne, chciała znów zobaczyć anioły…

Typowy skutek braku wiary. Kiedy nieszczęsna dziewczyna została w domu sama z własnymi myślami, wątpliwościami, tęsknotą i lękami, z miejsca kompletnie posypała się psychicznie. Już nie tylko nas, ale i samego Andrzeja zracjonalizowała sobie jako ponarkotyczny *flashback i* pogodziła się z tym całkowicie. No przecież to całkiem nieprawdopodobne, żeby facet, który porzucił ją osiem lat temu i nie utrzymywał z potem nią kontaktu, nagle pojawił się u niej w domu, ot tak! Na dodatek jako ksiądz pełen chęci budowania trwałego i owocnego związku. Jak nic musiała sobie to wszystko wymyślić, a więc kompletnie jej odbiło, ale w sumie to był fajny odlot, więc niechaj trwa, nie ma sensu dalej żyć na jawie! Następnym

krokiem była totalna autodestrukcja. Jesika wyciągnęła odłożone na planowaną imprezę z przyjaciółkami pięć działek LSD, dla większego kopa doprawionego mączką ze sporyszu, i nakleiła sobie na wierzch i spód języka od razu dwa znaczki z wizerunkiem jadącego na rowerze Alberta Hofmanna.

Dobrze, że nie mam piór, boby mi teraz opadły!

Leokadia próbowała podsuwać jej pozytywne myśli, ale te Jesika wyparła. Jedyną skuteczną formą perswazji byłoby w tym przypadku złamanie wolnej woli i przejście na sterowanie ręczne, ale na pozytywne opętanie zgody Naczelnego nie dostaliśmy. Leokadia musiała odpuścić sobie apele do wyższych uczuć podopiecznej. Tym bardziej że miała przy niej ręce pełne roboty, bo podróż Jesiki była bardzo zła. Korzystając z psychodelicznego delirium, w jej umysł pchało się z powrotem całe zaświatowe tałatajstwo, któreśmy wcześniej wygruzili z jej mieszkania, wspierane przez wszystkich piekielnych krewnych i znajomych. Nalot ptaków Hitchcocka, szarańczy, maszkar z obrazów Boscha oraz nietoperzy wampirów w jednym. Nawet serafin ledwie nadążał z rozganianiem tego Halloween. W tych warunkach najazd policji i sanepidu przekroczył już możliwości opatrznościowego działania Leokadii.

Pogiąłem przestrzeń, żeby się bilokować i zjawiłem się w samą porę, by doradzić jej niezwłoczne spuszczenie w toalecie pozostałych trzech znaczków z narkotykiem. Leokadia jako telekinetyczka w przeciwieństwie do mnie nie miała z tym żadnego problemu. W efekcie Jesika po wyjściu ze szpitala nie poszła siedzieć za posiadanie, do którego policja z prokuratorem, podbechtanym przez Klimaszewską, przyklepaliby jej jeszcze dilerkę.

Lekarz wszedł przez wyważone drzwi w samą porę. Psychoza po LSD poszła wprawdzie na konto meningokoków i Jesika niepotrzebnie dostała

antybiotyki, ale za to zaraz po nich bardzo przydały się leki rozkurczowe, które uchroniły ją przed martwicą i utratą palców dłoni wskutek zaciśnięcia tętnic pod wpływem działania surowego sporyszu.

Nawiasem mówiąc, prawdziwej infekcji meningokokami, gdyby do niej doszło, Jesika by nie przeżyła. Półtora roku temu przechodziła anginę, która osłabiła jej serce na tyle, że teraz nie oparłoby się ono ostremu atakowi sepsy. Zakażenie zaś nie nastąpiło dlatego, że Andrzej ani razu nie pocałował jej w usta. Wymiana śliny oznaczałaby dla niej wyrok śmierci.

Zatem ich skórę udało nam się uratować, ale nic więcej. Jesika i Andrzej zostali rozdzieleni. Ona wylądowała całkiem niedaleko, w szpitalu zakaźnym przy Wolskiej. On trafił najpierw na oddział intensywnej terapii na Banacha, potem władze zakonne przeniosły go na bezterminową rekonwalescencję w przytulnym klauzurowym klasztorku pod Warszawą, niedaleko Konstancina. Wszyscy, którzy mogli udzielić informacji o miejscu pobytu księdza Andrzeja, otrzymali dyspensę na nieograniczone wprowadzanie w błąd, gdyby przypadkiem o to pytała młoda kobieta.

XIX. Zemsta

Posługaczka dostała w twarz za zmarnowanie mleka.

– Mówiłam jej, żeby mi tego zdechlaka nie karmiła?! Mówiłam jej czy nie?!

– Dyć głodne…

Dostała jeszcze raz.

– U mnie służysz, wywłoko, to mnie masz słuchać, a nie, to poszła won zarabiać na rogu!

– Może i tak byłoby lepiej… – burknęła dziewczyna, masując stłuczony policzek.

– Taaak? – Gospodyni, tęga, pięćdziesięcioletnia kobieta o twarzy sinej z chronicznego przepicia, prowokacyjnie założyła ręce na piersiach. – To jeszcze nic straconego i zanim się obejrzysz, do mnie wrócisz, kiedy ci klienty znów bachora zmalują.

Dziewczyna pociągnęła nosem i nic już nie odpowiedziała, żeby zająć czymś ręce, zaczęła bez sensu poprawiać na wpół zgniłe posłanie w pierwszej z brzegu kołysce. Wszystkich było czternaście, stały w mrocznej izbie oświetlonej dwoma żółtymi płomykami gazu, pełgającymi na końcach odgałęzień biegnącej pod sufitem rury. Ledwie dawało się tu oddychać. Okien z zasady nie otwierano, żeby niekończący się płacz nie zwrócił uwagi jakiegoś wścibskiego przechodnia. Teraz zresztą żadne z niemowląt nie kwiliło. W większości nie miały już na to siły, trzy

najhałaśliwsze skutecznie uciszyło wąchanie gazu nad zgaszonym palnikiem. Gospodyni omiotła wzrokiem posłania i podeszła do jednego.

– O te już dochodzi – pokazała. – Te mi szybko nakarm, jakeś taka chętna!

Dziewczyna spojrzała na obciągnięty łuszczącą się skórą szkielecik i wzruszyła ramionami.

– A co to da?

– Jemu już nic, ale jak go dochtory rozetną i mleko w kiszkach zobaczą, to nie będą się czepiać, że zagłodzone. Szkoda tego mleka, kiedyś na to starczyła woda z rozrobioną kredą, ale teraz dochtory się zrobiły cwane i koszty przez to rosną… – użaliła się nad swoją stratą.

Pomocnica wzięła konające niemowlę na kolana i sięgnęła po butelkę z mlekiem, z powodu której była cała awantura.

– Nie ma już siły łykać – oznajmiła po chwili.

– A to trzeba prędko przez rurkę i lejek! – zaniepokoiła się gospodyni. – Daj, ja zrobię, bo ty niewprawna, jeszcze do płuc wetkniesz!

Dziewczyna oddała półtrupka z nieukrywaną ulgą. Służyła tu dopiero od tygodnia i jeszcze nie zdążyła przywyknąć. Szefowa nie taiła przed nią żadnych ponurych szczegółów tego fachu, starając się jak najszybciej złamać i wykorzenić wszelkie skrupuły adeptki. Jej lojalności była z góry pewna, gdyż osiemnastoletnią Leontynę Albertowicz, pannę pokojową, zwolnioną ze służby u państwa Mioduskich za niemoralne prowadzenia się, przyłapano na spędzaniu płodu, tuż po zabiegu, za co groziło kilkanaście lat katorgi. Mówiąc dokładniej, groziłoby, gdyby policyjny nalot na mieszkanie akuszerki Gajewskiej, akurat w fatalnej chwili, nie był umówiony zawczasu z zaprzyjaźnionymi stójkowymi, ale tego Leośka nie wiedziała. Marianna Kopas, właścicielka firmy oficjalnie w księgach miejskich zapisanej jako prywatny przytułek dla podrzutków, potrzebowała

pewnej i posłusznej pomocnicy. Gajewska wraz ze swoim patronem z cyrkułu załatwili tę koleżeńską przysługę od ręki. Kłopot polegał na tym, że głupia dziewucha, choć nie miała innego wyjścia, ciągle jeszcze się narowiła.

– I czemu to tak…? – zaprotestowała znowu. – Przecież te maluśkie niczemu niewinne. Za co je tak powoli mordować?

– Żyć trzeba! – ucięła gospodyni. – A ty uważaj, co gadasz, bo jeszcze się wygadasz i obie na Sybirze skończymy! Sama święta nie jesteś!

– A bo mnie jednak czegoś żal…

– Boś młoda i głupia! Przyjdzie czas, to zmądrzejesz. Mówię ci, że żyć trzeba. No i doszedł… – Spojrzała na znieruchomiałe ciałko. – Jeden aniołek więcej – stwierdziła bez emocji. Zawinęła zwłoki w gałgan i odłożyła z powrotem do kołyski.

Pomocnica fabrykantki aniołków przeżegnała się nieznacznie.

– Rano pójdziesz do cyrkułu na Chłodną dać znać, że nam tu kolejne na gorączkę pomarło – rozkazała szefowa. – Tylko, pamiętaj, o jaśnie wielmożnego policmajstra Marczuka wpierw pytaj, niech on do protokołu co i jak spisuje, bo z kim innym może być kłopot.

– Wódki byście dali! – burknęła dziewczyna, wyraźnie pogodzona z losem.

Szefowa spojrzała na nią łaskawiej.

– Dobrze, idź no po flaszkę.

Niedługo potem usiadły obie przy stole, gospodyni nalała i przepiła do młodszej towarzyszki.

– Za interes!

– Niech będzie, że za interes… – odparła tamta bez entuzjazmu.

Wypiły, odsapnęły i przekąsiły kawałkami osolonego chleba.

– Chleb swój, jaki by nie był, szanować trzeba! – udobruchanej szefowej zebrało się na kazanie. – A ty, Leośka, durna jesteś, że tego ciągle zrozumieć nie chcesz. Wszyscy swoje wiedzą i swoje robią, a ty jedna w koło Macieju mantykować będziesz?

– A bo jednak to czegoś nie po bożemu…

– Głupiaś, mówię! Jakby pan Bóg chciał lepszy świat stworzyć, toby stworzył. Tobie tylko na nim żyć, nic tu nie poradzisz. Jakeś taka mądra, to powiedz tym wielkim paniom, żeby swoje bachory własnymi cyckami karmiły. Powiesz im?

– O wa! Jeszcze by mnie posłuchały!

– Wreszcie dobrze mówisz, Leośka! Hrabinie karmić nie chcą, żeby im się cycki od tego nie wyciągli, bo wtedy panowie hrabiowie macać je przestaną. No to potrzebują mamek. No, a skąd mleko u mamki? Toć ona najpierw musi brzucha dostać, z czym jest żaden kłopot, ale potem z własnym dzieciakiem jej na służbę nie przyjmą, bo ona cudze ma karmić, nie swoje.

– Ale wy matkom mówicie, że bierzecie je na chowanie…

– Ano na chowanie! – parsknęła śmiechem fabrykantka aniołków, nalewając drugą kolejkę. – My firma solidna, jak mówimy, tak i robimy! Chowamy je przecie raz, dwa! – zarechotała paskudnie. – Toć weźże to, Leośka, na rozum! Kto te przypłodki wykarmi, skoro im rodzona mać nie daje jeść, bo z tego żyje, że własne cycki z mlekiem innym sprzedaje? W każdej pańskiej kamienicy mamkę zatrudniają, a bywa, że trzy i więcej. Rodzone dzieciaki tych mamek idą do nas. Potem, jak się której mleko skończy, trzeba robić nowego bachora i tak znowu, i znowu. A tu jeszcze każda uliczna panna co i raz zaciąży, a w porę tego nie wydłubie, te artystki z teatrów też co rusz brzuchy łapią. Toć sama widzisz, Leośka, ile nam tu tego bachorstwa znoszą dzień w dzień. Skąd by się nastarczyło żarcia dla

tylu gąb, jakby toto bardziej podrosło? Istna szarańcza! Więc im szybciej każde ducha wyzionie, tym dla wszystkich lepiej. Taka prawda i wszyscy to wiedzą. I policmajstry, i dochtory, i prałaty, i nic im to nie wadzi, bo sami korzyść mają. Matki też zadowolone, bo kłopot z głowy i płacić więcej nie muszą. Tylko na ciebie i na mnie, jakby nam się kiedy noga powinęła, zaraz w gazetach huzia na Józia! A gdyby nie my, to oni wszyscy sami musieliby te bachory własnymi rękami dusić i topić, więc i nam szacunek jakiś się należy!

– Ja nie wiem… – pokręciła głową pomocnica.

– Boś głupia! – ucięła zirytowana gospodyni. – Gadajże do takiej jak do obrazu! Myślisz, że to twoje, co ci je ten jaśnie paniczyk zmalował, gdybyś je urodziła, to mogłabyś potem sama chować? Panny z bachorem nikt na służbę nie weźmie, z głowy sobie wybij! To nie po bożemu, zgorszenie wielkie by było. No to jakbyś wtedy na siebie i tego swojego przypłodka zarobiła, ha? Musiałabyś go tak czy siak do przytułku oddać. Mojego albo i nie mojego, bez różnicy. I tak by zaraz toto do aniołków poszło…

– Jakby samo zachorzało i pomarło. – Dziewczyna zacięła usta. – To widać taka wola Boża.

– A to niby my co innego gadamy?! – Szefowa wzruszyła ramionami. – Każdej jednej mówimy, że gorączka jej bachora umorzyła…

Zapadła chwila ciężkiego milczenia.

– Jednym życie, innym śmierć pisana – powiedziała z przekonaniem fabrykantka aniołków. – Tak to już jest!

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Kogo o tej porze czorty niosą? – syknęła gospodyni. – Idź, Leośka, otwórz i zobacz!

Pomocnica zrobiła, co jej kazano, i stanęła niezdolna wykrztusić słowa.

– No co tam?! – zniecierpliwiona szefowa odwróciła się do drzwi, po czym wstała powoli, nie dowierzając własnym oczom.

Przeciąg idący od otwartych drzwi zgasił jeden z dwóch gazowych płomyków oświetlających przytułek. Żadna z zaaferowanych kobiet tego nie spostrzegła. Wpatrywały się w swojego gościa.

Na progu domu stała dziewczynka o oczach jak dwie studnie, na których dnie połyskiwał rozżarzony metal.

– A ty co za jedna? Czego to się po nocy szwenda?! – zapytała oschle gospodyni. – Zgubiła się czy co?

Mała pokręciła przecząco głową.

– To na coś tu przyszła?!

– Na chowanie – odpowiedziała Tina-Alina i weszła do środka.

Fabrykantka aniołków zatoczyła się do tyłu, jak uderzona w brzuch. Próbowała odzyskać równowagę, ale w następnej chwili ugięły się pod nią nogi i padła na kolana, a potem na plecy, mimowolnie rozkraczając się jak do porodu. Brzuch gospodyni wezbrał gwałtownie i zaczął powiększać się w oczach jak rosnąca w przyspieszonym tempie drożdżowa baba.

– Co to?! – stęknęła przerażona kobieta. – Co się ze mną dzieje?!!

– Moje, moje, moje… – zanuciła cichutko Tina-Alina.

Marianna Kopas urodziła pierwszego porońca. Demonek wylazł jej spod spódnicy, zamachał nietoperzymi skrzydłami, wzleciał, zakołował w izbie, wczepił się we włosy Tiny-Aliny i znikł gdzieś pod nimi. Za moment narodziły się dwa następne, a brzuch fabrykantki aniołków robił się coraz większy i większy.

Jej pomocnica nie próbowała uciekać ani krzyczeć. Oparła się o ścianę i bezwładnie osunęła na podłogę. Oślepła, w momencie gdy Tina-Alina spojrzała jej w oczy. Ostatnią świadomą myślą Leontyny Albertowicz było, że zobaczyła bazyliszka. Potem umysł nieszczęsnej dziewczyny stracił

kontrolę nad ciałem i rozpadł się na drobne kawałki. Królowa Porońców podeszła, oburącz chwyciła byłą pokojówkę za szyję, wydarła z niej duszę, zmięła ją w kulkę i zaczęła zjadać z błogim, dziecinnym uśmiechem, wyobrażając sobie, że to wata cukrowa.

Tymczasem Marianna Kopas rodziła dalej. Stała się bramą, przez którą wracały dusze, usunięte przez nią z tego świata. Tłoczące się porońce szybko przestały mieścić się w jej drogach rodnych. Rozerwały więc pochwę, miednicę i brzuch aż po mostek, a chwilę później pod naciskiem skłębionej, czarnej masy eksplodowała klatka piersiowa, aż rozprostowały się żebra. Kolejna struga porońców wyleciała ustami kobiety, inne wypchnęły oczy i jeden po drugim wypełzały z oczodołów.

Nad rozszarpanym ciałem fabrykantki aniołków utworzyła się wirująca czarna kolumna, która przeniknęła przed sufit i rosła wyżej i wyżej, niedostrzegalna dla ludzkich oczu. Natomiast ulatniający się ze zgaszonego palnika gaz świetlny gromadził się pod stropem i łączył z powietrzem, a chmura wybuchowej mieszaniny nieuchronnie zbliżała się do palącego się jeszcze płomyka…

Stało nas dwóch anielskich świadków na rogu Grzybowskiej i Chłodnej, przed domem, w którym rozgrywała się demoniczna wróżba. Każdy z nas widział rzeczy, które zdolny był pojąć. Towarzysz Zaleszczuk, choć sam nie dostrzegał tu ani jednego porońca, obszernie objaśnił mi, urodzonemu dwa wieki wcześniej, co to jest oświetlenie gazowe i jakie groźby niesie ze sobą ów przemysł. Ponadto rozwodził się solennie oraz z wielką biegłością wykładał mi, że za zaistniały stan stosunków społecznych odpowiada burżuazyjny wyzysk człowieka przez człowieka, brak świadomości klasowej, socjalistycznego rządu oraz obskurantyzm kleru. Może i tak. Nie znam się, więc i przeczyć nie będę. Żal tylko, że znów przyszło mi na zagładę niewinnych istot patrzeć.

Niepoczciwa Marianna Kopas miała rację w jednym. Żadnemu z dzieci oddanych jej „na chowanie” nie było przeznaczone żyć. Nie było dla nich miejsca nigdzie na tym świecie, w tej epoce, którą z czasem nazwą po francusku *belle époque*, czyli piękną, i będą za nią serdecznie tęsknić, czytając w gazetach doniesienia z frontów pierwszej wojny światowej.

Żółte światło błysnęło w oknach domu. Wybuch gazu nie był głośny ani zbyt silny, ale wystarczył, by dach runął do środka, grzebiąc żywych i martwych. Potem wybuchł pożar podsycany przez gaz z uszkodzonej instalacji. Nikt nie dopatrzył się na miejscu wypadku niczego nienaturalnego. Dziwne było tylko, że trupa właścicielki ani jej samej żywej nigdy nie odnaleziono.

Tina-Alina jeszcze nie załatwiła tutaj wszystkiego. Uporawszy się z przytułkiem, wraz z całym orszakiem ruszyła w stronę Towarowej. Wzdłuż tej ulicy, od rogatki Jerozolimskiej, ciągnął się rów długości trzystu kroków. Kiedyś był korytem rzeki Drny, potem fosą okopów marszałka Lubomirskiego, a teraz zatęchłym, cuchnącym ściekiem, do którego spływały rynsztoki aż z ulicy Marszałkowskiej. Dziwnym było mi wspomnienie, że w tym miejscu budziłem się do anielskiego życia i po powierzchni tej bryi kiedyś stąpać mogłem …

Królowa Porońców zatrzymała się na brzegu czarnej wody i wyciągnęła ponad nią ręce. Myślałem, że mała mścicielka chce, by ta posoka się przed nią rozstąpiła, ale jej szło o to, aby wydała, co w niej ukryto.

– Moje, moje, moje… – zanuciła znowu.

Smrodliwa toń zawrzała, jak okiem sięgnąć, jakby nagle cały gaz bagienny ujść z niej zamierzał. Na powierzchni zamigotały dziesiątki błędnych ogni. Nikt z okolicznych mieszkańców jednak nie patrzył na owe zjawisko, skoro opodal płonął dom i czerwony kur mógł w każdej chwili na sąsiednie dachy przeskoczyć.

– Moje, moje, moje! – wołała Tina-Alina.

Na brzeg zaczęły wypełzać wszystkie skrycie urodzone i chyłkiem tu potopione płody. U stóp swej królowej przemieniały się w porońce. Z nocnego nieba spłynęła piszcząca chmara tych, które uleciały wpierw z płonącego przytułku, a teraz utworzyły u ramion tej strasznej dzieweczki coś na kształt łopoczącego czarnego płaszcza, długości tuzina sążni. U jej boku stanęły białe widma dziatek pomarłych już po swoim narodzeniu, które wiodły ze sobą potępieńców pojmanych wraz z duszą i ciałem w minionych czasach. Zaraz też przywleczono wypatroszoną, oślepioną oraz opaloną, lecz wciąż żywą i czującą Mariannę Kopas. Dusza jej, zewsząd popychana i pociągana, trafiła na swoje miejsce w korowodzie.

Tina-Alina zebrała już całą armię.

XX. Kwestia wiary

Zaprawdę powiadam wam, posada Anioła Stróża to robota na trzy i pół etatu!

Nie mogłem odejść od Andrzeja ani na chwilę, boby mi go zaraz zabili. Oczywiście bez premedytacji i złej woli, przysięga Hipokratesa i Florence Nightingale obowiązuje! Wszystko wyłącznie przez niedopatrzenie, pomyłkę, brak uwagi, rozkojarzenie, zmęczenie, bezmyślność, rutynę i tak dalej w ten deseń. Słowem, miałem tu anielskie urwanie głowy!

Właśnie przed chwilą musiałem w trybie pilnym nakłaniać do autorefleksji pielęgniarkę, która choremu na zapalenie opon mózgowych powikłane sepsą, czyli potrzebującemu dosłownie każdej białej krwinki, chciała podać immunosupresant przewidziany dla pacjenta po przeszczepie nerki. Dlaczego? Łańcuszek nieporozumień był bardzo subtelny. Najpierw ktoś nagryzmolił coś typowo lekarskim pismem, na oko mało różniącym się od znaków chińskich, potem osoba, która wiedziała, jak toto odszyfrować, poszła na siusiu, a jej chwilowe zastępstwo skonsultowało się z kimś, kto myślał akurat o czymś innym, i tak się wszystko rozmyło, że bezpośredniej wykonawczyni lek wydano jako sprawdzony i zatwierdzony – można nie myśleć, tylko podłączać pod wenflon. Potem powyższy ciąg przyczynowo-skutkowy mozolnie odtwarzałaby komisja do spraw błędów lekarskich, której największym zmartwieniem byłoby nie zaszkodzić zbytnio koledze po fachu.

Innymi słowy, Klimaszewska nie odpuszczała. Po przywiezieniu do szpitala, zamiast na intensywnej terapii, chcieli mi nieboraka położyć na zwykłej obserwacji, bo lekarzowi, który zlecił OIOM, wydało się to tak oczywiste, że całkiem wyszło mu z głowy, aby przekazać tę informację dalej. Sanitariusz zaś pamiętał, ale w nagłym przypływie małostkowości uznał, że to nie jego sprawa i nie jest mądrze pouczać lekarzy. Potem ktoś w laboratorium pomylił posiewy i wyszło, że Andrzej ma tak zaawansowaną wściekliznę, że kwalifikuje się do hospicjum, co już nawet zaczęto załatwiać. Wścieklizny to ja bym wtedy dostał, gdybym żył, szczęśliwie dla zainteresowanych anioły mają dużo cierpliwości. Naprawdę mi się ona przydała, bo nakręcane przez demony zamieszanie w procedurach medycznych wciąż rosło. Akurat kiedy wylewy podskórne ruszały na całego, jakiś bałwan chciał wstrzyknąć mojemu księżykowi preparat obniżający krzepliwość krwi, który miał dostać zagipsowany pacjent obok, żeby w unieruchomionych kończynach nie utworzyły się groźne dla życia skrzepy. Andrzej po czymś takim w kwadrans wykrwawiłby się śmiertelnie do jam ciała. W sumie byłyby dwa trupy, bo u tego drugiego zakrzep był już w drodze, a panowie medycy tak się ze sobą zagadali na tematy damsko-męskie, że każdy wziął nie tę strzykawkę. Na dodatek ten mój łapiduch zafiksował się do tego stopnia, że subtelne wejście w jego myśli nie wystarczyło, musiałem drzeć się tak głośno, że facet uznał, że słyszy głosy, i z miejsca zapisał się na konsultację psychiatryczną.

Anioły widzą konsekwencje faktu przed jego zaistnieniem, więc teoretycznie nie powinno być problemu, ale tu paskudnych zaszłości było tyle, że musiałem non stop działać w stanie maksymalnej koncentracji, by niczego nie przeoczyć. Wokół nieprzytomnego Andrzeja szalał istny tajfun potencjalnie nieszczęśliwych zbiegów okoliczności, a groźne

łańcuchy przyczynowo-skutkowe wiły się wokół jak żmije czy inne kobry…(Widzieliście kiedy anioła fakira?). Zbliżający się do chorego ludzie nagle zaczynali wariować lub zachowywali się jak lunatycy. Trzeba było nieustannie ich budzić i rozjaśniać zamulone myśli. Nie studiowałem za życia medycyny, ale po dwóch tygodniach spędzonych przy łóżku księdza Andrzeja, mógłbym już spokojnie otworzyć w niebiesiech prywatną praktykę medyczną i egzorcystyczną. Tyle że pacjentów musieliby mi przywozić z dołu. Co prawda, mój podopieczny szczególnie podpadł demonom i wskutek ich zawziętości zwaliła się na niego ponadprzeciętnie duża liczba błędów w sztuce lekarskiej, lecz tak czy siak, szczerze wam radzę nie wybierać się do polskiego szpitala bez dobrego Anioła Stróża!

Wszystkie instytucje z racji swej tellurycznej natury przyciągają istoty, które pragną czynić jak najwięcej destrukcji i śmierci, ale najliczniejsze przypadki opętania znajdziecie tam, gdzie jest największa władza dająca realną możliwość niszczenia ludzkiego życia, a więc kolejno: w szpitalach, sądach, urzędach państwowych, korporacjach i kościołach. Jeżeli jednak sądzicie, że opętanie to piana na ustach, konwulsje, bluźnierstwa, monologi w językach martwych lub nienarodzonych oraz histeria na widok dewocjonaliów, to doprawdy nasłuchaliście się za dużo kombatanckich wspomnień dobrodziejów egzorcystów i przesadziliście z horrorami.

Typowe opętanie, proszę ja was, to zwykłe olewactwo. Nie jest ciekawe ani widowiskowe, nie przykuwa niczyjej uwagi, wręcz przeciwnie, i dlatego jest tak piekielnie skuteczne. Polega na lekceważeniu, puszczaniu mimo uszu, niedocenieniu, zapomnieniu lub marginalizowaniu. Żadne tam hałaśliwe świrowanie, walenie głową w ścianę bądź tłuczenie szyb gołymi rękami, tylko wzruszenie ramion, pobłażliwy uśmieszek, bagatelizujący frazes na ustach, odmowa wysłuchania cudzych racji. To zaćmienie umysłu i wolnej woli, chytre wyłączenie wyobraźni oraz empatii. I kiedy jest już

za późno, wtedy dopiero odkrywa się, że problem był ważny, a potem kwituje to słowami „wola Boża”, co jest cynicznym, acz nieświadomym bluźnierstwem. Dla demonów ten frazes to wisienka na torcie.

Podstawą mechanizmu opętania jest bierne blokowanie zmian, biegnących wzdłuż pozytywnych łańcuchów przyczynowo-skutkowych i niedopuszczanie do zaistnienia dobra. Określa się to pięknymi eufemizmami jak „niefrasobliwość” czy „brak roztropności”. Żadna to zbrodnia i zarazem takie ludzkie, że jeśli nikt nie umrze lub nie zostanie kaleką, nie jesteśmy skłonni się na winowajców gniewać i nakłaniać ich do poprawy zachowania. Rzadko i tylko w sprzyjających okolicznościach dochodzi do dramatycznych erupcji złej woli. Takie zło szybko niszczy samo siebie. W codziennych i najpowszechniejszych przypadkach opętania nikomu nic się nie chce. Ten stan ma zdolność rozprzestrzeniania się. Demony wchodzą z ludźmi w relacje pasożytnicze oparte na nieświadomości i lenistwie. Ich właściwym symbolem powinien być nie wąż, lecz tasiemiec.

Istota przeciwdziałania polega na budzeniu świadomości i wolnej woli. Wszelkie zaklinania i zabiegi magiczne są o tyle skuteczne, o ile prowadzą do otrzeźwienia opętanego. Jednemu więc pomoże w tym surowy kapłan ze wzniesionym w górę krucyfiksem, innemu tańczący szaman lub proste puknięcie w czoło. Grunt, żeby wreszcie zbudził się jasny rozum!

Niestety, często stosuje się popularne półśrodki, które budzą rozum za cenę uaktywnienia złej woli. Jeżeli chcecie wiedzieć, co mam na myśli, zwróćcie uwagę, jak ludzie bystrzeją na widok pieniędzy. Łapówka daje doraźnie efekt podobny do egzorcyzmu, ale to w istocie jest cyrograf, po zawarciu którego stosunki z demonami wchodzą na wyższy poziom świadomości.

To, co mnie teraz irytowało najbardziej, to krótkotrwałość i lokalność wszystkich skutków moich działań. Niektórzy z ocuconych zaraz za progiem izolatki znów zapadali w swój demoniczny sen na jawie i szli szkodzić komu innemu. Nikt nie wyciągał wniosków z ujawnionych z moją pomocą pomyłek. Sprawy natychmiast tuszowano, bo skoro nic się nie stało, to nie ma o czym gadać!

Wcześniej opowiadałem tu dużo o samobójczych skłonnościach Polaków do popadania w stany zbiorowego opętania, ale dopiero jako Anioł Stróż, dyżurujący przy łóżku majaczącego w gorączce Andrzeja, zobaczyłem ten problem w całej jego ordynarnej nikczemności. Klimaszewska, Piekarka i Tina-Alina to wyjątki, ambitna arystokracja wśród stworów banalnych i całkowicie oswojonych, z roztargnieniem akceptowanych przez swych nosicieli. Tasiemiec przynajmniej budzi jakąś grozę, zwłaszcza ten uzbrojony. Tymczasem przeciętne polskie demony są jak wszy bezdomnego, który dawno się do nich przyzwyczaił. Ich egzorcyzmowanie przypomina mozolne walenie kapciem. No i za co tak boże stworzonka prześladować…?

Po dziesięciu dniach stan Andrzeja zaczął wykazywać pierwsze symptomy poprawy, a do moich wielce nieszanowanych przeciwników wreszcie dotarło, że nie dam się im wykołować. Dobra, już dobra, niech będzie teologiczna poprawność! Oczywiście cała zasługa jest po stronie Ducha Świętego, który na bieżąco objawiał mi niezbędną wiedzę medyczną. Teraz demony próbowały jeszcze brać mnie z zaskoczenia, tak jak z tym immunosupresantem, ale żeby uśpić moją czujność, zaprzestały ciągłych ataków i stwarzały długie okresy spokoju. Zmęczenie mnie nie wchodziło w grę, ale po pierwszych dobach ciągłego napięcia uwagi doczesne elementy mojej psychiki zaczęły sygnalizować zwykłe znudzenie.

Żeby nie odpłynąć poza czas w kolejną nirwanę, czyli mówiąc po ludzku, nie zasnąć na warcie, zrobiłem sobie mały sparing z cieniem, to znaczy polemikę z ateizmem. Zainspirował mnie pacjent w sąsiednim pokoju, do którego w poszukiwaniu jakiejś rozrywki chwilowo się bilokowałem i zerknąłem, co czyta. Był to przekład książki Russella Blackforda i Udo Schuklenka 50 głosów za niewiarą, zbiór wypowiedzi czołowych światowych agnostyków i racjonalistów – Dawkinsa, Dennetta, Hitchensa i tak dalej z tej półki.

Tjaaa… Jestem dowodem słuszności zgoła innej teorii, jakby to powiedział Woland z *Mistrza i Małgorzaty*, no ale nie przyznawajmy sobie aż tak banalnego *handicapu*! Anioł, stworzeniem inteligentnym będąc, może też założyć, że Boga nie ma. A czemu nie?!

Dla intelektualnej rozgrzewki weźmy stary sofizmat Russella przedstawiający jego linię obrony przed ewentualnym sądem bożym w zaświatach: „Boże, dałeś mi mózg i ani jednego dowodu na swoje istnienie, no to czego się spodziewałeś?!”.

Dla uściślenia dodajmy, że sąd ten odbył się 2 lutego

1970 roku, czasu ziemskiego.

A Naczelny mu wtedy na to: „Zaufania, mój drogi lordzie! Żyłeś 98 lat i nigdy do nikogo nie powiedziałeś: «Zaufaj mi»? Kiedy prosisz kogoś o zaufanie, to zawsze na pewien czas pozostawiasz tę osobę w niepewności i nie dajesz żadnych dowodów, że warto w tej niepewności wytrwać”.

Czym się ta wymiana zdań skończyła? Domyślcie się sami, pamiętając, że Naczelny nie jest małostkowy ani tym bardziej sadystyczny. Dlatego wysłanie duszy milorda w porcelanowym czajniczku w kosmiczną podróż odpada.

Ateiści mają bardzo dużo ciekawych argumentów. Na przykład, że kiepski to Ojciec, który chowa się przed swoimi dziećmi, albo że próżnia

jest niestabilna i wszechświat może wyskoczyć z niej sam wskutek kwantowej fluktuacji, że idea Boga ewoluuje wraz ze społeczeństwami, że religia to pasożyt umysłu, rodzaj programu-wirusa itp.

Sęk w tym, że każdy z tych wywodów przejawia cechy podszytego luzackim szyderstwem tłumaczenia wcześniej przyjętej tezy. Wspomniani ludzie nie zostali ateistami z powodów, które tak elokwentnie przedstawiają. Opowieści w stylu: „naukowe, matematyczno-fizyczne modele rzeczywistości są całkiem spójne, zatem nie ma potrzeby umieszczać w nich Boga”, to jawne wykręty wymyślone po fakcie, więc co było najpierw? Co ich skłoniło do bycia ateistami? Z całą pewnością nie żadne objawienie, tylko drobne osobiste zaszłości typu nieporozumienie, brak wiedzy, jakiś uraz lub niechęć. Nie jestem upoważniony do wdawania się w prywatne szczegóły indywidualnych przypadków. Generalnie rzecz biorąc, ateistyczne „dowody na nieistnienie Boga” to nic innego jak krytyka kiepskiej teologii, szczególnie tej, która poszła na samobójczą konfrontację z nauką. Religia i teologia to nie Bóg, tylko Jego kulturowe przybliżenia, uwikłane w lokalne tu i teraz, a przez to bardzo niedoskonałe i podatne na krytykę. Przy takim podejściu jestem skłonny zgodzić się z każdym napisanym przez ateistów słowem. Naczelny to ciekawy gość o niebanalnej osobowości i wciskanie Go w ramki ciasnej dogmatyki jest, delikatnie mówiąc, grubym nieporozumieniem. Reguła jest prosta: im więcej niewzruszonych dogmatów, tym gorsza teologia. Dlatego że zamiast zgodnie ze swoją nazwą iść ku transcendencji, grzęźnie w doczesności i historycznych wyobrażeniach, po czym w miarę upływu czasu ten rosnący balast coraz bardziej wgniata ją w ziemię, dezaktualizuje i zamienia w katalog archaicznych przesądów. Ot i cały katolicyzm!

Dogmaty religijne nie są prawdziwe w sposób absolutny, ale stają się takimi pod wpływem szczerej i dobrej wiary, która nadaje im treść, wartość

i sens. Wiara stwarza świat! To samo zdanie w ustach religijnego obłudnika jest kłamliwym frazesem, wygłoszone zaś przez wyznawcę – czystą prawdą. Macie na to przykład w Piśmie, Ewangelia według Mateusza, rozdział siódmy: „Nie każdy, kto mówi mi Panie!, Panie!, wejdzie do królestwa niebieskiego”. Gdy wiara wygasa, dogmat staje się świadectwem minionej kultury duchowej. Mnóstwo ludzi na świecie nie wierzy, że Jezus jest Synem Bożym, ale za to mogą wykazać się inaczej.

Nie, wbrew pozorom nie jestem wyznawcą teorii, że każdemu jest dane to, w co wierzy, bo inaczej lord Russell i towarzysz Zaleszczuk powinni trafić do niebytu, a nie trafili, zapewniam. Nawet do czajniczka. Jak jest ze Sławkiem, sami widzicie. Co do Bertranda Russella mogę zdradzić tyle, że powtarza klasę. Stary pryk, mający się za geniusza, znów odrabia lekcje jako sztubak. Nie mówcie mi, że to niesprawiedliwe!

Owszem, wolno być ateistą. Skoro bowiem Naczelny postanowił być w ukryciu, a ludzie dostali wolną wolę, to każdy wybór poczyniony w dobrej wierze jest akceptowany. Mylić się to nie grzech, jest nim dopiero zaślepienie i zacietrzewienie.

Jako anioł doradzałbym jednak zrobić mały myślowy eksperyment. Otóż wyobraźcie sobie, że jesteście bogiem. Stwórcą, który powołuje do istnienia świat oraz istoty czujące i obdarzone wolną wolą, czyli osoby. Inteligencja tych osób, ich zdolność uczenia się jest sprawą drugorzędną, może być różna i nierówno rozmieszczona w populacji. Jeżeli jednak osoba ma pozostać osobą, to nie można manipulować nią jak teatralną lalką ani nagrywać jej myśli jak na automatyczną sekretarkę. Osoba musi sama szukać sensu własnego życia, kombinować, próbować i boleśnie się parzyć, także ogniem krematoriów w obozach zagłady. Wolność, czyli możliwość realizacji aktów wolnej woli, w nieunikniony sposób powoduje cierpienie. Bezpieczniej było stworzyć pacynki lub marionetki bądź nieczułe, chociaż

superinteligentne komputery. Jednak wy jesteście ambitni, nie chcecie być lalkarzami ani projektantami komputerów, ale pragniecie mieć stworzenia na swój obraz i podobieństwo, czyli też będące osobami. Zatem musicie pozwolić im cierpieć i zadawać cierpienie. Przykre, lecz nieuniknione.

I co teraz? Jedno z dwojga. Możecie się napawać cierpieniem swych stworzeń, czerpiąc z tego sportowo-sadystyczną satysfakcję, albo się z nimi martwić i im współczuć. Jaka byłaby motywacja aktu twórczego w pierwszym przypadku? Nuda. W drugim – miłość. Potrzeba oglądania walk gladiatorów wynika z chęci zabicia nudy. To jednak znaczy, że w was jako stwórcy tkwiłaby niedoskonałość sprzeczna z waszą ambicją. Niskie potrzeby nie są ambitnymi potrzebami. Owszem, niektórzy jak Schopenhauer sądzą, że Naczelny to rozkapryszony dzieciak bawiący się żołnierzykami lub wyrywający muchom skrzydełka i w takim razie przez szacunek wolą uważać, że On nie istnieje. Naczelny to docenia.

Chociaż byłaby to nader barwna opowieść, zostawmy Schopenhauera w jego niebiańskiej kawiarni, gdzie Herr Artur z lubością wykpiwa bigotów, którzy zaliczają w jego towarzystwie czyściec, i wróćmy do naszej kwestii, czyli zgodności potrzeb wysokich z realizacją ambicji. Najwyższą potrzebą jest miłość, a największą ambicją pragnienie odwzajemnienia miłości. Zatem kochając swoje stworzenia i pragnąc z ich strony szczerego odwzajemnienia uczuć, musicie dać im wybór i pozwolić im nie kochać siebie ani bliźnich. Dążąc do miłości, powodujecie cierpienie… Niezły pasztet, prawda? No i jak tu wybrnąć z tego paradoksu?

Z punktu widzenia anioła rozwiązanie jest proste – należy być stwórcą nie tylko ambitnym, ale też odpowiedzialnym, czyli posmakować egzystencji, którą się zafundowało swoim stworzeniom. Wejść w ich świat i doświadczyć na własnej skórze najgorszego, co może nas tam spotkać. Ten dowód odpowiedzialności, współczucia i miłości daje moralne prawo

do zabiegania o uczucia swoich stworzeń. Naczelny to zrobił i dlatego niezależnie od wszelkich zaszłości zasługuje co najmniej na sympatię. Ja zaś dzięki temu właśnie rozumowaniu zostałem po śmierci zaproszony do Światłości. I oczywiście, że się tam udam, tylko najpierw jeszcze trochę ogarnę się z ludzkich traum i nawyków, pracując jako niższy menedżer zadaniowy przy realizacji projektu zwanego planem bożym. Taka terapia zajęciowa, nie mylić z obozem pracy.

A zatem, panie profesorze Dawkins, co by pan zrobił, gdyby to pan był Bogiem? Wiem, że pan profesor ceni wyobraźnię, więc proszę wyobrazić sobie, że dostał pan do dyspozycji zaawansowany program komputerowy, który pozwala generować myślące i czujące symulacje osób. Chyba nie zaprzeczy pan, że można napisać program odwzorowujący naturalny proces ewolucji świadomych istot, prawda? Generuje więc pan te istoty i co dalej? Co im pan profesor powie? Chyba nie to, że są panu równe, skoro pan może im w każdej chwili wyciągnąć wtyczkę z kontaktu, a one panu nie… No, jakim pan byłby bogiem, profesorze Dawkins?

Tak to sobie medytowałem i dywagowałem, czekając, aż Andrzej odzyska przytomność.

– Wiem, że tu jesteś… – to były jego pierwsze słowa.

Nie widział mnie, a ja nie mogłem mu się teraz objawić ani do niego mówić, zatem jego wiara zasługiwała na pochwałę.

– Śniłeś mi się – powiedział, patrząc na parapet, tam, gdzie faktycznie siedziałem. – I widziałem, co dla mnie zrobiłeś. Dziękuję!

Śnić to ja mu się mogłem bez ograniczeń, gdyż marzenie senne nie tworzy dowodu, wobec którego byłby zbędny akt wolnej woli, polegający na wyborze zawierzenia lub sceptycyzmu. W prawdziwość swojego snu trzeba uwierzyć. Dlatego z odpowiedzią w stylu: „Cała przyjemność po mojej stronie” bądź „Ja tu tylko sprzątam” musiałem zaczekać, aż

Andrzej zaśnie. Zresztą zaraz to zrobił, ale na razie darowałem sobie aktywowanie w jego mózgu fazy REM. Wolałem nie zakłócać rekonwalescencji. Niech wypoczywa i nabiera sił, bo naprawdę będą mu potrzebne.

Szpital niezwłocznie zawiadomił o wyzdrowieniu Andrzeja jego zakonnych przełożonych i zaraz następnego dnia rano z wizytą pojawił się brat Eligiusz. Przyniósł ze sobą kompot z suszonych śliwek, dwa niemyte jabłka i mnóstwo fałszywej troski. Na jabłkach były drożdżaki, które po zjedzeniu zrobiły totalną demolkę w wyjałowionym przez antybiotyki układzie pokarmowym rekonwalescenta. Zatem pierwsze, co musiałem zrobić, to dyskretnie zasugerować Andrzejowi brak apetytu na jabłka.

Kompot już był w porządku, natomiast brat Eligiusz z całą pewnością nie. Spośród wszystkich motywacji jego wizyty dobra wola była na ostatnim miejscu. Kiedy tylko w domu zakonnym trochę się uspokoiło, nasz gorliwy braciszek popędził gdzie trzeba z donosem, że ksiądz Andrzej, zanim stracił przytomność, wypowiadał bluźniercze uwagi i próbował nakłonić go do zerwania jedności z Kościołem Świętym. W związku z tym polecono mu podejrzanego o herezję wybadać niezwłocznie, kiedy ów dojdzie do siebie. Brat Eligiusz dostał nie tylko przyzwolenie, ale i dyspensę na udawanie fałszywego zwolennika. Guzik warta była ta dyspensa, mówiąc między nami, bo Naczelny nie buduje swojej chwały na kłamstwie. Daje to jednak pojęcie, jak bardzo oddaliła się od Niego instytucja, której funkcjonariusze przyznali sobie takie kompetencje.

Na razie nie mogłem nic z tym zrobić, więc dalej siedziałem na parapecie i ćwiczyłem anielską cierpliwość, przysłuchując się obłudnym zapewnieniom Eligiusza, jak to wszyscy się modlili o zdrowie drogiego konfratra i jak bardzo się cieszą, i dziękują Bogu, że ksiądz Andrzej wreszcie wyzdrowiał. Ma się rozumieć, że nie wspomniał nic a nic o tym,

że brał również czynny udział w poszukiwaniach kandydata do przeprowadzenia kolejnego czarnego egzorcyzmu, który przepędzi mnie ze szpitalnej izolatki. Nie doszło do tego, choć wytypowano trzech młodych dostatecznie zaślepionych fanatyków. Po wpadce z Andrzejem uznano, że na razie trzeba delikwentów „lepiej rozeznać i przygotować”. Paskudny los ojca Edmunda wszystkim zainteresowanym dał trochę do myślenia. Nawet Klimaszewska wolała uniknąć niewygodnych pytań i chwilowo zawiesiła objawienia przy Karolkowej.

– Ksiądz chciał mi coś powiedzieć, zanim nieszczęśliwie zasłabł… – Eligiusz przystąpił do rzeczy.

– Czy brat jest szczęśliwy? – zapytał Andrzej, unosząc się na poduszkach.

– To prawdziwe szczęście służyć Bogu i jego ludowi – wyrecytował płynnie zapytany.

– Czy brat na pewno służy Bogu?

– A komuż innemu miałbym służyć?

– Doczesnym interesom Kościoła, bracie Eligiuszu.

– Służba Bogu i służba Kościołowi Świętemu to jest to samo.

– A jeśli nie?

– Nauczanie jest jednoznaczne, księże Andrzeju. Chciałby je ksiądz zmienić?

– Tak, ponieważ dostałem nowe objawienie. Charyzma wiary i hierarchia Kościoła muszą zostać od siebie rozdzielone. Nie można pogodzić żywej wiary ze ślepym posłuszeństwem.

– Dostał ksiądz to objawienie tutaj, kiedy leżał w gorączce?! – zakonnik nie zdołał powstrzymać się od kpiny, chociaż miał Andrzejowi przytakiwać.

– Wcześniej, bracie Eligiuszu. Chciałem o tym z bratem porozmawiać, zanim dosięgła mnie choroba.

– Uważa ksiądz, że powinniśmy wypowiedzieć śluby posłuszeństwa?

– Tak, bracie, ponieważ zbyt często są one nadużywane. Kiedy Bóg powołuje kogoś do swojej służby, drugi człowiek nie może się w to wtrącać i stawiać własnych warunków.

– Czy to objawienie chciałby ksiądz ogłosić naszym nowicjuszom i klerykom?

– Tak, bracie Eligiuszu. Dlatego prosiłem, abyś przypomniał sobie własną młodość i to, co się z tobą stało…

– A cóż niby się stało?! – obruszył się zakonnik.

– Stałeś się podłym człowiekiem, bracie Eligiuszu.

– Nikt nie jest bez grzechu.

– To cię nie tłumaczy, mój bracie. Odpowiedz sobie, czy jesteś jeszcze zdolny do miłości bliźniego?

– Kocham Boga i jego lud.

– A okazujesz to, bracie Eligiuszu, poniewierając młodych adeptów i z lubością depcząc ich ludzką godność?

– To są ćwiczenia wzmacniające ich charakter. Jak może mnie osądzać ktoś, kto złamał ślub czystości i jeszcze nabawił się przy tym brzydkiej choroby…

– Zapalenie opon mózgowych nie jest chorobą weneryczną, bracie Eligiuszu – odparł spokojnie Andrzej.

– Ja słyszałem, że niektóre skutki tych przypadłości zaburzają jasność umysłu.

– Czy to pomówienie zamierza brat rozpowszechniać? Czy też kazano je bratu ogłaszać?

Eligiusz zorientował się, że w swej asertywności posunął się zbyt daleko.

– Proszę o wybaczenie, jeśli ksiądz poczuł się niesprawiedliwie osądzony…

Zaprawdę powiadam wam, cierpliwość cierpliwością, ale są takie chwile, kiedy nawet anioła zaczyna świerzbić ręka! Ten wredny mnich powinien dostać w ucho!

– Nie czuję się niesprawiedliwie osądzony, tylko zostałem niesprawiedliwie osądzony – uściślił stanowczo Andrzej. – Nie złamałem ślubu czystości.

– Oczywiście, skoro ksiądz tak twierdzi.

– Bracie Eligiuszu, proszę cię, otrząśnij się! Obudź!

– Jestem otwarty na światło boże.

– I jak brat godzi tę otwartość z deptaniem godności współbraci niżej postawionych w hierarchii?

– Proszę o wybaczenie, jeśli księdza niechcący czymś uraziłem.

– A czy to było naprawdę niechcący, bracie Eligiuszu? Bo ja odniosłem wrażenie, że dręczenie nowicjuszy sprawia bratu przyjemność.

– Stawiam przed nimi trudności, aby ich wiara stała się przez to mocniejsza.

– Dlaczego akurat tak? Wymagać od kogoś wysiłku i doskonalenia nie oznacza deptania jego godności. Poza tym, skoro Bóg tych młodych ludzi powołał, to On sam potrafi wzmocnić ich wystarczająco, by podołali nałożonym na nich zadaniom. Brat nie musi dodatkowo narzucać się ze swoim małostkowym sadyzmem.

Eligiusz zagryzł wargi i nie odpowiedział. Wyszedłby stąd teraz, rzucając przez ramię oschłe „Z Panem Bogiem!”, gdyby nie kazano mu szpiegować. Andrzej wyczuł, że coś trzyma zakonnika przy jego łóżku, ale źle to zinterpretował, sądząc, że zdołał poruszyć sumienie gościa.

– Proszę, aby brat przypomniał sobie ten czas, kiedy jako młody człowiek odpowiadał na głos powołania – Andrzej kuł żelazo w swoim mniemaniu gorące. – Tę wielką, podniosłą, ufną radość, zanim zbrukały ją cynizm i oportunizm…

„Ta radość wciąż jest ze mną”, Eligiusz chciał odpowiedzieć kolejnym frazesem, ale w porę przypomniał sobie o obowiązkach inkwizytorskich.

– Ksiądz wiele ode mnie żąda, ta rzecz wymaga wielkiego umysłu.

– Zatem niech brat sobie to wszystko dobrze przemyśli. – Andrzej dostrzegł fałsz, ale w zaistniałej sytuacji nie mógł powiedzieć nic innego.

– Pomódlmy się przed rozstaniem o światło niebieskie dla nas obu – zaproponował brat Eligiusz, robiąc minę, od której odechciewało się być aniołem.

Zaczęli się modlić, więc i mnie też wypadało. Wziąłem w dłoń swój hipersześcienny krzyż i na chwilę spojrzałem prosto w Światłość. Była o wiele jaśniejsza od Słońca, ale nie oślepiała, a po chwili patrzenia w Nią zamiast plam powidoków pojawiały się kolory i dźwięki, które były tym samym. Za zasłoną synestezji zaczynały się rysować kształty umysłu Naczelnego. Nie twarzy, lecz umysłu właśnie! Zaczynało się widzieć Jego umysł i myśli. Stąd wzięła się ta malarska metafora u Michała Anioła, który w scenie ożywienia Adama namalował Stwórcę wpisanego w kontury ludzkiego mózgu. Potem już wystarczyło się z tymi myślami zjednoczyć, stać się jedną z nich, a raczej uświadomić sobie, że w gruncie rzeczy się nią jest. Myślą, która na chwilę stała się ciałem, by samodzielnie rozwinąć swoje twórcze możliwości. Jeszcze chwila i zacząłby się Przepływ… STOP! Musiałem wracać do ziemskich obowiązków.

Skończyłem równo z nimi. Andrzejowi przekazałem odrobinę moich wrażeń, by poczuł, że jego modlitwa została wysłuchana. W umyśle

Eligiusza wzmocniłem uczucie czczej pustki. Zasługiwał na to, by po manifestacji obłudy poczuć się gorzej.

– Niech brat powiadomi Jesikę, że czuję się lepiej – poprosił jeszcze Andrzej.

– Spotkam się z tą panną… – zapewnił zakonnik. O dziwo, nie skłamał.

Zaraz po wyjściu brata Eligiusza zjawiła się pielęgniarka, którą zaskakująco łatwo nakłoniłem do umycia tych nieszczęsnych jabłek. Co więcej, sama z siebie zaofiarowała się je na dodatek pokroić i wyciąć ogryzki. Wyglądało na to, że Klimaszewska się wreszcie odczepiła.

Po dwóch dniach Andrzeja przeniesiono na rekonwalescencję do szpitala zakonnego. Był to skutek wizyty brata Eligiusza, który zaraportował przełożonym, że ksiądz Andrzej przeżywa kryzys wiary i powołania na tle nieczystej miłości do kobiety. Nie kłamał. Naprawdę tyle zrozumiał z całej powyższej rozmowy. Wobec tego zatroskane władze zakonne postanowiły udzielić Andrzejowi wszelkiej pomocy w powrocie na właściwą drogę. On sam niczemu się nie sprzeciwiał, gdyż faktycznie potrzebował jeszcze dużo spokoju i wypoczynku.

Mógł na to liczyć, gdyż Klimaszewska rzeczywiście odpuściła i postanowiła mi to zakomunikować osobiście.

Czekała na nas przed drzwiami nowej celi Andrzeja, kiedy podjechaliśmy tam, wioząc rekonwalescenta na wózku inwalidzkim. Jak zwykle upozowana na aryjską Matkę Boską, jaśniała bielą i świetlistym błękitem. Twarz miała łagodnie uśmiechniętą, co by mnie mocno wkurzyło, gdybym był człowiekiem. Jako anioła bardziej zaintrygował mnie fakt, że ona mnie widziała. Naczelny z jakiegoś powodu jej na to pozwolił…

– Chcę byś wiedział, niewolniku, że pozwolę żyć temu twojemu księżulkowi! – oznajmiła bez ceremonii, nie przestając uśmiechać się z macierzyńską słodyczą.

Nie zniżyłem się do dyskusji, pytania o cenę tej łaski ani żadnej odpowiedzi. Poprzestałem na spojrzeniu jej prosto w oczy. Dostałem objawienie, że mogę to zrobić bez obawy poparzenia jej wspomnieniami.

– Zmieniłam zdanie – powiedziała. – Chcę, aby on ujrzał moją chwałę na własne oczy. Znów objawię się mieszkańcom tego miasta, aby je ukarać. Spotkam się wtedy z tą małą, która idzie ku mnie z otchłani. Nie zdołaliście i nie zdołacie jej powstrzymać. Ty możesz być moim prorokiem, chcesz?

– Nie.

– Znajdzie się kto inny. Pamiętaj, że w Warszawie jestem u siebie!

Zatrybiłem, co jest grane, i na miarę swych możliwości przybrałem oficjalny ton oraz postawę. Właściwie to na moim miejscu powinna być Leokadia…

– Lepiej ty zapamiętaj sobie, upadła siostro, że skoro uzyskałaś prawo widzenia anioła, to znaczy, że dano ci też szansę nawrócenia – oznajmiłem surowo.

– Ja mam się nawracać?! – wybuchła złością, ale ani na chwilę nie przestała się przy tym słodko uśmiechać. – To niech On prosi mnie o przebaczenie za to, co mi zrobił! Za to, co wy wszyscy mi zrobiliście! Już o tym zapomniałeś?!

– Nic nie zostało zapomniane – odparłem. – I wszystko co do joty będzie spłacone…

– Tak! Tak! Tak! – wyskandowała, po czym zawinęła się na pięcie i odeszła w głąb klasztornego korytarza. – Spłacone ze wszystkimi odsetkami! – Zaniosła się triumfalnym śmiechem i znikła za zakrętem.

XXI. Córka biskupa

Jesika siedziała przy stole i gapiła się tępo na swoje nadgarstki.

Jej pobyt w szpitalu trwał cztery dni. Odtruto ją w czterdzieści osiem godzin, potem przetrzymano jeszcze drugie tyle na obserwacji i fru z powrotem do pustego domu. Somatycznie czuła się dobrze, ale chęć do życia straciła kompletnie. Nawet gdyby się nie pocięła, to mogłaby się zagłodzić, bo takie rzeczy jak zakupy i gotowanie zupełnie wyszły jej z głowy. Szczęściem już wróciła pani Janina, której mieszkaniem Jesika się opiekowała, i było komu podsunąć dziewczynie pod nos talerz zupy. Poza tym ze sobą nie rozmawiały, bo jehowitce z tarocistką nijak nie wypadało, ale wyznanie, w przeciwieństwie do człowieczeństwa, to rzecz nabyta i podlegająca reklamacji.

Z ludzkiego punktu widzenia trudno było się Jesice dziwić. Żyła sobie dotychczas prawie że pogodzona z losem, jakoś tam poukładanym małym życiem razem ze swoimi oswojonymi demonkami, jak wszyscy, a przynajmniej wielu, aż tu nagle otarła się o cudowne spełnienie dawno przekreślonych marzeń, po czym wszystko ni stąd, ni zowąd prysło jak mydlana bańka. Słowem ześwirowała i miała zwidy. Było fajnie, chciała jeszcze, więc żeby ten dobry halun odzyskać, pojechała na kwasie, no i miała złą podróż. Rzeczywiście złą, bo mimo wysiłków Leokadii sporo maszkar jednak wcisnęło się w umysł Jesiki i zdołało wprowadzić tam swoje klimaty. Podsumowując nastrój jej własnymi myślami: deprecha po horyzont jak jeden wielki, szary, sflaczały chuj…

Całości wizerunku nowej Sawy dopełniały wytarty dres i nieumyte włosy z resztkami blond trwałej. Po prostu pióra opadają do tego stopnia, że powstaje poważne egzystencjalne pytanie, czym właściwie się różni anioł od oskubanego brojlera?

Odpowiedzi nie szukałem na bieżąco. W czasie kiedy Jesika ćwiczyła popadanie w stany depresyjne, ja miałem ten młyn przy łóżku Andrzeja. Leokadia starała się mnie nie absorbować własnymi kłopotami i przesłała mi swoje wspomnienia po fakcie, ale w czasie teraźniejszym. Aby nie zakłócać sobie percepcji, przekształciłem to w odrębną, równoległą odnogę rzeczywistości.

Jesika miała naprawdę mało szczęścia w życiu i z ludzkiego punktu widzenia można było się czepiać Naczelnego z tego tytułu. Stan metafizycznej nocy ciemnej, kiedy to wydaje się, że wszystko w życiu spieprzyło się do imentu i zupełnie nie tak powinno być, w przypadku tej dziewczyny wydawał się trwać stanowczo za długo. Jednak z anielskiej perspektywy sprawy wyglądały inaczej. Jak bowiem coś dobrego mogło spotkać kogoś, kto w nic nie wierzył ani nie miał nadziei? Bo zgodzicie się chyba, że w kogo jak w kogo, ale w Andrzeja to Jesika uwierzyć powinna! Że naprawdę tu był, dotykał jej i składał poważne obietnice. Dla mnie od zawsze był to niepojęty fenomen kobiecej psychiki, jak można tak nagle wszystko przekreślić, unieważnić przeszłość, wyprzeć i uciec donikąd, tratując samą siebie i wszystko wokół. Mężczyźni bardziej cenią przeszłość i swoje wspomnienia, a kobiety teraźniejszość – jeśli czegoś nie ma teraz, to nie było tego nigdy. Jesika reprezentowała pod tym względem przypadek typowy, acz dodatkowo powikłany długotrwałą samotnością. Była wprawdzie pod stałą opieką aniołów, ale nie mogliśmy wiele zrobić, dopóki ona sama nie wykrzesze przynajmniej krzty zaufania do samej siebie i nadziei na lepsze życie.

Mówiąc ściślej, nie mógłbym wiele zrobić i właśnie dlatego to nie była moja podopieczna. Leokadia znalazła rozwiązanie, choć i ona początkowo skupiała się głównie na tym, co i ja bym zrobił, a więc na pilnowaniu, aby błędny wzrok Jesiki nie przeniósł się z nadgarstków na kuchenny nóż i z powrotem…

W końcu jednak Leokadia wymyśliła lepszy sposób. Pochyliła się do ucha zgnębionej dziewczyny i zaczęła nucić:

Lodziu miła, Lodziu miła!
Gdzieś ty była? Gdzieś ty była?!
Żeś buciki zabłociła? Gdzieś ty była, gdzie…?!
Lodziu miła, gdzieś ty była? Żeś buciki zabłociła…

Jesika nie słyszała słów, ale dotarły do niej melodia i emocje. Uniosła głowę i uważnie wsłuchała się w panującą w mieszkaniu ciszę nie ciszę. Leokadia tymczasem usiadła na stole, na wpół położyła się na blacie i podparta na łokciu śpiewała dalej, spoglądając Jesice prosto w oczy:

Taki spacer, proszę Lodzi, czy on aby nie zaszkodzi?
Nie… Bo byłam u studenta, studiowałam komplimenta.
Uczyłam się czytać, pisać, no a przy tym i kołysać…

Można wątpić, czy na pewno tę piosenkę wypada śpiewać w anielskich chórach Pierwszego Kręgu, ale Jesika nareszcie się uśmiechnęła.

Chodziłam tam przez trzy kwartały, przyjaciółki nie wiedziały.
Jak się tylko dowiedziały, zaraz mamie powiedziały!

No dobra, powiem wam prawdę! W niebie wcale nie jest tak sztywno, jak się Tomaszowi z Akwinu wydawało. Chorały gregoriańskie, proszę

ja was, to tylko w pierwsze piątki miesiąca, od szesnastej do osiemnastej…

Mama na to jak na lato, nie mówiła mi nic za to,
Bo podobno moja mama studiowała także sama…

Sprawa niby oczywista, ale ktoś wreszcie powinien docenić i naukowo zbadać antydepresyjne działanie piosenki ulicznej.

Ojciec za to jak na zimę, dogadywał co godzinę,
Bo zupełnie nie pamięta, kiedy sam był za studenta!

Jesika roześmiała się cicho i oczy jej znów zabłysły. No cóż, podobno kobieta zmienną jest. Szczególnie krótka bywa u niej droga od zachwytu do rozpaczy i z powrotem, ale z miejsca darowałem sobie takie trywialne mędrkowanie, bo dziewczyna nagle zrobiła coś zaskakującego.

– Dziękuję, siostro! – powiedziała głośno i posłała w przestrzeń buziaka, przenosząc palce od swoich ust do ust Leokadii, dokładnie tam, gdzie się one faktycznie znajdowały.

Widziała ją?! Tak i nie. To znów było ślepe widzenie, tak jak bywa z demonami dostrzeganymi w miejscach nagłej śmierci. Okazało się, że aniołów ta forma percepcji też dotyczy. Poczułem się, jakbym dostał od Naczelnego prztyczka w nos. Niby tyle mądrych rzeczy wiedziałem, a nie wpadłem na to, że oprócz sytuacji bezpośredniego objawienia można jeszcze obcować z aniołami, rejestrując ich obecność podświadomie. To nie narusza wolności woli, więc nic nie stoi na przeszkodzie. Trzeba się tylko trochę na te doznania otworzyć, choćby tylko szczerze chcieć. Jak Jesika w tej chwili. To z kolei oznaczało, że śpiew Leokadii sprawił mały cud. Cóż, serafiny tak mają, a Naczelny znów okazał się nieprzesadnie drobiazgowy i postanowił nie przedłużać Jesice błądzenia po ciemnej dolinie.

Największy paradoks teologiczny nastąpił jednak chwilę potem. Jeden mały przebłysk euforii wywołanej bliską obecnością wysokiego rangą anioła rozszedłby się zaraz po kościach i niebawem dziewczyna znowu złapałaby doła, ale w tej właśnie chwili rozległo się pukanie do naprawionych na odczepnego przez policję drzwi i w progu stanął brat Eligiusz, usilnie dokładający starań, aby wyglądać na ciężko zafrasowanego. Braku poczucia humoru akurat udawać nie musiał. Samo mu wychodziło.

– Panna Anna Paprotkiewicz? – zapytał grobowym tonem.

– Jesika Anna! – poprawiła go beztrosko.

– Przynoszę smutną wiadomość… – Wykrzywił się z całą obłudą, na jaką było go stać, wykorzystując całe dwadzieścia lat praktyki duszpasterskiej.

– Znaczy się co? – Jesika zawahała się i popatrzyła badawczo.

– Może lepiej niech panna usiądzie.

– Dziękuję, postoję.

– Ksiądz Andrzej Słoniewicz odszedł do domu Ojca. To znaczy zmarł wczoraj wieczorem na zapalenie opon mózgowych.

Dziewczyna zmrużyła oczy, namyślała się niecałe trzy sekundy, po czym z radosnym piskiem rzuciła się Eligiuszowi na szyję.

– Dziękuję, księżulku! – Ogniście cmoknęła go w usta. – Dziękuję bardzo!

Wredny klecha zdębiał, zbaraniał, osłupiał, stanął w zgorszeniu i zadziwieniu… Wpiszcie tu sobie możliwie najdłuższą listę odpowiednich do okoliczności przymiotników, żadna litania nie będzie za długa.

Jesika nie zwariowała. Przypomnę, że ona zwątpiła w siebie i własne zdrowe zmysły, a jej największym problemem było to, czy Andrzej naprawdę ją odwiedził. Tym bardziej nie mogła interesować się stanem jego

zdrowia ani w ogóle nie wiedziała, że on zachorował. W szpitalu nikt nie wspomniał nic na ten temat. Myślała, że trafiła tam, bo przedawkowała LSD i ktoś to zauważył, pewnie pani Janina. Ta teoria miała wprawdzie sporo luk, ale dedukcja nie była nigdy mocną stroną Jesiki, zwłaszcza że co innego zaprzątało jej uwagę.

Brat Eligiusz, kłamiąc z iście jezuickim rozmachem, *ad maiorem Dei gloriam, ni mniej,* ni więcej tylko potwierdził, że Andrzej naprawdę był w tym mieszkaniu. A zatem także wszystko, co jej obiecano, było prawdą, nie halucynacją! Również to, co Andrzej mówił o aniołach. Mogła teraz zawierzyć własnym przeczuciom, że on żyje, a nawet rozumowi, który choć niezbyt wielki, był jednak wystarczający, by mogła domyślić się, że jego koledzy po fachu będą teraz próbowali ich rozdzielić. Po pierwszym wybuchu entuzjazmu obudził się w niej spryt wolskiej dresiary i dalej już zaczęła zimno kombinować, jak Andrzeja odnaleźć.

Tymczasem Eligiusz stał z miną człowieka, któremu kowadło spadło z jasnego nieba na głowę. Zaprawdę powiadam wam, Duch Święty nie tylko wieje, kędy chce, ale też co poniektórych potrafi wydmuchać jak model samolotu w naddźwiękowym tunelu aerodynamicznym. Zaskoczony zakonnik pogubił się i zgłupiał do tego stopnia, że zaczął działać mechanicznie jak robot, według ustalonego wcześniej planu, nie bacząc na jego niewielką adekwatność do zaistniałej sytuacji. Po prostu kompletnie skołowany nieborak musiał czegoś się trzymać.

– Panna oczywiście rozumie… – wyjąkał – to jest chyba dla panny w pełni oczywiste… że ze względów moralnych… obecność panny na pogrzebie… świętej pamięci księdza Słoniewicza byłaby niestosowna…

– Tak, rozumiem – odpowiedziała Jesika tak spokojnie i rzeczowo, że brat Eligiusz mało nie uciekł w panicznym strachu przed psychopatyczną wariatką. – Nie chcecie mieć księżowskiej flamy nad rozkopanym grobem.

– Ale jednak… jednakowoż… Kościół i zakon redemptorystów pragną okazać miłosierdzie… – Czerwieniąc się jak burak, sięgnął pod sutannę i wyjął kopertę.

Jesika patrzyła na niego z taką dumą i godnością, że Klimaszewska mogłaby się od niej uczyć.

– To nie są pieniądze! – zarzekł się pospiesznie.

– A co?

– Ksiądz Andrzej wspominał, że panna nie ma stałej pracy…

Kłamał. Sami to ustalili, a potem uznali, że załatwienie Jesice pracy poza Warszawą będzie dobrym sposobem na powstrzymanie Andrzeja przed zrzuceniem sutanny. Kalkulowali, że kiedy on wyjdzie ze szpitala i pocałuje klamkę na Płockiej, to już zupełnie nie będzie miał dokąd iść. Niestety, nie zamierzali tylko na tym poprzestać, ale tego objawienia jeszcze wtedy nie otrzymałem.

Tymczasem brat Eligiusz dokładał największych starań, by mówić rzeczowo, powoli i nie rozdrażnić nieobliczalnej furiatki.

– To list polecający do pewnego profesora, który poszukuje asystentki.

– Ja nawet nie mam matury.

– To nie szkodzi.

Namyślała się chwilę i nie zapytała głośno: „Co tu jest grane?!”, skutkiem tego jej inteligencja znacznie zyskała w moich oczach.

– Dobrze, pójdę pogadać z tym waszym psorem. – Wzięła list.

– To z Panem Bogiem! – Brat Eligiusz zrezygnował z zamiaru odmówienia modlitwy za zmarłych, odwrócił się na pięcie i popędził byle dalej stąd, na oślep w głąb klatki schodowej, tak że w połowie drogi mało nie wywinął zamaszystego nietoperza.

Nie zleciał z tych schodów tylko dlatego, że w odpowiedniej chwili skorygowałem mu zmysł równowagi. W przeciwnym razie złamałby sobie

prawy nadgarstek i ukruszył dwa przednie zęby. Należało się skurczybykowi, ale bycie aniołem zobowiązuje. Ech, te ludzkie odruchy!

Jesika zaczęła szykować się do zrobienia dobrego, wręcz piorunującego wrażenia na przyszłym pracodawcy i na te intymne szczegóły Leokadia nałożyła mi cenzurę. Ciąg dalszy jej wspomnień zaczynał się pięć godzin później na Krakowskim Przedmieściu, kiedy Jesika, wystrojona w swoim mniemaniu nad wyraz elegancko, przekroczyła próg Instytutu Filozofii Uniwersytetu Warszawskiego.

Tak, wyznajmy to szczerze, anioły też potrafią strzelić gafę. Ani nasza droga pani serafin, za życia przedstawicielka niewysokich sfer społecznych, ani jej podopieczna nie orientowały się zbyt dokładnie, jak powinna wyglądać asystentka profesora akademickiego w XXI wieku, a sprawa wydawała się zbyt błaha, żeby zaraz angażować Naczelnego. A dobrze by było… Dość powiedzieć, że Jesika zrobiła *entrée* jak na wiejską dyskotekę dico polo, w czym osobiście byłbym skłonny dopatrywać się wyrafinowanej ironii Ducha Świętego.

Na widok jej krzykliwego makijażu, żółtej miniówy i pelerynki z różowego plastiku, pełniącej rolę sobolowej etoli, przypadkowo napotkany na parterze student, którego Jesika spytała o drogę do gabinetu profesora Piotra Pieduszyńskiego, zaczął niezwłocznie komponować w duchu plotkę, jak to sławny akademik dogadza sobie w miejscu pracy, sprowadzając dziwki na telefon. Leokadia zorientowała się dopiero teraz, czytając myśli przyszłego miłośnika mądrości, ale na wszelką interwencję z jej strony było już niestety za późno.

Jesika w podzięce za wskazówki, jak prawdziwej damie przystało, uśmiechnęła się ustami umalowanymi w jaskrawoczerwone serduszko, po czym weszła na pierwsze piętro, skręciła w prawo i odliczyła drzwi.

– Dzień dobry! Mam tu pracować!

Na takie *dictum w* pakiecie z załączonym obrazkiem pan profesor Pieduszyński doszedł do wniosków podobnych co kolega student, z tą różnicą, że z miejsca nabrał przekonania, że ktoś zrobił mu złośliwy kawał albo wręcz zamierza go skompromitować. Podejrzanych po chwili gorączkowego namysłu miał już cały szereg. Najpierw uznał, że może to być dziennikarska prowokacja „Gazety Wyborczej", tygodnika „Nie" lub któregoś z tabloidów. Ostatecznie zaś stwierdził, że znajduje się w ukrytej kamerze telewizji TVN…

Obawy profesora nie przypadkiem miały charakter paranoiczno-prawicowy. Wśród swoich oponentów Pieduszyński od lat cieszył się zasłużoną opinią bezwstydnego koniunkturalisty, który całą karierę akademicką zbudował na stanowczym wygłaszaniu tez politycznie nośnych w danej chwili. Od dekady były to poglądy katolicko-narodowe, pretendujące do roli społecznej nauki Kościoła. Pan profesor z najwyższą sumiennością i starannością badał, co czcigodni hierarchowie chcieliby usłyszeć, a ponieważ były to przeważnie idee „ubogacające katolicyzm ludowy i podtrzymujące tożsamość Polaków w epoce globalnej cywilizacji śmierci", te właśnie treści wygłaszał z zapałem i zaangażowaniem, przy którym bladła papieskość samego papieża. Dodajmy jeszcze, że wykłady Piotra Pieduszyńskiego odbywały się z reguły w podziemiach kościołów, a przychodzili na nie ludzie, dla których miejsce prelekcji i profesorski tytuł prelegenta stanowiły wystarczającą gwarancję słuszności wygłaszanych tez.

Łatwo się domyślić, że z poszukiwaniem jakiejkolwiek prawdy naukowej ta działalność miała mało wspólnego. Znacznie więcej z ideologią, a bardzo dużo z gorszeniem maluczkich. Profesor Pieduszyński swobodnie docierał do granic jawnej kpiny z Ducha Świętego i przekraczał ją bez zahamowań. Dość powiedzieć, że gdyby należał do grona duchownych, byłby już żywym potępieńcem. Jako laik korzystał jeszcze

z kredytu cierpliwości i miłosierdzia Naczelnego, który miał wzgląd na okoliczności łagodzące, czyli zaszłości historyczne epoki komunizmu. To one bowiem były główną przyczyną tego, że tytuł profesorski otrzymał człowiek kwalifikujący się w normalnych czasach na posadę gimnazjalnego woźnego, wykazującego po godzinach machania dzwonkiem niewinną skłonność do popisywania się zasłyszanymi mimochodem mądrymi terminami.

W sumie jednak natury i przyrodzonego gustu nie dało się oszukać. Ze swą obszerną łysiną i nachalnym wąsem à la marszałek Piłsudski pan profesor Pieduszyński istotnie wyglądał jak międzywojenny szkolny pedel, któremu w garniturze byłoby do twarzy tylko w Boże Ciało.

– Proszę nie zamykać za sobą drzwi! – Wykazał się niezgorszym instynktem samozachowawczym.

– A dlaczego? – zdziwiła się Jesika.

– Bo natychmiast pani stąd wyjdzie! – zagrzmiał w swoim przekonaniu z majestatem biblijnego proroka, powstając zza biurka i zastanawiając się jednocześnie, czy dobrze wypada przed ukrytą kamerą.

– Nie no, jeny! Przecież najpierw musimy pogadać, panie psorze… – Bez zaproszenia usiadła na krześle przed biurkiem i założyła nogę na nogę.

Tu na korzyść Jesiki wypada odnotować, że zdając sobie sprawę z powagi tej chwili, nie włożyła stringów, tylko normalne figi. No prawie normalne, bo uszyte z czarnej, lśniącej satyny, która na tle żółtej spódniczki przyprawiła profesora o zeza zbieżnego. Po prostu wzrok sam mu się omsknął w rejon łona interesantki.

– W jakiej sprawie pani przyszła? – złagodniał mimo woli.

– No, robić mam dla pana psora. Chyba jako jakaś sekretarka, czy co.

– Chyba? Ktoś panią do mnie przysłał?

– A taki jeden czarny… – wyjęła list polecający.

Profesor Pieduszyński przeczytał go raz, potem drugi, ale nie uwierzył literalnie w ani jedno słowo. Tylko w numer telefonu kurii, który dobrze znał i niezwłocznie tam zadzwonił.

Spodziewano się tego, więc na potwierdzenie nie musiał długo czekać. Jednak ku jego zdumieniu żadnych dodatkowych wyjaśnień mu nie udzielono, oznajmiając wyniośle i stanowczo, że wszystko, co powinien wiedzieć, jest w przedłożonym mu liście, a osoba, która go przekazała, cieszy się pełnym zaufaniem bardzo poważnych wspólnych znajomych i na takowe zaufanie ze strony profesora też zasługuje. Następnie dano do zrozumienia, że przyjęcie Jesiki do pracy będzie miało nad wyraz korzystny wpływ na proces podejmowania decyzji w sprawie, o którą Pieduszyński od dawna zabiegał. Chodziło o udostępnienie panu profesorowi kościołów parafialnych w Nowym Jorku, Chicago i paru innych miastach w celu wygłoszenia wykładów podnoszących katolicko-patriotyczno-narodową świadomość tamtejszej Polonii. To ogromnie ułatwiało organizację i znacząco przyspieszało termin rozpoczęcia amerykańskiego tournée profesora, a ponadto dawało gwarancję prestiżowego i finansowego sukcesu tego przedsięwzięcia.

Krótko mówiąc, Pieduszyński miał wywieźć Jesikę do Stanów Zjednoczonych!

– Przychylność pana profesora wobec panny Paprotkiewiczówny będzie dostrzeżona i doceniona.

– Tak, oczywiście! Skoro taka jest wola samego ojca prowincjała… – Pieduszyński odłożył słuchawkę, już wszystko przyjmując do wiadomości, choć nadal zupełnie nic nie rozumiejąc. Wszakże uwierzyć to podobno zrozumieć. Moim zdaniem sprawa nie jest taka prosta, ale ponieważ anioła o teologiczną opinię nikt tutaj nie prosił, więc zachowam ją dla siebie.

Wybitny narodowokatolicki uczony poradził sobie beze mnie. Dokonał brawurowej racjonalizacji, dodając dwa do dwóch, skutkiem tego w okamgnieniu Jesika awansowała z taniej kurewki na nieślubną córkę biskupa, którą trzeba na jakiś czas dyskretnie usunąć z kraju. Pan profesor poczuł się niebywale zaszczycony okazanym mu zaufaniem i jeszcze bardziej podniecony perspektywami dalszej współpracy. Zupełnie jak, tfu!, tfu!, mason dopuszczony to wyższego kręgu wtajemniczenia.

– Uhm! – Pieduszyński odchrząknął z powagą, po czym ruszył zamknąć drzwi, przed którymi zaczęli się już gromadzić wścibscy studenci. – Zatem jest pani dobrą katoliczką?

– Eee… – Tym razem już Leokadia dopilnowała, aby jej podopieczna w porę ugryzła się w język. W przeciwnym razie Jesika pochwaliłaby się dobrą znajomością wróżenia z kart tarota. – Do pierwszej komunii byłam! – oznajmiła zamiast tego.

– A jakie ma pani wykształcenie?

– Dwie zawodówki, panie psorze, fryzjerską i gastronomiczną, ale żadnej nie skończyłam, tak się złożyło. – Niewinnie zatrzepotała rzęsami. – Za to potem miałam własną firmę… – tu Leokadia znów dokonała małego cudownego objawienia, które Jesika zwerbalizowała sobie w myślach słowami: „Zamknij dziób, kretynko!”.

Profesor Pieduszyński nie spytał, o jaką firmę chodzi, a mnie się trochę go żal zrobiło. Chyba jednak Naczelny karze czasem zbyt surowo…

Zbyt wcześnie zacząłem współczuć, gdyż w głowie pana profesora właśnie zaświtała nowa idea o charakterze odkrycia naukowego. Mianowicie taka, że obecność prostej przedstawicielki narodu polskiego ogromnie podniesie wiarygodność jego otwartych wykładów. Można by ją na przykład wykorzystać do zadawania pytań z sali… Trzeba by tylko tę pannicę trochę urobić i tu Jesika przeszła kolejną transformację, z córki

biskupa w główną bohaterkę My Fair Lady, a w Piotrze Pieduszyńskim zawrzał edukacyjny zapał profesora Higginsa.

Polski Pigmalion niezwłocznie przystąpił do rzeczy.

– Co pani wie o antypolonizmie?

– Mój brat mówi, że Żydy są wredne i że to przez nich siedzi.

„To ten biskup ma także syna kryminalistę…?!”. – Pieduszyński z wrażenia aż musiał przełknąć ślinę.

– Przepraszam, źle mnie pani zrozumiała. Miałem na myśli antypolonizm, a nie antysemityzm.

– Że niby co?

– Oczernianie narodu polskiego w oczach świata.

– A to chuje jebane! – O patriotyzmie Jesiki dotąd nie było okazji wspomnieć, ale akurat tę cnotę posiadała. – Konkretnie co za jedni?!

– To jest właśnie przedmiotem moich badań i prelekcji.

– To pan psor sam nie wie?

– Domyślam się jednak, kto za tym stoi…

– Łokej! – Jesika przeszła nad problemem naukowym do porządku dziennego – To co miałabym robić i za ile?

Chciał powiedzieć: „odbierać telefony”, ale sam się ugryzł w język.

– Wie pani, trochę jestem tym wszystkim zaskoczony, muszę przemyśleć sprawę… – Żachnęła się, więc szybko dodał: – Oczywiście zatrudniam panią! Z tak znakomitymi referencjami nie mogę postąpić inaczej. Otrzyma pani na początek zwykłą pensję asystentki, to jest dwa tysiące złotych, a kiedy się pani wdroży, pomyślimy o udziale w zyskach z wystąpień publicznych. Czy może pani zacząć od poniedziałku? Do tej pory chciałbym się zastanowić, jak najlepiej panią wykorzystać… – Chciał powiedzieć: „wykorzystać pani talenty”, ale widok jej czarnych majtek

wywołał u niego freudowskie przejęzyczenie. Daję słowo, nie miałem z tym nic wspólnego!

Nachmurzona Jesika uniosła się z krzesła.

– Słuchaj no, psorku! – syknęła. – Żeby była jasność w tym temacie, to mnie już ma kto wykorzystywać!

– Przepraszam! Źle mnie pani zrozumiała!

– Że niby głupia jestem?! – zezłościła się bardziej. – Jak tak, to ja zabieram ten kwit i powiem tym czarnym, żeby mi dali nowy do kogo innego, bo panu psorowi tylko jedno w głowie!

– Ależ nie! – Profesor Pieduszyński wyskoczył zza biurka i pokłonił się tak nisko, że omal nie padł przed Jesiką na kolana. – Najmocniej szanowną panią przepraszam!

– No już dobrze… – Dziewczyna nie była pamiętliwa, więc na zgodę dała mu rękę do pocałowania.

XXII. Schizofrenia bezobjawowa

Andrzej zabrał się do prorokowania, kiedy tylko zdołał o własnych siłach stanąć na krześle i nie zlecieć z niego po minucie. Taka apostolska gorliwość, owszem, chwali się w niebie, ale na ziemi zawsze kończy się źle lub jeszcze gorzej. Najgorsze było jednak to, że tym razem nie mogłem mu w niczym pomóc.

Zaczął od refektarza, czyli stołówki w ramach zwykłych rozmów przy stole, a kiedy zaczęto go demonstracyjnie unikać, przystąpił do wygłaszania kazań w trakcie posiłków. Mówił zbyt rzeczowo, aby dało się to zbyć zrobieniem dyskretnego kółka na czole i tłumaczeniem: „Biedak, przeszedł ciężkie zapalenie opon mózgowych”, obowiązkowo wygłaszanym z fałszywym współczuciem. Próbowano go ignorować, ale skutek tego był taki, że chcąc nie chcąc, zaczęto się wsłuchiwać i rozważać, co mówi.

– Głoszą wam, że Kościół jest grzeszny, ale to nic, bo działa w nim Duch Święty. To jest, moi drodzy, mniej niż połowa prawdy! Prawda jest taka, że Kościół jako system organizacyjny, jako byt ziemski, jest ze swej natury znacznie bardziej otwarty na demony niż na Ducha Świętego! Grzechy Kościoła, o których stale słyszycie, nie są marginalnymi patologiami, lecz nieodłączną cechą tego systemu. Zatrutymi owocami, po których poznajemy, jak mało warte jest całe drzewo! Będzie ono wciąż rodzić nowe zło, jeżeli wy będzie okazywać ślepe posłuszeństwo, jeżeli zagłuszycie w sobie rozum i sumienie! Waszym powołaniem jest służyć Bogu, a nie żadnej organizacji, żadnemu systemowi tego świata!

Rozwijajcie daną wam charyzmę i nie pozwólcie, aby pasożytowała na niej pełna pychy i obłudy hierarchia. Tak jak kiedyś rozłączono instytucje państwa i Kościoła, tak teraz przyszła kolej rozdzielić ziemski kościół instytucjonalny od niewidzialnego, Bożego Kościoła żywej wiary. To jest wasze zadanie i wasza odpowiedzialność, z której kiedyś przyjdzie wam zdać sprawę przed Bogiem!

Tak wyglądała główna myśl jego przesłania, którą w kolejnych powtórzeniach uzupełniał o nowe, podsuwane przeze mnie argumenty historyczne i teologiczne, obrazujące, jak instytucjonalizacja religii prowadzi do zaprzeczenia ewangelii. Wspominanie tutaj o inkwizycji, która dalece rozminęła się z przykazaniem miłości, byłoby zbyt trywialne, więc inkwizycję sobie daruję. Problem ten wystąpił w chrześcijaństwie znacznie wcześniej, już za Pawła z Tarsu, który starał się zdusić tę patologię, pisząc list do Galacjan. Od niego więc zaczęliśmy, przypominając, że apostoł mówi wyraźnie, iż wszelkie ziemskie rytuały nie mają żadnego znaczenia, a zatem nie mogą być źródłem władzy i prestiżu sprawujących je ludzi. Zdanie: „Nie masz Greczyna ani Żyda”, znaczy też, że nie ma różnicy między poganinem a ortodoksem, a wobec tego wszelkie instytucje żyjące z celebrowania takich różnic nie mają racji bytu. Wiara, nadzieja i miłość są przeciwieństwami takich pojęć, jak doktryna, strach przed piekłem i przymus, ale zawsze się nimi stają, kiedy w sprawy boskie wkracza ziemski system instytucji. Jedyna rada to sprawić, aby wszelkie systemy instytucjonalne raz na zawsze odczepiły się od tego, co ludziom w duszach gra, oraz od ich indywidualnych olśnień i objawień. Do zapobiegania patologiom wystarczy kodeks karny.

Od siebie dodam, że ewentualne objawienia demoniczne powodowałyby wtedy skutki znacznie mniej katastrofalne. Gdyby Klimaszewska nie mogła korzystać z autorytetu Kościoła katolickiego, jego

organizacyjnej machiny oraz wzorów i wizerunków rozpowszechnionych przez tę instytucję w świadomości zbiorowej, to zamiast ataków zbiorowej psychozy wywoływałaby tylko lokalne niesnaski, samoistnie wygasające i ginące w niepamięci w miarę upływu czasu. Zemsta, którą wraz z Piekarką obmyśliła dla Warszawy, byłaby znacznie trudniejsza do realizacji, aczkolwiek nie należy wątpić, że obie znalazłyby sobie inną drogę i metodę, bowiem zbyt wielkie zło stało się w 1526 roku.

Poza tym byłem dumny z Andrzeja, że tak dobrze chwyta sens przekazywanego mu objawienia i nawet twórczo je rozwija. Jednak niektórym, jak łatwo zgadnąć, jego płomienne przemówienia odebrały apetyt na amen. Zwłaszcza gdy za którymś razem w refektarzu wywiązała się spontaniczna dyskusja.

– Ależ ksiądz otwiera drzwi dla wszelkich możliwych błędów i herezji! – zarzucił mu jeden z kleryków, spurpurowiały do granic wylewu i śmiertelnie przerażony faktem, że jego przełożeni widzą, iż on te okropności słyszy. Należało się więc wykazać, żeby ojciec duchowny nie wlepił srogiej pokuty za nic, to znaczy dla zbudowania charakteru i wyrobienia cnoty pokory…

– Herezje zawsze były, są i zawsze będą – odparował Andrzej bez wahania – ale to nie ludzie wiary, lecz instytucje muszą się ich obawiać, gdyż każda herezja narusza przede wszystkim system dystrybucji władzy i bogactw, który jest istotą instytucji. Ludzie o różnych poglądach teologicznych nie staną przeciwko sobie, jeśli nie popchnie ich do tego polityka, będąca wyrazem czyjejś ambicji i jakiegoś systemu władzy. Wielość i różnorodność poglądów na sprawy boże jest odbiciem wielkości i wewnętrznego bogactwa samego Boga, w którym jak uczy święty Tomasz, zawiera się pełnia wszystkich możliwości i tego bogactwa żadna religijna doktryna nigdy nie zdoła zamknąć w garści suchych formułek

do zapamiętania i bezmyślnego powtarzania. Ludzie dostali rozum, więc muszą myśleć i dyskutować, a tych sporów nie może rozstrzygać ogień stosów ani miecz, ani jakiekolwiek kary kościelne i wykluczenia. Błędne nauki rosną w siłę dopiero wtedy, gdy przysparza się im męczenników, a giną same, w naturalny sposób w trakcie uczciwych polemik. Może nie od razu, ale nieuchronnie. Podobnie przeminie i Kościół rzymski, a wy, młodzi duchowni, którzy zostaliście obdarzeni łaską powołania, macie przygotować wiernych na to, co przyjdzie potem!

Tu podniósł się ogólny krzyk, że potem to już tylko apokalipsa, bo jak Kościoła rzymskiego nie stanie, to niebo obowiązkowo wszystkim musi zawalić się na głowy! Ciekawe, że dokładnie to samo mówili wyznawcy starych indoeuropejskich religii, kiedy ich nawracano na wiarę chrystusową…

Oczywiście wszelkie wyrazy oburzenia, nakazy zamilknięcia i rozmowy dyscyplinujące spływały po Andrzeju jak woda po kaczce.

Jednak ta rozmowa po dobroci była już ostatnią…

– Niech ksiądz rozważy to spokojnie i rozsądnie – mówił surowo ojciec Wincenty, przysłany w charakterze wyższego autorytetu na miejsce brata Eligiusza, który uznał się za całkowicie bezsilnego wobec heretyckiego rozpasania konfratra Andrzeja.

W rękawie habitu ojca Wincentego znajdowała się włączona komórka, przez którą tej rozmowie przysłuchiwało się dwóch zasępionych mnichów oraz jeden prałat, siedzący w pokoju piętro niżej.

– Ksiądz majaczył w gorączce! – powtórzył z naciskiem stary redemptorysta i podniósł głos. – Ksiądz nie widział żadnych aniołów ani nie otrzymał żadnych objawień! To są księdza urojenia! Jest absolutnie niedopuszczalne, aby na tej podstawie gorszył ksiądz tutejszych nowicjuszy i kleryków oraz nakłaniał ich do nieposłuszeństwa władzom zakonnym

i kościelnym, wmawiając im, że ich powołanie zostało zmanipulowane! To jest postępowanie w najwyższym stopniu nieodpowiedzialne! Niechże się ksiądz wreszcie opamięta!

– Zatem majaczyłem…?

– Oczywiście! O ile mi wiadomo, to typowe przy tej chorobie…

Andrzej spokojnie spojrzał mu w oczy.

– Mój drogi ojcze, czy wobec tego majaczyłem także wtedy, gdy razem z tobą oglądałem zjawę podającą się za matkę naszego Zbawiciela?

Replika była nad wyraz celna.

– Niech ksiądz zamilknie!!! – Ojciec Wincenty zsiniał apoplektycznie. – Natychmiast! Ani słowa więcej! Milczeć! Milczeć!

– A któż zamknie usta prawdzie? Dlaczego, ojcze, wstąpiłeś na jawną służbę demonom? Czy nie zauważyłeś, jak bardzo zmienił się smak Ciała Pańskiego w twoich ustach?

Argumenty księdza Andrzeja byłyby druzgoczące i nie do odparcia, gdyby nie były adresowane do żywego potępieńca. Mówiłem mu to, ale tego akurat posłuchać nie chciał. Uważał, że każdy żyjący człowiek może się jeszcze nawrócić. Szlachetnie z jego strony, ale zupełnie wbrew prawdzie.

Ojciec Wincenty opanował się.

– Dobrze więc – powiedział zimno. – Chcesz, to odejdź z Kościoła! Nie ty pierwszy i nie ostatni. Zrzuć sutannę jak tylu innych i idź precz!

– Sam nie odejdę – odparł spokojnie Andrzej. – Nie zostawię wam na pastwę tych naiwnych, młodych ludzi, gdyż to dopiero byłoby w najwyższym stopniu nieodpowiedzialne. Muszę ich stąd wyrwać i znów skierować na drogę bożej służby. Muszę ich zaprowadzić do prawdziwego, duchowego kościoła wiary, którego kościół instytucjonalny jest całkowitym

zaprzeczeniem. Dlatego zostanę tutaj i będę nauczać, przynajmniej dopóki nie usuniecie mnie stąd siłą!

– Pycha przemawia przez ciebie, księże Andrzeju, i ona doprowadzi cię do wiecznego zatracenia.

– Wiem, kim jesteś, ojcze Wincenty, a ty z kolei wiesz dobrze, że ja to wiem. Wszystkie nasze karty są odkryte, zatem po co ta gra? Po co wygłaszasz kłamstwa zupełnie jawne dla nas obu?

Robił to, ponieważ jego dusza już spłonęła, księże Andrzeju. Nie było w nim żadnego dobra ani struny, którą jeszcze mógłbyś poruszyć, aby przebudzić jego sumienie. Powiedzieć, że ojciec Wincenty należał bez reszty do tego systemu, to było za mało. On był tym systemem! Jego zminiaturyzowaną kopią i lokalną częścią, martwym trybem, stwarzającym zaledwie pozór żywego człowieka. Był nieludzką bestią, którą ty, Andrzeju, nieroztropnie drażniłeś. Rozumiem jednak, że prorok nowego kościoła nie może zachowywać się rozsądnie ani rozważnie. No trudno.

– Myślę, że nie mamy już o czym rozmawiać. – Ojciec Wincenty ruszył do drzwi. – Będę się modlił o twoje nawrócenie.

– Nie bluźnij! – Andrzej zdenerwował się dopiero teraz.

Oczekiwał, że wkrótce po wyjściu Wincentego każą mu opuścić ten klasztor, więc zaczął pakować swój mizerny dobytek. Planował przenieść się do Jesiki, a potem głosić swoje objawienie przed drzwiami kościołów i domów zakonnych. Sutanny przy tym zdejmować bynajmniej nie zamierzał.

Nie podejrzewał jednak, jak daleko jest gotowa posunąć się druga strona. Nie chodziło im bowiem o rutynowe pozbycie się odszczepieńca i udawanie, że ksiądz Andrzej Słoniewicz przestał istnieć, przynajmniej dla nich. Andrzej stanowił zbyt poważną przeszkodę w planach Klimaszewskiej

i dlatego należało go wyeliminować. Zabić go Naczelny nie pozwolił, ale były jeszcze inne możliwości…

Kiedy ojciec Wincenty dołączył do swoich towarzyszy piętro niżej, decyzja była już podjęta.

– Bakteryjne infekcje centralnego systemu nerwowego często prowadzą do poważnych i trwałych powikłań neurologicznych – powtórzył mu swą opinię jeden z mnichów. – Wszystko wskazuje na to, że u księdza Andrzeja mamy do czynienia właśnie z takim przypadkiem. Na domiar złego chory wykazuje urojenia oparte na zaburzonej percepcji czasu i fałszywych wspomnieniach, co wskazuje na postępujący proces degradacji tkanki mózgowej. Jest zatem wielce prawdopodobne, że na podłożu infekcji meningokokowej zaczęła rozwijać się choroba psychiczna. Nie można wykluczyć też opętania.

– Drogi bracie doktorze, czy to może być niebezpieczne dla otoczenia? – zapytał zasępiony prałat.

– Bez wątpienia, szanowny ojcze! Ksiądz Andrzej chce zniszczyć naszą Matkę – Kościół, mówił to przecież przy wielu świadkach. Jest kwestią niedługiego czasu, kiedy przejdzie od słów do czynów.

– Zatem musimy zadbać o bezpieczeństwo współbraci i nowicjuszy?

– Jest to działanie konieczne i niecierpiące zwłoki.

Jakby się kto pytał, żaden z obecnych nie wierzył w ani jedno wypowiadane tutaj słowo. W najlepszym razie ich motywem było wyrachowanie płynące z zimnej nienawiści do heretyka.

– Wobec tego jakie środki zaradcze brat doktor może nam polecić?

– Wystawię recepty na haloperidol… – Mnich sięgnął po bloczek formularzy. – Natomiast pierwszą dawkę, tak się dobrze składa, mam przy sobie.

– Bogu niech będą dzięki!

Cóż… Jeślibyście chcieli wiedzieć, haloperidol jest bardzo skutecznym lekiem psychotropowym. Tak skutecznym, że aż można nim leczyć to, czego nie ma. W czasach Związku Radzieckiego szeroko wykorzystywano ten preparat do terapii „bezobjawowej schizofrenii”, którą wykazywali wszyscy wrogowie sowieckiego ustroju. Wszak nikt normalny i przy zdrowych zmysłach nie mógł być przeciw komunizmowi. Sam towarzysz Nikita Chruszczow tak powiedział!

Próbowałem w tym duchu obudzić sumienie brata doktora, ale on doskonale wiedział, co robi i czego chce, więc odbiłem się od jego umysłu jak piłka. Na wolną wolę, choćby i złą, nie miałem żadnego wpływu. Leokadia lub Jan Seweryn mogliby ewentualnie jeszcze poprzewracać tu jakieś stoły, zatrzaskiwać drzwi, robić przeciągi, a nawet kompletną demolkę w stylu pijanego poltergeista, ale zdecydowanie nie mieściło się to w planie Naczelnego.

Kwadrans później Andrzej dostał zastrzyk i zamienił się w błogo uśmiechnięte warzywo. Wbrew pozorom nie widział żadnego anioła. Natomiast mnie pozostała tylko ufność i anielska cierpliwość.

Postanowiłem więc sprawdzić, co słychać u Tiny-Aliny…

XXIII. Bocian i jaszczurka

Był pogodny, wiosenny dzień. Dwie dziewczynki ubrane w krótkie, lawendowe sukienki, kremowe pończoszki i niebieskie pantofelki bawiły się w ogrodzie na tyłach piętrowego dworku krytego czerwoną dachówką. Na poddaszu znajdowały się trzy okna, otwarte teraz na oścież. Co jakiś czas w którymś z nich pojawiała się zafrasowana kobieta o krągłej twarzy, przypominającej księżyc w pełni, i gładko zaczesanych do tyłu, płowych włosach. Wychylała się, szukała wzrokiem dzieci, a dostrzegłszy je, uspokojona wracała do swoich zajęć. Nie mijało jednak więcej niż pięć minut, kiedy pojawiała się znowu w tym samym lub sąsiednim oknie i z niepokojem lustrowała ogród. Choć wszystko wydawało się w absolutnym porządku, matka nigdy się nie uśmiechnęła. Przeciwnie, za każdym razem sprawiała wrażenie bardziej zdenerwowanej. Nie mogła powiedzieć sobie, że nie dzieje się nic złego, gdyż tego dnia takie słowa nie miały racji bytu, ale za nic nie chciała psuć córkom beztroskiej zabawy.

Starsza z dziewczynek miała osiem, a młodsza sześć lat. Od strony Warszawy od czasu do czasu dolatywał stłumiony pomruk armat, ale one, przyzwyczajone od maleńkości do znacznie głośniejszych wybuchów na pobliskim poligonie wojskowym w Rembertowie, zupełnie nie zwracały na to uwagi. Z zapałem zrywały rosnące na trawniku mlecze oraz stokrotki i splatały je w wianki. Tej wiosny zrobiły już wiele rozmaitych bukietów, dlatego dzikie kwiaty rosnące najbliżej domu były dokładnie wyzbierane. Te rosnące na klombach wolno było zrywać tylko na specjalne okazje, więc

siłą rzeczy, w miarę jak wianki stawały się coraz bardziej okazałe, obie dziewczynki oddalały się od dworku. Ich matka, zdając sobie z tego sprawę, specjalnie nie schodziła na parter. Widok z piętra był wprawdzie rozleglejszy, ale i droga do dzieci w razie czego znacznie dłuższa…

Tymczasem one chwilami zaczynały już znikać za krzewami kwitnących bzów w głębi ogrodu.

Młodsza z dziewczynek wykonała niezręczny ruch i niedokończony wianek rozsypał się jej i upadł na ziemię.

– Ojej! – zawołała płaczliwie, załamując rączki.

– Pomogę ci, Jadziu! – Starsza siostra kucnęła przy niej. – Nie martw się, zwiążemy to jeszcze raz… O tak! Widzisz? – Zaczęła naprawiać sploty.

– Dziękuję ci, Wandziu… – szepnęła młodsza dziewczynka.

Dochodziło południe. Wtem, gdzieś tuż obok, rozległ się dźwięk, jakby podjechał do nich niewidzialny samochód. Erro-rorrr… erro-rrorr!

– Co to?! – zawołały równocześnie, pytając jedna drugą. Za moment odłożyły kwiaty i zaczęły się rozglądać dookoła.

ERRRO-RORRR! – Teraz zabrzmiało to znacznie bardziej nagląco.

– Ptaszek! – Mała Jadzia okazała się bardziej spostrzegawcza i pokazała palcem na gałąź pobliskiego bzu. Siedział na niej ptak podobny do jaskółki, ale wyglądał, jakby był ulepiony z płatków rdzy. – Jaki on dziwny! I wcale się nie boi…

– To chyba jest lelek. – Wanda zmarszczyła brwi. – W szkole nasza pani od biologii mówiła, że lelki straszą w nocy…

– On jest trochę straszny – zgodziła się z nią młodsza siostrzyczka. W stwierdzeniu tym była jednak sama powaga, ani trochę lęku.

ERRRORORRR! Ptak zaburczał znowu, patrząc natarczywie na obie dziewczynki. Chrak! Chrak!

– Czy on coś do nas mówi? – dopytywała się Jadzia. – Chyba się na nas za nic nie gniewa, prawda, Wandziu?

Starsza siostra milczała. Nie wiedziała, co ma odpowiedzieć.

CHRAK! Lelek poderwał się z gałęzi i nagle okazało się, że jest ich tu znacznie więcej, ukrytych w trawie oraz pobliskich krzewach. Momentalnie wręcz zaroiły się wokół zaskoczonych dziewczynek. Wanda w pierwszym odruchu odskoczyła trzy kroki do tyłu i chciała uciekać do domu, ale zdała sobie sprawę, że przecież nie może zostawić młodszej siostry. Tatuś na pewno nazwałby takie zachowanie tchórzostwem!

Tymczasem Jadzia stała jak zahipnotyzowana. Po chwili w wielkim skupieniu zaczęła iść przed siebie, w kierunku, z którego najwyraźniej uciekały ptaki. Wanda zebrała się na odwagę, wzięła siostrę za rękę i obie weszły za następną kępę bzów.

Kilkanaście kroków dalej stała obca dziewczynka, rówieśniczka Wandy, o bardzo dziwnych oczach. Ubrana była znacznie biedniej od obu sióstr. Nie ruszała się, nic nie mówiła, tylko natarczywie się w nie wpatrywała.

– To jest nasz ogród! – zakomunikowała jej z powagą Wanda. – Kim ty jesteś i jak tu weszłaś?

Odpowiedzi nie dostała. Za to w trawie u stóp obcej dziewczynki coś się poruszyło. Jakby jakiś wąż…

– Tutaj nie wolno wchodzić obcym! – rozgniewała się Wanda. – Jak sobie zaraz stąd nie pójdziesz, to powiem mojemu tacie! On jest marszałkiem Polski!

– Ale tatuś wyjechał – wyrwało się Jadzi.

– To powiemy mamie! – tupnęła nogą skonfundowana Wanda. – Chodź, Jadziu! – Pociągnęła siostrę za rękę.

Jadwiga z zaskakującą siłą i stanowczością uwolniła dłoń, a następnie postąpiła w kierunku intruzki. Zdumiona Wanda wahała się tylko chwilę.

Podjęła decyzję i pobiegła do domu powiadomić dorosłych o wtargnięciu.

Tina-Alina i Jadwiga Piłsudska zostały same.

Młodsza marszałkówna czuła, że dzieje się coś bardzo dziwnego, ale nad strachem przeważała ciekawość i jeszcze coś, jakaś ekscytacja, której nie potrafiłaby na razie ująć w słowa. Dopiero po latach powiedzą jej, że po ojcu odziedziczyła żołnierskie męstwo.

– Chcę twojego życia – powiedziała matowym głosem Tina-Alina – bo moje mi zabrali.

– Jesteś duchem? – spytała naiwnie Jadzia. Nadal bardziej zaintrygowana niż wystraszona. – Takim prawdziwym? Jak z bajki? I ktoś ci zrobił coś złego?

– Weź! – rozkazała Tina-Alina, spoglądając pod swoje nogi. – Idź! Weź!

Poroniec posłuchał rozkazu swojej królowej, ale z wyraźnym trudem. Nie potrafił wzbić się w powietrze, jakby przeszkodziła mu w tym przyciskająca go do ziemi niewidzialna szyba. Zaczął więc pełznąć w kierunku małej Jadwigi, trzymając się cieni pod kępami trawy.

– Masz jaszczurkę? – dopytywała się dalej zaciekawiona dziewczynka. – Taką oswojoną? I ona cię słucha jak piesek?

Pełznący poroniec przebył połowę drogi.

– Ona jest trochę jak małpka… – Jadzia zwróciła uwagę na nietypowy wygląd stwora. – Taka dziwna małpka… ze skrzydełkami…

Oczy młodszej marszałkówny rozwarły się szeroko, kiedy spod stóp obcej dziewczynki zaczęły wychodzić kolejne skrzydlate jaszczurki, wszystkie zmierzały ku niej. Teraz zrobiło się naprawdę strasznie, ale Jadzia nie zdążyła nic zrobić.

Rozległ się głośny szum i łopot skrzydeł, po czym na trawniku pomiędzy dzieckiem a demonem wylądował bocian. Nie spłynął z nieba łagodnie, jak leżało to w zwyczajach tego gatunku, lecz spadł gwałtownie

niczym atakujący jastrząb. Omal się przy tym nie przewrócił, ale zdołał odzyskać równowagę i pewnie przydepnął długą nogą porońca znajdującego się najbliżej wystraszonego dziecka. Chwilę potem zdecydowanie uderzył dziobem w głowę potworka raz, drugi i trzeci. Poroniec zakwilił jak niemowlę, po czym zamarł, wydając cichnący pisk. Bocian podniósł go do góry i połknął, a następnie zwrócił się w stronę Tiny-Aliny. Zasyczał na nią gniewnie, jednocześnie osłonił małą Jadwigę szeroko rozpostartymi skrzydłami. Pozostałe porońce wycofały się w popłochu i znikły w ziemi pod stopami swojej pani.

– Zły! – powiedziała demoniczna dziewczynka do bociana. – Nie lubię cię! Zniszczę i spalę twoje gniazdo! – Wbrew własnej groźbie zrobiła krok do tyłu, tylko jeden, ale zdawało się, jakby w tym momencie oddaliła się o dobre kilkadziesiąt metrów.

Bocian zaklekotał triumfalnie. Tina-Alina wciąż oddalała się i malała, wyglądała, jakby znalazła się w perspektywie odwróconej lornetki. Wreszcie znikła zupełnie.

– Jadziu! – Zza kępy kwitnących bzów wybiegła zdenerwowana Aleksandra Piłsudska i przyklękła przy córce. – Bogu dzięki! Co się tu stało?! – wyrzuciła z siebie. – Gdzie jest ta obca dziewczynka?

– Poszła sobie. – Jadzia zmarszczyła czoło. – Gdzieś tam… – zrobiła nieokreślony ruch ręką.

– Ale gdzie?! W którą stronę poszła?

Mała wzruszyła ramionami. Nie wiedziała, jak się pokazuje kierunek w czwartym wymiarze.

– Już dobrze – matka przestała nalegać. – A ten bocian? – Popatrzyła na ptaka uważnie i uśmiechnęła się pierwszy raz tego dnia. – Czy on ci może coś przyniósł, córeczko?

Młodsza marszałkówna pokręciła przecząco główką.

– Nie miał w dziobie jakiejś zielonej witki albo źdźbła? – zapytała Aleksandra. – Na pewno nie miał?

– Nie, mamusiu, ale… – mała Jadzia nie dokończyła wypowiedzi, gdyż w tym momencie zjawił się wystrojony w galowy mundur oficer dowodzący ochroną dworku w Sulejówku. Na widok pani domu oraz jej córki w towarzystwie stroszącego pióra bociana w pierwszej chwili stanął jak wyryty.

– Obdzwoniłem wszystkie posterunki straży, proszę pani komendantowej! – zameldował, opanowawszy zaskoczenie. – Nigdzie nie widziano żadnej obcej dziewczynki. Nikt na pewno nie przedostał się przez parkan willi.

– Jednak moje córki kogoś widziały – odparła oschle Aleksandra Piłsudska. – A pan kapitan obiecywał mi, że nawet mysz się tu nie prześlizgnie…

Oficer poczerwieniał, ale nie opuściła go pewność siebie.

– Widziano tylko tego boćka, kiedy przelatywał nad ogrodzeniem. Naprawdę nic więcej, proszę pani komendantowej. Może to ptaszysko tak wystraszyło panienki? Mogły sobie pomyśleć, że ktoś czai się w zaroślach, a on tymczasem tu sobie polował na żaby… – Spojrzał wyczekująco na dziewczynkę, wyraźnie licząc na potwierdzenie hipotezy.

– To nie była żaba, panie oficerze – sprostowała z powagą mała Jadzia. – To była jaszczurka! Taka ze skrzydełkami i miała oczka jak małpka. Wyglądała troszkę strasznie, ale pan bocian ją upolował i zjadł.

– Ależ te dzieci mają fantazję! – Kapitan uśmiechnął się z wysiłkiem. Nie odważył się powiedzieć nic więcej, ale na końcu języka miał sugestię, że młodsza marszałkówna najwyraźniej zbyt długo przebywała na słońcu.

Pani domu postanowiła zakończyć spór i sama wpadła na to rozwiązanie. Z troską położyła córce dłoń na czole i uważnie

popatrzyła jej w oczy.

– Jadwiniu, jesteś cała rozpalona! Chyba powinnaś sobie trochę odpocząć w cieniu.

– Wcale nie jest mi gorąco! – zaprotestowała dziewczynka.

– Jednak chodźmy do domu! – ucięła dyskusję matka.

– Jeżeli mógłbym coś doradzić, proszę pani komendantowej… – w głosie dowódcy ochrony zabrzmiała prawdziwa troska. – Byłoby lepiej, aby pani i panienki przynajmniej na razie nie wychodziły… Sytuacja w Warszawie od wczoraj bardzo się skomplikowała – zniżył głos tak, by nie usłyszało go dziecko. – Przybyły nowe oddziały rządowe… – przerwał i dokończył już szeptem: – Walki uliczne się nasilają.

– Rozumiem. – Aleksandra Piłsudska zmarszczyła brwi. – Obiecuję, panie oficerze, że nie będziemy już sprawiać więcej kłopotów. Jadwiniu, proszę, zabierz swoje kwiatki do domu! Tam zrobimy wianek, a potem sobie coś poczytamy.

– Ależ to nie była żaba! – powtórzyła z uporem nadąsana dziewczynka.

– Jak sobie panienka życzy! – Oficer strzelił obcasami i zasalutował jej teatralnie. – Według rozkazu! Jaszczurka ze skrzydełkami, czyli taki mały smok, którego zjadł bocian… Tak dokładnie słowo w słowo napiszę w raporcie dla pana komendanta!

Poczekał aż matka z córką się oddalą. Szybko zdjął z głowy rogatywkę.

– Poszoł won, cholero jedna! – zamachnął się czapką na bociana. – A sio!

Ptak ani myślał uciekać! Tylko rozdziawił dziób, jakby się z pana kapitana śmiał.

– E tam…! – Oficer zrezygnował z dalszego wojowania z upartym ptaszyskiem. W końcu miał na głowie o wiele pilniejsze sprawy. Włożył

z powrotem czapkę i ruszył szybkim krokiem na wartownię przy bramie willi w Sulejówku.

Przed tylnymi drzwiami dworku mała Jadwiga nagle przystanęła.

– Mamusiu, a czy kiedy tatuś wróci, będę mogła mu sama opowiedzieć o bocianie i jaszczurce?

Kobieta posmutniała gwałtownie, kucnęła i przytuliła dziewczynkę.

– Raczej nie, córeńko. Tatuś wróci bardzo zmęczony i lepiej go wtedy niczym nie martwić. Ostatnio tatuś ma dużo trosk.

– Wiem, mamusiu – powiedziała Jadzia z wielką powagą. – To są sprawy wagi państwowej!

– Tak, kochanie.

– A więc to będzie nasz sekret – zdecydowała dziewczynka. – Mój, twój i Wandzi.

Aleksandra Piłsudska odetchnęła głębiej, uśmiechnęła się i pocałowała córkę w policzek.

– Dobrze, Jadwiniu. To będzie nasz wielki sekret…

XXIV. Lekcja pryncypiów antypolonizmu

– Ani myślę wyjeżdżać do żadnej Ameryki! – oznajmiła rozłoszczona Jesika. – Tu mnie dobrze!

– Chciałaby pani zatem zrezygnować z tej posady? – Profesor Pieduszyński do drugiej rozmowy ze swoją przyszłą asystentką był już znacznie lepiej przygotowany i właśnie zamierzał wziąć mały odwet. Czuł się pewniej, ponieważ do tej pory zdołał uzyskać kilka dodatkowych informacji, które miały wartość asa w rękawie. Wprawdzie nadal podejrzewał, że ma do czynienia z ukrywaną córką biskupa, co więcej, utwierdził się w tym przekonaniu, ale już wiedział, że ewentualny tatuś i jego koledzy z pracy się nie obrażą, jeśli nie będzie traktować tej panny z przesadną atencją.

Spotkali się tym razem na bardziej neutralnym gruncie, czyli w pubie Harenda, przy bocznej bramie Uniwersytetu Warszawskiego. Wprawdzie tu też mogli zauważyć pana profesora jacyś studenci, ale za to Jesika nie była w tym miejscu aż tak szokującym zjawiskiem jak w szacownym przybytku kultu rotacji Koła Wiedeńskiego i wpisów do indeksów. Zresztą, nawet tam nie byłaby już zbyt egzotycznym gościem. W ostatnich dniach Leokadia solidnie popracowała nad jej gustem i dziewczyna wyglądała teraz prawie normalnie. Oczywiście za studentkę nadal nikt by jej nie wziął, przynajmniej na trzeźwo, ale za ekscentryczną kuzynkę z prowincji mogła już uchodzić. Profesor zamówił dla nich po coli, więc spotkanie wyglądało tym bardziej niewinnie.

– No nie tam! – Jesika spuściła z tonu. – Robota się przyda, ale po co zaraz do Ameryki, panie psorze?! Ja tutaj mam swoje sprawy.

– Wie pani, trochę się dziwię, że nie chciałaby pani wyjechać do Stanów. Wielu ludzi o tym marzy. – Profesor rozparł się wygodniej na piwnej ławie, by bardziej komfortowo delektować się zemstą. – Ten wyjazd oznaczałby duże dochody dla nas obojga…

Zwłaszcza po sprzedaniu Jesiki do burdelu. Na razie ten plan nie był jeszcze ostatecznie dopracowany, ale Pieduszyńskiemu obiecano kontakt z dobrymi włoskimi katolikami, którzy pozbawią go problemu, gdyby dziewczyna stała się dla niego zbyt uciążliwa. Oczywiście żadna fizyczna krzywda, broń Boże!, jej się nie stanie. Po prostu dostanie zajęcie, które poniekąd lubi… Bóg z nią.

– Mam tu chłopaka – postawiła sprawę jasno.

– Wiem, że ten pani chłopak jest księdzem.

– No i co z tego? – speszyła się, ale nadrabiała miną.

– Niektórych mogłoby to zgorszyć – uśmiechnął się kpiąco.

– Powiedzieli mi, że on nie żyje, ale ja im nie wierzę i chcę go odnaleźć – zdobyła się na szczerość.

– Powiem to wprost. Sama przeciw całemu Kościołowi ma pani bardzo niewielkie szanse. Właściwie żadne.

– Mnie nie trzeba mówić, co znaczą kasa i znajomości… – tu chciała powiedzieć coś o swoich kontaktach z aniołami, ale w porę ugryzła się w język, tym razem sama, bez udziału Leokadii. – Ale tak sobie kombinuję, że dobrze będzie, jeżeli na niego poczekam w domu. W końcu go wypuszczą albo sam ucieknie i powinien mieć u mnie gotową metę.

– Nie wypuszczą – oznajmił krótko mężczyzna. – Przynajmniej dopóki pani będzie w Polsce.

– Pan psor coś o nim wie? – spojrzała z nadzieją.

Pieduszyński pochylił się do niej konfidencjonalnie.

– A czy wie pani, że ja też tych czarnych nie lubię?

– Przecież pan psor z nimi trzyma sztamę.

– Żyć trzeba – odparł z rozbrajającą szczerością. – Ale denerwuje mnie, kiedy oni traktują mnie jak swojego lokaja czy chłopca na posyłki, a niekiedy wręcz jak zabawkę. Czasem mam ochotę zrobić coś, co pozwoliłoby mi odzyskać trochę godności, to jest poczuć się jak człowiek…

– Pan coś wie! – tym razem nie pytała, lecz stwierdziła.

– Pani pomoże mnie, a ja pomogę pani – rozpostarł przed nią niewidzialny cyrograf.

– Zobaczymy… – mruknęła sceptycznie.

– Ksiądz Andrzej przebywa w izolatce otumaniony lekami psychotropowymi i tak będzie, dopóki pani nie opuści kraju. Wtedy go wypuszczą, a ja zadbam, aby ktoś się nim zajął w trakcie naszej nieobecności. Potem pani wróci z dobrymi pieniędzmi i będziecie mogli ułożyć sobie nowe życie. To wszystko przy okazji działalności patriotycznej, która da pani zasługę wobec narodu i historii. Jak się pani podoba ten plan?

– Może być… A w jaki sposób ja mam pomóc panu psorowi?

– Dołoży pani wszelkich starań, żeby moi zleceniodawcy nabrali do mnie większego zaufania jako do człowieka, który potrafi rozwiązywać ich problemy. Krótko mówiąc, nie będzie pani mi robić trudności ani niczego komplikować. Będziemy sprawiać wrażenie, że wszystko idzie zgodnie z ich planem. To się opłaci nam obojgu. Chyba że ma pani lepszy pomysł… – popatrzył wyczekująco.

Kłamał jak z nut, ale skąd ona miała o tym wiedzieć?

– Zgoda, wspólniku – wyciągnęła rękę.

– Bardzo mi miło! – odwzajemnił uścisk i uśmiechnął się szeroko. – A teraz zajmijmy się pani świadomością narodową… – Wyciągnął z teczki plik zadrukowanych kartek oraz kilka broszur bijących po oczach natłokiem symboli patriotycznych.

– Ja mam to wszystko przeczytać?! – Jesika szeroko otworzyła oczy. Błysnęła w nich autentyczna zgroza.

– Przynajmniej przejrzeć – uspokoił ją szybko. – A na razie wytłumaczę pani podstawowe sprawy.

– No, chyba że tak… – Wciąż patrzyła nieufnie na papierzyska.

– A zatem… – Odchrząknął energicznie, żeby nie powiedzieć „szczęść Boże”, od czego zwykł zaczynać swoje wykłady. – Czy pani wie, że nas, Polaków, nienawidzą? – zaczął z emfazą.

– Ale kto?! – Jesika zatrzepotała rzęsami. – I za co?

– Za to, że jesteśmy Polakami – odparł ponuro profesor Pieduszyński. – Jesteśmy im solą w oku, dlatego oni wciąż nieustannie sypią nam w oczy sól i piasek!

Jesika nie dostrzegła w tym zdaniu błędu stylistycznego, przez co zabrzmiało ono w jej uszach niebywale tajemniczo i ekscytująco. Ta poznawcza głębia w leksykalnym mroku przyprawiła ją o metafizyczny dreszcz.

– Obmawiają nas, oczerniają i opluwają, kiedy tylko mogą! – kontynuował profesor, z każdym słowem pałając coraz świętszym oburzeniem. – Proszę sobie wyobrazić, że potrzebowałem aż trzydziestu lat, żeby zapoznać się z całą antypolską literaturą wydawaną na Zachodzie!

Trzydzieści lat czytania… To naprawdę mocno podziałało na wyobraźnię Jesiki. Znalazła się na pograniczu szoku kulturowego, a profesor nawijał:

– Byliśmy i jesteśmy wręcz znienawidzeni! I ta nienawiść jest wciąż kierowana przeciwko nam! Wciąż piszą przeciwko nam plugawe książki i artykuły w tych swoich gazetach, zwłaszcza amerykańskich.

W tym momencie zaniepokojona Leokadia poprosiła mnie o bliższe wyjaśnienia. Wszedłem więc profesorowi w słowo i zwolniłem jego czas, żeby móc wygłosić komentarz.

W kwestii faktów nie było się o co spierać, rzeczywiście nie mieliśmy i nie mamy w Stanach specjalnie dobrej prasy, ale wypadałoby zacząć od siebie i zapytać, co takiego wielkiego, pięknego i godnego podziwu tam zrobiliśmy? Od dwustu lat nic tylko Kościuszko i Pułaski, Pułaski i Kościuszko… Plus ewentualnie Ralph Modjeski. Owszem, jeśliby dobrze poszperać w annałach, to jeszcze trochę bohaterów i zacnych ludzi by się znalazło, ale problem polega na tym, że w Stanach mało kogo uczą polskiej historii. Mają swoją, nawet całkiem fajną. I własne spojrzenie na świat. Przykładowo, dla nich druga wojna światowa zaczęła się nie w 1939 roku, ale dwa lata wcześniej atakiem Japonii na Chiny. Zresztą takich Japończyków też długo traktowano z lekceważeniem i pogardą, ale oni zamiast wygłaszać w podziemiach świątyń szinto płaczliwe wykłady na temat rasistowskiego antyjaponizmu i pławić się w swoich kompleksach, potrafili zadziwić Amerykanów oraz całą resztę świata elektroniką, samurajskimi mieczami i parzeniem herbaty. Ba, nawet z surowej ryby z ryżem owiniętych frędzlami z wodorostów zrobili globalny hit. Nam się po prostu nie chciało, więc z jakiej racji mamy obwiniać innych o własne zaniedbania?

Do tego w wolnym kraju każdy może mówić albo pisać, co chce, i nie ma obowiązku wszystkich lubić. Głupców także nie sieją, ale to jeszcze nie powód, żeby ich demonizować. Lepiej po prostu przestać im pomagać i nie dostarczać argumentów. Kiedy zwykły Amerykanin idzie sobie ulicą i widzi

Japończyka, jest to przeważnie zbzikowany turysta, fotografujący wszystko jak leci. Natomiast najczęściej spotykany typ Polaka to pracownik fizyczny bez wykształcenia i obycia, mówiąc delikatnie, bo dosadniej aniołowi ujmować tej sprawy nie wypada. Na złośliwe kawały o Polakach sami sobie zapracowaliśmy, robiąc za oceanem wiochę, częstokroć jeszcze gorszą niż u siebie w parafii, bo tam trzeba uważać, co ludzie i dobrodziej sobie pomyślą.

No, ale wróćmy do improwizowanego wykładu pana profesora.

– Traktują nas jak parobków i gardzą nami! – gadał z oburzeniem. – I to jest właśnie skutek publikowania tych wszystkich antypolskich paszkwili. Zachodni pracodawca przeczyta jedną i drugą antypolską książkę, do tego artykuł w gazecie i potem traktuje polskiego pracownika jak ostatniego śmiecia. Dlatego naszym zadaniem, pani Jesiko, kiedy tam pojedziemy, będzie tłumaczyć ludziom, dlaczego taka wielka krzywda im się dzieje. Żeby wiedzieli i dobrze rozumieli cały mechanizm tych ohydnych zakulisowych manipulacji. Żeby mogli się bronić i zachować na obczyźnie polską godność. To jest nasza misja!

Dużo taniej by wyszło, przekazałem Leokadii, zaimponować amerykańskiemu szefowi solidnością i sumiennością w pracy, a ponadto zapałem w nauce języka angielskiego i nowych kwalifikacji. Wydać pieniądze na jakiś podręcznik, a nie na bilet na wykład oraz broszury profesora Pieduszyńskiego, a potem jeszcze na flaszkę, żeby się na koniec upić z żalu, że tak nas niesprawiedliwie gnębią.

Leokadia ze swej strony przetworzyła moje informacje w uczucie sceptycyzmu, które sączyła delikatnie w umysł Jesiki. W efekcie dziewczyna przyjęła wywód Pieduszyńskiego do wiadomości, ale nie dała sobie namącić w głowie. Ba, sama zaczęła kombinować na swój sposób.

– Krzyżacy, zaborcy, masoni, oni wszyscy za wszelką cenę chcieli nas, Polaków, zniszczyć, a najbardziej znienawidzony przez nich był zawsze Kościół katolicki! Antypolonizm przyjmuje jeszcze inne bardzo różne aspekty, którymi teraz nie będę pani męczyć. Powiem tylko, że jednym z nich jest psucie języka polskiego.

Ha! Posłuchajcie tylko, jakim językiem mówią księża w kościołach! Jak kaleczą odmianę polskich nazwisk i składnię zdań!

Pan psor zaś kontynuował:

– Dam na to przykład, który, jak sądzę, najlepiej do pani przemówi, proszę się nie obrażać. Otóż, niech pani sobie wyobrazi, że kiedyś w języku polskim, w staropolszczyźnie nie było wulgaryzmów! Ani jednego!

Tak, tak! Słuchajcie, słuchajcie! Profesor Pieduszyński naprawdę serio takie rzeczy wygaduje po kościołach. W tej kwestii wszakże pomoc moja i Leokadii nie była potrzebna.

– No ale, panie psorze – Jesika zaoponowała sama z siebie – przecież ten poeta, no, ten Kochanowski pisał coś, jakieś te, fraszki chyba, o kurwie w domu i o sraniu za denara. To wtedy nie były jeszcze wulgaryzmy? – Spojrzała na Pieduszyńskiego oczętami pełnymi *sancta simplicitas*, czyli świętej naiwności.

O Panie Boże, kocham tę dziewczynę! I to znacznie bardziej, niż aniołowi przysługuje! Nabrałem ochoty na ognistego całusa, oczywiście pod jemiołą…

– Tak – odparł pan profesor bez zająknienia i krzty przyzwoitości. – Tak, to wtedy jeszcze nie były wulgaryzmy. Język polski był czysty i niewinny.

Wiecie, w takich chwilach, wobec tak cynicznego łgarstwa i skurwysyństwa anioł zaczyna żałować, że został zbawiony! Gdybym żył, po prostu dałbym łobuzowi w mordę. Gdybym zaś był demonem, mógłbym

go opętać albo przynajmniej poddusić w nocy jako zmora. A tak musiałem być miły i… i…

Komedia w ułamku sekundy zmieniła się w horror.

Oberwałem znienacka, aż mnie zaćmiło.

Złe wspomnienia, o których nie chciałem pamiętać po tej stronie śmierci, nagle zbudziły się i z impetem włamały do świadomości. Już ją deptały! Pogarda dla prawdy… Bezmiar pogardy dla prawdy. Bezgraniczna drwina z dobra, słuszności, mądrości i piękna. Ocean tępego szyderstwa, który mnie przytłaczał, zalewał i utopił za życia. Znowu to wiedziałem! Że jako człowiek żyłem w intelektualnej samotności, jakby na bezludnej wyspie, otoczony zewsząd przez bełkot zadowolonych z siebie, rechocących bez końca półgłówków. To było moje największe cierpienie, którego doznałem w doczesności. Za małe? O nie, dla kogoś kochającego rozum, jasność, logikę, piękno implikacji i kojarzenia faktów, wcale niemałe. Na zwykły ból starczy morfina. Kiedy depczą twoje perły, to, w co najbardziej wierzysz, źródło twojej największej egzystencjalnej radości, tego bólu nie złagodzi nic. Staje się tym większy, im więcej wiesz i widzisz. Przetrwałem to, dlatego zostałem aniołem, ale pamiętać o tym nie chciałem. Za nic!

To, że teraz oberwałem wspomnieniami, nie było karą za nadmiar mojej pewności siebie. Stał za tym zamysł Naczelnego. Profesor Piotr Pieduszyński był opętany, lecz ani mnie, ani Leokadii dotąd nie dane było dostrzec jego demona. Nawet teraz, w momencie gdy wyskoczył z gładko wypowiedzianego kłamstwa i z zaskoczenia wbił mi pazury w najwrażliwszą część umysłu, wciąż go nie poznawaliśmy. A on rył tam, gdzie bolało najbardziej. Bo kłamstwo boli anioły. Zwłaszcza te od dobrej rady, wyjątkowo wyczulone na prawdę. Jeszcze chwila, a osobisty demon Pieduszyńskiego wydarłby ze mnie moje imię, a wraz z nim całą resztę

mojej ludzkiej tożsamości, której mimo wszystko dotąd nie chciałem porzucić. Dla świadomości anioła był to balast nie do udźwignięcia, więc traciłem anielską świadomość i półprzytomny, bezwiednie osuwałem się w otchłań kosmosu.

Na szczęście Leokadia była obok i tym razem to ona wyciągnęła mnie z rozwierającej się pode mną bezdennej studni, pełnej wirujących galaktyk.

Już dobrze… szeptała, *już dobrze… dobrze…* Jej szept był jak nić Ariadny, która przywiodła mnie do zdrowych zmysłów. Po godzinie ziemskiego czasu ocknąłem się na podłodze Harendy, z głową na kolanach Leokadii.

Siłą rzeczy umknęła mi pozostała część wywodów profesora, ale sądząc po jego zadowolonej minie, pranie mózgu Jesiki przebiegło pomyślnie. Nic dziwnego, skoro zostawiliśmy ją samą na pastwę dwóch podłych inteligencji, w tym jednej demonicznej. Cóż, nie zawsze się wygrywa, nawet po tej stronie śmierci… Tyle dobrego, że anioły łatwo i szybko godzą się z rzeczywistością.

– Proszę to bardzo uważnie i jak najszybciej przeczytać – Pieduszyński podsunął dziewczynie swoje broszury.

Tym razem perspektywę mozolnej, przyprawiającej o ból głowy lektury Jesika przyjęła bez oporów.

– Tak, panie psorze.

– Przy następnym spotkaniu omówimy szczegółowo pani rolę podczas moich wykładów. Myślę, że powinna pani być przede wszystkim sobą, a więc młodą, prostą współczesną kobietą, która odnalazła powrotną drogę do swoich narodowych korzeni i wyzwoliła się spod niszczącego wpływu oświeceniowych ideologii…

Koncepcja narodu to też idea oświeceniowa! – próbowałem jeszcze oponować, ale było już za późno. Sceptycyzm przekazany wcześniej przez

Leokadię ustąpił w umyśle Jesiki miejsca głębokiej fascynacji nowymi horyzontami wiedzy. Stała się gorliwą neofitką.

– Będzie pani taką jakby współczesną Marią Magdaleną, nawróconą ze stanu narodowej degradacji i nieświadomości.

– Tak, panie psorze… – powtórzyła jak zahipnotyzowana.

– Za kilka dni ruszymy w trasę po Polsce, podczas której wypróbujemy i doszlifujemy pani umiejętności teoretyczne i aktorskie, a potem hajda za ocean! Teraz, jeśli pani pozwoli, odprowadzę ją na przystanek.

– Proszę bardzo, panie psorze.

Kiedy wyszli, Leokadia pomogła mi się pozbierać. Czułem się dużo gorzej niż po czarnym egzorcyzmie. Chciało mi się rzygać. Tak, zupełnie po ludzku.

XXV. Przewodniczka

Jarogniew Skoczybłoto jak zwykle siedział sobie na przyzbie i patrzył prosto w słońce.

Wszystko wokół niego działo się po staremu. Czas zataczał kolejny bezpieczny krąg powtórzeń. Szczyrbka krzątała się w chacie przy ogniu, w towarzystwie najstarszych córek, które na dniach miały dostąpić ziemskiego wcielenia. Pozostałe dzieci-dusze w milczeniu biegały po podwórzu. Nie było słychać śmiechu, ale czuć było ich radość wypełniającą całe obejście. Bawiły się we własną grę, polegającą na gonieniu za trzmielem, który miał gniazdo pod południowym narożem domostwa. Żeby zdobyć punkt, należało owada zamknąć w dłoniach i zaraz wypuścić. Trzmiel znosił to cierpliwie, nie odlatywał ani za wysoko, ani za daleko i nie żądlił, tylko błyskawicznie lawirował pomiędzy wyciągającymi się zewsząd ku niemu dziecięcymi rączkami. Rzecz jasna nie był zwyczajnym owadem, tylko wcieleniem duszy jarogniewowego praprzodka, żyjącego tak dawno, że jego imię zaginęło już nawet w zaświatach.

Bocian wyleciał wprost ze słońca, zatoczył krąg nad obejściem Skoczybłotów, po czym miękko spłynął na dach kurnej chaty. Pomachał jeszcze skrzydłami, jakby rozluźniał mięśnie po wysiłku, po czym złożył je i głośno zaklekotał. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie to, że ptak przyleciał za wcześnie. Spodziewali się go dopiero trzeciego

poranka, licząc od dziś. A zatem nie przybył po duszę któregoś z dzieci, lecz z inną sprawą.

Wszyscy natychmiast pojęli, z jaką. Zabawa na podwórzu ustała momentalnie, a Szczyrbka wyszła na próg, wycierając ręce w fartuch.

Jarogniew energicznie klepnął się dłońmi po udach.

– Matka, trza nam iść w ony cas! – oznajmił.

– Ano trza – zgodziła się z nim żona. – Potrzebne my im.

Najstarszy syn puścił się pędem do chaty. Zaraz pojawił się z powrotem, wynosząc bojowy czekan, który podał ojcu. Jarogniew wstał z ławy i spróbował kciukiem ostrza, a ono w tym momencie rozjarzyło się białym blaskiem.

Szczyrbka zdjęła fartuch, przygładziła suknię. Bocian sfrunął z dachu na podwórze i popatrzył wyczekująco na oboje gospodarzy. Dzieci-dusze zaczęły jedno po drugim wchodzić do chaty.

– Ostańta z bożentami! – powiedziała z powagą Szczyrbka, gdy weszła ostatnia dusza i starannie zamknęła dom. Natychmiast pośrodku drzwi usiadł trzmiel i znieruchomiał jak namalowany.

– I niechaj was wsytkie bogi strzegu! – dodał Jarogniew.

Z cienia pod ławą wypełzła szara, kostropata ropucha i usiadła na progu domu, zwracając pyszczek ku słońcu. Równocześnie spod okapu strzechy, do połowy długości ciała opuścił się wąż Eskulapa, zawisając jak żywy hak nad trzmielem i ropuchą. On też zwrócił łeb ku Swarogowemu obliczu.

Jarogniew i Szczyrbka pokłonili się nisko trojgu strażnikom domu oraz potomstwa, a następnie zwrócili się do bociana.

– Prowadź nas, boćku, w onum droge – polecił Jarogniew.

Ptak pokazał dziobem kierunek i ruszył przodem, stawiając długie, majestatyczne kroki.

Ledwie wyszli poza obręb zagrody, słońce nad nimi zgasło.

Zapadła głęboka bezgwiezdna noc, w której zupełnie zatraciły się niebo i ziemia. Dwoje ludzi i bocian nie zawisło jednak w próżni. Chociaż nie mieli nic pod stopami, wędrowali pod górę. Czuli, jak wokół wznoszą się warstwy dziejów. Wspinali się po mrocznym stoku czasu, ku przyszłości, która także już przeminęła.

Po godzinie marszu w ciemnościach przed sobą zobaczyli czerwony blask. Był to krwawy zachód słońca nad Warszawą 10 kwietnia 1455 roku. Przemieścili się dokładnie o 343 lata. Mierząc zaś odległość w przestrzeni, przebyli drogę ze Szczęśliwic w obręb murów Barbakanu, do zbiegu ulic Piekarskiej i Żydowskiej, na których szalał właśnie pogrom mieszkających tu Żydów.

Pogańscy aniołowie objawili się w samym środku tumultu, wśród wycia gawiedzi, rozpaczliwego zawodzenia ofiar oraz spadających kamieni i drewnianych belek. Właśnie rujnowano stojącą w tym miejscu bożnicę, której władze miasta nie pozwoliły podpalić, aby ogień nie przeniósł się na sąsiednie domy, więc tłum rozbierał budynek ręcznie, w gorączkowym amoku rozwlekając belki, deski, elementy wyposażenia i rozrzucając wszystko, gdzie popadło. Żydowskie domy i kramy splądrowano już wcześniej.

Bezmiernie zdumiony Jarogniew oparł się na czekanie i rozglądał się wokół z niedowierzaniem. Czekał na objawienie, które wyjaśni mu, co też się tutaj wyrabia. Zaniepokojona Szczyrbka na wszelki wypadek wzięła na ręce bociana i przycisnęła go do piersi. Na razie jednak nic im nie groziło. Nie widziano ich.

To tego dnia posiano w Warszawie ziarno nienawiści, które za siedemdziesiąt lat miało obrodzić trwałą klątwą Klimaszewskiej i Piekarki. Najpierw skrzywdzono obcych, potem zabrakło litości dla swoich. Tego dnia zdeptano i ogłuszono sumienia, ostatecznie przekreślając

pięć stuleci, podczas których na Mazowszu w zgodzie, a przynajmniej w pokoju, żyli obok siebie wyznawcy starych i nowych bogów.

Warszawski pogrom Żydów był zatrutym owocem misji świętego Jana Kapistrana, zwanego też „Biczem na Hebrajczyków”, który jako wędrowny kaznodzieja szedł przez średniowieczną Europę niczym piechur apokalipsy, szeroko siejąc nienawiść i zbiorowe opętanie, zostawiając za sobą stosy, na których po równo płonęli ludzie oraz książki do płochego czytania. Do Warszawy Jan Kapistran osobiście nie dotarł, ale wystarczyła sława jego fanatycznych kazań, powtarzanych skwapliwie przez konfratrów bernardynów. W Krakowie królewski autorytet Kazimierza Jagiellończyka sprawił, że wizyta piekielnego mnicha skończyła się jedynie paleniem kości do gry, klawikordów i nieprzystojnej literatury w rodzaju *Powieści o Róży*. Żydowski Kazimierz ocalał. Natomiast warszawska regentka, księżna Barbara Olelkówna wykazała się iście prowincjonalną nadgorliwością, babską histerią i dewocją naraz.

– ŚLE-PA SY-NA-GO-GA! – skandował tłum. – ŚLE-PA SY-NA-GO-GA!

Chodziło im o to, że wiara żydowska jest ślepa na światło chrystusowego krzyża. Był to motyw z kazań Kapistrana, obecnie służący za hasło zniszczenia.

Bosakami i linami zerwano z bożnicy ostatni element dachu, który runął, pociągając za sobą kawał ściany. Trzask rozdzieranych krokwi i werbel walących się belek podbiły entuzjazm tłuszczy jeszcze bardziej.

ŚLEPA SYNAGOGA!!! Zahuczało w całej Warszawie.

Na skraju zbiegowiska stara Żydówka z potarganymi włosami chyłkiem podniosła z ziemi strzęp sponiewieranej Tory i próbowała go ukryć pod kaftanem. Zauważono to jednak i zaraz odebrano jej szczątek świętej księgi, ale na tym nie poprzestano.

– Ślepa żydowicha! – wrzasnął szarpiący staruszkę mieszczanin w rozchełstanej koszuli. Na szyi, jak wszyscy wokół, powiesił sobie wielgachny krucyfiks sklecony z deszczułek. Miało to zabezpieczyć przed żydowskimi urokami, a także nadać całemu przedsięwzięciu pozór krucjaty do Ziemi Świętej. – Ślepa żydowicha! – powtórzył, potrząsając kobietą.

– Aby ślepia jej przemyć, to snadnie przejrzy! – podchwycił myśl drugi, wyraźnie podpity, i pospieszył z pomocą, wykręcając Żydówce ręce. – Ługiem do prania ślepia wyszorować! Inaczej nijak nie przejrzy i prawdziwej wiary nie dojrzy! – zarechotał z własnego dowcipu.

– A dyć ja wam tu ługu przyniese! – zaofiarowała się jejmość obserwująca zajście z pobliskiego okna i zaraz znikła w głębi domu.

– Zostawcie ją w spokoju! – w obronie starej kobiety wystąpiła znacznie młodsza Żydówka, licząca sobie na pewno mniej niż dwadzieścia wiosen, nie panna jednak, a mężatka, wnosząc z niewieściej chusty na głowie. Zjawiła się w środku tej awantury zupełnie nie wiadomo skąd, ale musiała być tutejsza, bo odziana była jak inne warszawskie Żydówki, tylko jej uładzony przyodziewek świadczył, że dotąd jakimś cudem zdołała uniknąć sponiewierania. Niebywała odwaga przybyłej nie zrobiła jednak na nikim wrażenia. Wręcz przeciwnie, kandydaci na oprawców staruszki uznali to za zuchwałość.

– Tobie też wypucujem! – odkrzyknął jej jeden z mężczyzn. – I nie tylko ślepia wypucujem… – wyszczerzył się obleśnie. – Chytajcie ją ino!

Z pomocą dwóm pierwszym pospieszył trzeci chętny. Nie zdołali jednak spełnić swoich zamiarów.

– Odstumpcie mi od tych biełek, pókim dobry! – zażądał stanowczo Jarogniew, wkraczając w ten czas i tę teraźniejszość, przez co stał się widzialny. – Bedzie wam juz tego!

– A tyś co za jeden, że bogobójców bronisz?! – zakrzyknęli zdumieni.

– Tutejsy – odparł lakonicznie pogański anioł, znacząco unosząc czekan.

– Pewnie żydowin przebrany! – zainsynuował jeden ze świadków zajścia.

– Ej, nie obrazajcie… – zirytował się Jarogniew.

– Takiś ty?! Takiś hardy?! – Trzej mieszczanie zostawili Żydówki i razem ruszyli na ich obrońcę.

Jarogniew Skoczybłoto nie zamierzał nikogo mordować, ale też się nie patyczkował. Zawinął czekanem, nie sygnalizując ciosu najmniejszym nawet wstępnym zamachem. Najbliższy z napastników trafiony obuchem w usta obficie zapluł się własnymi zębami, bezwładnie odleciał do tyłu i padł na plecy. Następny dla odmiany wywinął iście akrobatyczne salto, gdy płaskie, koszące uderzenie drzewcem pod kolana podcięło mu nogi i poderwało je wysoko w górę. Padając, uderzył potylicą o leżący na ulicy kamień i już nie trzeba było poprawiać. Trzeci dostał zwyczajnie pięścią między oczy, ale z taką mocą, że zgasło dla niego światło wszelkiej wiary i niewiary. Więcej chętnych do bijatyki z aniołem nie było. Ów zaś opuścił czekan i cofnął się do kobiet.

Świadków zajścia było wielu. Rzecz działa się wszak tuż obok ludzi demolujących synagogę, ale reakcja tłumu była zgodna z jego własną logiką – skoro kogoś tu bito, to na pewno Żydów! W ślepym szale rzucono się więc nie na Jarogniewa, lecz poturbowanych przez niego mieszczan. Kilkunastu oczadziałych nienawiścią ludzi zaczęło w zapamiętaniu kopać i deptać leżących, zupełnie nie bacząc, że katują nieprzytomnych swojaków. Fakt, że ofiary miały na sobie krzyże albo świadomości napastników umknął, albo ich tym bardziej rozjuszył. Kiedy wreszcie do paru z nich dotarło, co czynią, ci odstąpili i umknęli chyłkiem z głupimi minami. Na pozostałych zaś rzucili się krewni i znajomi pobitych, by ich z kolei

pomścić. Chwilę później pogrom Żydów zamienił się w ogólną bijatykę warszawskiego motłochu, w którą zaraz wmieszali się pachołkowie miejscy, usiłując przywrócić porządek ze skutkiem dokładnie odwrotnym do zamierzonego.

Samym Jarogniewem nie interesował się nikt poza ocalonymi Żydówkami.

– Ukryjcie się, matko – rzekła po aramejsku młodsza do starszej, która nie do końca zrozumiała starożytny język, ale domyśliła się znaczenia rady i posłuchała jej skwapliwie. Podreptała w głąb pobliskiego zaułka i zaraz w nim znikła.

Młodsza kobieta zwróciła się z kolei do Jarogniewa i Szczyrbki.

– Dziękuję wam z całego serca – powiedziała czystą polszczyzną.

– To wy?! – upewniła się zagniewana Szczyrbka, marszcząc brwi. Odstawiła bociana na ziemię i zamaszyście ujęła się pod boki. – To wyście sum onum?! – pogańska anielica powtarzała swoje pytanie, z każdą chwilą coraz bardziej rozsierdzona. – Toście sum onum?!! Co za wielku mać Mokos ośmielacie siebie podawać?!!

– Mam na imię Marjam, matko Sławo – odpowiedziała spokojnie Żydówka.

Szczyrbka-Sława nie zapytała, skąd obca zna jej sekretne imię, tylko zamilkła, zacinając wargi. W zamian odezwał się jej mąż.

– Rychlej drugiego skonu bym wyglundał niźli takiego spotkania! – stwierdził Jarogniew, po czym kompletnie ignorując dzikie zamieszanie tuż za swoimi plecami, spokojnie i z powagą oburącz oparł się na czekanie. – W ocy nasze patrzeć wam nie srom? – zapytał surowo.

– Jestem tą, którą jestem – odrzekła Marjam, matka Jeszui, przezwanego przez Greków Chrystusem. – Cóż to mi zarzucacie?

– Wy pani i was syn pobiliście nas mir i nas ład – odparł oskarżycielsko Jarogniew. – A w zamian ot co… – obejrzał się znacząco. – Za wami to wsytko nasło!

– Samiście mnie bronili, ojcze Jarogniewie, więc wiecie dobrze, że to i przeciw mnie, i przeciw mojemu synowi uczynione zostało.

– Ale w imie wase! Toć słychać, bo ciengiem je powtarzaju…

– Prawda, ale tych, co to sprawili, mój syn nie zna i poznać nie zechce. Daremnie nazywają go swoim panem. Zbawienia nie dostąpią.

– Jakbyście tu nie przysli i złe tez by za wami nie przysło. To na coście nas nachodzili? Cemuście aby u siebie nie ostali?!

– Mieliśmy prawo tu przyjść.

– Jakie to niby wase prawo do nas wnijść?

Marjam nie odpowiedziała od razu. Podeszła i podniosła wdeptany w ziemię krzyż, który zgubił jeden z przeciwników Jarogniewa. Był to prosty równoramienny krzyż, z dwu deszczułek związanych konopnym powrósłem.

– Znacie ten znak? – zapytała, pokazując go pogańskiemu aniołowi.

– Het, od dziadów i pradziadów – odparł dumnie Jarogniew. – Dyć to znak Swaroga, jego słonecnego oblica!

– Dwie wiary, z dwu końców świata, ale ich znak jeden… – uśmiechnęła się Marjam. – Cóż to może znaczyć? I jeszcze to, że wasz Swaróg ma syna Swarożyca-Dadźboga…

– Przez mać Mokos zrodzonego – dopowiedział Jarogniew, mrużąc oczy. – Chcecie aby to rzec, ze nase stare bogi i wy to jedno?

– Zapowiedź i znak dostaliście, abyście mogli nas poznać, kiedy czas nadejdzie. Wszak mój syn przyszedł późno, kiedy ludzie już od dawien dawna na tym świecie żyli. Jednak chociaż on przyszedł późno, to do tej pory nikt na ziemi nie żył pozostawiony bez opieki ani w niewiedzy

zupełnej. Tam, gdzie promienie słońce, tam i łaska docierała. Przyszedł jednak czas, by odczytać znaki i połączyć je razem. Czas, aby zebrać i pogodzić wszystkie objawienia. Zgromadzić wszelką miłość w nich zawartą.

– A to pieknie wam sie udarzyło… – stwierdziła z przekąsem Szczyrbka, patrząc znacząco na bijatykę na ulicy Żydowskiej. – Piekna wasa mowa, a za nium ino same ślozy, boleść i krwi rozlewanie!

– Dla diabła nie ma żadnej świętości – odrzekła Marjam. – Wszystko powie, każde szaty przywdzieje, nawet moje własne, przed niczym się nie zawaha i wszystko splącze, żeby nie było miłości, tylko sama nienawiść.

– Uwierzyc moge, ze wy chcecie dobra – oznajmił Jarogniew – ale pokłonu nijakiego wam nie dam. Nie godzi sie!

– Nie oczekuję pokłonu. Wystarczy mi, że złości przeciw mojemu synowi w was nie ma.

– No to cego od nas chcecie, pani Marjam? – spytała Szczyrbka. – Toć nie przypadkiem my tu siebie nasli.

– Po drodze mi z wami, matko Sławo.

– Wy, pani, te dalekie casy znacie lepiej niż my – zamyślił się Jarogniew. – A i drogę do onych pewnikiem takoz…

– Jeżeli nie macie nic przeciwko, zostanę waszą przewodniczką.

XXVI. Uwolnienie Andrzeja

Myślałem, że w sprawie Andrzeja z odsieczą przyjdzie mi husaria, więc zdziwiłem się, gdy przed furtą klasztoru, w którym przetrzymywano mojego podopiecznego, objawił się towarzysz Zaleszczuk Sławomir pod krawatem, ze swoją czarną aktówką i zwykłym wzrokiem lunatyka.

Od czasu nieudanej akcji z Jesiką tkwiłem na tym posterunku jak kołek już drugi tydzień i gdybym był człowiekiem, niechybnie zacząłbym już nucić psalm „Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił?”. Anioły na szczęście nie wpadają w depresję, nawet wtedy, gdy nie mają zielonego pojęcia, co będzie dalej. Nadzieja, proszę ja was, daje znacznie większego kopa niż serotonina. Spodziewałem się cudu, bo rzeczywiście tylko cud mógł teraz zmienić sytuację księdza Andrzeja, ale zupełnie nie wpadłbym na to, żeby zlecać tę robotę niewierzącemu aniołowi z limbo. Naczelny potrafi jednak zaskakiwać wyobraźnią i poczuciem humoru. Chociaż z drugiej strony, zważywszy na wszystko, co wcześniej powiedziano na temat systemów oraz zasad ich funkcjonowania, była w tym głębsza myśl i metoda wynikająca z faktu, że wszystkie systemy są takie same…

Zaleszczuk z kolei stanął przed braciszkiem furtianem dogłębnie przekonany, że oddelegowano go do siedziby Służby Bezpieczeństwa PRL, aby tutaj z polecenia wyższych czynników partyjno-państwowych załatwił dyskretne uwolnienie przetrzymywanego opozycjonisty.

No, jakby nie patrzeć, Andrzej dysydentem faktycznie był. Ruszyłem krok w krok za towarzyszem Zaleszczukiem, żeby niczego nie przegapić.

Sławek podszedł do furty i zakaszlał znacząco.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Maryja zawsze Dziewica! – oznajmił wyniośle dyżurny zakonnik. Ton jego głosu wskazywał jednoznacznie, że zanim laickiego natręta odeśle z Bogiem w diabły, najpierw solidnie poduczy go podstaw elitarnego katolickiego *savoir vivre'u*.

Umysł Zaleszczuka jak zwykle na wstępie odfiltrował wszelkie klerykalne zabobony, więc jedyne, co do niego dotarło, to niechętna postawa obywatela portiera, który nie zamierza nawet powiedzieć mu „dzień dobry". Wobec tego sam też z uprzejmości zrezygnował.

– Jestem oczekiwany! – stwierdził zimno.

– Przez kogo i w jakiej sprawie? – furtian stracił połowę rezonu.

– W tej sprawie – odparł Zaleszczuk jeszcze chłodniejszym tonem – w której niedawno był telefon z centrali.

– Z Torunia…?! – Zakonnik zbladł i podskoczył na krześle. – Tak, istotnie, niedawno sam łączyłem czcigodnego ojca dyrektora z naszym przeorem… Oczywiście, broń Boże, nie śmiałem podsłuchiwać! – zapewnił.

Nazwa miasta nie była sprzeczna ze światopoglądem Sławka, zatem ją akurat usłyszał dobrze, ale nie wnikał w przebieg wewnętrznego łańcucha dojść pomiędzy zaufanymi towarzyszami. Wiadomo, że w śliskich sprawach niezbędni są pośrednicy.

– Rozmowa była na bezpiecznej linii, mam nadzieję?

Furtian omal nie stanął na baczność.

– Tak, proszę… – tu zabrakło mu właściwego tytułu, więc spojrzał głęboko w oczy towarzysza Zaleszczuka i zaryzykował, zdając się na swoje życiowe doświadczenie w tego typu zaszłościach – …księdza prałata!

Sławek oczywiście tego nie usłyszał, więc przyjął tytuł z pokerową twarzą, co z kolei upewniło furtiana, że trafił ze swoim przeczuciem w dziesiątkę.

– Natychmiast zawiadamiam ojca przeora! – Wykręcił numer wewnętrznego telefonu. – Szczęść Boże, ojcze przeorze, tu furta. – Zniżył głos. – Właśnie przybył z Torunia ksiądz prałat…

W normalnych warunkach przeor zapytałby co najmniej o nazwisko, ale z powodu Andrzeja sytuacja była, mówiąc oględnie, delikatna. Sam ojciec dyrektor we wspomnianej wcześniej rozmowie wyrażał głęboką troskę, aby „wiadoma sprawa” nie przedostała się do wrogich mediów, więc pełna konspiracja była jak najbardziej na miejscu. Poza tym przeor miał pełne zaufanie do brata furtiana i nie wątpił, że ów już wybadał gościa, a poza tym rozumiał dobrze, że nie wszystkie informacje nadają się do przekazania przez telefon.

No cóż, na złodzieju czapka gore. Naczelny to wiedział.

Niezwłocznie wysłano na dół kleryka, który miał zaprowadzić Zaleszczuka do gabinetu przeora. Młodzik otrzymał tylko proste polecenie, bez żadnych dodatkowych zaleceń co do zachowania wobec przybysza, więc zobaczywszy osobę świecką, zapałał nagłym uczuciem wyższości. Kiedy więc odeszli kawałek i znaleźli się sami na klasztornym korytarzu, kleryk przystanął i postanowił Sławka trochę przeczołgać. Bardzo tego potrzebował dla zachowania równowagi psychicznej.

– A pan do nas w jakiej sprawie? – zapytał, starając się nadać swojemu głosowi co najmniej biskupie, jeśli nie kardynalskie brzmienie.

– Nie twoja rzecz, gówniarzu! – Zaleszczuk bez wahania pokazał mu, że jest tym, któremu wolno tu krzyczeć głośniej. – Jakbyś był upoważniony, tobyś nie musiał pytać! Kto ci kazał się wtrącać?! – Na koniec w autentycznym natchnieniu powiedział: – Idź tam, gdzie twoje miejsce!

Z jednej z cel wyjrzał zaniepokojony hałasem zakonnik i skarcony kleryk zamienił się natychmiast w uosobienie chrześcijańskiej pokory, a z atrybutów biskupich została mu tylko głęboka purpura na twarzy. Niezwłocznie ograniczył się do zadań leżących w jego zakresie kompetencji, czyli pokazania drogi. Scysja z aniołem nie pozostała jednak bez następstw dla sumienia. W psychice delikwenta pojawiło się coś, czego w żaden sposób nie dało się wyprzeć. Zaleszczuk, choć nieświadomie i brutalnie, to jednak skutecznie wyleczył go z duchowej skoliozy, rozprostowując mu moralny kręgosłup. W zamian kleryk Jan Zawilski doznał trwałego zwichnięcia powołania, a raczej tego, co dotąd za powołanie uważał, i po dwóch latach od incydentu na korytarzu zamiast nowego duchownego sadysty w rodzaju brata Eligiusza świat zyskał szczęśliwego i pobożnego ojca rodziny.

– Przybywam do was z dobrą nowiną! – oznajmił towarzysz Zaleszczuk, energicznie wkraczając do gabinetu przeora Wiśniewskiego. – Cieszcie się!

– Radujemy się nieustannie – zapewnił skwapliwie gospodarz, żegnając się ostentacyjnie.

Sławek nie czekał, aż zaproponują mu krzesło, sam usiadł i zrobił tak zatroskaną minę, że przeor nie odważył się prosić o dodatkowe wyjaśnienia, choć wcześniej miał taki zamiar.

– Trupa należy pogrzebać – zaczął stanowczo Zaleszczuk.

– Tak, to zaiste chrześcijański obowiązek…

– A nie trzymać go w szafie, bo wam tu wszystko zasmrodzi! – towarzysz Sławomir nie pozwolił sobie przerwać. – My dobrze wiemy, a i wy też się pewnie domyślacie, co będzie, jeśli wrogie ośrodki coś wywęszą?! Określone siły, jak wiecie, nie próżnują…

– Święte słowa! – westchnął ciężko przeor, wznosząc oczy ku niebu. – Trochę za późno podjęliśmy radykalne kroki i teraz zbyt wielu naszych młodzianków interesuje się stanem zdrowia nieszczęsnego księdza Słoniewicza, oczywiście w większości w najlepszej wierze, ale widać też już pierwsze symptomy niezdrowej ciekawości, a nawet skrytego zainteresowania głoszoną przez niego herezją. Oczywiście ojcowie duchowi czuwają, ale sytuacja robi się dla nas coraz bardziej niezręczna. Obawiam się, że na dłuższą metę może dojść do jakiegoś naruszenia reguł posłuszeństwa…

– Na szczęście centrala cały czas trzyma rękę na pulsie! – zapewnił dobitnie towarzysz Zaleszczuk. – Na górze rozumieją, że wy już dłużej tego wichrzyciela u siebie trzymać nie możecie. Dlatego przysłali mnie.

– Nasza wdzięczność wobec ojca dyrektora nie ma granic!

– Powinniście zaadresować tę swoją wdzięczność wyżej, znacznie wyżej! – poprawił go surowo Sławek. – Sam Pierwszy postanowił osobiście zająć się rozwiązaniem waszego problemu!

Rzecz jasna miał na myśli pierwszego sekretarza Gomułkę Władysława, zwanego Wiesławem. Przypomnę dla porządku, że horyzont świadomości towarzysza Zaleszczuka nie przekraczał połowy lat sześćdziesiątych dwudziestego wieku.

– O mój Boże! – wykrzyknął wstrząśnięty przeor. – Doniesiono już nawet prymasowi?!

– Sekretarz otrzymał specjalny raport i na naradzie z najbliższym kierownictwem uznano, że lepiej będzie nie stawiać tej sprawy podczas ogólnej konferencji… – Zaleszczuk znacząco zawiesił głos.

Pobladły przeor już nic nie powiedział, wyjął z kieszeni habitu chusteczkę i otarł pot z czoła.

– Tylko należy ją wcześniej załatwić! – dokończył zdecydowanie Sławek.

– Tak, oczywiście, proszę księdza prałata, ale w jaki sposób? Przecież jeśli odstawimy Słoniewiczowi lek, wszystko wróci do poprzedniego stanu, a może nawet złoży on oficjalną skargę…

– Bez podkładki niczego nie udowodni. Pozbądźcie się więc wszelkich papierów. No, chyba nie muszę wam mówić, jak się to robi?

– Otrzymujemy zatem upoważnienie władz zakonu i episkopatu do spalenia teczek personalnych księdza Andrzeja? – upewnił się przeor.

– Nie ma papieru, nie ma człowieka. Jak zacznie się ciskać i gardłować bez żadnego dokumentu w garści, skończy w wariatkowie i to już nie będzie wasz problem…

– Ale co z jego święceniami? Przecież one są nadal ważne.

– Róbcie swoje na waszym odcinku. Kto inny zrobi, co do niego należy we własnym zakresie odpowiedzialności. Wy już więcej wiedzieć nie musicie.

– Aż tak…? – wyszeptał gospodarz z przydechem. – To na to wszystko będzie dyspensa Stolicy Apostolskiej?

Ostatnie pytanie po przejściu przez mentalny filtr towarzysza Zaleszczuka zostało zredukowane do samego kontekstu i stąd Watykan na zasadzie logicznego domniemania zamienił się w stolicę światowego proletariatu.

– Lepiej, żeby Moskwa się o tym nie dowiedziała – odpowiedział.

– To ten Słoniewicz ma aż tak rozległe powiązania? – bezmiernie zdumiał się przeor. – Sięgające tak daleko?!

– Ano niestety – westchnął wielce zafrasowany Zaleszczuk. – Dlatego problem jest takiej wagi i wykazuje obiektywną złożoność, ale nic się nie bójcie i o nic nie lękajcie. Partia czuwa!

– Bogu niech będą dzięki za Prawo i Sprawiedliwość…

– Społeczną… – poprawił go mimochodem towarzysz Zaleszczuk.

Przeor był zbyt rozkojarzony, by zastanawiać się nad sensem tej uwagi.

– W takim razie przystąpmy do szczegółów praktycznych – odetchnął głębiej gospodarz. – Kto zabierze stąd księdza Słoniewicza? Ktoś od was?

– My?! A niby dokąd?!

– Tak, tak, rozumiem! Zajmiemy się tym sami. Już mam pewną myśl…

– To się wam chwali! – Zaleszczuk wstał. – Życzę wam oraz pozostałym waszym towarzyszom wielu sukcesów w walce ze śmiertelnymi wrogami ludu.

– Cywilizacja śmierci nas nie pokona! – zapewnił gorliwie przeor.

Wychodząc z gabinetu, towarzysz Sławomir spojrzał na mnie i skinął głową na znak, że mnie widzi i przekazuje sprawę Andrzeja z powrotem w moje ręce. Gdybym był człowiekiem, w tym momencie ogarnęłoby mnie zwątpienie, czy przypadkiem Zaleszczuk nie odstawił tej szopki, doskonale bawiąc się naiwnością jej uczestników i świadków. Wiedziałem jednak, że tak nie było. On naprawdę sądził, że znajduje się w siedzibie gomułkowskiego SB. Fakt, jak ludzie potrafią przykrawać rzeczywistość do swoich wyobrażeń, nie kłamiąc przy tym i pozostając w całkowitej zgodzie ze swoimi przekonaniami, był intrygujący nawet dla anioła po przejściach.

Ciekawe, do jakiego stopnia ja sam naginałem świat do swojej percepcji?

Wiedziałem dobrze, w jaki sposób mógłbym uzyskać na to odpowiedź, ale ta kwestia musiała zaczekać, aż przestanę uczestniczyć w bezpośredniej realizacji planu Naczelnego.

Przeor Wiśniewski niezwłocznie po wyjściu „przedstawiciela góry” wykonał kilkanaście telefonów, w wyniku których dwie godziny później

Andrzej stał się wolnym nikim. Na początek odebrano mu sutannę, dewocjonalia oraz wszelkie inne rzeczy mogące wskazywać na jego przynależność do stanu duchownego. Następnie przebrano go w cywilne ciuchy z darów, specjalnie wybierając te bardziej znoszone. Potem spłonęły wszystkie jego dokumenty osobiste oraz świadectwa nauki w seminarium ojców redemptorystów, a specjalny wysłannik zakonu udał się do szpitala po dokumentację medyczną. Ktoś inny w zamian postarał się o całkiem nową, znacznie skromniejszą pod względem objętości, ale równie wiarygodną. Na koniec samochód Caritas w ramach koleżeńskiej przysługi dostarczył naszego proroka z powrotem na Wolę, do schroniska Przystań przy cmentarzu Powstańców Warszawy.

W tej placówce opieki społecznej, kiedy ostatnia dawka haloperidolu przestała działać, ksiądz Andrzej obudził się w charakterze NN bezdomnego z zaburzeniami typu mania religijno-wielkościowa, formalnie zdiagnozowana w szpitalu psychiatrycznym przy ulicy Sobieskiego. Ze zrozumiałych względów nieubezpieczonego pacjenta po wstępnym zaleczeniu objawów psychotycznych przeniesiono do ośrodka opiekuńczego.

Wobec takich faktów, kiedy Andrzej oznajmił, że jest księdzem, wzbudził tylko ogólny śmiech. Gdy próbował to udowodnić, wykazując się znajomością kapłańskiego rzemiosła, dostał łomot od pobożnych współtowarzyszy, stanowczo nieżyczących sobie, aby obrażano ich uczucia religijne parodią mszy świętej w wykonaniu jakiegoś bezczelnego skurwysyna uważającego się za lepszego. Z kolei znajomość Pisma Świętego nie zaimponowała tutaj nikomu. Innych, nawet bardziej natchnionych proroków było trzech, a ponad połowa obecnych w różnych okolicznościach życiowych widywała anioły mniej lub bardziej regularnie.

Po drugiej kocówie Andrzej przestał się wychylać i ograniczył się do demonstrowania pobożności w granicach przyjętych w tej społeczności.

Swoje personalia oczywiście niezwłocznie podał kierownikowi, ale po sprawdzeniu przez zaprzyjaźnionych policjantów z posterunku za rogiem okazały się one mylne. Andrzej Słoniewicz nie istniał. Ani jako ksiądz, ani jako obywatel. Wobec tego do jego papierów medycznych dołączono notatkę z amatorską, lecz wiarygodną diagnozą osobowości urojonej. W tej sytuacji było absolutnie wykluczone, aby pozwolono delikwentowi włóczyć się po ulicach Warszawy i nachodzić po domach samotne, młode kobiety. Sugestia w tej kwestii była formalnie niezobowiązująca, ale nowi koledzy bardzo stanowczy. No, bo ma się rozumieć, jeszcze tylko tego brakowało, żeby w miasto poszła plota, że w tutejszym schronisku mieszkają jacyś zboczeńcy! O dobre imię firmy, dającej michę i dach nad głową, trzeba dbać, a na świra mieć oko!

Do mieszkania Jesiki w geście dobrej woli udał się sam kierownik. Dziewczyny nie zastał, ale sumiennie popytał sąsiadów. Starsza pani z naprzeciwka poinformowała go, że Jesika wyjechała do Ameryki, księży nigdy w życiu u niej nie widziała, ale gdy z nią kiedyś rozmawiała, to panna Jesika mówiła, że bardzo ich nie lubi. Chłopaków owszem paru tu bywało, ale żaden nie wyglądał jak ten na zdjęciu.

Po powrocie z tego rekonesansu kierownik schroniska wezwał trzech swoich najbardziej zaufanych bezdomnych i upoważnił ich do zastosowania wszelkich środków przymusu bezpośredniego, gdyby kłopotliwy nowicjusz postanowił wybrać się na Płocką albo zrobił choćby krok w kierunku pobliskiego przystanku tramwajowego na Wolskiej. Po krótkiej naradzie Andrzeja przydzielono do ekipy sprzątającej groby i alejki, co pozwalało przez cały dzień mieć go pod kontrolą i pilnować, by ani na chwilę nie wychodził poza granice wolskich cmentarzy.

Andrzej mógł uciec, w końcu nie było to takie trudne, ale się poddał. Przepraszam, złe słowo, okazał ufność. To było apogeum jego próby wiary, środek nocy ciemnej, ale on radził sobie z tym naprawdę ładnie. Teraz dobrze było widać, że ma autentyczne powołanie i ono wystarczało mu w zupełności, by znaleźć w sobie dość wiary i siły, żeby podołać temu doświadczeniu. Dla porządku dodajmy, że wcześniejszy, upokarzający, chamski trening pokory na nic się teraz nie przydał.

Byłem blisko przez cały czas, tym razem jednak miałem na ustach pieczęć całkowitego milczenia i nie mogłem przekazywać mu nawet najdelikatniejszych, podnoszących na duchu emocji.

Ja zatem milczałem, lecz Andrzej wciąż mówił do mnie.

– Wiem, że tu jesteś – nieustannie powtarzał to szeptem, aby nie usłyszał go żaden z pracujących obok towarzyszy – i rozumiem, dlaczego milczysz. Wytrzymam, bo wiem, że Bóg i Jesika o mnie nie zapomnieli. Będę czekał na znak, aż przyjdzie czas. Wierzę, że to ma sens, i wytrwam. Wiem, że przy mnie jesteś, mój Aniele Stróżu…

Tego właśnie od niego oczekiwano. Tak miało być, aby Klimaszewska wykonała następny ruch i wbrew własnej chęci zrobiła to, co stanowiło część planu Naczelnego. Ten zaś, jak na tę Firmę przystało, był zaiste opatrznościowy! Wszystkich szczegółów oczywiście nie znałem, ale proszę spojrzeć choćby na ten drobny fakt, że mój podopieczny trafił na wolski cmentarz, czyli w miejsce, gdzie się to wszystko zaczęło. Tu na poświęconej ziemi oraz w towarzystwie anioła, mimo że pozornie opuszczony, Andrzej z definicji przebywał w niebie, gdzie Klimaszewska z Piekarką nie miały do niego dostępu i nie były w stanie czytać jego myśli ani organizować zamachów. Mogły jedynie obserwować go z daleka.

Robiły to z dużą uwagą i rosnącą przy tym pychą.

Demony oceniają innych według siebie. Skoro więc Andrzej zaczął zachowywać się biernie, w ich mniemaniu nie mogło to być nic innego jak fatalistyczna rezygnacja. Klimaszewska uznała, że jej zabiegi odniosły zamierzony skutek, księżulo się załamał i już nie stanowi problemu. W tym przekonaniu dodatkowo utwierdziła ją skuteczność intryg wobec Jesiki, która wciąż jeszcze czekając na wizę do Stanów, pod kierunkiem swego mistrza wprawiała się w nowym fachu podczas objazdu podkarpackich parafii. Pani Janinie, wskutek dyskretnej, acz stanowczej demonicznej sugestii najpierw pomyliły się terminy wyjazdu do Ameryki, a kiedy Jesika wróciła z Podhala do Warszawy, staruszce zupełnie wyszło z głowy, by wspomnieć dziewczynie o wizycie kierownika schroniska dla bezdomnych. Cóż, starszym ludziom kłopoty z pamięcią się zdarzają…

Treningowe tournée Jesiki i Pieduszyńskiego uległo niespodziewanemu skróceniu, ponieważ na koniec swej misji dwukrotnie trafili na proboszczów wykazujących miłość bliźniego, na dodatek szczęśliwie powikłaną zdrowym góralskim rozsądkiem. Żaden z dobrodziejów nie powołał się wprawdzie na literę filozofii dialogu księdza profesora Tischnera, ale obaj zareagowali w pełnej zgodzie z jej duchem, bezbłędnie rozpoznając fałsz w pseudopatriotycznym bełkocie, a następnie posyłając pana profesora i jego asystentkę z panem Bogiem na drzewo.

W planie Klimaszewskiej nastąpił mały zgrzyt, gdyż Jesika przed wylotem za Atlantyk miała wpaść do domu najwyżej na kilka godzin, a najlepiej wcale. Wszak była już w podróży, pakować się nie musiała. Wystarczyło spowodować parę drobnych zbiegów okoliczności, na przykład kolizję godzin odbioru wizy oraz konieczności stawienia się do odprawy na lotnisku, i rzecz byłaby najzupełniej wykonalna. Przedwczesny powrót dziewczyny, trzy dni przed wylotem ten plan akurat

zepsuł, ale mimo to sprawy nadal szły po myśli demonicy, więc nowe intrygi nie były potrzebne.

Andrzeja i Jesikę dzieliło zaledwie pięć przystanków tramwajowych. Oboje wciąż o sobie myśleli, tęsknili, lecz żadne z nich nie zrobiło nic, by doprowadzić do spotkania. Andrzej ufał Naczelnemu, Jesika Pieduszyńskiemu, który wmówił jej, żeby zdała się na niego. Gdyby nie ta fałszywa nadzieja, Jesika poszłaby się wyżalić do pani Janiny, a wtedy staruszka przypomniałaby sobie o rozmowie z kierownikiem schroniska. Do tego jednak nie doszło.

Niby drobiazg, ale stało się. Więcej nie było trzeba.

Klimaszewska zatriumfowała!

Mistyczni kochankowie zostali rozdzieleni. Nie mogli już spotkać bociana, aby ten wręczył im zieloną wić, odnawiając przedchrześcijańską sukcesję miłości, której echem była legenda Warsa i Sawy. Pękła zatem ostatnia zapora powstrzymująca szesnastowieczną klątwę. Niespełnienie się uczuć pary wybrańców znów pozostawiało Warszawę bez ochrony, wydając miasto na pastwę demonów. Otworzyły się niewidzialne drzwi piekła, a w widzialnych drzwiach Mitoraja w kościele przy Świętojańskiej 10 symbolicznie zepsuł się zamek. Klimaszewska z Piekarką tak jak wtedy, gdy doprowadziły do śmierci Łyszczyńskiego i Baczyńskich, kolejny raz weszły w czas ziemski i mogły iść na całość, z szatańską radością grając Naczelnemu na nosie. Poszły więc i zagrały.

XXVII. Proroctwo krótkoterminowe

Profesor Pieduszyński zadzwonił do Jesiki drugiego ranka po powrocie z Podhala. Ona dopiero się obudziła, jeszcze nie wstała z łóżka. On był bardzo podekscytowany.

– Pani Jesiko, nadzwyczajna wiadomość! – wykrzyczał w słuchawkę.

– Wie pan, gdzie jest mój Andrzej? – Poderwała się z nadzieją.

– Eee… moi znajomi… ekhem… właśnie się tym zajmują… – kompletnie zaskoczony na chwilę zaplątał się w komponowanym pospiesznie kłamstwie, ale wybrnął gładko. – Sprawy są na dobrej drodze, wszystko będzie po naszej myśli, proszę tylko nie robić nic na własną rękę.

– Nic nie robię. – Westchnęła Jesika, z rezygnacją przeczesując palcami rozczochrane włosy.

– Mamy zamówienie na nową prelekcję – Pieduszyński wrócił do tematu. – Jeszcze przed wyjazdem do Stanów, w podziemiach kościoła Wszystkich Świętych przy placu Grzybowskim! Poproszono mnie o przekazanie narodowi polskiemu absolutnie ekskluzywnej wiadomości!

– Eksklu…co?

– Przepraszam – zreflektował się. – Nie powinienem używać zbyt trudnych słów. Chodzi o to, pani Jesiko, że niebawem w Warszawie ma się wydarzyć coś absolutnie nadzwyczajnego i ja, a właściwie my, dostaliśmy całkowitą wyłączność na informowanie o tej sprawie.

– Co to takiego? – specjalnie nie starała się ukryć znudzenia w głosie.

– Rozmowa nie na telefon! – uciął Pieduszyński. – Powiem pani tylko tyle, że sprawa jest tak ważna, że musimy przełożyć naszą amerykańską wyprawę. W Warszawie będą się działy wielkie rzeczy, a my będziemy w samym centrum wydarzeń! Za to potem, kiedy wyruszymy do Stanów, będą nas tam podejmować jak prawdziwych bohaterów. To będzie nasz wielki triumf! Kto wie, może nawet będziemy sławniejsi od tych kosmonautów, co kiedyś wrócili z Księżyca…

– A mój Andrzej?

Zapadła chwila ciszy, w której jednak wyraźnie słychać było, jak Pieduszyński gryzie się w język, żeby nie warknąć: „Idiotka!”.

– Pani Jesiko… – odezwał się wreszcie, mówiąc głośno i powoli. – Wyróżnienie, jakie na nas spada, jest dowodem niebywałego zaufania ze strony wysokich czynników kościelnych. To bardzo ułatwia nasze poszukiwania. Możemy liczyć na przychylność w wielu sprawach, a nawet wdzięczność pewnych osób. Zatem sama pani rozumie, jak ważne jest, abyśmy teraz stanęli na wysokości zadania. Zwłaszcza że dzisiaj należy spodziewać się obecności mediów i to niekoniecznie nam przychylnych. Jest pani gotowa?

– Postaram się, panie psorze. Co mam robić?

– To co zwykle, ale proszę się ubrać bardziej uroczyście, oazowo, że tak powiem.

– Znaczy, że jak niby?

– Skromnie i pobożnie, pani Jesiko.

– W kieckę do pierwszej komunii już się nie zmieszczę. Zresztą nie wiem, gdzie jest.

Profesor wziął głęboki wdech i powoli policzył do dziesięciu.

– Pani strój powinien być w ciemniejszych, stonowanych barwach, najlepiej długa sukienka, bez krzykliwych ozdób i chustka na głowie.

– Jasne, panie psorze. Mam wyglądać jak frajerka, na którą nikt nie leci. No dobra, jakoś da się zrobić.

– Spotkamy się za piętnaście szósta na schodach przed kościołem. Proszę się nie spóźnić. – Zakończył tę rozmowę z autentyczną ulgą.

Jesika wygrzebała się z betów, stanęła przed lustrem i zaczęła medytować. Czasu miała dużo, nie musiała się spieszyć. Zastanawiała się leniwie, jak powinna wyglądać prawdziwa oferma seksualno-narodowa, i w końcu doszła do wniosku, że przed prelekcją musi się wybrać do szmateksu. Tam na pewno znajdzie coś odpowiedniego na tę uroczystą okazję.

W swoich dotychczasowych wcieleniach, na wykładach profesora Pieduszyńskiego dla górali, Jesika pozowała na zbłąkaną turystkę we flanelowej koszuli w niebieską kratę i długich szortach, koniecznie za kolana. Na szyję zakładała cały pęczek dyndających na rzemykach krzyżyków, medalików i świątków – wyrobów lokalnego rękodzieła, żeby była jasność, jaki rodzaj pamiątek preferuje. Do tego pierścionek-różaniec ze skromnego aluminium. Co zaś się tyczy wygłaszanych kwestii, profesor opracował dla niej trzy scenariusze, w zależności od rozwoju sytuacji w trakcie prelekcji.

Po pierwsze, jeśli publiczność była nastawiona przychylnie i bezkrytycznie, na sali nie było żadnych upierdliwców, Jesika miała robić zwykłą klakę – pierwsza bić brawo i robić pełne podziwu „ooo!” po wyjątkowo celnych, jego zdaniem, puentach pana profesora. Przykładowo wtedy, gdy wykrzykiwał z egzaltacją: „Jakież to było piękne!”, pochwalając zdrowy, prawdziwie polski, szlachecko-katolicki system pańszczyźniany, w którym panował doskonały ład, a każdy znajdował swoje miejsce na miarę talentów danych mu od Boga. Żeby się w tym nie pogubić i reagować we właściwym momencie, Jesika dostała

całą listę bon motów, które musiała wykuć na pamięć. Jednak jej najważniejszym zadaniem było gniewne buczenie podczas prezentacji przykładów jaskrawego antypolonizmu, obowiązkowo najgłośniej przy zbitce wyrazów „polskie obozy koncentracyjne”, która zdaniem profesora nie była żadnym skrótem myślowym, przejawem stylistycznego niedbalstwa ani historycznej ignorancji, lecz rozmyślną bezczelnością, szczytem antypolskiego wyrachowania i arogancji. Wszyscy, którzy tych słów kiedykolwiek użyli, byli ze sobą w zmowie i obowiązkowo należeli do ogólnoświatowego spisku przeciwko Polsce, a po tym haśle można było ich rozpoznać. Na koniec, jeśli atmosfera zgromadzenia była dostatecznie gorąca, Jesika intonowała *Boże coś Polskę!* Głos miała wprawdzie tragiczny, iście oazowy, ale w takiej chwili chwytała za serca spontaniczną szczerością swego prostego patriotyzmu. No i zawsze przyłączał się do niej chór napalonych juhasów.

Dziewczyna, trzeba przyznać, była pojętna i już po trzech prelekcjach doszła do drugiego stopnia biegłości w tym rzemiośle, to znaczy gaszenia w zarodku wszelkich dyskusji. Profesor Piotr Pieduszyński absolutnie nie mógł pozwolić sobie na żadną uczciwą polemikę, gdyż poziom jego argumentacji oraz logika rozumowań nie ostałyby się nawet w konfrontacji ze średnio inteligentnym licealistą, z czwórkami z historii i języka polskiego. Tymczasem wśród słuchaczy, jak na złość, często trafiał się ktoś myślący, kto próbował wskazywać luki wywodu. Profesor Pieduszyński, kiedy był sam, przechodził wówczas na ton protekcjonalny, w stylu „mój młody/dobry człowieku, ach, cóż ty możesz o tych sprawach wiedzieć?”. Gdy dołączyła Jesika, repliki w obronie prawdziwego ducha polskości nabrały znacznie większego impetu. Dziewczyna zrywała się z miejsca i wybuchała oskarżycielsko: „Jak tak można?! Kto cię wychował?!” lub „Kto pana wychował?!”, zależnie od wieku upierdliwego nadgorliwca.

Szczegóły merytoryczne zgodnie z instrukcją pomijała, przechodząc od razu do dramatycznego pytania: „Jesteś Polakiem?!”, i gruntownej lustracji korzeni rodowych delikwenta oraz wydolności wychowawczej jego rodziców i dziadków, obowiązkowo kończąc swą żywiołową wypowiedź wzruszającym wspomnieniem, jak to „babcia ją za rączkę, z koszyczkiem święconki do kościółka prowadziła”. W tych okolicznościach do Jesiki zamiast juhasów przyłączały się starsze panie, które z reguły miały wiele uwag do moralnego prowadzenia się bliźnich i potrafiły zarozumialcowi wypomnieć wiele krępujących zaszłości. Jeżeli tego było mało i oponent zaczynał powoływać się na swoje kompetencje naukowe, profesor wykrzykiwał: „Tak, znamy dobrze takich wykształciuchów!”, a jego asystentka, łamiącym się głosem, wspominała o skatowanym przez bezpiekę stryjecznym dziadku, który do końca życia siusiał krwią, i do akcji znów wkraczali juhasi.

Jesice szło więc coraz lepiej, za to Leokadia nie wytrzymała. Ostentacyjna bezczelność i cynizm tych manipulacji przekroczyły granicę anielskiej cierpliwości oraz miłosierdzia nawet dostojnej pani serafin. Konkretnie, Leokadia leciutko rozdmuchała pychę swej podopiecznej, zaczynającej już czerpać przewrotną przyjemność z robienia tych nikczemnych szopek. W efekcie na ostatniej prelekcji, kiedy jakiś starszy człowiek z końca nawy zawołał, że słabo słychać, zacietrzewiona Jesika nie zrozumiała, o co chodzi, i z furią wdrożyła wobec staruszka procedurę numer dwa. Zaślepienie minęło jej daleko poniewczasie…

Nie dość, że wyszła na chamowatą idiotkę, to jeszcze profesor bez wahania i najmniejszych skrupułów zwrócił się publicznie przeciwko niej, robiąc z czerwonej ze wstydu dziewczyny odstraszający przykład upadku obyczajów współczesnej młodzieży, a na koniec demonstracyjnie wyprosił ją z wykładu. Przez cały następny dzień się do siebie nie odzywali. Potem

zaś ich dobra passa się skończyła, albowiem zirytowana Leokadia tak się rozkręciła, że załatwiwszy sobie osobiste pozwolenie Naczelnego, zabrała się do stanowczego odmulania umysłów i reewangelizacji kolejnych proboszczów, aż nieboracy omal stygmatów nie dostąpili. Tego, że w tej epoce historycznej nazywało się to tiszneriadą, dowiedziała się ode mnie po fakcie. Z kolei Jesika, po kuble zimnej wody, poniekąd święconej, przynajmniej przestała się staczać do poziomu swego mistrza.

Do tej pory jednak pan „znany katolicki uczony” i jego asystentka już się pogodzili, a zadanie, które teraz przed profesorem stanęło, wymagało aktywnej pomocy ze strony Jesiki. On wprawdzie wyobrażał sobie jej udział całkiem inaczej niż kierująca całym przedsięwzięciem Klimaszewska, ale lepiej orientować się nie musiał. Zresztą i tak nigdy nie chciał wiedzieć, czemu i komu właściwie służy. Ważne, żeby ludzie, którzy mogli mu wiele ułatwić, zawsze byli z niego zadowoleni.

A zatem dzisiaj należało spodziewać się, że Jesika będzie musiała poradzić sobie z trzecim wariantem biegu wydarzeń podczas publicznej prelekcji „promującej postawy patriotyczne i pronarodowe”, który dotychczas przerabiała jedynie teoretycznie. W instruktażu Pieduszyńskiego rzecz nosiła tytuł: „Neutralizacja jawnej obecności wrogich mediów”. Najogólniej mówiąc, punkt trzeci był bardziej brutalną wersją drugiego. Nie można było czekać, aż dziennikarze sami zaczną zadawać pytania, ani pozwolić im spokojnie robić swoje. Należało od razu krzyczeć: „Precz z Urbanem i Palikotem!”, potem: „Macie krew na mikrofonach!”, nieważne czyją, ale robiło to odpowiednie wrażenie na publiczności, a następnie skandować: „Kłamcy! Kłamcy!”. Kiedy słuchacze się przyłączą, a na pewno co najmniej kilkunastu to zrobi, przeciwnicy zaś jeszcze nie zrejterują, należy obrzucić ich bilonem, wrzeszcząc: „Macie judaszowe

srebrniki!”. Dla urozmaicenia srebrniki mogły być też „brukselskie”, „masońskie” lub „moskiewskie”.

Dziewczyna przed wyjściem z domu sumiennie powtórzyła cały zadany przez pana profesora materiał, ale na miejscu okazało się, że niepotrzebnie. Tym razem bowiem nawet antynarodowe media miały być przydatne do nagłośnienia sprawy.

Kiedy Jesika dotarła na miejsce, dowiedziała się, że jej zadanie będzie polegać na podgrzewaniu atmosfery zgodnie z pierwszą procedurą, lecz na znacznie większą skalę. Miała to robić już nie sama, lecz jako kierowniczka dziesięcioosobowego zespołu złożonego z trzech krótko ostrzyżonych dziewczyn oraz siedmiu całkiem łysych młodzieńców, którzy podawali się za studentów. Miały o tym świadczyć akademickie czapeczki skrywające gołe glace. Kierunek ich studiów nie budził wątpliwości, od razu widać było, że to patologia i zarządzanie.

Profesor Pieduszyński głośno pochwalił Jesikę za kreację, w której wyglądała jak matka Polka po stracie męża, wszystkich dzieci i niepodległości ojczyzny. Wrażenie zaś na pozostałych zrobiła takie, że wstrząśnięci podkomendni z namaszczeniem całowali ją po rękach. Odprawa i szkolenie całego zespołu było krótkie – wszyscy mieli robić to co ona.

Publiczność przybyłą na prelekcję profesor określił mianem „kadrowej”. Prawdy w tym określeniu było tyle, że większość zgromadzonych w podziemiach kościoła ludzi, w przeciwieństwie do personelu głównego prelegenta, wcale nie wyglądała groteskowo. Widać było, że przyszli tutaj w dobrej wierze. Większość stanowili prawdziwi studenci, członkowie starych korporacji akademickich, do tego działacze zjednoczonego „Strzelca”, po części z mieczykami Chrobrego w klapach,

trochę emerytów oraz grupa sędziwych weteranów AK, którymi opiekowało się kilkunastu szczerze przejętych swoją misją kiboli Legii.

Naprawdę nie było się z czego śmiać. Zwłaszcza jeśli się było aniołem. Nie zjawiłem się tu po to, żeby z tych ludzi drwić, ale uchronić ich przed wykorzystaniem w kolejnym spisku mściwych demonów. W tym całe nieszczęście, że musiałem działać wbrew ich woli i uczuciom.

Na razie jednak mogłem tylko patrzeć.

– Szczęść Boże! Dzień dobry, szanowni państwo! – tradycyjnie rozpoczął swoje wystąpienie profesor Piotr Pieduszyński. – Powinienem się przedstawić, ale widzę tutaj tak wiele znajomych twarzy, że chyba oszczędzicie mi państwo grzechu samochwalstwa.

Sala zareagowała życzliwym śmiechem. Jesika powstała, zaczęła bić brawo i parę sekund później huraganowa owacja wstrząsnęła posadami kościoła Wszystkich Świętych w Warszawie.

– Dziękuję! Dziękuję wam, drodzy moi… – profesor uciszył entuzjazm, machając rozłożonymi ramionami. – Bardzo się cieszę, że pamiętacie o mnie i moim skromnym dorobku naukowym. Chciałbym ponadto szczególnie powitać obecnych wśród nas przedstawicieli liberalnych mediów i zapewnić, że chociaż nie chcą wystąpić jawnie, to jednak są mile widziani…

Tym razem to akurat nie Jesika zaczęła buczeć pierwsza, ale niedopracowany system komunikacji sprawił, że jej zespół klakierów uznał, że znak pochodził od niej.

– Mile widziani! – profesor energicznie przekrzyczał nieplanowaną demonstrację słusznego gniewu. – Tak, tak! Tym razem są mile widziani! Nawet jeśli im brakuje odwagi, to moje dzisiejsze posłanie skierowane jest również do nich oraz do odbiorców ich treści. Czy dla waszych ukrytych

kamer nie jest tu aby za ciemno? – wyraził głęboką troskę. – Może trochę więcej światła?

Sala parsknęła śmiechem i napięcie opadło.

– Zatem dzisiaj, drodzy państwo, nie usłyszycie tego, co zwykle – Pieduszyński wrócił do tematu. – Aczkolwiek wypada mi w tej chwili nawiązać do dzieła ludzi, których przy każdej okazji stawiam za wzór do naśladowania. Do naszych wspaniałych polskich misjonarzy! Do polskich duchownych, bo dzięki nim wciąż żyją najlepsze tradycje naszego wielkiego i umęczonego narodu!

Tym razem Jesika dobrze wyłapała znaczące spojrzenie profesora i reakcja zgromadzonych wypadła bez pudła.

– Ci wspaniali ludzie – Pieduszyński podjął wątek, gdy owacja ucichła. – Ci wspaniali kapłani i zakonnicy nie są daleko od nas. Powtórzę; nie są daleko! I wcale nie mam na myśli bliskości w modlitwie, która oczywiście łączy wszystkich wierzących. Ludzie, których mam na myśli, działają nie tylko na innych kontynentach, wśród egzotycznych ludów, fizycznie z dala od nas. Oni żyją i działają także tutaj, pośród nas, ponieważ dobrze wiedzą, jak bardzo ich potrzebujemy!

Kolejna owacja, tym razem pełna godności. Wszyscy zareagowali tak samo, choć już nie była to zasługa Jesiki i jej zespołu. To był pierwszy podmuch zbiorowego opętania. Na sali pojawiła się Klimaszewska, niezauważona przez nikogo prócz mnie i Leokadii. Stała w rogu, uśmiechając się do nas wyzywająco.

– Są to ludzie skromni, cisi, lecz święci. Powtórzę to z całą mocą, skromni i święci! Nie zabiegają o próżną sławę, nie udzielają się publicznie przed kamerami. Dlatego mało kto o nich słyszał, lecz oni wciąż troszczą się o nas i wspierają nas swoją modlitwą, ale nie tylko. Ach, doprawdy, nie tylko! Jeden z tych ludzi, szanowni państwo… – głos Pieduszyńskiego

załamał się w teatralnym wzruszeniu. – Jeden z nich, pragnąc pozostać w ukryciu przez wzgląd na chrześcijańską skromność i pokorę oraz za zgodą swych zakonnych przełożonych, uczynił mi zaszczyt absolutnie niebywały… – Prelegent otarł łzę, której nie było.

Zebrani zamarli z przejęcia. Nie śmieli nawet głośniej oddychać.

– Zaszczyt niebywały! – zadudnił w podziemiu głos profesora Pieduszyńskiego. – Absolutnie bezprecedensowy! Otóż poproszono mnie o przekazanie mistycznego objawienia jednego z ojców, wiodącego cichy żywot w jednym z warszawskich klasztorów. Mam więc oto podwójny zaszczyt przekazać wam, moi drodzy państwo, jako pierwszym z pierwszych wielką nowinę o rychłym osobistym objawieniu się w Warszawie Najświętszej Maryi Panny!

Poszedł szmer na poły zachwytu, na poły niedowierzania. Jesika nie wiedziała, co robić. Dorota Klimaszewska się napawała.

– Tym razem nie będzie to objawienie niezapowiedziane, skierowane do kilku dobrych i pobożnych, lecz niespodziewających się niczego dzieci, jak to dotąd bywało. Tym razem będzie to objawienie dla wszystkich mieszkańców Warszawy, dla wszystkich Polaków! Niniejszym przekazuję i zapowiadam wam, że Matka Boga objawi się w Warszawie za trzy tygodnie, w dniu jej święta, a więc 15 sierpnia. Zstąpi na ziemię, na tę ziemię!, w dniu swego Wniebowzięcia i zarazem w rocznicę triumfu wojsk polskich nad bolszewikami w 1920 roku. Najświętsza Maryja Panna stanie widoczna dla wszystkich, nawet dla największych grzeszników, punktualnie o godzinie siedemnastej, na szczycie wieży Wolności wznoszącej się nad Muzeum Powstania Warszawskiego. Dokładnie o godzinie W, a więc w momencie rozpoczęcia bohaterskiego zrywu stolicy w 1944 roku, Maryja Panna stanie pod biało-czerwoną flagą, która na tej wieży dumnie łopocze.

No, no, przyznacie chyba, że nasza Dorcia nieźle pojechała! Wybrała naprawdę efektowne miejsce i czas na spotkanie z Tiną-Aliną oraz jej korowodem. Nie wiedziałem jeszcze, co zamierza Naczelny, ale byłem pewien, że jeśli On czegoś nie zrobi, to miasto ma przegwizdane do fundamentów.

Faktem jest, że nie zawsze robił …

– Mam wam również oznajmić, że Matka Boga objawi się w tej samej postaci, co w 1943 roku na Siekierkach. Na fresku tamtejszej świątyni możecie tę postać zobaczyć, zanim przyjdzie czas. Oto cała wiadomość, całe posłanie, które polecono wam przekazać!

Informacja pochodziła od ojca Wincentego. To on robił za owego „skromnego i świętego zakonnika”, gdybyście chcieli wiedzieć.

Profesor Pieduszyński zamilkł, czekając na reakcję oniemiałych słuchaczy.

Klimaszewska chciała nakłonić Jesikę, żeby zaczęła głośno odmawiać „Zdrowaś Mario”, ale dostęp do umysłu dziewczyny stanowczo zablokowała jej Leokadia, uniemożliwiając bluźniercze szyderstwo.

Leokadia? O, przepraszam, nieścisłość! To znowu była stara, poczciwa, a teraz jeszcze nieziemsko wkurwiona Ośka z paznokciami gorejącymi białym ogniem. Klimaszewska dostała nimi po oczach, gdy tylko zbliżyła się do Jesiki.

Rozwścieczona demonica zawyła przeraźliwie. Jej skowyt obecni tu żywi odebrali jako nagłe ściśnięcie w dołku i zracjonalizowali sobie, że jest to skutek mowy profesora. Ogniste pazurki Ośki zerwały powłokę fałszywej blond-Maryi i Dorota Klimaszewska zmieniła się w płonącą ludzką mumię, zbudowaną z rozżarzonych do czerwoności węgli. W tej postaci rzuciła się na Leokadię, usiłując wciągnąć ją w swój znacznie

gorętszy wewnętrzny ogień i obezwładnić wspomnieniami kaźni. Ośka robiła zręczne uniki i raz po raz krzesała z przeciwniczki snopy iskier.

To wszystko działo się między rzędami krzeseł i siedzących na nich nieświadomych niczego ludzi. Jakby im ktoś odpalał w twarze fajerwerki, a oni nic…

Pieduszyński, nie doczekawszy się stosownej manifestacji religijnej, powrócił do wygłaszania swojego spiczu, ale jakoś dziwnie zmienionym głosem, który z miejsca przykuł moją uwagę.

– Dziwicie się pewnie, moi drodzy, temu, co tutaj usłyszeliście. Ja to rozumiem, ja to dobrze rozumiem, ale jeśli tylko lepiej się zastanowicie, jeżeli wejrzycie głębiej w swoje serca, w swój patriotyzm, w swoją miłość ojczyzny, to zrozumiecie wszystko. Zrozumiecie, że nadszedł wreszcie czas naszego wielkiego podniesienia! Podniesienia z prochu klęsk, wyniesienia ponad wszystkie inne narody!

Ach tak! Dotarło do mnie objawienie. Przez profesora mówił jego demon, ten, który mnie znienacka załatwił w Harendzie…

– Jesteście wielcy, lecz byliście skrzywdzeni! Niesprawiedliwie, zbrodniczo, z niesłychanym okrucieństwem skrzywdzeni po wielekroć!

Piotr Pieduszyński powinien mówić „my, Polacy”, ale demon władający jego umysłem nie przejmował się przestrzeganiem form osobowych, zwłaszcza że mówił akurat wprost od siebie. Zresztą i tak nikt prócz mnie tego nie zauważył.

– Wasza krzywda daje wam prawo do moralnej wyższości! Za nasze cierpienia sprawcom oraz ich potomkom należy się odpłata, a nam nagroda!

O, teraz osoba gramatyczna wreszcie się zgadzała! Mowa była już najzupełniej szczera i poprawna. Kolejne objawienie wyjaśniło sprawę do końca. Wypadało mi ze skruchą przyznać, że nie doceniłem Krystyny

Piekarki, bowiem to właśnie ona od dawna była natchnieniem i „duchem opiekuńczym” profesora.

Tylko pozornie w tym demonicznym duecie Piekarka robiła za popychadło oraz cień Klimaszewskiej. Faktycznie obie były równorzędnymi partnerkami. Dorota, że tak współcześnie powiem, była twarzą i marką ich firmy, a Krystyna odpowiadała za public relations.

Właśnie spojrzała prosto na mnie, wyglądając z oczu Pieduszyńskiego. *No chodź!*, zaszemrało w moim umyśle. *Tobie udało się na cmentarzu, mnie w tej gospodzie, jest remis. Rozstrzygnij nasze porachunki na swoją korzyść…*

Nie ma głupich! A w każdym razie głupi jest demon, który próbuje skusić anioła. Nie było we mnie mściwości, tylko dokładna znajomość konsekwencji. Wiedziałem, że Piekarce w otwartym starciu nie dam rady. Miała nade mną zbyt wielką przewagę cierpienia.

Także Leokadia bezskutecznie szamotała się z Klimaszewską. Nie mogła jej pokonać ani powstrzymać. Nie tutaj i nie bez Jana Seweryna, który był teraz gdzie indziej. Zresztą nawet jego pomoc nie dałaby nam przewagi. Niebo to poświęcone miejsce i anioły, lecz podziemia tego kościoła już dawno uległy desakralizacji. Demony były tu u siebie. Nie mieliśmy szans ich stąd wyrzucić ani nawet przeszkodzić im w tym, co zamierzały. Już samo patrzenie na religijne szaleństwo i fanatyzm, które miały się tu wkrótce rozpętać, byłoby dla nas trucizną. W tej chwili zrozumiała to również Leokadia i przerwała walkę.

Musieliśmy się wycofać. Jesika została sama.

– Jesteście tego warci! – wrzeszczał w uniesieniu profesor Pieduszyński.

XXVIII. Zbroja

I mnie też fortuna nie okazała łaski.

Chciałem zatrzymać pochód Tiny-Aliny, ale Bóg nie dał. Nierycerska, nieżołnierska to rzecz pytać Najwyższego Wodza: „Czemuś, Panie, dopuścił?”, jeno czynić swoje rzemiosło, jak się należy!

Należało ten piekielny korowód osadzić w miejscu i rozegnać bez dwu zdań, a więc ruszyłem za nim. Tropiłem ich nieustępliwie, kiedy szli przez wieki, które już daleko po moich czasach nastąpiły. Dziwów widziałem wiele, ale dziwować się niczemu nie było sposobności. Szukałem okazji do wydania bitwy.

Potrzebowałem wojska, które mógłbym poprowadzić. Ludu zbrojnego nie orężem, lecz duchem, mocnego siłą serc, wzajemnej jedności, miłości, wiary i nadziei. Bywały w tym narodzie chwile takiego uniesienia nie raz, nie dwa, nie trzy. Po wygranych wojnach i w wielkiej rozpaczy, osobliwie, że bez różnicy. Zawsze wtedy jednako odstępowały złe duchy, otwierało się niebo i triumfowała nadzieja. Najbardziej zaś podczas mszy, które papież Polak odprawiał. Widziałem je! Ja, Jan Seweryn Mierzejewski, prosty towarzysz husarski, w zapomnianej bitwie poległy, mogłem tam być i to wszystko widzieć! Zaiste prawdę powiadali, że nagroda w niebiesiech jest ponad wszelkie ludzkie wyobrażenie! Aż się chciało od razu w Światłość wstąpić i w niej zatracić, lecz służba pierwsza!

Gdyby podczas mszy papieskiej albo zaraz po niej do tej bitwy doszło, victoria byłaby pewna. *Amor vincit omnia*, miłość zwycięża wszystko!

Szkopuł w tym, że moja mała przeciwniczka już wcale niedziecięcą przebiegłość jęła okazywać. Skrzętnie omijała miejsca, gdzie na zbyt wielki hazard mogłaby swą armię upiorów wystawić. Szła zawsze przez mrok i złość. Wiodła widmowe oddziały ścieżkami skrytymi w cieniu nikczemności, podłoty i nienawiści, przez manowce niewiary. Tak unikała pewnej zagłady, a zarazem wciąż nowych żołnierzy sobie wynajdowała. Jedni szli za nią z woli własnej, innych wleczono po niewoli, ale wszyscy byli jednako pomocni. Zdrajcy i potępieńcy służyli w tym wojsku za sztandary. Spojrzenie na te znaki wzmagało furię i rozpalało żądzę zemsty szeregowych zjaw.

Trzeba mi było zatem też wykazać się chytrością i znaleźć taką okazję, przy której dobre i złe duchy mogłyby się spotkać i otwarcie przeciw sobie wystąpić. Znalazłem to w roku Pańskim 1982, podczas demonstracji i zamieszek w rocznicę podpisania porozumień sierpniowych, jak mi potem rzecz objaśnił Leniwiec. Cała Warszawa zamieniła się wtedy w jedno wielkie pole bitwy, zasnute dymami wyciskającymi z oczu łzy. Wtedy to wybrałem miejsce, jak mi się wydawało, najsposobniejsze, pośrodku pola dawnej rzezi Pragi, kiedy to panna Leokadia śmiertelnie raniona została. Liczyłem na dodatkową pomoc innych duchów wtedy tu pomordowanych.

Był zatem wieczór, 31 sierpnia, kiedy stanąłem na stopniach przed Dworcem Wileńskim. Z głębi ulicy Targowej, od strony bazaru Różyckiego, szedł tłum ludzi ze znakami Solidarności i biało-czerwonymi flagami, a naprzeciw nich, przy pomniku fałszywego braterstwa broni, dwa czarne szeregi ZOMO. Za nimi to właśnie zaraz miał przejść niewidzialny dla żyjących posępny pochód Tiny-Aliny.

Tegom chciał! Na tom właśnie czekał! Przybrałem swą najgodniejszą postać i pozwoliłem się dostrzec oczom każdej duszy ludzkiej, pozostając

jednak niedostępnym dla niczyjego rozumu. Widzieli mnie, nie wiedząc o tym. Wyszedłem na spotkanie nadchodzącego ludu, stanąłem na jego czele i ruszyłem przeciw ciemiężcom wolności.

Nie olśniewałem złotą karaceną ani krwawym rubinem, które dano mi, kiedy cała nasza czwórka dostąpiła wywyższenia. To był strój na niebiańskie pokoje, teraz niestosowny. Stanąłem więc tam, na ulicy Targowej, w zwykłej zbroi, ze świeżą dziurą po szwedzkiej kuli i jednym husarskim skrzydłem ułamanym podczas śmiertelnego upadku z konia. Tylko szablę nie pospolitą, lecz tę ognistą dzierżyłem w garści.

Nie oglądałem się za siebie, a jednak czułem dusze, tak jak one mnie. Wszystkie serca naraz stały się jednym sercem i jak jedno zaczęły bić. Pieśni, którą ludzie za mną zaczęli śpiewać, wcześniej nie znałem, ale wszystkie słowa objawiły mi się od razu.

Dałeś mi Panie zbroję, dawny kuł płatnerz ją.
W wielu pogięta bojach, wielu ochrzczona krwią.

Tak, to było o mnie! Co prawda dalej poeta Kaczmarski trochę się pomylił, bo ona wcale nie była za duża, no i jeszcze nie zawieruszył mi się miecz. Jednak nie ma co kłócić się o słowa, ważne, że podniósł się duch.

Magicznych na niej rytów dziś nie odczyta nikt,
Ale wykuta z mitów i wieczna jest jak mit!

I poniosła nas owa pieśń prosto na pierwszy szereg sług ciemności. Z naszej strony poleciały gradem kamienie i połówki cegłówek. Wielu było wśród nas obwiesi z okolicznych zaułków i podwórek, których teraz, za moją sprawą, ogarnął nadzwyczajny animusz bojowy. I mnie takoż dawny zapał rycerski wrócił.

Choć słońce skrył bojowy gaz i żołdak pławi się w rozbojach,
Wciąż przed upadkiem chroni nas…

– ZBROOOJAAAA!!! – poszło zawołanie.

Wziąłem pierwszy zamach szablicą i od jednego mojego cięcia pół tuzina szklistych tarcz z napisem „MILICJA” rozprysło się w drobny mak. Żywi myśleli, że to od uderzeń kamieni. Zomowcy sięgnęli do pałek, lecz zaraz na nie znalazły się gazrurki…

Zabijać aniołowi Pańskiemu nie uchodzi, ale żeby w mordę dać, na to dyspensa była. Tym skwapliwiej się do tegom zabrał, że jak dobrze pięścią w żelaznej rękawicy w tę przezroczystą przyłbicę przyłożyć, to za jednym zamachem i nochal złamany, i zębów brak! Anielską szablą zaś ciąłem tak, żeby kości połamać, a skóry nie przeciąć.

Rozegnaliśmy na cztery wiatry pierwszą linię ZOMO i wpadliśmy na drugą. Ci już nawet nie próbowali stawić nam czoła. Zaczęli się cofać, gubiąc krok, łamali szeregi, ustępując coraz bardziej bezładnie, jakby rozganiał ich sam nasz triumfalny krzyk. Wzięliśmy z marszu skrzyżowanie ulic, rozepchnęliśmy rozproszonych zomowców na boki i doszliśmy do pomnika.

Tutaj spadł na nas mrok. Wszystkim pociemniało naraz w duszach i sercach.

Nadszedł najważniejszy moment tej bitwy. Rdzawy kamienny cokół otworzył się niczym brama i zaczęła wychodzić z niej armia Tiny-Aliny. Maszerowali w kierunku ulicy Cyryla i Metodego, a tam znów zapadali się pod ziemię. Dokładnie widziałem ich tylko ja. W żywych uderzyła jedynie fala ślepego lęku tak potężna, że ludzie wystraszyli się nagle własnej śmiałości. Ktoś krzyknął, że teraz zaczną strzelać…

Należało znów wykrzesać poprzednie uniesienie i czym prędzej natrzeć na demony. Wystarczyłoby, żeby zjednoczeni, rozśpiewani ludzie zgodnie

i społem przeszli przez ich mroczny korowód, a zjawy poszłyby w rozsypkę. Wzięte do niewoli upiory skryłyby się w najgłębszych zakamarkach piekła, a Tina-Alina musiałaby zaczynać wszystko od początku.

Potrzebowałem nowej pieśni, lecz nie dostąpiłem natchnienia. Szukałem w pamięci czegoś, co znaliby też towarzyszący mi ludzie z tego stulecia, ale nic w porę sobie nie przypomniałem. Tłum wokół mnie zaczął się przerzedzać i cofać jak wracająca do morza fala. Tymczasem od strony mostu, skręcając tu z Jagiellońskiej, nadjeżdżały wezwane z koszar nowe oddziały ZOMO. Wyładowywały się z ciężarówek przy cerkwi i sprawnie formowały nowe szeregi. Wystrzelono kilkanaście granatów z gazem łzawiącym, które poleciały w naszą stronę, ciągnąc za sobą szare smugi.

W tym momencie przede mną stanęła sama Tina-Alina.

– Nie pokonasz mnie – powiedziała, wydymając pogardliwie małe usteczka. – Idź sobie! Idź, Herodzie, boś ty brzydki!

Czemu nazwała mnie imieniem zabójcy niewiniątek? Czy to aby coś oznaczało? Nie odgadłem. Tak czy owak było już po wszystkim. Tina-Alina znikła. Demony przeszły, nie napotykając oporu, a ja zostałem sam na żrąco zadymionym pobojowisku, zarzuconym kawałkami cegieł i szczątkami milicyjnych tarcz.

Tramwaj linii 34 wyjechał z ulicy 11 Listopada. Powinien był skręcić na most, ale ponieważ ZOMO zablokowało tory, skierowano wóz prosto w Targową, objazdem przez Zieleniecką i most Poniatowskiego, ale ta droga też okazała się zamknięta. Motorniczemu nakazano skręcić pod Dworzec Wschodni i tam wysadzić pasażerów, którzy na drugi brzeg Wisły przedostali się pociągiem.

Kiedy ten tramwaj mnie mijał, zobaczyłem, że przy oknie w drugim wagonie stoi szesnastoletni blondynek, w wielkim skupieniu obserwujący

mijaną okolicę. Nagle nasze oczy spotkały się i pojąłem, że ten chłopak mnie widzi – przygarbionego husarza ze złamanym skrzydłem, ciężko opartego na szabli lśniącej jak świetlny miecz z *Gwiezdnych wojen*…

Twarz onego pacholika wydała mi się znajoma… Ach tak! Rozpoznałem w nim młodego Leniwca. To przelotne spotkanie pewnie też coś znaczyło, lecz znów nie wiedziałem co. Opadało mnie zwątpienie, jednak powstrzymałem się od skarg na boże wyroki. Usiadłem zrezygnowany na krawężniku i czekałem, aż z przyszłości przybędą po mnie panna Leokadia i Leniwiec. Jakoś całkiem odeszła mi ochota dalszego błąkania się w czasie. Niech tam już Leniwiec prowadzi nas dalej prosto i szybko, tak jak on to najlepiej umie.

W tej chwili oboje stanęli obok mnie. Byli zmartwieni i już wiedziałem, że im też się nie powiodło. Ponadto Leniwiec miał dla mnie objawienie wyjaśniające dlaczego przegrałem.

– Zło dobrem zwyciężaj… – powiedział mi poważnie na powitanie.

– Nie umiem, jestem rycerzem – odparłem chmurnie.

Cóż innego mogłem rzec? Naprawdę nie wiedziałem, jak się to robi. Wszak żeby dostać się do pochodu Tiny-Aliny, musieliśmy wpierw znieść szeregi ZOMO, za którymi kryły się demony. No jakże tu czynić inaczej?

– Sługami nieużytecznymi jesteśmy – westchnęła ciężko panna Leokadia.

XXIX. Świątynia Samobójstwa

Całodobowe czuwanie modlitewne pod Muzeum Powstania Warszawskiego zaczęło się już następnego dnia rano po prelekcji profesora Pieduszyńskiego.

Fale rozchodzące się od kamienia wrzuconego do wody stopniowo maleją i nikną w miarę oddalania się od źródła. W tym przypadku było odwrotnie – rosły, potężniały, wręcz lawinowo nabierały mocy. Coraz silniejszy odzew dochodził ze wszystkich stron kraju, od kolejnych środowisk społecznych, organizacji i parafii. Z każdą godziną pod muzeum przybywało staruszek w moherowych beretach, harcerzy, krzyży małych i dużych, obrazów Maryi Panny. Samorzutnie organizowały się kółka różańcowe, przybywało natchnionych kaznodziejów. Niemal natychmiast pojawili się weterani papieskiej straży porządkowej w budzących powszechne zaufanie beżowych furażerkach.

W ciągu drugiej doby kontrolę nad rozmodlonym tłumem przejęło Radio Maryja. Pod kierunkiem spikerów tej rozgłośni w całym kraju zaczęto organizować rekolekcje, pielgrzymki i punkty informacyjne. Trzeciego dnia na miejscu objawił się sam ojciec dyrektor w towarzystwie puchnącego z dumy profesora Pieduszyńskiego, który non stop udzielał wywiadów, w każdym powtarzając to, co mówił w podziemiach kościoła Wszystkich Świętych. Wkrótce zaistniała konieczność organizacji regularnego centrum prasowego, czym zajęli się absolwenci i słuchacze

Wyższej Szkoły Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu. Słowem, gotowe kadry spadły jak z nieba.

Następnie zawiązał się Maryjny Komitet Powitalny, który nakazał administracji biurowców sąsiadujących z muzeum usunięcie prywatnych samochodów z parkingów przy Prostej, Hrubieszowskiej i Przyokopowej oraz ograniczenie godzin pracy funkcjonujących w nich firm, co zostało wykonane sumiennie i bez najmniejszych sprzeciwów. MKP podporządkowały się wszystkie działające na tym terenie firmy ochroniarskie, a co bystrzejsi prezesi niezwłocznie udostępnili dworowi ojca dyrektora gabinety, sale konferencyjne i stołówki. W efekcie nowe teokratyczne władze dzielnicy zyskały godną oprawę i możliwość realizacji swych zadań w prawdziwie europejskich warunkach. Prostemu ludowi bożemu załatwiono sto trzydzieści pięć toi toiów, w tym dwadzieścia dla osób niepełnosprawnych, cztery kuchnie polowe oraz zorganizowano trzy punkty pomocy medycznej. Niewykończoną stację drugiej linii metra przy rondzie Daszyńskiego zajęto na noclegownię dla pielgrzymów, wymuszając przerwanie robót budowlanych.

Biskupi z Warszawy po prostu uciekli. To znaczy przypadkiem żadnego nie było w stolicy. Wyjechali na zaplanowane znacznie wcześniej narady, konferencje, wizytacje duszpasterskie, kuracje sanatoryjne, a ścisłe kierownictwo episkopatu jak jeden mąż stawiło się w Watykanie *ad limina apostolorum*, żeby omówić z papieżem wzniosłe, ponadczasowe sprawy Kościoła, niemające absolutnie nic wspólnego z przyziemnymi wydarzeniami bieżącymi. Jedynym wyjątkiem były problemy katolików w Gwatemali. Mówiąc serio, biskupi czekali, aż sytuacja się wyklaruje i będą mogli przyjść na gotowe. Rzecznik warszawskiej kurii metropolitalnej pytany o stosunek do wydarzeń pod muzeum oznajmił, że jego ekscelencja arcybiskup absolutnie, w żadnym wypadku nie jest stroną

w tej sprawie, po czym przeszedł do okrągłych frazesów o roztropności, rozwadze oraz wnikliwym zbadaniu sprawy w swoim czasie przez kościelnych ekspertów i wybitnych teologów.

Władze miasta deliberowały, co robić, do czasu, aż pielgrzymi przestali mieścić się pod ziemią i na trawnikach wzdłuż ulicy Towarowej wyrosło dziesięciotysięczne miasto namiotowe, a kłębiące się we wszystkich kierunkach ludzkie masy zablokowały wszelki ruch kołowy na rondzie Daszyńskiego. Wtedy zjawiła się drogówka, usiłując z mizernym skutkiem przywrócić przynajmniej ruch tramwajowy. Skończyło się to tym, że pod koła wpadł jakiś rozmodlony pielgrzym, a winą za wypadek gapie obciążyli policję. Funkcjonariuszy niezwłocznie przepędzono, po czym zaczęto wznosić barykady, które przecięły Prostą na wysokości Wroniej i Karolkowej, a Towarową przy Grzybowskiej i Siennej. Za budulec posłużyły zerwane w czynie społecznym szyny tramwajowe i podkłady, co rozwiązało metodą faktów dokonanych skomplikowany logistycznie problem organizacji objazdów. Straż na wzniesionych w rekordowym tempie fortyfikacjach zaciągnęli ochotnicy z patriotycznych organizacji młodzieżowych oraz zjednoczeni fani warszawskich klubów piłkarskich. Rzecz jasna, butelek z benzyną zabraknąć nie mogło.

Skoro zaś pod Muzeum Powstania Warszawskiego pojawiły się barykady, obowiązkowo musieli sfotografować się na nich wszyscy szanujący się politycy, zwłaszcza narodowi. Z wyrazami poparcia „dla bohaterskiego ludu stolicy” stawiła się cała opozycja parlamentarna, pozaparlamentarna i kanapowa, dramatycznie wzywając rząd i ratusz do „zaniechania wszelkich rozwiązań siłowych”. Wprawdzie po stronie adresatów tych rezolucji nikt nie miał najmniejszego zamiaru popełniać politycznego samobójstwa, ale brak szturmu oddziałów prewencji niezwłocznie przypisano skuteczności „godnościowych protestów”.

W mediach błyskawiczną karierę zrobił termin „drugie powstanie warszawskie”. Do kompletu, pani prezydent stolicy dostąpiła spektakularnego nawrócenia na katolicyzm toruński podczas kurtuazyjnej wizyty w sanktuarium na Siekierkach.

Muzeum było teraz otwarte całą dobę, przez siedem dni w tygodniu. Zamknięto jedynie wejście na wieżę Wolności, którą przygotowano na Zniebazstąpienie, jak zwięźle nazwano oczekiwane objawienie. Przygotowania te przebiegały „zarówno w aspekcie religijnym, jak i estetycznym”, cytuję komunikat biuletynu informacyjnego wydawanego przez Maryjny Komitet Powitalny. Konkretnie, co się dało, poświęcono, okadzono i przyozdobiono wstążkami w kolorach maryjnych, narodowych i papieskich. Szczyt wieży udrapowano złotogłowiem, by przypominał baldachim. Mimochodem zorganizowano zamknięty przetarg na potencjalne relikwie, to znaczy panele podłogowe i stopnie schodów, po których Maryja Panna raczy stąpać, a także rurki balustrady, których być może dotknie dłonią. Wszystkie elementy konstrukcyjne potencjalnie mogące mieć fizyczny kontakt z Matką Boga przezornie skatalogowano i wybito na nich numery oraz stosowne godła.

Oczywiście „najwięcej głębokiej troski poświęcono przygotowaniom duchowym”, które szły pełną parą u podnóża wieży. Pobliski kościół parafialny przy Karolkowej okazał się za mały, więc zorganizowano jeszcze trzy kaplice na wolnym powietrzu. Jedną dla VIP-ów i „najbardziej zaangażowanych wiernych” na terenie samego muzeum, w parku, pod ścianą z nazwiskami bohaterów, druga stanęła w miasteczku namiotowym przy końcówce Siennej, a trzecia na parkingu przylegającym do muzeum od strony Prostej. Liturgię sprawowali bez przerwy kapelani ochotnicy przybywający ze wszystkich stron kraju i z zagranicy. Każda stołeczna parafia za punkt honoru postawiła sobie wydelegowanie co najmniej

jednego kapłana do stałej posługi przy wiernych oczekujących na Zniebazstąpienie.

Ja, Leokadia, Jan Seweryn i towarzysz Zaleszczuk patrzyliśmy na to wszystko z góry, siedząc na krawędzi dachu dawnych zakładów Polam, *vis-à-vis* muzeum. Sławek pierwszy raz widział dokładnie to samo, co my, ale jego naukowy światopogląd bynajmniej nie doznał uszczerbku. Wręcz przeciwnie, zyskał wreszcie solidny argument na rzecz niesłuszności podważania pryncypiów materializmu dialektycznego. Zdaniem towarzysza Zaleszczuka tragiczne skutki zaniedbań na froncie pracy ideowej doprowadziły do niepohamowanego plenienia się religijnych zabobonów, czego jaskrawe dowody mieliśmy przed sobą jak na dłoni.

– Jak można było spowodować taki regres w propagowaniu zasad kultury świeckiej?! – pytał w stanie rewolucyjnego wzburzenia, wygłaszając nam improwizowany referat. – Czemu tych obywateli nie uświadomiono, że jedną z podstawowych funkcji religii jest kompensowanie ludziom realnych potrzeb społecznych i rzeczywistych trudności? Czemu nikt im nie powiedział, że religijna kompensacja narodowych klęsk ma charakter pozorny? Religia nie usuwa obiektywnych źródeł trudności, a jedynie łagodzi te trudności iluzorycznie poprzez fantastyczną praktykę i teorię. Fantazją religijną próbuje się zaspokoić ludzką potrzebę wiedzy o rzeczywistości, a zarazem potrzebę bezpieczeństwa, panowania i kontroli nad niesprzyjającym otoczeniem, w tym przypadku geopolitycznym!

Towarzysz Zaleszczuk, jak zwykle, zamierzał przekonać nas, że „religia jest opium dla ludu”, ale tym razem, chociaż dostrzegał tylko połowę prawdy, nie był śmieszny, ponieważ była to ta istotniejsza połowa. Religia, nad którą przejmują kontrolę demony, rzeczywiście staje się narkotykiem. Tam na dole doszło do gigantycznego przedawkowania oraz nastąpiła

monstrualna dilerka. I to nie uśmierzającego ból opium, ale paskudztwa robiącego z ludzi zombie.

Najgorszy w tym szaleństwie był brak chaosu. Wszystko było tu przemyślane i dopracowane w szczegółach, organizacyjna perfekcja mogła naprawdę imponować. Odpowiedź na pytanie: „Co będzie dalej?”, oczywiście znałem. Po objawieniu się Klimaszewskiej, a następnie połączeniu jej i Piekarki z Tiną-Aliną w demoniczną trójcę, nastąpi „wielkie wzmożenie narodowego ducha” oraz „rewolucyjny renesans prawdziwych wartości”. Na tej fali dojdą do władzy psychopatyczni politycy, którzy poprowadzą Polskę ku pełnej suwerenności, to znaczy do wojny z Rosją. Skoro Ruscy zamordowali nam prezydenta, to jest casus belli i musi być wojna. Jeśli powiedziało się „A”, trzeba powiedzieć „B”! Nie da się tylko gadać, w nieskończoność grzać żółci, siać wiatru i nie zebrać burzy. Musi wreszcie nadejść czas zapłaty, wyrównania odwiecznych porachunków, odebrania zaległych odsetek i nawiązek. Żadnych kompromisów ani politycznych gier na miarę sił i możliwości, bo to zdrada. Żadnych kalkulacji i planowania. Postawić się im już, natychmiast, za wszelką cenę! Pokazać całemu światu, jacy jesteśmy nieugięci, a demony już dopilnują, aby nigdzie nie zatliła się choćby najmniejsza skra rozumu czy instynktu samozachowawczego, aby każdy głos rozsądku zakrzyczano, odmawiając prawa do bycia Polakiem, insynuując zdradę i agenturalne powiązania. W tym aspekcie to, co tutaj się działo, rzeczywiście było drugim powstaniem warszawskim, wtedy bowiem za podjętymi decyzjami stały te same motywy. Dokładnie to samo samobójcze opętanie!

Skoro przyszło mi bezczynnie siedzieć na tym dachu i patrzeć na pandemonium w dole, to była dobra pora, by pozwolić sobie na małą eseistyczną dygresję. Skoro mógł towarzysz Zaleszczuk, mogę i ja…

Mówią, że powstanie warszawskie uniemożliwiło przyłączenie Polski do ZSRR w charakterze kolejnej, wówczas siedemnastej republiki. W takim przypadku zryw wolnościowy byłby usprawiedliwiony, bardzo chciało się wierzyć, że poświęcenie stolicy uratowało niepodległość Rzeczypospolitej. Niestety, mnie żadna wiara już nie dotyczyła, ja wiedziałem, że Polska nie została siedemnastą republiką radziecką nie dzięki powstaniu, lecz mimo niego. Spojrzenie na konsekwencje tego wydarzenia z punktu widzenia anioła po prostu bolało. Co się stało z samą Warszawą, wiedzą wszyscy. Jednak znacznie gorsze jest przedłużenie wojny w Europie o pół roku.

W lipcu 1944 roku Trzecia Rzesza była w rozsypce. Fronty wschodni oraz oba zachodnie we Francji i Włoszech szły do przodu dziesiątki kilometrów dziennie. W listopadzie byłoby już po wszystkim, mimo niepowodzenia zamachu Stauffenberga, bo miesiąc później plan spiskowców dokończyłby feldmarszałek Rommel. Potem byłoby jeszcze trochę politycznych targów, parę zbrojnych demonstracji dla poprawy sytuacji przy stole rokowań oraz definitywny koniec piekła.

Powstanie w Warszawie przekreśliło ten scenariusz i spowodowało odnowienie paktu Ribbentrop-Mołotow. Hitler rozpaczliwie potrzebował chwili wytchnienia, a Stalin chciał zniszczenia Polskiego Państwa Podziemnego. Formalnie sprzymierzonej Armii Krajowej Armia Czerwona nie mogła zwalczać nazbyt jawnie, bo robił się polityczny smród, więc lepiej było powierzyć to Niemcom. Obaj dyktatorzy znów się dogadali, tyle że tym razem „na gębę”, bez podpisywania dokumentów. Ribbentrop i Mołotow spotkali się ponownie 3 sierpnia na szwedzkiej Gotlandii, w dyskretnym pensjonacie pod Visby. Obyli się bez uścisków rąk, ale to, co najważniejsze, załatwili. W efekcie nastąpiło zatrzymanie rosyjskiej ofensywy na linii Wisły, z bitwą pod Studziankami stoczoną dla propagandowego alibi, żeby nikt nie mógł powiedzieć, że zawarto jakiś

rozejm. Tu zresztą znów na pierwszą linię wysłano Polaków, aby przypadkiem po wszystkim kłopotliwych sojuszników nie zostało zbyt wielu.

Hitler, uwolniony od miażdżącego nacisku na głównym kierunku strategicznym, złapał drugi oddech i najpierw zaprowadził porządek na własnym podwórku, eksterminując całą opozycję. Potem Niemcy zatrzymali aliantów pod holenderskim Arnhem i nad włoską rzeką Senio, umocnili Pomorze Zachodnie, linie Odry i Renu oraz przystąpili do kontrofensywy w Ardenach. Równocześnie opróżnili getta, w tym łódzkie, które miało największe szanse przetrwania, dokończyli „ostateczne rozwiązanie” i zabrali się do zacierania śladów zbrodni. Więźniów Oświęcimia i innych obozów koncentracyjnych zamiast wyzwolenia na początku września, czekały jeszcze ewakuacje i marsze śmierci zimą

1945 roku. Nie byłoby też bezsensownego bombardowania Drezna, które dało Niemcom moralny tytuł do ogłoszenia się ofiarami wojny i nie pozwoliło w Norymberdze rozliczyć hitlerowskich bombardowań, gdyż mocarstwa wojujące uznały, że są kwita.

Z kolei Rosjanie w tym samym czasie mogli spokojnie zająć się podbojem Węgier oraz zhołdowaniem Rumunii i Bułgarii, budując podstawy swojego imperium. Stalin chciał powstania w Warszawie równie gorąco jak warszawska młodzież. Nie przypadkiem Radio Moskwa gromko do niego wzywało. Stalin dążył do osłabienia Armii Krajowej, więc należało tę słabość udać i zrobić unik, by przechytrzyć diabła. Niechby sobie Krwawy Soso myślał, że po akcji „Burza” w Wilnie i Lwowie AK nie jest już zdolna do poważnego działania, a cała Polska należy do niego. Wtedy rosyjska ofensywa, teraz naprawdę wyczerpana, zatrzymałaby się pod koniec października na linii Warty, mając za plecami niemal nietkniętą Armię Krajową, dozbrojoną w poniemiecką broń i gotową

do ogólnonarodowego powstania. Wówczas w Jałcie byłaby całkiem inna rozmowa… Jednak generał Bór-Komorowski wolał zrobić dokładnie to, czego chciał Stalin. Decyzją o rozpoczęciu powstania nasz naczelny wódz zasłużył na tytuł Najbardziej Pożytecznego Idioty i order Bohatera Związku Radzieckiego. Mówiąc krótko, Bór był opętany. Podszepty Klimaszewskiej zrobiły mu kompletną wodę z mózgu.

Nawet jeśli przyjmiemy, że polscy dowódcy, będąc tylko ludźmi, nie mogli przewidzieć odnowienia sojuszu Hitlera i Stalina oraz tego konsekwencji, to przecież po świeżych doświadczeniach powstań w Wilnie i Lwowie wszyscy w sztabie AK doskonale wiedzieli, czym kończy się otwarte występowanie wobec Armii Czerwonej w roli politycznego gospodarza terenu. Postanowili jednak po raz trzeci popełnić ten sam błąd. To był prawdziwy, choć teologicznie niezbadany, cud boski, że Armii Krajowej po akcji „Burza” zostało jeszcze dość sił, aby skutecznie utrudnić komunistom instalowanie satelickiego rządu. Bierut i spółka mieliby jeszcze bardziej pod górkę, gdyby w Warszawie razem z całymi domami zachowały się konspiracyjne mieszkania oraz broń, której 3 października nie złożono przed Niemcami, a kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy AK nie leżało w grobach lub tkwiło bezczynnie w niemieckich obozach jenieckich. Nie da się racjonalnie wytłumaczyć, dlaczego po klęsce powstania warszawskiego Polska ostała się jako byt państwowy i to aż półsuwerenny. O szczegóły pytajcie Naczelnego, który nagiął realia polityczne aż do granicy epifanii.

Wreszcie, pomijając już politykę, od zawodowych oficerów można oczekiwać zwykłego wojskowego profesjonalizmu, czyli dopasowania planów operacyjnych do sił i środków. Tymczasem Warszawa nie była gotowa do powstania, bo połowę broni wyprowadzono z miasta, by zasilić akcję „Burza” na Kresach Wschodnich. W tych warunkach nie dało się

przeprowadzić skutecznych ataków na najważniejsze obiekty strategiczne, czyli mosty i dworce kolejowe, oraz zapewnić osłony ludności cywilnej. Nad tym ostatnim nikt się w ogóle nie zastanawiał. Śmierć kobiet i dzieci była wręcz potrzebna, aby wstrząsnąć sumieniem świata. Polskie sumienia zamuliły obłudne eufemizmy o walce za ojczyznę, bohaterskim zrywie i poświęceniu. Mała Tina-Alina nie stanęła dzielnie do boju, nie dokonała fundamentalnego wyboru drogi walki i męczeństwa, tylko została oderwana od zabawek, wyprowadzona na podwórko i rozstrzelana. Ją zdradzono.

Tego, że generałowie z trzydziestoletnim doświadczeniem nagle zapomnieli podstaw strategii, że zamiast na chłodno praktykować żołnierskie rzemiosło, postanowili wzbudzać litość Zachodu i to jeszcze cudzym kosztem, własne tyłki bezpiecznie dekując w schronach, też nie da się wytłumaczyć racjonalnie. Ten ślepy, samobójczy heroizm pochodził nie z tego świata i nie od Naczelnego. On nie każe zamykać oczu na prawdę, zawieszać rozumu na kołku i zdawać się na emocje. Przeciwnie, Pismo uczy, że wszystko musi mieć swój czas i miejsce, w tym także wybuchy słusznego gniewu. To nie Duch Święty szeptał warszawskim powstańcom, by nie myśleć, nie kalkulować, lecz rzucić się głową w dół w ognistą otchłań, poświęcić wszystko dla próżnego symbolu, wykrzyczeć z siebie złość, nie bacząc na nic, nie licząc się z nikim, byle tylko odreagować, bo jakoś to będzie.

I jakoś było. Teraz już dobrze wiecie jak.

Wtedy, a teraz znowu. Kolejny raz po szwedzkim potopie, wielkiej wojnie północnej, rzezi Pragi i drugiej wojnie światowej Warszawa zmierzała do powtórki z historii, najefektowniejszej z dotychczasowych, bo ostatecznej. W tym przypadku demony o wszystkim pomyślały zawczasu, dokładnie zaplanowały szczegóły organizacyjne i nadały finałowi stosowną oprawę, rozpoczynając od wzniesienia Świątyni

Zbiorowego Samobójstwa, nazywając ją dla niepoznaki Muzeum Powstania Warszawskiego. Dla odmiany, budowa tej poświęconej Opatrzności Bożej szła jak krew z nosa. Od razu widać, kto w tym mieście rządzi!

Oto więc przed nami, po drugiej stronie ulicy Przyokopowej wznosiło się sanktuarium samozagłady, ozdobione najczcigodniejszymi symbolami. Prawdziwa brama piekieł opakowana w świecące pozłotko. Cyniczne wyzwanie rzucone Opatrzności, a na dodatek postawione akurat na Woli, w miejscu poprzedniego triumfu demonów. To muzeum wyrosło z rozpaczy, bólu i przerażenia, szyderczo je ignorując. Jeśli mi nie wierzycie, to proszę, wejdźcie do środka i poszukajcie informacji o ludobójstwie w pierwszych dniach sierpnia 1944. Znajdziecie tylko parę wzmianek na marginesie ekstatycznej pochwały bohaterstwa żołnierzy AK. Cierpienia mieszkańców stolicy to łajno historii, więc skupmy się na kwiatku, który na nim rośnie… No, ewentualnie można udręczonym warszawiakom rzucić jałmużnę w postaci pomniczka poza głównym budynkiem. Dokładnie tyle trzeba, żeby nikt nie mógł zarzucić jawnego fałszowania historii, natomiast granica między interpretacją a manipulacją jest nader płynna, można się długo spierać…

Kiedy zaś spytacie o rzeź Woli kogoś z obsługi muzeum, odeśle was na górę do wojłokowego namiotu, ze stołem zawalonym poliestrowymi kaflami z zatopionymi w środku protokołami ekshumacji, które przeprowadzono po wojnie. Pomijając, że trudno przeczytać te aptekarskie bazgroły, a brudnożółte płyty ciążą w rękach, sprytnie zachęcając do szybkiego odkładania, to co właściwie ma piernik do wiatraka? Związek rozstrzeliwań z ekshumacjami niby jest, ale to nie to samo, zwłaszcza że rozstrzelanych na Woli spalono i nie dało się popiołom zrobić indywidualnych metryczek. To jest bezczelne zamiatanie ofiar pod dywan, żeby weteranom nie odbierać chwały. Uczciwym wspomnieniem rzezi Woli

byłaby sterta manekinów płonących na chodniku przed muzeum. I niech młodzież szkolna w ramach edukacji historycznej polewa je benzyną. Dziewczynki i chłopcy powinni się dowiedzieć, że do tego doszło dlatego, że wtedy „na tygrysy mieli visy”, przydatne w sam raz, żeby je rozdrażnić i nic ponadto. Ktoś, kto kopie wściekłego psa, a następnie ucieka przed nim przez ogródek jordanowski pełen dzieci i matek z wózkami, aby na koniec chwacko przeskoczyć płot lub zwiać kanałami, zostawiając problem innym, nie może się potem tłumaczyć, że tylko ta bestia jest winna, a jemu należy się medal za niebywałą brawurę i odwagę.

A teraz powtórka z historii nabierała rozmachu.

Kiedy okolice ronda Daszyńskiego przestały mieścić wzbierający bez końca tłum, zaczęto ustawiać telebimy na Polach Mokotowskich, w Ogrodzie Saskim i na placu Piłsudskiego. Medialna infrastruktura oraz propagandowa obsługa całego Zniebazstąpienia osiągnęły taki stopień złożoności, że profesor Pieduszyński, aby nad wszystkim zapanować, sypiał już tylko cztery godziny na dobę jak Napoleon Bonaparte, czym nie omieszkał się publicznie pochwalić. Spostponował go za to ojciec dyrektor, który sam się widział w tej roli, ale było to tylko drobne, przyjacielskiego nieporozumienie, absolutnie niekładące się cieniem na rozmach i sprawność przygotowań.

Jesika cały czas trwała przy profesorze. Popadła w kompletną dewocję, nosiła długą, popielatoczarną suknię i trzy różańce na szyi. Mogliśmy obserwować ją tylko z daleka, ponieważ Leokadia straciła dostęp do umysłu dziewczyny. Z doświadczenia wiedziałem, co się teraz dzieje w jej głowie, ale wolałem nie mówić tego Ośce, żeby nie było jej przykro. Jesika złapała fazę, uniesienie kipiącego fanatyzmem tłumu pozbawiło ją nie tylko zdolności samodzielnego myślenia, ale nawet własnych uczuć. Zapomniała o miłości do Andrzeja. Stała się organiczną częścią tego

zaślepionego molocha, który niósł ją ku zagładzie i była teraz równie blisko potępienia co jej mentor.

Nie mogliśmy nic zrobić. Klimaszewska z Piekarką na własnym terenie w pełni kontrolowały czasoprzestrzeń i strukturę zdarzeń, żelazną ręką trzymając wszystkich swoich niewolników w karbach zbiorowego opętania. Wiedziały, gdzie my jesteśmy, i łaskawie nas tolerowały, gdyż bezradność aniołów dodatkowo wzmagała ich radochę.

Czas mijał, a my siedzieliśmy na tym gzymsie eks-Polamu jak czwórka zmokłych wron. Autorem tego akurat porównania nie byłem ja, tylko Jan Seweryn. Skoro husaria popadała w czarny humor, to już naprawdę musiało być kiepsko.

Pierwszy znak od Naczelnego, że nie zostaliśmy jednak przeznaczeni do odstrzału, pojawił się wtedy, gdy Andrzej zobaczył Jesikę w telewizji, podczas jednej z niezliczonych konferencji prasowych profesora Pieduszyńskiego. Planu żadnego nasz księżyk obmyślić nie zdołał, albowiem zanim skończył się dziwić, ktoś z obecnych w schroniskowej świetlicy rzucił hasło, że przecież trzeba tam pomóc! Niezwłocznie ruszyła spontaniczna akcja „Bezdomni w służbie Maryi i Jej Zniebazstąpienia”, a dwie godziny później Andrzej oraz jego nowi koledzy z dumą i zapałem sprzątali miasteczko namiotowe przy Towarowej.

Klimaszewska od razu się zorientowała, że para jej głównych wrogów znalazła się niebezpiecznie blisko siebie, ale nie przedsięwzięła żadnych radykalnych środków zaradczych, poprzestając jedynie na kontroli zbiegów okoliczności, dlatego Andrzej i Jesika nie mogli się znaleźć bliżej niż sto metrów od siebie. Ona ani razu nigdzie go nie dostrzegła, a on widywał ją tylko w telewizji. Każda jego próba zbliżenia się do centrum prasowego kończyła się tym, że natychmiast przydzielano mu pracę w dokładnie przeciwnym miejscu. Andrzej szybko się zorientował, co to znaczy,

i postanowił pokornie czekać na kolejną łaskę Opatrzności. Podejrzenia, a nawet pewność co do tożsamości bohaterki zapowiadanego objawienia, owszem, miał, ale tym razem gębę oraz apostolski zapał przezornie trzymał na kłódkę. Był doprawdy rzadkim w tej okolicy przypadkiem cierpliwego czekania na właściwy moment.

Nie uszło mojej uwagi, że Klimaszewska z Piekarką mimo wszystko bardzo ryzykują. Skoro sprawa rozdzielenia Andrzeja i Jesiki przestała być dla nich najważniejsza, to znaczyło, że mają na głowie coś pilniejszego. Tym czymś było zgranie i koncentracja przejawów zbiorowego uwielbienia. Klimaszewska zawsze była na to bardzo łasa, ale teraz wyraźnie chodziło o coś więcej. Nabożeństwa w ostatnich dniach przed Zniebazstąpieniem zaczęły nabierać charakteru prób przed wybuchem emocjonalnego wulkanu. Ewentualnie przypominało to eksperymenty dawnych fizyków jądrowych ustalających masę krytyczną uranu 235 – za każdym razem dokładali trochę więcej, zbliżali do siebie półkule i cofali je szybko, kiedy reakcja łańcuchowa już prawie, prawie wymykała się spod kontroli. Dla zabicia czasu zacząłem objaśniać ten fenomen Janowi Sewerynowi. Przyjął rzecz do wiadomości i żadnego pacyfistycznego komentarza nie wygłosił.

Tak nadszedł 15 sierpnia, wczesne popołudnie przed godziną W, a zarazem Z – od Zniebazstąpienia.

U stóp wieży Wolności, przed kaplicą dla VIP-ów najlepsze miejsca przeznaczono dla żyjących jeszcze weteranów powstania. Stawili się licznie, aczkolwiek na ich korzyść należy zaznaczyć, że nie wszyscy. Wiele osób miało wątpliwości i mimo nagabywań zostali w domach, wymawiając się stanem zdrowia. W zastępstwie pozbierano po domach opieki i hospicjach wszystkich staruszków z zaawansowanym alzheimerem oraz w nowotworowej agonii, obowiązkowo wszystkich nieświadomych tego, co się z nimi dzieje. Ojciec dyrektor w imieniu Maryi Panny zapewnił, że

mogą oni liczyć na cudowne uzdrowienie w pierwszym kwadransie po Zniebazstąpieniu. Teraz usadzeni na wózkach w pierwszej linii, całym swoim cierpieniem podkreślali powagę, godność i świętość tej bezprecedensowej uroczystości.

Powstańcom obowiązkowo towarzyszyli kibice Legii, którzy w ramach symbiozy przekształcającej się już w tradycję zapewniali staruszkom transport i opiekę, w zamian zyskując moralną dyspensę na robienie rozpierduch na mieście. Gdyby się kto pytał, powtórka z historii rządzi!

Większość kiboli nie zmieściła się na terenie muzeum, więc skierowano ich na parking przy ulicy Przyokopowej. Tu niezwłocznie zaczęli konkurować z moherową gwardią z Torunia, kto głośniej da wyraz swojej wierze i maryjnemu entuzjazmowi. Mimo wielkich starań warszawskich młodych zdolnych, zawodzące unisono staruszki udawało im się przekrzyczeć tylko chwilami. O dziwo, siła gardeł po obu stronach okazała taka sama. Zawody te trwały czterdzieści pięć minut, po czym zarządzono przerwę, a po niej zaprowadzono porządek i kontrolę nad obiema grupami przejął specjalnie przysłany ksiądz wodzirej w stosownym szaliku. Niedowidzące babcie myślały, że to stuła.

Resztę przybyłych stanowili zaufani współpracownicy i wielbiciele ojca dyrektora oraz zaakceptowani przez niego goście. Zwykli warszawiacy, ci, którzy pierwsi zaczęli czuwanie przy muzeum, jakoś tak mimochodem znaleźli się daleko z tyłu, poza linią barykad, ozdobionych portretami maryjnymi tak gęsto, że z daleka wyglądały jak pokryte tarczami okręty wikingów.

Dziesięć minut przed godziną Z skończyły się lokalne śpiewy i modlitwy, a zaczęto wspólnie odmawiać *Litanię do Najświętszej Maryi Panny*, którą poprowadził sam ojciec dyrektor. Z każdym kolejnym zawołaniem odzew zgromadzonych tłumów rozbrzmiewał głośniej

i zgrywał coraz bardziej, samoistnie znikały wszelkie falstarty i opóźnienia, a ludzie stojący kilometry od siebie wypowiadali te same głoski w jednym momencie. Wołali: „MÓDL SIĘ ZA NAMI!” jak jedne usta i jedna osoba, którą była Krystyna Piekarka. W szczytowym momencie jej kontroli nad tłumem znikł wszelki pogłos, ponieważ demonica wzięła poprawkę na prędkość dźwięku i odległość poszczególnych osób od wieży Wolności. To był efekt, którego nie było w stanie zapewnić nawet komputerowo wspomagane nagłośnienie. Żaden komputer nie poradziłby sobie z tyloma pętlami odsłuchu i sprzężeniami zwrotnymi. Tylko chóry anielskie tak umiały. Słowem, ekstaza totalna.

Tłum grzmiał jak piorun.

DOMIE ZŁOTY!

ARKO PRZYMIERZA!

BRAMO NIEBIESKA!

W tym momencie z pomocą przyszli nam sojusznicy najmniej spodziewani. Ku Muzeum Powstania Warszawskiego z ulicy Wroniej ruszyła zgromadzona tam potajemnie, spowita dymami kadzidlanymi procesja lefebrystów. Z feretronami świętych, chorągwiami przedpotopowych stowarzyszeń katolickich oraz lasem krzyży nad głowami wyglądali tak pobożnie i dostojnie, że bez problemu przepuszczono ich przez barykadę przegradzającą Prostą, a także dalsze szpalery straży porządkowej, mylnie uznając, że ta akcja stanowi część programu uroczystości. Ojciec dyrektor nie mógł oponować, bo był zajęty litanią.

Lefebryści od lat mieli na pieńku z Radiem Maryja, zarzucając tej rozgłośni, że propaguje fałszywe objawienia maryjne. Tym razem nie poprzestali na krytyce werbalnej, ale ruszyli osobiście, aby dać świadectwo prawdzie. Nawet za cenę męczeństwa.

Do przeświadczenia, że zjawa z Siekierek nie jest tym, za kogo się podaje, lefebryści doszli sami. Tożsamości Klimaszewskiej wprawdzie nie ustalili, ale zauważyli oczywisty fakt, że objawienie na Siekierkach nigdy nie było badane przez Kościół, bo przeszkodziła w tym najpierw okupacja, a potem komuna. Prymas Wyszyński do rewelacji pani Papis podchodził jak pies do jeża. Przeczuwał fałsz, ale nie mógł sobie pozwolić na jawny konflikt z rozhisteryzowanymi mieszkańcami Siekierek, bo zaraz po ich stronie stanęliby „księża patrioci" na usługach komunistycznego reżymu. Prymas Tysiąclecia zrobił więc bardzo inteligentny unik, polecając wybudować sanktuarium maryjne, ale bez oficjalnego powiązania go z rzekomymi objawieniami Matki Bożej w pobliskim sadzie. To miejscowi ludzie spontanicznie, na własny użytek dorobili sobie legendę, że wzniesienie świątyni oznacza oficjalne uznanie objawień przez Kościół, co rzeczywiście nigdy nie nastąpiło. Dodatkowe przesłanki wskazujące, że wydarzenia na Siekierkach nie były dziełem bożym, to brak powołania i wyraźnej duchowej przemiany głównej bohaterki, która zamiast do klasztoru, jakby nigdy nic poszła sobie za mąż, następnie izolowana lokalność tego kultu, a wreszcie jawne powiązanie objawień siekierkowskich ze zniszczeniem Warszawy, co ogłoszono publicznie w „Naszym Dzienniku" 15 sierpnia 2008 roku. Tyle katolickim fundamentalistom wystarczyło, by przystąpić do działania.

Główną osobliwością nadchodzącej odsieczy było to, że ci sprzymierzeńcy całą naszą czwórkę, jak tu na tym gzymsie siedzimy, z miejsca wysłaliby do piekła, albowiem z ich punktu widzenia, formalnie rzecz biorąc, każde z nas umarło w stanie grzechu ciężkiego. Ja i towarzysz Zaleszczuk, wiadomo, heretyk i ateusz – łubudu do kotła! Leokadia też, wszak skonała bez rozgrzeszenia, a seks oralny i analny uprawiała. Może to był gwałt, a może nie… Może jakąś przyjemność z tych praktyk

nieszczęśnica jednak czerpała? Rzecz powinien wnikliwie zbadać specjalista od teologii moralnej i wypytać penitentkę o szczegółowe wrażenia podczas penetracji odbytnicy, no a nie wypytał. Natomiast nasz husarz w wojennych pochodach nie zawsze dzień święty święcił i parę razy zapomniał o tym przy spowiedzi, a co gorsza, przed bitwą, w której zginął, rozmyślnie nie poszedł na mszę polową, bo mu się gdzieś w Kampinosie zgubił pacholik i Jan Seweryn sam sobie musiał przyszykować rynsztunek. Wszystkie te zaszłości były skrupulatnie policzone, spisane, gdzie trzeba, i nie ma przebacz! Dla tych ludzi Naczelny był małostkowy aż do absolutu, absurdu i aberracji. Cóż bowiem znaczą Jego łaska i miłosierdzie wobec majestatu prawa kanonicznego!

No, ale jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma! Lefebryści byli zepsutym zegarkiem, który dwa razy na dobę wskazuje właściwą godzinę, i akurat teraz wskazywali dobrze, nie można było odmówić im racji w najistotniejszej kwestii. Problem polegał na tym, że to nie Naczelny ich tu przysłał – właśnie dostaliśmy objawienie w tej sprawie. To była klasyczna diabelska przewrotność. Lefebryści zostali zwabieni. Znaleźli się tu nie po to, by jak sądzili, dać odpór demonom, ale zostać złożeni im w ofierze. Mieli paść ofiarą linczu w wykonaniu kibiców Legii, działających w obronie honoru Przenajświętszej Maryi Panny i papieża Polaka, którego świętości lefebryści też nie uznawali, skutecznie kwestionując w Watykanie proces beatyfikacyjny. Pały i maczety „zawsze wierni” mieli przy sobie, na razie starannie ukryte pod dresami. Sprzęt ustawkowy wzięli na wszelki wypadek, bo a nuż zdarzy się zadyma z „bolszewickimi pachołkami”, czyli strażą miejską, albo innymi żydowskimi pedałami, którzy śmieliby propagować jawny antypolonizm.

Klimaszewskiej i Piekarce potrzebny był mord założycielski, żeby przypadkiem całe to „duchowe wzmożenie” nie poszło jednak w dobrą

stronę. Przemoc, krew, nienawiść i dzikie bestialstwo w finale Zniebazstąpienia definitywnie ustawiały sprawy zgodnie z szatańskim planem, łamały społeczne tabu i ostatnie zahamowania. Otwierały drogę do prowokacyjnych mordów na rosyjskich dyplomatach, a potem do „spontanicznych manifestacji słusznego gniewu na granicy z obwodem kaliningradzkim” w wykonaniu grup prawdziwych Polaków patriotów pragnących pomścić Katyń i Smoleńsk. Kiedy człowiek oszaleje, wiąże się go w kaftan bezpieczeństwa, gdy zwariuje naród, można go już tylko zbombardować. Kiedyś mówiono to o Niemcach, teraz przyszła kolej na Polaków. Sławna polska tolerancja, która mogła powstrzymać ten fanatyzm, umarła znacznie wcześniej. Dobiła ją definitywnie wałęsowska „wojna na górze”.

W wirze zbiorowego opętania Warszawa znikłaby mimochodem. Po wszystkim nawet sami Rosjanie nie wiedzieliby, jak do tego doszło, choć nikt na świecie by im nie uwierzył. Ot, ich wkurzony prezydent powiedział o Polakach jedno słowo za dużo, ktoś to nadgorliwie zinterpretował i chciał się przypodobać, ktoś nie dopatrzył, ktoś inny okazał się wielkoruskim fanatykiem z niezdiagnozowanym guzem mózgu, no i tak jakoś guzik sam się nacisnął. A przecież to miało być tylko na postrach… Taka demonstracja dla upamiętania Polaków! Któż w takim razie, kiedy i jak uzbroił te przeklęte głowice???

Diabli wiedzą…

KRÓLOWO ŚWIATA, MÓDL SIĘ ZA NAMI !!!

Te słowa padły dokładnie w godzinę WZ.

Dorota Kimaszewska stanęła na wieży.

Postać w błękitno-białych szatach pod złotym baldachimem.

Wszyscy widzieli, że nie weszła z dołu ani gdzieś z boku, tylko po prostu się pojawiła. Nie było tam nikogo i nagle ona już stała, otwierając

szeroko ramiona. Przerwano litanię. Tłum wydał z siebie wielkie zbiorowe: Ooooooooo!, które rozeszło się wokół jak fala. Piekarka już nimi nie manipulowała, miała ważniejsze zadanie.

Na drzewach wokół muzeum rozświergotały się jak szalone lelki kozodoje, które przyleciały tu, nie wiadomo skąd ani kiedy. Po kilkunastu sekundach obłąkańczego śpiewu poderwały się brunatną chmarą i rozprysły każdy w innym kierunku.

Nadeszła Tina-Alina ze swoją armią.

Tym razem nie był to korowód. Nadciągały ławą. Demony, potępieńcy oraz rojące się nad nimi porońce. Powstali z koryta nieistniejącej Drny, wznieśli się ponad ludzką masę stłoczoną na Towarowej, po czym jak fala kłębiącej się sadzy i mroku ruszyli na Muzeum Powstania Warszawskiego. Dla żyjących nie byli widoczni, ale tłum pod nimi oniemiał. Ludzie, nie wiedząc dlaczego, chowali głowy w ramiona, dostawali napadów lęku i palpitacji serca. Przed kaplicą dla VIP-ów dotąd obojętni, niczego nieświadomi staruszkowie na wózkach zaczęli nagle się miotać i przeraźliwie krzyczeć, jakby chwyciły ich nowotworowe bóle.

XXX. Problem z zapalnikiem

Oberleutnant Marcus Murnau pocił się dzisiaj znacznie bardziej niż pozostali jego ludzie pracujący w sierpniowym skwarze. Nie chodziło o to, że oni biegali w podkoszulkach, podczas gdy oficerowi wypadało zostać w mundurze, co najwyżej podwinąć rękawy i rozpiąć parę guzików pod szyją. Jemu dodatkowo robiło się gorąco na myśl, co go czeka dziś wieczorem w sztabie dywizji. Od kiedy rozsądnych oficerów Abwehry zastąpili maniacy z Gestapo, już z niczego nie można było się normalnie wytłumaczyć. Ci czarni fanatycy nie mieli poczucia dobrze wykonanej roboty, jeśli kogoś nie rozstrzelali. Wystarczyło niewiele, choćby przejaw braku wiary w ostateczne zwycięstwo, wygłoszony w formie głupiego dowcipu i zaraz kula w łeb za sianie defetyzmu. Tymczasem oberleutnant oraz jego 638. bateria artylerii najcięższej podpadli dziś przełożonym o wiele bardziej. I nikogo nie obchodziło, że nie chcieli i że dokładali wszelkich możliwych starań, by poskromić złośliwość przedmiotów martwych.

Byli obsługą ciężkiego, samobieżnego moździerza oblężniczego typu Karl Gerät 040, kaliber 600 milimetrów, nazwanego imieniem pragermańskiego boga Ziu. Ze stanowiska bojowego w parku Sowińskiego na Woli od tygodnia ostrzeliwali polskich bandytów, którzy wzniecili powstanie w Warszawie i nadal trzymali większą część centrum miasta. Zadanie dostali niby proste i bezpieczne, nie to co ostrzał twierdzy sewastopolskiej, której załoga w każdej chwili mogła się celnie odgryźć, ale

kłopoty okazały się dużo większe niż dwa lata temu. Najpierw tylko prestiżowe i honorowe, a teraz już szło o gardła.

Mieli piekielny problem z zapalnikami!

Moździerze Karl Gerät zaprojektowano do niszczenia francuskiej linii Maginota. Pociski z nich miały przebijać metry żelbetonowych ścian i stalowe pancerze, grube na trzydzieści centymetrów. Zapalniki nie mogły więc reagować na byle mur lub opór stawiany przez warstwę ziemi, pod którą ukryty był bunkier. Dopiero naprawdę solidna przeszkoda powodowała deceleracją uruchamiającą mechanizm zapłonowy. Linii Maginota ostrzelać nie zdążyli, tchórzliwe żabojady za szybko się poddały, ale pod Sewastopolem wszystko działało, jak należy. Przeorali bolszewickie forty i kazamaty niczym pług kretowisko.

Tymczasem w Warszawie pojawił się kłopot. Cywilne budynki nie stawiały dostatecznego oporu pociskom, które przechodziły przez nie jak przez teatralne dekoracje, niekiedy w ogóle na nie nie reagując. Ma się rozumieć, że zapalniki ustawiano na największą możliwą czułość, dokonywano przeróbek zwiększających wrażliwość, ale to często nie wystarczało. Zbyt często! Mieli stanowczo za duży odsetek niewypałów, sięgający już prawie dziesięciu procent.

Sam bezużyteczny strzał, strata ładunku miotającego i pocisku, to nie był jeszcze wielki problem. Armia niemiecka nie musiała oszczędzać amunicji. Wydłużenie czasu ostrzału też było do przyjęcia. Gorsze było to, że Polacy rzucali się na niewybuchy niczym na mannę z nieba, natychmiast je odnajdywali, odgrzebywali, rozbrajali i wybierali z nich materiał wybuchowy. Mordercze eksplozje pozostałych pocisków, zmiatających kamienice i niwelujących całe posesje, nie robiły na polskich skurczybykach najmniejszego wrażenia. Natomiast pięć, dziesięć godzin

po każdym pechowym strzale zauważalnie wzrastała jakość polskich granatów spadających na karki kolegów z oddziałów atakujących barykady.

Podobno Rosjanie nie pozwalali Amerykanom i Anglikom zaopatrywać z powietrza własnych sojuszników walczących w Warszawie. Było to bardzo dziwne i w tej sytuacji wychodziło na to, że Murnau i jego ludzie stali się jedynymi dostawcami materiału wojennego dla Polaków. Na początku wydawało się to nawet zabawne. Przestało być śmiesznie, kiedy jeden z członków obsługi Ziu stracił zęby po spotkaniu z wkurzonymi piechurami wracającymi z nieudanej akcji, podczas której niepozorny granat wyglądający jak zwykła petarda, z dobrym niemieckim trotylem w środku, urwał nogi ich dowódcy. Gniew frontowych kolegów, choć przykry, był jednak niczym wobec podejrzeń o sabotaż i zdradę, które zaczęto kierować pod adresem oberleutnanta oraz jego podwładnych.

No i jak na złość właśnie dzisiejszego ranka załoga Ziu, zaledwie przystąpiła do boju, podarowała polskim bandytom kolejne czterysta sześćdziesiąt kilogramów dobrego niemieckiego trotylu. To już czwarty raz! Na domiar złego, podobno ten nowy dupek z SS, który przejął kierownictwo lokalnej komórki kontrwywiadu, za nic nie przyjmował do wiadomości, że wspaniała niemiecka technika może zawieść! Jeśli zawodziła to musiał być oczywisty skutek dywersji! Gula w gardle oberleutnanta rosła z godziny na godzinę. Życzliwi znajomi ze sztabu ostrzegali go wczoraj, żeby już więcej się nie podkładał, bo będzie źle. Teraz można było poważnie wątpić, że w tym sztabie pozostali jeszcze jacyś życzliwi…

Marcus Murnau popatrzył na stojącego w poprzek parku stalowego mastodonta na gąsienicach. Masa sto dwadzieścia cztery tony, długość jedenaście metrów, wysokość pięć, a na grzbiecie zamocowana na blokach potężnych oporopowrotników krótka, przysadzista lufa, w której swobodnie

mieścił się człowiek. Potwór opierał się stalowym brzuchem o betonową płytę, specjalnie dla niego odlaną na ziemi. Nie mógł w chwili strzału stać na własnych gąsienicach, gdyż siła odrzutu zerwałaby zawieszenie. Wokół moździerza i na nim krzątało się kilkunastu ludzi. Kiedyś ten widok napawał oberleutnanta żołnierską dumą, teraz poczuł, że się tej machiny po prostu boi. Karl Gerät 040 był to znakomity sprzęt bojowy, ale jako narzędzie terroru działał dokładnie odwrotnie. Niemiecka obsługa, zamiast siać panikę wśród Polaków, sama była bliska zawału.

Feldfebel Johann Tschudi, szef drużyny ładowniczych, weteran pierwszej wojny światowej, przebąkiwał półgębkiem, że Ziu im nie sprzyja. Ten germański bóg nieba był wszak patronem honorowej, rycerskiej walki, a oni tu szargali jego imię, strzelając do cywilów, kobiet, starców i dzieci… *Donnerwetter*, jeszcze tylko tego brakowało, żeby dowiedzieli się o tym w sztabie! Podłego nastroju oberleutnanta w niczym nie poprawiło nadejścia potwierdzenia, że poprzedni pocisk eksplodował idealnie w celu.

Zza ziemnego wału porośniętego niskimi sosenkami wyjechał przerobiony na transporter Panzerkampfwagen IV, wioząc kolejny ładunek. Pozbawiony wieży czołg zatrzymał się przy burcie Karla, a grupa Tschudiego uruchomiła dźwig i zaczęła podnosić pocisk o masie dwóch ton. Trzy minuty później zaczęli operację wsuwania stalowego stożka do komory nabojowej.

– Zapalnik sprawdzony? – zawołał Murnau do Tschudiego.

– *Jawohl!*

– To sprawdźcie, do cholery, jeszcze raz!

Rozkaz wykonano bez szemrania. Nikt nie wydziwiał na paranoję dowódcy, wszyscy raczej sami ją podzielali. Było jasne jak słońce, że za tę robotę Żelaznego Krzyża nie będzie. Należało się skupić na tym, by nie było kopa w dupę.

– Zapalnik sprawny i gotowy! – zameldował feldfebel Tschudi.

Nie wiedzieć czemu oberleutnatowi zaschło w ustach i coś tak ścisnęło go w gardle, że nie był w stanie odpowiedzieć od razu.

– Zamontować… – wykrztusił wreszcie.

Z największą starannością feldfebel Tschudi osobiście wkręcił zapalnik w dno pocisku, po czym wepchnięto go do końca. Teraz przyszła kolej na ładunek miotający.

Marcus Murnau otarł rękawem pot z czoła, a jego wzrok zbłądził na znajdującą się kilkanaście metrów od Karla czarną plamę spalenizny. Ludzie z organizacji Todt, którzy robili betonową wylewkę pod moździerz, mówili, że w tym miejscu spalono stertę trupów okolicznych mieszkańców. Resztki kości gdzieś zakopano, ale została plama tłustej sadzy, uparcie przesiąkającej przez warstwę piasku, którym próbowano ją zasypać.

Teraz pośrodku kręgu spalenizny stała dziewczynka, na oko dziesięcioletnia, i natarczywie wpatrywała się w oberleutnanta…

Skąd, u licha, ta smarkula się tu wzięła?! Jakim cudem przeszła przez warty strzegące dostępu do parku? Zdumiony oficer odruchowo obejrzał się na swoich ludzi pracujących na platformie moździerza, by przekonać się, czy oni też to widzą, i zdębiał jeszcze bardziej. Ujrzał, jak do lufy jego Karla wlatuje chmara jakichś ni to wróbli, ni to nietoperzy, czego najwyraźniej nikt poza nim nie dostrzegał. Kompletnie oszołomiony Murnau znów spojrzał na plamę spalenizny i tym razem nikogo tam nie zobaczył.

Dziewczynka znikła.

Miał halucynacje. Te nerwy i upał… Czy to mógł być udar słoneczny? Chyba nie… Należało koniecznie wziąć się w garść!

Zaryglowano komorę nabojową i zespół Tschudiego zaczął schodzić na ziemię. Teraz nastawy celownika. Tym oberleutnant musiał się zająć

osobiście. Podszedł bliżej, wyjął grafik ostrzału, odczytał nowe kąty przesunięcia i nachylenia lufy. Miał wrażenie, że zaraz zemdleje, ale podając parametry, mówił głośno i wyraźnie.

Za chwilę zameldowano gotowość odpalenia i wszyscy odsunęli się na bezpieczną odległość, zatykając uszy dłońmi. Wyczekująco patrzyli na dowódcę. Nie było na co dłużej czekać i tak byli w niedoczasie…

– *Feuer!* – krzyknął oberleutnant Murnau.

Ziemia zakołysała się pod nogami jak pokład okrętu. Podmuch z lufy szarpnął koronami parkowych drzew, a grzmot wystrzału przewalił się po okolicy, odbijając się echem od coraz dalszych murów spalonych domów.

Tschudi patrzył cały czas w ślad za pociskiem i po minie feldfebela już widać było, że coś jest nie tak… Ale przecież jeszcze za wcześnie! Jeszcze powinno minąć kilkanaście sekund, zanim usłyszą charakterystyczny odgłos detonacji…

Nie usłyszeli.

Murnau bardzo powoli, z absolutną pustką w głowie, obejrzał się na telefonistę z punktu łączności przy parkowej bramie. Ten właśnie odebrał telefon, słuchał, odłożył słuchawkę, a kiedy podniósł wzrok, oberleutnant w jego oczach odczytał wyrok.

– Brak potwierdzenia eksplozji – oznajmił matowym głosem łącznościowiec.

Drugi raz dzisiaj! Kolana dowódcy 638. baterii artylerii zrobiły się jak z waty. Ziemia znów się zakołysała…

– Nie stwierdzono też przejawów fizycznego oddziaływania – dobił go telefonista.

Zatem ich pocisk nie zniszczył nic nawet samą energią pędu. Prawdopodobnie wbił się w jakiś trawnik i Polacy wykopią go za dwie, trzy

godziny… To była katastrofa! Nie! Teraz to już na pewno był pluton egzekucyjny. Pytanie tylko, kto przed nim stanie…?

Murnau z zaciśniętymi pięściami ruszył w stronę Tschudiego.

Stary artylerzysta wciąż wpatrywał się w niebo.

– Iskra znikła w połowie drogi… – wyszeptał feldfebel zbielałymi wargami.

Miał na myśli słońce odbijające się od lecącego i obracającego się wokół własnej osi pocisku. U szczytu trajektorii balistycznej, kiedy lot był najwolniejszy, refleks ten był wyraźnie widoczny i objawiał się w postaci złotej iskry lub świetlnej smugi zdążającej w kierunku celu. Z tego, co powiedział Tschudi, wynikało ni mniej ni więcej, że przeszło dwutonowy pocisk z moździerza Karl Gerät 040 po prostu rozpłynął się w błękicie nieba…

– Ziu go zabrał – oznajmił feldfebel. Nie dało się poznać, czy się wygłupia, czy mówi poważnie.

Oberleunanta wcale nie trafił szlag. O nie, wręcz przeciwnie, spłynęło na niego mroczne olśnienie.

– Piliście coś?! – wrzasnął na Tschudiego, tak żeby wszyscy usłyszeli.

Ten nie odpowiedział, spuścił głowę. Cała bateria wiedziała, że feldfebel czasem sobie popija. Nawet podczas walki. Dotąd na tę słabość weterana patrzono przez palce.

– Meldowaliście, że zapalnik jest sprawny?!

– Tak jest…

Oberleutnant Marcus Murnau nabrał głęboko powietrza i powoli wypuścił je przez zęby.

Miał kozła ofiarnego.

XXXI. Warszawski Armagedon

Tina-Alina nie przybyła po to, aby połączyć siły z Klimaszewską i Piekarką. Ona je atakowała!

Teraz wreszcie zrozumieliśmy, jaki sens miała nasza walka o małą Tinę. Gdyby dwie szesnastowieczne demonice dostały ją od razu, stałaby się bezwolnym narzędziem w ich rękach, a one mogłyby bez ograniczeń czerpać z jej mocy. W trakcie wędrówki przez stulecia Tina-Alina otrząsnęła się z autyzmu, zyskała świadomość siebie oraz własnych dążeń. Zrozumiała, że Klimaszewska i Piekarka są sprawczyniami jej cierpienia, więc zebrała podobnych sobie, aby się na nich zemścić.

Ojciec dyrektor, chcąc spacyfikować zamieszanie w wewnętrznej kaplicy, zamierzał rozpocząć powitalne odmawianie różańca, ale Piekarka kazała mu się zamknąć i dostał chwilowej afazji. Demony nie walczyły między sobą na parodie modlitw. To była tylko drwina z Naczelnego, a nie sposób załatwiania wzajemnych porachunków.

Tu naprzeciw nienawiści musiała stanąć druga nienawiść, tyle że inaczej motywowana.

– Serdecznie witamy braci ze stowarzyszenia świętego Piusa X! – zawołał ksiądz wodzirej w szaliku Legii zamiast stuły.

Naprawdę to nie witał, tylko zawiadamiał kogo trzeba o wtargnięciu intruzów na teren uroczystości.

– APAGE SATANAS, ZŁY DUCHU!!! – zagrzmieli lefebryści pod adresem stojącej na wieży Klimaszewskiej. Okazało się, że mają własne,

bardzo solidne nagłośnienie, a co ważniejsze, do tej pory zdążyli zająć tak dogodną pozycję, że ryk ich megafonów wdarł się do mikrofonu księdza wodzireja, zanim ten pomyślał, by go wyłączyć. To było agresywne przejęcie co się zowie! Zaskoczone tłumy zaszemrały z niepokojem.

– ZGIŃ, PRZEPADNIJ, SIŁO NIECZYSTA!!! – zadudnili znów przeciwnicy Zniebazstąpienia.

– Oto są ludzie wyklęci przez papieża Polaka! – zdemaskował ich w odwecie ksiądz-wodzirej. – Schizmatycy, którzy przybyli tutaj, aby znieważać Przenajświętszą Panienkę!

– PRECZ! PRECZ! POSZLI WON!!! – moherowe staruszki wrzuciły furię od razu na trzeci bieg.

Kibole stali i patrzyli wilkiem. Jeszcze onieśmielały ich szaty, feretrony oraz superkatolicki image przeciwników, ale już za chwilę uczucie zakłopotania miało przejść w nienawiść profanacji i spotęgować wściekłość.

– Wilki w owczych skórach! – ksiądz wodzirej znalazł właściwe słowa we właściwym czasie. – Matkę naszą znieważacie?!!

Lefebryści zaczęli odprawiać egzorcyzm według *Rytuału Rzymskiego*. Jak łatwo zgadnąć, skutek był odwrotny do zamierzonego. Klimaszewska na wieży mało się nie posikała z radości.

– ALLELUJA I DO PRZODU!!! – wrzasnął ojciec dyrektor, odzyskując mowę. Następnie zaintonował Apel Jasnogórski, ale śpiew podjęli tylko weterani na terenie muzeum.

Za murem natomiast jakaś staruszka, młócąc na oślep torebką, rzuciła się na lefebrystów. Harcowniczka była na razie jedna, ale za to ze słabym sercem, które po trzydziestu sekundach nie wytrzymało emocji i wysiłku.

– Nie bijcie kobiet! – jęknął rozdzierająco ksiądz wodzirej, kiedy moherowa wojowniczka padła na bruk.

– KURRWYYY!!! – wyszli z nerw kibole.

Lawina nienawiści nabierała rozpędu, nieubłaganie zmierzając do punktu, w którym zacznie się rozlew krwi.

– Odejdźcie stąd! Błagam was! – szlochał obłudnie ksiądz wodzirej.

– WY-PIER-DA-LAĆ!! WY-PIER-DA-LAĆ !!!

– OOOODSTĄĄĄP SZAAATAAAANIEEEEE!!!

– JESTEEEM PRZY TOBIEEE, CZUUWAAAM!

Została jeszcze minuta tej przepychanki na same słowa.

Tuż obok trybuny księdza wodzireja, w części parkingu, gdzie akurat nikt nie stał, znajdował się właz studzienki kanalizacyjnej. Coś stuknęło metalicznie od spodu w okrągłą żeliwną płytę. Ta po drugim, mocniejszym uderzeniu uniosła się i odleciała z łomotem, którego nie zdołał zagłuszyć pojedynek megafonów.

Z kanału wynurzył się Jarogniew Skoczybłoto. Prasłowiański anioł podał rękę wychodzącej za nim pani Marjam, a na koniec oboje pomogli wydostać się Szczyrbce-Sławie, która tuliła do siebie bociana.

– Królowa! – jęknął wzruszony do głębi Jan Seweryn. Nie oglądając się na nas, skoczył prosto na parking, przyklęknął przed panią Marjam i rycerskim obyczajem ucałował kraj jej szaty.

Leokadia natychmiast poszła w ślady husarza. Natomiast towarzysz Zaleszczuk postanowił być dialektycznie pryncypialny i zaczął bełkotać coś na temat personifikacji żeńskich sił witalnych.

Wiecie, zazwyczaj jestem tolerancyjny, ale tym razem złapałem go za fraki i ściągnąłem z tego gzymsu na zbity łeb. Wylądowaliśmy przed panią Marjam może nie z taką godnością i gracją jak Jan Seweryn i Leokadia, ale za to bardzo energicznie. Opieszałości w żadnym wypadku nie można nam było zarzucić, aczkolwiek obaj zachowaliśmy rezerwę w całowaniu po rękach.

Uśmiechnęła się do nas.

– Podejdźcie i ujmijcie moje dłonie – powiedziała tylko.

Leokadia i Jan Seweryn zrobili to, nie podnosząc się z kolan. Ja stanąłem za nimi, ale towarzysz Zaleszczuk znów miał drewniany wzrok i nie posłuchał. Zrozumiałem jednak, że wystarczy, jeśli wejdzie w kontakt za moim pośrednictwem, więc wolną ręką złapałem go mocno za nadgarstek.

Skoczybłotowie też się nie kwapili. Mimo wspólnej wędrówki z panią Marjam jeszcze nie wyjaśnili sobie do końca wszystkich zaszłości związanych z bezceremonialnym chrztem Polski.

– Ano juz niech bedzie wtóra Mokos… – pierwszy ustąpił Jarogniew. Przełożył ognisty czekan z ręki do ręki i przyjął wyciągniętą dłoń.

Szczyrbka podeszła, marszcząc brwi, i po chwili namysłu wzięła męża pod ramię. Jej bocian lekko szturchnął dziobem panią Marjam w suknię na sercu.

Wzajemne krygowanie się w samą porę ustąpiło przed międzyświatopoglądowym ekumenizmem, bo właśnie niebo nad nami rozjarzyło się jadowitym fioletem i spadł czarny egzorcyzm, na tę okazję w wykonaniu aż trzech koncelebrantów zgromadzonych na czwartym piętrze pobliskiego biurowca, szóste okno od lewej. Gdyby się draniom udało, wyrzuciliby nas daleko poza horyzont zdarzeń wszechświata.

Tym razem jednak staliśmy bezpiecznie niczym w klatce Faradaya, poza którą wyleciały wszystkie bezpieczniki nie tylko na Ziemi, ale też na Słońcu. To już nie były pioruny, ale protuberancje, których pętle oplotły nas jak macki kosmicznej ośmiornicy. Wokół w każdym kierunku w czterech wymiarach wybiło studnie czasoprzestrzenne przenikające na przestrzał galaktyki, kwazary i czarne dziury. Wicher wzbudzonej próżni rozwiał je jak kupę płonących szmat i suchych liści, następnie zmiótł

to wszystko w nicość w gwałtownym paroksyzmie potęgujących się wykładniczo faz inflacji. Zobaczyliśmy dokładnie, jak Naczelny będzie zwijał cały interes, kiedy przyjdzie na to czas.

Teraz wypadało docenić inteligencję, z jaką obszedł własne przyrzeczenie nadużyte przeciwko Niemu. Rzecz polegała na – że tak powiem – hierarchii rozporządzeń ustawowych. Norma „cokolwiek zawiążecie lub rozwiążecie" miała zdecydowanie niższą rangę od „czcij ojca i matkę swoją". Komu jak komu, ale Naczelnemu złego przykładu dawać nie wypadało… I to by było tyle w kwestii chwytania Go za słówka w celu przechytrzenia. Smutny los całego wszechświata zasługiwał na znacznie mniejsze współczucie niż psychiczny dyskomfort tych, co się na to poważyli. Nie była to kwestia przyszłości, lecz już teraźniejszości. Trzej posłuszni wykonawcy rozkazów ojca dyrektora po prostu znikli bez śladu. Zostali z duszą i ciałem zabrani tam, gdzie ich miejsce. Można by rzec, że wciągnęła ich czarna dziura. Naprawdę bardzo czarna, także w środku.

Żywi ludzie zobaczyli tylko tuman kurzawy, który nagle przeleciał wzdłuż ulicy Przyokopowej, zaprószając pyłem oczy i ciskając na wszystkie strony śmieciami porwanymi z koszy. Po chwilowym oszołomieniu obie wrzeszczące na siebie strony konfliktu zgodnie uznały ten wiatr za znak bożego gniewu, zamanifestowanego akurat na poparcie ich sprawy. Ksiądz wodzirej tego zagadnienia nie skomentował. Przyznam się nieskromnie, że to przeze mnie, bo sprawiłem, że zobaczył bociana wychodzącego ze studzienki kanalizacyjnej. Księżulo gwałtownie zwątpił w swoje zdrowe zmysły i pobiegł na najbliższy punkt sanitarny, domagając się czegoś na ptasią grypę.

Niestety, ta krotochwila, przyznam szczerze, zrobiona po to, aby popisać się przed panią Marjam, nie zmieniła sytuacji na lepsze. Jednego

podżegacza zastąpiono drugim, znacznie bardziej zawziętym. Nowy ksiądz wodzirej zwietrzył niepowtarzalną szansę zaistnienia przed zakonną zwierzchnością.

Co gorsza, czarny egzorcyzm odniósł jednak pewien skutek. W jego trakcie, kiedy wszechświat zadrżał w posadach, doszło na chwilę do ogólnego paraliżu wolnej woli. Wykorzystując ten moment, Piekarka wtłoczyła w umysły kibiców wiedzę, kim są lefebryści i dlaczego należy ich nienawidzić. Drugi raz doprowadziła do stanu, w którym w tysiącach głów zapłonęła jedna myśl.

– Walczcie – powiedziała pani Marjam.

Pierwszy ruszył Jan Seweryn. Zastąpił drogę tłumowi kiboli już zrywających się do szarży na lefebrystów. Nie wyjął szabli, ale założył dłonie za pas i stanął przed nimi w pełnym anielskim majestacie. Zdawało się, że przybył mu metr wzrostu, a złamane husarskie skrzydło odrosło i oba, razem z karacenową zbroją, zajaśniały nieziemskim blaskiem.

Jedni widzieli go ślepo, inni świadomie, myśląc, że śnią na jawie. A on, Jan Seweryn Mierzejewski herbu Szeliga, stał przed nimi potężny, wspaniały i dumny. Emanował męstwem, szlachetnością, godnością i honorem polskiego rycerza, przypominając im, czym mogli być i czym być powinni. Rozbudził w nich marzenie o prawdziwej wielkości, poruszył resztki sumień.

Demony odstąpiły. Kibole nie ruszyli się z miejsca i nigdy do końca nie zrozumieli, dlaczego ani co właściwie ich powstrzymało. Wyciągnięte już kije bejsbolowe, noże i maczety wstydliwie ukryli z powrotem. Siła anielskiego uroku, którzy rzucił na nich Jan Seweryn, była tak wielka, że aż przestali słyszeć obłudny wrzask megafonów.

Klimaszewska i Piekarka straciły jeden reaktor nienawiści, z którego czerpały siłę powstrzymującą napór armii Tiny-Aliny. Teraz ta mała

demonica zapanowała nad tłumem, zakażając ludzkie umysły uczuciami rozczarowania, oszukania i bolesnego niespełnienia. Falanga zazdrosnych zjaw, które nie zaznały życia, radości i miłości, wdarła się na ziemny wał przy wschodnim murze muzeum i zaczęła napierać z furią, by wedrzeć się do środka.

Nie z tej strony przyszło jednak największe zagrożenie, ale dokładnie z przeciwnej i od góry. Oto z parku Sowińskiego nadleciała sycząca, skrzecząca i kwiląca płaczliwie chmura porońców niosących skradziony Niemcom pocisk z moździerza Karl Gerät 040. Na rozkaz swojej pani skrzydlate demony porwały go w locie, przeniosły poprzez czas i przestrzeń, a teraz upuściły na Muzeum Powstania Warszawskiego.

Pocisk trafił w podstawę wieży Wolności ze stojącą na niej Klimaszewską. Zapalnik zadziałał bez zwłoki, detonując prawie półtonowy ładunek kruszący.

Kula ognia wgniotła budynek w ziemię, sprasowując dach i wszystkie piętra w płaski przekładaniec, który spadł na posadzkę piwnicy. Wieżę skotłowało w kłąb żelastwa. Rozepchnięte falą uderzeniową ściany poleciały na zewnątrz, miażdżąc i grzebiąc pod gruzami niedołężnych staruszków przed kaplicą dla VIP-ów. Podmuch powalił też większość zewnętrznego muru, którego południowy odcinek przygniótł pielgrzymkę lefebrystów. Ksiądz wodzirej razem ze swoją ambonką odleciał na drugi koniec parkingu, a ludzie padli jak wyległe zboże. Zwaliła się fasada byłego Polamu razem z naszym gzymsem, a po drugiej stronie Towarowej do środka gmachu wydawnictw wojskowych Bellona wtłoczyło wszystkie szyby. Na koniec fala uderzeniowa zakołysała drapaczem chmur Warsaw Trade Tower przy Chłodnej. O wiele wyżej niż ten budynek wzbił się słup szarego pyłu.

Ciut wcześniej miałem wizję zagłady całego wszechświata, więc do tego konwencjonalnie pirotechnicznego widowiska podszedłem z dystansem oraz przymrużeniem oka. Reżyseria spektaklu wyraźnie szwankowała, skoro efekt słabszy następował po silniejszym. W przypływie ironii zacząłem sobie nawet nucić pod nosem:

Warszawa się bawi jak za dobrych czasów,

Chociaż biedy pełno, trosk i ambarasów…

Przepraszam. Anioł też ma swoje ograniczenia i nijak nie mieściło mi się w głowie, że może to być coś innego niż życzeniowa projekcja, będąca skutkiem ubocznym mentalnego starcia demonów i zupełnie niewidzialna dla osób żyjących. Gdy się za dużo główkuje, pojawia się skłonność do odrzucania prostych wyjaśnień tylko dlatego, że wydają się zbyt oczywiste…

Otrzeźwiło mnie dopiero objawienie rzeczywistych konsekwencji tego wydarzenia, a konkretnie przyszłe oświadczenie prokuratury, że powodem tragedii w Muzeum Powstania Warszawskiego były prace konserwatorskie przy jednym z eksponatów, który w wyniku nieszczęśliwego zbiegu okoliczności, nieporozumień oraz zaniedbań nie został wcześniej rozbrojony. Stwierdzono też, że ze względu na naciski polityczne tuż przed otwarciem muzeum ekspozycję kompletowano w pośpiechu.

Potem zobaczyłem krew, ludzkie strzępy, usłyszałem jęki i szlochy. Poczułem woń spalonego trotylu, przypominającą smażone na patelni stare celuloidowe negatywy przyprawione szczyptą naftaliny. Wreszcie dotarło do mnie, że Tina-Alina ma zdolności zbliżone do moich i potrafi wywołać kolaps czasoprzestrzenny, zderzając przeszłość z przyszłością. Innymi słowy, sprawiła, że powstanie warszawskie przyszło do Muzeum Powstania Warszawskiego…

Pierwszy zareagował Jarogniew. Prostodusznie uznał, że nie ma sensu zastanawiać się nad tym, co nie mieści się w głowie, więc przeszedł do porządku dziennego nad fanaberiami późnych wnuków i zabrał się do odgruzowywania lefebrystów.

Towarzysz Zaleszczuk wręcz przeciwnie. Zamieniona w słup soli żona Lota mogła teraz robić przy nim za wulkan temperamentu. Nie było tak jak dotąd, że nie przyjmował do wiadomości rzeczy sprzecznych z jego przekonaniami. Teraz już cały świat wyskoczył mu z ramek światopoglądu.

Pani Marjam patrzyła wyczekująco na mnie i Leokadię.

Mieliśmy cofnąć czas? Przecież to niewykonalne! Tego nawet sam Naczelny nigdy nie robił! Od początku tak zaprojektował cały ten wszechświat, żeby odwrócenie strzałki czasu było w nim niemożliwe. Inaczej nie dałoby się w tym uniwersum praktykować wolnej woli, bo wybór odwracalny nie jest poważnym wyborem.

Jednak z drugiej strony ktoś mi dziś dał inspirujący pokaz inteligentnego obchodzenia własnych reguł… No to jestem Aniołem Dobrej Rady czy nie jestem?

Tym razem nie było żadnego łopatologicznego objawienia. Sam na to wpadłem!

– Chodź! – zawołałem do Leokadii i skoczyliśmy z powrotem na dach eks-Polamu. – Pamiętasz ten swój numer z tramwajem? – zapytałem.

– Pamiętam, ale przecież tutaj wydarzenie się już stało…

– Musimy połączyć nasze dary! Poczekaj chwilę… – chwyciłem mój krzyż i przetasowałem go w czterech wymiarach jak kostkę Rubika.

Manipulacja czasoprzestrzenią poszła jak z płatka i z miejsca przełożyła się na obszar rzeczywistości w zasięgu mojego wzroku. Najpierw zablokowałem proces dalszego stawania się zdarzeń w kierunkach przyczynowo-skutkowych od momentu wybuchu. Innymi słowy, lokalnie

zamroziłem czas. To mi było wolno. Następny etap, wymagał znacznie większej dokładności i uwagi. Przeszedłem do ułamka sekundy tuż przed eksplozją pocisku i przygotowałem obszar rzeczywistości minimalnie alternatywnej. Różnice były na poziomie fluktuacji kwantowych, niezauważalne dla osób pozostających w doczesności. Innymi słowy, do martwego już kota Schrödingera, precyzyjnie atom w atom, dokleiłem jego potencjalną egzystencję w stanie życia i splątałem je ze sobą. Teraz potrzebny był mały akt kreacji *ex nihilo*, aby nowy stan potencjalnie możliwy zaczął się realizować. Ta sprawa zaś leżała w kompetencjach Leokadii. Musiałem tylko jak najdokładniej wyznaczyć i pokazać jej obszar, który miała uaktualnić. Rzecz była trudna, bo tu nie chodziło o jednego kota, ale o cały ogród zoologiczny.

– Rozumiem! – ucieszona Leokadia klasnęła w dłonie.

Teoretycznie po redukcji rozwidlenia rzeczywistości alternatywnych egzystencjalna klamka zapadała definitywnie. Jeżeli jednak dostatecznie szybko utnie się wybraną gałąź blisko miejsca rozwidlenia, czyli zatrzyma tę opcję w rozwoju i równocześnie stworzy nową, wygodną alternatywę, to przy odrobinie pomocy Naczelnego wszystkie idące tędy wydarzenia i osoby z lekką turbulencją metafizyczną przeskoczą w drugą możliwość. Potem gdy się to wszystko porządnie wygładzi, to nawet sam Einstein nie zauważy, że w tej desce zdarzeń jednoczesnych jest jakiś sęk.

– Gotowe! – oznajmiłem.

– Widzę to – odparła w skupieniu Leokadia.

Koncentrowała się chwilę, po czym wyrzuciła w górę ramiona i przemieniła się jeszcze efektowniej niż Jan Seweryn. Stała się całkowicie przezroczysta dla Światłości.

– ŚWIĘTY! ŚWIĘTY! ŚWIĘTYYYY! – zawołała, zaciągając przenikliwie ostatnią głoskę.

To było jak ukłucie w nerw, którego się nie czuje, tylko od razu mdleje z bólu. Aczkolwiek to nie był ból, ale coś wręcz przeciwnego… No, nie będę wchodził w szczegóły. Powiem tyle, że można zwątpić w swoją orientację, więc osobiście radzę wam uważać na serafiny. A tak konkretnie, to zleciałem z tego dachu na zbity łeb.

Kiedy się pozbierałem, Muzeum Powstania Warszawskiego stało z powrotem. Ściślej mówiąc, nowe muzeum stało tuż obok własnych ruin z ofiarami wybuchu, nieznacznie przesunięte w czasie oraz fazie przyczyn i skutków. Zgromadzeni tu ludzie odebrali nasz akt rekonstrukcji rzeczywistości jako stan krótkotrwałego rozkojarzenia, połączonego z niknącym szybko wrażeniem nieokreślonego lęku. Poza tym sądzili, że nic im się nie stało. Nikt nie podejrzewał, że bardzo blisko, w alternatywnej o włos rzeczywistości trwa jego *alter ego* zatrzymane w agonii. Teraz najważniejszą myślą, która zdominowała wszystkie umysły, była ta, że Zniebazstąpienie nie nastąpiło! Nie widzieli już Klimaszewskiej ani nie pamiętali, że przed chwilą na nią patrzyli.

Dopiero po latach pewien historyk IPN badający relacje świadków zbiorowej histerii, nazwanej przez tabloidy „warszawskim szaleństwem WZ”, zauważył intrygującą zbieżność dotyczącą zegarków kilkunastu osób. Właściciele byli pewni, że rano dokładnie je nastawili, ale wieczorem stwierdzili, że ich zegarki spóźniają się pół minuty. Historyk ów nie miał możliwości tego potwierdzić, ale w każdym przypadku było to dokładnie dwadzieścia siedem sekund. Tyle bowiem czasu zajęło mnie i Leokadii zrobienie porządku po psocie Tiny-Aliny.

Demonom się nie upiekło tak łatwo jak ludziom oraz przedmiotom martwym. Szczególnie Klimaszewskiej, która objawiając się w materialnej postaci, stała się wrażliwa na bodźce fizyczne. Wprawdzie nie tak samo jak zwykłe żywe istoty, podlegała bowiem zasadom innej mechaniki, przede

wszystkim była znacznie odporniejsza na urazy, ale w bezpośrednim sąsiedztwie takiego wybuchu nie miało to większego znaczenia. Moja pomoc w jej przypadku nie podziałała.

Na barierkach odnowionej wieży Wolności była bieliźniarka Dorota Klimaszewska, podająca się ze złośliwym upodobaniem za panią Marjam, wisiała teraz w postaci przypominającej lalkę z sex-shopu, z której spuszczono powietrze. Aby użyć porównania bardziej poprawnego teologicznie, powiem, że wyglądała jak zrzucona skóra węża. Wybuch zdruzgotał w niej na pył wszystkie kości. I owszem, ta aluzja symboliczna była jak najbardziej zamierzona.

Będąc istotą nieśmiertelną, Klimaszewska wciąż żyła i czuła. Mogła jednak już tylko biernie czekać, aż dopełni się jej los. Anioły nie współczują potępieńcom, jest to zwyczajnie nielogiczne, ale mnie było jej trochę żal. Naprawdę wiele wycierpiała. Wolała jednak zemstę od zadośćuczynienia za doznane męki. Ostrzegłem ją i namawiałem do opamiętania. Nic więcej zrobić nie mogłem.

Tymczasem Jarogniew wciąż był przy lefebrystach. Tłumaczył ich biskupowi, że dla własnego dobra powinni stąd szybko odejść. Tamten z uporem odpowiadał mu, że nie rozumie po góralsku. Czekan Jarogniewa poniekąd przypominał ciupagę… Prasłowiański anioł w nastroju do krotochwil bynajmniej nie był i po kolejnej wymówce, niewiele myśląc, dziabnął fundamentalistycznego ortodoksa mazowieckim czekanikiem między oczy.

Cios był dobrze wymierzony i żywemu człowiekowi krzywdy nie zrobił, za to Piekarka oberwała jak piorunem i bezwładnie wypadła z ciała opętanego biskupa. Egzorcyzm był wprawdzie przedchrześcijański, nieprawowierny i głęboko niezgodny z prawem kanonicznym, ale za to naprawdę skuteczny! Uwolnieni od demona lefebryści momentalnie

zaczęli wykazywać instynkt samozachowawczy i dotarła do nich świadomość sytuacji. Przede wszystkim to, że do fałszywego objawienia nie doszło, a rozczarowany tłum może chcieć szukać winnych. Uznali, że ich prawdziwa wiara spłoszyła zjawę, więc misja się powiodła, i zaczęli się wycofywać tak szybko, jak się dało przy zachowaniu pozorów godności.

Tych mieliśmy już z głowy. Teraz na placu boju została zwycięska Tina-Alina, której chcąc nie chcąc, pomogliśmy dostać to, czego chciała. Zamiana jednego zbiorowego opętania na drugie stanowczo nie była rozwiązaniem do przyjęcia dla aniołów Pańskich.

Następna fala mroku zalała ludzkie umysły.

Wezbrały bezbrzeżny żal, poczucie głębokiej straty i rozczarowanie. Potem jak czarne fajerwerki zaczęły wybuchać w tłumie frustracja, zawiść i ślepy gniew.

Jan Seweryn mógł mieć znowu problem z kibolami Legii, ale nasz husarz ciągle był w fazie anielskiej szarży i nie tylko utrzymał ich w karbach, lecz też całkowicie wydobył spod wpływu Tiny-Aliny. Sprawił, by dotarła do nich wiadomość, że najbardziej zniedołężniałych powstańców ogarnęła jakaś dziwna panika i potrzebna jest pomoc oraz jak najszybsza ewakuacja do domów i hospicjów. Niezwłocznie się tym zajęli. Nie powiem, żeby nagle im wszystkim zaświeciły się aureole – przy okazji ojciec dyrektor dostał w oko za fatygowanie staruszków. Wyskoczyło mu spore limo i przez dwa tygodnie nie mógł się pokazać we własnej telewizji, bo w ciemnych okularach wyglądał jak generał Jaruzelski.

Z kolei moherowe staruszki uderzyły w płacz i lament, że nie okazały się godne łaski oglądania Zniebazstąpienia. Jak łatwo zgadnąć, ich sieroca rozpacz po odrzuceniu przez Matkę rozprzestrzeniała się epidemicznie, szybko zmierzając do stanów groźniej sublimacji oraz przeniesienia. Nie było już wprawdzie obawy, że w ruch pójdą maczety, ale wydrapanych

oczu i pękniętych tętniaków należało spodziewać się jak najbardziej. Byłoby też piętnaście ofiar zadeptania na śmierć i cztery przypadki uduszenia gołymi rękami.

Musieliśmy powstrzymać Tinę-Alinę!

Wszyscy razem ruszyliśmy na falangę zawistnych demonów. Przebudził się też towarzysz Zaleszczuk, który żwawo dołączył do nas, a nawet wysforował przed szereg. Nareszcie robił to, co lubił, rozumiał i do czego miał dar. Budził spokój i zaufanie niespełnionych dusz. W jego obecności porońce zamieniały się w świecące robaczki świętojańskie, a rozwydrzone zjawy w smutne dzieci. Sławek spokojnie, lecz stanowczo zapewniał je, że najgorsze już minęło i w rówieśniczym kolektywie będzie im dobrze, a nauka, praca oraz wspólna zabawa spowodują, że szybko zapomną o przykrych przejściach. Potem sprawnie ustawił nawrócone demonki w pary i ze śpiewem *Zbudujemy nowy dom* poprowadził całe towarzystwo do limbo. Niestety, nie zdołał poskromić całej armii Tiny-Aliny, tylko trochę przerzedził jej lewe skrzydło. Szkoda też, że się z nami nie pożegnał, ale rozumiem, że miałby z tym problem dyplomatyczno-protokolarny.

Mnie poszło o wiele gorzej. Wpadłem na podskakującego na jednej nodze upiora generała Sowińskiego, któremu równowagę pomagała zachować chmara porońców wczepionych pazurami w kołnierz i epolety. Pan generał pod nowym zwierzchnictwem zdołał awansować. Nie służył już tylko w charakterze obiektu do potęgowania nienawiści szeregowych demonów, ale dochrapał się w tym wojsku rangi kaprala. Przepełniony złością, że padł ofiarą własnego spisku, prowadził oddział złożony z duchów nieudaczników i miłosnych samobójców.

Po prostu wdeptali mnie w ziemię. Próbowałem powstrzymać Józefa Sowińskiego, przypominając mu jego odwagę i szlachetne czyny z czasów młodości. Wymagało to spojrzenia mu w oczy, ale w odpowiedzi dostałem

malignę bólu amputowanej bez znieczulenia nogi. Naprawdę nie miałem wyobrażenia, jak to jest, kiedy ci jadą piłą po okostnej piszczela… A potem jak goi się taka rana, jakie towarzyszą jej bóle fantomowe i meteoropatie. Załatwił mnie rutynowo przewagą cierpienia, które w jego mniemaniu stawiało go ponad prawem moralnym. Do tego doszły piekło odtrącenia przez ukochaną osobę… otchłanie depresji… rozczarowania, ośmieszenie i krańcowa kompromitacja… Rzucili się na mnie wszyscy, bijąc swoim żalem i złością. Pod ciosami ich wspomnień zacząłem tracić przytomność i odpływać w psychodeliczną pustkę. Byłoby ze mną źle, gdyby ich Jarogniew w porę nie rozgonił.

Sława-Szczyrbka tymczasem pilnowała powalonej Piekarki, przydeptując jej kark. Natomiast pani Marjam osobiście zajęła się główną prowodyrką.

– Dziecko, chodź do mnie! – powiedziała, wyciągając rękę.

W odpowiedzi Tina-Alina bezczelnie wywaliła język aż za brodę, zrobiła dzikie BŁEEEEEEE!!! i pobiegła dalej. Wobec tego zamiast niej pani Marjam uwolniła obu popów satanistów, dla których niniejszym skończył się czyściec. Poza tym jeszcze Leokadia zdołała wyrwać z władzy demonów zarozumiałego cyrulika Wincentego Kanię i to już było wszystko, co udało nam się wskórać w bezpośrednim starciu. Armia zawistnych demonów, mimo dużych strat, przełamała nasz opór i zajęła muzeum.

Tina-Alina triumfowała.

Jednym susem wskoczyła na wieżę, wyrwała duszę z Klimaszewskiej i swoim zwyczajem zjadła ją jak cukrową watę. Pozostałą po rywalce pustą powłokę zarzuciła sobie na ramiona niczym monarszy płaszcz i zaczęła przechadzać się po platformie, w tę i z powrotem z miną zachwyconej sobą

małej złośnicy. Jej demony, świętując zwycięstwo, rozszalały się na dobre nad okolicą.

Wszyscy zaczęli mieć głęboko dosyć wszystkiego. Weterani papieskiej służby porządkowej rzucali na ziemię i deptali swoje furażerki. Czuli się oszukani i wykorzystani, a co więcej, opanowało ich dojmujące wrażenie, że tak było zawsze. Rozhisteryzowane kobiety darły sobie włosy z głów, do krwi drapały paznokciami twarze, własne i cudze. Nikt już nigdzie nie pilnował porządku, przeważyło zniechęcenie i poczucie bezsensu. Zapanował samonapędzający się chaos. Znikły sektory, tłum zmieszał się i skłębił, ale nie rozpraszał. Jedni domagali się informacji, drudzy ukarania winnych, większość sama nie wiedziała, czego chce, ale koniecznie musiała jakoś dać wyraz swemu rozczarowaniu. Obalono pierwsze toi toie.

Ostatnią nadzieją powstrzymania metafizycznej i społecznej katastrofy było połączenie pary odwiecznych kochanków. Jednak Tina-Alina to wiedziała i skutecznie zablokowała nam dostęp do umysłów Jesiki i Andrzeja. Teraz ona rządziła w tej przestrzeni. No, może nie do końca, bo my ze swej strony uniemożliwiliśmy jej aktywne opętanie tych dwojga. Nastąpił nadnaturalny klincz i wszystko zależało teraz od wolnej woli i siły uczuć samych zainteresowanych.

Po zagładzie Doroty Klimaszewskiej, Jesika nagle oprzytomniała. Przypomniała sobie, po co tu przyszła, czego właściwie chce, a zwłaszcza co Andrzej mówił jej na temat fałszywych objawień maryjnych. Olśniło ją, że warunek skromności, łagodności i pokory podczas dzisiejszej manifestacji na wieży Wolności zdecydowanie nie zostałby spełniony.

Pobiegła do profesora Pieduszyńskiego, który właśnie na polecenie ojca dyrektora szykował oświadczenie medialne stwierdzające, że ojciec dyrektor nie jest w najmniejszym stopniu odpowiedzialny za zaistniałe wypadki. W żadnym razie nie jest stroną w tej sprawie, a właściwie

to prawie wcale go tutaj nie było. Ot, tylko wpadł zmówić modlitwę, a jego dobrych intencji nadużyto. Został uwikłany, podstępnie wplątany, jak to mówią, wkręcony, wiadomo przez kogo… Oczywiście wyznawcy uwierzą bez zastrzeżeń. W środowisku, w którym oni obaj funkcjonowali, nie istniało pojęcie kompromitacji. Przynajmniej nie na tym poziomie rządu dusz. Obezwładnienie Piekarki niczego tu nie zmieniło, gdyż pan profesor był łajdakiem z własnej woli, niezależnie od opętania.

– Gdzie jest Andrzej?! – wrzasnęła Jesika, chwytając Pieduszyńskiego za klapy marynarki.

– Moja panno, proszę się uspokoić – usiłował być akademicko wyniosły. – Jakże panna się zachowuje?!

– Jesteś z nimi w zmowie!

– Takie stawianie sprawy nam nie pomaga. Zwłaszcza pani nie pomaga…

– Ty skurwysynu!!! – wyjechała mu z bańki, aż usiadł na podłodze. W następnej chwili zerwała z szyi różańce i rzuciła mu je w twarz. Koraliki osypały się po nim jak bezsilny egzorcyzm i potoczyły we wszystkie strony.

– Nigdy go nie znajdziesz, ty mała dziwko! – mlasnął mściwie Pieduszyński zakrwawionymi wargami.

Nie słuchała go już i nie oglądała się na niego. Wybiegła z pokoju, zaraz potem z biurowca.

– ANDRZEEEJJJ!!! – zawołała rozpaczliwie ile tchu w płucach i rzuciła się w tłum.

Utonęła w nim. Ona i jej krzyk.

Andrzej był zaledwie pięćdziesiąt metrów od niej. Szarpany i stale popychany w przeciwną stronę, z uporem zmierzał do centrum prasowego. Wtem jakaś oszalała fanatyczka z furią wgryzła się w jego ramię. Nie odepchnął jej, przeczuwając, że to tylko pogorszy sprawę, lecz wciąż szedł

przed siebie tak długo, aż kobieta odpadła z kawałkami jego koszuli i skóry w zębach.

To poświęcenie na nic się zdało. Ruchy Browna nie mają dla anioła tajemnic, więc od razu było jasne, że te dwie drogi nigdy się nie przetną. Zamiast tego do zrozpaczonej Jesiki za chwilę przyczepi się niejaki Cezary Blesiak, świętoszkowaty erotoman i zboczeniec, marzący skrycie o własnej sekcie pełnej uległych hurys w każdym wieku, uwielbiających ostre sado-maso. On obieca doprowadzić ją do Andrzeja, którego ponoć dobrze zna, i tak zwabi dziewczynę w ustronne miejsce…

Jesika miała zginąć z rozkazu Tiny-Aliny.

I znów mogliśmy na to tylko bezczynnie patrzeć. Przyszłego sprawcy powstrzymać się nie dało, ponieważ on doskonale wiedział, czego chce. Tak samo jak w przypadku profesora Pieduszyńskiego, taka była wolna wola pana Blesiaka.

Gwałciciel i morderca był coraz bliżej. Przemieszczał się w skłębionej ludzkiej masie jak nadpływający rekin. Nikt go przypadkiem nie powstrzymywał, odwrotnie niż Andrzeja. Wręcz przeciwnie, tłum mimochodem schodził zwyrodnialcowi z drogi, zapewniając swobodne dojście do ofiary.

Tymczasem Andrzej zamiast Jesiki zobaczył w tłumie brata Eligiusza. Ten z kolei z miejsca, w którym się znajdował, widział ich oboje. Także to, że zmierzają w przeciwne strony i nieuchronnie muszą się minąć.

Wredny mnich stał i patrzył.

Łatwo się domyślił, że tych dwoje szuka siebie nawzajem i naprawdę bardzo im na spotkaniu zależy. Wspomniał Andrzejowe pouczenia, dyskusje z nim…

Uśmiechnął się i…

Nagle podniósł rękę, pokazując Andrzejowi Jesikę. Zrobił to sam z siebie, aktem własnej, niewymuszonej dobrej woli.

Zaprawdę powiadam wam, jeszcze żaden robotnik w Pańskiej winnicy nie dostał swojej zapłaty za mniejszą robotę! Przez całe swoje dorosłe życie brat Eligiusz był żałosnym, małostkowym złamasem, a teraz tylko pokazał palcem.

To wystarczyło, by zmienić bieg zdarzeń.

Andrzej natomiast dowiódł, że wart jest swojego powołania, nie poddał się niechęci i zaufał wrogowi. Chociaż coś natarczywie szeptało mu, by iść w przeciwną stronę, natychmiast ruszył we wskazanym przez Eligiusza kierunku, energicznie rozgarniając tłum. Minutę później trzymał w ramionach oszalałą ze szczęścia Jesikę. W tym momencie jej niedoszły morderca w ogólnym zamieszaniu dostał czubkiem parasolki w oko i stracił je razem z przerostem libido. Od tej chwili każda myśl o kobiecie będzie Cezarego Blesiaka przyprawiała o paniczny lęk przed utratą drugiego oka. Wkrótce wyjedzie w Bieszczady i zyska duży szacunek jako pustelnik szerzący Słowo Boże wśród wypalaczy węgla drzewnego.

Podszedłem do brata Eligiusza, poklepałem go po ramieniu. Poczuł to. Znów się uśmiechnął i obejrzał.

– Widzę cię – powiedział. – Jesteś Aniołem Stróżem księdza Andrzeja, zgadza się?

Skinąłem twierdząco.

– Wiele mówił mi o tobie. Co ja mam teraz robić?

– Przestań deptać ludzi, a zacznij ich podnosić.

– Tak będzie – obiecał szczerze.

– I dopomóż im w ich pracy – wskazałem wzrokiem Andrzeja i Jesikę, którzy właśnie zaczęli się całować.

Pojaśniało. Ludzie przestali szaleć, trzeźwieli z amoku. Zaczęli myśleć o tym, że trzeba wracać do domów, w spokoju napić się herbaty, ochłonąć i jakoś tam dalej żyć…

Szczyrbka-Sława postawiła na ziemi swojego bociana, którzy niezwłocznie ruszył do najbliższego trawnika i wyskubał z niego długie, zielone źdźbło, jakimś cudem jeszcze niezadeptane. Potem dostojnie, z insygnium pradawnej sukcesji w dziobie, przez szpaler rozstępujących się przed nim w zdumieniu, lecz już uśmiechających się na jego widok ludzi, podszedł do Andrzeja i Jesiki, którzy przykucnęli przed nim.

Przyjęli znak nowej wiosny Warszawy.

Jesika pogłaskała bociana po szyi, ale tę poufałość przedwieczny posłaniec tolerował jedynie dwie sekundy. Zaraz odskoczył, jakby spłoszony, i z rozbiegu wzbił się w powietrze. Nad Muzeum Powstania Warszawskiego zatoczył siedem kręgów, płosząc kłębiące się tam jeszcze porońce, które pierzchały przed nim niczym gołębie przed jastrzębiem, kryjąc się w najmroczniejszych zakamarkach gmachu. Potem bocian wzbił się w słońce i zniknął w jego blasku.

Ludzie zaczęli się rozchodzić spokojnie i w milczeniu.

Dominium Tiny-Aliny skurczyło się do terenu muzeum. Ona sama pozostała na wieży Wolności, siedziała tam w swoim makabrycznym płaszczu z kolanami pod brodą, znów otorbiona w inkluzji czasoprzestrzennej. Reszta jej zjaw poszła w ślady porońców. Zasiedlili bardzo przytulne jak dla nich modele kanałów, gadające ściany, czerepy pocisków oraz inne elementy ekspozycji. Jednonogie widmo generała Sowińskiego skryło się za namiotem ekshumacyjnym. W końcu on sam też kwalifikował się do kategorii niezidentyfikowanych poległych.

Ze mnie dopiero teraz zaczęło opadać napięcie. I nadpłynęła melancholia.

To wcale nie był definitywny koniec. Zamknęliśmy jeden powtarzający się cykl wydarzeń i rozpoczęliśmy następny. Oczywiście, wszystko rozeszło się po kościach tylko na jakiś czas. Wielkie zło zawsze niszczy i zjada samo siebie, dlatego Klimaszewska została pożarta przez demona, którego sama stworzyła, który narodził się i wyrósł z rozpętanej przez nią nienawiści. Teraz Tina-Alina przejęła całą siłę i złość swej poprzedniczki. Nie była już biedną, niewinną dziewczynką, chociaż nie ulegało wątpliwości, że w przyszłości będzie często i perfidnie grać na współczuciu. Nie wiedziałem jednak dokładnie, co zrobi…

Zdziwiło mnie, że przestałem widzieć konsekwencje, dalszy bieg łańcuchów przyczynowo-skutkowych oraz możliwe warianty przyszłości. Nigdy dotąd nie musiałem mówić „jakiś czas”, zawsze orientowałem się, co, kiedy, ile. Stało się tak, jakby nagle bardzo pogorszył mi się anielski wzrok…

– Wstawajze! – Szczyrbka energicznie chwyciła za kołnierz i postawiła na nogi słaniającą się Piekarkę. – Ty niewolna z nami pójdzies!

– Na nasym urocysku troche pobiduje, potem nam w gospodarce dopomoze – sprecyzował jej wyrok Jarogniew.

Innymi słowy, drugiej demonicy okazano miłosierdzie, chociaż nie zrobiła nic, aby na nie zasłużyć. Uroczysko Skoczybłotów miało o wiele więcej wspólnego z limbo niż piekłem. Piekarka miała szansę na adoptowanie przez gospodarzy, powrót na ziemię w dziobie bociana i kolejną próbę doczesnego życia. Tymczasem żołądek Tiny-Aliny dla fałszywej Maryi stał się ognistą otchłanią. Dusza Klimaszewskiej pozbawiona wszelkiej możliwości działania oraz percepcji zmysłowej, ślepa i głucha, sama zamknęła się w nieskończonym cyklu własnych wspomnień. Znów wiła się naga na łańcuchu w kręgu płomieni, bez końca,

tak jak jej to zapowiedziałem. Nienawidziła samej siebie i nie było w tym już zupełnie nic ciekawego.

Pogańskie anioły oszczędnie skinęły głowami pani Marjam, do nas uśmiechnęły się trochę serdeczniej, po czym razem ze swoją branką weszły do kanału. Jarogniew zamknął za sobą pokrywę. Wiedziałem, że teraz podziemnym labiryntem dojdą do zakrytego odcinka potoku służewieckiego, płynącego pod ulicą Dickensa, dalej idąc pod prąd wody, a zarazem w dół czasu, wynurzą się ze źródła koło swojego domu. I będą tam żyć jak dotąd.

No, a my?

Mieliśmy wciąż uważać na Tinę-Alinę, która prędzej czy później, po śmierci Jesiki i Andrzeja albo nawet wcześniej, jeśli oni zawiodą jak Sobiescy, znów wyzwoli się ze swojej inkluzji i zdobędzie władzę nad całą Warszawą. Jednak…

Nieważne.

Teraz to pojąłem. Tym się już zajmie kto inny! Nasza ziemska misja dobiegła kresu. Zrobiliśmy, co należało, aby plan Naczelnego się nie zawalił. Anioły nie były po to, żeby nieustannie naprawiać niedoskonały świat. Musiały zrobić swoje i odejść.

Droga była już tylko jedna. W Światłość.

Leokadia ujęła mnie oburącz pod lewe ramię, położyła mi głowę na piersi i uśmiechnęła się łobuzersko, całkiem jak stara, dobra, narwana Ośka, pół anioł, pół demon z wolskiego cmentarza. Ja zaś popatrzyłem na Andrzeja i Jesikę, którzy znów zaczęli się całować, a potem na brata Eligiusza, który razem z kilkoma harcerzami zabrał się za sprzątanie rozrzuconych przez wiatr śmieci.

Nie, nie wzbraniałem się. To nie tak. Nie tęskniłem za doczesnym życiem ani za kontynuacją służby anioła do zadań specjalnych z licencją

na objawianie. Nie obawiałem się już, że w Światłości stracę swoją tożsamość, pamięć oraz imię. Pojąłem, że te rzeczy wcale nie są takie potrzebne. Ludzka tożsamość jest ściśle związana z czasem, w którym się żyje i skoro zostawia się jedno, trzeba też pozostawić i drugie. Osobista tożsamość jest tylko narzędziem. Mając ją, będąc kimś konkretnym w danej epoce, można robić to, co w tym czasie zrobić należy. Po wykonaniu pracy narzędzie się odkłada, no a my właśnie wykonaliśmy już wszystko, co należało. Właściwie nie tyle uratowaliśmy Naczelnemu jego plan, ile raczej sami pozbyliśmy się resztek własnego niespełnienia. W przeciwieństwie do demonów nie mściliśmy się za niezrealizowane ziemskie egzystencje i pragnienia, lecz je dopełniliśmy. Anioł, proszę was, to pełnia życia!

Jan Seweryn odniósł wreszcie swoje wymarzone, prawdziwe, wielkie zwycięstwo i znalazł dumnych naśladowców. Leokadia odzyskała godność, której pozbawiono ją za życia, i nie musiała już prowokować ani rzucać w nikogo płytami nagrobkowymi, by podkreślić własną wartość. Towarzysz Zaleszczuk trwał w swoim powołaniu i żeby było zabawniej, to akurat on z całej naszej czwórki czuł się najmniej niespełniony.

A ja? Trochę mi się przewartościowało. Zrozumiałem, że mojej niechęci do pamiętania, kim byłem, nie można nazwać kompleksem ani zadrą, tylko podświadomą gotowością na to, co miało się stać. Nie musiałem w tym celu koniecznie drugi raz umierać.

– Mhm…! – przytulona do mnie Leokadia znacząco szturchnęła mnie nosem i zalotnie zatrzepotała rzęsami. Było mi naprawdę miło, że razem skoczymy na tym bungee. Zresztą trochę już wiedziałem, jak to się leci. No, wiecie, w końcu spadłem z tego dachu…

– Chodźcie – powiedziała pani Marjam.

Weszliśmy.

KTL

Warszawa-Wola, styczeń-sierpień 2010 r.